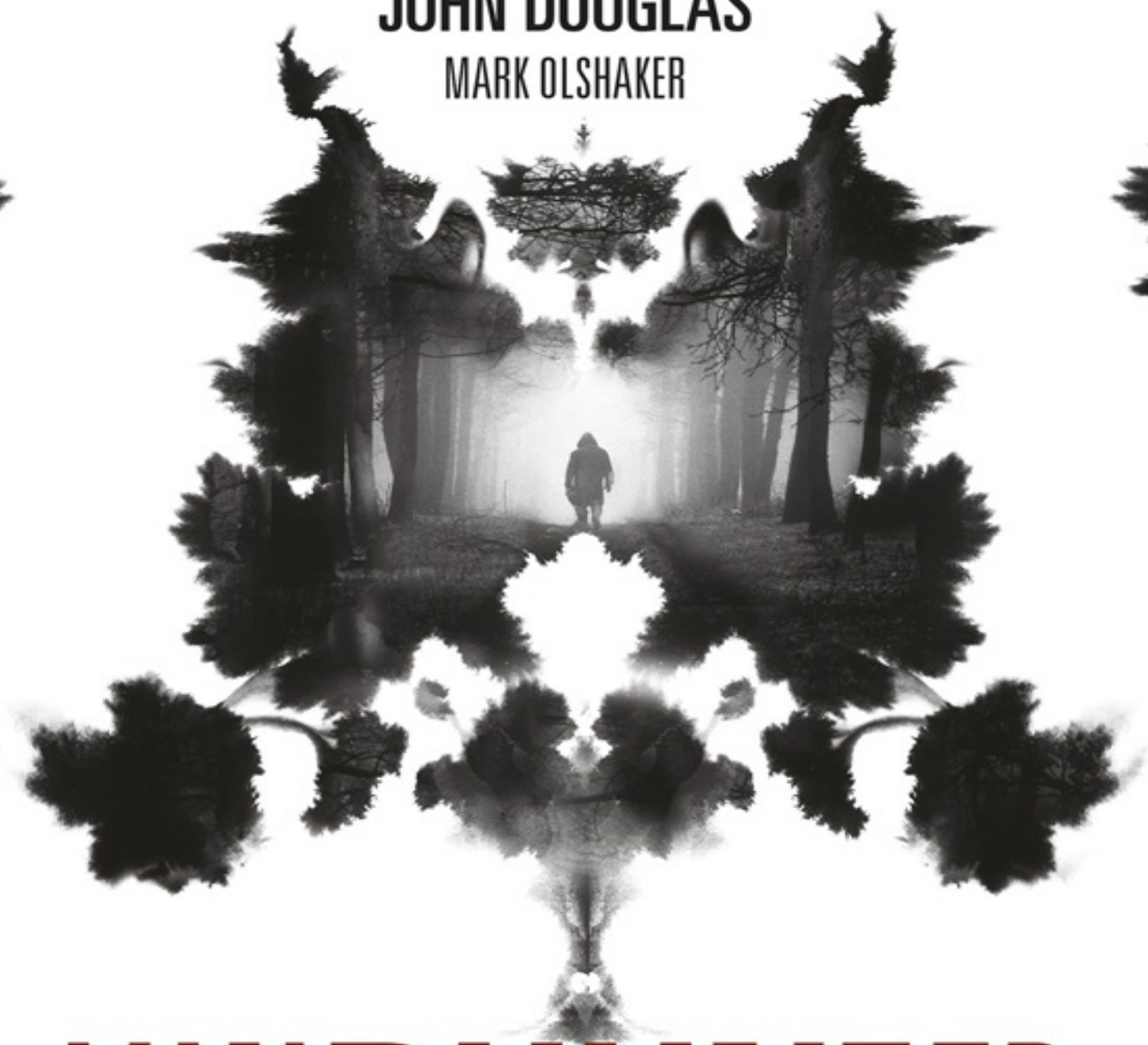


WKRÓTCE ORYGINALNY SERIAL **NETFLIXA** NA PODSTAWIE KSIĄŻKI
W REŻYSERII **DAVIDA FINCHERA** – TWÓRCY *SIEDEM*, *ZODIAKA* I *ZAGINIONEJ DZIEWCZYNINY*

JOHN DOUGLAS

MARK OLSHAKER



MINDHUNTER

Prawdziwa historia legendarnego agenta FBI, którego wspomnienia posłużyły między innymi do stworzenia postaci **Hannibala Lectera**.

John Douglas, Mark Olshaker

MINDHUNTER

Tajemnice elitarnej jednostki FBI
zajmującej się ściganiem seryjnych przestępców

tłumaczenie Jacek Konieczny

znak *litera*
nova

Kraków 2017

*Mężczyznom i kobietom służącym w przeszłości i obecnie w
Jednostce Nauk Behawioralnych i Jednostce Wsparcia
Dochodzeń w Quantico w stanie Wirginia – współuczestnikom
wyprawy w nieznane.*

*Czyny występne ożyją,
Choć się przed wzrokiem w głębi ziemi kryją.*
William Szekspir, *Tragiczna historia Hamleta księcia Danii*,
tłum. M. Słomczyński, Kraków 1982, s. 32.

Przedmowa

Książka ta nie mogłaby powstać bez zaangażowania wielu niezwykle utalentowanych osób. Słowa te odnoszą się w szczególności do naszej redaktorki Lisy Drew oraz koordynatorki projektu i jego „producent wykonawczej” Carolyn Olshaker, prywatnie żony Marka. Obie od początku okazywały wielkie zrozumienie dla naszego projektu i wspierały nas swoją determinacją, przebojowością, miłością i dobrymi radami. Wdzięczność i uznanie należą się także naszej researcherce Ann Hennigan, Marysue Rucci, uzdolnionej, niezmordowanej i zawsze radosnej asystentce Lisy, oraz agentowi literackiemu Jayowi Actonowi, który jako pierwszy dostrzegł potencjał tkwiący w naszym pomysle i pomógł nam go zrealizować.

Specjalne podziękowania składamy ojcu Johna, Jackowi Douglasowi – za wspomnienia i staranne udokumentowanie kariery syna, które pozwoliło gładko uporać się z tym wątkiem, oraz ojcu Marka, doktorowi Bennettowi Olshakerowi, za pomoc w kwestiach związanych z medycyną i psychiatrią sądową oraz zagadnieniami prawnymi. Obu nas spotkało szczęście w życiu rodzinnym, a miłość i wspinałomyślność naszych bliskich towarzyszyły nam podczas pisania.

Na końcu chcieliśmy wyrazić wdzięczność, podziw i złożyć serdeczne podziękowania wszystkim kolegom Johna z Akademii FBI w Quantico. Swoją karierę zawdzięcza ich sile i nieustannemu wsparciu. Im właśnie dedykujemy tę książkę.

John Douglas i Mark Olshaker

lipiec 1995

PROLOG

Musiałem trafić do piekła

Musiałem trafić do piekła.

Żadne inne wyjaśnienie nie przychodziło mi do głowy. Leżałem skrępowany, moje nagie ciało przeszywał potworny ból. Ostrza rozcinały mi ręce i nogi, podłużne przedmioty wdzierały się w każdy otwór ciała. Krztusząc się, próbowałem zaczerpnąć powietrza, mimo że coś zatykało mi gardło. W środek penisa i odbytu zagłębiały się szpikulce; miałem poczucie, jakby rozcinały mnie od wewnątrz. Oblewałem się potem. I nagle zrozumiałem, co się dzieje: byłem torturowany przez wszystkich morderców, gwałcicieli i pedofilów, których w trakcie swojej kariery posłałem za kratki. Teraz to ja byłem ich ofiarą – i nic nie mogłem na to poradzić.

Jako ekspert od najbrutalniejszych przestępców doskonale wiedziałem, jaki mnie czeka los. Ludzie ci odczuwają potrzebę manipulowania ofiarami i sprawowania nad nimi kontroli, aranżują sytuacje pozwalające im decydować o tym, kiedy i w jaki sposób ofiara ma umrzeć. Będą utrzymywać mnie przy życiu tak długo, jak to tylko możliwe: cucąc, kiedy stracę przytomność, dając chwilę wytchnienia, gdybym zbliżył się zanadto do granicy śmierci. Zadadzą mi tyle bólu i cierpienia, ile zdołają. Niektórzy potrafią w ten sposób dręczyć ofiarę przez kilka dni.

Chcieli mi uświadomić, że całkowicie panują nad sytuacją, a ja jestem zdany na ich łaskę. Im głośniej bym krzyczał, im usilniej błagał o litość, tym bardziej

bym podsycił i wzmacniał ich mroczne fantazje. Apelami o darowanie życia czy piskliwym wołaniem o pomoc do mamy i taty jeszcze mocniej bym ich nakręcił.

Oto cena za sześć lat ścigania najpodlejszych zwyrodnialców, jakich oglądał świat.

Serce waliło mi jak młotem, byłem cały rozpalony. Poczułem potworny ból, zupełnie jakby ktoś jeszcze mocniej wbił mi szpikulec w środek penisa. Cierpiałem każdą cząstką ciała.

„Boże, błagam, pozwól mi prędko umrzeć, jeżeli jeszcze żyję. A jeżeli już umarłem, wybaw mnie jak najszybciej od tych piekielnych tortur”.

Zobaczyłem w oddali intensywne, jasne światło, o jakim wspominają wszyscy, którzy otarli się o śmierć. Byłem pewien, że lada chwila zobaczę Jezusa, anioły lub diabła – oni również pojawiali się w tych opowieściach – ale nic takiego nie nastąpiło.

Do moich uszu dobiegł za to ludzki głos – najbardziej uspokajający, podnoszący na duchu głos, jaki kiedykolwiek słyszałem:

„Tylko spokojnie, John. Niedługo poczujesz się lepiej”.

Była to ostatnia rzecz, jaką zapamiętałem.

– Słyszysz mnie, John? Leż spokojnie i o nic się nie martw. Trafiłeś do szpitala w bardzo ciężkim stanie. Staramy się ci pomóc – powiedziała pielęgniarka. Nie wiedziała, czy ją w ogóle słyszę, ale uspokajającym tonem powtarzała te słowa raz za razem.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że przyjęto mnie do Swedish Hospital w Seattle. Leżałem pod respiratorem w stanie śpiączki. Ręce i nogi przywiązano mi do łóżka, a w ciało powtykano najróżniejsze rurki, węże i igły. Lekarze nie wierzyli, że przeżyję. Był początek grudnia 1983 roku. Miałem trzydzieści osiem lat.

Wszystko zaczęło się trzy tygodnie wcześniej na przeciwległym krańcu Stanów Zjednoczonych. Przyjechałem do Nowego Jorku, aby wygłosić wykład

poświęcony tworzeniu profili osobowościowych przestępców przed grupą trzystu pięćdziesięciu policjantów z Nowego Jorku, Long Island, hrabstw Nassau i Suffolk oraz funkcjonariuszami oddziałów odpowiedzialnych za ochronę środków transportu. Miałem na koncie kilkaset podobnych wystąpień i mogłem to robić z zamkniętymi oczami.

W trakcie wykładu odpłynąłem myślami i natychmiast poczułem, że oblewa mnie zimny pot. „Jak, u licha, poradzę sobie z tymi wszystkimi śledztwami?”, zastanawiałem się. Zamierzałem doprowadzić do końca kilka spraw: mordercy dzieci Wayne’a Williamsa z Atlanty oraz sprawcy zabójstw na tle rasowym z Buffalo w stanie Nowy Jork, którego prasa nazwała Mordercą Kaliber .22. Poproszono mnie o pomoc w poszukiwaniach mordercy autostopowiczek z San Francisco. Doradzałem Scotland Yardowi w sprawie Rzeźnika z Yorkshire. Regularnie odwiedzałem Alaskę w związku ze sprawą Roberta Hansena, piekarza z Anchorage, który wywoził prostytutki samolotem w odludne tereny, puszczał kobiety wolno, a następnie polował na nie jak na zwierzynę. Moją uwagę zaprzętał również seryjny truciciel atakujący wiernych w synagogach w Hartford w stanie Connecticut. W następnym tygodniu wybierałem się do Seattle, aby pomóc specjalnemu oddziałowi znanemu jako Green River w śledztwie dotyczącym – jak przypuszczano – jednego z najokrutniejszych seryjnych morderców w historii Stanów Zjednoczonych, który pozbawiał życia głównie prostytutki i ludzi podróżujących między Seattle a Tacoma.

Od sześciu lat pracowałem nad nowymi metodami analizy kryminalistycznej i jako jedyny pracownik Jednostki Nauk Behawioralnych (Behavioral Science Unit) brałem czynny udział w śledztwach; moi koledzy prowadzili głównie szkolenia. Ponieważ zazwyczaj nie mogłem liczyć na ich pomoc, zajmowałem się jednocześnie około stu pięćdziesięcioma dochodzeniami. Mniej więcej sto dwadzieścia pięć dni w roku spędzałem w delegacjach, poza moim biurem w Akademii FBI w Quantico w Wirginii. Ode mnie wyników oczekiwali funkcjonariusze lokalnych wydziałów policji, a na nich z kolei nacisk wywierali

mieszkańcy oraz, co wydawało mi się całkowicie zrozumiałe, rodziny ofiar. Staralem się w pierwszej kolejności rozwiązywać najpilniejsze sprawy, ale na niewiele się to zdawało, ponieważ do mojego biura codziennie napływały nowe prośby. Koledzy z Quantico twierdzili, że przypominam dziwkę: nie umiałem odmówić żadnemu klientowi.

Podczas nowojorskiego wykładu omawiałem typy osobowościowe przestępców, ale myślami byłem już w Seattle. Miałem świadomość, że – jak zwykle – nie wszyscy powitają mnie z otwartymi ramionami i że – jak przy każdym dużym śledztwie, do którego mnie zapraszano – będę musiał odpowiednio „sprzedać” swoje usługi. Większość policjantów i wielu funkcjonariuszy FBI wciąż uważała je za szarlatanerię. Wiedziałem, że będę musiał zjednać sobie przychylność policjantów z Seattle, nie robiąc na nich wrażenia przemądrzałego gnojka. Zapewnię ich, że odwalili kawał dobrej roboty, niemniej przyszedł czas, by rozważyli przyjęcie pomocy od FBI. Największa trudność wynikała zapewne z faktu, że w odróżnieniu od zwykłych agentów federalnych, których interesowały „fakty, wyłącznie suche fakty, mój drogi”, ja w swojej pracy zajmowałem się opiniami. Żyłem ze świadomością, że jeśli się pomylę, mogę skierować ważne śledztwo w ślepy zaułek, przyczyniając się do śmierci kolejnych osób. Byłby to poważny cios dla nowatorskiego programu analizy kryminalistycznej opartej na profilach psychologicznych przestępców, do którego próbowałem przekonać swoich szefów.

Kolejnym problemem były niezliczone delegacje. Zdążyłem już kilkakrotnie odwiedzić Alaskę, przekraczając przy okazji cztery strefy czasowe i odbywając mrozący krew w żyłach przelot nad taflą wody, zakończony lądowaniem w ciemnościach. Niemal natychmiast po przybyciu na miejsce i spotkaniu z miejscową policją wsiadłem do samolotu i poleciałem do Seattle.

Niekontrolowany napad lęku trwał jakąś minutę. „No dalej, Douglas, weź się w garść”, dopingowałem siebie w myślach. W końcu się pozbierałem. Nie przypuszczam, aby którykolwiek ze słuchaczy coś zauważył, ale ja wciąż

miałem poczucie, że gromadzą się nade mną ciemne chmury.

Właśnie ten dręczący niepokój sprawił, że zaraz po powrocie do Quantico udałem się do działu kadr i wykupiłem dodatkowe ubezpieczenie na życie oraz ubezpieczenie dochodów na wypadek niezdolności do pracy. Nie potrafię wyjaśnić, czym się kierowałem – chyba tylko tym nieokreślonym poczuciem zagrożenia. Byłem wykończony. Przesadzałem z ćwiczeniami fizycznymi i przypuszczalnie również z alkoholem, którym próbowałem koić zszargane nerwy. Cierpiałem na bezsenność, a gdy już udawało mi się zasnąć, często budził mnie telefon od osoby, która akurat pilnie potrzebowała pomocy. Wracałem do łóżka z nadzieją, że we śnie zobaczę rozwiązanie którejs z bieżących spraw. Dzisiaj wydaje się oczywiste, do czego to musiało doprowadzić, ale wtedy nie potrafiłem wyzwolić się z poczucia całkowitej beznadziei.

Tuż przed wyjazdem na lotnisko coś kazało mi zajrzeć do szkoły podstawowej, w której moja żona Pam uczyła niepełnosprawnych uczniów czytania. Wspomniałem o dodatkowym ubezpieczeniu.

– Dlaczego mówisz mi o tym akurat teraz? – spytała wyraźnie zaniepokojona. Odczuwałem potworny ból prawej strony głowy. Pam zauważyła, że mam przekrwione oczy i źle wyglądam.

– Po prostu chciałem to zrobić jeszcze przed wyjazdem – wyjaśniłem. Mieliśmy dwie córki. Erika miała wtedy osiem lat, a Lauren trzy.

Do Seattle zabrałem dwóch nowych agentów specjalnych, Blaine'a McIlwaina i Rona Walkera. Miałem wprowadzić ich w śledztwo. Dotarliśmy na miejsce wieczorem i zameldowaliśmy się w Hiltonie. W trakcie rozpakowywania zauważyłem, że przywiozłem tylko jeden czarny but. Drugiego musiałem zapomnieć zabrać z domu albo zgubić go w podróży, tymczasem następnego dnia rano miałem wygłosić odczyt dla wydziału policji hrabstwa King. Od zawsze miałem słabość do efekciarskich strojów, a przemęczenie i stres tylko wzmocniły we mnie przekonanie, że do garnituru koniecznie

potrzebuję czarnych butów. Wybiegłem z hotelu i w pośpiechu przemierzyłem okolicę. W końcu znalazłem czynny sklep obuwniczy. Do hotelu wróciłem jeszcze bardziej zmęczony, ale za to z parą czarnych butów.

Następnego dnia, w środę, spotkałem się z przedstawicielami wydziału policji oraz członkami grupy roboczej, w skład której wchodził pracownicy służb portowych z Seattle i dwaj lokalni psychologowie pomagający w śledztwie. Wszyscy chcieli poznać opracowany przeze mnie profil mordercy, a także zapytać, co sądzę na temat teorii o dwóch sprawcach. Ja z kolei próbowałem wyjaśnić, dlaczego akurat w tym wypadku profil mordercy nie jest najważniejszy, bo choć byłem pewien swoich ustaleń, kategoria podejrzanych była niezwykle pojemna.

Wyjaśniłem, że do zatrzymania mordercy doprowadzi raczej postawa aktywna: policja i media powinny wspólnie podjąć próbę zwabienia sprawcy w pułapkę. Policja mogłaby zorganizować cykl spotkań z mieszkańcami w celu „omówienia” morderstw. Byłem pewien, że sprawca przyjdzie co najmniej na jedno z nich. Dzięki temu moglibyśmy również rozstrzygnąć, czy mamy do czynienia z jednym zabójcą, czy z kilkoma. Inną sztuczką byłby komunikat, że znaleźli się świadkowie jednego z porwań. Liczyłem, że w ten sposób sprowokujemy mordercę do wyboru równie aktywnej strategii – być może sam zgłosi się na policję, aby wyjaśnić, że obok miejsca porwania przechodził zupełnie przypadkowo. Wiedziałem jedno: morderca nie przestanie zabijać.

Następnie udzieliłem im rady, jak przesłuchiwać podejrzanych – zarówno tych aresztowanych w wyniku działań policji, jak i różnej maści wariatów, których zawsze przyciągały tego rodzaju głośne sprawy. Przez resztę dnia odwiedzaliśmy z McIlwainem i Walkerem miejsca, w których porzucono ciała. Do hotelu wróciłem wykończony.

Zeszliśmy do baru, aby po ciężkim dniu odprężyć się przy drinku. Powiedziałem kolegom, że kiepsko się czuję. Ból głowy nie ustępował; podejrzewałem, że bierze mnie grypa. Poprosiłem, aby zastąpili mnie

następnego dnia podczas spotkań z policjantami. Miałem nadzieję, że cały dzień w łóżku postawi mnie na nogi. Pożegnałem się, mówiąc, że zobaczymy się w piątek rano, wróciłem do pokoju i umieściłem na klamce wywieszkę z napisem „Nie przeszkadzać”.

Pamiętam tylko, że czułem się koszmarnie, siadając na łóżku. Zacząłem się rozbierać. W czwartek koledzy pojechali do budynku sądu hrabstwa King i kontynuowali prezentację strategii, którą w zarysie przedstawiłem dzień wcześniej. Tak jak prosiłem, nie zawracali mi głowy przez cały dzień, abym mógł się wykurować.

Zaniepokoiła ich dopiero moja nieobecność na piątkowym śniadaniu. Zadzwonili do pokoju – nikt nie odpowiadał. Podeszli pod drzwi i zapukali. Cisza.

Przestraszeni zeszli do recepcji i zażądali klucza do pokoju. Wrócili na górę, otworzyli drzwi, ale drogę zagroził im łańcuch. Z głębi pokoju dobiegały słabe jęki.

Otworzyli kopniakiem drzwi i wbiegli do środka. Znaleźli mnie na podłodze, skulonego, w – jak się wyrazili – „żabiej” pozycji. Byłem częściowo ubrany i najwyraźniej próbowałem wcześniej dosięgnąć słuchawki telefonu. Lewą stroną mojego ciała wstrząsały drgawki, a zdaniem Blaine’a byłem rozpalony.

Obsługa hotelu zadzwoniła do Swedish Hospital, skąd natychmiast przysłano karetkę. Tymczasem Blaine i Ron połączyli się z izbą przyjęć i przekazali informacje na temat mojego stanu. Miałem 41,7°C gorączki, puls 220 i sparaliżowaną lewą stroną ciała. Drgawki wstrząsały mną jeszcze w karetce. Na karcie przyjęć zapisano, że miałem „oczy jak u lalki” – otwarte, nieruchome i szklane.

Zaraz po przyjeździe do szpitala obłożono mi głowę lodem i zaczęto podawać ogromne ilości fenobarbitalu, który miał zapobiec kolejnym konwulsjom. Lekarz poinformował Blaine’a i Rona, że dawka leku, jaką mi podałem, wystarczyłaby do uspienia połowy miasta.

Dodał, że mimo wspólnych wysiłków personelu szpitala istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że przeżyję. Tomografia komputerowa wykazała obrzęk lewej półkuli mózgu, a wysoka gorączka doprowadziła do wylewu.

– Mówiąc po ludzku – wyjaśnił lekarz – jego mózg usmażył się na wiór.

Był 2 grudnia 1983 roku. Ubezpieczenie, które dopiero co wykupiłem, zaczęło obowiązywać poprzedniego dnia.

Mój szef Roger Depue pojechał do szkoły, w której uczyła Pam, aby osobiście ją o wszystkim powiadomić. W towarzystwie mojego ojca przyleciała do Seattle, zostawiwszy dziewczynki pod opieką mojej matki Dolores. Agenci lokalnego biura terenowego FBI: Rick Mathers i John Biner, odebrali ich z lotniska i zawieźli prosto do szpitala. Dopiero tam moi najbliżsi poznali całą prawdę. Lekarze starali się przygotować Pam na najgorsze. Tłumaczyli, że nawet jeśli przeżyję, prawdopodobnie stracę wzrok i zamienię się w „warzywo”. Pam wezwała katolickiego księdza, aby udzielił mi ostatniego namaszczenia, on jednak odmówił, kiedy dowiedział się, że jestem prezbiterianinem. Blaine i Ron go spławili i znaleźli innego kapłana, który nie miał takich obiekcji. Poprosili, aby przyszedł i się za mnie pomodlił.

Przez tydzień byłem pogrążony w śpiączce, na pograniczu życia i śmierci. Przepisy obowiązujące na oddziale intensywnej terapii pozwalały na odwiedziny jedynie rodzinie. W ten sposób moi koledzy z Quantico, Rick Mathers oraz funkcjonariusze z biura terenowego w Seattle niespodziewanie stali się moimi bliskimi krewnymi.

– Co jak co, ale ma pani dużą rodzinę – zauważyła z przekąsem jedna z pielęgniarek w rozmowie z Pam.

Uwaga o „dużej rodzinie” nie była aż tak absurdalna. Moi koledzy z Quantico, kierowani przez Billa Hagmaiera z Jednostki Nauk Behawioralnych i Toma Columbella z Akademii FBI, urządzili zbiórkę na opłacenie pobytu Pam i mojego ojca w Seattle. Nie minęło wiele czasu, a zaczęli otrzymywać wpłaty od policjantów z całego kraju. Rozpoczęto nawet przygotowania do transportu

mojego ciała do Wirginii, gdzie miałem zostać pochowany na cmentarzu wojskowym w Quantico.

Pod koniec pierwszego tygodnia Pam, mój ojciec, agenci i ksiądz zebrali się przy moim łóżku, chwycili się za ręce i odmówili modlitwę. W nocy wybudziłem się ze śpiączki.

Pamiętam zaskoczenie na widok Pam i ojca. Nie wiedziałem, gdzie się znajduję. Początkowo nie mogłem mówić – lewa część mojej twarzy obwisła i miałem rozległy paraliż lewej strony ciała – a kiedy już odzyskałem mowę, trochę bełkotałem. Odkryłem, że mogę poruszać nogą; później stopniowo wracała mi władza w innych częściach ciała. Miałem obolałe gardło od rurki respiratora. Fenobarbital zastąpiono fenytoiną, a po wykonaniu wszystkich możliwych testów, prześwietleń i nakłuc lędźwiowych lekarze postawili ostatecznie diagnozę: wirusowe zapalenie mózgu spowodowane lub wzmocnione przez stres oraz ogólne osłabienie i spadek odporności. Miałem szczęście, że żyłem.

Rekonwalescencja była bolesna i nużąca. Musiałem od nowa nauczyć się chodzić. Szwankowała mi pamięć. Aby nie zapomnieć nazwiska lekarza prowadzącego, doktora Siegala, Pam przyniosła wykonaną z muszelek figurkę mewy* na korkowej podstawie. Doktor przyszedł skontrolować stan mojego umysłu. Zapytał, czy pamiętam, jak się nazywa. Wybełkotałem: „Jasne, doktor Mewa”.

Mimo olbrzymiego wsparcia, jakie otrzymywałem ze wszystkich stron, rehabilitacja wprowadzała mnie w stan głębokiej frustracji – nie należałem do ludzi cierpliwych ani takich, którzy potrafią siedzieć beczynn timer. Dyrektor FBI William Webster zadzwonił, aby podnieść mnie na duchu. Powiedziałem, że chyba nie będę w stanie posługiwać się bronią.

– O to się nie martw, John – odparł. – Dla nas liczy się przede wszystkim twój umysł.

Obawiałem się, że i z umysłu nie będę miał specjalnego pożytku, ale

powstrzymałem się od komentarza.

W końcu opuściłem Swedish Hospital i dwa dni przed Bożym Narodzeniem wróciłem do domu. Przed wyjazdem wręczyłem pracownikom oddziału pomocy doraźnej i intensywnej terapii pamiątkowe odznaki w dowód wdzięczności za uratowanie mi życia.

Roger Depue odebrał nas z lotniska Dulles pod Waszyngtonem i zawiózł do naszego domu we Fredericksburgu, udekorowanego amerykańską flagą i wielkim transparentem z napisem: „Witaj w domu, John”. Schudłem z osiemdziesięciu ośmiu do siedemdziesięciu trzech kilogramów. Erika i Lauren tak się wystraszyły na widok wymizerowanego ojca na wózku inwalidzkim, że jeszcze przez długi czas przeżywały każdy mój wyjazd na delegację.

Święta upłynęły w dość melancholijnej atmosferze. Z przyjaciół widziałem tylko Rona Walkera, Blaine’a McIlwaina, Billa Hagmaiera i jeszcze jednego agenta z Quantico, Jima Horna. Korzystałem z wózka inwalidzkiego, ale poruszanie się i tak sprawiało mi kłopot. Miałem trudności z prowadzeniem rozmowy. Z byle powodu wybuchałem płaczem i nie ufałem własnej pamięci. Kiedy Pam lub ojciec zabierali mnie na przejażdżkę samochodem po Fredericksburgu, nie potrafiłem rozpoznać, które budynki wybudowano niedawno, a które stały tam od dłuższego czasu. Czułem się jak ofiara wylewu i obawiałem się, że mogę już nigdy nie wrócić do pracy.

Miałem też żal do FBI. W lutym tamtego roku poinformowałem zastępcę dyrektora Jima McKenziego, że nie poradzę sobie dłużej z tyloma obowiązkami. Poprosiłem o przydzielenie współpracowników, którzy pomogliby mi w ich wypełnianiu.

McKenzie okazał zrozumienie, ale natychmiast sprowadził mnie na ziemię.

– Wiesz doskonale, jak działa ta instytucja – powiedział. – Musisz się zaharować na śmierć, żeby cię docenili.

Nie tylko nie czułem wsparcia ze strony FBI, czułem się też niedoceniony. Rok wcześniej wypruwałem z siebie flaki przy sprawie morderstw dzieci

w Atlancie i zaraz potem dostałem oficjalną naganę za artykuł, który ukazał się w gazecie miasteczka Newport News w stanie Wirginia tuż po aresztowaniu Wayne'a Williamsa. Dziennikarz zapytał mnie, co sądzę o Williamsie jako o podejrzanym. Odpowiedziałem, że pasuje do profilu, a jeśli zarzuty się potwierdzą, prawdopodobnie odpowie za więcej niż jedno morderstwo.

Mimo że gazeta przekręciła moją wypowiedź, FBI uznało, że nie powinienem wypowiadać takich opinii na temat bieżącego śledztwa, zwłaszcza że dwa miesiące wcześniej ostrzegano mnie przed rozmową z tygodnikiem „People”. Była to typowa zagrywka rządowej biurokracji. Po sześciu miesiącach przepychanek zostałem wezwany do waszyngtońskiej siedziby Biura Odpowiedzialności Zawodowej (Office of Professional Responsibility), gdzie udzielono mi nagany. W owym czasie był to jedyny dokument potwierdzający, że FBI dostrzega moją rolę w schwytaniu sprawcy „zbrodni stulecia”.

Stróże prawa mają spory problem z opowiadaniem innym osobom, nawet małżonkom, o swojej pracy. Kiedy człowiek zawodowo ogląda trupy i okaleczone ciała (zwłaszcza dzieci), po powrocie do domu pragnie jak najszybciej o tym zapomnieć, a już na pewno nie zagai przy obiedzie: „Zajmowałem się dziś fascynującym przypadkiem morderstwa. Zaraz ci o wszystkim opowiem”. Właśnie z tego powodu policjanci mają – z wzajemnością – słabość do pielęgniarek. Dobrze się nawzajem rozumieją.

Mimo to zdarzało się niejednokrotnie, że kiedy spacerowałem po parku czy lesie z córkami, nachodziła mnie myśl: „W podobnym miejscu znaleźliśmy tego ośmiolatka”. Drżałem o ich bezpieczeństwo, mając w pamięci wszystkie potworności, z jakimi stykałem się w pracy, ale z tego samego powodu nie potrafiłem reagować z empatią na pomniejsze, choć przecież ważne zdarzenia i problemy typowe dla dzieciństwa. Kiedy po powrocie do domu słyszałem od Pam, że jedna z dziewczynek spadła z roweru i trzeba było jej założyć szwy, przed oczami stawały mi natychmiast obrazki z sekcji zwłok dziecka w podobnym wieku i przypominałem sobie, ile szwów musiał mu założyć lekarz

sądowy, przygotowując ciało do pogrzebu.

Pam miała własny krąg przyjaciół, którzy angażowali się w lokalną politykę, co mnie akurat zupełnie nie interesowało. W związku z moimi częstymi wyjazdami na delegacje na Pam spadła lwią część odpowiedzialności za wychowanie dzieci, płacenie rachunków i prowadzenie domu. Był to jeden z wielu problemów, które kładły się cieniem na naszym małżeństwie. Mam świadomość, że przynajmniej starsza z córek, Erika, zdawała sobie sprawę z napiętych stosunków w domu.

Nie potrafiłem odżałować, że FBI pozwoliło mi się zaharować niemal na śmierć. Miesiąc po powrocie do domu paliłem liście w ogrodzie. Nagle pod wpływem impulsu wszedłem do środka, zebrałem wszystkie kopie moich profili psychologicznych i publikacji, wyniosłem je do ogrodu i wrzuciłem w płomień. Przeżyłem w ten sposób swego rodzaju *katharsis*.

Kilka tygodni później, kiedy mogłem znowu prowadzić samochód, pojechałem na Cmentarz Państwowy w Quantico, aby obejrzeć grób, w którym miałem zostać pochowany. Ludzi chowa się tam według daty śmierci, więc gdybym zmarł 1 lub 2 grudnia, trafiłaby mi się kiepska lokalizacja. Leżałbym obok dziewczyny zadźganej nożem na podjeździe swojego domu, niedaleko od nas. Sam brałem udział w śledztwie; mordercy wciąż nie schwytano. Kiedy tak stałem zamyślony, przypomniałem sobie, że doradzałem policji obserwowanie grobu – na wypadek gdyby morderca miał się przy nim pojawić. Cóż by to była za ironia losu, gdyby policjanci rzeczywiście prowadzili obserwację i uznali mnie za podejrzanego.

Cztery miesiące po ataku w Seattle wciąż byłem na zwolnieniu lekarskim. Na skutek powikłań i długotrwałego przebywania w łóżku dostałem zakrzepów w nogach i płucach. Przebrnięcie przez każdy dzień wciąż wymagało ode mnie dużego wysiłku. Nie wiedziałem, czy zdrowie pozwoli mi ponownie podjąć pracę, zresztą nie potrafiłem znaleźć motywacji do powrotu. Bieżącymi śledztwami zajmował się tymczasowo Roy Hazelwood ze szkoleniowej sekcji

Jednostki Nauk Behawioralnych.

Do Quantico wróciłem po raz pierwszy w kwietniu 1984 roku. Wygłosiłem przemówienie do grupy około pięćdziesięciu profilerów z sekcji terenowych FBI. Wszedłem do sali w pantoflach, ponieważ stopy wciąż miałem nabrzmiałe od zakrzepów. Agenci z całego kraju zgotowali mi owację na stojąco. Spontaniczna i szczerza reakcja obcych ludzi, którzy lepiej niż ktokolwiek inny rozumieli moją pracę i niezbędność forsowanych przeze mnie zmian w FBI, sprawiła, że po raz pierwszy od wielu miesięcy poczułem się doceniony. Zrozumiałem, że wróciłem do domu.

Miesiąc później pracowałem już w pełnym wymiarze godzin.

* Ang. *seagull* – mewa (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 1

W umyśle mordercy

Wejść w skórę myśliwego.

Na tym polega moja rola. Wyobraźcie sobie scenę z filmu przyrodniczego, gdzie lew na sawannie w parku Serengeti zauważa przy wodopoju duże stado antylop. Widzimy, jak wyławia wzrokiem jedno spośród tysięcy zwierząt: słabe, bezbronne, w jakiś sposób odmienne. To ono prawdopodobnie padnie zaraz jego łupem.

Podobnie polują niektórzy ludzie. Jeżeli wcielam się w jednego z nich, dzień w dzień wyruszam na łowy, wypatrując w tłumie ofiary. Powiedzmy, że jestem w galerii handlowej wypełnionej tysiącami ludzi. Wchodzę do salonu z grami wideo. Kiedy omiatam wzrokiem horde dzieciaków, muszę to zrobić jako łowca, jako profiler – muszę wychwycić z tłumu potencjalną ofiarę. Muszę rozpoznać, które dziecko jest najsłabsze, które łatwo będzie upolować. Muszę uwzględnić jego ubiór. Muszę wychwycić niewerbalne sygnały, które wysyła. Mam na to zaledwie ułamek sekundy, a więc muszę być w tym naprawdę dobry. Kiedy już podejmę decyzję, kiedy przystąpię do działania, muszę wiedzieć, w jaki sposób wyprowadzić dziecko z galerii, nie wywołując zamieszania ani nie wzbudzając podejrzeń. Jego rodzice pewnie robią zakupy dwa piętra niżej. Nie mogę sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

Towarzyszący polowaniu dreszczyk emocji stymuluje łowców. Podejrzewam, że gdyby dało się odczytać napięcie elektryczne na ich skórze

w momencie wypatrzenia ofiary, otrzymalibyśmy taki sam wynik jak u polującego lwa. Nie ma znaczenia, czy chodzi o ludzi polujących na dzieci, młode kobiety, emerytów, prostytutki lub jakąkolwiek inną możliwą do wyodrębnienia kategorię, a nawet tych, którzy wydają się dobierać ofiary losowo. Wszyscy są do siebie pod pewnymi względami podobni.

Jednocześnie różnią się i pozostawiają ślady indywidualnych cech charakteru, więc dzięki nowemu orężowi pozwalającemu na wyodrębnienie określonych typów brutalnych przestępców możemy ich wytropić, aresztować i skazać. Większą część kariery agenta specjalnego FBI poświęciłem na udoskonalanie tego oręża, a ta książka jest kroniką tych wysiłków. Od zarania cywilizacji najstraszliwsze zbrodnie prowokowały do postawienia pytania: kto byłby zdolny do tak potwornego czynu? Profile psychologiczne i analizy miejsc zbrodni, jakie opracowujemy w Jednostce Wsparcia Dochodzeń FBI, próbują na to pytanie odpowiedzieć.

Zachowanie jest odzwierciedleniem osobowości.

Nie zawsze jest rzeczą łatwą, a już na pewno nie jest rzeczą przyjemną, postawienie się w pozycji sprawcy lub wejście w jego umysł. Na tym właśnie polega zadanie moje i ludzi, którymi kieruję. Staramy się wcielać w postacie zbrodniarzy.

Każdy detal miejsca zbrodni zawiera jakąś informację na temat niezidentyfikowanego sprawcy. Dzięki znajomości szczegółów ogromnej liczby spraw oraz rozmowom z ekspertami – czyli samymi przestępcami – nauczyliśmy się interpretować te wskazówki, tak jak lekarze interpretują symptomy choroby. Oni formułują diagnozę na podstawie zbioru symptomów powiązanych ze znaną im z doświadczenia chorobą; my dochodzimy do pewnych konkluzji, kiedy wskazówki zaczynają układać się zgodnie z określonym wzorcem.

Na początku lat osiemdziesiątych XX wieku na potrzeby naszych badań przeprowadziłem cykl rozmów z osadzonymi w więzieniach mordercami. Pewnego razu znalazłem się w towarzystwie groźnych przestępców w starym

kamiennym gotyckim więzieniu stanowym w Baltimore. Każdy ze skazanych – morderca policjantów, morderca dzieci, handlarz narkotyków i człowiek od brudnej roboty – był na swój sposób interesujący, mnie jednak zależało na rozmowie z jakimś mordercą gwałcicielem na temat jego *modus operandi*. Zapytałem obecnych więźniów, czy w ich placówce przebywa ktoś taki.

– Tak, Charlie Davis – powiedział jeden z nich, ale pozostali zaraz dodali, że pewnie nie będzie chciał rozmawiać z agentem federalnym. Ktoś poszedł po niego na dziedziniec i ku powszechnemu zaskoczeniu Davis dołączył do naszego grona, zapewne z ciekawości i nudy. Nie ulega wątpliwości, że moim sprzymierzeńcem był nadmiar wolnego czasu więźniów.

Do zaplanowanych spotkań z więźniami zawsze staraliśmy się możliwie najlepiej przygotować. Zapoznawaliśmy się z aktami policyjnymi, zdjęciami z miejsca zbrodni, wynikami sekcji zwłok, stenogramami z procesu sądowego – wszystkim, co mogło rzucić jakiegokolwiek światło na motywy i osobowość określonego mordercy. Trudno w inny sposób zabezpieczyć się przed podejmowanymi przez więźniów próbami wciskania nam kitu. Tym razem z oczywistych powodów nie mogłem się przygotować, ale postanowiłem uczynić z tego swój atut, przyznając się na wstępie do ignorancji.

Davis był potężnie zbudowanym mężczyzną po trzydziestce. Mierzył prawie dwa metry, był gładko ogolony i miał starannie przyczesane włosy.

– Masz nade mną przewagę, Charlie – stwierdziłem. – Nie wiem, za co siedzisz.

– Zabiłem pięć kobiet – wyjaśnił.

Poprosiłem, aby opisał miejsca zbrodni i sposób uśmiercania ofiar. Davis dorabiał jako kierowca karetki pogotowia. Jego sposób działania polegał na tym, że dusił jakąś kobietę, ciało umieszczał na poboczu autostrady w rejonie swojego szpitala, składał telefonicznie anonimowe zawiadomienie, a następnie sam na nie reagował i odnajdywał zwłoki. Nikt z przybyłych na miejsce nie przypuszczał, że morderca układa ofiarę na noszach. Satysfakcję sprawiały mu

całkowita kontrola nad sytuacją i precyzyjne planowanie zbrodni. Tego rodzaju informacje na temat metod działania przestępców były dla mnie niezwykle cenne.

Wybór duszenia jako metody zabijania świadczył o impulsywnej naturze tego czynu. Davisa interesował przede wszystkim gwałt.

– Widzę, że to cię kręci – zauważyłem. – Gdybyś mógł, byłbyś policjantem i dysponował realną władzą, a nie wykonywał jakąś podrzędną pracę poniżej swoich kwalifikacji.

Wybuchnął śmiechem i przyznał, że jego ojciec był porucznikiem policji.

Na moją prośbę opisał dokładnie przebieg morderstw. Śledził jakąś atrakcyjną młodą kobietę, która, powiedzmy, zatrzymała się na parkingu przed restauracją. Wykorzystując znajomości ojca, zdobywał na policji dane właściciela samochodu, a kiedy dysponował nazwiskiem, dzwonił do restauracji i prosił o powiadomienie kobiety, że zostawiła włączone światła. Wychodziła na parking, a on ją atakował: wpychał do samochodu, swojego lub jej, spinał jej ręce kajdankami i odjeżdżał.

Każde z pięciu morderstw opisał z takimi detalami, jakby odtwarzał sobie jego przebieg w pamięci. Kiedy doszedł do ostatniego, powiedział, że przykrył czymś dziewczynę leżącą na przednim siedzeniu samochodu. Wcześniej o tym nie wspominał.

Postanowiłem jeszcze bardziej odejść od zwyczajowego schematu rozmowy.

– Pozwól, że coś ci powiem, Charlie. Nie układają ci się relacje z kobietami, a kiedy popełniałeś pierwsze morderstwo, miałeś też problemy finansowe. Dobiegałeś trzydziestki, wiedziałeś, że ze swoimi kwalifikacjami powinieneś wykonywać znacznie lepszą pracę. Byłeś z tego powodu sfrustrowany i miałeś poczucie braku kontroli nad życiem.

Ostrożnie przytaknął. Dobra nasza! Chociaż jak na razie mówiłem tylko o rzeczach, które były łatwe do odgadnięcia.

– Do tego doszedł poważny problem z alkoholem – ciągnąłem. – Wpadłeś

w długi. Kłóciłeś się z kobietami, z którymi mieszkałeś. – Nie wspominał, że z kimś mieszkał, ale byłem pewien, że tak. – W te wieczory, kiedy nie mogłeś wytrzymać, ruszałeś na łowy. Na matkę nie podniósłbyś ręki, więc musiałeś się wyładować na kimś obcym.

Widziałem, że język ciała Davisa stopniowo ulegał zmianie. Zaczynał się przede mną otwierać. Kontynuowałem, rozwijając te szczątkowe informacje, którymi już dysponowałem.

– Ostatnią ofiarę zabiłeś w znacznie delikatniejszy sposób. Sprawy potoczyły się inaczej niż poprzednio. Po gwałcie pozwoliłeś jej się ubrać. Kiedy leżała w samochodzie, przykryłeś jej głowę. Wcześniej tego nie robiłeś. Po raz pierwszy cała sytuacja nie sprawiła ci przyjemności.

Rozmowy z więźniami nauczyły mnie, że kiedy zaczynali uważniej słuchać, oznaczało to, że trafiłem w czuły punkt. Umiejętność dostrzeżenia tego momentu wykorzystywałem później podczas zwykłych przesłuchań.

Widziałem, że Davis zamienił się w słuch.

– Powiedziała coś, co sprawiło, że na myśl o morderstwie zrobiło ci się przykro. A jednak to zrobiłeś.

Niespodziewanie poczerwieniał jak burak. Wyglądał, jakby wpadł w jakiś trans. Oczami wyobraźni musiał przenieść się na miejsce zbrodni. Chwilę się wahał. Kobieta powiedziała, że jej mąż ma poważne problemy zdrowotne. Choruje, może nawet umiera. Martwiła się o niego. Może próbowała Davisa zwieść, a może mówiła prawdę – tego się nie dowiemy. Tak czy inaczej, jej słowa wyraźnie go poruszyły.

– Nie zakryłem twarzy. Wiedziała, kim jestem, więc musiałem ją zabić.

Chwila milczenia.

– Zabrałeś coś, co do niej należało, prawda? – spytałem wreszcie.

Ponownie przytaknął i przyznał, że zajrzał do jej portfela. Wyjął fotografię przedstawiającą kobietę z mężem i dzieckiem zrobioną w okresie Bożego Narodzenia.

Było to nasze pierwsze spotkanie, ale coraz lepiej potrafiłem go sobie wyobrazić.

– Poszedłeś potem na jej grób, zgadza się, Charlie?

Oblał się rumieńcem. Musiał śledzić relacje w mediach, bo wiedział, gdzie została pochowana.

– Poszedłeś, ponieważ akurat to morderstwo sprawiło ci dyskomfort. Przyniosłeś coś na cmentarz i zostawiłeś na grobie.

Pozostali więźniowie siedzieli w milczeniu, śledząc uważnie przebieg rozmowy. Nigdy nie widzieli Davisa w takim stanie.

– Przyniosłeś coś na grób – powtórzyłem. – Co to było, Charlie? Przyniosłeś zdjęcie z portfela, prawda?

Zdobył się na przytaknięcie i zwiesił głowę.

Nie były to żadne czary ani magiczna sztuczka, jak mogło się wydawać pozostałym więźniom. Jasne, wiele elementów musiałem zgadnąć, ale korzystałem z bogatego doświadczenia, które zgromadził (i nadal gromadzi) nasz zespół. Odkryłem na przykład, że mordercy, zgodnie ze starym przesądem, faktycznie często odwiedzają groby ofiar, choć niekoniecznie z takich powodów, jak się zwykło sądzić.

Zachowanie jest odzwierciedleniem osobowości.

Profilowanie przestępców jest niezbędne także dlatego, że zmienił się charakter samych zbrodni. Wszyscy słyszeli o morderstwach związanych z narkotykami popełnianych masowo w większości amerykańskich miast albo o przestępstwach przy użyciu broni palnej będących na porządku dziennym i przynoszących wstyd naszemu państwu. Różnica polega na tym, że dawniej ofiarami większości przestępstw – zwłaszcza brutalnych – byli ludzie w jakiś sposób powiązani ze sprawcami.

Ta prawidłowość zanika. Jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku w Stanach Zjednoczonych wykrywano grubo ponad 90 procent sprawców morderstw. Ten wskaźnik to już historia. Obecnie – mimo imponującego

postępu naukowego i technicznego, mimo nadejścia ery informatycznej, mimo znacznie większej liczby znacznie lepiej wyszkolonych i wyposażonych policjantów – liczba morderstw rośnie, a wykrywalność spada. Ofiarami coraz częściej padają „obcy”. W wielu sprawach nie potrafimy określić motywu zbrodni, a przynajmniej motywu w jakiś sposób oczywistego lub „logicznego”.

Dawniej stróże prawa nie mieli specjalnego problemu z wyjaśnieniem większości brutalnych przestępstw. Dochodziło do nich wskutek wybuchów najbardziej podstawowych emocji, które znamy z własnego doświadczenia: gniewu, chciwości, zazdrości, pazerności, pragnienia zemsty. Po zlikwidowaniu przyczyny emocjonalnego problemu przestępstwa ustawały. Ktoś ginął, na tym sprawa się kończyła, a policja zazwyczaj wiedziała, kogo i dlaczego szukać.

W ostatnich dekadach ujawnił się nowy typ przestępcy – seryjny morderca. Ten nie przestaje zabijać, dopóki nie zostanie schwytany lub zabity, do tego uczy się na własnych błędach i doskonali w popełnianiu zbrodni. Piszę „ujawnił się”, ponieważ do pewnego stopnia towarzyszył nam od zawsze, na długo przed latami osiemdziesiątymi XIX wieku i Kubą Rozpruwaczem uważanym powszechnie za pierwszego seryjnego mordercę czasów nowożytnych. Termin „seryjny morderca” nie ma żeńskiego odpowiednika, ponieważ – z powodów, które omówię później – niemal wszyscy prawdziwi seryjni mordercy są mężczyznami.

Należy pamiętać, że seryjne morderstwa są zapewne znacznie starszym zjawiskiem, niż nam się wydaje. Opowieści i legendy o czarownicach, wilkołakach i wampirach mogły opisywać w istocie akty przemocy tak odrażające, że w odizolowanych od świata miasteczkach Europy i kolonizowanej Ameryki nie potrafiono dostrzec w nich – oczywistego dla nas – dzieła ludzi zdegenerowanych. Uważano, że tylko istota nadprzyrodzona mogła dopuścić się takich potworności. Bo przecież nie jeden z nas.

Seryjni mordercy i gwałciciele to zazwyczaj jednostki całkowicie zdegenerowane, dopuszczające się szokujących czynów. Najtrudniej ich

schwytać ze wszystkich sprawców brutalnych przestępstw. U źródeł ich zachowań leżą często czynniki znacznie bardziej skomplikowane niż wspomniane podstawowe emocje, co z kolei powoduje, że trudniej te zachowania przewidzieć. Ludzie ci mają ograniczoną zdolność do przeżywania normalnych uczuć, takich jak współczucie, wyrzuty sumienia czy skrucha.

Czasami można ich schwytać tylko w jeden sposób: trzeba nauczyć się myśleć jak oni.

Jeśli ktoś sądzi, że zamierzam zdradzać ściśle strzeżone policyjne sekrety, które wyposażyłyby potencjalnych przestępców w „narzędzia” zbrodni, chciałbym od razu zapewnić, że moim zamiarem jest wyłącznie stworzenie kroniki rozwoju podejścia behawioralnego w opracowywaniu profili psychologicznych przestępców, analizie kryminalistycznej i postępowaniu prokuratorskim. Choćbym chciał, nie mógłbym napisać podręcznika zbrodni. Po pierwsze, nawet doświadczeni i utytułowani agenci, których zapraszamy do współpracy, muszą przejść dwuletnie szkolenie. Po drugie, im bardziej przestępca, choćby najbardziej przebiegły, stara się unikać wykrycia lub skierować nas na fałszywy trop, tym więcej zostawia wskazówek ułatwiających analizę jego zachowań.

Jak ustami Sherlocka Holmesa wyraził to wiele dekad temu sir Arthur Conan Doyle: „Gdy zachodzi coś niezwykłego, łatwo chwycić jakąś nić, po której dojdzie się do sedna sprawy, a im przestępstwo prostsze, tym nić tę trudniej jest wykryć”^{*}. Innymi słowy, im więcej mamy informacji o zachowaniu przestępcy, tym pełniejszy powstaje profil i tym dokładniejszą analizę możemy przedstawić policji. Z kolei im lepszym profilem dysponuje policja, tym bardziej może zawęzić grupę podejrzanych i skuteczniej szukać sprawcy.

W tym miejscu muszę sprostować kolejne fałszywe przekonanie. Członkowie Jednostki Wsparcia Dochodzeń, wchodzącej w skład Narodowego Centrum Analizy Brutalnych Przestępstw (National Center for the Analysis of Violent Crime) w Quantico, nie łapią przestępców. Powtórzę, bo to ważne:

członkowie Jednostki Wsparcia Dochodzeń nie łapią przestępców. To zadanie lokalnych wydziałów policji, które – biorąc pod uwagę ogrom spoczywającej na nich odpowiedzialności – radzą sobie z tym zupełnie nieźle. Naszą rolą jest wsparcie policji w odpowiednim ukierunkowaniu śledztwa, a następnie zaproponowanie technik proaktywnych, czyli prowokacji pomagających w wywabieniu przestępcy z ukrycia. A kiedy policjanci go już schwytają – ponownie kładę nacisk na fakt, że to oni łapią przestępcę, a nie my – próbujemy opracować strategię, która ułatwi prokuratorowi zaprezentowanie na sali sądowej prawdziwej sylwetki oskarżonego.

Potrąfimy tego dokonać dzięki własnym badaniom i specjalistycznemu doświadczeniu. Policjanci z małego miasteczka ze Środkowego Zachodu mogą po raz pierwszy zetknąć się z przypadkiem seryjnego mordercy, a moja jednostka zajmowała się setkami, jak nie tysiącami, podobnych spraw. Zawsze powtarzam agentom: „Jeżeli chcecie zrozumieć artystę, musicie poznać jego obrazy”. Przez lata obejrzelśmy wiele „obrazów” i przeprowadziliśmy pogłębione rozmowy z wieloma „wybitnymi artystami”.

Dane potrzebne do funkcjonowania Jednostki Nauk Behawioralnych (Behavioral Science Unit), która później przekształciła się w Jednostkę Wsparcia Dochodzeń (Investigative Support Unit), zaczęliśmy gromadzić na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku. Choć większość książek, jak słynne *Milczenie owiec* Thomasa Harrisa, wyolbrzymia i upiększa naszą rolę, dramatyzując ją na potrzeby fabuły, naszych poprzedników można częściej znaleźć w beletrystyce niż w literaturze faktu. C. August Dupin, detektyw amator z opublikowanego w 1841 roku klasycznego opowiadania Edgara Allana Poeego *Zabójstwo przy rue Morgue*, był zapewne pierwszym w historii profilerem. Opowiadanie to opisuje chyba pierwszy przypadek wykorzystania przez profilerę proaktywnej techniki mającej wywabić z ukrycia prawdziwego sprawcę i tym samym oczyścić z zarzutów niewinnego człowieka, który trafił do więzienia.

Podobnie jak funkcjonariusze należący sto pięćdziesiąt lat później do mojej jednostki, Poe rozumiał znaczenie opracowania profilu psychologicznego w sytuacji, gdy dowody materialne nie wystarczają do rozwikłania wyjątkowo brutalnej i z pozoru bezsensownej zbrodni. „Pozbawiony zwykłych środków pomocniczych analityk – pisał – wnika w ducha swego przeciwnika, utożsamia się z nim i niejednokrotnie od pierwszego rzutu oka odkrywa sposób (niekiedy do niedorzeczności prosty), jak go wciągnąć w zasadzkę lub popchnąć w błędne obliczenia”^{**}.

Chciałbym przy okazji wspomnieć o pewnym drobiazgu. Monsieur Dupin lubił pracować samotnie w gabinecie, zamknąwszy okna i zaciągnąwszy kotary, dzięki czemu w pracy nie przeszkadzał mu nawet najmniejszy promyk światła ani inny sygnał z zewnętrznego świata. My niestety nie mamy w tej kwestii wyboru. Nasze biura w Akademii FBI w Quantico znajdują się kilka pięter pod ziemią, w miejscu, gdzie miała być centrala dowodzenia służb federalnych na wypadek stanu zagrożenia narodowego. Czasami mówimy, że pracujemy w Podziemnym Centrum Analizy Brutalnych Przestępstw – biura znajdują się osiemnaście metrów pod ziemią. Żartujemy, że to dziesięć razy głębiej niż zwłoki pochowane na cmentarzu.

Angielski pisarz Wilkie Collins przedstawił profesję profilerów w pionierskich powieściach *Kobieta w bieli* (opartej na motywach prawdziwego śledztwa) oraz *Kamień księżycowy*, ale dopiero nieśmiertelny bohater sir Arthura Conan Doyle’a Sherlock Holmes spopularyzował na całym świecie tę formę analizy kryminalistycznej, i to w kostiumie wiktoriańskiego Londynu rozświetlonego słabą poświatą gazowych latarni. Największy komplement, jaki można złożyć każdemu z nas, to porównać go do słynnego detektywa. Poczuję się ogromnie zaszczycony, gdy przed laty przy okazji śledztwa w sprawie morderstwa w stanie Missouri w nagłówku artykułu opublikowanego w „St. Louis Globe-Democrat” nazwano mnie „współczesnym Sherlockiem Holmesem z FBI”.

Co interesujące, w tym samym czasie gdy fikcyjny Holmes rozwiązywał

skomplikowane i wprawiające w zdumienie zagadki, na East Endzie prostytutki mordował prawdziwy Kuba Rozpruwacz. Dwie postacie usytuowane na przeciwległych krańcach prawa i po obu stronach granicy dzielącej rzeczywistość od fikcji zawładnęły do tego stopnia wyobraźnię mas, że w wielu „współczesnych” opowiadaniach o Sherlocku Holmesie, pisanych przez miłośników Conan Doyle’a, detektyw podejmuje się schwytania mordercy z Whitechapel.

W 1988 roku poproszono mnie o analizę sprawy Kuby Rozpruwacza na potrzeby pewnego programu telewizyjnego. Do swoich przemyśleń na temat najśłynniejszego niezidentyfikowanego mordercy w historii powrócę w dalszej części książki.

Tymczasem musiał upłynąć ponad wiek od *Zabójstwa przy rue Morgue* Poe’go i pół wieku od publikacji opowiadań o Sherlocku Holmesie, aby tworzenie behawioralnych profili psychologicznych przestało być literacką fikcją i zaistniało w realnym świecie. Od lat czterdziestych XX wieku do połowy pięćdziesiątych w Nowym Jorku grasował terrorysta podkładający w miejscach publicznych ładunki wybuchowe. W ciągu piętnastu lat Szalony Bomber przeprowadził ponad trzydzieści zamachów. Jego celem były między innymi stacje kolejowe Grand Central i Pennsylvania oraz sala koncertowa Radio City Music Hall. Bardzo dobrze pamiętam te wydarzenia, ponieważ byłem wtedy małym chłopcem i mieszkałem na Brooklynie.

Zdesperowana policja skontaktowała się w 1957 roku z psychiatrą z Greenwich Village doktorem Jamesem A. Brussellem. Ten obejrzał fotografie miejsc podłożenia ładunków i starannie przeanalizował szydercze listy wysyłane przez zamachowca do prasy, po czym na podstawie ogólnych wzorów behawioralnych, które zaobserwował u sprawcy, doszedł do szeregu szczegółowych wniosków, między innymi, że jest on paranoikiem nienawidzącym swojego ojca, darzy obsesyjną miłością matkę i mieszka w jednym z miast w stanie Connecticut. Na końcu pisemnej analizy Brussel

poinstruował policję:

Szukajcie grubego mężczyzny w średnim wieku, urodzonego za granicą, wyznania rzymskokatolickiego, nieżonatego, mieszkającego z bratem lub siostrą. Kiedy go znajdziecie, prawdopodobnie będzie miał na sobie dwurzędowy garnitur. Zapięty na ostatni guzik.

Sformułowania zawarte w niektórych listach wskazywały, że zamachowiec z dużym prawdopodobieństwem jest niezadowolonym pracownikiem (obecnym lub byłym) nowojorskiego zakładu energetycznego Consolidated Edison. Po przeanalizowaniu grupy podejrzanych pod kątem profilu sporządzonego przez doktora Brussela policja wytypowała niejakiego George'a Metesky'ego, który pracował w Con Ed w latach czterdziestych, zanim jeszcze rozpoczęły się zamachy. Kiedy funkcjonariusze pojechali do Waterbury w stanie Connecticut, aby aresztować grubego, nieżonatego, urodzonego za granicą katolika w średnim wieku, okazało się, że Brussel pomylił się tylko w jednym: mężczyzna mieszkał nie z bratem lub siostrą, ale z dwiema niezamężnymi siostrami. Policjant poinformował Metesky'ego, że zostanie odwieziony na stację kolejową, i kazał mu się przebrać. Po chwili mężczyzna wyłonił się z sypialni w dwurzędowym garniturze. Zapiętym na ostatni guzik.

Zapytany, w jaki sposób doszedł do tak niesłychanie trafnych wniosków, doktor Brussel wyjaśnił, że w swojej praktyce psychiatry zwykle najpierw bada pacjenta, a następnie próbuje przewidzieć jego zachowania w określonych sytuacjach. Opracowując profil terrorysty, po prostu odwrócił procedurę. Starał się odgadnąć cechy charakteru na podstawie pozostawianych poszlak.

Z perspektywy niemal czterdziestu lat sprawa Szalonego Bombera wydaje się dość łatwa, niemniej w owym czasie stanowiła kamień milowy w rozwoju dziedziny wiedzy, którą nazwano później naukami behawioralnymi w kryminalistyce. Doktor Brussel, który pomagał później policji w rozwiązaniu sprawy Dusiciela z Bostonu, był pionierem w tej dziedzinie.

Mimo że często nazywa się ten proces dedukcją, fikcyjni bohaterowie jak Dupin czy Holmes, a w realnym świecie Brussel i jego następcy, odwoływali się

w istocie do myślenia indukcyjnego, czyli wyciągania z drobnych elementów zbrodni wniosków ogólniejszej natury. Kiedy w 1979 roku przybyłem do Quantico, instruktorzy pracujący w Jednostce Nauk Behawioralnych, między innymi jeden z jej twórców, Howard Teten, zaczęli stosować metodę doktora Brussela do rozwiązywania spraw opisywanych przez policjantów na zajęciach Akademii Narodowej FBI. W tamtych czasach dysponowali wiedzą na temat pojedynczych przypadków, do tego niepopartą rzetelnymi badaniami naukowymi. W takim właśnie stanie zastałem tę dziedzinę wiedzy, kiedy zacząłem się nią zajmować.

Wspomniałem już, jak ważną rolę odgrywa umiejętność postawienia się w sytuacji niezidentyfikowanego mordercy i „wniknięcia” w jego umysł. Z naszych badań i doświadczeń wynika, że równie istotna – choć często niezwykle bolesna i przerażająca – jest umiejętność wejścia w skórę ofiary. Dopiero kiedy potrafimy w miarę precyzyjnie określić, jak zareagowałaby na wyrządzone jej potworności, możemy w pełni zrozumieć zachowanie i reakcje sprawcy.

Aby poznać sprawcę, trzeba przyjrzeć się zbrodni.

Na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku wydział policji z małego miasteczka w stanie Georgia przysłał mi akta przerażającej sprawy. Ładna czternastolatka, mażoretka w zespole tanecznym szkoły średniej, została porwana z przystanku dla autobusów szkolnych, odległego mniej więcej sto metrów od jej domu. Częściowo nagie zwłoki dziewczyny znaleziono kilka dni później w zalesionym zakątku odwiedzanym często przez zakochanych, piętnaście kilometrów od jej domu. Ustalono, że została wykorzystana seksualnie, a zmarła na skutek uderzenia tępym narzędziem w głowę. Nieopodal ciała leżał duży zakrwawiony kamień.

Aby dokonać rzetelnej analizy, musiałem dowiedzieć się możliwie najwięcej na temat ofiary. Ustaliłem, że była miła i ładna; wyglądała dokładnie na swoje czternaście lat, a nie, jak niektóre nastolatki, na dwadzieścia jeden. Wszyscy

zapewniali, że nie była rozwiązła ani nie miała w zwyczaju flirtować. Z całą pewnością nie brała narkotyków ani nie piła alkoholu. Poza tym charakteryzował ją ciepły i pełen życzliwości stosunek do ludzi. Sekcja zwłok wykazała, że w chwili gwałtu była dziewicą.

Dzięki tym niezwykle cennym informacjom zrozumiałem, w jaki sposób zachowywała się w trakcie porwania, a to z kolei umożliwiło ustalenie, jak w tej konkretnej sytuacji działał morderca. Doszedłem do wniosku, że człowiek ten nie planował morderstwa, ale popełnił je w panice, kiedy ku jego zaskoczeniu (mającemu źródło w wypaczonej, „karmiącej się iluzjami” psychice) dziewczyna go odtrąciła. To z kolei pozwoliło mi lepiej zrozumieć osobowość mordercy, a opracowany przeze mnie profil naprowadził policję na mężczyznę podejrzanego o dokonanie rok wcześniej gwałtu w położonym nieopodal większym mieście. Znajomość ofiary pomogła mi również w opracowaniu strategii, którą policja wykorzystwała podczas przesłuchania podejrzanego, który zgodnie z moimi przewidywaniami przeszedł pozytywnie badanie wykrywaczem kłamstw. Szczegóły tej fascynującej i poruszającej sprawy opiszę w dalszej części książki, teraz zdradzę tylko, że podejrzany przyznał się zarówno do morderstwa, jak i gwałtu popełnionego rok wcześniej. Został skazany, a gdy piszę te słowa, oczekuje na wykonanie wyroku śmierci w jednym z więzień w stanie Georgia.

Kiedy uczymy podstaw tworzenia profili psychologicznych oraz analizy miejsca zbrodni, staramy się wpoić agentom FBI lub funkcjonariuszom służb porządkowych uczęszczającym na kursy Narodowej Akademii FBI, że muszą odtworzyć w myślach przebieg całego zdarzenia. Mój kolega Roy Hazelwood, który do przejścia na emeryturę w 1993 roku przez wiele lat wykładał podstawy tworzenia profili psychologicznych, dzielił analizę na trzy odrębne pytania i fazy: co, dlaczego i kto.

Co się stało? Pytanie to obejmuje wszystkie elementy potencjalnie istotne z punktu widzenia zachowań sprawcy.

Dlaczego doszło do przestępstwa i dlaczego miało taki, a nie inny przebieg? Dlaczego morderca okaleczył zwłoki ofiary? Dlaczego nie zabrał żadnych wartościowych przedmiotów? Dlaczego w domu nie ma śladów włamania? W jaki sposób można wyjaśnić wszystkie elementy zbrodni istotne z behawioralnego punktu widzenia?

To z kolei prowadzi do trzeciego pytania.

Kto mógł popełnić taką zbrodnię z tych powodów?

Odpowiedzieć na te pytania – to cel, jaki sobie stawiamy.

* A. Conan Doyle, *Tajemnica doliny Boscombe*, tłum. nieznanymi, w: tenże, *Przygody Sherlocka Holmesa*, Warszawa 2010, s. 86 (przyp. tłum.).

** E.A. Poe, *Opowieści miłosne, śmiertelne i tajemnicze*, tłum. S. Wyrzykowski, Poznań 2010, s. 343 (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 2

Moja matka nazywała się Holmes

Moja matka nazywała się z domu Holmes i mało brakowało, aby rodzice dali mi na drugie imię Holmes zamiast bardziej banalnego Edwarda.

Poza tym chyba niewiele wskazywało na to, że w przyszłości zostanę „łowcą umysłów” lub profilerem.

Urodziłem się w Nowym Jorku, na Brooklynie, tuż przy granicy z Queens. Mój ojciec, Jack, był rysownikiem tworzącym dla „Brooklyn Daily Eagle”. Kiedy miałem osiem lat, zaniepokojony wzrostem przestępczości w naszej dzielnicy ojciec postanowił przeprowadzić się do Hempstead na Long Island. Później został przewodniczącym Związku Typograficznego Long Island. Moja starsza o cztery lata siostra Arlene od wczesnego dzieciństwa znakomicie radziła sobie w szkole i w sportach.

W szkole podstawowej nie szło mi najlepiej – zazwyczaj dostawałem minus czwórki albo plus trójki – ale byłem sympatyczny, miły w obejściu, więc mimo przeciętnych ocen nauczyciele mnie lubili. Moją największą pasją były zwierzęta i jako dziecko hodowałem psy, koty, króliki, chomiki i węże. Mama tolerowała to wszystko, ponieważ twierdziłem, że chcę zostać weterynarzem. Ona uznała, że taka profesja zapewniłaby mi zupełnie przyzwoitą przyszłość, więc dopingowała mnie w tym postanowieniu.

W szkole wyróżniałem się tylko jednym – umiejętnością opowiadania. Kto wie, czy nie pomogło mi to później w karierze zawodowej. Detektywi

i specjaliści od analizy miejsc zbrodni muszą uwzględniać jednocześnie wiele różnorodnych i pozornie niepowiązanych poszlak, a następnie stworzyć z nich spójną rekonstrukcję wydarzeń. Talent do snucia opowieści przydaje się zwłaszcza przy śledztwach dotyczących zabójstw, ponieważ ofiara nie może przedstawić własnej wersji wydarzeń.

Umiejętność ta pomagała mi również wielokrotnie wymigać się od pracy. Pamiętam, że w pierwszym roku nauki w liceum nie chciało mi się przeczytać powieści, którą miałem później zreferować przed całą klasą. Kiedy przyszła moja kolej (nawet dziś nie mogę uwierzyć, że się na to odważyłem), zmyśliłem tytuł książki i nazwisko autora, po czym zacząłem opowiadać historię o ludziach siedzących w nocy przy ognisku.

Fabułę wymyślałem na poczekaniu, a jednocześnie zastanawiałem się: „Ciekawe, jak długo mógłbym to pociągnąć?”. Do obozu podkradł się niepostrzeżenie niedźwiedź i już miał się rzucić na biwakowiczów, kiedy nie wytrzymałem i wybuchnąłem śmiechem. Nie pozostało mi nic innego, jak przyznać się, że wszystko zmyśliłem. Najwyraźniej ruszyło mnie sumienie, co dowodziło, że nie jestem dzieckiem zepsutym do szpiku kości. Stałem więc przed klasą ze świadomością, że za chwilę dostanę dwóję i zostanę upokorzony przed wszystkimi kolegami. Zdążyłem nawet wyobrazić sobie, co powie matka, kiedy się o wszystkim dowie.

Ku mojemu zaskoczeniu nauczycielka i koledzy nie mogli się doczekać dalszego ciągu historii i zawołali: „Dokończ! Powiedz, co się stało potem”. Tak też zrobiłem i do domu wróciłem z piątką. Przez długi czas nie opowiadałem tej historii swoim dzieciom, aby nie myślały, że oszustwo popłaca. Mnie z kolei zdarzenie to nauczyło, że kto potrafi zainteresować innych swoimi pomysłami, ma duże szanse przeciągnąć ich na swoją stronę. Korzystałem z tego wielokrotnie, kiedy musiałem przekonać przełożonych lub lokalną policję do pożytków płynących z usług naszej jednostki. Mam oczywiście świadomość, że w pewnym sensie wykorzystywałem tę samą umiejętność, co oszuści i groźni

przestępcy.

Tak na marginesie, wymyśleni przeze mnie biwakowicze uciekli przed niedźwiedziem. Nie było to wcale takie oczywiste, zważywszy na moją prawdziwą miłość – zwierzęta. Przygotowując się do kariery weterynarza, spędziłem trzy przerwy wakacyjne w gospodarstwach mlecznych w północnej części stanu Nowy Jork (w ramach Programu Nauki Rolnictwa Uniwersytetu Cornella finansowanego przez tamtejszy wydział weterynarii). Dla dzieciaka z miasta była to wspaniała okazja, aby pobyć na łonie przyrody. W zamian za ten przywilej pracowałem od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu godzin tygodniowo za wynagrodzenie wynoszące 15 dolarów; w tym czasie moi koledzy ze szkoły opalali się na nowojorskiej plaży Jones. Wiedziałem jednak, że nawet gdybym nie miał więcej okazji do wydojenia krowy, umrę spokojny.

Aktywne wakacje wzmocniły mnie fizycznie, co pomogło mi w uprawianiu sportów, mojej drugiej życiowej pasji. W szkole średniej Hempstead grałem w drużynie baseballowej na pozycji miotacza oraz w drużynie futbolu amerykańskiego na pozycji obrońcy. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że chyba właśnie wtedy po raz pierwszy ujawniło się u mnie zainteresowanie tworzeniem profili psychologicznych.

Jako miotacz dość szybko zdałem sobie sprawę, że siła i precyzja rzutu piłką to tylko połowa sukcesu. Potrafiłem zupełnie nieźle rzucać mocne i podkręcane piłki, ale tym samym może się pochwalić wielu miotaczy w szkole średniej. Kluczem do sukcesu okazało się wygranie wojny psychologicznej z pałkarzem, a ja odkryłem, że głównym czynnikiem jest emanowanie pewnością siebie i wprowadzenie przeciwnika w stan możliwie największej niepewności. Umiejętność ta okazała się pomocna wiele lat później, kiedy zaczynałem opanowywać sztukę prowadzenia przesłuchań.

W szkole średniej mierzyłem już prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów, co dawało mi przewagę nad przeciwnikami. Jako drużyna byliśmy średniakami w dobrej lidze, a ja zdawałem sobie sprawę, że miotacz powinien zachowywać

się na boisku jak kapitan i prowadzić zespół do zwycięstwa. Byłem dość opanowany jak na zawodnika szkoły średniej, nie chciałem jednak, aby wiedzieli o tym pałkarze przeciwnych drużyn. Woląłem uchodzić za osobę lekkomyślną i nieprzewidywalną, aby pałkarze nie czuli się zbyt pewnie, stojąc przy bazie domowej. Chciałem wywołać u nich poczucie, że lada chwila zmiecie ich stamtąd piłka ciśnięta przez szaleńca stojącego w odległości niecałych dwudziestu metrów.

Szkoła Hempstead miała też dobrą drużynę futbolową, w której pełniłem funkcję osiemdziesięciopięciokilowego obrońcy. Również w tej grze psychologia mogła nam zapewnić przewagę nad przeciwnikami. Odkryłem, że mogę wygrywać pojedynki z masywniejszymi zawodnikami, jeśli wydam z siebie dzikie pomruki i zachowam się, jakbym był niespełna rozumu. Po niedługim czasie namówiłem pozostałych obrońców do pójścia w moje ślady. Kiedy później regularnie uczestniczyłem w procesach o morderstwo, w których obrona próbowała wykazać niepoczytalność oskarżonego, wiedziałem z własnego doświadczenia, że nawet jeśli ktoś zachowuje się jak wariat, nie oznacza to, że nie rozumie konsekwencji swoich czynów.

W 1962 roku graliśmy przeciwko drużynie Wantagh High o Puchar Thorpe'a, tytuł przyznawany najlepszej szkolnej drużynie futbolowej na Long Island. Jej zawodnicy byli ciężsi od naszych średnio o osiemnaście kilogramów i przypuszczaliśmy, że dostaniemy straszego łupnia na oczach wypełnionego po brzegi stadionu. Przed meczem opracowaliśmy kilka ćwiczeń rozgrzewających, których jedynym celem było wyprowadzenie z równowagi i wystraszenie przeciwników. Uformowaliśmy dwa rzędy, po czym połowa zaczęła blokować – a w praktyce powalać na ziemię – tych stojących naprzeciwko. Towarzyszyły temu stosownie groźne pomruki oraz okrzyki bólu. Po minach zawodników Wantagh widzieliśmy, że nasz teatrzyk wywarł oczekiwane wrażenie. Musieli się zastanawiać: „Jeżeli ci klauni są na tyle głupi, żeby atakować z taką furią samych siebie, Bóg raczy wiedzieć, z jakim impetem

rzucą się na nas”.

W rzeczywistości rozgrzewka była starannie wyreżyserowanym spektaklem. Nauczylismy się padów stosowanych w wrestlingu, dzięki czemu potrafiliśmy efektownie uderzać o ziemię, nie robiąc sobie krzywdy. Podczas meczu nadal zachowywaliśmy się jak banda szaleńców, których wypuszczono z domu dla obłąkanych tylko na to jedno popołudnie i którzy zostaną przewiezieni z powrotem do wariatkowa zaraz po zakończeniu rozgrywek. Mecz był zacięty od początku do końca, ale kiedy opadł bitewny kurz, na tablicy wyników widniał rezultat 14 : 13 dla nas. W ten sposób zdobyliśmy Puchar Thorpe’a.

Do moich pierwszych występów w roli „stróża prawa” – a nawet więcej: w roli twórcy profili psychologicznych – doszło, kiedy jako osiemnastolatek zostałem bramkarzem w klubie Gaslight East w Hempstead. Okazałem się na tyle dobry, że później dostałem pracę na tym samym stanowisku w Surf Club na Long Beach. W obu lokalach do moich obowiązków należało wypraszenie osób niepełnoletnich – czyli młodszych ode mnie – oraz przerywanie bójek, które zawsze wybuchają w miejscach, gdzie spożywa się alkohol.

Stojąc przy wejściu, żądałem okazania dokumentu tożsamości od każdej osoby o podejrzenie młodym wyglądem, a następnie prosiłem o podanie daty urodzenia, aby sprawdzić, czy odpowiada tej w dokumencie. Jest to standardowa procedura, więc wszyscy są na nią przygotowani. Mało który dzieciak zadający sobie trud zdobycia fałszywych dokumentów zapomina nauczyć się na pamięć widniejącej na nich daty urodzenia. Spoglądanie prosto w oczy podczas zadawania pytań było skutecznym sposobem w przypadku niektórych delikwentów – zwłaszcza dziewcząt, które w tym wieku odczuwają większą potrzebę przestrzegania norm społecznych. Nie da się jednak ukryć, że większość osób może przejść przez tego rodzaju kontrolę, jeśli tylko wykorzysta swoje zdolności aktorskie.

Mój patent polegał na tym, że kiedy odpytywałem grupę młodzieży znajdującą się z przodu kolejki, kątem oka obserwowałem tych, którzy stali trzy

lub cztery rzędy dalej. Patrzyłem, jak przygotowują się do kontroli, zwracałem uwagę na język ciała, wychwytywałem objawy nerwowości lub niepewności.

Przerywanie bójek stanowiło większe wyzwanie – tu polegałem na doświadczeniu wyniesionym ze sportowych boisk. Czasami nawet osiłek zastanowi się dwa razy, zanim zadrze z osobą nieprzewidywalną, która zdradza wyraźne objawy obłądu. Jeżeli ludzie dojdą do wniosku, że mają do czynienia z szaleńcem niezważającym na własne bezpieczeństwo, stawiają się od razu w gorszej pozycji. Kiedy niemal dwadzieścia lat później przeprowadziliśmy wywiady z więźniami w ramach szeroko zakrojonych badań poświęconych seryjnym mordercom, odkryliśmy, że osobowość zabójcy likwidującego ofiary w taki sposób, jakby dokonywał egzekucji, jest w niektórych kluczowych aspektach znacznie groźniejsza od osobowości typowego seryjnego mordercy. Ten ostatni wybiera tylko takie ofiary, z którymi potrafi sobie poradzić, a następnie dokłada wszelkich starań, aby uniknąć wpadki, natomiast zabójca obsesyjnie dąży do wykonania „misji” i zazwyczaj jest gotów umrzeć, aby tylko dopiąć swego.

Kto chce wyrzucić na innych określone wrażenie – choćby takie, że jest osobą na tyle irracjonalną i szaloną, że czasami zachowuje się w sposób nieprzewidywalny – musi grać przez cały czas, a nie tylko w obecności innych. Gary Trapnell, który wsławił się napadami z bronią w rękę i uprowadzeniem samolotu, chwalił mi się podczas rozmowy w więzieniu w Marion w stanie Illinois, że potrafi wmówić każdemu psychologowi więziennemu, iż cierpi na dowolną chorobę psychiczną. Kluczem do sukcesu było odgrywanie symptomów przez cały czas, nawet kiedy siedział samotnie w celi. Dzięki temu podczas rozmowy z lekarzem nie musiał pamiętać o zachowywaniu się w odpowiedni sposób, co ostatecznie mogło go zdradzić. A zatem na długo zanim miałem okazję skorzystać z tego rodzaju „eksperckich” porad, instynktownie potrafiłem myśleć jak przestępca.

Gdyby nie udało mi się wystraszyć uczestników bójki w barze, zawsze

mogłem wypróbować amatorskie techniki tworzenia profili psychologicznych do zażegnania starcia, zanim przekształciłoby się w poważniejszą drakę. Obserwowałem język ciała i wyławiałem z tłumu osoby chętne do wdania się w bójkę, dzięki czemu wiedziałem z wyprzedzeniem, który z klientów stanowi potencjalne zagrożenie. Kiedy nabierałem podejrzeń, że dojdzie do awantury, działałem wyprzedzająco, wykorzystując element zaskoczenia – potencjalnego awanturnika wyprowadzałem na ulicę, zanim zdążył się połapać, co się stało. Zawsze powtarzam, że większość morderców seksualnych i seryjnych gwałcicieli uzyskuje dużą wprawę w dominacji, manipulacji i kontroli. Dokładnie te same zdolności próbowałem opanować, pracując w barze. No ale przynajmniej czegoś się uczyłem...

Po ukończeniu szkoły średniej nadal chciałem zostać weterynarzem, niestety średnia ocen nie pozwalała mi się dostać na Uniwersytet Cornell. Pozostał mi jedyne podobny kierunek na Uniwersytecie Stanowym Montany. Tak oto we wrześniu 1963 roku wyruszyłem – ja, chłopak wychowany na Brooklynie i Long Island – na północ, do Krainy Wielkiego Nieba.

Po przybyciu do Bozeman przeżyłem szok kulturowy, którego nie sposób z niczym porównać.

„Pozdrowienia z Montany – napisałem w jednym z pierwszych listów do domu – gdzie ludzie są ludźmi, a owce są nerwowe”.

Montana była dla mnie ucieleśnieniem wszystkich stereotypów i przesądów na temat Dzikiego Zachodu, z kolei jej mieszkańcy widzieli we mnie uosobienie mieszkańca Wschodniego Wybrzeża. Zapisalem się do lokalnej sekcji bractwa studenckiego Sigma Phi Epsilon, otoczony niemal samymi młodzieńcami z Montany, pasowałem tam jak pięść do nosa. Zacząłem nosić czarny kapelusz, czarne ubrania i czarne buty, zapuściłem długie bokobrody, które upodobniły mnie do jednego z bohaterów *West Side Story* – w owym czasie właśnie tak wyobrażano sobie typowego nowojorczyka.

Nie pozostało mi nic innego, jak maksymalnie wykorzystać czas studiów. Na

impresach spotykałem mieszkańców Montany ubranych w stroje rodem z Dzikiego Zachodu i tańczących two-stepa, tymczasem ja przez kilka poprzednich lat nie przegapiłem w telewizji żadnego występu piosenkarza Chubby'ego Checkera i znałem wszystkie możliwe odmiany twista. Ponieważ moja starsza o cztery lata siostra Arlene od dawna wykorzystywała mnie jako partnera w ćwiczeniach tańca, zacząłem udzielać lekcji całej wspólnocie uniwersyteckiej. Czułem się jak misjonarz oddelegowany w odległy zakątek świata, którego mieszkańcy nie słyszeli wcześniej angielskiej mowy.

Nigdy nie uchodziłem za pilnego ucznia, ale na studiach osiągnąłem najniższą średnią ocen w karierze. Zajmowałem się wszystkim – tylko nie zdobywaniem wiedzy. W Nowym Jorku pracowałem na bramce w knajpie, ale w Montanie, ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu, alkohol można było kupić dopiero po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia. Z przykrością muszę wyznać, że w ogóle się tym nie przejąłem.

Pierwszą przygodę z przedstawicielami prawa zaliczyłem, gdy razem z kolegą z bractwa umówiliśmy się na randkę z dwiema eleganckimi, wyglądającymi dojrzałe jak na swój wiek dziewczynami, które poznaliśmy w domu dla samotnych matek. Zaparkowaliśmy koło jakiegoś baru, a ja wszedłem do środka, aby kupić piwo.

– Muszę zobaczyć dowód tożsamości – powiedział barman. Pokazałem mu znakomicie podrobioną książeczkę wojskową. Po doświadczeniach w Nowym Jorku znałem wszystkie pułapki czyhające na osoby posługujące się fałszywymi dokumentami.

Gość spojrzał mi prosto w oczy.

– Brooklyn, hę? – powiedział. – Niezłe są z was złamasy tam na Wschodzie, co nie?

Zaśmiałem się lekko, jakby z zażenowaniem, ale kiedy wszyscy odwrócili się w moją stronę, zrozumiałem, że mam teraz wielu świadków oszustwa. Wróciłem na parking i odjechaliśmy, popijając piwo. Nie wiedziałem, że jedna

z dziewczyn postawiła wcześniej pustą puszkę na bagażniku samochodu.

W pewnej chwili słyszę syrenę.

– Proszę wysiąść z samochodu – rozkazuje policjant.

Wysiadamy. Zaczyna nas obszukiwać. Wiem, że nie ma do tego prawa, ale trzymam język za zębami. W pewnej chwili pochyla się, odsłaniając pistolet i gumową pałkę, a mnie przez głowę przemyka szalona myśl, że mógłbym wyrwać mu zza pasa pałkę, wyrzucić go w głowę, zabrać pistolet i odjechać. Na szczęście dla moich przyszłych losów nie robię żadnej z tych rzeczy, ale wiedząc, że zaraz przyjdzie kolej na mnie, wyjmuję dokument z portfela i wsuwam go do bokserek.

Policjant zabiera nas na posterunek i umieszcza w oddzielnych pokojach. Robi się nerwowo, ponieważ zaczynam się obawiać, że kumpel mnie podkablkuje.

– No dobrze, synu, powiedz, jak było naprawdę – mówi jeden z policjantów. – Jeżeli gość w barze nie prosił cię o dowód tożsamości, pojedziemy go odwiedzić. To nie pierwszy raz, kiedy mamy z nim problemy.

– Tam, skąd pochodzę, nie lubimy kapusiów – odpowiadam. – Nie donosimy na innych.

Gram twardziela rodem z filmów gangsterskich, ale w myślach powtarzam sobie: „Oczywiście, że prosił, a ja wręczyłem mu podrobiony dokument!”. Tymczasem książeczka osunęła się tak nisko w bokserkach, że teraz wrzyna mi się w przyrodzenie. Nie mam pojęcia, czy poddadzą mnie rewizji osobistej. Jako nowojorczyk mam poczucie, jakbym znajdował się na Dzikim Zachodzie, więc Bóg jeden raczy wiedzieć, czego mogę się spodziewać. Szybko rozważam możliwości i postanawiam symulować niestrawność. Mówię, że jest mi niedobrze i muszę pójść do łazienki.

Puszczają mnie bez opieki, ale natychmiast przypominają mi się wszystkie filmy policyjne, więc przychodzi mi do głowy, że pewnie obserwują mnie przez weneckie lustro w łazience. Odchodzę na bok, wkładam ręce do spodni

i wyciągam dokument, wracam przed umywalkę i – na wypadek gdyby ktoś mnie rzeczywiście oglądał – nachylam się, jakbym do niej wymiotował. Wchodzę do kabiny, wrzucam książeczkę wojskową do kibla, splukuję wodę. Na przesłuchanie wracam znacznie bardziej pewny siebie. Dostaję czterdzieści dolarów mandatu i dozór policyjny.

Kolejne spotkanie z policją z Bozeman przydarzyło mi się na drugim roku studiów i było znacznie gorsze od pierwszego.

Razem z dwoma chłopakami ze Wschodniego Wybrzeża i jednym z Montany poszliśmy na rodeo. Stadion opuściliśmy po zakończeniu pokazów, władowaliśmy się do studebakera z 1962 i – historia się powtarza – wypiliśmy po piwie. Hulała straszna śnieżycą, za kierownicą siedział chłopak z Bostonu, ja obok niego, a między nami dzieciak z Montany. Nie zatrzymaliśmy się przed znakiem stop i – któż by przypuszczał! – od razu namierzyła nas policja. Syreny radiowozów to chyba *leitmotiv* mojego pobytu w Montanie. Mówi się, że policjantów nigdy nie ma w pobliżu, kiedy są potrzebni. Nie w Bozeman w roku 1965.

Idiota za kierownicą, mój kumpel z bractwa studenckiego, postanawia – wyobrażacie sobie!?! – zignorować policję. Pędzi przed siebie z radiowozem na ogonie.

Przy każdym kolejnym skręcie, kiedy na chwilę znikamy z pola widzenia radiowozu, wyrzucam przez okno puszek po piwie. Wjeżdżamy między domy i podskakujemy na progach zwalniających: bum, bum, bum. Przed nami wyrasta blokada – policjant musiał zawiadomić centralę. Objeżdżamy blokadę, przedzierając się przez czyjś trawnik. Przez cały czas krzyczę: „Zatrzymaj się do cholery! Pozwól mi wysiąść!”, ale kretyn za kierownicą nie słucha. Samochód się ślizga, z nieba wali śnieg, za plecami wyją syreny.

Dojeżdżamy do skrzyżowania, gwałtownie hamujemy i samochód obraca się dookoła własnej osi. Drzwi się otwierają, wypadam na zewnątrz. W ostatniej chwili łapię się drzwi, szuram tyłkiem po śniegu i nagle słyszę, że ktoś krzyczy:

„Uciekajcie!”.

Uciekamy – każdy w innym kierunku. Wbiegam w zaułek. Natrafiam na pustego pikapa. Wskakuję do środka. Już wcześniej pozbyłem się czarnego kapelusza, teraz zdejmuję obustronną czarno-złotą kurtkę i przewracam ją na drugą stronę, abym nie był tak dobrze widoczny. Pocę się, szyby zaczynają zachodzić parą. Myślę: „O kurwa, zaraz mnie zobaczą”. Właściciele mogą wrócić w każdej chwili, a pewnie mają przy sobie broń palną, jak to w Montanie. Wycieram mały kawałek szyby i wyglądam na zewnątrz. Wokół porzuconego przez nas samochodu panuje straszne zamieszanie: radiowozy, psy gończe i co tylko można sobie wyobrazić. Jeden z radiowozów jedzie w moją stronę, policjanci oświetlają latarkami pikapa, a ja czuję, że za chwilę posikam się ze strachu. Nie mogę uwierzyć, kiedy mnie mijają i jadą dalej!

Przekradam się z powrotem na kampus. Tam wszyscy już słyszeli o pościgu. Okazuje się, że dwaj goście ze Wschodniego Wybrzeża uciekli, ale policja złapała chłopaka z Montany. Ten zaczął sypać. Podał nazwiska i policja zgarnia po kolei wszystkich. Na posterunku od razu mówię, że nie kierowałem samochodem, byłem przerażony i błagałem kierowcę, aby się zatrzymał. Chłopak z Bostonu trafia do celi w areszcie, gdzie spędzi jakiś czas o chlebie i wodzie, mając do dyspozycji sprężynowe łóżko bez materaca. Mnie nadal dopisuje nieprawdopodobne szczęście: muszę zapłacić po raz kolejny 40 dolarów grzywny za posiadanie alkoholu i dostaję dozór policyjny.

Tym razem policja powiadamia uczelnię, ta powiadamia rodziców, a oni są na mnie potwornie wkurzeni. Nie mogę nawet pochwalić się osiągnięciami w nauce – moja średnia spadła do równego 2,0. Oblałem retorykę, ponieważ nie pojawiłem się na żadnych zajęciach. Było to świadectwo całkowitego upadku, bo umiejętność przemawiania zawsze uważałem za swój największy atut. Nie miałem pomysłu, jak wygrzebać się z tego bagna. Pod koniec drugiego roku było jasne, że moja przygoda z Dzikim Zachodem dobiegła końca.

Z tamtego okresu zapamiętałem wyłącznie niefortunne przygody i wpadki,

ponieważ pobyt w Montanie wydawał mi się całkowicie pozbawiony pozytywów. W domu powitały mnie pełne rozczarowania spojrzenia rodziców. Zasmucona była zwłaszcza matka, ponieważ straciłem szansę na karierę weterynarza. Jak zwykle kiedy nie miałem pomysłu, co ze sobą zrobić, zająłem się sportem i podczas wakacji w 1965 pracowałem jako ratownik. Lato dobiegło końca, a ponieważ tym razem nie musiałem wracać do szkoły, zatrudniłem się jako kierownik fitness klubu w hotelu Holiday Inn w Patchogue.

Tam poznałem Sandy, kelnerkę z hotelowej restauracji. Była piękną, młodą kobietą, miała małego synka, a ja natychmiast dostałem na jej punkcie bzika. W skąpym kostiumie służbowym wyglądała wprost zabójczo, a ja nadal imponowałem kondycją fizyczną. Wyglądało na to, że Sandy mnie lubiła. Mieszkałem nadal u rodziców, a ona nieustannie do mnie dzwoniła. Ojciec pytał: „Kto, do cholery, wydzwania do ciebie o każdej porze dnia i nocy? W tle wrzeszczy zawsze jakieś dziecko”.

Warunki lokalowe nie pozwalały mi na zawarcie bliższej znajomości z Sandy, ale kiedyś zwróciła mi uwagę, że pracownicy hotelu mogą za niewielkie pieniądze wynająć któryś z wolnych pokoi. I tak pewnego dnia wynajęliśmy sobie pokój.

Rano budzi nas telefon. Ona podnosi słuchawkę.

– Nie! Nie! – mówi. – Nie mam ochoty z nim rozmawiać!

– Kto to był? – pytam, otwierając oczy.

– Recepcja – wyjaśnia. – Twierdzą, że przyszedł mój mąż i właśnie idzie na górę.

Teraz już naprawdę jestem przytomny.

– Twój mąż? Co ty opowiadasz? To ty jesteś mężatką?

Zwraca mi uwagę, że nigdy nie twierdziła nic przeciwnego. Wyjaśnia, że są w separacji.

„Jakby to cokolwiek zmieniało”, myślę, słysząc szaleńczy tupot na korytarzu.

Gość zaczyna dobijać się do drzwi.

– Sandy! Wiem, że jesteś w środku!

Pokój z korytarzem łączy okienko żaluzjowe. On zaczyna je szarpać, próbując wyrwać szyby z framugi. Gdybym tylko mógł, wyskoczyłbym na zewnątrz – znajdujemy się na pierwszym piętrze – ale niestety pokój nie ma okna.

– Czy twój mąż może mieć przy sobie pistolet albo inną broń? – pytam.

– Czasami nosi nóż – odpowiada Sandy.

– No to, kurwa, pięknie! Muszę się stąd jakoś wydostać. Otwórz drzwi.

Przyjmuję postawę bokerską, ona otwiera drzwi i do pokoju wbiega mąż. W pierwszym odruchu rusza do ataku, ale moja pogrążona w cieniu sylwetka musi mu się wydawać duża i groźna, więc zmienia zdanie i się zatrzymuje. Nie przestaje się za to wydzierać.

– Wypieprzaj stąd, skurwielu jeden!

– Tak jest, proszę pana. Właśnie zamierzałem to uczynić – odpowiadam uprzejmie, wychodząc z założenia, że jak na jeden dzień wykazałem się dostateczną dozą męskości. A był przecież dopiero poranek.

Po raz kolejny dopisało mi niesamowite szczęście i wyszedłem cało z tarapatów. Nie mogłem jednak dłużej się oszukiwać – moje życie leżało w gruzach. Na domiar złego zламаłem przednią oś w saabie ojca, ścigałem się z czerwonym mitsubishi mojego przyjaciela Billa Turnera.

Pewnej soboty matka weszła wcześniej rano do mojego pokoju, przynosząc mi wezwanie przed komisję poborową. Pojechałem na Whitehall Street na Manhattanie, gdzie razem z trzystoma innymi mężczyznami przeszedłem badanie medyczne. Kazali mi robić głębokie przysiady i kiedy się schylałem, chrupało mi w kolanie, z którego po kontuzji futbolowej usunięto chrząstkę (przydarzyło mi się to samo co Joemu Namathowi, tyle że on najwyraźniej miał lepszego prawnika). Tego dnia komisja nie podjęła decyzji, ale później otrzymałem wiadomość, że Wuj Sam mimo wszystko jest mną zainteresowany.

Służba w piechocie wydawała mi się ryzykowna, więc szybko wybrałem lotnictwo, mimo że do cywila mogłem stamtąd wyjść dopiero po czterech latach. Uznałem, że więcej się tam nauczę, a chyba tego właśnie było mi trzeba. Nie czarujmy się: szans na zdobycie edukacji w Nowym Jorku i w Montanie nie wykorzystałem.

Istniał również inny powód, aby wybrać lotnictwo. Był rok 1966 i sytuacja w Wietnamie zaczynała się zaognić. Nie interesowałem się jakoś specjalnie polityką – uważałem się za demokratę i zwolennika Kennedy’ego ze względu na ojca, działacza związku drukarzy na Long Island – ale nie pociągała mnie perspektywa zarobienia kulki w imię sprawy, którą słabo rozumiałem. Pamiętałem za to słowa pewnego mechanika służącego w lotnictwie, który powiedział mi kiedyś, że tylko u nich w misjach bojowych uczestniczą wyłącznie oficerowie – czyli piloci – a żołnierze z poboru zostają za linią frontu i wykonują funkcje usługowe. Ponieważ nie miałem zamiaru zostać pilotem, uznałem służbę w lotnictwie za dobry pomysł.

Na przeszkolenie trafiłem do Amarillo w Teksasie. Nasza eskadra (tak w lotnictwie nazywa się grupa rekrutów przechodzących szkolenie) liczyła pięćdziesiąt osób; mniej więcej po równo nowojorczyków i chłopaków z Luizjany. Instruktor wyżywał się na nas, chłopakach z Północy, ale muszę przyznać, zazwyczaj miał ku temu powody. Ja trzymałem się raczej z chłopakami z Południa, którzy sprawiali wrażenie znacznie sympatyczniejszych i mniej wrednych od moich ziomków z Nowego Jorku.

Dla wielu młodych mężczyzn przeszkolenie jest stresującym doświadczeniem, ale dla mnie, zaprawionego na treningach baseballu i futbolu oraz mającego świadomość, że przeleserowałem kilka ostatnich lat, bluzgi sierżanta brzmiały niemal humorystycznie. Nie mógł mnie niczym zaskoczyć ani zastraszyć, a ponieważ byłem wysportowany, ćwiczenia nie sprawiały mi większych trudności. Szybko zostałem strzelcem wyborowym z karabinu M16, co prawdopodobnie zawdzięczałem celności, jaką wyrobiłem sobie jako miotacz

w szkolnej drużynie baseballowej. Przed służbą w lotnictwie tylko raz miałem kontakt z bronią palną: jako nastolatek strzelałem z wiatrówki do ulicznych latarni.

W trakcie szkolenia po raz kolejny zapracowałem na opinię twardziela. W jednostce mówiono na mnie „ruski niedźwiedź”, ponieważ byłem napakowany od podnoszenia ciężarów i miałem krótko ścięte włosy. Podobną reputacją cieszył się gość z innej eskadry. Ktoś wpadł na genialny pomysł, abyśmy stoczyli pojedynek bokserski. Miało to pozytywnie wpłynąć na morale rekrutów.

Walka urosła do rangi wielkiego wydarzenia. Siły były wyrównane, a ponieważ żaden z nas nie zamierzał tanio sprzedać skóry, obaj wyszliśmy z walki mocno poobijani. Ja po raz trzeci w życiu miałem złamany nos (wcześniej dochodziło do tego podczas meczów futbolowych w szkole średniej).

Nie miało to pewnie wielkiego znaczenia, ale ukończyłem szkolenie na trzecim miejscu w pięćdziesięcioosobowej eskadrze. Po przeszkoleniu poddano mnie najróżniejszym testom, z których wynikało, że kwalifikuję się do szkoły nasłuchu radiowego. Ponieważ brakowało akurat wolnych miejsc, a ja nie miałem ochoty czekać na rozpoczęcie nowego semestru, mianowano mnie sekretarzem. Mimo braku jakiegokolwiek doświadczenia miałem przepisywać dokumenty na maszynie. Wolne stanowisko znalezione w dziale kadr w bazie lotniczej imienia Cannona zlokalizowanej pod Clovis w Nowym Meksyku.

Całymi dniami wypełniałem formularze DD214 – dokumenty potwierdzające zwolnienie z wojska – wykonywałem polecenia sierżanta idioty i powtarzałem sobie w myślach: „Muszę się stąd jak najszybciej wydostać”.

Ponownie dopisało mi szczęście. Z działem kadr sąsiadowały Służby Specjalne. Nie należy ich mylić z siłami specjalnymi w rodzaju Zielonych Beretów. Chodzi o Służby Specjalne, a konkretnie: Służby Specjalne – Wydział Sportu. Uznałem, że zważywszy na doświadczenie zdobyte na boiskach, właśnie tam najlepiej przysłużę się obronności kraju.

Zacząłem się tam zakradać i podsłuchiwać pod drzwiami. Raz usłyszałem, jak ktoś mówi: „Ten program schodzi na psy. Po prostu brakuje nam odpowiedniego człowieka”.

Pomyślałem: „To moja szansa!”. Zapukałem i wszedłem do środka.

– Cześć, nazywam się John Douglas – oświadczyłem. – Pozwólcie, że opowiem wam trochę o sobie.

Zacząłem mówić, a jednocześnie zerkałem na ich reakcje i „profilowałem”, jakie cechy powinien mieć ich wymarzony człowiek. Wiedziałem, że trafiłem w dziesiątkę, ponieważ moi rozmówcy zaczęli wymieniać spojrzenia w rodzaju: „To jakiś cud! Właśnie kogoś takiego potrzebujemy!”. Zaraz potem załatwili mi przeniesienie z działu kadr i od tego dnia nigdy więcej nie nosiłem munduru. Jako żołnierz w służbie wojskowej otrzymywałem dodatkowe uposażenie za kierowanie wszystkimi programami sportowymi w jednostce, a dzięki nowej posadzie kwalifikowałem się również do rządowego programu „Stanąc na nogi” (Operation Bootstrap), w którym państwo finansowało 75 procent kosztów studiów wieczorowych lub zaocznych. Postanowiłem skorzystać z okazji i zapisałem się na Eastern New Mexico University w Portales, uczelnię oddaloną o czterdzieści kilometrów od bazy. Aby zachować szansę na dofinansowanie w kolejnym roku, musiałem co prawda zrównoważyć średnią 2,0 z college’u samymi piątkami, ale tym razem – po raz pierwszy w życiu – miałem jakiś cel.

Z powodzeniem reprezentowałem lotnictwo w tak trudnych dyscyplinach jak tenis, piłka nożna i badminton, dzięki czemu zostałem kierownikiem należących do bazy pola golfowego i sklepiku ze sprzętem sportowym. Choć nigdy wcześniej nie zagrałem ani jednej rundy golfa, prezentowałem się znakomicie, prowadząc turnieje w sweterkach z logo Arnolda Palmera.

Pewnego dnia zjawił się dowódca bazy i zaczął wypytywać, jakiej twardości piłki powinien wybrać na zbliżający się turniej. Podobnie jak w liceum zostałem przyłapany na kłamstwie, ponieważ nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– Jakim cudem, do cholery, dostałeś tę posadę? – spytał ostrym tonem.

Natychmiast odsunięto mnie od rozgrywek golfowych i przeniesiono do damskiej szlifierni. Nazwa brzmiała zachęcająco, dopóki nie odkryłem, że oznacza obróbkę kamienia. Zrobiono mnie dodatkowo kierownikiem zakładu ceramicznego dla kobiet i basenu w klubie dla oficerów. Nie mogłem się nadziwić, że oni lada chwila dostaną łomot w Wietnamie, a ja tu sobie spokojnie rozkładam krzesła i ręczniki dla ich kokieterijnych żon, uczę ich dzieci pływania i jeszcze w nagrodę dostaję dodatek do żołdu i dofinansowanie do studiów.

Mogłem nawet wykorzystać doświadczenie zdobyte na bramce w nowojorskich klubach. Basen przylegał do baru dla oficerów, do którego schodzili się tłumnie młodzi piloci szkolący się w Dowództwie Lotnictwa Taktycznego (Tactical Air Command). Kiedy zaczynali szaleć po pijanemu, nieraz musiałem ich rozdzielać.

Po dwóch latach służby w lotnictwie, jeszcze w czasie studiów w college'u, dowiedziałem się o istnieniu lokalnego stowarzyszenia działającego na rzecz niepełnosprawnych dzieci. Potrzebowali kogoś do prowadzenia zajęć rekreacyjnych. Zostałem wolontariuszem i raz w tygodniu w asyście kilku dorosłych zabierałem piętnaścioro dzieciaków na tor wrotkowy, minigolfa, kręgle albo w inne miejsce zapewniające im rozwój fizyczny.

Większość dzieci cierpiała na poważne schorzenia, jak ślepotą, zespół Downa lub ciężkie zaburzenie czynności motorycznych. Opieka nad nimi była wyczerpująca – jeździłem na przykład po wrotkowisku, trzymając za rękę parę dzieciaków i pilnując, aby nie zrobiły sobie krzywdy – ale sprawiała mi ogromną satysfakcję. Powiedziałbym nawet, że niewiele innych doświadczeń z całego mojego życia mogło temu dorównać.

Podjeżdżałem pod szkołę, a dzieci wybiegały, tłoczyły się wokół samochodu, a kiedy wysiadałem, rzucały mi się na szyję. Przy pożegnaniu były równie smutne jak ja. Spotkania te sprawiały, że czułem się kochany i potrzebny – w owym czasie bardzo mi tego brakowało – dlatego zacząłem

przychodzić dodatkowo wieczorami i czytać dzieciakom bajki.

Moi podopieczni stanowili przeciwieństwo zdrowych, „normalnych” dzieci mieszkających na terenie bazy, które były przyzwyczajone, że znajdują się w centrum uwagi i dostają od rodziców wszystko, czego tylko zapragną. Moje „specjalne” dzieci doceniały każdy gest czy przejaw zainteresowania i mimo niepełnosprawności zachowywały pogodę ducha, i zawsze były chętne na nowe przygody.

Jak się później okazało, przez znaczną część zajęć z niepełnosprawnymi dziećmi byłem obserwowany. W ogóle się tego nie domyślałem, co nie najlepiej świadczyło o mojej spostrzegawczości! Moje „osiągnięcia” w pracy z dziećmi oceniali przedstawiciele wydziału psychologii Eastern New Mexico University, którzy na tej podstawie zaproponowali mi czteroletnie stypendium na wydziale szkolnictwa specjalnego.

W owym czasie skłaniałem się raczej ku psychologii pracy, ale tak bardzo kochałem moje dzieciaki, że postanowiłem zaryzykować. Powiedziano mi nawet, że po ukończeniu tego kierunku mógłbym dalej służyć w naszej bazie lotniczej i awansować na oficera. Przedstawiłem propozycję uniwersytetu cywilnej radzie bazy, która po zastanowieniu orzekła, że chwilowo nie potrzebuje specjalisty od szkolnictwa specjalnego. Było to dziwne, biorąc pod uwagę sytuację niektórych ludzi pracujących w bazie, ale decyzja nie należała do mnie. Postanowiłem zrezygnować z planów kariery w szkolnictwie specjalnym, ale nie z wolontariatu, który sprawiał mi tyle satysfakcji.

Święta Bożego Narodzenia w 1969 roku zamierzałem spędzić z rodzicami. Musiałem przejechać sto pięćdziesiąt kilometrów do Amarillo, skąd odlatywał samolot do Nowego Jorku. Mój volkswagen garbus nie wytrzymałby tak długiej trasy, na szczęście Robert LaFond, mój najlepszy przyjaciel w bazie, pożyczył mi karmann gnię. Aby zdążyć na samolot, musiałem opuścić bożonarodzeniowe przyjęcie w Siłach Specjalnych.

Kiedy wysiadłem na nowojorskim lotnisku La Guardia, rodzice oczekiwali

mnie z niemal przerażonymi minami. Nie potrafiłem zrozumieć, skąd to zatroskanie, skoro w końcu zacząłem robić w życiu coś sensownego i mogli być ze mnie dumni.

Okazało się, że otrzymali informację o niezidentyfikowanym kierowcy, który zginął nieopodal bazy: z opisu wynikało, że mogłem to być ja, a na dodatek człowiek ów poruszał się volkswagenem garbusem. Dopóki nie zobaczyli mnie na stopniach samolotu, nie byli pewni, czy żyję.

Robert LaFond, jak wiele innych osób, spił się do nieprzytomności na przyjęciu świątecznym. Świadkowie opowiadali, że kilku oficerów i podoficerów zaniósł go do mojego samochodu i posadziło za kierownicą. Kluczyki włożyli do stacyjki. Kiedy odzyskał przytomność, próbował wyjechać z bazy. Padał śnieg, był mróz. Robert zderzył się czołowo z kombi, którym jechała matka jakiegoś żołnierza i jej dzieci. Dzięki Bogu nic im się nie stało, ale Robert przeleciał przez przednią szybę mojego lichego garbusa i zginął.

Bardzo przeżyłem jego śmierć. Byliśmy sobie bliscy, a mnie prześladowała myśl, że gdyby nie pożyczył mi swojego samochodu, mógłby przeżyć wypadek. Po powrocie do bazy na mnie spadł obowiązek odesłania do rodziny jego rzeczy osobistych. Raz po raz wracałem w miejsce, gdzie stał wrak mojego samochodu. Nawiedzały mnie sny związane z Robertem i wypadkiem. Pamiętałem, jak kupował przy mnie prezent bożonarodzeniowy dla rodziców, którzy mieszkali w Pensacola na Florydzie. Otrzymali go pocztą tego samego dnia, kiedy przyszli do nich dwaj żołnierze, aby powiadomić ich o śmierci syna.

Pomijając wyrzuty sumienia, byłem potwornie wkurzony. Niczym detektyw, którym miałem zostać w przyszłości, przeprowadziłem prywatne śledztwo, zawężając listę podejrzanych do dwóch osób. Wszedłem do ich gabinetu, złapałem obu gości za kłapy, przycisnąłem do ściany i zacząłem na zmianę ich okładać. Nie przestałem, dopóki nie odciągnięto mnie siłą. Miałem zupełnie gdzieś, że mogę trafić przed sąd wojskowy. Według mnie to oni odpowiadali za śmierć mojego przyjaciela.

Tymczasem rozprawa przed sądem wojskowym byłaby kłopotliwa dla armii, ponieważ sędziowie musieliby się jakoś odnieść do zarzutów, które oficjalnie postawiłbym obu mężczyznom. W tamtym czasie Stany Zjednoczone powoli wycofywały wojska z Wietnamu i armia oferowała możliwość przejścia do cywila rekrutom, którym nie pozostało wiele do końca służby, zatem dział kadr rozwiązał problem, zwalniając mnie ze służby kilka miesięcy przed terminem.

Miałem już wtedy zrobiony licencjat, zdążyłem zacząć studia magisterskie na wydziale psychologii pracy. Po odejściu z wojska dostałem od państwa zapomogę i wynająłem pozbawione okien mieszkanie w suterenie w Clovis. Płaciłem siedem dolarów czynszu tygodniowo i toczyłem regularne potyczki z zastępami siedmiocentymetrowych karaluchów, które ruszały do ataku za każdym razem, gdy wchodziłem do środka i włączałem światło. Pozbawiony dostępu do infrastruktury bazy wojskowej, zapisałem się na tanią, podupadającą siłownię, przypominającą atmosferą i wystrojem moje mieszkanie.

Jesienią 1970 roku poznałem na siłowni niejakiego Franka Hainesa, agenta FBI prowadzącego jednoosobową rezydenturę w Clovis. Zaprzyjaźniliśmy się, zresztą okazało się, że Frank słyszał o mnie od emerytowanego dowódcy bazy. Zaczął mnie namawiać, abym wstąpił do FBI. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie przeszło mi przez myśl, aby zostać przedstawicielem prawa. Po ukończeniu studiów zamierzałem rozpocząć karierę jako psycholog pracy. Posada w dużej firmie, rozwiązywanie problemów kadrowych, udzielanie pomocy pracownikom, wspieranie osób nieradzących sobie ze stresem – wszystko to miało mi zagwarantować spokojną, przewidywalną przyszłość. W bezpośredni kontakt z FBI wszedłem tylko raz, w Montanie, kiedy skradziono mi odesłany do domu bagaż. Zgłosił się do mnie jakiś agent, podejrzewający, że ukartowałem całą sprawę, aby wyłudzić odszkodowanie. W końcu dał mi spokój. Uznałem, że jeśli agenci FBI zajmują się tego rodzaju sprawami, to ich praca musi być naprawdę nudna.

Tymczasem Frank uparcie przekonywał, że jestem dobrym materiałem na

agenta, i raz po raz zachęcał mnie do złożenia podania. Kilka razy zaprosił mnie na obiad do swojego domu, przedstawił żonie i synowi, pokazał służbową broń i czek z pensją. Nie mogłem mu dorównać w żadnej z tych rzeczy. W porównaniu z moją nędzną egzystencją Frank żył jak król. Postanowiłem spróbować sił w FBI.

Frank został w Nowym Meksyku, ale wiele lat później nasze drogi ponownie się przecięły, kiedy przyjechałem złożyć zeznania w procesie o brutalne morderstwo kobiety, której ciało spalono, aby uniemożliwić identyfikację. Jesienią 1970 roku nie potrafiłbym sobie nawet wyobrazić takiego rozwoju wypadków.

Frank wysłał moje podanie do biura FBI w Albuquerque. Dostałem do rozwiązania standardowy test z prawa dla osób niemających wykształcenia w tej dziedzinie. Choć byłem wysportowany i miałem muskularną budowę ciała, moje sto kilogramów oznaczało, że o jedenaście przekraczam przyjęty w FBI limit dla agentów o wzroście sto osiemdziesiąt osiem centymetrów. Jediną osobą w FBI, która mogła sobie pozwolić na przekroczenie limitów wagowych, był legendarny dyrektor John Edgar Hoover. Przez następne dwa tygodnie zbijałem wagę, żywiąc się wyłącznie galaretką i jajkami na twardo. Musiałem też trzykrotnie odwiedzić fryzjera, zanim moja fryzura stała się odpowiednia do zdjęcia legitymacyjnego.

Wreszcie w listopadzie zaproponowano mi próbny staż z pensją 10 869 dolarów. Nareszcie mogłem wyprowadzić się z przygnębiającej klitki w suterenie. Ciekawe, co bym wtedy pomyślał, gdybym mógł przewidzieć, że większą część życia spędzę w innym, pozbawionym okien pomieszczeniu pod ziemią, badając znacznie bardziej przygnębiające sprawy.

ROZDZIAŁ 3

Hazard a krople deszczu na szybie

Wielu się ubiega, nieliczni zostają wybrani.

Tę prawdę włączano do głów wszystkim nowym rekrutom. Niemal każdy człowiek zainteresowany karierą stróża prawa próbuje prędzej czy później zostać agentem specjalnym FBI, ale udaje się to tylko najlepszym z najlepszych. Długa i szacowna tradycja Biura sięga roku 1924, kiedy mało znany prawnik z administracji publicznej John Edgar Hoover objął kierownictwo tej skorumpowanej, niedofinansowanej i źle zarządzanej instytucji. Kiedy wstępowałem do FBI, znany z kwadratowej szczęki i żelaznej pięści Hoover – wówczas siedemdziesięcioletni – nadal kierował organizacją, która wtedy cieszyła się już szacunkiem. Mieliśmy świadomość, że nie wolno nam zawieść oczekiwań przełożonych.

Telegram wysłany przez dyrektora nakazywał mi stawić się w pokoju numer 625 w biurowcu Old Post Office Pavilion na Pennsylvania Avenue w Waszyngtonie o dziewiątej rano 14 grudnia 1970 roku. Miałem rozpocząć czternastotygodniowe szkolenie i ze zwykłego obywatela przekształcić się w agenta specjalnego FBI. Wcześniej odwiedziłem rodziców na Long Island. Ojca wprost rozpiełała duma i wywiesił przed domem amerykańską flagę. Ponieważ po kilku latach służby w wojsku nie miałem żadnych eleganckich ubrań, ojciec pożyczył mi trzy „regulaminowe” ciemne garnitury – granatowy, czarny i brązowy, białe koszule i dwie pary skórzanych butów, czarne i brązowe.

Następnie zawiózł mnie do Waszyngtonu, abym nie spóźnił się pierwszego dnia do pracy.

Dość szybko przyswoiłem sobie rytuał i tradycję FBI. Agent specjalny prowadzący uroczystość zaprzysiężenia nakazał, abyśmy wyjęli złote odznaki i spoglądali na nie podczas wypowiedzania słów przysięgi. Wpatrując się w podobiznę kobiety mającej opaskę na oczach i wagę w dłoni, uroczyście przysięgliśmy chórem bronić Konstytucji Stanów Zjednoczonych przed wszelkimi wrogami, zewnętrznymi i wewnętrznymi. „Unieście je do góry! Do góry!”, wołał prowadzący, dopóki wszyscy nie mieliśmy przed oczami Temidy.

Mój rocznik nowych agentów składał się wyłącznie z białych mężczyzn. W 1970 roku FBI zatrudniało niewielu czarnych agentów i nie zatrudniało kobiet. Sytuacja zaczęła powoli ulegać zmianie dopiero po zakończeniu długich rządów Hoovera, który nawet zza grobu wywierał potężny wpływ na funkcjonowanie Agencji. Większość nowych agentów miała między dwadzieścia dziewięć a trzydzieści pięć lat. Jako dwudziestopięcioletek należałem do najmłodszych.

Ostrzegano nas przed zakusami sowieckich agentów, którzy mogli próbować werbunku albo wyciągać od nas jakieś tajemnice. Sowieccy agenci czaili się podobno dosłownie wszędzie. Ostrzegano nas zwłaszcza przed kobietami! Pranie mózgu było tak skuteczne, że nie umówiłem się na randkę z niezwykle piękną kobietą, która pracowała ze mną w jednym budynku i sama zaproponowała wspólny obiad. Obawiałem się, że tak naprawdę ktoś chce przetestować moją lojalność.

Akademia FBI w bazie piechoty morskiej w Quantico w stanie Wirginia nie była jeszcze ukończona i oddana do użytku, dlatego przeszkolenie z posługiwania się bronią i sprawdzian sprawności fizycznej zorganizowano w Old Post Office Pavilion w Waszyngtonie.

Już na samym początku każdy kursant słyszy, że agent FBI strzela tylko po to, by zabić. Do przyjęcia tej zasady doprowadziło precyzyjne i logiczne

rozumowanie: kto sięga po broń, musiał już wcześniej podjąć decyzję, że zamierza strzelić, a do tego upoważniają wyłącznie okoliczności wymagające pozbawienia kogoś życia. W tak nerwowej sytuacji człowiek zazwyczaj nie ma czasu na rozważania, w które miejsce powinien trafić przeciwnika albo czy należy go aresztować, czy może jednak zastrzelić. Agentowi FBI nie wolno niepotrzebnie ryzykować bezpieczeństwa własnego lub osoby, którą chce obronić.

Równie starannie przeszkolono nas z prawa karnego, analizy odcisków palców, przestępstw przy użyciu przemocy, przestępstw gospodarczych, technik aresztowania, rodzajów broni, walki wręcz i roli, jaką FBI odgrywało w historii sił porządkowych Stanów Zjednoczonych. Jedne z najbardziej pamiętnych zajęć przeprowadzono niemal na samym początku. Nazwaliśmy je szkoleniem z bluzgania.

– Drzwi zamknięte? – spytał instruktor, a następnie wręczył każdemu kartkę z listą wyrazów. – Macie się dokładnie zapoznać z tymi słowami.

Jeśli dobrze pamiętam, lista zawierała takie perełki anglosaskiej mowy, jak: pierdolić, kurwa, cunnilingus, fellatio, cipa i chuj. Mieliśmy się ich nauczyć na pamięć, a gdyby kiedykolwiek zaszła potrzeba posłużenia się nimi podczas wykonywania obowiązków – na przykład w trakcie przesłuchiwania podejrzanego – to już sami będziemy wiedzieli, co zrobić. Chodziło o to, że każdy raport zawierający jakiegokolwiek z tych słów należało przekazać – nie żartuję! – specjalnej „stenografce od wulgaryzmów”, a nie zwykłej sekretarce. Stenografką od wulgaryzmów była zazwyczaj starsza, dojrzała i doświadczona kobieta, na której tego rodzaju terminologia nie robiła większego wrażenia. Przypominam, że w tamtych czasach agentami FBI byli wyłącznie mężczyźni, a wrażliwość obowiązująca w 1970 roku różniła się nieco od dzisiejszej, przynajmniej w FBI pod rządami Hoovera. Zrobiono nam wręcz dyktando z pisowni tych słów. Prace oceniono, a następnie, jak podejrzewam, spalono w metalowym kubku na śmieci.

Mimo tego rodzaju głupstw przepełniała nas idealistyczna chęć walki z przestępczością. Wszyscy wierzyliśmy, że możemy zmienić świat.

Mniej więcej w połowie szkolenia zostałem wezwany do biura zastępcy kierownika działu szkoleń Joego Caspera, jednego z zaufanych ludzi Hoovera. W FBI nazywano go Przyjaznym Duchem, choć bez wątpienia było to raczej ironiczne niż pieszczotliwe określenie. Casper poinformował mnie, że generalnie radzę sobie dobrze, ale dostałem bardzo słabą ocenę z komunikacji wewnątrzagencji – metodologii i nomenklatury pozwalającej komunikować się ze sobą różnym komórkom FBI.

– Chcę być najlepszy ze wszystkich, panie dyrektorze – zapewniłem. O takich zapaleńcach mówi się, że niebieskie płomienie buchają im z tyłka. Mogli oni co prawda liczyć na szybszy awans i zawrotną karierę, ale jeżeli w którymkolwiek momencie dali ciała, czekał ich bolesny publiczny upadek.

Casper był surowy, ale nie głupi; widział już wielu napalonych kadetów.

– Chcesz być najlepszy? No to trzymaj! – powiedział, rzucając w moją stronę podręcznik ze wszystkimi terminami używanymi w FBI. Kazał mi wkuć całość w trakcie przerwy świątecznej.

O spotkaniu z Casperem usłyszał Chuck Lundsford, jeden z dwóch opiekunów naszego rocznika.

– Co mu powiedziałeś? – spytał, a kiedy zdałem relację z rozmowy, wzniósł tylko oczy do nieba. Obaj wiedzieliśmy, że wpakowałem się w niezłe tarapaty.

Na święta pojechałem do rodziców. Kiedy reszta domowników świętowała w najlepsze, ja siedziałem z nosem w podręczniku. Trudno było to nazwać odpoczynkiem.

Na początku stycznia, przepełniony niepokojem, wróciłem do Waszyngtonu. Dostałem do wypełnienia pisemny test. Kamień spadł mi z serca, gdy dowiedziałem się od Charliego Price'a, drugiego z naszych opiekunów, że miałem 99 procent poprawnych odpowiedzi.

– Tak naprawdę miałeś 100 procent – wyszeptał mi na ucho – ale zdaniem

Hoovera nikt nie jest doskonały.

Mniej więcej w połowie czternastotygodniowego szkolenia musieliśmy zadeklarować, w którym mieście chcielibyśmy rozpocząć pracę. Większość agentów FBI dostaje przydział do jednego z pięćdziesięciu dziewięciu biur terenowych rozsianych na terenie całego kraju. Uznałem, że w wyborze powinienem wykazać się pewną dozą przebiegłości, ponieważ cała operacja przypomina gigantyczną partię szachów między nowymi rekrutami a centralą. Jak zwykle starałem się postawić na miejscu przeciwnika. Pochodziłem z Nowego Jorku i niespecjalnie miałem ochotę tam wracać. Uznałem, że większość ludzi złoży podania o przydział do Los Angeles, San Francisco, Miami, a zapewne również Seattle i San Diego. Ja postawiłem na jedno z mniejszych miast, dzięki czemu zwiększałem swoje szanse na to, że trafię w wybrane przez siebie miejsce.

Wybrałem Atlantę. Trafiłem do Detroit.

Po ukończeniu szkolenia każdy z nas otrzymał odznakę, dziesięciopalcowy rewolwer Smith & Wesson kalibru .38, sześć pocisków oraz polecenie niezwłocznego opuszczenia miasta. Centrala obawiała się, że świeżo upieczeni agenci narozrabiają w Waszyngtonie tuż pod nosem Hoovera, wystawiając złe świadectwo całej Agencji.

Poza wymienionymi przedmiotami otrzymałem również broszurkę zatytułowaną *Jak przetrwać w Detroit*. Miasto należało do najbardziej spolaryzowanych w kraju, nie zdążyło się jeszcze otrząsnąć po krwawych zamieszkach na tle rasowym z 1967 roku, a dzięki ponad ośmiuset morderstwom popełnianym każdego roku mogło ubiegać się o tytuł amerykańskiej stolicy przestępczości. W Biurze urządzaliśmy nawet makabryczne zakłady, ile dokładnie zabójstw zostanie odnotowanych do końca roku. Jak większość nowych agentów rozpocząłem służbę z ogromnym zapasem idealizmu i entuzjazmu, niemniej szybko zrozumiałem, z jakim przeciwnikiem przyszło nam się zmierzyć. Miałem za sobą co prawda cztery lata służby w lotnictwie, ale

moje doświadczenie bojowe ograniczało się do rozmów z rannymi weteranami z Wietnamu, z którymi leżałem łożko w łożko w szpitalu, czekając na operację nosa kontuzjowanego podczas gry w futbol lub walki bokserskiej. Przed przyjazdem do Detroit nie doświadczyłem sytuacji, aby ktoś traktował mnie jak swojego wroga, tymczasem w wielu dzielnicach do FBI odnoszono się z nienawiścią, ponieważ Biuro umieszczało agentów w kampusach uniwersyteckich i oplótło miasto siecią informatorów. Przemierzając się po ulicach ponurymi czarnymi samochodami, czuliśmy się napiętnowani. W wielu miejscach na powitanie leciały w naszą stronę kamienie. Nie przepadały za nami również owczarki niemieckie i dobermanym mieszkańców. Młodych agentów ostrzegano, aby nie zapuszczali się w niektóre rejony miasta bez silnego wsparcia i broni palnej.

Sympatią nie darzyła nas również lokalna policja, która oskarżała FBI o „przywłaszczanie” sobie spraw, informowanie prasy o przebiegu śledztw przed ich zakończeniem oraz wliczanie do własnych statystyk wykrywalności przestępstw, których sprawcy zostali schwytani przez policję. Jak na ironię, właśnie w roku 1971, czyli z grubsza w czasie pierwszego roku mojej służby, FBI zatrudniło tysiąc nowych agentów, a większość naszych szkoleń z pracy w terenie prowadzili nie instruktorzy agencji, ale lokali gliniarze. Sukcesy mojego pokolenia agentów można z pewnością przypisać w znacznej mierze profesjonalizmowi i wspinałomyślności policjantów z całych Stanów Zjednoczonych.

W Detroit wyjątkowo często rabowano banki. W piątki, kiedy oddziały gromadziły gotówkę przeznaczoną na realizację czeków z tygodniówkami, dochodziło średnio do dwóch–trzech napadów, a czasami było ich nawet pięć. Dopóki banki w Detroit nie zaczęły powszechnie montować szyb kuloodpornych, zatrwając wielu kasjerów ginęło lub odnosiło rany. Dysponowaliśmy nagraniem z monitoringu, na którym kierownik oddziału został zastrzelony przy swoim biurku – zupełnie jakby to była egzekucja –

podczas gdy naprzeciwko siedziała, przyglądając się temu bezsilnie, przerażona para klientów, którzy przyszli złożyć podanie o kredyt. Napastnika zirytowało, że kierownik nie potrafił otworzyć sejfu zabezpieczonego zamkiem czasowym. W strachu żyli zresztą nie tylko pracownicy banków, z których złodzieje wynosili nawet kilkadziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. W niektórych dzielnicach równie niebezpieczna mogła być praca w McDonaldzie.

Zostałem przydzielony do wydziału kryminalnego zajmującego się – w odróżnieniu od prewencji – przestępstwami, które zostały już popełnione, na przykład napadami na banki lub wymuszeniami, a w jego ramach do Oddziału Ścigania Osób Ukrywających się przed Wymiarom Sprawiedliwości (Unlawful Flight to Avoid Prosecution, UFAP). Udział w licznych akcjach w terenie wiele mnie nauczył. Poza zakładami dotyczącymi liczby morderstw, w których brali udział wszyscy pracownicy biura, w naszej jednostce trwała rywalizacja, komu uda się jednego dnia dokonać największej liczby aresztowań. Przypominaliśmy salon samochodowy, w którym pracownicy konkurują o to, kto sprzeda więcej wozów.

Bardzo często dokonywaliśmy aresztowań na podstawie paragrafu 42, kategoria: dezercerzy. Wojna w Wietnamie podzieliła opinię publiczną; kto uciekł z wojska, za nic w świecie nie chciał do niego z powrotem trafić. Spośród wszystkich osób podpadających pod paragraf 42 najczęściej napaści na przedstawicieli prawa notowaliśmy właśnie ze strony dezercerów.

Po raz pierwszy zetknąłem się z tym problemem, kiedy wytropiłem żołnierza, który zbiegł ze służby i zatrudnił się w warsztacie samochodowym. Pokazałem mu odznakę i sądziłem, że bez oporu pójdzie ze mną na posterunek. On niespodziewanie wyciągnął spiłowany, własnej roboty nóż z owijką z czarnej taśmy klejącej w miejscu uchwytu. Odskoczyłem do tyłu, o włos unikając zranienia. Zaraz potem rzuciłem się na niego, pchnąłem go na szklaną bramę, przydusiłem do ziemi i wykręciwszy mu rękę, w której trzymał nóż, przystawiłem lufę pistoletu do jego głowy. Kierownik warsztatu mnie zbluzgał,

bo pozbawiam go dobrego pracownika. W co ja się, do cholery, wpakowałem? Chyba nie tak wyobrażałem sobie swoją karierę zawodową. Czy warto ryzykować własną skórę, aresztując tego rodzaju szumowiny? Psychologia pracy nagle wydała się niezwykle atrakcyjnym pomysłem.

Ściganie dezertersów często spotykało się z gwałtownymi emocjonalnymi reakcjami, a także rodziło urazy między armią a FBI. Zdarzało się, że ustalaliśmy miejsce pobytu jakiegoś zbiega i łapaliśmy go prosto na ulicy. On wpadał we wściekłość, pukał się w protezę nogi i mówił, że dostał Purpurowe Serce i Srebrną Gwiazdę za rany odniesione w Wietnamie. O co chodziło? Otóż dezertersów, którzy dobrowolnie zgłosili się z powrotem do bazy lub zostali złapani przez żandarmerię, z reguły odsyłano za karę do Wietnamu. Wielu z nich dokonywało tam bohaterskich czynów – problem w tym, że armia nas o tym nie informowała. W naszych aktach wciąż figurowali jako dezertersy. Strasznie nas takie sytuacje wkurzały.

A bywało jeszcze gorzej. Czasami udawaliśmy się pod adres figurujący w dokumentach zbiega, gdzie wściekła wdowa lub matka informowała nas przez łązy, że człowiek ów zginął śmiercią bohaterską. Armia nie raczyła nas o tym powiadomić, więc nadal go ścigaliśmy.

Kiedy człowiek zdobędzie już pewne doświadczenie w swoim zawodzie, zaczyna zdawać sobie sprawę ze wszystkich istotnych problemów i drobiazków, o których nie powiedziano mu w szkole czy na szkoleniu. Weźmy taką kwestię: co należy zrobić z pistoletem w różnych sytuacjach, na przykład podczas korzystania z kabiny w publicznej toalecie? Czy zostawia się go w kaburze, która spoczywa wtedy na ziemi? Wieszka na drzwiach? Ja przez jakiś czas kładłem go na kolanach, ale było to bardzo stresujące. Z takimi problemami zmagają się wszyscy, tyle że nikt nie ma odwagi zapytać o radę bardziej doświadczonych kolegów. Akurat mnie broń służbowa przysporzyła realnych problemów.

Kiedy przeprowadziłem się do Detroit, kupiłem volkswagena garbusa. Jak na

ironię, był to ulubiony samochód coraz większej liczby seryjnych morderców. Jeździł nim między innymi Ted Bundy i także na tej podstawie go zidentyfikowano. Pewnego dnia pojechałem do centrum handlowego, aby kupić garnitur. Wiedząc, że czeka mnie wizyta w przymierzalni, postanowiłem zostawić pistolet w bezpiecznym miejscu. Włożyłem go do schowka w samochodzie i poszedłem na zakupy.

Warto w tym miejscu wspomnieć o kilku ciekawych cechach volkswagena garbusa. Ponieważ silnik znajdował się z tyłu samochodu, zapasowe koło leżało w bagażniku pod przednią maską. Garbusy były w tamtych czasach niezwykle popularne, więc zapasowe koła kradziono z nich niezwykle często, również dlatego, że łatwo się było do tego samochodu włamać. Na koniec najistotniejsza informacja: bagażnik otwierało się za pomocą przycisku umieszczonego w schowku.

Reszty łatwo się domyślić. Po powrocie na parking zobaczyłem, że w moim samochodzie wybito szybę. Natychmiast zrekonstruowałem przebieg tego niezwykle wyrafinowanego przestępstwa: złodziej włamał się do samochodu i otworzył schowek, aby dostać się do zapasowego koła w bagażniku, wtedy jednak dostrzegł znacznie cenniejszy łup. Wydedukowałem to z faktu, iż pistolet zniknął, a opona wciąż znajdowała się w bagażniku.

„O kurwa! – pomyślałem. – Nie przepracowałem jeszcze trzydziestu dni, a już zacząłem zaopatrywać przeciwnika w broń palną!” Wiedziałem, że za zgubienie broni lub odznaki otrzymuje się automatycznie naganą. Poszedłem do szefa mojego oddziału Boba Fitzpatricka, chłopca jak dąb, który był dla nas wszystkich jak ojciec. Zawsze ubierał się elegancko, a w FBI był żywą legendą. Moja kariera wisiała na włosku, ale Bob wiedział, że jest mi strasznie wstyd. Zgubienie służbowej broni należało zgłosić w biurze dyrektora, na domiar złego informacja o tym fakcie byłaby pierwszym wpisem w moich aktach osobowych. Fitzpatrick powiedział, że trzeba wymyślić wiarygodne usprawiedliwienie: nie chciałem ryzykować wzbudzenia paniki w sklepie, do czego mogłoby dojść,

gdyby klienci niespodziewanie zobaczyli u mnie broń i pomyśleli, że są świadkami napadu. Fitzpatrick pocieszył mnie, że przez najbliższe dwa lata i tak nie mógłbym awansować, więc nagana mi nie zaszkodzi. Musiałem tylko od tej pory trzymać się z daleka od kłopotów.

Na tym właśnie się skoncentrowałem, choć skradziona broń nie dawała mi spokoju przez długi czas. Smith & Wesson model 10, który zdałem w zbrojowni w Quantico niemal dwadzieścia pięć lat później, odchodząc na emeryturę, był egzemplarzem zastępczym. Dzięki Bogu, skradzionego pistoletu nie powiązano nigdy z żadnym przestępstwem. Po prostu zniknął, i tyle go widziałem.

Mieszkałem z dwoma innymi nieżonatymi agentami, Bobem McGonigelem i Jackiem Kunstem, w domu jednorodzinnym w Taylor, miejscowości przylegającej od południa do Detroit. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy, a Bob został później świadkiem na moim ślubie. Miał również nierówno pod sufitem. Nosił garnitury z gnieczonego weluru i lawendowe koszule – nawet podczas inspekcji. Można było odnieść wrażenie, że jako jedyny w całym FBI nie bał się Hoovera. W przyszłości miał otrzymać zadanie infiltracji pewnego środowiska przestępczego i przez cały tamten czas nie mógł nosić garniturów.

W FBI zaczynał od stanowiska urzędniczego, a do pozycji agenta doszedł „od środka”. Niektórzy z najlepszych agentów FBI przeszli tę samą drogę (wielu z nich sam wybrałem do Jednostki Wsparcia Dochodzeń), niemniej w pewnych kręgach nie darzono ich szacunkiem, posądzając – niesłusznie – o to, że okazano im specjalne względy podczas naboru.

Bob był niezrównanym specjalistą od „telefonów zza węgła”, wymyślonej przez nas proaktywnej techniki łapania przestępców. Sprawdziała się najlepiej wtedy, gdy ważną rolę odgrywał element zaskoczenia.

Bob po mistrzowsku naśladował najróżniejsze akcenty. Jeżeli podejrzany należał do mafii, Bob mówił z włoskim akcentem. Kiedy chodziło o Czarne Pantery, zamieniał się w luzaka z ulicy. Potrafił również wcielić się w osobę

z religijnej organizacji afroamerykańskiej Nation of Islam, Irlandczyka, Żyda imigranta i bogatego białego Amerykanina. Nie tylko perfekcyjnie naśladował akcent, ale dostosowywał do niego słownictwo i dykcję. O jego talencie może świadczyć fakt, że zdołał kiedyś przekonać przez telefon Joego Del Campo – agenta, o którym będzie mowa w następnym rozdziale – że należy do czarnej bojówki i chciałby zostać informatorem FBI. W tamtych czasach zachęcano nas do pozyskiwania źródeł informacji wśród mieszkańców, więc Joe sądził, że trafiła mu się prawdziwa gratka. Poszedł na spotkanie, ale nikt się nie zjawił. Następnego dnia mocno się wkurzył, kiedy Bob powitał go swoim udawanym głosem.

Poza łapaniem kryminalistów coraz bardziej ciekawiło mnie, jakie procesy myślowe popychają ludzi do popełniania przestępstw. Każdą aresztowaną osobę przepytywałem, dlaczego napadła akurat na ten bank albo dlaczego wybrała daną osobę na swoją ofiarę. Wiedzieliśmy już wtedy, że złodzieje najchętniej napadają na banki w piątki po południu, ponieważ w kasach znajdowało się wtedy najwięcej gotówki. Mnie interesowały inne czynniki, które wpływały na planowanie i przebieg samego skoku.

Zauważyłem, że nie działałam na ludzi onieśmielająco: chętnie mi się zwieriali, podobnie jak w szkole. Im dłużej słuchałem ich odpowiedzi, tym większego nabierałem przekonania, że najlepsi przestępcy są dobrymi profilerami. Analizowali wiele oddziałów banków i ostatecznie wybierali ten o najbardziej odpowiadającym im charakterze. Jedni woleli oddziały położone przy ruchliwych miejskich arteriach lub autostradach, ponieważ po dokonaniu skoku mogli uciec daleko, zanim policja zdążyła ruszyć w pościg. Inni woleli małe banki, położone na uboczu, na przykład prowizoryczne oddziały urządzone w przyczepach kempingowych. Wielu złodziei przeprowadzało przed napadem rekonesans, aby zorientować się w rozkładzie pomieszczeń, określić liczbę pracowników oraz klientów, którzy mogli przebywać w środku o określonej

godzinie. Niektórzy potrafili szukać tak długo, aż znaleźli oddział, w którym nie pracował żaden mężczyzna. Najbardziej zagrożone były budynki pozbawione okien wychodzących na ulicę, ponieważ żaden przechodzień nie mógł zostać przypadkowym świadkiem napadu, a osoby znajdujące się w środku nie były w stanie zidentyfikować samochodu, którym uciekli złodzieje. Wytrawni złodzieje uważali, że zamiast obwieszczać na głos, że to napad, i wymachiwać bronią, należy podać kasjerowi kartkę ze stosowną informacją – musieli tylko pamiętać o zabraniu jej później ze sobą, aby nie wpadła w ręce policji. Uciekać należało kradzionym samochodem, najlepiej zaparkowanym przed bankiem z dużym wyprzedzeniem, a nie na oczach świadków. Złodzieje przychodzili pod bank na piechotę, a po udanym skoku odjeżdżali. Zdarzali się i tacy, którzy obserwowali oddział, na który wcześniej napadli, a jeśli nic w nim nie zmieniono, rabowali go ponownie kilka miesięcy później.

Ze wszystkich budynków użyteczności publicznej banki są chyba najlepiej zabezpieczone przed złodziejami. Podczas śledstw, które prowadziliśmy po napadzie, nie mogłem się nadziwić, jak często zapomniano włożyć kasetę do urządzenia nagrywającego obraz z kamer, w ilu przypadkach zapomniano ponownie ustawić cichy alarm po jego przypadkowym uruchomieniu albo włączano go tak często, że w trakcie napadu policja przyjeżdżała z opóźnieniem, sądząc, że chodzi o kolejną pomyłkę. Równie dobrze można było wywiesić na drzwiach tabliczkę z napisem: „Bank przyjazny dla złodziei”, ponieważ co bardziej zorientowani wyczuwali takie zaniedbania na kilometr.

Tymczasem wystarczyło „sprofilować” napady na banki – wówczas nie posługiwałem się jeszcze tym terminem – aby dostrzec pewne prawidłowości. A kiedy zaczyna się dostrzegać prawidłowości, można podjąć działania zaradcze. Jeśli wszystkie napady na banki miały ze sobą coś wspólnego, a rozmowy ze sprawcami pozwalają zrozumieć, dlaczego każdy ze skoków wyglądał tak, a nie inaczej, można zamontować widoczne gołym okiem zabezpieczenia we wszystkich oddziałach spełniających požądane przez złodziei

kryteria – we wszystkich z wyjątkiem jednego, który bierze się pod stałą obserwację policji i/lub FBI i w którym umieszcza się tajniaków udających klientów. W ten sposób można skłonić rabusiów do wybrania określonego banku, w którym czeka na nich ekipa powitalna. Po wprowadzeniu tej taktyki odsetek udaremnionych napadów na banki znacząco wzrósł.

Nad wszystkimi naszymi działaniami – podobnie jak nad wszystkimi posunięciami naszych poprzedników od 1924 roku – unosił się duch Johna Edgara Hoovera. Dziś, w czasach częstych zmian na wysokich stanowiskach państwowych oraz rządów opinii publicznej, trudno pojąć, jak wielką władzę dysponował Hoover; zresztą nie tylko nad FBI, ale nad najważniejszymi osobami w państwie, mediami oraz społeczeństwem. Kto chciał napisać książkę lub scenariusz poświęcony FBI (w rodzaju bestsellera Dona Whiteheada z lat pięćdziesiątych *The FBI Story* lub nakręconego na jego podstawie popularnego filmu z Jamesem Stewartem) albo wyprodukować serial (jak *The F.B.I.* z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych z Efrem Zimbalistem juniorem w roli głównej), musiał najpierw zdobyć pozwolenie i błogosławieństwo samego Hoovera. Przedstawiciele elit politycznych ani na chwilę nie opuszczał lęk, że dyrektor „coś na nich ma”, zwłaszcza jeśli pewnego dnia dzwonił i przyjacielskim tonem informował, że FBI „odkryło” krępujące informacje na temat owego polityka, ale on jako szef Biura postara się zrobić wszystko, co w jego mocy, aby nigdy nie zostały upublicznione.

Aura tajemniczości otaczająca Hoovera nie osiągała nigdzie większego natężenia niż w oddziałach terenowych FBI oraz wśród kadry kierowniczej. Powszechnie uważano, że FBI właśnie dzięki Hooverowi cieszy się tak wielkim prestiżem. Niemal od podstaw zbudował Agencję i niezmordowanie walczył o powiększenie budżetu oraz podwyżki dla pracowników. Ludzie go podziwiali, a jednocześnie się go bali. Kto nie miał o nim najlepszego zdania, trzymał język za zębami. W FBI panowała żelazna dyscyplina, a po każdej kontroli biura terenowego leciały głowy. Gdyby inspektorzy nie wskazali dostatecznie wielu

spraw wymagających ulepszenia, Hoover mógłby nabrać podejrzeń, że nie wykonują swoich obowiązków z dostateczną skrupulatnością. Każda kontrola kończyła się naganami, nawet jeśli nie było ku nim podstaw. W tej samej sytuacji znajduje się policjant drogówki, który musi wystawić codziennie określoną liczbę mandatów. Doszło do tego, że kierujący biurami terenowymi agenci szukali kozłów ofiarnych – ludzi, którym nagany nie mogły zaszkodzić, ponieważ i tak nie mogli w najbliższym czasie awansować.

Mając w pamięci tragiczny zamach na budynek rządowy w Oklahoma City w 1995 roku, trudno żartować z fałszywego alarmu o podłożeniu bomby w naszym biurze, który ogłoszono zaraz po jakiejś kontroli. Po przesłедzeniu połączenia ustalono, że telefon wykonano z budki stojącej przed budynkiem; poza biurem FBI mieściły się tam również inne agencje federalne. Przedstawiciel centrali, który przyjechał na miejsce zaraz po incydencie, kazał rozmontować całą budkę i chciał porównać odciski palców na monetach z odciskami wszystkich trzystu pięćdziesięciu pracowników biura. Na nasze szczęście zwyciężył zdrowy rozsądek i zrezygnowano z tego pomysłu. To jeden z przykładów, jak wielki stres potrafiła wywoływać polityka Hoovera.

Choć nigdy nie spotkałem Hoovera osobiście, do dziś mam w biurze jego zdjęcie z autografem. A ponieważ w FBI istniała procedura na każdą okoliczność, dokładnie opisano również tryb, w którym młody agent mógł uzyskać zdjęcie dyrektora. Na polecenie szefa biura terenowego tenże młody agent miał poprosić sekretarkę o napisanie lizusowskiego listu, w którym rozwodził się na temat dumy z przynależności do FBI oraz podziwu dla pana Hoovera. Jeżeli list był sformułowany w odpowiedni sposób, agent otrzymywał zdjęcie z życzeniami sukcesów. Jako świadectwo osobistej więzi z liderem.

Pochodzenie niektórych procedur pozostawało dla nas całkowitą tajemnicą. Nie wiedzieliśmy, czy zostały sformułowane przez samego Hoovera, czy też były wynikiem nadgorliwej interpretacji woli dyrektora. Od pracowników oczekiwano pracy w nadgodzinach, a wszyscy mieli wyrabiać więcej godzin, niż

wynosiła średnia. Jestem pewien, że dostrzegacie ułomność tej zasady. Z miesiąca na miesiąc średnia przyrastała w tempie piramidy finansowej. Młodzi, wciąż jeszcze praworzadni agenci, musieli wpisywać fałszywe dane do kart pracy. W biurach nie wolno było palić ani pić kawy. Niczym armia komiwojażerów mieliśmy zakaz przesiadywania w biurze – obecności w budynku nie usprawiedliwiała nawet potrzeba wykonania telefonu. W rezultacie każdy znajdował pomysł na siebie. Ja większość spraw analizowałem w zaciszu biblioteki publicznej.

Jednym z największych wyznawców „Ewangelii według św. Edgara” był szef naszego biura Neil Welch, zwany Winogronkiem. Welch był wielkim, niemal dwumetrowym facetem w okularach w rogowej oprawie. Był typem człowieka surowego i opanowanego, bez krztyny serdeczności czy niezorganizowania. Wcześniej kierował między innymi oddziałami w Filadelfii i Nowym Jorku, a ze względu na liczne zasługi mówiono, że zastąpi Hoovera, kiedy (a dokładniej mówiąc: jeśli) ta nieuchronna chwila w końcu nadejdzie. W Nowym Jorku Welch stworzył oddział, który jako pierwszy odniósł sukces, wykorzystując przepisy federalnej ustawy o przestępczości zorganizowanej i korupcji (Racketeer Influenced and Corrupt Organizations Act). Kierując naszym biurem, przestrzegał ściśle regulaminu.

W nieunikniony sposób dochodziło do tarć między Welchem a Bobem McGonigelem. Pewnej soboty siedzieliśmy w domu, kiedy Bob otrzymał telefonicznie wiadomość, że Winogronko chce widzieć natychmiast jego oraz szefa naszego oddziału Boba Fitzpatricka. McGonigel pojechał do biura, gdzie usłyszał od Welcha, że ktoś regularnie dzwoni z naszego telefonu do New Jersey. Przepisy zabraniały załatwiania prywatnych spraw przez telefon służbowy, a choć przepis nie był całkowicie jednoznaczny, w FBI należało być ostrożnym na zapas.

Welch, który bywał wybuchowy, przeprowadził rozmowę, jakby to było przesłuchanie. Zaczął od kilku ogólnych pytań, a następnie przeszedł ostro do

sedna sprawy.

– No dobra, McGonigel, jak to było z tymi rozmowami?

Z obawy, że Welch chowa w zanadru poważniejszy zarzut, Bob przyznał się do wszystkich prywatnych rozmów, które tylko potrafił sobie przypomnieć. Liczył, że szczerością w błahej sprawie uśmierzy gniew szefa.

Welch wstał, pochylił swoje masywne ciało nad biurkiem i zaczął wygrażać palcem.

– McGonigel, wy mnie dobrze posłuchajcie. Macie u mnie przechlapane z dwóch powodów. Po pierwsze, byliście gryzipiórkami. A ja, kurwa, nienawidzę gryzipiórków! Po drugie, jeżeli jeszcze raz zobaczę was w lawendowej koszuli, zwłaszcza podczas inspekcji, przegonę tam i z powrotem po East Jefferson Avenue. A jeśli kiedykolwiek zobaczę was koło telefonu, polecicie szybem od windy dupskiem w dół. A teraz wynocha z mojego biura!

Bob wrócił do domu stłamszony, był pewien, że wyleci z pracy. Jack Kunst i ja szczerze mu współczuliśmy. Następnego dnia dowiedział się od Fitzpatricka, że po jego wyjściu on i Welch zaśmiewali się do rozpuku.

Kiedy kilka lat później awansowałem do Jednostki Wsparcia Dochodzeń, pytano mnie często, czy dzięki wiedzy na temat zachowań przestępców i analizie miejsca zbrodni którykolwiek z nas potrafiłby popełnić morderstwo doskonałe. Zawsze odpowiadałem przecząco: każdego prędzej czy później zdradziłoby zachowanie po popełnieniu zbrodni. Moim zdaniem sposób, w jaki Welch nabrał McGonigela, dowodzi, że nawet najwyższej klasy agent FBI nie jest odporny na odpowiednio zastosowane metody przesłuchań.

Tak na marginesie, od czasu rozmowy z szefem Bob nosił najbielsze koszule w mieście. A przynajmniej do czasu gdy Neil Welch został przeniesiony do Filadelfii.

Hooverowi udawało się pozyskiwać dodatkowe fundusze w Kongresie między innymi dzięki temu, że mógł się pochwalić korzystnymi statystykami.

Nie byłoby to możliwe bez odpowiednich wyników agentów działających w terenie.

Na początku 1972 roku Welch miał podobno obiecać dyrektorowi sto pięćdziesiąt aresztowań związanych z hazardem. Najwyraźniej w owym czasie należało poprawić statystyki akurat w tej kategorii przestępstw. Przygotowaliśmy niezwykle rozbudowaną prowokację z wykorzystaniem informatorów, podsłuchów i planu o niemal wojskowym rozmachu. Akcję mieliśmy przeprowadzić w niedzielę, gdy rozgrywano Super Bowl – właśnie w tym dniu przyjmowano najwięcej nielegalnych zakładów. Dallas Cowboys, którzy rok wcześniej ulegli nieznacznie Baltimore Colts, tym razem mieli zmierzyć się w Nowym Orleanie z Miami Dolphins.

Przy aresztowaniach bukmacherów liczyła się szybkość i precyzja, ponieważ posługiwali się papierem błyskowym (który spala się w mgnieniu oka) lub ziemniaczanym (który rozpuszcza się w wodzie). Jeszcze przed rozpoczęciem operacji podejrzewaliśmy, że zapanuje chaos, ponieważ przez cały dzień nad miastem przechodziły przelotne opady.

Aresztowaliśmy wtedy ponad dwustu hazardzistów. Po akcji wiozłem na tylnym siedzeniu skutego kajdankami podejrzanego. Miałem odstawić go do naszej zbrojowni, gdzie spisywaliśmy wszystkich aresztantów. Gość miał ujmującą osobowość, do tego był przystojny – przypominał Paula Newmana.

– Kiedy już będzie po wszystkim – stwierdził – musimy się umówić na racquetballa.

Wyglądał na rozmownego, więc zacząłem go przepytować, podobnie jak czyniłem ze złodziejami napadającymi na banki.

– Dlaczego zajmujesz się hazardem?

– Bo go uwielbiam – odparł. – Możesz nas wszystkich dziś aresztować, John, nic to nie zmienia.

– Ktoś tak inteligentny nie powinien mieć problemu z legalnym zarabianiem pieniędzy.

Potrząsną głową, jakbym nadal nic nie rozumiał. Deszcz się wzmógł, a on wskazał głową na szybę samochodu.

– Widzisz te dwie krople spływające po szybie? – spytał. – Założę się, że ta po lewej dotrze na dół szyby szybciej. Nie potrzebujemy Super Bowl. Wystarczą nam zwykłe krople deszczu. Nie możecie nas powstrzymać, John, choćbyście nie wiem co wymyślili. Tacy już jesteśmy.

Ta krótka rozmowa podziałała na mnie niczym grom z jasnego nieba. Miałem poczucie, jakby łuski spadły mi z oczu. Z dzisiejszej perspektywy może to wyglądać na naiwność, ale dopiero wtedy zrozumiałem prawdziwy sens wszystkich rozmów, które prowadziłem ze złodziejami rabującymi banki i innymi przestępcami.

Tacy już jesteśmy.

Jakaś część umysłu i psychiki przestępcy przymusza go do takiego, a nie innego postępowania. Kiedy później rozpocząłem badania nad umysłami i motywacjami seryjnych morderców, kiedy zacząłem analizować miejsca zbrodni pod kątem wskazówek behawioralnych, szukałem zawsze pojedynczego elementu lub zestawu elementów wyróżniających tego konkretnego przestępcę, będących odbiciem tego, jaki był.

Po jakimś czasie stworzyłem termin „sygnatura” opisujący ów unikalny element oraz trwały przymus odczuwany przez przestępcę. Sygnatura różniła się od tradycyjnego pojęcia *modus operandi*, które ma charakter płynny i może podlegać zmianom. To odkrycie legło u podstaw poszukiwań, które prowadziliśmy później w Jednostce Wsparcia Dochodzeń.

Kilkaset osób, które zgarnęliśmy tamtej niedzieli podczas Super Bowl, musieliśmy później wypuścić. Sąd nie uznał aresztowań z powodów proceduralnych. Operację przygotowaliśmy w wielkim pośpiechu i nakazy rewizji podpisał zastępca prokuratora generalnego, a nie sam prokurator generalny. Mimo to Welch dostarczył Hooverowi statystyki, które pozostały ważne przynajmniej na tyle długo, aby wyrzeć odpowiedni efekt na Kapitolu.

Ja z kolei otrzymałem lekcję, która odegrała kluczową rolę w mojej karierze przedstawiciela prawa. A wszystko dzięki zakładowi, która kropla deszczu spłyne szybciej po szybie.

ROZDZIAŁ 4

Między dwoma światami

Sprawa miała rangę międzystanową. Wiosną 1971 roku ukradziono ciężarówkę whisky J&B o wartości około stu tysięcy dolarów. W Detroit pracowałem od sześciu miesięcy. Brygadzysta magazynu dał nam cynk, gdzie dojdzie do sprzedaży ukradzionego alkoholu.

Sprawę prowadziliśmy wspólnie z policją z Detroit, ale każdy z zespołów planował przebieg akcji samodzielnie. Rozmawiali ze sobą tylko zwierzchnicy, a ich ustalenia nie dotarły na poziom szeregowych funkcjonariuszy. Kiedy przyszedł czas aresztowań, żadna ze stron nie znała zamiarów drugiej.

Jest noc, peryferie miasta, poblizze torowiska. Prowadzę jeden z samochodów należących do kolumny FBI, obok mnie siedzi szef oddziału Bob Fitzpatrick. To jego informator dał nam cynk. Operacją kierował Bob McGonigel.

Przez radio słyhać komendę: „Wkraczamy! Wkraczamy!”. Wszystkie wozy hamują z piskiem opon, otaczając ciężarówkę. Kierowca otwiera drzwi, wyskakuje i rzuca się do ucieczki. Wsiadam, wyciągam broń i razem z agentem z drugiego wozu ruszam w pościg.

Jest ciemno, wszyscy mamy na sobie zwykłe ubrania; garnitury i krawaty zostawiliśmy w domach. Nigdy nie zapomnę błyszczących w ciemności oczu policjanta, który staje nagle na mojej drodze, celując we mnie z krótkiej strzelby.

– Stój! Policja! Rzuć broń! – woła. Dzieli nas nie więcej niż dwa i pół metra. Zatrzymuję się w miejscu. Dociera do mnie, że jeśli wykonam choćby jeden

niepotrzebny ruch, będzie po mnie.

Już mam rzucić broń i podnieść ręce do góry, kiedy słyszę głos Boba Fitzpatricka.

– On jest z FBI! To agent FBI! – wrzeszczy.

Policjant opuszcza strzelbę, a ja natychmiast rzucam się w pościg za kierowcą. Adrenalina buzuje mi w żyłach. Próbuję nadrobić stracone sekundy. Dopadamy kierowcę jednocześnie, ja i drugi agent, przewracamy go na ziemię i zakładamy mu kajdanki. Jesteśmy tak nakręceni, że przesadzamy nieco z brutalnością. Tych kilka sekund, kiedy tak niewiele dzieliło mnie od śmierci, należało do najbardziej przerażających chwil w moim życiu. Wracalem do nich później wielokrotnie, kiedy próbowałem wnikać w umysły ofiar gwałtów i morderstw. Wyobrażałem sobie, co myśleli i przeżywali w chwili ataku, a dzięki temu doświadczeniu mogłem łatwiej odtworzyć przebieg wydarzeń z perspektywy ofiar.

Większość młodych agentów wypruwała sobie żyły, starając się dokonywać możliwie największej liczby aresztowań, tymczasem wypaleni zawodowo weterani wyraźnie uważali, że taka szarpanina nie ma sensu. Wysokość pensji nie zależała od tego, czy nadstawiali karku, ponadto ich zdaniem wykazywanie się inicjatywą przystawało raczej komiwojażerom. Ponieważ zachęcano nas do pracy poza biurem, niektórzy agenci zajmowali się głównie oglądaniem wystaw sklepowych, przesiadywaniem w parku i czytaniem „Wall Street Journal”.

Jak na nadgorliwego złotodzioba przystało, sporządziłem notatkę służbową z propozycją wprowadzenia systemu wynagrodzeń promującego najbardziej produktywnych funkcjonariuszy. Przesłałem ją zastępcy szefa biura w Detroit Tomowi Naly’emu.

Tom wezwał mnie do gabinetu, zamknął drzwi, podniósł notatkę z biurka i uśmiechnął się dobrotliwie.

– Czym się tak przejmujesz, John? Będziesz dostawał wypłatę według jedenastego szczebla taryfikatora płac – powiedział, przedzierając kartkę na

pół. – Potem dwunastego – kontynuował, przedzierając ją ponownie. – A potem trzynastego.

Przedarł notatkę po raz kolejny i wybuchnął śmiechem.

– Nie próbuj wywracać wszystkiego do góry nogami – poradził na koniec i wrzucił strzępki papieru do kosza na śmieci.

Piętnaście lat później, długo po śmierci Johna Edgara Hoovera, kiedy jego duch przestał się unosić nad FBI (a przynajmniej nie w takim stopniu jak za życia), Agencja dojrzała do wprowadzenia zróżnicowanego systemu płac, choć wtedy uporali się z tym, rzecz jasna, już bez mojej pomocy.

Pewnego majowego wieczoru – z powodów, które wyjaśnię za chwilę, pamiętam dokładnie, że był to piątek, dzień po 17 maja – siedziałem jak zwykle z Bobem McGonigelem i Jackiem Kunstem w barze Jim's Garage, położonym naprzeciwko biura. W lokalu grała kapela rockowa, a my mieliśmy w głowach kilka piw za dużo. Nagle do środka weszła atrakcyjna dziewczyna w towarzystwie koleżanki. W pierwszej chwili skojarzyła mi się z młodą Sophią Loren. Miała na sobie modny w tamtych czasach strój – krótką niebieską sukienkę i skórzane buty sięgające za kolana.

– Hej, niebieska! Chodź tu do nas! – zawołałem i ku mojemu zaskoczeniu dziewczyna posłuchała. Nazywała się Pam Modica. Zaczęliśmy rozmawiać i żartować. Powiedziała, że akurat tego dnia wypadały jej dwudzieste pierwsze urodziny. Razem z przyjaciółką wyszły do miasta, aby po raz pierwszy napić się legalnie alkoholu. Miałem wrażenie, że spodobało jej się moje poczucie humoru. Później dowiedziałem się, że uznała mnie za przystojnego, ale nieco sztywnego z powodu krótko ostrzyżonych włosów (zgodnie z przepisami obowiązującymi urzędników federalnych). Wyszliśmy z Jim's Garage i przez resztę wieczoru włączyliśmy się od baru do baru.

W trakcie kolejnych dwóch tygodni mieliśmy okazję lepiej się poznać. Pam mieszkała w centrum miasta i była po szkole średniej Pershing High, do której chodzili niemal wyłącznie czarni uczniowie. Jednym z jej absolwentów był

znany koszykarz Elvin Hayes. Kiedy się poznaliśmy, Pam studiowała na Eastern Michigan University w Ypsilanti.

Nasz związek rozwijał się szybko, mimo że Pam straciła z tego powodu niektórych znajomych. Był rok 1971, wciąż trwała wojna w Wietnamie, a w uniwersyteckich kampusach panowała niechęć do FBI. Wielu ludzi nie miało ochoty się z nami zadawać. Uważali mnie za rządową wtyczkę i podejrzewali, że przekazuję władzom informacje na ich temat. Pomysł, jakoby komukolwiek mogło zależeć na szpiegowaniu studentów, był kompletnie niedorzeczny; problem w tym, że FBI naprawdę to robiło.

Pamiętam, jak poszedłem raz z Pam na zajęcia z socjologii. Usiadłem w kącie sali i przysłuchiwałem się wykładowi młodej, radykalnej profesorki. Prowadziła zajęcia w swobodny sposób, miała „to coś”. Raz po raz zerkała w moją stronę i nie miałem wątpliwości, że moja obecność jej przeszkadza. Funkcjonariusza FBI uważała za wroga, nawet jeśli spotykał się z jedną z jej studentek. Dziś rozumiem, że samą swoją obecnością można wzbudzić w drugiej osobie wielkie zaniepokojenie. Niejednokrotnie z tego korzystaliśmy. W jednej ze spraw na Alasce mój kolega Jud Ray, który jest Afroamerykaninem, wyprowadził z równowagi składającego zeznania oskarżonego o brutalne morderstwo rasistę, kiedy na sali sądowej przysiadł się do jego dziewczyny i nawiązał z nią przyjazną rozmowę.

Kiedy Pam zaczęła studia na uniwersytecie Eastern Michigan, w okolicy grasował seryjny morderca (wtedy nie posługiwaliśmy się jeszcze tym terminem). Po raz pierwszy zaatakował w lipcu 1967 roku. Z kampusu zniknęła młoda kobieta Mary Fleszar. Miesiąc później znaleziono jej ciało w stanie częściowego rozkładu. Została zadźgana, morderca odrąbał jej dłonie i stopy. Rok później ktoś natrafił na ciało Joan Schell, studentki z University of Michigan w pobliskim Ann Arbor. Została zgwałcona, następnie zadano jej niemal pięćdziesiąt ran nożem. Kolejne ciało znaleziono w Ypsilanti.

„Morderstwa z Michigan”, jak je po jakimś czasie nazwano, powtarzały się

coraz częściej. Na studentki obu uczelni padł strach. Wszystkie zwłoki były potwornie zmasakrowane. W 1969 roku zatrzymano studenta University of Michigan Johna Normana Collinsa – aresztowania dokonał niemal przypadkowo jego wuj, kapral policji stanowej David Leik. Zanim do tego doszło, Collins zdążył w makabryczny sposób pozbawić życia sześć studentek oraz trzynastoletnią dziewczynkę.

Collins został skazany na dożywocie jakieś trzy miesiące przed tym, jak wstąpiłem do FBI. Często rozmyślałem o tym, że gdyby Biuro dysponowało wtedy naszą obecną wiedzą, być może wytropiono by tego potwora wcześniej. Nawet po aresztowaniu wspomnienie o nim prześladowało oba kampusy, podobnie jak pamięć o Tedzie Bundym miała budzić grozę na innych uczelniach kilka lat później. Wspomnienie tych potwornych zbrodni towarzyszyło zawsze Pam, a tym samym stało się również częścią mojego życia. Bardzo prawdopodobne, że kiedy zacząłem prowadzić badania nad seryjnymi mordercami, a później pomagać w ich ściganiu, podświadomie pamiętałem o Johnie Normanie Collinsie i jego ślicznych, niewinnych ofiarach.

Byłem pięć lat starszy od Pam, ale ponieważ ona wciąż studiowała, a ja pracowałem (i to jako agent FBI), często miałem poczucie, że dzieli nas różnica całego pokolenia. Kiedy przebywaliśmy w towarzystwie moich znajomych, była zazwyczaj milcząca i bierna. Z przykrością przyznaję, że zdarzało nam się to wykorzystywać.

Pewnego razu Bob McGonigel i ja umówiliśmy się z Pam na lunch w restauracji hotelowej, z której okien rozciągał się widok na centrum miasta. Obaj przyszliśmy w ciemnych garniturach i skórzanych półbutach, Pam miała na sobie kolorową sukienkę. Po obiedzie zjechaliśmy do holu. Zatrzymywaliśmy się chyba na każdym piętrze; w windzie panował coraz większy ścisk.

Mniej więcej w połowie drogi Bob zagadnął do Pam.

– Naprawdę świetnie się dziś bawiliśmy. Kiedy następnym razem będziemy przejeżdżać przez Detroit, na pewno do ciebie zadzwonimy.

Pam nie podniosła wzroku, próbując zignorować tę uwagę.

– I wtedy – włączyłem się do rozmowy – to ja przyniosę bitą śmietaną, a ty przynieś czereśnie.

Pozostali pasażerowie wymienili pełne zażenowania spojrzenia, ale Pam wybuchnęła śmiechem. Ludzie w windzie patrzyli na naszą trójkę tak, jakbyśmy byli bandą zboczeńców.

Pam pojechała na jeden semestr na wymianę do Coventry. Kiedy pod koniec sierpnia wylatywała do Anglii, byłem w zasadzie przekonany, że to właśnie z nią chciałbym się ożenić. Nie przyszło mi tylko do głowy, aby zapytać, czy darzy mnie podobnym uczuciem. Po prostu zakładałem, że tak jest.

Podczas jej nieobecności pisaliśmy do siebie listy. Często odwiedzałem jej rodzinny dom przy Alameda Street numer 622, nieopodal miasteczka targowego. Ojciec Pam zmarł, kiedy była małą dziewczynką, korzystałem zatem z gościnności jej mamy Rosalie. Kilka razy w tygodniu jadałem tam obiady. Korzystałem z okazji i analizowałem osobowości mamy Pam oraz jej braci i sióstr, próbując dowiedzieć się więcej o samej Pam.

W tamtym czasie poznałem inną kobietę, którą Pam (choć nie widziała jej nigdy na oczy) określała później mianem „panienki od golfa”. Również tę znajomość rozpocząłem w barze. Kiedy dziś się nad tym zastanawiam, musiałem wtedy przesiadywać w barach częściej, niż powinienem. Dziewczyna miała dwadzieścia kilka lat, była dość atrakcyjna i właśnie skończyła college. Ledwie się poznaliśmy, zaprosiła mnie do domu na obiad.

Mieszkała w Dearborn, gdzie znajduje się główna siedziba Ford Motor Company, w dużym kamiennym domu z basenem, obrazami i eleganckimi meblami. Jej ojciec był kierownikiem wysokiego szczebla w branży samochodowej, dobiegał pięćdziesiątki i wyglądał na człowieka, który całe życie pracował w korporacji. Matka dziewczyny była uprzejma i elegancka. Zasiedliśmy do obiadu, obok mnie zajęli miejsca młodszy brat i siostra dziewczyny. Przyglądałem im się uważnie, próbując oszacować wartość

rodzinnego majątku. Oni próbowali ocenić, ile jestem wart.

Wszystko działało się zbyt szybko. Odniosłem wrażenie, że imponuje im moja pozycja agenta FBI, co stanowiło miłą odmianę po przygodach ze znajomymi Pam, nawet jeśli miałem świadomość, że ludzie ci są przedstawicielami establishmentu pełną gębą. Miałem niepokojące poczucie, że próbują mnie wyswatać ze swoją córką.

Jej ojciec wypytywał mnie o rodzinę, dzieciństwo, służbę w wojsku. Opowiedziałem o kierowaniu sekcją sportową w jednostce lotniczej, a on wtrącił, że razem ze współnikiem są właścicielami pola golfowego pod Detroit. Kiedy nawijał o fairwayach i doglegach, ja zwiększyłem w myślach dotychczasowe szacunki wartości jego majątku.

– Grywasz w golfa, John? – spytał.

– Nie, tato – odpowiedziałem bez zmrużenia oka – ale chciałbym się nauczyć.

Koniec rozmowy. Wszyscy się rozeszli. Spędziłem u nich noc, spałem na sofie w salonie. W środku nocy odwiedziła mnie dziewczyna, która w cudowny sposób, rzekomo pogrążona we śnie, zdołała zawędrować na parter. Być może onieśmiało mnie otoczenie tak eleganckiego domu, a może chodziło o podskórny lęk przed podstępem, który towarzyszył mi od czasu wstąpienia do FBI, ale agresywna bezpośredniość dziewczyny, w której nie ustępowała pozostałym członkom rodziny, podziałała na mnie odpychająco. Wyjechałem następnego dnia rano, podziękowawszy za gościnę i wspomniały obiad. Wiedziałem, że straciłem szansę na dostatnie życie.

Pam wróciła z Anglii kilka dni przed Bożym Narodzeniem 1971 roku. Już wcześniej postanowiłem się oświadczyć i kupiłem pierścionek zaręczynowy. W owych czasach FBI współpracowało z firmami, w których można było zaopatrzyć się dosłownie we wszystko. Jubiler, u którego kupiłem pierścionek, był nam wdzięczny za udaremnienie planowanego skoku i udzielał dużego rabatu agentom.

Nawet uwzględniając zniżkę, najbardziej efektowny pierścionek z diamentem, na jaki było mnie stać, miał zaledwie 1,25 karata. Wpadłem jednak na pomysł, że jeśli Pam zobaczy go na dnie kieliszka wypełnionego szampanem, diament będzie wyglądał, jakby miał trzy karaty, a ja dostanę punkty za pomysłowość. Zabrałem ją do włoskiej restauracji przy Eight Mile Road w pobliżu jej domu. Zamierzałem umieścić pierścionek w kieliszku, kiedy pójdzie do toalety.

Problem w tym, że przez cały wieczór nie odeszła od stolika. Następnego dnia poszliśmy do tej samej restauracji, ale wieczór miał identyczny przebieg. Byłem pod dużym wrażeniem, zwłaszcza po doświadczeniach wyniesionych z akcji w terenie, podczas których przez wiele godzin obserwowaliśmy podejrzanych, nie mogąc ani na chwilę opuścić samochodu (co jest jednym z najpoważniejszych minusów naszej pracy). Zacząłem się zastanawiać, czy Bóg chce mi powiedzieć, że nie dorosłem do małżeństwa.

Następnego dnia wieczorem, w Wigilię, poszliśmy do domu jej mamy na spotkanie z całą rodziną. Pomyślałem: „Teraz albo nigdy”. Rozlano jej ulubionego szampana, Asti Spumante. W końcu się doczekałem – Pam wyszła na chwilę do kuchni. Po powrocie usiadła mi na kolanach. Wzniesiono toast. Gdybym jej nie powstrzymał, połknęłaby pierścionek. I tyle z planu, aby diament wyglądał na trzy karaty: w ogóle go nie zauważyła. Kolejny znak?

Co najważniejsze, starannie zaaranżowałem okoliczności „przesłuchania”. W pokoju znajdowało się jej rodzeństwo i matka, która mnie uwielbiała. Nie zostawiłem Pam wielkiego wyboru. Przyjęła oświadczyzny. Mieliśmy się pobrać w czerwcu.

W drugim roku służby większość niezonatych agentów wysyłano do Nowego Jorku lub Chicago. FBI wychodziła z założenia, że służba w jednym z tych miast będzie dla nich mniej uciążliwa niż dla żonatych funkcjonariuszy. Mnie nie zależało na konkretnym przydziale i ostatecznie trafiłem do Milwaukee. Nigdy

wcześniej tam nie byłem i nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale miasto sprawiało wrażenie normalnego. Miałem się przeprowadzić w styczniu. Postanowiliśmy, że najpierw się urządzę, a Pam dołączy do mnie po ślubie.

Znalazłem mieszkanie w apartamentowcu Juneau Village na Juneau Avenue, niedaleko biur lokalnego oddziału FBI, które znajdowały się w rządowym biurowcu na North Jackson Street. Później zrozumiałem, że był to taktyczny błąd, ponieważ kiedy tylko coś się działo, ktoś mówił: „Zadzwońcie do Douglasa. Mieszka tylko trzy przecznice stąd”.

Jeszcze przed moim przyjazdem do Milwaukee w tamtejszym oddziale rozeszła się wieść, że do zespołu dołączy drugi nieżonaty agent. Przez kilka pierwszych tygodni sekretarki kręciły się koło mnie i walczyły o prawo do przepisywania moich raportów, mimo że nie miałem zbyt wiele do roboty. Dopiero po jakimś czasie wydało się, że jestem zaręczony, i od tej pory wzbudzałem tyle zainteresowania co zeszłoroczny śnieg.

W biurze w Milwaukee panowała identyczna, a przynajmniej bardzo podobna atmosfera do tej w Detroit. Moim pierwszym szefem był Ed Hays, zwany przez wszystkich Szybkim Eddiem. Nieodmiennie czerwony jak burak (zmarł na nadciśnienie niedługo po przejściu na emeryturę) krążył po biurze, pstrykając palcami i pokrzykując: „Wynocha z biura! Wynocha z biura!”.

– A gdzie niby miałbym pójść? – spytałem kiedyś. – Dopiero co przyjechałem. Nie mam samochodu. Nie pracuję przy żadnych śledztwach.

– A co mnie obchodzi, gdzie pójdziesz. Wynocha z biura! – krzyknął.

No więc wyszedłem. W tamtych dniach wielu agentów przesiadywało z nudów w bibliotece albo oglądało wystawy na pobliskiej Wisconsin Avenue. Kupiłem nowy samochód, forda torino, korzystając z usług sprzedawcy powiązanego z FBI.

Nasz kolejny szef, Herb Hoxie, trafił do Milwaukee z biura w Little Rock w stanie Arkansas. Rekrutacja nowych agentów zawsze należała do obowiązków szefa, ale Hoxie już na starcie musiał się zmierzyć z poważnym wyzwaniem.

Każdy oddział terenowy otrzymał nakaz, by co miesiąc zatrudniać określoną liczbę nowych agentów i pracowników technicznych.

Hoxie wezwał mnie do swojego gabinetu i oświadczył, że odpowiedzialność za rekrutację spada na mnie. Zazwyczaj zadanie to powierzano jednej osobie, ponieważ wymagało nieustannego podróżowania po całym stanie.

– Dlaczego ja? – spytałem.

– Ponieważ musieliśmy odebrać to zadanie innemu gościowi. Ma szczęście, że nie wyleciał z pracy.

Mój poprzednik chodził po okolicznych szkołach średnich i przeprowadzał rozmowy kwalifikacyjne z dziewczynami zainteresowanymi pracą na stanowisku sekretarki. Były to czasy Hoovera i FBI nie zatrudniało jeszcze kobiet w charakterze agentów. Gość zadawał wszystkim dziewczynom te same pytania, zupełnie jakby odczytywał jakąś listę. Jedno z nich brzmiało: „Czy jesteś dziewicą?”. Jeżeli odpowiadała przecząco, próbował umówić się z nią na randkę. Rodzice zaczęli narzekać i szef musiał położyć temu kres.

Zacząłem szukać kandydatów na terenie całego stanu. Nie minęło wiele czasu, a sprowadziłem do FBI czterokrotnie więcej nowych pracowników, niż wynosił limit. Byłem najlepszym rekruterem w kraju. Niestety, za dobrym. Biuro nie zamierzało pozwolić mi na robienie niczego innego. Kiedy powiedziałem Herbowi, że marzę o innym zajęciu – nie wstępowałem przecież do FBI, aby zajmować się sprawami kadrowymi – zagroził, że przeniesie mnie do sekcji praw obywatelskich. Oznaczało to prowadzenie śledztw przeciwko całemu wydziałom policji i pojedynczym oficerom oskarżonym o brutalne traktowanie podejrzanych czy więźniów lub dyskryminowanie mniejszości. Sekcja praw obywatelskich również nie należała do najpopularniejszych w FBI. „Doprawdy, wspaniała nagroda za dobre wyniki w pracy”, pomyślałem.

Wynegocjowałem następujący układ: zgodziłem się nadal dostarczać ogromnych ilości nowych rekrutów, pod warunkiem że będę mógł korzystać ze służbowego samochodu, Hoxie zrobi mnie swoim głównym zmiennikiem (lub

zastępcą) oraz poprzez mój wniosek do Agencji Wspierania Funkcjonariuszy Organów Porządkowych (Law Enforcement Assistance Administration) o dofinansowanie studiów wyższych. Wiedziałem, że jeśli nie zdobędę wykształcenia magisterskiego, resztę kariery spędzę w terenie.

Plany edukacyjne sprawiły, że w Biurze traktowano mnie z jeszcze większą podejrzliwością. Panowało przekonanie, że tylko żarliwi liberałowie są zainteresowani zdobywaniem wykształcenia akademickiego. Przeciwnie zdanie mieli o mnie uczestnicy zajęć z psychologii wychowawczej na University of Wisconsin w Milwaukee, na które uczęszczałem wieczorami i w weekendy. Obecność agenta FBI wzbudzała nieufność większości profesorów, ja z kolei nie potrafiłem się zmusić do tak istotnego w psychologii ekshibicjonizmu emocjonalnego („John, przedstaw się osobie siedzącej obok i opowiedz jej, jaki naprawdę jest John Douglas”).

Kiedyś na zajęciach usiedliśmy w okręgu, najmodniejszej w tamtym czasie metody prowadzenia zajęć. Po chwili zaczęło do mnie docierać, że nikt się do mnie nie odzywa. Próbowałem włączać się do rozmowy, ale wszyscy traktowali mnie jak powietrze.

– Słuchajcie, o co tu chodzi? – nie wytrzymałem w końcu. Okazało się, że z kieszeni marynarki wystawała mi metalowa rączka grzebienia i wszyscy myśleli, że to antena urządzenia, na którym rejestruję zajęcia i transmituję je bezpośrednio do centrali. Paranoidalna próżność tych ludzi nigdy nie przestawała mnie zadziwiać.

Na początku maja 1972 roku John Edgar Hoover zmarł spokojnie we śnie w swoim domu w Waszyngtonie. Z samego rana rozesłano depeche do wszystkich biur terenowych. Szef biura w Milwaukee wezwał wszystkich pracowników i przekazał informację o śmierci dyrektora. Choć Hoover dobiegał osiemdziesiątki i kierował FBI od niepamiętnych czasów, nikt nie wierzył, że ta chwila naprawdę nadejdzie. Umarł król, a my zaczęliśmy się zastanawiać, skąd będzie pochodził nowy władca. Pełniącym obowiązki dyrektora mianowano

L. Patricka Graya, zastępcę prokuratora generalnego, lojalnego człowieka Nixona. Początkowo zdobył popularność reformami, na przykład zgodą na zatrudnianie kobiet w charakterze agentów. Kłopoty pojawiły się później, gdy jego lojalność wobec administracji Nixona zaczęła kolidować z potrzebami instytucji.

Kilka tygodni po śmierci Hoovera prowadziłem rekrutację w Green Bay. Pewnego dnia odebrałem telefon od Pam. Powiedziała, że jej ksiądz chce się z nami spotkać kilka dni przed ślubem. „Pewnie myśli, że na widok organów opadnie mi szczeka i dam się nawrócić na katolicyzm”, uznałem. Pam była przykładną katoliczką, wychowaną w szacunku do księdza i posłuszeństwie wobec jego zaleceń, a ja wiedziałem, że zrobi mi straszną awanturę, jeśli odmówię.

Do kościoła św. Ryty pojechaliśmy razem, ale Pam weszła najpierw sama, aby porozmawiać w cztery oczy z księdzem. Przypomniał mi się posterunek policji z czasów studenckich w Montanie, kiedy przesłuchiowano nas osobno, sprawdzając prawdziwość zeznań. Byłem pewien, że ksiądz i Pam przygotowują strategię na rozmowę ze mną. W końcu wezwali mnie do środka.

– No i co tam przyszykowaliście dla swojego protestanta? – zapytałem od progu.

Ksiądz był młody, z wyglądu lekko po trzydziestce. Zadał kilka ogólnych pytań w rodzaju: „Czym jest miłość?”. Próbowałem zbudować sobie w myślach jego profil psychologiczny, aby udzielać prawidłowych odpowiedzi. Tego typu rozmowy przypominają egzaminy na studia – człowiek nigdy nie wie, czy się odpowiednio przygotował.

Później przeszliśmy do zagadnień antykoncepcji, wychowania dzieci itp. Zapytałem, jak się czuje w roli księdza – musi żyć w celibacie, nie może założyć rodziny. Sprawiał wrażenie sympatycznego faceta, ale wiedziałem od Pam, że duchowni z kościoła św. Ryty są radykalnymi konserwatystami. Widziałem, że ksiądz nie czuje się pewnie w moim towarzystwie – może dlatego, że nie byłem

katolikiem.

– Gdzie się poznaliście? – zapytał, a ja uznałem, że próbuje przełamać lody.

W sytuacjach stresowych zawsze rozładowuję napięcie żartami i nie potrafiłem przepuścić tak znakomitej okazji. Przysunąłem krzesło bliżej księdza i rozpocząłem opowieść.

– Jak ojciec z pewnością wie, jestem agentem FBI. Czy Pam opowiedziała ojcu o swojej przeszłości?

Przybliżałem się coraz bardziej, zmuszając go, by przez cały czas patrzył mi w oczy – była to jedna ze znanych mi już technik przesłuchań. Nie chciałem, by spojrzał w stronę Pam, ponieważ nie byłem pewien jej reakcji.

– Spotkaliśmy się w barze go-go Jim's Garage. Pam pracowała tam jako tancerka erotyczna. Była całkiem niezła, ale moją uwagę zwróciła przyczepionymi do sutków frędzelkami, którymi potrafiła kręcić w przeciwnych kierunkach. Niech mi ojciec wierzy, cóż to był za widok!

Pam milczała jak grób, ale chyba nie miała wyboru. Ksiądz zamienił się w słuch.

– No więc, ojcze, Pam wywija tymi frędzelkami w przeciwnych kierunkach coraz szybciej i szybciej, aż tu nagle jeden z nich się odrywa i leci w widownię. Wszyscy wyciągają ręce. Podrywam się z miejsca, łapię go i jej oddaję. Właśnie w ten sposób się poznaliśmy.

Ksiądz rozdziawił usta. Widziałem, że uwierzył w każde moje słowo. Wybuchnąłem śmiechem, jak podczas referowania fikcyjnej książki w szkole średniej.

– A więc to wszystko nieprawda? – spytał.

Pam nie wytrzymała i również zaczęła się śmiać. Oboje pokręciliśmy głowami. Nie byłem pewien, czy ksiądz odetchnął z ulgą, czy był zawiedziony.

Moim świadkiem był Bob McGonigel. Dzień ślubu rozpoczął się od ponurego deszczowego poranka. Nie mogłem się doczekać rozpoczęcia uroczystości. Kazałem Bobowi zadzwonić do Pam, która przygotowywała się

w domu swojej mamy. Miał ją zapytać, czy tego ranka ze mną nie rozmawiała albo mnie nie widziała. Pam oczywiście zaprzeczyła, na co Bob pośpieszył z wyjaśnieniem, że nie wróciłem poprzedniej nocy do domu, być może miałem pietra i ze ślubu nici. Nie mogę uwierzyć, jak perwersyjne miałem wtedy poczucie humoru. W końcu Bob zaczął się śmiać. Byłem trochę rozczarowany, że nie poznaliśmy reakcji Pam. Później przyznała, że była tak zdenerwowana przygotowaniami i wystraszona, że jej włosy jeszcze bardziej poskręcają się na wilgotnym powietrzu, że zniknięcie pana młodego wydało jej się najmniejszym z problemów.

Tego popołudnia złożyliśmy przysięgę małżeńską. Ksiądz ogłosił nas mężem i żoną, po czym ku mojemu zdziwieniu powiedział kilka miłych słów o mnie.

„Johna Douglasa poznałem zaledwie kilka dni temu, ale rozmowa z nim sprowokowała mnie do długich i niełatwych rozmyślań nad moimi przekonaniem religijnymi”.

Bóg raczy wiedzieć, które z moich słów go do tego skłoniły, ale niezbadane są wyroki Najwyższego. Historię o frędzelkach opowiedziałem jeszcze jednemu księdzu – temu, który na prośbę Pam modlił się za mnie w Seattle. Też mi uwierzył.

Spędziliśmy krótki miesiąc miodowy w górach Pocono – wanna w kształcie serca, lustra na suficie i inne luksusy – następnie pojechaliliśmy samochodem na Long Island, gdzie moi rodzice wydali na naszą cześć przyjęcie, gdyż niewielu krewnych z mojej rodziny mogło przyjechać na ślub.

Pam przeprowadziła się do Milwaukee. Wcześniej skończyła studia. Jako młoda nauczycielka musiała pracować na zastępstwach w placówkach położonych w biednych, niebezpiecznych dzielnicach. Szczególnie trudnym doświadczeniem okazała się jedna ze szkół średnich. Popychanie i kopanie nauczycieli było tam na porządku dziennym; doszło nawet do kilku prób gwałtu na młodszych nauczycielkach. Ja nie zajmowałem się już wtedy rekrutacją, tylko pracowałem do późnych godzin nocnych w wydziale kryminalnym – ścigaliśmy

głównie złodziei napadających na banki. Sam z oczywistych powodów byłem narażony w pracy na niebezpieczeństwo, ale bardziej niepokoiły mnie warunki, w jakich przyszło funkcjonować Pam. Ja przynajmniej dysponowałem bronią. Kiedyś czterech uczniów wepchnęło ją do pustej klasy, zaczęło obłapiać i napastować. Udało jej się uciec. Tak mnie nosiło z wściekłości, że chciałem zebrać kilku chłopaków, pojechać do szkoły i nastukać tym gówniarzom.

Moim najlepszym kumplem był wtedy agent Joe Del Campo; razem zajmowaliśmy się sprawami napadów na banki. Przesiadaliśmy często w barze z bajglami na Oakland Avenue, nieopodal kampusu University of Wisconsin. Lokalem kierowali David i Sarah Goldbergowie. Szybko się z nimi zaprzyjaźniliśmy, zaczęli wręcz traktować nas jak synów.

Czasami zjawialiśmy się bladym świtem i z bronią u pasa pomagaliśmy wsadzać do pieca bajgle i bułeczki zwane białykami. Zjadaliśmy śniadanie, wychodziliśmy na miasto złapać jakiegoś zbiega, sprawdzaliśmy kilka tropów w innych śledztwach i wracaliśmy na lunch. Chodziliśmy też razem na siłownię do Żydowskiego Centrum Kultury, a przed Bożym Narodzeniem i Chanuką kupiliśmy Goldbergom w prezencie karty członkowskie. Do lokalu zaczęli zaglądać inni agenci i po jakimś czasie w biurze wystarczyło powiedzieć, że idzie się „do Goldbergów”. Urządziliśmy u nich imprezę, na którą przyszli nasz szef i jego zastępca.

Joe Del Campo był bystrym gościem, znał kilka języków i znakomicie posługiwał się bronią palną. Jego sprawność odegrała kluczową rolę w bodaj najdziwniejszym i najbardziej zagmatwanym zdarzeniu, w jakim kiedykolwiek uczestniczyłem.

Pewnego zimowego dnia ja i Joe siedzieliśmy w biurze, przesłuchując aresztowanego rano zbiega, kiedy otrzymaliśmy telefonicznie wiadomość od lokalnej policji, że ktoś w mieście wziął zakładników. Joe miał za sobą całonocny dyżur, ale postanowiliśmy dać naszemu podejrzanemu trochę czasu na ochłonięcie i pojechaliliśmy na miejsce zdarzenia.

Przed starym domem ze spadzistym dachem dowiedzieliśmy się, że niejaki Jacob Cohen, ścigany za zamordowanie policjanta w Chicago, postrzelił agenta FBI Richarda Carra. Scena rozegrała się na terenie kompleksu mieszkalnego otoczonego przez SWAT, świeżo wyszkoloną brygadę antyterrorystyczną FBI. Unieszkodliwiwszy agenta, szaleniec przebił się przez kordon antyterrorystów, obrywając dwukrotnie w pośladki. Złapał małego chłopca odgarniającego śnieg z podjazdu i wbiegł do jakiegoś domu. W sumie miał troje zakładników – dwoje dzieci i osobę dorosłą. Po jakimś czasie wypuścił dorosłego i jedno dziecko. Zatrzymał tylko dziesięcio-, dwunastoletniego chłopca.

Wszyscy są mocno wkurzeni. Na dworze mroźno, aż trzeszczy. Cohenowi zupełnie odbija. Pewnie byłby spokojniejszy, gdyby nie miał dupy nafaszerowanej ołowiem. FBI i policja z Milwaukee przerzucają się oskarżeniami o niepowodzenie akcji. Brygada SWAT wścieka się, że na pierwszej poważnej akcji nie upilnowała celu i pozwoliła mu się wymknąć. FBI jest żądne krwi, ponieważ straciło już jednego człowieka. Tymczasem nadchodzi wiadomość od chicagowskich policjantów, że chcą przyjechać i własnoręcznie złapać podejrzanego o zamordowanie ich człowieka. Twierdzą, że jeśli ktokolwiek miałby strzelać, do nich powinien należeć ten przywilej.

Na miejsce przyjeżdża szef biura terenowego FBI Herb Hoxie i popełnia w mojej ocenie kilka błędów, czym jeszcze bardziej komplikuje i tak już spartaczoną akcję. Najpierw zwraca się do zbiega przez megafon. Brzmi jak dyktator. Gdyby podłączył prywatną linię telefoniczną, wykazałby się większym wyczuciem i umożliwił sobie prowadzenie poufnych negocjacji. Zaraz potem popełnia drugi błąd: proponuje wymianę chłopca na siebie.

Hoxie siada za kółkiem samochodu należącego do FBI. Policja otacza wóz wianuszkami i rusza za nim, kiedy Hoxie zaczyna go cofać po podjeździe. Del Campo mówi, abym go podsadził na dach domu. Tak dla przypomnienia: chodzi o dom ze spadzistym, oblodzonym dachem, a Joe ma za sobą nieprzespaną noc. Jest uzbrojony tylko w magnum kalibru .357 z lufą o długości 2,5 cala.

Cohen wychodzi z domu, zasłaniając się chłopcem. Obejmuje go mocno ramieniem za głowę. Śledczy Beasley z policji Milwaukee robi krok przed szereg.

– Jack, spełniliśmy twoje wszystkie żądania. Puść chłopaka! – mówi. Del Campo wciąż wdrapuje się ukradkiem po dachu. Policjanci go dostrzegają i orientują się, co zamierza.

Porywacz i zakładnik idą w stronę samochodu po oblodzonej i zaśnieżonej ziemi. W pewnej chwili chłopcu rozjeżdżają się nogi i wyslizguje się Cohenowi z rąk. Del Campo dociera na szczyt dachu. Wie, że kula wystrzelona z krótkiej lufy zapewne odbije nieco w górę, więc celuje w kark i strzela.

Trafia w środek karku. Cohen upada, ale nikt nie wie, czy oberwał on czy chłopiec.

Trzy sekundy później samochód zostaje podziurawiony kulami. Złapany w krzyżowy ogień śledczy Beasley obrywa w ścięgno Achillesa. Chłopiec podnosi się na kolana tuż przed maską samochodu, który toczy się w jego stronę, ponieważ Hoxie został trafiony odłamkiem szkła i stracił panowanie nad pojazdem. Na szczęście dzieciakowi nie dzieje się nic poważnego.

Oddając wiernie treść komunikatu prasowego FBI, serwisy lokalnych stacji telewizyjnych pokazały tego wieczoru agenta głównodowodzącego Herberta Hoxiego wyjeżdżającego z izby przyjęć. Z ucha kapie mu krew, łóżko na kółkach sunie korytarzem, a on udziela wypowiedzi dla prasy: „Nagle usłyszałem wystrzał. Dookoła zaczęły świstać kule. Zostałem postrzelony, ale powinienem z tego wyjść bez szwanku...”. Bóg, FBI, macierzyństwo, ciasto jabłkowe itd., itp.

Ale to jeszcze nie koniec. Na miejscu doszło niemal do bójki. Policjanci chcieli pobić Del Campo za to, że pozbawił ich możliwości zastrzelenia Cohena. Ludzie z brygady SWAT również nie byli specjalnie usatysfakcjonowani, ponieważ jego bohaterstwo postawiło ich w złym świetle. Poszli na skargę do zastępcy szefa biura FBI Eda Besta. Ten stanął w obronie Del Campo.

Wytłumaczył im, że Joe rozwiązał problem, do którego sami doprowadzili.

W ciele Cohena znaleziono trzydzieści–czterdzieści wlotowych i wylotowych ran po kulach. Kiedy wnoszono go do karetki, wciąż żył, ale na szczęście dla wszystkich zainteresowanych zmarł w drodze do szpitala.

Agent specjalny Carr cudem przeżył. Kula wystrzelona przez Cohena przeszła jego płaszcz, ramię, odbiła rykoszetem od tchawicy i ugrzęzła w płucu. Carr zatrzymał płaszcz na pamiątkę i od tego czasu nosił go z dumą.

Razem z Del Campo tworzyliśmy znakomicie dobraną parę – jedynym problemem były utrudniające nam czasami pracę głupawki. Pewnego razu trafiliśmy do baru dla gejów, szukaliśmy informacji na temat pewnego homoseksualisty oskarżonego o morderstwo. Gdy weszliśmy do środka, otoczyły nas ciemności, a kiedy nasze oczy przyzwyczyły się do mroku, zauważyliśmy, że wiele osób nam się przygląda. Zaczęliśmy się kłócić, który z nas bardziej podoba się klientom baru, a kiedy dostrzegliśmy nad barem hasło: „Jak to dobrze spotkać prawdziwego twardziela”, nie wytrzymał i zaczęliśmy pokładać się ze śmiechu.

Często wystarczał jakiś drobiazg. Zdarzyło nam się wybuchnąć śmiechem podczas rozmowy z mieszkającym w domu spokojnej starości staruszkiem, który poruszał się na wózku inwalidzkim. Albo podczas rozmowy z eleganckim biznesmenem po czterdziestce, któremu tupecik zsunął się do połowy czoła. Wszystko potrafiło wzbudzić w nas wesołość. Dostrzegaliśmy najdrobniejsze elementy humorystyczne najróżniejszych sytuacji i choć zakrawało to na gruboskórność, prawdopodobnie nam służyło. Kiedy człowiek zajmuje się zawodowo oglądaniem miejsc zbrodni i zwłok, zwłaszcza jeśli ofiarami są dzieci, kiedy ma za sobą setki, a potem tysiące rozmów z ofiarami i ich rodzinami, kiedy był świadkiem straszliwych potworności, które ludzie potrafią wyrządzać innym ludziom, umiejętność śmiania się z głupot okazuje się naprawdę przydatna. W przeciwnym razie można zwariować.

W odróżnieniu od wielu przedstawicieli prawa nigdy nie miałem bzika na punkcie broni palnej, nawet jeśli od czasu służby w lotnictwie byłem dobrym strzelcem. Mimo to uznałem, że warto byłoby wstąpić na jakiś czas do brygady SWAT, która funkcjonuje przy każdym biurze terenowym FBI. Służba w SWAT była dla agentów zajęciem dodatkowym – pięcioosobowy oddział mobilizowano tylko wtedy, gdy był potrzebny. Przyjęli mnie i zostałem snajperem, czyli osobą, która trzyma się z tyłu i strzela z dystansu. Wszyscy pozostali mieli solidne przygotowanie wojskowe – służyli w zielonych beretach, byli rangersami – ja mogłem się pochwalić doświadczeniem w nauczaniu pływania żon i dzieci wojskowych pilotów. Dowódca drużyny David Kohl został później zastępcą dyrektora w Quantico i to on zaproponował mi stanowisko szefa Jednostki Wsparcia Dochodzeń.

Z brygadą SWAT brałem udział między innymi w akcji o nieco normalniejszym przebiegu od zamieszania towarzyszącego aresztowaniu Jacoba Cohena. Gość napadł na bank i odjechał samochodem z policją na ogonie. W końcu zabarykadował się w magazynie i właśnie wtedy wezwano nas. Po wejściu do magazynu gość rozebrał się do naga, po czym włożył z powrotem całe ubranie – sprawiał wrażenie kompletnego świrusa. Zażądał, aby sprowadzono na miejsce jego żonę, co też policja uczyniła.

Dopiero kiedy po latach przeanalizowaliśmy ten typ osobowości, zrozumiałem, że popełniono wtedy błąd, ponieważ taki człowiek zazwyczaj chce zobaczyć osobę, którą uważa za źródło swoich problemów. Spełniając żądanie, naraża się ją na ogromne niebezpieczeństwo: przestępca może ją zamordować, a następnie popełnić samobójstwo.

Na szczęście kobiety nie wpuszczono do magazynu, a jedynie pozwolono porozmawiać z mężem przez telefon. Ledwie się rozłączył, strzelił sobie w łeb.

My czekaliśmy na stanowiskach od kilku godzin, a tu nagle było po wszystkim. Ponieważ człowiek nie potrafi w jednej chwili zrzucić z siebie całego stresu, często pomaga sobie czarnym humorem.

– Jezusie, no i po co mu to było? – stwierdził jeden z chłopaków. – Douglas jest strzelcem wyborowym. Mógł go wyręczyć.

W Milwaukee spędziłem nieco ponad pięć lat. Po jakimś czasie przeprowadziliśmy się z mieszkania na Juneau Avenue do domu na Brown Deer Road, położonego na północnych rubieżach miasta, z dala od biura. Zajmowałem się wtedy głównie napadami na banki i zdobyłem szereg odznaczeń za pomyślnie rozwiązane sprawy. Najlepiej radziłem sobie wtedy, gdy potrafiłem odkryć sygnaturę łączącą kilka spraw; później sygnatura ta stała się fundamentem naszych analiz seryjnych morderców.

W tamtym czasie zanotowałem tylko jedną znaczącą wpadkę, po tym jak Jerry Hogan zastąpił Herba Hoxiego. Jednym z nielicznych przywilejów, z jakimi wiązało się piastowanie stanowiska szefa biura terenowego, był samochód służbowy, a Hogan był dumny ze swojego nowego szmaragdowozielonego forda. Pewnego dnia potrzebowałem samochodu do jakiegoś śledztwa, a tak się złożyło, że wszystkie były zajęte. Hogan wyszedł na spotkanie, więc zapytałem jego zastępcę Arthura Fultona, czy mogę skorzystać z wozu szefa. Zgodził się, choć niechętnie.

Tego samego dnia Jerry wezwał mnie do swojego biura i zaczął się wydzierać, że użyłem jego samochodu, ubrudziłem go i – co najgorsze – odstawiłem z flakiem (tego akurat nie zauważyłem). Byliśmy z Jerrym w znakomitych stosunkach, więc przez całą jego tyradę nie potrafiłem się powstrzymać od śmiechu.

Najwyraźniej to przeważało.

– Słuchaj, John, Jerry Hogan naprawdę cię lubi, ale postanowił dać ci nauczkę – poinformował mnie później szef mojego oddziału Ray Byrne. – Przydzielił cię do tej sprawy w rezerwacie Indian.

Były to czasy ponaddwumiesięcznej okupacji miasta Wounded Knee przez Indian, a jednocześnie wzrostu świadomości znaczenia praw Indian północnoamerykańskich. W rezerwatach wzbudzaliśmy równie wielką

nienawiść jak w gettach w Detroit. Przez lata władze traktowały Indian w koszmarny sposób. Kiedy po raz pierwszy wjechałem do rezerwatu plemienia Menominee nad Green Bay, byłem zszokowany skalą ubóstwa, brudu i nędzy. Ludzie ci zostali w okrutny sposób odarci ze znacznej części swojej kultury, a wielu znajdowało się w stanie swoistego letargu. Głównie na skutek opłakanych warunków oraz wieloletniej wrogości i obojętności władz państwowych w rezerwatach dochodziło do licznych przypadków alkoholizmu, molestowania dzieci i kobiet, napadów i morderstw. Ze względu na kompletny brak zaufania do rządu żaden agent FBI nie mógł w zasadzie liczyć na jakąkolwiek współpracę ze strony świadków zdarzeń.

Nie pomagali nam ani przedstawiciele lokalnego Biura ds. Indian (Bureau of Indian Affairs), ani nawet krewni ofiar, którzy chcieli uniknąć oskarżeń o kolaborację z wrogiem. W niektórych przypadkach informowano nas o morderstwie dopiero po kilku dniach, a kiedy przybywaliśmy na miejsce, ciało znajdowało się w stanie częściowego rozkładu.

W rezerwacie spędziłem ponad miesiąc, prowadząc śledztwa w sprawie co najmniej sześciu morderstw. Codziennie mogłem opuścić rezerwat i spędzić noc w domu, mimo to chodziłem przygnębiony, ponieważ było mi żal Indian. Nigdy wcześniej nie spotkałem grupy ludzi, którzy musieliby zmagać się z tak wieloma przeciwnościami losu. Choć niebezpieczny, pobyt w rezerwacie Menominee dał mi po raz pierwszy możliwość szeroko zakrojonej analizy miejsc zbrodni. Było to smutne, ale niezwykle pożyteczne doświadczenie.

Najjaśniejszym punktem pobytu w Milwaukee były bez wątpienia narodziny naszego pierwszego dziecka, Eriki. W listopadzie 1975 roku szykowaliśmy się właśnie do uroczystego obiadu z okazji Święta Dziękczynienia, który mieliśmy zjeść w podmiejskim ośrodku rekreacyjnym w towarzystwie przyjaciół, Sama i Esther Ruskinów, kiedy Pam zaczęła odczuwać skurcze porodowe. Erika przyszła na świat następnego dnia.

W tamtym czasie wracałem do domu późno wieczorem – w pracy

zajmowałem się ściganiem złodziei napadających na banki, a jednocześnie kończyłem studia magisterskie. Narodziny dziecka oznaczały, że będę jeszcze bardziej niewyspany. Nie muszę dodawać, że większość obowiązków i tak spadła na Pam. Narodziny córki sprawiły, że mocniej zaangażowałem się w życie rodzinne, a obserwowanie dojrzewania Eriki sprawiało mi ogromną radość. Na szczęście (dla nas wszystkich, jak sądzę) nie zajmowałem się jeszcze wtedy porwaniami i morderstwami dzieci, ponieważ znając wszystkie zagrożenia, jakie na nie czyhają, nie potrafiłbym chyba tak łatwo przystosować się do roli ojca. Kiedy w 1980 roku urodziła się nasza druga córka, Lauren, byłem już dobrze zaznajomiony z tą tematyką.

Ojcostwo stało się dla mnie, jak sądzę, motywacją do rozwoju zawodowego. Nie chciałem do końca służby robić tego samego. Jerry Hogan radził, abym najpierw zgromadził dziesięć lat doświadczeń w pracy w terenie – pozwoliłoby mi to objąć stanowisko zastępcy szefa biura terenowego, a następnie szefa biura terenowego, a później, kto wie, może przejść do centrali. Po narodzinach pierwszego – i nie ostatniego, miałem wtedy nadzieję – dziecka życie agenta terenowego, przenoszonego co kilka lat z miasta do miasta, przestało mnie pociągać.

Stopniowo zaczynały się przede mną otwierać nowe perspektywy zawodowe. Straciłem zainteresowanie szkoleniami ze strzelania i ćwiczeniami z brygadą SWAT. Przy moich doświadczeniach i zainteresowaniu psychologią – miałem już tytuł magistra – prawdziwym wyzwaniem wydawało mi się kierowanie tą częścią operacji, która poprzedza strzelaninę. Szef biura terenowego zarekomendował mnie na dwutygodniowy kurs dla negocjatorów w Akademii FBI w Quantico, która została oddana do użytku zaledwie dwa lata wcześniej.

Pod okiem takich legendarnych agentów jak Howard Teten i Pat Mullany po raz pierwszy zetknąłem się tam z czymś, co nazywano już wtedy naukami behawioralnymi. To zdarzenie zmieniło moją karierę.

ROZDZIAŁ 5

Nauki behawioralne czy naukowe pierdoły?

Była to moja pierwsza wizyta w Quantico od czasu szkolenia dla nowych agentów. W ciągu pięciu lat w ośrodku zaszło wiele zmian. Ukończona wiosną 1975 roku Akademia FBI stała się samowystarczalną instytucją, położoną na terenie bazy wojskowej piechoty morskiej w środku pięknych, delikatnie pagórkowatych lasów Wirginii, mniej więcej godzinę jazdy na południe od Waszyngtonu.

Pewne sprawy się nie zmieniły. Jednostki bojowe nadal cieszyły się największym prestiżem, a wśród nich wyróżniała się Jednostka Wsparcia Ogniwego (Firearms Unit). Kierował nią agent specjalny George Zeiss, któremu w 1968 roku powierzono zadanie przywiezienia z Anglii przed amerykański wymiar sprawiedliwości Jamesa Earla Raya, mordercy Martina Luthera Kinga. Zeiss przypominał wielkiego, zwalistego niedźwiedzia i zwykł zabawiać gości rozłamywaniem kajdanek gołymi rękami. Kiedyś kilku chłopaków przylutowało na strzelnicę łańcuch do jednej pary, a następnie wręczyło ją Zeissowi, aby spróbował wykonać swoją sztuczkę. Ten skręcił sobie nadgarstek i przez kilka tygodni chodził w gipsie.

Kurs prowadzenia negocjacji z porywaczami organizowała Jednostka Nauk Behawioralnych, do której należało od siedmiu do dziewięciu agentów specjalnych z uprawnieniami instruktorskimi. Hoover i jego pretorianie nigdy nie poważali psychologii ani innych „miękkich nauk”, dlatego za jego czasów

jednostka funkcjonowała niejako zakulisowo.

Tak naprawdę większość pracowników FBI i innych stróżów prawa nie wierzyła w to, że można wykorzystać psychologię i nauki behawioralne w kryminalistyce. Sam nie podzielałem tej opinii, niemniej zdawałem sobie sprawę, że spora część wiedzy psychologicznej nie ma praktycznego zastosowania w identyfikacji i ściganiu przestępców. Kilka lat później podjęliśmy próbę zmiany tej sytuacji. Kiedy zostałem szefem operacyjnego pionu Jednostki Nauk Behawioralnych (JNB), postanowiłem zwiększyć jej profesjonalizm i przemianowałem ją na Jednostkę Wsparcia Dochodzeń.

Na JNB, której w tym czasie szefował Jack Pfaff, największy wpływ wywierały dwie wybitne osobowości: Howard Teten i Patrick Mullany. Teten miał niemal dwa metry wzrostu i zza okularów w drucianej oprawie spoglądał na wszystkich swoim przeszywającym wzrokiem. W przeszłości był żołnierzem piechoty morskiej i należał do ludzi o refleksyjnym usposobieniu. Zawsze niezwykle poważny, przypominał profesora intelektualistę. Kiedy wstępował do FBI w 1962 roku, miał za sobą służbę w policji w San Leonardo, miejscowości położonej niedaleko San Francisco. W 1969 roku zaczął prowadzić pionierski kurs o nazwie „Kryminologia stosowana”, który po jakimś czasie (podejrzewam, że po śmierci Hoovera) przemianowano na „Stosowaną psychologię kryminalną”. W roku 1972 Teten pojechał do Nowego Jorku na konsultacje z doktorem Jamesem Brusselem, psychiatrą, który rozwiązał sprawę Szalonego Bombera. Brussel zgodził się nauczyć Tetena sztuki tworzenia profili psychologicznych.

Dzięki zdobytej wtedy wiedzy Teten stworzył nowatorskie podejście, w którym na podstawie poszlak pozostawionych na miejscu zbrodni odtwarzało się zachowania i motywy przestępcy. W pewnym sensie wszystko, czego później dokonaliśmy w naukach behawioralnych i analizie kryminalistycznej, opiera się na pomysłach Tetena.

Pat Mullany zawsze przypominał mi krasnala. Mimo swoich stu

siedemdziesięciu siedmiu centymetrów wzrostu wyglądał jak pulpecik, a do tego miał bystry umysł i niespożytą energię. Do Quantico przyjechał w 1972 roku z biura w Nowym Jorku. Był magistrem psychologii. Pod koniec pobytu w Quantico przeprowadził skuteczne negocjacje z kilkoma porywaczami: w Waszyngtonie, kiedy członkowie muzułmańskiej sekty hanafitów zajęli siedzibę żydowskiej organizacji B'nai B'rith, oraz w Warrensville Heights w stanie Ohio, kiedy Cory Moore, czarny weteran z Wietnamu, przetrzymywał na komisariacie kapitana policji i jego sekretarkę. Teten i Mullany należeli do pierwszego pokolenia zwolenników nowoczesnych nauk behawioralnych. Razem tworzyli niezapomniany duet.

Zajęcia podczas kursu z technik negocjowania prowadzili również dwaj inni instruktorzy z JNB, Dick Ault i Robert Ressler, którzy przybyli do Quantico niewiele wcześniej. Teten i Mullany należeli do pierwszego pokolenia, Ault i Ressler tworzyli drugie. To oni rozwinęli nauki behawioralne do postaci, w której mogły stanowić rzeczywistą pomoc dla wydziałów policji na terenie całych Stanów Zjednoczonych oraz w innych państwach. Choć podczas kursu Bob Ressler był moim nauczycielem, już wkrótce mieliśmy przystąpić wspólnie do badań nad seryjnymi mordercami, dzięki czemu nasza dyscyplina osiągnęła współczesną postać.

Na kurs negocjacji uczęszczało około pięćdziesięciu mężczyzn. Zajęcia były pod pewnymi względami bardziej rozrywkowe niż pouczające, ale przynajmniej zapewniały nam dwutygodniowy urlop od pracy w terenie. Analizowaliśmy na nich trzy główne typy ludzi biorących zakładników: zawodowych przestępców, chorych psychicznie i fanatyków. Poznaliśmy kilka istotnych mechanizmów zaobserwowanych w realnych sytuacjach, jak syndrom sztokholmski. Nazwa pochodzi od nieudanego napadu na bank w Sztokholmie w 1973 roku, który zamienił się w długotrwały dramat, złodzieje wzięli bowiem klientów i pracowników banku jako zakładników. Ci po jakimś czasie zaczęli identyfikować się z porywaczami i później czynnie pomagali im w zmaganiach

z policją.

Obejrzelismy również *Pieskie popołudnie* Sidneya Lumeta, które niewiele wcześniej weszło na ekrany kin. W filmie bohater grany przez Alę Pacino napada na bank, aby zdobyć pieniądze dla swojego kochanka na operację zmiany płci. Fabułę oparto na prawdziwym napadzie, do którego doszło w Nowym Jorku; złodzieje wzięli zakładników, a później długo negocjowali z policją. FBI zaprosiło nawet do Quantico kapitana Franka Bolza i śledczego Harveya Schlossberga z nowojorskiej policji, aby zapoznali agentów FBI z najnowszymi technikami negocjacyjnymi. W tej dziedzinie nowojorska policja była niekwestionowanym liderem w skali kraju.

Poznawaliśmy zasady prowadzenia negocjacji. Niektóre były oczywiste, jak dążenie do ograniczenia liczby ofiar śmiertelnych. Wiele nauczyliśmy się, słuchając nagrań audio z prawdziwych negocjacji. Dopiero w późniejszych latach, gdy do Akademii przyszło nowe pokolenie instruktorów, kursanci zaczęli sami odgrywać scenki, wcielając się w role porwaczy i negocjatorów – nie ma lepszego sposobu na odtworzenie warunków negocjacyjnych w sali wykładowej. Materiały wykorzystywane na zajęciach nie zawsze pasowały do nich tematycznie, ponieważ wiele pożyczano z kursu psychologii kryminalnej. Dostawaliśmy na przykład zdjęcia oraz akta pedofilów lub morderców seksualnych i mieliśmy się zastanowić, jak osoby o takich typach osobowościowych zachowywałyby się podczas porwania. Uzupełnieniem szkolenia był trening strzelecki, do którego w Quantico przywiązywano wielką wagę.

Wiedza, którą obecnie dzielimy się na kursach prowadzenia negocjacji, pochodzi z naszych własnych doświadczeń – nie jest powieleniem tego, co usłyszeliśmy w salach wykładowych od innych agentów. Jak już wspomniałem, Pat Mullany zapracował na swoją reputację między innymi przy sprawie Cory'ego Moore'a, u którego już wcześniej zdiagnozowano schizofrenię paranoidalną. Moore przetrzymywał kapitana policji i jego sekretarkę w biurze

na posterunku w Warrensville w stanie Ohio, żądając od policji rozwiązania kilku problemów dręczących całą ludzkość. Domagał się na przykład, aby biali ludzie natychmiast opuścili Ziemię.

Jedna z zasad prowadzenia negocjacji mówi, że bez wyraźnej potrzeby nie należy spełniać żądań porywacza. Istnieją wszakże takie, których nie sposób spełnić w jakichkolwiek okolicznościach, a wspomniane żądanie Moore'a z pewnością należało do tej kategorii. Sprawę nagłośniły media w całych Stanach Zjednoczonych, a prezydent Jimmy Carter zaproponował, że porozmawia z Moore'em, aby pomóc w rozwiązaniu sytuacji. Carter miał z pewnością dobre intencje (a jego propozycja była zapowiedzią gotowości do szukania kompromisu w najbardziej skomplikowanych konfliktach na całym świecie), ale nie była to dobra strategia negocjacyjna. Nie chciałbym otrzymać takiej propozycji, gdybym to ja kierował negocjacjami. Nie chciał tego również Pat Mullany. Angażując w rozmowy najważniejszą osobę w państwie, nie tylko zachęca się innych zdesperowanych i zagubionych ludzi do pójścia w ślady Moore'a, ale ogranicza się samemu sobie pole manewru. Negocjacje należy zawsze prowadzić przez pośredników, grając na zwłokę i unikając składania obietnic, których nie ma się zamiaru spełnić. Kiedy porywacz wyczuje, że rozmawia z osobą dysponującą realną władzą, negocjatorzy zostają postawieni pod ścianą. Jeżeli nie spełnią żądań porywacza, sytuacja może się szybko wymknąć spod kontroli. Im dłużej trwają negocjacje, tym lepiej.

Kiedy na początku lat osiemdziesiątych sam zacząłem wykładać w Quantico sztukę negocjacji, posługiwałem się poruszającym nagraniem zarejestrowanym dwa lata wcześniej w Saint Louis (później przestaliśmy je pokazywać, aby nie irytować tamtejszej policji). Młody Afroamerykanin napada z bronią w rękę na bar. Rabunek kończy się niepowodzeniem: policja otacza lokal, rabuś nie może uciec i bierze kilkoro zakładników.

Policja tworzy grupę czarnych i białych policjantów, którzy mają z nim rozmawiać, ale funkcjonariusze, zamiast prowadzić negocjacje w normalny

sposób, zaczynają nawijać slangiem, próbując dostosować się do poziomu rabusia. Mówią jeden przez drugiego, nieustannie mu przerywają, nie słuchają odpowiedzi, nie próbują ustalić jego żądań.

Kamera odchyła się na bok akurat w chwili, gdy na miejsce przybywa komendant policji. To kolejny błąd – nigdy bym na to nie pozwolił. Komendant „oficjalnie” lekceważy żądania, na co gość przykładła do głowy pistolet i strzela sobie w łeb na oczach wszystkich.

Porównajmy przebieg tego zdarzenia z poprowadzoną przez Patę Mullany’ego sprawą Cory’ego Moore’a. Moore był oczywiście wariatem i bez wątplenia wszyscy biali ludzie nie mogli opuścić Ziemi, ale Pat zdołał wywnioskować ze słów porywacza, czego ten w istocie oczekuje i jakie rozwiązanie będzie dla niego satysfakcjonujące. Zaoferował mu możliwość przeprowadzenia konferencji prasowej, na której przedstawiłby światu swoje poglądy. Moore wypuścił zakładników i nikt nie ucierpiał.

Podczas kursu w Quantico dałem się poznać z dobrej strony i Pat Mullany, Dick Ault oraz Bob Ressler zarekomendowali mnie Jackowi Pfaffowi. Przed wyjazdem szef Jednostki Nauk Behawioralnych wezwał mnie do swojego podziemnego biura. Pfaff był ujmującym, sympatycznym facetem o śniadej karnacji. Z wyglądu przypominał aktora Victora Mature’a i palił jak smok. Powiedział, że zrobiłem wrażenie na instruktorach i chętnie zobaczyłby mnie z powrotem w Quantico w charakterze opiekuna podczas szkoleń Narodowej Akademii FBI. Propozycja mi pochlebiła i ochoczo na nią przystałem.

Po powrocie do Milwaukee nadal służyłem w wydziale kryminalnym i brygadzie SWAT, ale sporo czasu spędzałem w delegacjach, podróżując po całym stanie. Dyrektorów przedsiębiorstw szkoliłem, jak postępować w wypadku porwania lub szantażu, a kierowników filii banków, jak radzić sobie z pojedynczymi bandytami i z gangami uzbrojonych rabusiów, będących zmorą oddziałów położonych zwłaszcza na prowincji.

Wprost trudno uwierzyć, jaką naiwnością w kwestiach osobistego

bezpieczeństwa wykazywali się inteligentni skądinąd biznesmeni. Pozwalali na publikowanie w lokalnych gazetach i firmowych biuletynach kalendarzy swoich spotkań, a nawet planów wakacyjnych. Wielu z nich stawało się w ten sposób łatwym celem dla potencjalnych porwaczy i szantażystów. Uczyłem kierowników, a także ich sekretarki i podwładnych, jakich informacji można bezpiecznie udzielać przez telefon oraz jak ocenić prawdziwość telefonu z żądaniem okupu. Dość często zdarzało się bowiem, że dyrektora firmy informowano telefonicznie o porwaniu jego żony lub dziecka i mówiono, że jeśli chce je jeszcze zobaczyć, ma zanieść określoną sumę pieniędzy we wskazane miejsce. W rzeczywistości żonie lub dziecku nic nie groziło, ale szantażysta wiedział, że będą nieosiągalni przez kilka godzin. Jeśli potrafił dodatkowo podać jedną czy dwie informacje na temat rzekomo porwanych osób, miał szansę przekonać spanikowanego przedsiębiorcę do spełnienia żądań.

Dzięki podobnym szkoleniom zdołaliśmy obniżyć wskaźnik napadów na banki, namawiając kierowników placówek do wprowadzenia kilku prostych procedur. Wielu rabusiów czekało rano przed budynkiem na kierownika, który zjawiał się tam jako pierwszy. Złodziej przystawiał mu pistolet do pleców, wchodził z nim do środka i czekał na kolejnego pracownika, który również wpadał w łapy porwacza. Chwilę później oddział był pełen zakładników i złodziej mógł spokojnie przystąpić do działania.

Niektórzy kierownicy dali się przekonać do wprowadzenia prostego systemu ostrzegawczego. Osoba, która przychodziła do pracy jako pierwsza, dawała sygnał pozostałym pracownikom – zaciągając w odpowiedni sposób firankę, przesuwając doniczkę z kwiatkiem na parapecie, włączając światło w określonym miejscu – że wszystko jest w porządku. Kto po przyjściu pod oddział nie widział ustalonego sygnału, nie wchodził do środka, tylko natychmiast dzwonił na policję.

Kasjerom, którzy stanowią kluczowe ogniwo w sieci zabezpieczeń banku, doradzaliśmy, na co zwracać uwagę i jak postępować w sytuacji zagrożenia.

Nikt nie chce zginąć niepotrzebnie śmiercią bohaterską. Nauczyliśmy ich obchodzić się z plikami eksplodujących pieniędzy, z których zaczęto wówczas powszechnie korzystać. Dzięki informacjom uzyskanym podczas rozmów z doświadczonymi w napadach na banki przestępcami mogłem zalecić kasjerom, aby po wzięciu do ręki kartki z informacją o napadzie nie oddawali jej przestępcy, ale „ze zdenerwowania” upuszczali ją na podłogę po swojej stronie okienka, zachowując w ten sposób cenny dowód.

Z rozmów z rabusiami wiedziałem, że nie lubią napadać na oddziały, w których nigdy wcześniej nie byli. Z tego powodu pracownicy mieli zalecenie zwracać szczególną uwagę na osoby, które zjawiały się w oddziale po raz pierwszy, zwłaszcza jeśli miały do załatwienia jakąś prostą sprawę, na przykład wymieniały banknoty na bilon. Kasjer, w miarę możliwości, powinien zanotować numer tablicy rejestracyjnej samochodu lub cokolwiek innego, co umożliwiłoby identyfikację takiej osoby. Takie środki ostrożności pozwoliły szybko złapać wielu rabusiów.

Zacząłem spędzać więcej czasu w towarzystwie oficerów śledczych oraz pracowników biura lekarza sądowego. Wszyscy patologowie i większość dobrych detektywów twierdzili, że najważniejszym dowodem w każdym dochodzeniu jest ciało ofiary. Ja chciałem dowiedzieć się możliwie najwięcej na ten temat. Fascynacja tą tematyką miała bez wątpienia źródło w młodzieńczych marzeniach o karierze weterynarza i zainteresowaniach budową organizmów żywych oraz funkcjami ich narządów. Choć kontakty z oficerami śledczymi i patologami dawały mi wiele satysfakcji, tak naprawdę interesował mnie psychologiczny aspekt morderstwa. Dlaczego człowiek odczuwa potrzebę zabicia innego człowieka? Dlaczego dopuszcza się tego w takich, a nie innych okolicznościach?

Podczas kursu w Quantico miałem okazję zapoznać się z jeszcze bardziej dziwnymi przypadkami morderstw. Jedno z najbardziej zdumiewających zdarzyło się tuż pod moim nosem. Tak naprawdę ponad dwieście kilometrów od

Milwaukee, ale powiedzmy, że to wciąż pod moim nosem.

W latach pięćdziesiątych Edward Gein należał do wspólnoty rolniczej w Plainfield w stanie Wisconsin. Wioska liczyła sześciuset czterdziestu dwóch mieszkańców. Działalność przestępczą Gein rozpoczął od okradania grobów. Interesowała go zwłaszcza skóra nieboszczyków. Zdejmował ją z nich i garbował, a następnie wkładał ją na siebie, na manekina krawieckiego i na meble w swoim domu. Przez jakiś czas rozważał operację zmiany płci – w połowie lat pięćdziesiątych był to wciąż dość rewolucyjny pomysł – ale ostatecznie doszedł do wniosku, że byłoby to niepraktyczne, i postanowił zadowolić się uszyciem kobiecego kostiumu z ciała prawdziwej kobiety. Istnieje podejrzenie, że próbował wcielić się w swoją despotyczną matkę, która wtedy już nie żyła. Sprawa nieprzypadkowo może się wydawać znajoma – jej poszczególne wątki stały się kanwą dla powieści Roberta Blocha *Psychoza* (na podstawie której Alfred Hitchcock nakręcił swój klasyczny film) i *Milczenia owiec* Thomasa Harris. Harris zetknął się z tą sprawą, uczestnicząc w zajęciach w Quantico.

Zapewne nikt nie dowiedziałby się o turpistycznych skłonnościach Geina, gdyby zaspokajanie fantazji nie wymagało od niego „pozyskiwania” nowych ciał. Kiedy rozpoczynaliśmy badania nad seryjnymi mordercami, praktycznie we wszystkich sprawach napotykał się eskalację potrzeb. Geina oskarżono o zamordowanie dwóch kobiet w średnim wieku, choć ofiar było zapewne więcej. W styczniu 1958 roku uznano go oficjalnie za niepoczytalnego. Resztę życia spędził w szpitalu stanowym w Waupun i w zakładzie dla umysłowo chorych w Mendocine, gdzie zawsze uchodził za modelowego pacjenta. Zmarł z przyczyn naturalnych w 1984 roku w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat jako pacjent oddziału geriatrycznego w Mendocine.

Z oczywistych powodów statystyczny oficer śledczy lub agent terenowy nie stykają się zbyt często z podobnymi przypadkami. Po powrocie do Milwaukee chciałem zdobyć jak najwięcej informacji na temat przypadku Geina, ale

w biurze prokuratora generalnego powiedziano mi, że akta utajniono ze względu na niepoczytalność sprawcy.

Jako agent FBI zainteresowany kryminalistyką zdołałem namówić urząd prokuratora na udostępnienie akt. Nigdy nie zapomnę tych chwil, gdy w asyście pracownika zdejmowałem kartony z dokumentacją sprawy z ciągnących się w nieskończoność regałów i rozłamywałem umieszczone na nich pieczęcie. W środku znalazłem fotografie, które już na zawsze wryły mi się w pamięć: nagie ciała kobiet pozbawione głów i narządów płciowych i powieszane za nogi na linach umocowanych na blokach, rozcięte od mostka do okolic pochwy. Na innych widniały odcięte głowy spoczywające na stole – miały otwarte, pozbawione wyrazu oczy. Choć oglądanie fotografii wymagało sporej odporności psychicznej, zacząłem się zastanawiać, jakie informacje na temat sprawcy dało się z nich wyczytać oraz jak ta wiedza mogła pomóc w jego ujęciu. Nigdy nie przestałem stawiać sobie tych pytań.

Pod koniec września 1967 roku wyjechałem z Milwaukee na dłużej: zostałem opiekunem 107. szkolenia Narodowej Akademii FBI w Quantico. Pam sama zajmowała się domem oraz jednoroczną Eriką, a jednocześnie uczyła w szkole. Była to pierwsza z dłuższych delegacji, na jakie pojechałem w mojej karierze. Wielu pracowników FBI, armii czy służb dyplomatycznych nie zdaje sobie sprawy, jak wielkim ciężarem dla ich małżonków jest to, że ciągle przebywają poza domem.

Narodowa Akademia FBI to intensywne, jedenastotygodniowe szkolenie dla starszych stopniem, zaprawionych w bojach z przestępcami przedstawicieli prawa z całych Stanów Zjednoczonych i zagranicy. Studenci Akademii przechodzą często identyczne szkolenie jak agenci FBI, a odróżnić ich można jedynie po kolorze koszulek: agenci FBI ubierają się na niebiesko, a studenci Akademii na czerwono. Różni ich także wiek: studenci Akademii są zazwyczaj starsi i bardziej doświadczeni. Na kurs można się dostać wyłącznie dzięki rekomendacji przełożonego, a wniosek musi zaakceptować zespół w Quantico.

Narodowa Akademia FBI umożliwia nie tylko zdobycie najbardziej aktualnej wiedzy z zakresu metod i technik ochrony porządku publicznego, ale pozwala agentom FBI nawiązywać nieformalne relacje z przedstawicielami policji, nieocenione przy rozwiązywaniu wielu spraw. Szefem programu Narodowej Akademii był Jim Cotter, człowiek instytucja, uwielbiany przez policjantów.

Jako opiekun byłem odpowiedzialny za jedną z grup uczestników – Sekcję B – liczącą pięćdziesięciu mężczyzn. Chociaż nowe regulacje, wprowadzone przez dyrektora Patricka Graya i jego następcę Clarence'a Kelleya, przyczyniły się do „otwarcia” Biura (przypominam, że za czasów Hoovera agentami byli wyłącznie mężczyźni), do Narodowej Akademii nie zapraszano jeszcze wtedy kobiet. W mojej sekcji poza Amerykanami znajdowali się Anglicy, Kanadyjczycy i Egipcjanie. W trakcie kursu mieszkalem z nimi w dormitorium i pełniłem najróżniejsze funkcje: instruktora, kierownika do spraw socjalnych, psychiatry i druhny. W ten sposób pracownicy Jednostki Nauk Behawioralnych sprawdzali, czy opiekunowie potrafią nawiązywać relacje z innymi policjantami, czy podoba im się atmosfera w Quantico i jak radzą sobie w sytuacjach stresowych.

A problemów było co niemiara. Ludzie przebywali z dala od rodzin, często po raz pierwszy w dorosłym życiu mieszkali z kimś obcym i nie mogli na przykład napić się piwa w zaciszu własnego pokoju. Dzielili łazienki z ludźmi, których nigdy wcześniej nie widzieli na oczy. Trening fizyczny był bardziej wymagający niż wszystko, czego doświadczyli od czasu szkolenia dla rekrutów. Uczestnicy zdobywali specjalistyczną wiedzę, ale sporo ich to kosztowało. Gdzieś w szóstym tygodniu szkolenia wielu policjantom zaczynała odbijać szajba. Nie potrafili dłużej znieść zamknięcia w pomalowanym na biało budynku z pustaków.

Szkolenie dawało się oczywiście we znaki także opiekunom. Każdy z nich w inny sposób radził sobie z obowiązkami. Ja wybrałem charakterystyczną dla siebie strategię: uznałem, że jeśli nasza sekcja ma dotrzeć do końca kursu

w jednym kawałku, powinna rozwiązywać problemy, wykorzystując poczucie humoru. Inni opiekunowie radzili sobie inaczej. Jeden był tak surowy i zasadniczy, że doprowadził swoich chłopaków do granic wytrzymałości dodatkowymi ćwiczeniami. Po trzech tygodniach nie zdzierżyli i wręczyli mu jego własną walizkę. Komunikat był jednoznaczny: „Idź do diabła!”.

Inny z opiekunów, agent specjalny FBI, którego będę tu nazywał Fredem, nigdy wcześniej nie nadużywał alkoholu. Zaczął mieć z tym problem dopiero podczas szkolenia w Quantico.

Opiekunowie mieli zwracać szczególną uwagę na jakiegokolwiek symptomy depresji u uczestników, tymczasem Fred sam zaczął zamykać się w pokoju, gdzie palił papierosy i upijał się do nieprzytomności. W grupie zaprawionych w służbie na ulicy gliniarzy przetrwają tylko najlepiej przystosowani. Kto okaże jakąkolwiek słabość, znajdzie się w opałach. Fred był naprawdę miłym facetem, ale okazał się wrażliwy, wyrozumiały i łatwowski. Nie miał szans wytrwać ze swoimi kursantami.

Podczas szkolenia obowiązywała ścisła reguła: do baraku nie wolno sprowadzać kobiet. Pewnej nocy jeden z policjantów przyszedł do Freda i zaczął się skarżyć, że „dłużej tego nie zniesie”. Takie słowa zawsze oznaczają kłopoty dla opiekuna. Mężczyzna wyjaśnił, że jego współlokator co noc sprowadza sobie do pokoju inną panienkę, a ich figle nie pozwalają mu zasnąć. Fred poszedł za nim do pokoju. Pod drzwiami natknął się na kilku innych gości, którzy trzymali w spoconych dłoniach pieniądze, czekając na swoją kolej. Fred wpadł w szal, wbiegł do środka i ściągnął faceta z długowłosej blondynki. Kobieta okazała się nadmuchiwą lalką.

Tydzień później inny policjant zapukał w środku nocy do pokoju Freda i poinformował go, że jego pogrążony w depresji współlokator Harry właśnie wyskoczył przez okno. Przepisy zabraniały otwierania okien w dormitorium. Fred pobiegł korytarzem do wskazanego pokoju, wpadł do środka, wyjrzał przez okno i zobaczył Harry’ego, który leżał na trawie cały we krwi. Fred zbiegł na

dół, a kiedy znalazł się tuż przy samobójcy, ten niespodziewanie poderwał się z ziemi. Fred prawie narobił w portki ze strachu. Akurat tego wieczoru ktoś zwinął z kantyny butelkę keczupu! Pod koniec kursu Fredowi zaczęły rzednąć włosy, przestał się golić, miał sztywną nogę i kulał. Neurolog nie potrafił zdiagnozować problemu. Fred wrócił do pracy w terenie, ale rok później został zwolniony ze służby z powodu złego stanu zdrowia. Współczuję mu, ale policjanci w jednym przypominają przestępców: mają potrzebę udowadniania innym, kto jest większym twardzielem.

Mimo luzackiego podejścia i poczucia humoru mnie również nie ominęły problemy, choć na szczęście musiałem sobie radzić głównie z wybrykami rodem ze szkolnych kolonii. Raz moi podopieczni opróżnili z mebli mój pokój, kiedy indziej podwinęli mi kołdrę w taki sposób, że nie mogłem wyciągnąć nóg. Kilka razy owinęli mi też celofanem toaletę. Człowiek musi znaleźć jakieś ujście dla stresu, prawda?

Któregoś dnia tak mnie wkurzyli, że nie wytrzymałem. Postanowiłem się choć na chwilę stamtąd wyrwać. Ale oni, jak na wytrawnych gliniarzy przystało, natychmiast to wyczuli. Postawili moje zielone mgb na pustakach – koła wisiały kilka milimetrów nad ziemią. Wsiadłem, zapaliłem silnik, wcisnąłem sprzęgło, wrzuciłem pierwszy bieg i nacisnąłem gaz. Nic się nie stało, a powinienem przecież ruszyć ostro z miejsca. Wsiadłem, przeklinając brytyjską myśl techniczną. Zajrzałem pod maskę, ostukałem butem opony, zajrzałem pod samochód. Niespodziewanie cały parking rozbłysnął jasnym światłem. Moi kursanci siedzieli w swoich samochodach i świecili we mnie reflektorami. Zapewnili, że mimo wszystko mnie lubią, a kiedy się pośmialiśmy, postawili mój samochód z powrotem na *terra firma*.

Studenci z zagranicy obrywali z innych powodów. Wielu z nich przyjeżdżało z pustymi walizkami, pierwszego dnia szło do sklepu na terenie Akademii i kupowało masę rzeczy. W pamięć zapadł mi pewien wysoko postawiony egipski pułkownik, który zapytał (fatalny pomysł) gliniarza z Detroit, co to

znaczy *fuck*. Ten odparł, w sumie zgodnie z prawdą, że słowo to ma mnóstwo znaczeń, wszystko zależy od kontekstu, ale można go używać w zasadzie w każdej sytuacji. Jednym ze owych znaczeń miało być „piękny” lub „elegancki”.

Egipcjanin poszedł do sklepu, znalazł dział ze sprzętem fotograficznym i wyciągnął palec, wskazując na półkę.

– Poproszę tamten pierdolony aparat! – huknął.

– Słucham? – spytała przerażona ekspedientka.

– Poproszę tamten pierdolony aparat!

Kilku chłopaków szybko wyprowadziło go na zewnątrz i wytłumaczyło, że choć słowo *fuck* faktycznie ma wiele znaczeń, nie należy go używać w towarzystwie kobiet i dzieci.

Z kolei policjant z Japonii zapytał amerykańskich kolegów, w jaki sposób powinien pozdrawiać instruktora, któremu chce okazać szacunek. Od tego czasu za każdym razem, gdy mijaliśmy się na korytarzu, uśmiechał się, elegancko kłaniał i mówił: „Pierdol się pan, panie Douglas”.

Wyjaśnianie pomyłki byłoby zbyt czasochłonne, więc się odklaniałem i odpowiadałem z uśmiechem: „Sam się pierdol”.

Japończycy najchętniej przysyłali na szkolenie po dwóch kursantów. Po jakimś czasie wszyscy się zorientowali, że jeden z nich był zawsze wyższy stopniem, a drugi pełnił funkcję podwładnego odpowiedzialnego za pucowanie butów, ścielenie łóżka, sprzątanie pokoju i spełnianie innych obowiązków, jakie normalnie wykonuje służący. Pewnego razu kilku studentów poszło do Jima Cottera ze skargą – oświadczyli, że starszy stopniem Japończyk co chwilę ćwiczy karate i inne sztuki walki na swoim koledze, piorąc go przy okazji na kwaśne jabłko. Cotter wziął starszego oficera na stronę, wyjaśnił, że w Akademii wszyscy są sobie równi, i oświadczył bez ogródek, że tego rodzaju zachowania nie będą tolerowane. Zdarzenie to jest dobrą ilustracją różnic kulturowych, z którymi trzeba sobie przy takich okazjach radzić.

Chodziłem z kursantami na zajęcia, tyle że koncentrowałem się raczej na technikach nauczania. W grudniu, pod koniec semestru, Jednostka Nauk Behawioralnych i Jednostka Edukacji złożyły mi oferty pracy. Szef tej drugiej obiecał, że zapłaci mi za kolejne studia magisterskie. Mnie jednak bardziej interesowały nauki behawioralne.

Do Milwaukee wróciłem tydzień przed Bożym Narodzeniem. Byłem przekonany, że dostanę pracę w Quantico, więc od razu kupiliśmy z Pam pięcioakrową działkę położoną na południe od Akademii FBI. W styczniu 1977 roku Biuro zarządziło przegląd kadr i zamroziło wszystkie transfery. Z nową pracą mogłem się pożegnać, zostałem za to właścicielem bezużytecznego kawałka ziemi w Wirginii. Musiałem pożyczyć od taty pieniądze na zaliczkę. Nie wiedziałem, jak dalej potoczy się moja kariera w FBI.

Centrala zadzwoniła do mnie kilka tygodni później, kiedy pracowałem nad pewną sprawą z Henrym McCaslinem. Poinformowano mnie, że do Quantico zostanę przeniesiony w czerwcu. Dostałem przydział do Jednostki Nauk Behawioralnych.

Miałem trzydzieści dwa lata i otrzymałem stanowisko po Pacie Mullanym, który przeszedł do działu kontroli wewnętrznej w centrali. Stało przede mną wielkie wyzwanie, ale nie mogłem się doczekać, kiedy będę mógł się z nim zmierzyć. Jeżeli czegoś się obawiałem, to jedynie kursantów. Przekonałem się na własnej skórze, że potrafią dać w kość opiekunom, nawet jeśli ich polubili. Woląłem sobie nie wyobrażać, jak musieli utrudniać życie instruktorom próbującym uczyć ich tego, na czym znali się najlepiej. Tymczasem ja słyszałem, że dzwonią, ale nie wiedziałem, w którym kościele. Doszedłem do wniosku, że jeśli mam uczyć policjantów nauk behawioralnych, muszę znaleźć sposób na wyeliminowanie z programu możliwie największej ilości wodolejstwa. A żeby mieć coś ciekawego do powiedzenia komendantowi policji starszemu ode mnie o piętnaście czy dwadzieścia lat, potrzebowałem solidnych faktów.

Właśnie ten lęk skłonił mnie do rozpoczęcia kolejnego etapu podróży.

ROZDZIAŁ 6

W trasie

Kiedy w czerwcu 1977 roku dołączyłem do Jednostki Nauk Behawioralnych, w jej skład wchodziło dziewięciu agentów specjalnych. Wszyscy zajmowali się niemal wyłącznie prowadzeniem szkoleń. Najważniejszym kursem przeznaczonym dla pracowników FBI i uczestników Narodowej Akademii była „Stosowana psychologia kryminalna”; Howard Teten stworzył ten kurs w 1972 roku. Wykłady koncentrowały się na kwestii najbardziej interesującej z punktu widzenia oficerów śledczych oraz innych osób zaangażowanych w ściganie przestępców – motywie. Prowadzący próbowali odpowiedzieć na pytanie, dlaczego brutalni przestępcy myślą i postępują w określony sposób. Kurs cieszył się powodzeniem i był użyteczny, niemniej czerpał głównie z badań i programów psychologii akademickiej i tylko częściowo opierał się na osobistych doświadczeniach Tetena, a później również innych instruktorów. W tamtym czasie jedynie nauczyciele akademicy dysponowali systematycznymi, metodologicznie poprawnymi, szeroko zakrojonymi badaniami. Wielu z nas miało świadomość, że ustalenia psychologii akademickiej mają ograniczone zastosowanie w ochronie porządku publicznego i wykrywaniu sprawców przestępstw.

Do innych kursów organizowanych w Akademii należały: „Współczesne problemy policji”, poświęcony zarządzaniu siłą roboczą, kwestiom policyjnych związków zawodowych, kontaktów ze wspólnotami obywateli itp.; „Socjologia

i psychologia”, będący typowo akademickim wprowadzeniem do tych nauk; „Przestępstwa seksualne”, kurs niestety często traktowany w kategoriach rozrywkowych, a nie jako źródło praktycznych i ciekawych wiadomości; wiele zależało także od wykładowcy. Jeden z nauczycieli przyniósł na zajęcia manekina udającego starego, obleśnego ekshibicjonistę w płaszczu. Po naciśnięciu głowy płaszcz się rozchyłał i wyskakiwał spod niego penis. Wykładowcy pokazywali setki fotografii przedstawiających ludzi z, jak byśmy dziś powiedzieli, różnymi formami parafilii, zwanych wówczas zboczeniami: transwestytów, fetyszystów, ekshibicjonistów itd. Zdjęcia prowokowały kursantów do wybuchów nieprzyzwoitego śmiechu. Kto omawia temat voyeuryzmu lub pokazuje zdjęcie mężczyzny przebranego za kobietę, może się spodziewać chichotów na sali, ale jeśli przejdzie do ekstremalnych zjawisk w rodzaju sadomasochizmu i pedofilii, a śmiechy na sali nie cichną, coś jest nie w porządku zarówno ze słuchaczami, jak i z wykładowcą. Dopiero wiele lat później, kiedy nastąpiła zmiana wrażliwości, do jednostki dołączyli Roy Hazelwood i Ken Lanning, którzy nadali badaniom nad gwałtem i pedofilią stosowny wymiar powagi i profesjonalizmu. Hazelwood przeszedł już na emeryturę, ale wciąż pozostaje aktywny jako konsultant; Lanning odejdzie ze służby w niedługim czasie. Wśród stróżów prawa obaj pozostają głównymi ekspertami na świecie w swoich dziedzinach.

W Hooverowskich czasach „faktów, wyłącznie suchych faktów, mój drogi” nikt poważny nie traktował profili psychologicznych przestępców jako sensownego narzędzia walki z przestępczością. Sama nazwa „nauki behawioralne” uchodziła za oksymoron, a ich zwolennicy mogliby równie dobrze propagować sztuki czarnoksiężskie lub wróżbiarstwo. Ktokolwiek chciał wejść w tę dziedzinę wiedzy, musiał kroczyć okrężnymi drogami, omijając oficjalne procedury. Kiedy Teten i Mullany zaczęli opracowywać profile osobowościowe, nie sporządzali żadnych notatek, a wszystko przekazywali ustnie. Ponieważ obowiązywała naczelna zasada: „Nie przynosź wstydu FBI”,

nikt nie zamierzał dokumentować czegoś, co mogło obrócić się przeciwko niemu lub jego przełożonym.

Korzystając z wiedzy zdobytej od doktora Brussela w Nowym Jorku, Teten zaczął udzielać nieformalnych rad policjantom, którzy się o nie zwracali (wtedy nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, że Jednostka Nauk Behawioralnych powinna prowadzić konsultacje w sformalizowany sposób). Zazwyczaj jakiś absolwent Narodowej Akademii dzwonił do Tetena lub Mullany'ego i radził się w sprawie, z którą miał problem.

Jednym z pierwszych był oficer policji z Kalifornii, który nie potrafił rozwiązać zagadki śmierci pewnej kobiety. Pomijając brutalność zabójcy (ofiara została wielokrotnie ugodzona nożem), morderstwo nie wyróżniało się niczym specjalnym, a analizy wykonane przez specjalistów medycyny sądowej niewiele wniosły. Oficer zreferował swoje ustalenia, a Teten poradził mu, by skoncentrował poszukiwania na sąsiadach ofiary, a konkretnie: na niezbyt przystojnym nastolatku o drobnej budowie ciała. Zdaniem Tetena sprawca zabił ofiarę pod wpływem impulsu, a teraz zmagał się z ogromnymi wyrzutami sumienia i lękał się, że policja w każdej chwili może odkryć jego tożsamość. „Kiedy zapukacie do jego drzwi – radził Teten – spójrzcie mu prosto w oczy i powiedzcie tylko: »Wiesz, z jakiego powodu tu jestem«. Z łatwością sprowokujecie go do przyznania się do winy”.

Dwa dni później policjant zadzwonił ponownie. Powiedział, że zaczął chodzić po okolicy, w której mieszkała ofiara. Jedne drzwi otworzył mu chłopak odpowiadający „profilowi” Tetena i zanim policjant zdążył wyrecytować przygotowane zawczasu zdanie, dzieciak wypalił: „No dobrze, złapaliście mnie!”.

Choć w tamtym czasie mogło się wydawać, że Teten wyciąga króliki z kapelusza, on po prostu dostrzegł logiczną zależność między typem sprawcy a okolicznościami morderstwa. W kolejnych latach dążył do uściślenia owej logiki, a nowa nauka, którą z Patem Mullany'ym próbowali rozwijać w wolnym

czasie, stała się ważnym orężem w walce ze sprawcami brutalnych przestępstw.

Jak to często bywa, do przełomu doszło na skutek szczęśliwego zbiegu okoliczności. Było nim dręczące mnie poczucie, że w roli instruktora Jednostki Nauk Behawioralnych błędę po omacku. Postanowiłem zdobyć więcej informacji z pierwszej ręki.

Kiedy rozpoczynałem pracę w Quantico, Mullany siedział już na walizkach. Teten miał pozycję guru, dlatego w funkcjonowanie jednostki wprowadzało mnie dwóch ludzi najbliższych mi wiekiem i stażem: Dick Ault i Bob Ressler. Dick był o sześć lat starszy ode mnie, a Bob o osiem. Przed wstąpieniem do FBI obaj służyli w wojsku. Kurs „Stosowanej psychologii kryminalnej” składał się z około czterdziestu godzin wykładów wygłaszanych w ciągu jedenastu tygodni szkoleń organizowanych w ramach Narodowej Akademii FBI. Najskuteczniejszą metodą wprowadzenia nowicjusza w funkcjonowanie jednostki były w tej sytuacji „kursy objazdowe”, na których instruktorzy z Quantico prowadzili te same zajęcia – tyle że w krótszym czasie – dla funkcjonariuszy lokalnych wydziałów policji i akademii policyjnych. Cieszyły się sporą popularnością i w zasadzie zawsze kilka wniosków z terenu czekało na realizację; składali je zazwyczaj komendanci i wyżsi rangą oficerowie, którzy ukończyli wcześniej szkolenie w ramach Narodowej Akademii. Dwutygodniowy wyjazd z doświadczonym instruktorem pozwolił mi szybko przyswoić sobie wszystkie potrzebne informacje. Nie minęło wiele czasu, a zacząłem regularnie towarzyszyć Bobowi w wyjazdach.

Każda delegacja przebiegała według ściśle ustalonego porządku: z domu wyjeżdżało się w niedzielę, prowadziło szkolenia na wydziale policji lub akademii od poniedziałku rano do piątku w południe, następnie jechało do innej miejscowości i powtarzało wszystko od początku. Po jakimś czasie człowiek nabierał poczucia, że jest Jeźdźcem Znikąd – przyjeżdżał do miasteczka, pomagał mieszkańcom, a następnie opuszczał je w milczeniu, zmierzając w kolejne miejsce.

Od początku przeszkadzało mi, że mówimy o śledztwach znanych jedynie „ze słyszenia”. Większość instruktorów – a zwłaszcza ja – nie brała bezpośredniego udziału w dochodzeniach omawianych na wykładach. W pewnym sensie przypominało to akademicki kurs kryminologii prowadzony przez profesora, który nie ma żadnego doświadczenia w łapaniu przestępców. U nas co prawda za pierwszym razem o śledztwach opowiadali ich faktyczni bohaterowie, ale później opisywali je, przy okazji upiększając, inni, aż w końcu relacje miały niewiele wspólnego z rzeczywistością. Kiedy dołączyłem do jednostki, zdarzało się nawet, że instruktor wygłaszał komentarz na temat śledztwa, a jakiś uczestnik – związany z tą sprawą! – go poprawiał. Co najgorsze, instruktor czasami nie chciał przyznać się do błędu i upierał się przy własnej wersji wydarzeń, nie bacząc na obecność naocznego świadka. Przez takie metody nauczania i nastawienie prowadzącego kursanci szybko tracą zaufanie do wykładowcy, nawet w sprawach, na których się nie znają.

U mnie problemem był wiek. Skończyłem trzydzieści dwa lata, a wyglądałem jeszcze młodziej, tymczasem miałem prowadzić szkolenia dla doświadczonych gliniarzy, często starszych ode mnie o dziesięć–piętnaście lat. Jakim cudem miałem sprawić na nich wrażenie kompetentnego, wiarygodnego nauczyciela? Doświadczenie w prowadzeniu dochodzeń zdobyłem, podglądając doświadczonych policjantów z Detroit i Milwaukee. Teraz oczekiwano, że będę tłumaczył ich kolegom, jak mają wykonywać swoją pracę. Uznałem, że muszę znać na wylot materiał wykładów i jak najszybciej uzupełnić ewentualne braki.

Tymczasem nie zamierzałem się niepotrzebnie podkładać. Przed rozpoczęciem wykładu pytałem, czy któryś ze słuchaczy bezpośrednio zetknął się w przeszłości ze śledztwami lub przestępcami, które miałem tego dnia omawiać. Kiedy chciałem wspomnieć o sprawie Charlesa Mansona, pytałem: „Czy na sali jest ktoś z nowojorskiej policji? Czy ktoś z państwa uczestniczył w tym śledztwie?”. Jeżeli padała odpowiedź twierdząca, prosiłem tę osobę o wprowadzenie pozostałych kursantów w szczegóły. Dzięki temu nie groziło

mi, że coś przekręcę i zostaną poprawiony przez uczestnika.

Choć miałem zaledwie trzydzieści dwa lata i jeszcze do niedawna pracowałem w biurze terenowym, jako człowiek zatrudniony w Quantico stawałem się w oczach słuchaczy, zarówno na miejscu, jak i podczas kursów objazdowych, ucieleśnieniem autorytetu Akademii FBI i wszystkich imponujących zasobów, którymi dysponowała. Policjanci podchodzili do mnie w przerwach między zajęciami, dzwonili wieczorem do mojego pokoju hotelowego, prosząc o rady i wskazówki. „Słuchaj, John, prowadzę właśnie takie śledztwo... sprawa przypomina trochę tę, którą dziś omawiałeś. Co o tym myślisz?” Potrzebowałem solidnego fundamentu, na którym mógłbym oprzeć swoje wykłady, ale nie myślałem o zwróceniu się o pomoc do kogoś z Biura, tylko o własnym źródle wiedzy.

Kiedy człowiek jedzie w trasę, zawsze przychodzi taka chwila – a przynajmniej przyszła w moim wypadku – kiedy perspektywa prowadzenia kolejnych zajęć działa na niego przygnębiająco, nie ma ochoty na drinka i nudzi mu się przesiadywanie w pokoju hotelowym ze wzrokiem utkwionym w ekranie telewizora. Uświadomiłem to sobie, siedząc w barze pewnego hotelu w Kalifornii na początku 1978 roku. Wraz z Bobem Resslerem zakończyliśmy właśnie szkolenie w Sacramento. Kiedy odjeżdżaliśmy następnego dnia, zwróciłem mu uwagę, że większość przestępców, o których uczymy na zajęciach, wciąż żyje i spędzi resztę swoich dni za kratkami. A gdybyśmy tak spróbowali z nimi porozmawiać, poznać ich motywacje, spojrzeć na przestępstwa z ich punktu widzenia? Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, warto spróbować.

Od dawna miałem opinię nadgorliwego żółtodzioba, co potwierdziłem, zgłaszając tę propozycję. A jednak mój szalony pomysł spodobał się Bobowi, który wyznawał zasadę: „Lepiej prosić o wybaczenie niż o pozwolenie”. Wiedzieliśmy, że jeśli poprosimy o zgodę centralę, nie tylko jej nie otrzymamy, ale znajdziemy się pod ścisłą obserwacją. Biurokraci zawsze patrzą krzywym

okiem na wszelkiego rodzaju narwańców.

W Kalifornii dochodziło do większej liczby dziwnych i spektakularnych przestępstw niż w jakimkolwiek innym stanie, dlatego uznaliśmy ją za odpowiednie miejsce do rozpoczęcia badań. John Conway, agent specjalny z rezydentury FBI w San Rafael, miejscowości położonej niedaleko północnych granic San Francisco, który uczęszczał w przeszłości na wykłady Boba w Quantico, miał znajomości w kalifornijskim systemie więziennictwa i zgodził się pełnić funkcję naszego łącznika. Potrzebowaliśmy przedstawiciela, którego moglibyśmy darzyć zaufaniem (i *vice versa*). Gdyby centrala dowiedziała się o naszym projekcie, wiele osób by oberwało.

Pierwszym skazańcem, z którym postanowiliśmy porozmawiać, był Ed Kemper odsiadujący kilka wyroków dożywotniego więzienia w zakładzie karnym California State Medical Facility w Vacaville, mieście leżącym mniej więcej w połowie drogi między San Francisco a Sacramento. Jego przypadek omawialiśmy na kursach w Narodowej Akademii, a ponieważ nigdy wcześniej nie mieliśmy okazji poznać go osobiście, wydawał się odpowiednim kandydatem na początek. Sprawą otwartą pozostawało tylko, czy zgodzi się na spotkanie.

Jego historia była dobrze udokumentowana. Edmund Emil Kemper III urodził się 18 grudnia 1948 roku w Burbank w Kalifornii. Wraz z dwiema młodszymi siostrami dorastał w dysfunkcyjnej rodzinie. Jego matka Clarnell i ojciec Ed junior rozstali się po wielu latach nieustannych kłótni. Ed zaczął się „dziwacznie” zachowywać, między innymi poćwiartował dwa koty i odgrywał rytuały śmierci ze starszą siostrą Susan. Matka wyprawiła go do ojca, a kiedy od niego uciekł i wrócił do niej, został odesłany do dziadków ze strony ojca, którzy mieszkali na położonej na odludziu farmie u podnóża gór Sierra Nevada. Opuszczony przez rodziców i pozbawiony kojącego otoczenia dawnej szkoły Ed straszliwie się tam nudził, doskwierała mu samotność. Pewnego popołudnia w sierpniu 1963 ten wysoki, dobrze zbudowany czternastolatek zastrzelił swoją

babkę Maude ze strzelby kalibru .22, po czym wielokrotnie ugodził jej ciało nożem kuchennym. Chciała go zatrzymać w domu do pomocy przy pracach gospodarskich, a on wolał pójść na pole z dziadkiem, którego lubił bardziej od niej. Wiedział, że dziadek nie pochwali morderstwa, dlatego zastrzelił i jego, kiedy staruszek wrócił do domu. Ciało zostawił na podwórku. Przesłuchiwany przez policję, wzruszył tylko ramionami.

– Po prostu chciałem sprawdzić, jakie to uczucie zastrzelić babcię – wyjaśnił.

Pozorny brak motywu do popełnienia podwójnego morderstwa sprawił, że u Eda zdiagnozowano „zaburzenia charakteru, typ osobowości bierno-agresywnej” i zamknięto go w stanowym szpitalu dla niepoczytalnych przestępców w Atascadero. Wyszedł w 1969 roku – mimo sprzeciwu psychiatrów. Oddano go pod opiekę matce, która właśnie rozstała się z trzecim mężem i pracowała jako sekretarka w Santa Cruz, w nowo powstałym kampusie Uniwersytetu Kalifornijskiego. Ed Kemper miał wtedy dwa metry i pięć centymetrów wzrostu i ważył około stu trzydziestu kilogramów.

Przez cztery kolejne lata chwycił się różnych prac. Lubiał jeździć samochodem po ulicach i drogach szybkiego ruchu – zaczął wtedy regularnie podwozić młode autostopowiczki. Do Santa Cruz zjeżdżało wiele pięknych studentek, a Kemper miał zaległości w kontaktach z dziewczynami. Ubiegał się o pracę w policji drogowej, ostatecznie znalazł ją w Stanowym Urzędzie Autostrad.

7 maja 1972 roku zabrał do samochodu dwie dziewczyny z Fresno State College, Mary Ann Pesce i Anitę Luchesse. Wywiózł je w ustronne miejsce, zadźgał nożem, następnie przewiózł ich ciała do domu matki, gdzie sfotografował je polaroidem, rozkroił i zaczął się bawić narządami wewnętrznymi. W końcu spakował resztki zwłok do worków foliowych, zakopał je w górach Santa Cruz, a odcięte głowy wrzucił do głębokiego jaru przy drodze.

15 września Kemper zgodził się podwieźć piętnastoletnią uczennicę szkoły

średniej Aiko Koo. Uduśli ją, wykorzystał seksualnie zwłoki, przewiózł je do domu i pokroił na kawałki. Kiedy następnego dnia rano odwiedzili go stanowi psychiatrzy, by przeprowadzić okresową kontrolę zdrowia psychicznego, głowa Koo leżała w bagażniku samochodu Kempera. Usatysfakcjonowani rozmową psychiatrzy orzekli, że Kemper nie stanowi już zagrożenia dla siebie i innych. Zarekomendowali utajnienie kartoteki z przestępstwami, które popełnił w okresie niepełnoletności. Kemper rozkoszował się symbolicznym znaczeniem tej decyzji – gardził systemem, a jednocześnie przepełniało go poczucie wyższości. Pojechał w góry i zakopał szczątki Koo nieopodal osady Boulder Creek.

(W owym czasie Santa Cruz mogło się pochwalić mało zaszczytnym tytułem światowej stolicy seryjnych morderców. Herbert Mullin, inteligentny, przystojny schizofrenik paranoidalny zabijał mężczyzn i kobiety za namową, jak twierdził, głosów każących mu ratować środowisko naturalne. Podobnymi motywami kierował się John Linley Frazier, dwudziestoczteroletni mechanik samochodowy mieszkający samotnie w lesie pod miastem, który podpalił dom, zabijając sześciuosobową rodzinę – chciał w ten sposób ostrzec innych ludzi, aby nie niszczyli przyrody. „Materializm musi umrzeć albo ludzkość musi się opanować”, głosił liścik zostawiony za wycieraczką rolls-royce’a należącego do zamordowanej rodziny. Mieszkańcy miasta mieli poczucie, jakby co tydzień dochodziło w okolicy do nowego aktu przemocy).

9 stycznia 1973 roku Kemper zabrał do samochodu studentkę z Santa Cruz Cindy Schall. Zmusił ją, aby weszła do bagażnika, po czym ją zastrzelił. Podobnie jak przy wcześniejszych i kolejnych morderstwach, zaniósł zwłoki do domu matki, uprawiał z nimi seks w swoim łóżku, a następnie poćwiartował je w wannie, zapakował do worków i cisnął z klifu do oceanu nieopodal miejscowości Carmel. Głowę dziewczyny zakopał tym razem w ogródku twarzą skierowaną w stronę okna sypialni matki, bo jego matka lubiła patrzeć na innych z góry.

Santa Cruz żyło sparaliżowane strachem przed Mordercą Studentek. Młode kobiety przestrzegano przed wsiadaniem do samochodów obcych mężczyzn, zwłaszcza spoza wspólnoty uniwersyteckiej, ale ponieważ matka Kempera pracowała na uczelni, na jego samochodzie znajdowała się jej plakietka.

Niecały miesiąc później Ed zaoferował podwiezienie Rosalind Thorpe i Alice Liu. Obie zastrzelił i wrzucił do bagażnika. Ich zwłoki spotkał ten sam los co ciała wcześniejszych ofiar. Zmasakrowane szczątki porzucił w Eden Canyon pod San Francisco, znaleziono je tydzień później.

Potrzeba zabijania nasilała się w zastraszającym, nawet dla niego, tempie. Przyszło mu nawet do głowy, aby zastrzelić wszystkich sąsiadów w promieniu jednej przecznicy, ale zrezygnował z tego pomysłu. Wpadł na lepszy – postanowił zrobić coś, na co od bardzo dawna miał ochotę. W Wielkanoc wszedł do pokoju matki i śpiącą zaatakował młotkiem ciesielskim; uderzał tak długo, aż zmarła. Odciął jej głowę i zgwałcił zwłoki. Na koniec, wiedziony impulsem, wyciął jej krtań i wrzucił ją do zlewozmywaka.

– Wydawało się to stosowne – wyjaśnił później policji – ponieważ potwornie zrzędziła i wydzierała się na mnie przez te wszystkie lata.

Włączył umieszczony w odpływie młynek do rozdrabniania odpadków, ten się jednak zaciął i wypluł zakrwawioną krtań prosto na niego.

– Nawet po śmierci nie przestała na mnie bluzgać. Niezależnie od wszystkiego darła mordę!

Po zamordowaniu matki zadzwonił do jej przyjaciółki i zaprosił ją na „kolację niespodziankę”. Kiedy przyjechała, zdzielił ją pałką, udusił i odciął jej głowę. Jej zwłoki położył we własnym pokoju, a sam spędził noc na łóżku matki. Rankiem w Wielką Niedzielę wsiadł do samochodu i ruszył na wschód. Słuchał radia, oczekując, że lada chwila jego nazwisko stanie się znane w całym kraju. Nic takiego jednak się nie stało.

Otępiały i wyczerpany brakiem snu, dojechał do Pueblo w stanie Kolorado. Zatrzymał się przy budce telefonicznej, zadzwonił na policję w Santa Cruz i po

kilku nieudanych próbach przekonania rozmówcy, że nie żartuje, przyznał się, że jest Mordercą Studentek. Następnie czekał cierpliwie na przyjazd lokalnej policji.

Kempera uznano za winnego ośmiu morderstw pierwszego stopnia. Zapytany, jaką wymierzyłby sobie karę, odparł: „Śmierć przez tortury”.

Choć dzięki Johnowi Conwayowi dysponowaliśmy pozwoleniem władz więzienia na rozmowę zazwyczaj z wyprzedzeniem, zgodę samych więźniów wolałem uzyskiwać „z marszu”, już po przybyciu na miejsce. Oczywiście ryzykowaliśmy w ten sposób odmowę, ale ponieważ w więzieniu nie sposób utrzymać niczego w tajemnicy, gdyby wśród skazanych rozeszła się plotka, że któryś z nich utrzymuje kontakt z FBI, zostałby uznany za kapusia albo kogoś jeszcze gorszego. Kiedy zjawialiśmy się niezapowiedziani, więźniowie zakładali, że prowadzimy jakieś śledztwo, a więzień nie udziela nam informacji w zamian za korzyści. Ku mojemu zaskoczeniu Ed Kemper chętnie zgodził się na rozmowę. Od dłuższego czasu nikt nie wykazywał zainteresowania jego zbrodniami. Był ciekaw, o co nam chodzi.

Wizyta w więzieniu o zaostrowym rygorze to duże przeżycie nawet dla agenta federalnego. Najpierw należy oddać broń – z oczywistych powodów nie powinna znaleźć się w pomieszczeniach, do których wstęp mają więźniowie. Następnie odwiedzający musi podpisać oświadczenie, w którym zwalnia system więziennictwa z odpowiedzialności za jakiegokolwiek szkody odniesione w sytuacji, gdyby więźniowie wzięli go za zakładnika. Przyznaje tym samym, że ma świadomość, iż władze więzienia nie przystąpią do negocjacji z porywaczami. Przetrzywanie agenta FBI jako zakładnika byłoby niezwykle silną kartą przetargową. Po załatwieniu wszystkich formalności Bob Ressler, John Conway i ja zostaliśmy zaprowadzeni do pokoju, w którym znajdowały się stół i krzesła. Kazano nam zaczekać na Eda Kempera.

Pierwsze, co zwróciło moją uwagę, to jego okazała postura. Wiedziałem, że jest wysoki (w szkole i na podwórku uchodził z tego powodu za dziwaka,

z którym lepiej się nie zadawać), ale dopiero z bliska doceniłem w pełni jego rozmiary. Każdego z nas mógłby z łatwością przełamać na pół. Miał przydługie ciemne włosy i wielkie wąsiska. Do pokoju wszedł w rozpiętej roboczej koszuli i białym podkoszulku opiętym na wielkim brzuchu.

Szybko potwierdziło się również, że Kemper jest bystrym gościem. Więzienne akta mówiły o IQ 145, a podczas wielogodzinnych rozmów co jakiś czas nachodziła nas niepokojąca myśl, że znacznie przewyższa nas inteligencją. Miał mnóstwo czasu na rozmyślania nad własnym życiem i zbrodniami, które popełnił. Szybko zrozumiał, że starannie zapoznaliśmy się z jego aktami i nie damy sobie wciskać kitu. Później przez wiele godzin odpowiadał szczerze na pytania.

Nie była z niego nadmierna pewność siebie ani arogancja, nie okazywał wyrzutów sumienia ani skruchy. Sprawiał wrażenie dość spokojnego, jakby trochę zdystansowanego. Mówił chętnie, miał analityczne podejście. Czasem tak się rozgadywał, że nie potrafiliśmy wtrącić kolejnego pytania. Kiedy wspominał, w jaki sposób traktowała go matka, oczy zachodziły mu łzami.

Jako wykładowca stosowanej psychologii kryminalnej, dręczony wątpliwościami co do prawdziwości niektórych informacji przekazywanych kursantom, byłem zainteresowany znalezieniem odpowiedzi na odwieczne pytanie: czy przestępcy rodzą się przestępcami, czy też się nimi stają? Mimo że nadal nie znamy jednoznacznej odpowiedzi, a być może nigdy jej nie poznamy, rozmowy z Kemperem rzuciły światło na kilka niezmiernie ciekawych kwestii.

Bez wątpienia wychowywał się w koszmarnych warunkach. Ed opowiadał, że matka go nienawidziła, ponieważ od wczesnego dzieciństwa wyglądał niemal identycznie jak ojciec. Później problemem stał się jego wzrost. Jako dziesięciolatek górował nad kolegami. Matka, obawiając się, że będzie molestować siostry, kazała mu spać w pozbawionej okien komórce w piwnicy nieopodal kotła grzewczego. Co wieczór Clarnell zamykała go tam na klucz, po czym ona i Susan udawały się do swoich sypialni na piętrze. Ed żył

w nieustannym strachu i zaczął pałać nienawiścią do obu kobiet. W tamtym czasie matka ostatecznie rozstała się z jego ojcem. Ze względu na duży wzrost, nieśmiałość i brak męskiego wzorca Ed zawsze był zamknięty w sobie i czuł się „inny”. Kiedy matka zaczęła zamykać go w piwnicy niczym więźnia, nabrał przekonania, że jest niemoralny i niebezpieczny, mimo że nie zrobił nic złego. Właśnie wtedy w jego umyśle zaczęły wykluwać się agresywne, mordercze myśli. Zabił i zmasakrował dwa domowe koty: jednego scyzorykiem, drugiego maczetą. Dopiero później zrozumieliśmy, że okrucieństwo wobec zwierząt, utrzymująca się dłużej niż normalnie enurezja, czyli moczenia nocne, oraz piromania – zwane triadą morderców – to oznaki wskazujące na to, że możemy mieć do czynienia z seryjnym mordercą.

Na gorzką ironię zakrawa fakt, iż matka Eda była lubiana przez administratorów i studentów kampusu w Santa Cruz. Uważano ją za osobę wrażliwą i opiekuńczą – ludzie wiedzieli, że mogą ją poprosić o radę lub sobie po prostu z nią pogadać. Nieśmiałego syna traktowała jak potwora.

Zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Nigdy nie uda ci się umówić na randkę ani ożenić z którąkolwiek ze studentek. Nie zasługujesz na żadną z nich”. Po wielu latach takiego traktowania Ed postanowił udowodnić, że miała rację.

Trzeba zaznaczyć, że Clarnell na swój sposób troszczyła się o syna. Kiedy wyraził chęć wstąpienia do policji drogowej, próbowała wyczyścić mu kartotekę, aby „piętno” popełnionego w dzieciństwie morderstwa nie przeszkadzało mu w dorosłym życiu.

Chęć pracy w policji to kolejny interesujący fakt, z którym zetknęliśmy się wielokrotnie podczas badań nad seryjnymi mordercami. Trzy najczęstsze motywy kierujące seryjnymi gwałcicielami i mordercami to: potrzeba dominacji, potrzeba manipulacji i potrzeba kontroli. Marzenie o pracy w policji wydaje się całkowicie zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę, że są to zazwyczaj przepełnieni gniewem nieudacznicy, skrzywdzeni w swoim mniemaniu przez życie, a większość z nich w dzieciństwie była (jak Ed Kemper) dręczona

fizycznie lub emocjonalnie.

Policjant reprezentuje władzę i cieszy się społecznym szacunkiem. Dla dobra wspólnoty ma prawo skrzywdzić innego człowieka. Z naszych badań wynikało, że choć niewielu policjantów schodzi na złą drogę i popełnia brutalne przestępstwa, to wielu sprawców brutalnych przestępstw próbowało wcześniej dostać się w szeregi policji, a ostatecznie znalazło podobną pracę, na przykład ochroniarza lub stróża nocnego. W naszych profilach czasami umieszczaliśmy zatem informację, że sprawca jeździ samochodem przypominającym radiowóz, fordem crown victoria lub chevroletem caprice. Zdarzało się nawet, jak w wypadku mordercy dzieci z Atlanty, że sprawca miał używany wóz policyjny.

Jeszcze częstszym zjawiskiem jest „policyjny fanatyk”. Ed Kemper wspominał, że często zaglądał do barów i restauracji odwiedzanych przez policjantów. Nawiązywał z nimi rozmowy, co dawało mu poczucie przynależności do środowiska; był to substytut realnej policyjnej władzy. Później jako Morderca Studentek miał bezpośredni dostęp do informacji o postępach w śledztwie, co pozwalało mu przewidywać kolejne ruchy policji. Gdy na końcu długiej i krwawej podróży zadzwonił na policję z budki telefonicznej w Kolorado, policjanci z Santa Cruz uznali jego rewelacje za pijacki wybryk – nie wierzyli, że Mordercą Studentek może być ich dobry znajomy Ed. Dysponując tego rodzaju wiedzą, zakładaliśmy zawsze, że podejrzany podejmie próbę włączenia się w śledztwo. Kiedy wiele lat później mój kolega Gregg McCrary pracował przy sprawie Arthura Shawcrossa, mordercy prostytutek z Rochester w stanie Nowy Jork, trafnie przewidział, że sprawcą będzie dobry znajomy wielu policjantów, który przesiaduje z nimi w barach i udając entuzjazm, wyciąga od nich informacje na temat śledztwa.

Szczególnie zainteresowała mnie metodologia Kempera. Ponieważ udawało mu się bezkarnie popełniać kolejne zbrodnie na relatywnie niewielkim terenie, musiał wykazywać się pewną „skutecznością”. Zapewne analizował własne poczynania i doskonalił technikę mordowania. Należy pamiętać, że dla

większości osobników pokroju Kempera polowanie na ofiary i zabijanie jest najważniejszym „zajęciem”, więc nic dziwnego, że mają wszystko dokładnie przemyślane. Ed Kemper osiągnął wysoki poziom biegłości. Kiedyś przewoził w bagażniku ciała dwóch ofiar i został zatrzymany przez policjanta, który zauważył rozbite światło. Funkcjonariusz napisał w raporcie, że ograniczył się do ostrzeżenia, ponieważ kierowca zachowywał się niezwykle uprzejmie. Kemper nie bał się wtedy zdemaskowania i aresztowania, a cała sytuacja wręcz go podnieciła. Beznamiętnym głosem opowiadał nam, że był gotów zabić policjanta, gdyby ten zajrzał do bagażnika. Kiedy indziej wmówił uniwersyteckiemu strażnikowi, że powinien wypuścić go z terenu kampusu – w samochodzie oprócz Kempera znajdowały się dwie postrzelone, umierające kobiety. Były owinięte kocami po szyję; jedna siedziała obok niego, a druga z tyłu. Kemper spokojnie, jakby z zażenowaniem, wyjaśnił, że koleżanki są pijane i odwozi je do domu. To ostatnie było akurat prawdą. Pewnego razu zgodził się podwieźć kobietę i jej nastoletniego syna. Zamierzał ich zabić, ale ponieważ zauważył, że osoba towarzysząca uprzednio kobiecie zanotowała numer rejestracyjny jego samochodu, odstawił ich we wskazane miejsce.

Kemperowi pozwolono, ze względu na jego nieprzeciętną inteligencję, przeprowadzać testy psychologiczne na innych więźniach. Opanował w ten sposób całą terminologię i potrafił dokonać autoanalizy własnych zachowań w kategoriach psychiatrycznych. Wszystko traktował w kategoriach gry – nawet to, w jaki sposób skłonić ofiary, aby wsiadły do jego samochodu i niczego nie podejrzewały. Kiedy zatrzymywał się przy ładnej dziewczynie, pytał, dokąd jedzie, po czym zerkał na zegarek, jakby sprawdzał, czy zdąży ją podwieźć. Ona dochodziła do wniosku, że ma przed sobą zapracowanego mężczyznę, któremu głowę zaprzatają poważniejsze sprawy niż podwożenie autostopowiczów. Uspokojona, odsuwała od siebie wszelkie podejrzenia. Tego rodzaju informacje pozwoliły nam lepiej zrozumieć *modus operandi* mordercy, ale sugerowały również coś innego: że normalne, zdroworozsądkowe założenia, rozpoznawanie

sygnałów werbalnych, języka ciała itp. – stosowane na co dzień, kiedy chcemy wyrobić sobie szybko zdanie o innej osobie – bywają bezużyteczne przy ocenie socjopatów. Najważniejszym celem Eda Kempera było podwiezienie ładnej autostopowiczki. Miał za sobą wiele długich, żmudnych i analitycznych przemyśleń, w jaki sposób najlepiej ten cel osiągnąć – większość młodych kobiet, przy których się zatrzymywał, nie mogła poświęcić tyle czasu na ocenę potencjalnego zagrożenia.

Manipulacja. Dominacja. Kontrola. Oto trzy motywy rządzące mentalnością seryjnych przestępców uciekających się do przemocy. Każdy czyn i każda myśl mają im pomóc w zapełnieniu treścią ich niedoskonałego życia.

Czynnikiem, który prawdopodobnie odgrywa zasadniczą rolę w rozwoju seryjnego gwałciciela lub mordercy, jest fantazja (w najszerszym sensie tego słowa). U Eda Kempera fantazje pojawiły się wcześniej i wszystkie łączyły elementy seksualne ze śmiercią. Siostrę zmuszał, aby przywiązywała go do krzesła, po czym udawał, że znajduje się w komorze gazowej. Fantazje seksualne związane z innymi ludźmi kończyły się ich śmiercią i rozcłódkowaniem. Cierpiący na kompleksy Kemper zawsze czuł się niezręcznie w normalnych relacjach damsko-męskich. Nie wierzył, że kiedykolwiek spodoba się jakiejś dziewczynie. Kompensował sobie to fantazjami, a w relacjach z urojonymi partnerkami musiał wykazywać się całkowitą zaborczością, co w ostatecznym rozrachunku oznaczało odbieranie im życia.

„Kiedy żyły, były nieobecne, nie oddawały mi się – tłumaczył w zeznaniach przedstawionych w trakcie rozprawy sądowej. – Próbowałem nawiązać z nimi relację. Kiedy umierały, myślałem tylko o tym, że za chwilę będą moje”.

U większości morderców seksualnych można wyróżnić kilka etapów prowadzących od fantazji do jej urzeczywistnienia. Katalizatorem przejścia między jednym a drugim biegunem jest często pornografia, makabryczne eksperymenty na zwierzętach oraz znęcanie się nad kolegami. To ostatnie

traktuje jako „odgrywanie się” na rówieśnikach. Kemper czuł się odrzucony i szykanowany przez inne dzieci z powodu dużego wzrostu i skrytej osobowości. W rozmowie z nami wspominał, że przed poćwiartowaniem dwóch kotów ukradł siostrze lalkę, uciął jej głowę oraz rękę. Chciał przeciwżyć to, co zamierzał uczynić żywym zwierzętom.

Nadrzędną fantazją Kempera było pozbycie się despotycznej, pastwiącej się nad nim matki. Tym właśnie można wyjaśnić wszystkie popełnione przez niego morderstwa. Chciałbym uczynić jedno zastrzeżenie: nie próbuję w jakikolwiek sposób usprawiedliwiać Kempera. Zostałem wychowany w przekonaniu, potwierdzonym później przez doświadczenia życiowe, że każdy człowiek jest odpowiedzialny za swoje czyny. Uważam jednak Kempera za przykład osoby, która nie urodziła się seryjnym mordercą, ale została w niego zamieniona. Czy miałby równie mordercze fantazje, gdyby wychowywał się w bardziej stabilnym i przyjaznym domu? Być może. Czy w taki sam sposób wcielałby je w życie, gdyby nie straszliwy gniew skierowany przeciwko dominującej matce? Nie sądzę. Rozwój morderczych skłonności Kempera można od początku do końca rozpatrywać w kategoriach odwetu na poczciwej matuli. Kiedy dotarł do końca podróży, nie pozostało mu nic więcej do zrobienia.

Jest to zresztą jeden z motywów występujących u wielu morderców. Rzadko kierują gniew ku osobie będącej faktycznym źródłem urazy. Kemper przyznał, że uzbrojony w młotek, wchodził w nocy na palcach do pokoju matki i fantazjował, że roztrzaskuje jej czaszkę, ale dopiero po zamordowaniu sześciu innych osób odważył się spełnić to najważniejsze pragnienie. Zjawisko przeniesienia przybiera najróżniejsze formy. Mordercy często zabierają z ciała ofiar jakieś „trofeum”, na przykład pierścionek lub naszyjnik. Dają je w prezencie swojej żonie lub dziewczynie – wyjaśniają, że je kupili lub znaleźli – nawet jeśli to właśnie ona jest „źródłem” gniewu lub brutalności. Morderca widzi później na niej biżuterię i przeżywa na nowo ekscytację czy podniecenie towarzyszące morderstwu, a jednocześnie potwierdza swoją

dominację i kontrolę nad partnerką. Wie, że mógłby ją zamordować w taki sam sposób jak ofiarę.

Później zaczęliśmy dzielić elementy zbrodni na wydarzenia ją poprzedzające i te, które nastąpiły później. Kemper okaleczył ciała wszystkich ofiar, co sugerowało, że jest seksualnym sadystą, ale ponieważ do okaleczenia dochodziło dopiero po śmierci ofiary, jego intencją nie było wymierzenie kary ani zadanie cierpienia. Po wielu godzinach rozmów z Kemperem stało się jasne, że była to czynność o charakterze fetyszystycznym, a nie sadystycznym, i wiązała się z fantazją o zaborczości.

Sposób pozbywania się zwłok był w mojej ocenie równie istotny. Pierwsze ofiary pochował w bezpiecznej odległości od domu. Kolejnych, w tym matki i jej przyjaciółki, nie próbował nawet ukryć. Ponieważ zazwyczaj objeżdżał miasto ze zwłokami lub kawałkami ciał w bagażniku, uznałem, że próbował zdrwić ze wspólnoty, która jego zdaniem go wyszydzała i odrzucała.

W następnych latach przeprowadziliśmy wiele długich rozmów z Kemperem. Wszystkie były pouczające, a jednocześnie przerażające z powodu makabrycznych szczegółów zbrodni. Człowiek ten z zimną krwią zaszlachtował inteligentne dziewczyny będące w kwiecie wieku. Owszem, przyznaję, polubiłem Eda. Był sympatyczny, szczery, wrażliwy i miał poczucie humoru. Na ile to było możliwe w takich okolicznościach, przebywanie w jego towarzystwie sprawiało mi przyjemność. Nie chciałbym jednak, aby wyszedł na wolność – jemu samemu zresztą zdarzały się przebłyски świadomości, kiedy podzielał ten pogląd. Tak czy owak, sympatia, jaką do niego żywię, powinna skłonić do refleksji każdego, kto zajmuje się seryjnymi sprawcami brutalnych przestępstw. Wielu z nich to uroczy i elokwentni faceci.

„Jak taki człowiek mógł popełnić tak potworny czyn? To jakaś pomyłka albo zachodzą okoliczności łagodzące”. Takie myśli przychodzą do głowy, kiedy się z nimi rozmawia, a przecież każdy z nich dopuścił się niewyobrażalnych potworności. Właśnie dlatego psychiatrzy, sędziowie i kuratorzy tak często dają

się nabrać (do tego zagadnienia wrócę zresztą później).

Tymczasem powtórzmy sobie maksymę, którą wbijam do głów podwładnym: jeżeli chcesz zrozumieć artystę, obejrzyj jego dzieła. Kto nie pozna obrazów Picassa, nie ma prawa powiedzieć, że rozumie lub podziwia mistrza. Seryjni mordercy planują swoje poczynania z równą starannością jak malarz obmyślający obraz. Uważają je za sztukę, a im dłużej ją praktykują, tym większą zdobywają wprawę. Dlatego też moja ocena Eda Kempera tylko w części opiera się na osobistych kontaktach, a w części na analizie faktów i próbie zrozumienia jego poczyznań.

Kiedy tylko prowadziliśmy z Bobem Resslerem szkolenia w terenie i mieliśmy wolną chwilę, staraliśmy się porozmawiać z jakimś interesującym przestępcą odsiadującym wyrok w pobliskim więzieniu lub zakładzie penitencjarnym.

W miarę upływu czasu coraz lepiej radziłem sobie z organizacją rozmów. Zazwyczaj prowadziliśmy wykłady przez cztery i pół dnia w tygodniu, dlatego starałem się umawiać na spotkania wieczorami lub w weekendy. Wieczory były trudniejsze, ponieważ większość więzień przeprowadza po kolacji liczenie skazańców, którym nie wolno później opuszczać bloku. Nauczyliśmy się lepiej rozumieć więzienny reżim i dostosowywaliśmy do niego nasze plany. Odkryłem, że odznaka FBI otwiera drzwi do większości zakładów karnych i ułatwia rozmowę z naczelnikiem, dlatego zacząłem pojawiać się niezapowiedziany. Często to okazywało się najskuteczniejszą strategią. Im więcej rozmów miałem za sobą, tym pewniej czułem się na zajęciach, stojąc przed salą wypełnioną doświadczonymi policjantami. Materiał wykładów zyskał realne podstawy, nie ograniczał się do powtarzania zasłyszanych opowieści.

Nie chodzi nawet o to, że przestępcy dzielili się ze mną informacjami pozwalającymi na gruntowne zrozumienie ich psychiki i natury zbrodni. Niewielu by to potrafiło, nawet ci dorównujący inteligencją Kemperowi. Najczęściej powtarzali słowo w słowo zeznania złożone przed sądem lub

wygłaszali starannie przygotowane i przećwiczone oświadczenia. Interpretacja spotkań wymagała wielkiego wysiłku i drobiazgowych analiz. Mimo to rozmowy pozwalały nam przyjrzeć się z bliska działaniu umysłu przestępcy i lepiej go zrozumieć. Dzięki temu nauczyliśmy się patrzeć na wydarzenia oczami sprawcy.

W pierwszych miesiącach nieformalnych badań zdołaliśmy porozmawiać z pięcioma mordercami i niedoszłymi mordercami. Byli to: niedoszły zamachowiec George'a Wallace'a Arthur Bremer (zakład karny w Baltimore), Sarah Jane Moore i Lynette „Piskliwa” Fromme, które próbowały zabić prezydenta Geralda Forda (Alderson w Wirginii Zachodniej), oraz guru Fromme Charles Manson, odsiadujący wyrok w San Quentin, na północ od San Francisco i kruszejącej bryły Alcatraz.

Manson wzbudzał zainteresowanie każdego przedstawiciela prawa. Minęło dziesięć lat od makabrycznych morderstw Sharon Tate i małżeństwa LaBianca w Los Angeles, a Manson wciąż był najsłynniejszym i najbardziej odrażającym skazańcem na świecie. Jego przypadek wykładano w Quantico, a choć przebieg zbrodni został szczegółowo zrekonstruowany, miałem poczucie, że nadal nie znaleziono klucza do umysłu Mansona. Nie wiedziałem, czego się spodziewać po ewentualnym spotkaniu, uznałem jednak, że osoba obdarzona tak niesłychaną umiejętnością manipulowania innymi zasługuje na szczególną uwagę. Bob Ressler i ja spotkaliśmy się z nim w małej salce konferencyjnej w głównym bloku więziennym San Quentin. Pomieszczenie otoczone z trzech stron szybami wzmocnionymi drutem na co dzień służyło więźniom do spotkań z prawnikami.

W pierwszej chwili Manson wydał nam się przeciwieństwem Eda Kempera. Miał szalone, roziskrzone spojrzenie i niepokojące ruchy. Był znacznie niższy i drobniejszy, niż sobie wyobrażałem – mierzył najwyżej sto sześćdziesiąt centymetrów. Jak to możliwe, że tak z pozoru słabowity człowieczek podporządkował sobie osławioną „Rodzinę”?

Częściową odpowiedź poznałem już na początku spotkania, gdy wdrapał się

na krzesło i usiadł na oparciu – dzięki temu patrzył na nas z góry. Przygotowałem się starannie do rozmowy i wiedziałem, że przemawiając do swoich uczniów na pustyni, zwykł siadać na dużym głazie, przydając sobie fizycznego majestatu. Na samym początku dał nam wyraźnie do zrozumienia, że mimo głośnego, relacjonowanego w mediach procesu wciąż nie rozumie, dlaczego trafił do więzienia. Przecież nikogo nie zabił. Uważał się za kozła ofiarnego społeczeństwa – niewinny symbol mrocznej strony Ameryki. Swastyka, którą wyrzył sobie na czole podczas procesu, pozostawała częściowo widoczna. Dzięki życzliwym pośrednikom utrzymywał kontakt ze współpracownikami przebywającymi w innych więzieniach.

W jednym bardzo przypominał Eda Kempera – podobnie jak wielu skazańców, z którymi rozmawialiśmy, miał koszmarne dzieciństwo (jeżeli tego słowa można w ogóle użyć do opisu najmłodszych lat Mansona).

Charles Milles Manson urodził się w Cincinnati w 1934 roku jako syn szesnastoletniej prostytutki Kathleen Maddox. Matka nadała mu nazwisko Manson, bo tak nazywał się jej kochanek, jeden z wielu, będący, jak sądziła, ojcem. Kathleen co rusz trafiała do więzienia, zostawiając Charliego u religijnej ciotki i sadystycznego wuja, którzy przezywali go maminsynkiem, ubrali w dziewczęce ubranie w pierwszym dniu szkoły, a jednocześnie żądali, aby „zachowywał się jak mężczyzna”. Jako dziesięcioletek Charles żył na ulicy, pomieszkując w schroniskach i domach poprawczych. W słynnym sierocińcu ojca Flanagana przetrwał cztery dni.

Osiągnąwszy dorosłość, zajmował się kradzieżami, fałszerstwami, stręczycielstwem, napadami; odsiedział kilka wyroków w zakładach karnych, i to o coraz surowszym rygorze. FBI prowadziło śledztwo w sprawie kradzieży samochodu dokonanej poza stanem zamieszkania, a on był głównym podejrzanym. W 1967 roku został warunkowo zwolniony z więzienia i zdążył się załapać na „lato miłości”. Zamieszkał w dzielnicy Haight-Ashbury w San Francisco, oazie dzieci kwiatów na Zachodnim Wybrzeżu, siedlisku seksu,

narkotyków i rock and rolla. Lubił żyć na cudzy koszt i szybko przeistoczył się w charyzmatycznego guru zblazowanej, odurzonej narkotykami młodzieży, która rzuciła szkołę w wieku kilkunastu lub dwudziestu kilku lat. Grał na gitarze i karmił ich mętnymi prawdami o życiu. Żył na cudzy koszt, uprawiając do woli seks i zażywając środki odurzające. Otaczała go nomadyczna Rodzina wielbicieli, kobiet i mężczyzn, w niektórych okresach licząca nawet pięćdziesiąt osób. Wkładem Charliego w życie wspólnoty były kazania, w których snuł wizję nadciągającej apokalipsy i wojny między rasami; zwycięsko miała z nich wyjść Rodzina z nim jako przywódcą. Przemyslenia opierał na piosence *Helter Skelter* Beatlesów z *The White Album*.

Wieczorem 9 sierpnia 1969 roku czworo członków Rodziny, dowodzonych przez Charlesa „Texa” Watsona, włamało się do położonego w Beverly Hills przy Cielo Drive 10050, na uboczu, domu Romana Polańskiego i jego żony gwiazdy filmowej Sharon Tate. Polański przebywał wtedy w Europie. Tate oraz czworo gości – Abigail Folger, Jay Sebring, Wojciech Frykowski i Steven Parent – zostało brutalnie zamordowanych, a mordercy namalowali krwią ofiar hasła na ścianach i ciałach zabitych. Sharon Tate była w dziewiątym miesiącu ciąży.

Dwa dni później, rzekomo za namową Mansona, sześcioro członków Rodziny zabiło biznesmena Lena LaBiancę i jego żonę Rosemary i okaleczyło ich zwłoki w ich domu w dzielnicy Silver Lake w Los Angeles. Manson nie brał udziału w samych morderstwach, ale przybył na miejsce później i uczestniczył w okaleczaniu ciał. Dopiero aresztowanie prostytutki Susan Atkins, która uczestniczyła w obu zbrodniach oraz podpaleniu pługa należącego do lokalnego wydziału dróg i transportu, naprowadziło policję na trop Rodziny, a w konsekwencji doprowadziło do najgłośniejszego chyba procesu w historii Kalifornii (przynajmniej do czasu widowiska, w jakie zamienił się proces O.J. Simpsona). W dwóch oddzielnych postępowaniach Manson i kilkoro jego zwolenników zostało skazanych na śmierć za morderstwa Tate i małżeństwa

LaBianca oraz szereg innych, w tym zabicie i okaleczenie Donalda „Konusa” Shei, kaskadera filmowego i członka Rodziny, którego Manson podejrzewał o donosicielstwo. Kiedy w Kalifornii zniesiono karę śmierci, wyroki zamieniono na dożywotnie więzienie.

Charlie Manson nie był typowym seryjnym mordercą. Spierano się wręcz, czy w ogóle kogokolwiek zamordował. Bezspornie odpowiadał za stworzenie wspólnoty, której członkowie za jego namową i w jego imieniu dopuścili się potwornych zbrodni. Mnie interesowało, w jaki sposób człowiek zamienia się w tego rodzaju demonicznego mesjasza. Bob i ja musieliśmy wysłuchać wielu godzin taniego filozofowania, ale dzięki systematycznemu wypytywaniu o szczegóły z potoku bredni zaczął wyłaniać się klarowny obraz.

Charlie nie planował kariery zapijaczonego guru. Interesowały go sława i bogactwo. Chciał zostać perkusistą i grać w jednym ze znanych zespołów rockowych w rodzaju Beach Boys. Do kombinowania zmusiło go życie, ale dzięki temu nauczył się oceniać ludzi i szybko rozpoznawać, czy będą mu do czegoś przydatni. Znakomicie sprawdziliby się w mojej jednostce przy ocenianiu mocnych i słabych stron psychiki morderców i obmyślaniu strategii, które doprowadziłyby do schwytania przestępców.

Kiedy po warunkowym zwolnieniu z więzienia Manson przyjechał do San Francisco, zobaczył tabuny zagubionych, naiwnych, idealistycznych dzieciaków, którym imponował doświadczeniem życiowym i mądrością. Wielu, zwłaszcza młodym dziewczętom, nie układało się z ojcami. Identyfikowali się z trudnym dzieciństwem Charliego, a on był na tyle bystry, że to zauważył. Zastępował im ojca, a jednocześnie wypełniał ich puste życie seksem oraz narkotycznym oświeceniem. Ktokolwiek znajdzie się w jednym pokoju z Charliem Mansonem, natychmiast dostaje się pod wpływ jego spojrzenia – głębokiego i przenikliwego, dzikiego i hipnotyzującego. Ma świadomość tej siły i wpływu, jaki potrafi wywierać. Powiedział nam, że zawsze dostawał w kość, a skromne warunki fizyczne musiał kompensować silną osobowością.

Jego nauki były zupełnie sensowne – zanieczyszczenia wody i powietrza niszczą środowisko, uprzedzenia rasowe są obrzydliwe i niebezpieczne, lepiej kochać, niż nienawidzić – problem w tym, że zapatrzonych w niego uczniów omotywał misterną siecią złudzeń, podporządkowując sobie całkowicie ich ciała i umysły. Pozbawiał ludzi snu i seksu, kontrolował spożywane przez nich jedzenie oraz narkotyki. Przypominał komendanta obozu próbującego zapanować całkowicie nad jeńcami wojennymi. W tym czarno-białym świecie tylko Charlie znał prawdę. Brzdąkał na gitarze i w nieskończoność powtarzał prostą mantrę: tylko Charlie zdoła zbawić chore i zgniłe społeczeństwo.

Podstawowe elementy dynamiki przywództwa i władzy w grupie, jakie opisał w rozmowach z nami Manson, obserwowaliśmy później wielokrotnie w podobnych tragicznych sprawach. Umiejętność rozumienia i kontrolowania potrzeb ludzi niesamodzielnych życiowo wystąpi choćby u wielbego Jima Jonesa odpowiedzialnego za masowe morderstwo-samobójstwo swojej trzódki w Gujanie, a później u Davida Koresha i jego wyznawców z Gałęzi Dawidowej, którzy zginęli na farmie w Waco w Teksasie. Mimo uderzających różnic jedno ich wyraźnie łączy. Rozmowy z Mansonem i jego wielbicielami pomogły nam zrozumieć Koresha oraz inne kultury.

Istotą władzy Mansona nie była wcale mesjanistyczna wizja. Kazania na temat apokaliptycznej wojny stanowiły metodę kontrolowania umysłów. Manson rozumiał, że musi sprawować ową kontrolę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo w przeciwnym razie utraci wyznawców. David Koresh również to wiedział, dlatego zamknął ich w wiejskiej fortecy, w której przez cały czas pozostawali pod jego wpływem.

Po wysłuchaniu Mansona nabrałem przekonania, że wcale nie zamierzał zamordować Sharon Tate i jej przyjaciół. Po prostu stracił kontrolę nad sytuacją i swoimi zwolennikami. Wybór miejsca i ofiar był przypadkowy. Jedną z dziewczyn Mansona była kiedyś w domu Sharon Tate i podejrzewała, że znajdują tam pieniądze. Tex Watson, przystojny, wyróżniający się student

z Teksasu, uosobienie Amerykanina, pragnął awansować w hierarchii grupy, zdobyć taką władzę i autorytet, jakie miał Manson. Odurzony LSD (podobnie jak reszta), zafascynowany głoszona przez lidera wizją lepszego jutra, został prowodyrem. Dowodził wypadem do rezydencji Tate i Polańskiego i zachęcał innych do najbardziej zwyrodniałych czynów.

Kiedy ubezwłasnowolnieni uczniowie powrócili do Charliego i zaczęli się chwalić, że zapoczątkowali wieszczoną przez niego wojnę, on nie mógł się wycofać i wyjaśnić, że potraktowali jego słowa zbyt dosłownie – pozbawiłby się w ten sposób władzy i autorytetu. Nie pozostało mu nic innego, jak dokonać czegoś jeszcze bardziej spektakularnego, dając niejako do zrozumienia, że popełnione przez nich morderstwa były jego zamysłem i częścią szerszego planu. Zaprowadził ich do domu LaBianki, aby powtórzyć zbrodnię. Co symptomatyczne, kiedy zapytałem Mansona, dlaczego nie wszedł do środka i nie wziął udziału w morderstwie, wyjaśnił (jak komuś głupiemu), że przebywał na zwolnieniu warunkowym i nie zamierzał ryzykować powrotu do więzienia.

Z naszych rozmów z Mansonem oraz pozostałych informacji na jego temat wynika moim zdaniem, że owszem, ukształtował on członków Rodziny zgodnie z własnymi potrzebami, ale oni także uformowali go podług własnych i zmusili do ich zaspokajania.

Co dwa lata Manson ubiega się o zwolnienie warunkowe, zawsze bezskutecznie. Popełnił zbyt głośne i brutalne zbrodnie, aby komisja podjęła takie ryzyko. Ja również nie chciałbym zobaczyć go na wolności, choć wątpię, by – w odróżnieniu od innych morderców – stanowił poważne zagrożenie. Zasilyby się zapewne z powrotem na pustyni albo próbował zarobić na własnej popularności. Nie przypuszczam, by kogoś zabił. Groźni byliby różnej maści zagubieni i nieudacznicy, gromadzący się w jego otoczeniu i traktujący go jako boga i przywódcę.

Po dziesięciu–dwunastu rozmowach z więźniami stało się jasne, że wpadliśmy

z Resslerem na ciekawy pomysł. Po raz pierwszy potrafiliśmy połączyć procesy zachodzące w umyśle przestępcy z dowodami, jakie ten pozostawiał na miejscu zbrodni.

W 1979 roku do naszej jednostki spłynęło około pięćdziesięciu próśb o sporządzenie profilu psychologicznego. Odpowiadaliśmy w miarę możliwości, opracowując profile w przerwach między wypełnianiem obowiązków pedagogicznych. Rok później liczba wniosków się podwoiła. Tak samo w kolejnym roku, choć wtedy, jako jedyny w jednostce, pracowałem w pełnym wymiarze godzin nad bieżącymi śledztwami. W wolnych chwilach wygłaszałem wykłady w ramach Narodowej Akademii i na kursach dla agentów, niemniej działalność pedagogiczna była dla mnie zajęciem ubocznym. Analizowałem prawie wszystkie przypadki morderstw, które trafiały do naszej jednostki, oraz niektóre sprawy gwałtów, jeśli akurat nie zajmował się nimi Roy Hazelwood.

Z nieformalnej, nieusankcjonowanej procedury udzielania pomocy narodziła się skromna instytucja. Nadano mi stworzony specjalnie z tej okazji tytuł „kierownika programu profilowania osobowości przestępców” i zacząłem nawiązywać współpracę z biurami terenowymi, które miały koordynować przepływ wniosków składanych przez lokalne wydziały policji.

Trafiłem kiedyś mniej więcej na tydzień do szpitala. Dawne kontuzje nosa, pamiątki po grze w futbol i boksowaniu coraz silniej dawały się we znaki. Miałem coraz większe kłopoty z oddychaniem i lekarze postanowili naprostować mi przegrodę nosową. Pamiętam, że leżałem w łóżku niemal zupełnie pozbawiony możliwości widzenia, a mimo to kazałem jednemu z agentów podrzucić mi do szpitala akta dwudziestu spraw.

Każde spotkanie z osadzonym uczyło nas czegoś nowego, przyszedł jednak czas, aby uporządkować zdobyte informacje i stworzyć użyteczny system. Zadania tego podjął się Roy Hazelwood, razem z którym napisałem artykuł na temat morderstw motywowanych pożądaniem do „FBI Law Enforcement Bulletin”. Roy prowadził wcześniej badania z doktor Ann Burgess,

wykładowczynią opieki nad umysłowo upośledzonymi w szkole pielęgniarstwa Stanowego Uniwersytetu Pensylwanii i zastępcą dyrektora wydziału zdrowia i szpitalnictwa Bostonu. Burgess miała bogatą bibliografię naukową i już wtedy uchodziła za jeden z głównych autorytetów w Stanach Zjednoczonych w sprawach gwałtu i jego skutków psychologicznych.

Roy sprowadził ją do Jednostki Nauk Behawioralnych. Nasze badania zrobiły na niej spore wrażenie, uznała je wręcz za pionierskie. Jej zdaniem nasza działalność mogła pomóc w zrozumieniu zachowań przestępców w ten sam sposób, w jaki *DSM – Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders (Diagnostyczny i statystyczny podręcznik zaburzeń umysłowych)* – pomógł w zrozumieniu zaburzeń umysłowych i uporządkowaniu wiedzy o nich.

Postanowiliśmy działać razem. Ann wystąpiła do Narodowego Instytutu Sprawiedliwości o grant w wysokości czterystu tysięcy dolarów i go uzyskała. Postawiliśmy sobie za cel przeprowadzenie obszernych wywiadów z 36–40 więźniami oraz podjęcie próby wyciągnięcia z tych rozmów ogólniejszych wniosków. Korzystając z naszych rad, Ann opracowała pięćdziesięciosiedmiostronicowy kwestionariusz, który miał służyć za podstawę wywiadów. Bob kierował projektem i odpowiadał za kontakty z Narodowym Instytutem Sprawiedliwości, a we dwóch, on i ja, korzystając z pomocy agentów terenowych, zamierzaliśmy powrócić do więzień i rozmów ze skazanymi. Planowaliśmy opisać wygląd wszystkich miejsc zbrodni oraz przebieg morderstw, zbadać i udokumentować zachowania poprzedzające zbrodnię oraz te, które nastąpiły później, z kolei Ann miała powyciągać z tego wszystkiego dane statystyczne. Ocenialiśmy, że realizacja projektu zajmie nam trzy–cztery lata.

W ten sposób narodziła się współczesna analiza kryminalistyczno-dochodzeniowa.

ROZDZIAŁ 7

Jądro ciemności

W naturalny sposób nasuwa się pytanie, dlaczego przestępcy odsiadujący wyrok mają ochotę współpracować z agentami federalnymi. Na początku projektu sami mieliśmy wątpliwości, ale zdecydowana większość skazańców zgadzała się na rozmowę. Z najróżniejszych powodów.

Niektórzy szczerze przejmują się swoimi zbrodniami, a udział w badaniu traktują jako formę częściowego zadośćuczynienia, a także okazję do lepszego poznania samych siebie. Sądzę, że do tej kategorii należał Ed Kemper. Inni mają obsesję na punkcie służb porządkowych, więc lubią przebywać w towarzystwie policjantów i agentów FBI. Niektórzy spodziewają się po współpracy z „władzami” jakichś korzyści, mimo że nigdy nie składamy żadnych obietnic. Są i tacy, którym doskwiera świadomość, że popadli w zapomnienie. Zależy im wyłącznie na tym, by zwrócić na siebie uwagę. Nie należy zapominać, że nasza wizyta oznacza również wybawienie od więziennej nudy. Zdarzają się przestępcy korzystający ze sposobności do szczegółowego opisanie swoich morderczych fantazji, bo dzięki temu ponownie przeżywają akt popełnienia zbrodni.

Byliśmy gotowi wysłuchać wszystkiego, co mieli do powiedzenia, niemniej zależało nam przede wszystkim na znalezieniu odpowiedzi na kilka podstawowych pytań. Zawarliśmy je w artykule przedstawiającym cele badania, opublikowanym w „FBI Law Enforcement Bulletin”, w numerze z września

1980 roku.

1. Co powoduje, że człowiek zostaje przestępcą seksualnym i jakie są tego wczesne symptomy?
2. Jakie czynniki mogą go ośmielać do popełnienia zbrodni lub przed tym powstrzymać?
3. Jakie formy reakcji lub strategii przystosowawczych ofiar pozwalają skutecznie powstrzymać przestępcę seksualnego (w zależności od podkategorii, do której przestępca należy)?
4. Czy na tej podstawie można podzielić przestępców seksualnych na mniej i bardziej niebezpiecznych oraz jakie ma to przełożenie na powodzenie resocjalizacji, nastawiania i leczenia oraz wyboru terapii?

Zdawaliśmy sobie sprawę, że warunkiem sukcesu będzie staranne przygotowywanie się do rozmów, pozwalające na błyskawiczne odróżnianie odpowiedzi prawdziwych od kłamstw. Każdy w miarę inteligentny człowiek – a większość seryjnych przestępców można zaliczyć do tej kategorii – potrafi wychwycić słabości rozmówcy i je wykorzystać. Przestępcy mają naturalną umiejętność manipulowania innymi ludźmi. Jeżeli uznają, że korzyść przyniesie im udawanie osoby nie zrównoważonej psychicznie, będą udawać osobę nie zrównoważoną psychicznie. Jeżeli dostrzegą pożytek z okazywania wyrzutów sumienia i skruchy, będą okazywać wyrzuty sumienia i skruchę. Mimo to wszyscy przestępcy, którzy zgodzili się z nami porozmawiać, byli w jednym do siebie podobni: z braku innych zajęć każdy z nich poświęca mnóstwo czasu na rozmyślanie o sobie oraz swoich zbrodniach i potrafi o nich ze szczegółami opowiadać. Przed rozpoczęciem każdego wywiadu musieliśmy możliwie dokładnie zapoznać się z kartoteką przestępcy, aby skutecznie odróżnić prawdę od fałszu. Należy pamiętać, że ludzie ci mają mnóstwo czasu na obmyślanie alternatywnych wersji wydarzeń, w których prezentują się jako sympatyczniejsi lub w mniejszym stopniu odpowiedzialni.

Podczas wielu wczesnych rozmów miałem ochotę odwrócić się do Boba Resslera czy innej osoby, która mi akurat towarzyszyła, i zapytać: „Jakim cudem on w ogóle trafił do pudła? Gość ma na wszystko sensowne wytłumaczenie. Czyżby zamknęli niewinnego człowieka?”. Po powrocie do Quantico

sprawdzaliśmy akta sprawy i kontaktowaliśmy się z odpowiednim wydziałem policji, aby upewnić się, że nie doszło do tragicznej pomyłki.

Bob Ressler pamiętał, że jako mały chłopiec bardzo przeżył śmierć sześćioletniej Suzanne Degnan, która została uprowadzona z domu i zamordowana. Jej ciało, pokrojone na kawałki, znaleziono w kanałach ściekowych miasteczka uniwersyteckiego Evanston pod Chicago. Policja zatrzymała młodego mężczyznę Williama Heirensa, który przyznał się do zabicia Suzanne oraz dwóch kobiet. Włamywał się do ich domów, ale sytuacja wymykała się spod kontroli. W domu jednej z ofiar, Frances Brown, napisał na ścianie szminką:

Na liTOść
BOską złApcie Mnie
ZaNim Zabiję Kolejne
Nie panuję nad sobą

Heirens obwinił o morderstwa George'a Murmana (był to zapewne skrót od „*murder man*”, morderca), który miał mieszkać w jego umyśle. Bob podejrzewał, że sprawa Heirensa była jednym z czynników, które skłoniły go do wyboru kariery stróża prawa.

Kiedy po uzyskaniu grantu zaczęliśmy realizację projektu „Badanie Osobowości Przestępców”, pojechaliśmy z Bobem do Stateville Prison w Joliet w stanie Illinois, aby porozmawiać z Heirenssem. Przebywał w więzieniu nieprzerwanie od 1946 roku i cieszył się opinią wzorowego więźnia; jako pierwszy skazaniec w stanie skończył college, a następnie zaczął starać się o tytuł magistra.

W trakcie rozmów Heirens wypierał się jakiegokolwiek związku z przestępstwami, twierdząc, że został niesłusznie skazany. Na każde pytanie miał odpowiedź. Przedstawiał alibi dowodzące, że za każdym razem przebywał daleko od miejsc, w których popełniono morderstwa. Był niezwykle przekonujący. W obawie, że doszło do pomyłki sądowej, po powrocie do

Quantico odszukałem akta sprawy. Jak się okazało, przyznał się do winy, a na miejscu zbrodni poza innymi niepodważalnymi dowodami znaleziono jego odciski palców. Heirens miał tyle czasu na rozmyślenia, że znalazł wytłumaczenie na wszystko. Przypuszczam, że bez większego problemu przeszedłby badanie wykrywaczem kłamstw.

Richard Speck odsiadywał kilka wyroków dożywotniego więzienia za zamordowanie ośmiu studentek szkoły pielęgniarstwa w południowym Chicago w 1966 roku. Zastrzegł, aby nie wrzucać go do jednego worka z pozostałymi mordercami, których zamierzamy badać.

– Nie chcę pojawić się z nimi na wspólnej liście – powiedział. – Ci ludzie to szaleńcy. Ja nie jestem seryjnym mordercą.

Nie wypierał się swoich czynów, chciał tylko zaznaczyć swoją odrębność.

W pewnym sensie Speck miał rację. Nie należał do kategorii seryjnych morderców, u których między kolejnymi morderstwami powtarzają się podobne stany emocjonalne albo którzy przechodzą przez fazę wyciszenia. Określiłbym go raczej mianem „masowego mordercy” – człowieka, który jednorazowo zabija więcej niż dwie osoby. Speck zamierzał jedynie okraść dom, aby zdobyć pieniądze na wyjazd z miasta. Kiedy dwudziestotrzyletnia Corazon Amurao otworzyła drzwi, wdarł się do środka, grożąc jej pistoletem i nożem. Zapewniał, że jej oraz pozostałym pięciu lokatorkom nic nie grozi; zamierzał je tylko związać i okraść. Zapędził dziewczyny do sypialni. W ciągu następnej godziny trzy kolejne kobiety wróciły do domu z randek i biblioteki. Speck związał i je, ale wtedy zmienił plany. Włamanie przerodziło się w serię gwałtów i morderstw. Niektóre kobiety udusił, inne zadźgał nożem, jeszcze inne wykrwawiały się od ran. Przeżyła tylko Amurao, która przeleżała całą makabrę skulona w kącie. Speck pogubił się w rachunkach i zapomniał o jednej dziewczynie.

Kiedy się ulotnił, Amurao wyszła na balkon i zaczęła wołać o pomoc. Policji powiedziała, że sprawca miał na lewym przedramieniu wytatuowany napis

„Born to Raise Hell” (Urodzony, by rozpętać piekło). Richard Franklin Speck został zidentyfikowany tydzień później, kiedy trafił do pobliskiego szpitala po nieudanej próbie samobójczej.

Ze względu na straszliwą brutalność tej zbrodni w środowisku lekarzy i psychologów rozgorzała dyskusja na temat jej możliwych przyczyn. Początkowo ogłoszono, że Speck cierpi na zaburzenie genetyczne: ma dodatkowy chromosom Y, który, jak sądzono, zwiększał agresję i zachowania antyspołeczne. Historia pamięta wiele podobnie modnych teorii wyjaśniających skłonności przestępcze. Ponad sto lat temu ówczesni behawioryści posługiwali się frenologią – analizą kształtu czaszki – do określania cech charakteru i zdolności umysłowych człowieka. Później popularność zyskała teoria dopatrująca się w elektroencefalogramie z powtarzającym się wzorem czternastu i sześciu wierzchołków świadectwa poważnych zaburzeń osobowościowych. Jeżeli chodzi o dodatkowy chromosom Y, to wciąż nie wiemy dokładnie, jakie zmiany powoduje w organizmie, nie sposób jednak zaprzeczyć, że wielu mężczyzn go ma i nie przejawia ponadprzeciętnej agresji ani antyspołecznych zachowań. A w tym konkretnie przypadku, po dokładnym zbadaniu Richarda Specka, stwierdzono, że jego kod genetyczny jest całkowicie normalny – nie miał nawet dodatkowego chromosomu Y.

Speck, który zmarł w więzieniu na atak serca, początkowo nie chciał z nami rozmawiać. Uprzedziliśmy więźnienie o planowanej wizycie, naczelnik udzielił nam zgody na widzenie z więźniem, ale zasugerował, aby nie informować go o spotkaniu. Kiedy przybyliśmy na miejsce, zrozumieliśmy dlaczego. Z karceru, w którym Speck został zamknięty, abyśmy mogli obejrzeć jego celę, dobiegały wrzaski i przekleństwa. Pozostali więźniowie również dostali szału, solidaryzując się z kolegą. Naczelnik zamierzał nam pokazać materiały pornograficzne, które zgromadził Speck, ten jednak protestował stanowczo przeciwko naruszeniu prywatności. Więźniowie nienawidzą nawet pobieżnego przeszukiwania cel, jedynej namiastki prywatności, jaka im pozostała. Kiedy

weszliśmy na trzypoziomowy blok więzienny (pod sufitem krążyły ptaki wlatujące przez powybijane okna), naczelnik ostrzegł, żebyśmy trzymali się blisko środka, uniemożliwiając więźniom trafienie w nas uryną i kałem.

Od razu zdałem sobie sprawę, że zaprzepaścimy w ten sposób szanse na rozmowę. Zaproponowałem naczelnikowi na ucho, abyśmy po prostu przeszli przez blok, nie zatrzymując się w celi Specka. Przy regułach obowiązujących obecnie w zakładach karnych zapewne nie moglibyśmy składać więźniom niespodziewanych wizyt. Przypuszczam nawet, że cały projekt badania osobowości przestępców byłby dziś znacznie trudniejszy do przeprowadzenia.

Specka, w odróżnieniu od Kempera i Heirensa, trudno było nazwać wzorowym więźniem. Kiedyś skonstruował prymitywny miniaturowy destylator i ukrył go w sekretnej wnęcie w drewnianym biurku strażnika bloku. Urządzenie produkowało minimalne ilości alkoholu, ale rozchodzący się dokoła zapach doprowadzał do szału strażników bezskutecznie próbujących zlokalizować źródło. Kiedy indziej znalazł rannego wróbla, który wleciał przez rozbite okno. Troszczył się o niego, a kiedy ptak odzyskał siły i mógł ponownie stać na nóżkach, Speck przywiązał mu do jednej z nich linkę i nosił go na ramieniu. Jeden ze strażników zwrócił mu uwagę, że więźniowie mają zakaz posiadania zwierząt.

– Czyli nie mogę go zatrzymać? – spytał hardo Speck, po czym podszedł do wirującego wentylatora i wrzucił do niego ptaszka.

– Myślałem, że go lubiłeś! – powiedział przerażony strażnik.

– Lubilem – odparł Speck – ale nie pozwolę, żeby trafił do kogoś innego.

Bob Ressler i ja spotkaliśmy się ze Speckiem w pokoju wizyt w Joliet. Towarzyszył mu wychowawca, odpowiednik psychologa szkolnego. Podobnie jak Manson Speck zajął miejsce u szczytu stołu – usiadł na szafce, aby nad nami górować. Zacząłem wyjaśniać cel naszej wizyty, ale Speck nie miał ochoty na rozmowę, tylko wymyślał na „pierdolone FBI”, które chciało przeszukać mu celę.

Kiedy po raz pierwszy się z nimi spotykam, kiedy siadam naprzeciwko nich w więziennej salce, próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądali i co mówili w trakcie popełniania przestępstwa. Za każdym razem mam za sobą lekturę akt sprawy, więc wiem dokładnie, do czego każdy z nich był zdolny. Pozostaje mi tylko powiązać tę wiedzę z osobą siedzącą naprzeciwko.

Każde policyjne (lub podobne do policyjnego) przesłuchanie przypomina zaloty: obie strony próbują wyciągnąć od siebie informacje, na których im zależy. Każdego z przesłuchiwanym trzeba najpierw rozgryźć, znaleźć sposób, w jaki można do niego dotrzeć. Oburzeniem czy osądami moralnymi nic się nie wskóra. („Co zrobiłeś, sadysto, potworze ty? Zjadłeś ludzką rękę?”) Należy odkryć sposób na dotarcie do więźnia. Z niektórymi, jak z Kemperem, można rozmawiać wprost i rzeczowo, należy tylko zademonstrować, że zna się na wylot kartotekę więźnia, więc nic nie wskóra bajerowaniem. Z doświadczenia wiem, że z ludźmi pokroju Richarda Specka należy postępować bardziej ofensywnie.

Siedzimy zatem w sali konferencyjnej. Towarzyszący nam wychowawca to rozmowny, towarzyski mężczyzna mający doświadczenie w rozładowywaniu wrogiej atmosfery – cechy pożądane u negocjatora. Speck nadal ostentacyjnie nas ignoruje, zaczynam zatem rozmawiać z wychowawcą, zupełnie jakbyśmy byli sami.

– Wie pan, co on takiego zrobił? – pytam. – Zarąbał osiem cipek. Niektóre były zupełnie niezłe. Pozbawił nas ośmiu niezłych dup. To chyba nie *fair*, prawda?

Bob wygląda na wyraźnie skrępowanego. Nie chce się zniżać do poziomu mordercy, poza tym nie lubi żartować z umarłych. W normalnych warunkach myślałbym tak samo, ale sytuacja wymaga nadzwyczajnych środków.

Wychowawca odpowiada w tym samym stylu, rozmawiamy zupełnie na luzie. Gdyby nie temat, ktoś mógłby pomyśleć, że oto dwóch chłopaków ze szkoły średniej gada sobie w szatni. Nadaje to naszemu dialogowi groteskowy odcień.

Speck przysłuchuje się przez chwilę, w końcu potrząsa głową.

– Ale z was popierdoleńcy – mówi, chichocząc. – Chyba niewiele nas jednak różni.

Korzystam z okazji i natychmiast zwracam się do niego.

– Skąd, do licha, miałeś siłę, żeby przelecieć osiem kobiet po kolei? Śniadanie zjadłeś obfite czy co?

Speck patrzy na nas jak na parę naiwnych buraków.

– No przecież nie zerznąłem wszystkich... W mediach wszystko rozdmuchali. Przeleciałem tylko jedną.

– Tę na kanapie? – pytam.

– Zgadza się.

Mam świadomość, że ta wymiana zdań brzmi ordynarnie i odrażająco, ale pozwala mi poczynić kilka wstępnych obserwacji. Po pierwsze, choć gość jest wrogo nastawiony i agresywny, raczej nie uważa się za macho. Wiedział, że nie może kontrolować jednocześnie wszystkich kobiet. Po prostu skorzystał z okazji i zgwałcił jedną dziewczynę, żeby zobaczyć, jak to jest. Ze zdjęć wykonanych na miejscu zbrodni wiedzieliśmy, że wybrał kobietę leżącą na brzuchu na kanapie. Jeszcze za życia była dla niego bezosobowym ciałem, z którym nie musiał nawiązać osobistego kontaktu. Po drugie, Speck nie ma wyrafinowanej ani uporządkowanej umysłowości. Dość proste włamanie do domu w jego wykonaniu szybko zamieniło się w masowe morderstwo. Przyznaje, że nie zabił kobiet w seksualnym szale, ale z obawy, że go zidentyfikują. Kolejne wracające do domu pielęgniarki zamykał w sypialni i szafie, jakby zaganiał konie do zagród. Sytuacja wyraźnie go przerosła.

Co interesujące, jego zdaniem rany, przez którą trafił do szpitala, a w konsekwencji za kratki, nie odniósł podczas próby samobójczej, ale w trakcie bójki w barze. Zapewne nie zdaje sobie sprawy, że zdradził w ten sposób pragnienie, abyśmy uważali go za „urodzonego, by rozpętać piekło” samca alfa, a nie żalostnego frajera, który nie potrafił unieść poczucia winy.

Zaczynam intensywnie analizować wszystkie nowe informacje. Rozmowa poszerza moją wiedzę nie tylko na temat Specka. Kiedy w przyszłości napotkam podobną sprawę, będę lepiej rozumiał, jakiego typu osoba jest za nią odpowiedzialna. A to przecież był podstawowy cel programu badawczego.

W raporcie końcowym starałem się unikać akademickiego, psychologicznego żargonu oraz modnej terminologii, a koncentrować raczej na klarownych pojęciach, które mogłyby okazać się przydatne w pracy policjantów i agentów. Gdybyśmy powiedzieli jakiemuś oficerowi śledczemu, że powinien szukać schizofrenika paranoidalnego, byłaby to może informacja interesująca z poznawczego punktu widzenia, ale raczej nie ułatwiłaby mu schwytania niezidentyfikowanego sprawcy. Jedną z kluczowych klasyfikacji, jakie stworzyliśmy, był podział na przestępców zorganizowanych, niezorganizowanych oraz typy mieszane. Rozmowy z ludźmi pokroju Specka pomagały nam w skonstruowaniu typu przestępcy niezorganizowanego.

Speck zwierzył się, że miał trudną młodość. Tylko raz udało się trafić go w czuły punkt – kiedy zapytałem o jego rodzinę. Jako dwudziestolatek miał już na koncie niemal czterdzieści aresztowań i małżeństwo z piętnastolatką, która urodziła mu dziecko. Porzucił ją pięć lat później, w gniewie i rozgoryczeniu. Powiedział, że jakoś nigdy nie zebrał się w sobie, żeby ją zabić. Zamordował kilka innych kobiet, między innymi kelnerkę z obskurnego baru, która odrzuciła jego zaloty. Przed zamordowaniem pielęgniarek napadł i zaatakował sześćdziesięciopięcioletnią kobietę. O brutalny gwałt na staruszce podejrzewalibyśmy raczej młodego mężczyznę, nastolatka pozbawionego doświadczenia, pewności siebie lub wyrafinowania. Speck miał wtedy dwadzieścia sześć lat. Im sprawca takiego czynu jest starszy, tym mniej wyrafinowany i pewny siebie. Właśnie takie wrażenie sprawiał Richard Speck. Mimo że dobiegał trzydziestki, jego zachowanie, nawet jak na przestępcę, przypominało raczej osiemnastolatka.

Przed wyjściem naczelnik pokazał nam coś jeszcze. W Joliet, podobnie jak

w innych więzieniach, prowadzono eksperyment psychologiczny, który miał wykazać wpływ delikatnych pastelowych kolorów na zmniejszenie poziomu agresji. Za tą teorią miały przemawiać liczne badania naukowe. Badacze kazali nawet policyjnym siłaczom podnosić ciężary w pokojach pomalowanych na różowo i żółto i stwierdzili, że osiągnęli tam gorsze wyniki.

Naczelnik zaprowadził nas do celi na końcu bloku.

– Różowa farba zmniejsza rzekomo poziom agresji u brutalnych przestępców. Po umieszczeniu w takiej celi mają się stać wyjątkowo spokojni i bierni. Zajrzyj, Douglas, do celi i powiedz mi, co widzisz.

– Widzę, że niewiele farby zostało na ścianach – zauważyłem.

– No właśnie. Wyszło na to, że chłopaki nie lubią tych kolorów. Zdzierają farbę ze ścian i ją zjadają.

Jerry Brudos miał fetysz: buty. Gdyby na tym poprzestał, nikomu by to nie przeszkadzało, ale na skutek najróżniejszych czynników, w tym wpływu surowej, despotycznej matki i własnych kompulsji, fetysz eskalował ku zachowaniom umiarkowanie dziwacznym, a później morderczym.

Jerome Henry Brudos urodził się w Dakocie Południowej w 1939 roku, a dorastał w Kalifornii. W wieku pięciu lat znalazł na wysypisku lśniące buty na wysokim obcasie. Wrócił do domu, ale kiedy matka zobaczyła, jak je przymierza, wściekła się i kazała mu się ich pozbyć. Nie posłuchał, ale matka po jakimś czasie odkryła jego skrytkę, zabrała buty i je spaliła. Chłopca ukarała. Jako szesnastolatek (mieszkał wtedy w Oregonie) Brudos regularnie włamywał się do domów sąsiadów, skąd kradł buty, a później również bieliznę. Zrabowane łupy przymierzał. Rok później został aresztowany za napad na dziewczynę – zwabił ją do samochodu i zażądał, aby się rozebrała do naga. Trafił na kilkumiesięczną terapię do stanowego szpitala w Salem, gdzie jego przypadek uznano za niegroźny. Po ukończeniu szkoły średniej krótko służył w wojsku, ale został zwolniony ze względu na problemy psychiczne. Nadal włamywał się do

domów, kradł buty i bieliznę. Jeśli podczas kradzieży natrafiał na mieszkającą tam kobietę, przyduszał ją, aż traciła przytomność. Ożenił się z młodą kobietą, z którą niewiele wcześniej stracił dziewictwo; uznał, że to jego obowiązek. Poszedł do wyższej szkoły zawodowej i został inżynierem elektroniki.

Sześć lat później, w 1968 roku, był ojcem dwojga dzieci. Nocami nadal robił wypadki po łupy. Pewnego dnia do jego drzwi zapukała dziewiętnastoletnia dziewczyna Linda Slawson, która sprzedawała encyklopedie. Umówiła się z kimś na spotkanie i trafiła pod niewłaściwy adres. Brudos skorzystał z okazji, zaciągnął ją do piwnicy, zatłukł pałką i udusił. Kiedy zmarła, rozebrał ją do naga, po czym zaczął przebierać zwłoki w ubrania ze swojej kolekcji. Ciało, obciążone zepsutą skrzynią biegów, wrzucił do rzeki Willamette, ale wcześniej odciął lewą stopę, wsunął ją do jednego ze swoich butów na wysokim obcasie i zamknął w zamrażalniku. W kolejnych miesiącach zabił trzy inne kobiety. Odciął im piersi i przerobił je na przyciski do papieru. Został zidentyfikowany przez kilka studentek, z którymi próbował umówić się na randkę, wciskając im podobną historyjkę. Policja aresztowała go na miejscu niedoszłej schadzki. Złożył zeznania, a kiedy stało się jasne, że powołanie się na niepoczytalność mu nie pomoże, przyznał się do winy.

Bob Ressler i ja przeprowadziliśmy z nim wywiad w jego nowym domu: stanowym więzieniu w Salem w Oregonie. Miał okrągłą twarz, był tęgi, uprzejmy i chętny do współpracy. Kiedy zapytałem o szczegóły zbrodni, powiedział, że zatarły mu się w pamięci na skutek ataków hipoglikemii.

– Bo widzisz, John, kiedy spada mi cukier, mógłbym zeskoczyć z dachu budynku i tego później nie pamiętać.

Co ciekawe, podczas składania zeznań Brudos pamiętał zbrodnię na tyle dobrze, że przytoczył wszystkie drastyczne szczegóły, podał lokalizację zwłok i innych dowodów. Okazało się zresztą, że nieświadomie sam siebie obciążył. Ciało jednej z kobiet powiesił na haku w garażu, ubrał w swój ulubiony strój i buty, a na podłodze pod ofiarą umieścił lustro, aby widzieć, co ma pod

sukienką. Kiedy zrobił zdjęcie, nieświadomie uwiecznił na nim siebie.

Mimo zapewnień o atakach hipoglikemii Brudos miał wiele cech zorganizowanego przestępcy, między innymi skłonność do fantazjowania, którą przejawiał od najmłodszych lat. Kiedy jako świeżo upieczony nastolatek mieszkał na rodzinnej farmie, wyobrażał sobie, że zamyka dziewczyny w tunelu i zmusza do robienia różnych rzeczy. Raz udało mu się podstępem zwabić jakąś dziewczynę do stodoły. Kazał jej się rozebrać, chciał zrobić zdjęcia. Ten typ zachowań zaobserwujemy później w jego dorosłych, brutalnych przestępstwach, niemniej jako nastolatek był jeszcze zbyt naiwny i prostolinijny, aby myśleć o czymś innym niż fotografowanie nagich ofiar. Po sesji w stodole zamknął dziewczynę w silosie do składowania kukurydzy. Wrócił jakiś czas później, w nowym ubraniu i inaczej uczesany. Udawał Edema, brata bliźniaka Jerry'ego. Wypuścił przerażoną dziewczynę i wyjaśnił, że Jerry przechodzi intensywne leczenie. Błagał, aby nie mówiła nikomu, co się stało, ponieważ gdyby Jerry miał kłopoty, groził mu kolejny „nawrót” choroby.

Historia Jerome'a Brudosa jest modelowym przykładem eskalacji czynów oraz ciągłego rozbudowywania jednej fantazji. Odkrycie tych prawidłowości było znacznie donioślejsze niż jakakolwiek informacja, którą mógł się z nami podzielić w rozmowie. Choć Kemper i Brudos różnili się zasadniczo celami i metodami działania, u obu – oraz u wielu innych seryjnych morderców – można dostrzec obsesję na punkcie „dopracowywania” szczegółów z każdym kolejnym, coraz brutalniejszym przestępstwem. Kemper wybierał na ofiary piękne studentki, które łączył w swoim umyśle z matką. Mniej wyrafinowany i inteligentny Brudos zadowalał się przypadkowymi ofiarami. Obsesja na punkcie detali zawładnęła życiem każdego z nich.

Jako dorosły mężczyzna Brudos zmuszał swoją żonę do zakładania jego fetyszystycznych strojów i poddawania się rytualnym sesjom fotograficznym. Darcie była prostą, nieskorą do szaleństw kobietą, którą żądania męża krępowały i która się go bała. Jemu marzyło się zbudowanie komnaty tortur, ale chwilowo

musiał zadowolić się garażem. Wstawił do niego zamrażarkę, w której trzymał pod kluczem mięso na obiad. Darcie musiała mówić Jerry'emu, jakiego kawałka potrzebuje, a on go przynosił. W rozmowach z przyjaciółkami często narzekała, że wygodniej byłoby, gdyby sama poszła do zamrażarki i wyjęła potrzebny kawałek mięsa, ale dziwaczne żądanie męża nie zaniepokoiło jej na tyle, aby zdecydowała się zawiadomić policję. A może i zaniepokoiło, tyle że obawiała się to zrobić.

Brudos był niemal klasycznym przykładem przestępcy, u którego nieszkodliwe dziwactwa stopniowo przekształcają się w coś znacznie poważniejszego – od znalezionych butów przez ubrania siostry do przechowywania w zamrażarce odkrojonych kawałków ciał zamordowanych kobiet. Najpierw kradł ubrania suszące się na sznurze do bielizny, później podglądał kobiety w szpilkach i włamywał się do pustych domów, w końcu nabrał śmiałości i odważył się na spotkania twarzą w twarz z ich mieszkańcami. Przebieranie się w kobiece ubrania ustąpiło potrzebie silniejszych doznań. Zaczął namawiać dziewczyny, aby pozwalały mu się fotografować nago. Kiedy jedna odmówiła, zagroził jej nożem. Nie zabił, dopóki nie nadarzyła się ku temu znakomita okazja: w drzwiach jego domu stanęła nieznajoma dziewczyna. Kiedy uświadomił sobie, jak wielką satysfakcję sprawiło mu morderstwo, zapragnął zabić ponownie, a potem znów, za każdym razem coraz bardziej okaleczając zwłoki.

Nie twierdzę, że zbrodnicze życie nieuchronnie czeka każdego mężczyznę mającego słabość do butów na wysokim obcasie lub odczuwającego podniecenie na myśl o czarnych koronkowych stanikach i majteczkach. Gdyby tak było, większość z nas siedziałaby w więzieniach. Jak jednak pokazuje przykład Jerry'ego Brudosa, tego rodzaju parafilia może prowadzić do zwyrodnienia, a zarazem ma charakter kontekstowy. Oto przykład.

Jakiś czas temu nieopodal miejsca, w którym kiedyś mieszkałem, zaczęła krążyć plotka o dyrektorze szkoły podstawowej mającym obsesję na punkcie

dziecięcych stóp. Proponował dzieciom grę w łaskotanie stóp lub palców u nóg: jeśli wytrzymały odpowiednio długo, dostawały nagrodę pieniężną. Rodzice dowiedzieli się o wszystkim, gdy ich pociechy zaczęły wydawać w galerii handlowej więcej pieniędzy, niż powinny mieć. Okręg szkolny zwolnił dyrektora, co wzbudziło protesty mieszkańców okolicznych dzielnic. Dyrektor był przystojnym facetem żyjącym od dawna w normalnym związku z dziewczyną, cieszył się sympatią dzieci i rodziców. Nauczyciele uważali, że został wrobiony, a jeśli podniecały go palce u stóp, to przecież nikomu nie szkodził. Nie próbował dotykać w niewłaściwy sposób dzieci ani ich rozbierać. Ludzie nie wierzyli, że mógłby posunąć się do molestowania, aby zaspokoić własne perwersje.

Podzielam tę ocenę. Lokalna wspólnota nie miała powodu, aby w tym względzie obawiać się dyrektora. Miałem nawet okazję go poznać, był sympatyczny i ujmujący. Przypuśćmy jednak, że w trakcie zabawy w łaskotanie jakaś dziewczynka zachowałaby się w nieodpowiedni sposób: zaczęła krzyczeć albo zagroziła, że na niego naskarzy. Mógłby spanikować i zabić dziecko tylko dlatego, że nie potrafiłby w inny sposób zapanować nad sytuacją. Kurator odpowiadający za szkołę poprosił mnie o radę. Odpowiedziałem, że w mojej ocenie jego decyzja o zwolnieniu dyrektora była słuszna.

Mniej więcej w tym samym czasie zostałem zaproszony na Uniwersytet Wirginii, gdzie ktoś przewracał studentki na ziemię i kradł im buty – zawsze była to jakaś odmiana drewniaków. Na szczęście żadna z kobiet nie odniosła poważniejszych obrażeń. Lokalna policja i ochrona kampusu traktowały sprawę jako swego rodzaju żart. Na spotkaniu z funkcjonariuszami oraz administracją uniwersytetu opowiedziałem o Brudosie oraz innych przypadkach, z którymi osobiście się zetknąłem. Napędziłem im stracha, co zresztą było moim celem. Po mojej wizycie władze całkowicie zmieniły stosunek do sprawy, a incydenty na szczęście ustały.

Kiedy myślę o eskalacji przestępstw popełnianych przez Jerry'ego Brudosa,

nasuwa mi się pytanie: czy zrozumienie natury zjawiska oraz interwencja na jednym z wcześniejszych etapów mogłyby przerwać ten proces?

W Edzie Kemperze widziałem mordercę stworzonego przez koszmary dzieciństwa. Przypadek Jerry'ego Brudosa wydawał się nieco bardziej złożony. Nie ulega wątpliwości, że parafilia objawiła się we wczesnym dzieciństwie. Parą znalezionych na wysypisku szpilek zafascynował się jako mały chłopiec, choć zapewne również dlatego, że pierwszy raz zobaczył coś takiego. Matka nie nosiła takich butów, a kiedy zareagowała na ich widok atakiem furii, szpilki stały się dla niego zakazanym owocem. Niedługo potem ukradł buty należące do nauczycielki. Kiedy go nakryła, nie zrobiła mu bury, tylko zaczęła wypytywać, dlaczego to zrobił. Już wtedy otrzymywał od dorosłych kobiet sprzeczne komunikaty na temat swoich poczynań, a jego wrodzona – jak zakładamy – potrzeba stopniowo przekształcała się w coś złowrogiego i śmiertelnie niebezpiecznego.

A gdyby ktoś dostrzegł niebezpieczeństwo rozwoju fascynacji i spróbował nauczyć go skutecznego radzenia sobie z tymi potrzebami? Gdy popełniał pierwsze morderstwo, było na to zdecydowanie za późno, ale może istniała szansa na powstrzymanie procesu na którymkolwiek z wcześniejszych etapów? Opierając się na badaniach i doświadczeniach zawodowych, poważnie powątpiewam w jakąkolwiek formę rehabilitacji większości morderców seksualnych. Jeżeli już, musiałyby do tego dojść na znacznie wcześniejszym etapie, zanim któraś z fantazji została urzeczywistniona.

Moja mama twierdziła, że potrafiła wyrobić sobie zdanie o chłopakach mojej (wówczas nastoletniej) siostry Arlene, wypytyując ich o stosunek do ich matek. Jeżeli chłopak zapewniał, że kocha i szanuje swoją matkę, istniało spore prawdopodobieństwo, że w podobny sposób będzie traktował inne kobiety w swoim życiu. Jeżeli uważał matkę za sukę, kurwę lub modliszkę, było cholernie prawdopodobne, że tak właśnie będzie traktował inne kobiety.

Doświadczenie zawodowe podpowiada mi, że mama swoją teorią trafiła w dziesiątkę. Ed Kemper urzeczywistniał mroczne fantazje w Santa Cruz, aż wreszcie zdobył się na odwagę i zamordował tę kobietę, której naprawdę nienawidził. Monte Rissell, który jako nastolatek zgwałcił i zamordował pięć kobiet w Alexandrii w stanie Wirginia, powiedział nam, że gdyby po rozpadzie nękanego od dawna problemami małżeństwa rodziców pozwolono mu zostać z ojcem, zapewne zostałby prawnikiem, a nie więźniem odsiadującym dożywocie w zakładzie karnym w Richmond.

Wywiad z Montem Ralphem Rissellem pozwolił nam dostrzec mechanizm rządzący wieloma faktami, o których wiedzieliśmy wcześniej. W chwili rozvodu rodziców najmłodszy z trojga rodzeństwa Monte miał siedem lat. Matka przeprowadziła się do Kalifornii, odcinając dzieci od wspólnoty, w której się wychowywały. Wyszła ponownie za mąż i większość czasu spędzała sam na sam z mężem, nie poświęcając dzieciom wiele uwagi. Monte szybko zaczął pakować się w kłopoty – malował obsceniczne graffiti w szkole, brał narkotyki, aż w końcu podczas sprzeczki postrzelił kuzyna z wiatrówki. Twierdził, że broń dostał od ojczyma. Ten po incydencie roztrzaskał karabin i kilkakrotnie zdzielił Montego lufą.

Kiedy Monte miał dwanaście lat, rozpadło się drugie małżeństwo matki. Przeprowadzili się z powrotem do Wirginii. Monte powiedział nam, że to on i jego siostra odpowiadali za ten rozwód. Popełniał coraz poważniejsze przestępstwa: jazda samochodem bez dokumentów, włamanie, kradzież samochodu, gwałt.

Moment przekształcenia się w mordercę był niezwykle symptomatyczny. Wciąż chodził do szkoły średniej, miał na koncie wyrok w zawieszeniu, który obligował go do uczęszczania na terapię psychiatryczną. Pewnego dnia dostał list od swojej dziewczyny, która była o rok od niego starsza i wyjechała już na studia. Z tego, co napisała, Monte wywnioskował, że między nimi wszystko skończone. Natychmiast wsiadł do samochodu, pojechał na uczelnię, gdzie

zobaczył ją z nowym chłopakiem.

Zamiast od razu zareagować albo wyładować złość na osobie będącej jej faktycznym źródłem, Monte wrócił do Alexandrii, przygotował zapas piwa i marihuany, po czym spędził na rozmyślaniach wiele godzin, siedząc w samochodzie zaparkowanym przed budynkiem, w którym jego eks mieszkała.

Okolo drugiej lub trzeciej nieopodal zaparkowała samochód jakaś kobieta. Pod wpływem impulsu Rissell postanowił odzyskać to, co właśnie utracił. Podszedł do samochodu kobiety, wycelował w nią pistolet i zmusił, aby poszła w ustronne miejsce w pobliżu budynku.

Rissell ze spokojem i precyzją opisał nam swoje czyny. Sprawdziłem wcześniej, że jego iloraz inteligencji wynosi 120. Nie dostrzegałem specjalnych wyrzutów sumienia ani skruchy. Poza rzadkimi przypadkami, kiedy sami oddają się w ręce policji lub popełniają samobójstwo, seryjni przestępcy żałują najwyżej, że dali się złapać i trafili do więzienia. Mimo to Rissell nie próbował pomniejszać swojej winy i miałem poczucie, że wiernie opisuje przebieg zdarzeń. Jego opowieść zawierała wiele istotnych elementów.

Pierwsze morderstwo zostało sprowokowane przez pojedyncze zdarzenie lub incydent – nazwiemy go stresogenem. Podobny mechanizm obserwowaliśmy wielokrotnie. Stresogenem może być wszystko, bo każdemu człowiekowi przeszkadza co innego, choć wydaje się zrozumiałe, że dwa najczęstsze to utrata pracy lub rozstanie z żoną czy dziewczyną. (Piszę o żonie lub dziewczynie, ponieważ, jak zauważyłem wcześniej, prawie wszyscy seryjni mordercy są mężczyznami. Propozycję wyjaśnienia tego faktu podam później).

Dzięki badaniom nad ludźmi pokroju Montego Rissella zrozumieliśmy, że stresogeny tak ściśle wiążą się z zachowaniami seryjnego mordercy, że po dostrzeżeniu określonych czynników na miejscu zbrodni możemy z dużą dozą pewności określić, jaki stresogen odegrał w tym wypadku rolę. W śledztwie prowadzonym na Alasce, o którym wspomniałem w rozdziale 4, czas i okoliczności potrójnego morderstwa, którego ofiarami padły kobieta i jej dwie

młode córki, doprowadziły Juda Raya do wniosku, że zabójca stracił jednocześnie dziewczynę i pracę. Jak się okazało, morderca rzeczywiście przeżył podwójną traumę: dziewczyna rzuciła go dla jego szefa, który następnie wywalił go z pracy, pozbywając się konkurenta.

Rissell popełnił pierwsze morderstwo zaraz po tym, jak zobaczył swoją dziewczynę w objęciach jakiegoś studenta. Ta zbieżność jest sama w sobie znacząca, ale jeszcze bardziej pouczające będzie dokładne wyjaśnienie, jak i dlaczego do tego doszło.

Zupełnym przypadkiem ofiara Rissella była prostytutką. Można z tego wyciągnąć dwa wnioski: żywiła mniejszą obawę przed seksem z nieznanym niż kobieta wykonująca inny zawód, a choć wystraszona, zapewne wykazała się niezłym instynktem samozachowawczym. Kiedy zatem zobaczyła, że jest zdana tylko na siebie, a facet mierzący do niej z pistoletu wyraźnie zamierza ją zgwałcić, próbowała uspokoić napastnika, unosząc sukienkę i pytając, w jakiej pozycji chciałby ją przelecieć.

– Zapytała, jak bym chciał to zrobić – wspominał.

Wcale go to nie uspokoiło ani nie zmniejszyło brutalności ataku, jej zachowanie jeszcze bardziej go rozjuszyło.

– Suka próbowała chyba przejąć kontrolę nad sytuacją.

Miała udać dwa lub trzy orgazmy, aby go udobruchać, czym tylko pogorszyła sprawę. Kiedy zobaczył, że gwałt jej się „podoba”, wzmocnieniu uległo przekonanie, że wszystkie kobiety to dziwki. W ten sposób ją odczłowieczył i łatwo mógł sobie wyobrazić, że ją zabija.

Następną ofiarę puścił wolno, kiedy wyznała, że opiekuje się ojcem chorym na nowotwór. Brat Rissella również cierpiał na raka, więc kobieta nabrała w jego oczach indywidualnych cech – odwrotnie niż zamordowana prostytutka. Albo młoda pielęgniarka zgwałcona przez Richarda Specka, gdy leżała związana na kanapie.

Wynika z tego, że niezwykle trudno jest opracować uniwersalną strategię

postępowania w sytuacji gwałtu. Zależnie od osobowości gwałticiela oraz powodujących nim motywów najlepszym – albo najgorszym – rozwiązaniem może być poddanie się sytuacji albo próba przekonania go, aby odstąpił od swoich zamiarów. Stawianie oporu lub szarpanina z „gwałticielem o profilu kompensacyjnym” (*power reassurance rapist*) może skutecznie ostudzić jego zapał. Postawienie się „gwałticielowi sadystycznemu” (*anger excitation rapist*) można przypłacić śmiercią, chyba że ofiara jest dostatecznie silna i szybka, aby uciec napastnikowi. Pozorowanie czerpania przyjemności ze stosunku, kiedy gwałticiel nie ma wprawy w uprawianiu seksu, niekoniecznie będzie najlepszą strategią, u podłoża tego przestępstwa leżą bowiem gniew, wrogość i potrzeba potwierdzenia dominacji. Sam seks odgrywa drugorzędą rolę.

Po zgwałceniu kobiety porwanej z parkingu Rissell, mimo przepełniającego go gniewu, jeszcze nie wiedział, co zrobi z ofiarą. Tymczasem kobieta zdecydowała się na, powiedziałaoby wielu, logiczne rozwiązanie: podjęła próbę ucieczki. Niestety, w ten sposób podsyciła tylko w Rissellu przekonanie, że to ona kontroluje sytuację. Zacytowaliśmy relację jego samego w artykule poświęconym naszemu badaniu opublikowanym w „American Journal of Psychiatry”: „Uciekała jarem. Właśnie wtedy ją złapałem. Oplotłem jej szyję ramieniem. Była ode mnie większa. Zacząłem ją dusić... potknęła się... stoczyliśmy się po zboczu i wpadliśmy do wody. Uderzyłem jej głową o kamień i przytrzymałem ją pod wodą”.

Zaczynaliśmy rozumieć, że zachowanie ofiary odgrywa równie wielką rolę w analizie zbrodni jak zachowanie sprawcy. Odtąd pytaliśmy zawsze: czy chodzi o ofiarę wysokiego, czy niskiego ryzyka? Co powiedziała i co zrobiła? Czy w ten sposób zachęciła tylko sprawcę do działania, czy też go od niego odwiodła? Jaka była natura tej relacji?

Rissell wybierał na ofiary kobiety, które akurat znalazły się w pobliżu jego domu lub które napotkał gdzieś indziej. Po pierwszym morderstwie odbieranie życia przestało być dla niego tabu. Zrozumiał, że potrafi zabić, że sprawia mu to

przyjemność, że może pozostać bezkarny. Gdybyśmy zostali wtedy podczas śledztwa poproszeni przez policję o stworzenie profilu sprawcy, uznalibyśmy, że ma już pewne doświadczenie, że popełnił inne brutalne przestępstwo, które nie zakończyło się śmiercią ofiary. Tak właśnie było. Pomyliliśmy się zapewne, przynajmniej na początku, w sprawie wieku. Rissell zamordował po raz pierwszy w wieku niespełna dziewiętnastu lat. My obstawialibyśmy dwadzieścia kilka.

Przypadek Rissella uświadamia relatywne znaczenie wieku w naszych analizach. W 1989 roku Gregg McCrary z mojej jednostki został poproszony o pomoc przy skomplikowanej sprawie morderstw prostytutek w Rochester w stanie Nowy Jork. Dzięki ścisłej współpracy z kapitanem Lynde Johnsonem i grupą znakomitych funkcjonariuszy Gregg stworzył szczegółowy profil i zaproponował strategię działania, która ostatecznie doprowadziła do aresztowania i skazania Arthura Shawcrossa. Z późniejszej oceny profilu wynikało, że przewidział niemal wszystko – rasę, typ osobowości, zawód, życie rodzinne, typ samochodu, hobby, znajomość okolicy, związki z policją. Wszystko – poza wiekiem. Gregg sądził, że sprawca będzie miał dwadzieścia osiem–trzydzieści dwa lata i że przełamał już wcześniej barierę psychologiczną potrzebną do zamordowania drugiego człowieka. Shawcross miał czterdzieści pięć lat. Spędził piętnaście lat w więzieniu za zamordowanie dwojga małych dzieci (które – podobnie jak prostytutki i ludzie starsi – często padają ofiarą morderców). Odsiadkę można jednak potraktować jako wymuszoną przerwę w zbrodniczej działalności, do której Shawcross wrócił kilka miesięcy po warunkowym zwolnieniu.

Monte Rissell również przebywał na zwolnieniu warunkowym w chwili popełnienia morderstw. Podobnie jak Ed Kemper, zdołał wmówić psychiatrze, że coraz lepiej radzi sobie z prawym życiem na wolności. W tym samym czasie mordował kolejne ofiary. Aż kusi, by stworzyć niesmaczną wersję starego dowcipu: „Ilu psychiatrów potrzeba do wymiany żarówki? Tylko jednego, pod

warunkiem że zarówno chce zmiany”. Psychiatrzy i psychoterapeuci są przyzwyczajeni do wykorzystywania samooceny pacjenta w ocenie jego postępów, ale takie podejście wymaga założenia, że pacjent chce „wydobreć”. Wyprowadzenie lekarza w pole jest dziecinnie proste. Większość naprawdę dobrych psychiatrów potwierdza, że jeśli chcemy wiarygodnie rozstrzygnąć, czy badany może w przyszłości uciec się do przemocy, musimy przeanalizować przypadki, kiedy uciekł się do niej w przeszłości. Mam nadzieję, że jednym z pożytków płynących z naszego badania nad osobowościami przestępców oraz z kolejnych analiz było uświadamianie środowisku psychoterapeutycznemu ograniczeń stosowania samooceny w terapii kryminalistów. Seryjny morderca lub gwałciciel jest ze swej natury manipulatem, narcyzem i skrajnym egocentrykiem. Więziennemu psychiatrze i kuratorowi nadzorującemu go podczas zwolnienia warunkowego powie wszystko, co ci będą chcieli usłyszeć – byle tylko wydostać się z więzienia lub z powrotem do niego nie trafić.

Kiedy Rissell opisywał kolejne morderstwa, dostrzegliśmy stopniową eskalację zachowań. Druga ofiara zirytowała go serią pytań.

– Chciała wiedzieć, dlaczego coś takiego robię, dlaczego wybrałem akurat ją, czy nie mam dziewczyny, czy mi odbiło i co zamierzam jej zrobić.

Prowadziła samochód, a on trzymał ją na muszce. Później próbowała uciekać, tak jak prostytutka. Zrozumiał, że musi ją zabić. Zadał jej szereg ciosów nożem w klatkę piersiową.

Trzecie morderstwo poszło mu dość łatwo. Nauczony doświadczeniem, tym razem nie pozwolił ofierze mówić – w jego umyśle musiała pozostać odczłowieczona.

– Pomyślałem sobie: „Zabiłem już dwie. Równie dobrze mogę zabić i trzecią”.

Właśnie wtedy wypuścił kobietę, która opiekowała się ojcem chorym na nowotwór. Przy dwóch ostatnich morderstwach miał już jasno sprecyzowane zamiary. Jedną ofiarę utopił, drugą zadźgał nożem; jak sam oceniał, zadał jej od

pięćdziesięciu do stu ciosów.

Fantazje Rissella narodziły się – podobnie jak u niemal wszystkich innych seryjnych morderców – zanim zaczął gwałcić i mordować. Zapytaliśmy, skąd czerpał inspirację. Jednym z wielu źródeł był artykuł o Davidzie Berkowitzu.

David Berkowitz był początkowo znany jako Zabójca Kaliber .44. Później nazywano go Synem Sama, ponieważ tak podpisywał się w listach wysyłanych do nowojorskich gazet. Miał raczej osobowość płatnego zabójcy niż typowego seryjnego mordercy. Terroryzował miasto niemal dokładnie przez rok – od lipca 1976 do lipca 1977 zabił sześcioro młodych mężczyzn i kobiet oraz zranił kilka innych. Wszyscy zostali zastrzeleni z broni palnej dużego kalibru, siedzieli w samochodach zaparkowanych w ustronnych zaułkach odwiedzanych często przez zakochanych.

Jak wielu seryjnych morderców Berkowitz był adoptowanym dzieckiem, o czym dowiedział się dopiero podczas służby w wojsku. Chciał pojechać do Wietnamu, ale trafił do Korei, gdzie stracił dziewictwo z prostytutką i nabawił się rzeżączki. Po zakończeniu służby wrócił do Nowego Jorku i rozpoczął poszukiwania biologicznej matki. Odkrył, że mieszka z córką – jego siostrą – w Long Beach na Long Island. Ku jego zaskoczeniu i konsternacji nie chciały mieć z nim do czynienia. Tak oto nieśmiały, niepewny siebie i przepełniony gniewem chłopak przeistoczył się w potencjalnego mordercę. Strzelania nauczył się w wojsku. Pojechał do Teksasu, gdzie zdobył bulldoga firmy Charter Arms, duży rewolwer kalibru .44. Potężna broń dawała mu poczucie, że sam jest większy i potężniejszy. Jeździł na nowojorskie wysypiska i ćwiczył strzelanie, aż potrafił trafić z nowego rewolweru w niewielki cel. Za dnia był szeregowym pracownikiem urzędu pocztowego. Nocami wyruszał na polowania.

Z Berkowitzem rozmawialiśmy w więzieniu stanowym w Attica, gdzie odsiadywał sześciokrotny wyrok dożywotniego więzienia. Przyznał się do winy, choć później wypierał się odpowiedzialności za zbrodnie. W 1979 roku niemal

zginął, gdy ktoś podciął mu od tyłu gardło. Rana wymagała założenia pięćdziesięciu sześciu szwów; sprawcy nie zidentyfikowano. Do więzienia przybyliśmy niezapowiedziani, aby nie narobić mu kłopotów. Dzięki pomocy naczelnika zdołaliśmy już wcześniej wypełnić większą część kwestionariusza i byliśmy dobrze przygotowani do rozmowy.

Na spotkanie przyniosłem materiał ilustracyjny. Od ojca, nowojorskiego drukarza i przewodniczącego związku zawodowego na Long Island, dostałem kilka numerów tabloidów z wielkimi nagłówkami obwieszczającymi kolejne zbrodnie popełnione przez Syna Sama.

Kiedy usiedliśmy przy stole, wziąłem do ręki egzemplarz „Daily News” i przesunąłem po blacie w stronę Berkowitza.

– Słuchaj, David, za sto lat wszyscy zapomną o Bobie Resslerze i Johnie Douglasie, ale będą pamiętać o Synu Sama. Obecnie w Wichita w Kansas grasuje gość, który zabił już z pięć kobiet. Mówi na siebie Dusiciel WTZ. Od „wiąże, torturuje, zabija”. I wiesz co? Wysyła listy, w których pisze o tobie. Pisze o Davidzie Berkowitzu, Synu Sama. Ludzie chcą cię naśladować. Nie zdziwiłbym się, gdyby napisał do ciebie.

Berkowitz nie należał do ludzi obdarzonych charyzmą. Zawsze zabiegał o odrobinę uznania i chciał coś osiągnąć. Miał jasne niebieskie oczy, którymi stale wypatrywał oznak zainteresowania lub szyderstwa. Kiedy usłyszał moją przemowę, zaświeciły mu się oczy.

– Nie pozwolono ci zeznawać w sądzie – kontynuowałem – więc opinia publiczna uważa cię za koszmarnego skurwysyna. Tymczasem z naszych rozmów wiemy, że musi istnieć druga strona twojej osobowości. Strona wrażliwa, stłamszona w czasach dzieciństwa. Dajemy ci teraz szansę, abyś nam o niej opowiedział.

Berkowitz rzadko zdradzał się ze swoimi uczuciami, ale po moim wstępie zaczął się ostrożnie przed nami otwierać. Przyznał, że dokonał ponad dwóch tysięcy podpaień na Brooklynie i w Queens; każde z nich skrupulatnie

zanotował w pamiętniku. To jeden z typowych rysów osobowościowych zabójcy wykonującego „egzekucje” na ofiarach – samotnik obsesyjnie oddający się pisaniu pamiętnika. Druga cecha to niechęć do fizycznego kontaktu z ofiarą. Nie jest gwałcicielem ani fetyszystą. Nie potrzebuje pamiątek z miejsca zbrodni. Jeżeli w ogóle szuka zaspokojenia seksualnego, to w samym akcie strzelania.

Berkowitz wzniecał raczej niegroźne pożary – podpalał kosze na śmieci lub opuszczone budynki. Jak wielu piromanów masturbował się, obserwując płomienie, a później raz jeszcze, gdy gasiła je straż pożarna. Podpalenia pasują również do dwóch innych elementów triady morderców: moczeń nocnych i okrucieństwa wobec zwierząt.

Zawsze miałem wrażenie, że wywiady z więźniami przypominają wypłukiwanie złota. Przeważająca większość uzysku to bezwartościowe kamyki, ale jeśli podczas rozmowy uda się wyłowić jedną bryłkę, trud nie idzie na marne. Tak właśnie było w przypadku Davida Berkowitza.

Niezwykle interesujące wydało nam się, że podczas ataków na zakochane pary, przesiadujące w samochodach w zacisznych zaułkach, Berkowitz nie podjeżdżał do nich od strony kierowcy – gdzie najczęściej siedziały mężczyźni, czyli osoba stanowiąca potencjalnie poważniejsze zagrożenie – ale od strony pasażera. Wyciągnęliśmy z tego wniosek, że kiedy strzelał w kierunku pojazdu, koncentrował nienawiść i gniew na kobiecie. Oddanie kilku strzałów, analogicznie do zadania kilku ciosów nożem, wskazuje na wysoki poziom gniewu. Siedzący w samochodzie mężczyźni giną „przy okazji”. Zapewne ani razu nie dochodziło do kontaktu wzrokowego między napastnikiem a ofiarą. Wszystko odbywało się na odległość. Berkowitz mógł w ten sposób osiąść kobietę ze swoich fantazji, nie obdarzając jej indywidualnymi cechami.

Równie interesującą „bryłką złotą”, która weszła do naszego kanonu wiedzy o seryjnych mordercach, było wyznanie Berkowitza, że na łowy wyruszał co noc. Kiedy nie natrafiał na odpowiednią ofiarę, wracał tam, gdzie poszczyło mu się w przeszłości. Odwiedzał ponownie miejsce zbrodni (wielu morderców

wraca w miejsce, w którym porzucili ciało ofiary) oraz groby i symbolicznie tarzał się na ziemi, przeżywając ponownie fantazję.

Z tego samego powodu niektórzy seryjni mordercy fotografują lub filmują swoje zbrodnie. Pozbywszy się ciała, chcą mieć możliwość ponownego doświadczenia dreszczyku emocji, ciągłego odgrywania i przeżywania swoich fantazji. Berkowitz nie potrzebował biżuterii, bielizny, części ciała ani innych pamiątek. Powiedział nam, że wystarczył mu powrót na miejsce zbrodni. Wracił do domu, masturbował się i przeżywał ponownie fantazję.

Ta obserwacja okazała się niezwykle pomocna. Stróże prawa od zawsze podejrzewali, że mordercy wracają na miejsce zbrodni, ale nie potrafili tego udowodnić ani wyjaśnić mechanizmu tego zachowania. Dzięki rozmowom z ludźmi pokroju Berkowitza zrozumieliśmy, że podejrzania te były trafne, choć nie zawsze z tych powodów, które wydawały się oczywiste. Bez wątplenia w grę mogły wchodzić wyrzuty sumienia, ale przypadek Berkowitza wskazywał na inne możliwości. Zrozumienie, dlaczego określony typ przestępcy wraca na miejsce zbrodni, pozwala nam opracować plan umożliwiający jego schwytanie.

Imię Syn Sama pochodzi z niewyrafinowanego stylistycznie listu, zaadresowanego do kapitana policji Josepha Borellego, przyszłego szefa wydziału śledczego nowojorskiej policji. List znaleziono obok samochodu Alexandra Esau i Valentyny Suriani w Bronksie. Oboje zostali zastrzeleni z bliskiej odległości, podobnie jak pozostałe ofiary. Oto treść listu:

Boli mnie to, że nazywacie mnie wrogiem kobiet. To nieprawda. Ale jestem potworem. Jestem „synem Sama”. Jestem małym łobuziakiem.

Kiedy ojciec Sam się upije, robi się zły. Bije rodzinę. Czasami przywiązuje mnie do tylnej ściany domu. Kiedy indziej zamyka w garażu. Sam uwielbia pić krew.

„Idź i zabijaj”, nakazuje ojciec Sam.

Na tyłach naszego domu leży kilka osób. Głównie młode – zgwałcone i zarżnięte – odcedzone z krwi – zostały same kości.

Papa zamyka mnie na poddaszu. Nie mogę wyjść, ale wyglądam przez okienko i obserwuję okolicę.

Czuję się obco. Nadaję na innych falach niż wszyscy – jestem zaprogramowany, żeby zabijać.

Ale żeby mnie powstrzymać, musicie mnie zabić. Uwaga wszyscy policjanci: Strzelajcie bez ostrzeżenia – strzelajcie, żeby zabić, albo trzymajcie się z daleka, bo sami zginiecie!

Papa Sam jest już stary i potrzebuje krwi, żeby zachować młodość. Miał za dużo ataków serca. „Ech, ale kanał, tak bardzo cierpię, synalku”.

Najbardziej tęsknię za moją śliczną księżniczką. Wypoczywa w naszym domu dla pań. Ale niedługo ją zobaczę.

Jestem „potworem” – „Belzebubem” – pulchnym behemotem.

Uwielbiam łowy. Krążenie po ulicach w poszukiwaniu osłabionej zwierzyny – smaczne mięso. Kobiety z Queens są najpiękniejsze. Muszę być wodą, którą piją. Żyję, aby polować – moje życie. Krew dla papy.

Szanowny panie Borelli, nie chcę już więcej zabijać. Nie, psze pana, ani trochę, ale muszę, „czcij ojca swego”.

Chcę się kochać z całym światem. Kocham ludzi. Nie pasuję tu na ziemi. Odeślijcie mnie do jahosu.

Kocham was, mieszkańcy Queens. Chcę wam życzyć szczęśliwej Wielkanocy. Niech Bóg was błogosławi w życiu i po śmierci. A teraz się żegnam, dobrej nocy.

DO POLICJI: drżycie na te słowa:

Uderzę ponownie!

Uderzę ponownie!

A mówić na mnie będą – bum, bum, bum, bum – ałć!

Wasz morderca

Pan Potwór

Człowiek znikąd awansował do rangi gwiazdy ogólnokrajowego formatu. Ponad stu śledczych weszło w skład Grupy Specjalnej Omega. Pojawiły się kolejne bełkotliwe komunikaty szaleńca, w tym listy skierowane do gazet i dziennikarzy, choćby komentatora Jimmy’ego Breslina. Miasto żyło w strachu. Berkowitz powiedział nam, że czerpał wielką przyjemność z przysłuchiwania się prowadzonym przez kolegów na pocztce rozmowom na temat Syna Sama. Nie wiedzieli, że morderca znajduje się tuż obok nich.

Do następnego ataku doszło w Bayside w Queens, ale obie ofiary, mężczyzna i kobieta, przeżyli. Pięć dni później inna para miała mniej szczęścia. Stacy Moskowitz zginęła na miejscu. Robert Violante przeżył, ale stracił wzrok.

Syn Sama został złapany, ponieważ w noc ostatniego morderstwa zaparkował swojego forda galaxy za blisko hydrantu przeciwpożarowego. Jeden

z przechodniów przypomniał sobie policjanta wypisującego mandat, a kiedy podążono tym tropem, trafiono na Davida Berkowitza. Na widok policjantów powiedział: „No proszę, macie mnie”.

Po aresztowaniu Berkowitz wyjaśnił, że „Sam” to jego sąsiad, Sam Carr, którego czarny labrador Harvey miał być żyjącym od trzech tysięcy lat demonem zmuszającym Davida do popełniania morderstw. Kiedyś strzelił nawet do psa z pistoletu kalibru .22, ale zwierzę przeżyło. Większość psychiatrów uznała Berkowitza za schizofrenika paranoidalnego, a jego listy doczekały się najróżniejszych interpretacji. „Śliczna księżniczka” z pierwszego listu miała być jedną z ofiar, Donną Laurią – Sam miał obiecać Davidowi, że po śmierci połączy się z jej duszą.

Dla mnie najważniejszą informacją zawartą w listach, ważniejszą od ich faktycznej treści, jest zmieniający się styl pisma. W pierwszym jest staranne i porządne, w kolejnych staje się coraz mniej wyraźne, aż w końcu jest niemal zupełnie nieczytelne. Narasta liczba błędów ortograficznych. Porównując pierwszy i ostatni list, można odnieść wrażenie, że pisały je dwie różne osoby. Zwróciłem na to uwagę Berkowitzowi. Nie zdawał sobie z tego sprawy. Gdybym tworzył jego profil psychologiczny i zauważył coraz bardziej nieczytelne pismo, wiedziałbym, że wkrótce powinie mu się noga, popełni jakiś głupi błąd (jakim było zaparkowanie przed hydrantem), który pomoże policji w ustaleniu jego tożsamości. Odkrycie słabości byłoby znakomitą okazją do podjęcia działań wyprzedzających.

Myślę, że szczerą rozmowę z Berkowitzem zawdzięczaliśmy solidnemu przygotowaniu do spotkania. Zaraz na początku wypłynął wątek psa-demonia, który rzekomo zmuszał go do zabijania. Psychiatrzy święcie wierzyli w tę bajeczkę i uznali, że wystarcza do wyjaśnienia motywów Berkowitza. Ja wiedziałem, że o psie wspomniał dopiero po aresztowaniu. To miało być jego usprawiedliwienie. Ledwie zaczął nawijać o psie, zaraz mu przerwałem.

– Słuchaj, David, przestań opowiadać głodne kawałki. Pies nie miał z tym

nic wspólnego.

Berkowitz wybuchnął śmiechem i przyznał mi rację. Wcześniej przeczytałem wiele sążnistych analiz jego listów. W jednej porównano go do postaci Jerry'ego ze sztuki *The Zoo Story* Edwarda Albeego. W innej próbowano uzasadnić psychopatologiczne skłonności za pomocą analizy pisma literalnie słowo po słowie. Tymczasem David Berkowitz zrobił po prostu wszystkich w balona.

W rzeczywistości przepełniał go gniew wywołany sposobem, w jaki traktowały go matka oraz inne kobiety. Dawały mu odczuć, że nie zasługuje na ich zainteresowanie. Fantazja, w której mógł je osiąść, przekształciła się w krwawą rzeczywistość. Właśnie na takie detale zwracaliśmy uwagę.

Dzięki sprawnemu zarządzaniu grantem przez Boba Resslera i pracy, jaką Ann Burgess włożyła w opracowanie treści wywiadów, w 1983 roku ukończyliśmy z powodzeniem badanie obejmujące trzydziestu sześciu przestępców. Zgromadziliśmy także wypowiedzi stu osiemnastu ofiar, głównie kobiet.

W rezultacie zaczęliśmy lepiej rozumieć sprawców brutalnych przestępstw i stworzyliśmy system ich klasyfikowania. Po raz pierwszy mogliśmy powiązać procesy zachodzące w umyśle sprawcy ze śladami pozostawionymi na miejscu zbrodni. To z kolei pozwoliło nam skuteczniej wykrywać i skazywać morderców. Zaczęliśmy się mierzyć z odwiecznym pytaniem: kto byłby zdolny do tak potwornego czynu?, oraz kwestią niepoczytalności.

W 1988 roku opisaliśmy bardziej szczegółowo wnioski z badania w książce *Sexual Homicide. Patterns and Motives* (Morderstwo o podłożu seksualnym. Wzory i motywy), opublikowanej przez wydawnictwo Lexington Books. Do tej pory ukazało się siedemnaście wydań. Mimo wszystkich zdobyczy programu w podsumowaniu przyznajemy, że „wyniki badania rodzą więcej pytań, niż przynoszą odpowiedzi”.

Podróż do umysłu sprawcy brutalnych przestępstw trwa nieprzerwanie.

Seryjni mordercy to z definicji „skuteczni” mordercy, którzy uczą się na własnych doświadczeniach. Naszym zadaniem jest uczyć się szybciej niż oni.

ROZDZIAŁ 8

Zabójca z wadą wymowy

Gdzieś w 1980 roku natrafiłem w lokalnym dzienniku na artykuł poświęcony starszej kobiecie, która została wykorzystana seksualnie i ciężko pobita. Nieznany sprawca zostawił ją półżywą i zbiegł, zadźgawszy nożem jej dwa psy. Policja twierdziła, że morderca przebywał na miejscu zbrodni przez dłuższy czas. Okoliczni mieszkańcy byli zszokowani i oburzeni.

Kilka miesięcy później po powrocie z delegacji zapytałem Pam, czy w mediach podano jakieś nowe informacje na temat tego śledztwa. Odparła, że policja nadal nie wie, kto mógł dopuścić się tej zbrodni. Stwierdziłem, że to dziwne, ponieważ z relacji prasowych wynikało, że sprawa powinna być relatywnie łatwa do rozwiązania. Przestępstwo nie miało co prawda statusu federalnego i FBI nie uczestniczyło w śledztwie, ale jako mieszkaniec lokalnej wspólnoty postanowiłem zaoferować swoją pomoc.

Udałem się na policję, przedstawiłem się komendantowi i spytałem, czy mógłbym porozmawiać z detektywami prowadzącymi sprawę. Chętnie przystał na moją propozycję.

Jeden z detektywów nazywał się Dean Martin. Nie pamiętam, czy zdołałem powstrzymać się od żartów – przypuszczam, że nie. Obejrzałem akta sprawy, w tym zdjęcia z miejsca zbrodni. Ofiara była mocno poturbowana. W miarę przeglądania kolejnych dokumentów coraz lepiej wyobrażałem sobie sprawcę i przebieg wydarzeń.

– No dobrze, oto co myślę o tej sprawie – zwróciłem się do oficera, który słuchał mnie uprzejmie, choć z dość sceptyczną miną. – Sprawcą jest szesnasto- lub siedemnastolatek uczęszczający do szkoły średniej. W przypadku starszych kobiet, które padły ofiarą napaści seksualnej, zawsze szukamy młodego, nieśmiałego mężczyzny bez doświadczenia lub z niewielkim doświadczeniem w kontaktach seksualnych. Młodsza, silniejsza lub bardziej wymagająca ofiara zbytnio by go onieśmiała. Będzie miał niechlujny wygląd i rozczochrane włosy. Tamtej nocy matka lub ojciec wyrzucili go z domu. Nie miał się gdzie podziać, a ponieważ nie zamierzał się zbytnio oddalać, znalazł najbliższe łatwo dostępne miejsce, w którym mógłby się schronić. Nie przyjaźnił się na tyle z żadną dziewczyną ani chłopakiem, aby mógł przeczekać u nich, aż w domu się uspokoi. Włóczył się po ulicach w paskudnym nastroju, targany bezsilnością i wściekłością, aż w końcu natrafił na dom starszej kobiety. Wiedział, że kobieta mieszka samotnie, bo pracował tam wcześniej albo w czymś jej pomagał. Wiedział, że staruszka nie stanowi większego zagrożenia. Włamał się do środka. Być może protestowała, zaczęła krzyczeć albo po prostu była wystraszona. Tego rodzaju reakcja rozbudziła w nim jeszcze większy gniew i dodała mu pewności siebie. Postanowił pokazać jej i całemu światu, że jest prawdziwym mężczyzną. Chciał z nią uprawiać seks, a kiedy nie udało mu się w nią wejść, sprzął kobietę na kwaśne jabłko. W końcu doszedł do wniosku, że powinien doprowadzić sprawę do końca, ponieważ ofiara może go zidentyfikować. Nie miał na głowie maski, bo zbrodni nie planował, popełnił ją pod wpływem impulsu. Ona była w tak wielkim szoku, że nie potrafiła podać policji żadnych szczegółów napaści.

Po całym zajściu chłopak nadal nie miał się gdzie podziać. Ranna kobieta nie stanowiła zagrożenia, a ponieważ wiedział, że nikt jej tego wieczoru nie odwiedzi, postanowił spędzić trochę czasu u niej. Zrobił się głodny, więc coś zjadł i wypił.

Zapewniłem detektywów, że jeśli znajdą osobę pasującą do tego opisu – a bez wątplenia tak się stanie – będą mieli swojego podejrzanego.

Jeden z moich rozmówców spojrział na kolegę i się uśmiechnął.

– Jest pan jasnowidzem, panie Douglas?

– Nie – odpowiedziałem – ale moja praca byłaby znacznie łatwiejsza, gdybym był.

– Dwa tygodnie temu mieliśmy na posterunku wróżkę Beverly Newton, która powiedziała dokładnie to samo.

Mój rysopis pasował do chłopaka mieszkającego w pobliżu domu staruszki. Ten już wcześniej znajdował się na celowniku policji, a po naszej rozmowie został ponownie przesłuchany. Policji brakowało dowodów, aby go aresztować, a on nie chciał się przyznać. Niedługo potem się wyprowadził.

Komendant i detektywi chcieli wiedzieć, w jaki sposób doszedłem do takich wniosków, skoro nie dysponowałem zdolnościami paranormalnymi. Z pewnością pomogły mi znajomość ogromnej liczby brutalnych przestępstw przeciwko wszystkim możliwym typom ofiar oraz umiejętność powiązania z nimi drobnych rysów osobowościowych, a także liczne rozmowy z przestępcami, które nauczyły mnie łączyć określone kategorie kryminalistów z typami przestępstw. Oczywiście, gdyby profilowanie było takie proste, moglibyśmy napisać podręcznik albo stworzyć na potrzeby policji program komputerowy generujący listę cech sprawcy na podstawie określonego zestawu danych. Choć często wykorzystujemy w naszej pracy niezwykle możliwości komputerów, nie poradziłyby sobie – i być może nigdy nie będą mogły sobie poradzić – z bardziej skomplikowanymi zadaniami. Można wyposażyć komputer w reguły gramatyki, składni i stylu, ale nie napisze przecież samodzielnie książki.

Podczas pracy nad sprawą staram się zapoznać z wszystkimi dostępnymi informacjami: raportami policyjnymi, zdjęciami i opisami miejsca zbrodni, zeznaniami świadków i protokołami sekcji zwłok, a następnie psychicznie i emocjonalnie postawić się na miejscu sprawcy. Próbuję myśleć tak jak on. Nie rozumiem dokładnie natury tego procesu; z tego samego powodu pisarze

pokroju Toma Harrisa, którzy wielokrotnie zasięgaliby mojej rady, nie potrafili wyjaśnić genezy swoich bohaterów. Jeżeli moja praca wymaga odrobiny zdolności paranormalnych, nie zamierzam się wypierać, że je mam, choć powiedziałbym raczej, że jest to odmiana kreatywnego myślenia.

Jasnowidze mogą niekiedy przydać się w śledztwie. Sam byłem świadkiem takich sytuacji. Niektórzy mają zdolność podświadomego dostrzegania subtelnych szczegółów na miejscach zbrodni i wyciągania z nich logicznych wniosków. Ja próbuję robić dokładnie to samo i uczę tej sztuki moich podwładnych. Mimo to zawsze radzę policjantom, aby korzystali z usług jasnowidzów w ostateczności, a jeżeli już to zrobią, aby nie pozwalali im na kontakt z funkcjonariuszami znającymi szczegóły sprawy. Dobry jasnowidz potrafi skutecznie wychwytywać najdrobniejsze niewerbalne wskazówki i później próbuje zdobyć zaufanie policji, chwając się znajomością szczegółów sprawy. Nie oznacza to, że będzie w stanie pomóc w znalezieniu brakujących elementów układanki. Kiedy w Atlancie doszło do serii morderstw dzieci, do miasta zjechały setki jasnowidzów, oferując swoje usługi policji. Przedstawili wiele różnych charakterystyk sprawcy i stosowanych przez niego metod. Wszyscy spudłowali.

Mniej więcej w tym samym czasie policja z kilku okręgów pod San Francisco zwróciła się do mnie z prośbą o pomoc w sprawie serii morderstw popełnionych przy szlakach turystycznych. Policja podejrzewała, że sprawcą jest jedna osoba. Prasa ochrzciła ją mianem Przyszłakowego Mordercy.

Ataki rozpoczęły się w sierpniu 1979 roku, kiedy Edda Kane, wysportowana czterdziestoczteroletnia kierowniczka banku, zaginęła podczas samotnej wycieczki na Mount Tamalpais, piękny szczyt zwany Śpiącą Damą, górujący nad mostem Golden Gate i zatoką San Francisco. Kane nie wróciła do domu po zapadnięciu zmroku, a zaniepokojony mąż zadzwonił na policję. Następnego dnia po południu jej ciało zostało znalezione przez ekipę poszukiwawczą i psa. Była naga (pomijając skarpetkę na jednej stopie), klęczała z twarzą skierowaną

ku ziemi, jakby błagała o darowanie życia. Lekarz sądowy orzekł, że zginęła od pojedynczego strzału w tył głowy. Nie znaleziono śladów gwałtu. Zabójca zabrał trzy karty kredytowe i dziesięć dolarów w gotówce, ale zostawił obrączkę i resztę biżuterii.

W marcu następnego roku w parku krajobrazowym Mount Tamalpais znaleziono ciało dwudziestotrzyletniej Barbary Schwartz. Otrzymała szereg ciosów nożem w klatkę piersiową, najwyraźniej klęczała, gdy ją mordowano. W październiku dwudziestosześcioletnia Anne Alderson nie wróciła z joggingu wokół parku. Następnego popołudnia znaleziono jej ciało; z prawej strony głowy widniał otwór po kuli. W odróżnieniu od poprzednich ofiar Anderson miała na sobie ubranie (zniknął jedynie złoty kolczyk z prawego ucha), a jej twarz nie była skierowana ku ziemi. Ciało opierało się o skałę. John Henry, dozorca mieszkający na terenie parku Mount Tamalpais, widział ją w ostatni poranek jej życia, kiedy siedziała samotnie w amfiteatrze w parku wpatrzona we wschodzące słońce. Dwoje innych świadków widziało ją niecały kilometr od miejsca, w którym znaleziono ciało Eddy Kane.

Obiecujący trop prowadził do Marka McDermanda, którego niepełnosprawną matkę i brata schizofrenika znaleziono zastrzelonych w ich domku na zboczu Mount Tamalpais. Po jedenastodniowej ucieczce McDermand oddał się w ręce oficera śledczego hrabstwa Marin, kapitana Roberta Gaddiniego. Policjanci znaleźli dowody łączące go z podwójnym morderstwem, ale choć posiadał wiele sztuk broni palnej, żadna nie pasowała do pistoletów kalibru .44 i .38, którymi posługiwał się Przyszłakowy Morderca. Zaraz po aresztowaniu McDermanda popełniono kolejną zbrodnię.

W listopadzie Shauna May, dwudziestopięciolatka, nie przyszła na spotkanie z dwiema koleżankami w parku narodowym Point Reyes, kilka kilometrów na północ od San Francisco. Dwa dni później ekipy poszukiwawcze odkryły jej ciało w płytkim grobie nieopodal zwłok innej turystki, dwudziestodwuletniej Diany O'Connell z Nowego Jorku, która zaginęła na terenie parku miesiąc

wcześniej. Obie kobiety zginęły od strzału w głowę. Tego samego dnia w parku natrafiono na dwa kolejne ciała, dziesiętnastolatka Richarda Stowersa i jego osiemnastoletniej narzeczonej Cynthii Moreland; oboje zaginęli w połowie października. Śledczy ustalili, że zostali zamordowani w ten sam długi weekend co Anne Alderson.

Morderstwa wprawiły w przerażenie miłośników wędrówek po okolicznych szlakach turystycznych. Postawiono znaki ostrzegające przed samotnymi spacerami po lesie. Kiedy jednego dnia znaleziono cztery kolejne ciała, rozpętało się prawdziwe piekło. Szeryf hrabstwa Marin G. Albert Howenstein junior dysponował zeznaniami kilkorga świadków, którzy widzieli ofiary w towarzystwie dziwnego mężczyzny; opisy były ze sobą sprzeczne w niektórych kluczowych aspektach, na przykład wieku i rysów twarzy. Należy zaznaczyć, że tego rodzaju rozbieżności w relacjach świadków są normalne nawet przy pojedynczych morderstwach, nie powinny zatem dziwić w przypadku serii zabójstw popełnionych w odstępie kilku miesięcy. Nieopodal ciała Barbary Schwartz znaleziono parę nietypowych okularów dwuogniskowych, które – jak założono – należały do mordercy. Howenstein upublicznił informacje o typie okularów oraz sile dioptrii, rozsyłając ulotki do wszystkich optyków w okolicy. Ponieważ oprawki pochodziły od więziennego okulisty, kapitan Gaddini poprosił wydział sprawiedliwości stanu Kalifornia o listę przestępców, których niewiele wcześniej wypuszczono z więzienia, a mieli na koncie napaści o charakterze seksualnym. Nad sprawą pracowały najróżniejsze instytucje i agencje, w tym biuro terenowe FBI z San Francisco.

Prasa spekulowała, że Przyszlakowy Morderca może być słynnym Zodiakiem, seryjnym mordercą z Los Angeles, który przestał mordować w 1969 roku i nadal pozostawał niezidentyfikowany. Być może Zodiak trafił do więzienia za jakieś inne przestępstwo i został właśnie wypuszczony na wolność przez komisję decydującą o zwolnieniu warunkowym, która nie знаła jego prawdziwej tożsamości. A jednak, w odróżnieniu od Zodiaka, Przyszlakowy

Morderca nie odczuwał potrzeby szydzenia z policji ani komunikowania się z opinią publiczną.

Szeryf Howenstein sprowadził z Napy psychologa doktora R. Williama Mathisa. Zwróciwszy uwagę na rytualny aspekt morderstw, doktor Mathis doszedł do wniosku, że sprawca gromadzi pamiątki związane z ofiarami, dlatego każdy potencjalny sprawca powinien być przed aresztowaniem śledzony przez tydzień, może bowiem doprowadzić policję do narzędzia zbrodni lub innych dowodów. Jeżeli chodzi o powierzchowność, Mathis opisał sprawcę jako przystojnego mężczyznę o osobowości zwycięzcy.

Idąc za radą Mathisa, Howenstein i Gaddini przygotowali kilka zasadzek, między innymi przebrali strażniczki parku za turystki, ale nie przyniosło to rezultatów. Policja pracowała pod ogromną presją opinii publicznej. Szeryf ogłosił w mediach, że morderca zaczaja się na ofiary na leżąco, a przed zamordowaniem znęca się nad nimi psychicznie, prawdopodobnie zmuszając je do błagania o życie.

Kiedy biuro terenowe FBI w San Rafael zwróciło się o pomoc do Quantico, skontaktowało się najpierw z Royem Hazelwoodem, głównym specjalistą od gwałtów i przemocy wobec kobiet. Roy to wrażliwy, troskliwy facet i sprawa mocno go poruszyła. Pamiętam, jak przedstawiał mi szczegóły, kiedy pewnego dnia wracaliśmy do biura z zajęć, które prowadził w ramach Narodowej Akademii. Miałem wrażenie, że Roy czuje się osobiście odpowiedzialny za niepowodzenie śledztwa – zupełnie jakby uważał, że wysiłki FBI oraz może dziesięciu lokalnych służb nie są wystarczające i to na nim spoczywa obowiązek rozwiązania sprawy i doprowadzenia sprawcy przed oblicze wymiaru sprawiedliwości.

Roy zajmował się wtedy przez cały czas szkoleniami, tymczasem ja zdążyłem już zrezygnować z większości obowiązków nauczycielskich i pracowałem jako jedyny pełnoetatowy profiler w Jednostce Nauk Behawioralnych. Właśnie dlatego poprosił, abym pojechał do San Francisco

i pomógł policji.

Jak wspomniałem wcześniej, nie wszyscy gliniarze lubią, kiedy mieszamy się do śledztwa. Częściowo jest to spadek po czasach Hoovera, kiedy wielu policjantów miało poczucie, że FBI podbiera im głośne sprawy. Trzeba pamiętać, że moja jednostka angażuje się dopiero wtedy, gdy zostanie poproszona przez instytucję prowadzącą dochodzenie, na przykład lokalny wydział policji albo nawet FBI. Biuro szeryfa hrabstwa Marin poprosiło o pomoc FBI już na wczesnym etapie śledztwa, a ze względu na medialne szaleństwo towarzyszące morderstwom śledczy z radością, jak sądzę, powitali kogoś, kto przynajmniej na chwilę skupił na sobie uwagę dziennikarzy.

Po przybyciu do biura szeryfa zapoznałem się z dokumentacją sprawy i fotografiami miejsc zbrodni. Zaintrygowała mnie zwłaszcza obserwacja poczyniona przez sierżanta Richa Keatona z wydziału śledczego hrabstwa Marin, że do morderstw dochodziło w ustronnych, gęsto zalesionych miejscach, gdzie korony drzew przesłaniały większą część nieba. Nie dało się do żadnego z nich dojechać samochodem, a od początku szlaku dzieliło je co najmniej półtora kilometra. Anne Alderson zamordowano w niewielkiej odległości od bocznej drogi prowadzącej na skróty do amfiteatru. Była to dla mnie wyraźna wskazówka, że morderca mieszka w okolicy i znakomicie ją zna.

Wnioski przedstawiłem w dużej sali szkoleniowej w budynku biura szeryfa hrabstwa Marin. Rzędy siedzeń tworzyły półkole, niczym w sali wykładowej na akademii medycznej. Spośród pięćdziesięciu–sześćdziesięciu słuchaczy około dziesięciu było agentami FBI, pozostali funkcjonariuszami policji i oficerami śledczymi. Rozglądając się po sali, dostrzegłem wiele siwych głów – do pracy nad sprawą ściągnięto emerytowanych weteranów.

Zacząłem od zakwestionowania istniejącego profilu. Według mnie nie mieliśmy wcale do czynienia z przystojnym, uroczym, wyrafinowanym mężczyzną. Wielokrotne ciosy nożem i ataki z zaskoczenia wskazywały, że chodzi o osobnika aspołecznego (ale niekoniecznie antyspołecznego),

zamkniętego w sobie, niepewnego własnej wartości, niezdolnego do nawiązania rozmowy z ofiarami, zagajenia w oryginalny sposób, oszukania ofiary czy nakłonienia jej do czegoś pochlebstwem lub podstępem. Wszystkie kobiety były wysportowane. Atak z zaskoczenia wskazywał wyraźnie, że sprawca mógł uzyskać kontrolę nad ofiarą wyłącznie przez jej błyskawiczne unicestwienie.

Sprawca nie znał ofiar. Do ataków doszło w odludnych, osłoniętych miejscach, co oznaczało, że mógł przez dowolnie długi czas zaspokajać swoje fantazje. Mimo to odczuwał potrzebę ataku z zaskoczenia. Nie dochodziło do gwałtu, a jedynie układania zwłok. Skoro nie odbywał stosunku seksualnego z ofiarami, zapewne się masturbował. Kobiety różniły się pod względem wieku i urody – inaczej niż w przypadku morderstw popełnianych przez kogoś starannego i wyrafinowanego, jak choćby Ted Bundy. Jego ofiary należały generalnie do jednej kategorii: ładnych studentek z długimi ciemnymi włosami. Przyszłakowemu Mordercy było wszystko jedno; niczym pająk czekał, aż owad wpadnie w sieć. Powiedziałem zgromadzonym na sali oficerom, że sprawca zapewne ma nieciekawą przeszłość. Podzielałem opinię kapitana Gaddiniego, że siedział jakiś czas w więzieniu. Mógł dopuścić się gwałtu, a raczej jego próby, ale nie zabójstwa. Mordercze skłonności musiał w nim obudzić jakiś stresogen. Sprawca był biały, ponieważ wszystkie ofiary były białe. Spodziewałem się również, że wykonywał jakąś mechaniczną lub fabryczną pracę. Ze względu na skuteczność oraz wymykanie się policji oceniłem jego wiek na trzydzieści–trzydzieści pięć lat. Przypuszczałem, że na teście na inteligencję uzyskałby ponadprzeciętny wynik. Po cofnięciu się w czasy dzieciństwa odkrylibyśmy przypadki moczenia nocnego, piromanii i okrucieństwa wobec zwierząt, a przynajmniej dwie z tych rzeczy.

– I jeszcze coś – dodałem, zawieszając wymownie głos – morderca ma wadę wymowy.

Wyraz twarzy i język ciała zebranych nie pozostawiały złudzeń. Wszyscy dali upust przekonaniu, które zapewne żywili od dłuższej chwili: cóż za pierdoły

ten gość opowiada!

– Co pana doprowadziło do tego wniosku? – spytał sarkastycznym tonem jeden z policjantów. – Rany noszą pana zdaniem ślady „zajkniętych ciosów”?

Uśmiechnął się szeroko zadowolony z „odkrytej” właśnie przez siebie metody zabijania.

– Nie – wyjaśniłem. – Raczej kombinacja rozumowania indukcyjnego i dedukcyjnego, uwzględnienie niemal wszystkich okoliczności morderstw.

Ustronne miejsca, gdzie nie musiał się obawiać nadejścia innych osób, brak prób kontaktu z ofiarami, kiedy przebywały w towarzystwie innych osób, i nakłaniania ich podstępem do odłączenia się od grupy, przekonanie, że nawet na zupełnym odludziu musi zabić ofiarę z zaskoczenia – wszystko to skłaniało mnie do wniosku, że mamy do czynienia z osobą posiadającą ułomność, którą uważa za krępującą lub wstydliwą. Obezwładnienie ofiary, zdominowanie jej i poddanie kontroli pozwalało mu na przewyżczenie niepełnosprawności.

Dopuszczałem możliwość, że chodzi o dolegliwość lub upośledzenie innego typu. Analiza psychiki i zachowań sprawcy wskazywała, że możemy poszukiwać osoby wyjątkowo nieatrakcyjnej, oszpeconej pozostałościami po trądziku czy polio, pozbawionej ręki lub nogi. Natura ataków pozwalała wykluczyć brak kończyny lub inną formę kalectwa. Któryś ze świadków przebywających w pobliżu parku musiałby zauważyć osobę w widoczny sposób upośledzoną fizycznie. Sprawca z wadą wymowy mógł się jej wstydzić, przez co nie potrafił nawiązywać normalnych relacji społecznych, ale nie „wyróżniałby się” w tłumie. Dopóki by się nie odezwał, jego upośledzenie pozostałoby tajemnicą.

Przedstawienie takiego profilu sali wypełnionej po brzegi policjantami mającymi świadomość ciężającej na nich odpowiedzialności oraz czującymi na plecach oddech prasy i opinii publicznej może sprawić, że strach człowiekowi dupę ściska. W podobny stan lubię wprowadzać ludzi, których poddaję przesłuchaniu, ale w swojej pracy sam nie mogę go całkowicie uniknąć. Zawsze

gdzieś z tyłu głowy kołacze mi się myśl, którą tak dobitnie wyraził owego popołudnia jeden z detektywów.

– A co, jeśli pan się myli?

– Mogę się mylić w pewnych kwestiach – przyznałem z taką szczerością, na jaką potrafiłem się zdobyć. – Mogę się mylić co do wieku. Mogę się mylić co do zawodu lub ilorazu inteligencji. Jestem jednak całkowicie pewien, że mam rację w kwestii rasy, płci i typu wykonywanej pracy. A co do ostatniego... sprawca z pewnością ma jakąś ułomność, która go krępuje. Być może nie chodzi o wadę wymowy, ale obstawiam, że tak.

Po zakończeniu prezentacji nie potrafiłem określić, jakie wrażenie wywarłem na słuchaczach ani ilu było skłonnych dać wiarę moim przypuszczeniom. Jeden z policjantów podszedł do mnie później.

– Nie wiem, czy ma pan rację, ale przynajmniej nadał pan śledztwu jakiś kierunek – stwierdził.

Tego rodzaju słowa zawsze są przyjemne, choć lepiej powstrzymać się od świętowania do czasu zakończenia śledztwa. Wróciłem do Quantico, a połączone siły biura szeryfa hrabstwa Marin i wydziałów policji z okolic San Francisco zabrały się do pracy.

29 marca morderca zaatakował ponownie. Tym razem zaatakował parę młodych ludzi w parku stanowym Henry Cowell Redwoods pod Santa Cruz. Napastnik zapowiedział Ellen Marie Hansen, dwudziestoletniej studentce drugiego roku na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis, że zamierza ją zgwałcić. Kiedy zaprotestowała, zaczął strzelać z pistoletu kalibru .38. Zabił ją na miejscu i ciężko ranił Stevena Haertle'a, po czym zbiegł. Haertle przeżył i podał częściowy opis sprawcy: mężczyzny z krzywymi, żółtymi zębami. Policja skonfrontowała tę informację z relacjami pozostałych świadków i zdołała powiązać domniemanego sprawcę z czerwonym, w miarę nowym samochodem zagranicznej produkcji, być może fiatem. Problem w tym, że rysopis podany przez Haertle'a odbiegał wyraźnie od wcześniejszych. Jego zdaniem sprawca był

po pięćdziesiątce albo po sześćdziesiątce i miał częściową łysinę. Analiza balistyczna powiązała ten atak z poprzednimi morderstwami.

1 maja zgłoszono zaginięcie ładnej, dwudziestoletniej blondynki Heather Roxanne Scaggs. Była uczennicą szkoły drukarskiej w San Jose. Jej chłopak, matka i współlokatorka przypomnieli sobie, że umówiła się ze swoim nauczycielem wychowania technicznego, Davidem Carpenterem, który miał jej pomóc w zakupie samochodu od swojego znajomego. Carpenter miał pięćdziesiąt lat – nietypowy wiek jak na tego rodzaju zbrodnię.

Od tej chwili różne wątki śledztwa zaczęły układać się w spójną całość, a na szyi podejrzanego coraz mocniej zaciskała się pętla. Carpenter jeździł czerwonym fiatem z przekrzywioną rurą wydechową. To ostatnie było jednym z „sekretnych” detali, których policja wcześniej nie podała do publicznej wiadomości.

David Carpenter powinien zostać zidentyfikowany i aresztowany znacznie wcześniej. Miał po prostu masę szczęścia, poza tym w dochodzenie zaangażowanych było kilka agencji, co utrudniało poszukiwania. Miał za sobą wyrok więzienia za przestępstwa o podłożu seksualnym. Jak na ironię, nie znalazł się na liście przestępców seksualnych przebywających na zwolnieniu warunkowym, ponieważ więzienie stanowe opuścił, aby odsiedzieć wyrok za przestępstwa federalne i formalnie znajdował się pod kuratelą władz federalnych. Można zatem powiedzieć, że przemknął się przez gęste sito policyjnych poszukiwań. Co ciekawe, Carpenter i jego druga ofiara, Barbara Schwartz, przy której znaleziono jego okulary, korzystali z usług tego samego optyka! Ten niestety nie widział ulotki rozprowadzanej przez biuro szeryfa.

Pojawili się nowi świadkowie, w tym starsza kobieta, która rozpoznała w telewizji mężczyznę z portretu pamięciowego i powiedziała, że człowiek ów był głównym stewardem na statku wycieczkowym, na którym dwadzieścia lat wcześniej płynęła z dziećmi do Japonii. Mężczyzna „przyprawiał ją o dreszcze” z powodu niestosownego zainteresowania, jakim obdarzał jej młodą córkę.

Peter Berest, kierownik oddziału banku Glen Park Continental Savings and Loan w Daly City, przypomniał sobie, że w grudniu ładna, wrażliwa i ufna kasjerka, uczennica szkoły średniej, Anna Kelly Menjivar, zniknęła pewnego wieczoru z domu. Sprawy nie wiązano uprzednio z morderstwami Przyszlakowego Mordercy, ale jej zwłoki znaleziono niewiele wcześniej w parku Mount Tamalpais. Berest pamiętał, że z dużą sympatią odnosiła się do jednego ze stałych, jękających się klientów. Berest dowiedział się później, że w 1960 roku mężczyzna ów był aresztowany za napaść na młodą dziewczynę w Presidio, parku wojskowym na północnym krańcu San Francisco.

Policja z San Jose i FBI zaczęły śledzić Carpentera. W końcu go aresztowano. Okazał się „produktem” despotycznej matki, która go biła, oraz ojca, który znęcał się nad nim psychicznie, a może i fizycznie. Jako dziecko przejawiał inteligencję znacznie powyżej średniej, ale naśmiewano się z niego, ponieważ się jękał. Regularnie moczył się w nocy i okazywał okrucieństwo wobec zwierząt. W dorosłym życiu gniew i frustracja znajdowały ujście w niespodziewanych, gwałtownych napadach wściekłości oraz, jak się zdawało, nienasyconym popędzie seksualnym.

Pierwsze przestępstwo, za które odsiedział wyrok – napaść na kobietę z użyciem noża i młotka w parku Presidio – popełnił, kiedy został ojcem (jego małżeństwo było już wtedy fikcją). Jak zeznała ofiara, nie jękał się w trakcie brutalnego ataku ani zaraz po nim.

Ze względu na liczne prośby o pomoc spływające od absolwentów Narodowej Akademii w 1978 roku dyrektor FBI William Webster udzielił instruktorom Jednostki Nauk Behawioralnych oficjalnej zgody na świadczenie usługi profilowania psychologicznego. Na początku 1980 roku cieszyła się niesamowitą popularnością. Pracowałem na okrągło, a Bob Ressler i Roy Hazelwood zajmowali się konsultacjami, kiedy tylko pozwalały im na to obowiązki nauczycielskie. Choć sami byliśmy dumni ze swojej pracy

i osiągniętych wyników, nikt z najwyższego kierownictwa nie potrafił określić, czy nasza jednostka w efektywny sposób wykorzystuje zasoby materialne i ludzkie Biura. W 1981 roku Jednostka Badań i Rozwoju Instytucjonalnego – kierowana wówczas przez Howarda Tetena – przystąpiła do pierwszej pogłębionej analizy kosztów i korzyści (jak wtedy mówiono) Programu Profilowania Psychologicznego. Teten, którego nieformalne konsultacje doprowadziły do narodzin całego programu, chciał sprawdzić, czy nasza działalność miała jakikolwiek sens i powinna być nadal aprobowana przez centralę.

Opracowano kwestionariusz i rozesłano go do pracowników i funkcjonariuszy wszystkich służb, które korzystały w przeszłości z naszych profili psychologicznych: wydziałów policji miast, hrabstw i stanów, biur szeryfów, biur terenowych FBI, policji drogowej oraz stanowych agencji śledczych. Chociaż większość próśb wiązała się z morderstwami, Jednostka Badań i Rozwoju zebrała również opinie o naszych konsultacjach w sprawach gwałtów, porwań, wymuszeń, gróźb, molestowania dzieci, przetrzymywania zakładników i weryfikowania przypadkowych zgonów oraz samobójstw.

Dla wielu osób z Biura profilowanie pozostawało mglistym i trudnym w ocenie terminem. Jedni uważali je za wróżenie z fusów lub czarną magię, inni za mydlenie oczu. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli kontrola nie pokaże jednoznacznych, popartych zatrzymaniami sukcesów, cała pozaedukacyjna działalność Jednostki Nauk Behawioralnych pójdzie na marne.

Nic dziwnego, że w grudniu roku 1981 z satysfakcją i ulgą przyjęliśmy analizę wyników. Śledczy z całego kraju przesłali entuzjastyczne oceny naszej pracy, domagając się kontynuowania programu. Ostatni akapit raportu w ten sposób podsumowuje treść listów:

Analiza programu wskazuje, że przyniósł więcej korzyści, niż ktokolwiek z nas mógł przypuszczać. Należy pochwalić Jednostkę Nauk Behawioralnych za jej wyjątkowe osiągnięcia.

Większość oficerów śledczych napisała, że najbardziej pomogliśmy im

w zawężaniu list podejrzanych i kierowaniu śledztw na konkretne tory. Przykładem było brutalne i z pozoru bezsensowne zabójstwo Francine Elveson, do którego doszło w Bronksie w październiku 1979 roku, nieopodal jednej z ulubionych lokalizacji Davida Berkowitza. Niektórzy nowojorscy policjanci obawiali się nawet, że sprawcą jest wielbiciel Syna Sama, czerpiący inspirację z działalności idola. Dziś uczymy tej sprawy w Quantico, ponieważ jest wzorcowym przykładem opracowania profilu i wykorzystania go przez policję do rozwikłania niezwykle tajemniczego morderstwa.

Francine Elveson była dwudziestosześcioletnią wychowawczynią klasy dla niepełnosprawnych dzieci w lokalnym ośrodku opieki dziennej; ważyła czterdzieści kilogramów i miała zaledwie półtora metra wzrostu. Uczniom okazywała wyjątkową empatię, zwłaszcza że sama była lekko upośledzona; miała kifoskoliozę, czyli rodzaj skrzywienia kręgosłupa. Uchodziła za nieśmiałą i niezbyt towarzyską. Mieszkała z rodzicami w apartamentowcu Pelham Parkway.

Fatalnego dnia wyszła do pracy jak zwykle o szóstej trzydzieści rano. Mniej więcej dwadzieścia po ósmej piętnastoletni chłopak, który mieszkał w tym samym budynku, znalazł jej portfel na klatce schodowej, między drugim a trzecim piętrem. Śpieszył się do szkoły i nie miał czasu tego zgłosić, więc zabrał zgubę ze sobą i dopiero po powrocie do domu oddał ojcu. Mężczyzna poszedł do mieszkania Elvesonów tuż przed trzecią po południu i oddał portfel matce Francine. Ta zadzwoniła do ośrodka opieki, aby uspokoić córkę, że jej portfel się znalazł. Usłyszała, że Francine nie przyszła tego dnia do pracy. Wystraszona, zaczęła natychmiast przeszukiwać budynek z drugą córką i sąsiadką.

Kiedy weszły na podest schodów na ostatnim piętrze, ich oczom ukazał się przerażający widok. Nagie ciało Francine nosiło ślady brutalnego pobicia (lekarz sądowy stwierdził później pęknięcia szczęki, nosa i kości policzkowych oraz obluzowanie zębów). Francine leżała na plecach z rozłożonymi rękami i nogami;

nadgarstki i kostki miała obwiązane własnym paskiem i nylonowymi pończochami. Lekarz ustalił, że skrupowano ją po śmierci. Również wtedy odcięto jej sutki, które spoczywały na klatce piersiowej. Twarz miała obciążoną własnymi majtkami, na jej udach i kolanach widniały ślady zębów. Skórę pokrywały liczne rany, a ponieważ wszystkie były płytkie, podejrzewano, że zadano je scyzorykiem. Do pochwy miała wsuniętą parasolkę i długopis, a grzebień, który miała przy sobie, był pełen jej włosów łonowych. Wyjęte z jej uszu kolczyki leżały na ziemi, ułożone symetrycznie po obu stronach głowy. Śmierć nastąpiła wskutek uduszenia za pomocą paska torebki. Na udzie widniały nagryzłone słowa: „Nie powstrzymacie mnie”, a na brzuchu: „Odpierdolcie się”. Oba wykonano długopisem, który morderca włożył do pochwy ofiary. Innym istotnym elementem miejsca zbrodni było to, iż morderca wypróżnił się obok ciała Francine i przykrył odchody jej ubraniem.

Pani Elveson powiedziała policji, że z szyi córki zniknął złoty naszyjnik z wisiorkiem w kształcie hebrajskiego wyrazu „*chai*”, który dziewczyna nosiła jako talizman. Kiedy matka opisała jego kształt, śledczy zdali sobie sprawę, że ciało Francine zostało ułożone w ten sposób, iż przypominało ten symbol.

Na zwłokach znaleziono ślady nasienia, ale w 1979 roku nie wykonywano jeszcze testów DNA. Brak obrażeń rąk wskazywał, że ofiara się nie bronila, Nie stwierdzono również śladów krwi i fragmentów naskórka pod paznokciami. Najwyraźniej nie doszło do szamotaniny. Jedynym konkretnym śladem był pojedynczy negroidalny włos, który znaleziono na ciele podczas sekcji zwłok.

Po analizie miejsca zbrodni i uporządkowaniu faktów śledczy z wydziału zabójstw stwierdzili, że pierwszy atak nastąpił w chwili, gdy Francine schodziła na dół schodami. Została uderzona, straciła przytomność, a morderca zaniósł ją na podest na szczycie klatki schodowej. Sekcja zwłok wykazała, że nie została zgwałcona.

Ze względu na makabryczny charakter zbrodni sprawa budziła ogromne zainteresowanie opinii publicznej i była obszernie relacjonowana przez media.

Policyjna ekipa dochodzeniowa złożona z dwudziestu sześciu oficerów śledczych przesłuchiwała ponad dwa tysiące potencjalnych świadków i podejrzanych oraz sprawdziła alibi wszystkich znanych przestępców seksualnych żyjących w aglomeracji Nowego Jorku. Minął miesiąc, a śledztwo nadal tkwiło w martwym punkcie.

Detektywi nowojorskiego urzędu mieszkaniowego Tom Foley i porucznik Joe D'Amico postanowili zasięgnąć opinii kogoś z zewnątrz i skontaktowali się z nami. Do Quantico przybyli z naręczami akt, raportów, fotografii z miejsca zbrodni i wyników sekcji zwłok. Roy Hazelwood, Dick Ault, Tony Rider (który miał zostać w przyszłości szefem Jednostki Nauk Behawioralnych) oraz ja spotkaliśmy się z nimi w eleganckiej kantynie.

Po zapoznaniu się z wszystkimi dowodami i faktami spróbowałem wyobrazić sobie przebieg zdarzenia z punktu widzenia zabójcy i ofiary, a następnie przygotowałem profil psychologiczny sprawcy. Zasugerowałem, że policja powinna szukać białego mężczyzny przeciętnej urody w wieku dwudziestu pięciu–trzydziestu pięciu lat (prawdopodobnie bliżej trzydziestu) o niechlujnym wyglądzie, bezrobotnego, wiodącego głównie nocny tryb życia, mieszkającego w promieniu kilometra od miejsca zdarzenia z rodzicami lub starszą od niego krewną płci żeńskiej, samotnego, nieutrzymującego kontaktów z kobietami, niemającego przyjaciół, z wykształceniem podstawowym, bez zaliczonej służby w wojsku, z niską samooceną, nieposiadającego samochodu ani prawa jazdy, pacjenta zakładu dla umysłowo chorych (obecnie lub w przeszłości), zażywającego lekarstwa na receptę, mającego za sobą próby samobójcze przez uduszenie, stroniącego od narkotyków i nadużywającego alkoholu oraz posiadającego dużą kolekcję pornografii z gatunku *bondage* lub *sadomaso*. To jego pierwsze morderstwo – więcej, pierwsze poważne przestępstwo – ale jeśli nie zostanie złapany, zabije ponownie.

– Mordercę macie tuż pod nosem – powiedziałem śledczym. – Przesłuchiwaliście go.

Bez wątpienia rozmawiali z nim i z członkami jego rodziny, ponieważ mieszkał w okolicy. Policjantom wydał się skory do współpracy, może nawet nadmiernie. Może nawet sam się zgłosił, próbując włączyć się w śledztwo i dopilnować, aby nie wpadli na jego trop.

Wielu osobom niezaznajomionym ze stosowanymi przez nas technikami tego rodzaju przewidywania mogły przypominać szarlatanerię. Gdyby jednak metodycznie je przeanalizować, można odnaleźć genezę każdego przypuszczenia i zalecenia.

Na samym początku doszliśmy do wniosku, że była to zbrodnia spontaniczna – morderca natknął się na ofiarę przypadkowo. Rodzice Francine powiedzieli nam, że czasami jeździła windą, a czasami schodziła schodami. Nikt nie wiedział, który wariant wybierze konkretnego poranka. Gdyby morderca przyznał się na nią na klatce schodowej, mógłby się z nią rozminąć, zresztą najprawdopodobniej natknąłby się wtedy na innych ludzi.

Wszystkie przedmioty wykorzystane w napaści ofiara miała przy sobie. Morderca nie przyniósł ze sobą nic, może z wyjątkiem scyzoryka. Nie miał broni ani specjalnych przedmiotów, których mógłby użyć podczas gwałtu. Nie obserwował jej z ukrycia ani nie przybył na miejsce z zamiarem popełnienia zbrodni.

Skoro zatem niezidentyfikowany sprawca nie przyszedł do budynku ze zbrodnymi zamiarami, musiał znaleźć się tam z innego powodu. Natknął się na Francine na klatce schodowej o siódmej rano, więc albo sam mieszkał w budynku, albo tam pracował, albo z innego powodu dobrze znał rozkład klatki schodowej i korytarzy. Do tego opisu pasowałby listonosz, pracownik firmy telekomunikacyjnej lub zakładu energetycznego, ale to akurat wydawało mi się mało prawdopodobne, ponieważ żaden ze świadków o nich nie wspomniał, nie mogliby sobie zresztą pozwolić na spędzenie z ofiarą tak długiego czasu. Po pierwszym ataku na klatce schodowej sprawca musiał wiedzieć, że może bezpiecznie przenieść ofiarę na najwyższy podest. A skoro żaden

z mieszkańców nie zauważył nic nietypowego, jego obecność na klatce schodowej nie mogła wzbudzać podejrzeń. Francine nie krzyczała ani nie walczyła, więc prawdopodobnie знаła go przynajmniej z widzenia. Żaden z mieszkańców nie zauważył nikogo o dziwnym lub niepokojącym wyglądzie, kto wchodził do budynku albo z niego wychodził.

Ze względu na seksualną naturę napaści byliśmy pewni, że sprawcą jest mężczyzna w wieku zbliżonym do wieku ofiary. Podaliśmy przedział dwadzieścia pięć–trzydzieści pięć, zakładając, że chodzi raczej o trzydziestolatka. Na tej podstawie wykluczyłem piętnastolatka, który znalazł portfel (jak również jego czterdziestoczteroletniego ojca). Nawet Monte Rissell, „nad wiek rozwinięty” seryjny gwałciciel, nie popełnił zbrodni w tak wczesnym wieku. Skomplikowane fantazje seksualne rozwijają się latami. Poza tym piętnastolatek był czarny.

Mimo że na ciele znaleziono negroidalny włos, byłem pewien, że mamy do czynienia ze sprawcą o białym kolorze skóry. W tamtych latach tego rodzaju zbrodnie niezwykle rzadko przekraczały granice rasowe, a kiedy już do tego dochodziło, wskazywały na to inne poszlaki. Tu ich brakowało, zresztą czarni przestępcy niezwykle rzadko, jeśli w ogóle, okaleczają ciała ofiar w tak makabryczny sposób. Mocnym podejrzanym był poprzedni dozorca budynku, czarny mężczyzna, który po odejściu ze stanowiska nie zwrócił kluczy, ale nie wskazywały na niego czynniki behawioralne. Poza tym na pewno zauważyłby go któryś z lokatorów.

Policjanci chcieli wiedzieć, jak zamierzam wyjaśnić obecność owego włosa. Nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi na to pytanie, co było nieco krępujące, niemniej byłem pewien swojego profilu i nie zamierzałem się wycofywać.

Mieliśmy do czynienia z przestępstwem wysokiego ryzyka i ofiarą niskiego ryzyka. Dziewczyna nie miała chłopaka, nie była prostytutką, narkomanką, ślicznym dzieckiem bawiącym się na otwartej przestrzeni, nie przebywała w niebezpiecznej dzielnicy z dala od domu. W budynku mieszkało około 50

procent czarnych, 40 procent białych i 10 procent Latynosów. Podobnych przestępstw nie popełniono ani tam, ani w okolicy. Typowy napastnik do popełnienia czynu o podłożu seksualnym wybrałby „bezpieczniejsze” miejsce. To wszystko (i charakter zbrodni) świadczyło o niezorganizowanym przestępcy.

Pozostałe okoliczności pozwoliły mi na doprecyzowanie profilu mordercy Francine Elveson. Ciało zostało w dość makabryczny sposób okaleczone, sprawca się nad nim masturbował, ale nie doszło do stosunku. Jego substytutem była penetracja za pomocą parasolki i długopisu. Wydawało się oczywiste, że szukamy niepewnego siebie, niedojrzałego seksualnie mężczyzny z kompleksem niższości. Masturbacja wskazywała, że morderstwo było urzeczywistnieniem rytuału, który napastnik od pewnego czasu odgrywał sobie w myślach. Fantazję podsycała ostra pornografia z gatunku *bondage* lub *sadomaso* – kolejny wyróżnik mężczyzny trapionego seksualnymi kompleksami. Nie wolno zapomnieć, że sprawca związał nieprzytomną lub martwą ofiarę. Moją teorię potwierdzał wybór drobnej, słabej fizycznie dziewczyny, którą przed urzeczywistnieniem brutalnych fantazji należało mimo wszystko zaatakować z zaskoczenia i szybko pozbawić przytomności. Gdyby mężczyzna dokonał sadystycznych aktów na żywej, przytomnej ofierze, mielibyśmy do czynienia z całkowicie odmiennym typem osobowości. Nasz sprawca wyraźnie miał problem w relacjach z kobietami. Jeżeli w ogóle chodził na randki, w co wątpię, szukał znacznie młodszych kobiet, teoretycznie łatwiejszych do zdominowania lub kontrolowania.

Sprawca kręcił się po budynku wcześniej rano, gdy ludzie wychodzili do pracy – z tego wyciągnąłem wniosek, że nie jest zatrudniony na pełny etat. Jeżeli wykonywał jakąś pracę, to raczej dorywczą i słabo opłacaną, być może nocną.

Z tego z kolei wywnioskowałem, że nie jest w stanie sam się utrzymać. W odróżnieniu od wielu przebieglejszych morderców nie potrafiłby całkowicie ukryć swoich dziwacznych fantazji przed innymi, co oznaczało, że był samotnikiem. Prowadził zapewne nocny tryb życia, a kobiety nie zwracały na

niego większej uwagi. Ponieważ nie wynajmował mieszkania z kolegami, a nie mógł sobie pozwolić na własne lokum, musiał mieszkać z rodzicami lub, jak przeczynałem, z jednym rodzicem lub starszą krewną płci żeńskiej, na przykład siostrą lub ciotką. Nie stać go było na samochód, co oznaczało, że do apartamentowca przybył komunikacją publiczną, przyszedł pieszo lub w nim mieszkał. W zasadzie odrzucałem możliwość, aby jeździł autobusem o tak wczesnej porze, co sugerowało, że mieszkał w tym samym budynku co Francine albo w promieniu kilometra od apartamentowca.

Kolejnych informacji dostarczyło rytualne rozmieszczenie odciętych sutków, kolczyków i samego ciała. Wystąpienie tak kompulsywnych zachowań w trakcie chaotycznej zbrodni świadczyło o poważnych problemach psychologicznych i psychiatrycznych. Podejrzewałem, że sprawca przyjmuje, albo przyjmował, jakieś lekarstwa wydawane na receptę. Ponieważ zbrodnię popełnił wcześniej rano, alkohol nie mógł odgrywać istotnej roli w jego życiu. Niezależnie od natury niestabilności psychicznej czy wręcz psychozy jego stan ulegał pogorszeniu, co musieli zauważyć ludzie w jego otoczeniu. Bardzo prawdopodobne, że w przeszłości próbował popełnić samobójstwo, przypuszczalnie przez uduszenie (w ten sposób zabił Francine). Byłem gotów się założyć, że jest – albo był – pacjentem jakiegoś zakładu dla umysłowo chorych. Z tego powodu wykluczyłem służbę w wojsku oraz założyłem, że nie ukończył szkoły średniej lub college'u, a jego życie było naznaczone niezrealizowanymi ambicjami. Byłem w zasadzie pewien, że morderstwo popełnił po raz pierwszy, ale gdyby uszło mu na sucho, nie poprzestałby na nim. Do kolejnego ataku nie doszłoby szybko, najwcześniej za kilka tygodni lub miesięcy, gdyby okoliczności były sprzyjające i ponownie natknął się na odpowiednią ofiarę. O tym świadczyły wiadomości, które pozostawił na ciele.

Ułożenie ofiary w upokarzającej, rytualnej pozie oznaczało, że nie miał specjalnych wyrzutów sumienia z powodu swojego czynu. Gdyby przykrył całe ciało, uznałbym, że zasłonięcie twarzy majtkami świadczyło o pewnym żalu

i chęci ocalenia części godności ofiary. Skoro tego nie zrobił, zasłonięcie twarzy dowodziło nie troski o ofiarę, ale chęci jej depersonalizacji i poniżenia.

Interesujące, że sprawca użył ubrania kobiety do przykrycia własnych odchodów. Gdyby wypróżnił się na miejscu zbrodni i nie przykrył niczym kału, można by to zinterpretować jako składnik fantazji albo wyraz pogardy – dla ofiary w szczególności, a generalnie dla wszystkich kobiet. Ponieważ przykrył odchody, najwyraźniej nie mógł przez dłuższy czas opuścić miejsca zbrodni, nie wytrzymał nerwowo albo w grę wchodziły oba czynniki. Doświadczenie podpowiadało mi, że niezdolność do powstrzymania wypróżnienia mogła być rezultatem przyjmowania leków.

Po otrzymaniu profilu policjanci przejrzeni ponownie długą listę podejrzanych i świadków. Odrzucili między innymi mężczyznę, który w przeszłości dopuścił się przestępstw seksualnych, ale obecnie miał żonę i dzieci. Nowa, zawężona lista zawierała dwadzieścia dwa nazwiska. Spośród nich jedno ściśle odpowiadało profilowi.

Mężczyzna nazywał się Carmine Calabro. Ten trzydziestoletni, biały, bezrobotny aktor żył, utrzymywany przez owdowiałego ojca, w budynku Elvesonów. Podobnie jak oni mieszkał na trzecim piętrze. Nie miał żony i podobno nie układało mu się w kontaktach z kobietami. Nie ukończył szkoły średniej, nie służył w wojsku. Kiedy policja przeszukała jego pokój, znaleziono olbrzymią kolekcję pornografii z gatunku *bondage* i sadoomaso. W przeszłości rzeczywiście próbował popełnić samobójstwo przez powieszenie i uduszenie – oba incydenty miały miejsce jeszcze przed morderstwem Elveson.

Ale Calabro miał alibi. Jak przypuszczałem, policja rozmawiała wcześniej z jego ojcem, podobnie jak ze wszystkimi innymi lokatorami budynku. Pan Calabro zeznał, że Carmine jest pensjonariuszem pobliskiego szpitala dla umyślowo chorych, gdzie leczy się z depresji. Właśnie z tego powodu policja skreśliła go wcześniej z listy podejrzanych.

Teraz dysponowali profilem, więc natychmiast zaczęli ponownie badać ten wątek i szybko odkryli, że ochrona szpitala jest wyjątkowo nieszczelna. Ustalili ponad wszelką wątpliwość, że Carmine opuścił szpital bez przepustki – po prostu wyszedł – wieczorem w przeddzień morderstwa Francine Elveson.

Trzydzieści miesięcy po śmierci Francine aresztowano Carmine'a Calabro. Policja pobrała odciski jego zębów. Trzech dentystów sądowych potwierdziło, że układ jego uzębienia odpowiadał śladom pozostawionym na ciele Francine. Prokurator oparł na tym fakcie linię oskarżenia. Calabro nie przyznał się do winy. Został skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia.

Tak na marginesie, negroidalny włos nie miał żadnego związku z mordercą. Biuro lekarza sądowego przeprowadziło staranne wewnętrzne śledztwo, w którym ustalono, że worek użyty do transportu ciała Francine Elveson do kostnicy był wcześniej wykorzystany do przeniesienia zwłok czarnego mężczyzny; między jednym a drugim zdarzeniem nie został w odpowiedni sposób wyczyszczony. Oto potwierdzenie, że dowody dostarczane przez medycynę sądową bywają zwodnicze, a jeśli nie pasują do całościowej wizji zbrodni, śledczy powinien je uważnie zweryfikować, zanim zostaną włączone do materiału dowodowego.

Wyjaśnienie tego morderstwa było niezwykle satysfakcjonujące, zwłaszcza że przysporzyło nam wielu zwolenników wśród ludzi, z którymi współpracowaliśmy w Nowym Jorku – najinteligentniejszych i najbardziej profesjonalnych przedstawicieli prawa w Stanach Zjednoczonych. W opublikowanym w „Psychology Today” artykule z kwietnia 1983 roku poświęconym programowi profilowania porucznik D'Amico napisał: „Rozpracowano go w najdrobniejszych szczegółach, że aż zapytałem FBI, dlaczego nie podało nam jego numeru telefonu”.

Po publikacji artykułu Calabro napisał do nas z zakładu karnego hrabstwa Clinton w Dannemora w stanie Nowy Jork, choć w artykule nie wymieniono z nazwiska ani jego, ani Elveson. W rozwlekłym liście pełnym błędów

gramatycznych i ortograficznych generalnie pochlebnie wyrażał się na temat FBI i nowojorskiej policji, zapewniał o swojej niewinności, postawił się w jednym szeregu z Davidem Berkowitzem i George'em Meteskym, Szalonym Bomberem, i w końcu stwierdził: „Nie podważam waszego profilu mordercy, zresztą jestem szczerze przekonany, że w dwóch kwestiach macie rację”.

Następnie pytał, czy poinformowano nas o włosie znalezionym na ciele, który – jak sądził – mógł go oczyścić z winy. Interesował się dziwnymi rzeczami, na przykład tym, kiedy opracowaliśmy profil i czy dysponowaliśmy wtedy wszystkimi dowodami. Jeśli tak, zamierzał dać nam spokój, w przeciwnym razie miał napisać ponownie.

List uznałem za dobry pretekst, by włączyć Calabro do naszego badania. W lipcu 1983 roku Bill Hagmaier i Rosanne Russo, jedna z pierwszych agentek służących w Jednostce Nauk Behawioralnych, udali się do zakładu karnego Clinton, aby porozmawiać z Calabro. Scharakteryzowali go jako nerwowego, ale uprzejmego i skorego do współpracy; tak samo zachowywał się w kontaktach z policją. W rozmowie poruszał głównie wątek swojej niewinności i zbliżającej się apelacji. Twierdził, że został niesprawiedliwie skazany na podstawie śladów ugryzień – właśnie dlatego kazał usunąć sobie wszystkie zęby. „Nie będą mogli ponownie mnie oskarżyć”, powiedział i z dumą zaprezentował bezzębne dziąsła. Wywiad był w dużej mierze powtórzeniem zagadnień poruszonych w liście. Hagmaier i Russo stwierdzili, że Calabro sprawiał wrażenie dość zainteresowanego badaniem i nie chciał, aby sobie poszli. Samotnikiem pozostał nawet w więzieniu.

Nie mam wątpliwości, że Carmine Calabro to człowiek o poważnych problemach psychicznych. W jego przeszłości, okolicznościach morderstwa i naszych kontaktach próżno doszukiwać się czegokolwiek przypominającego normalność. Mimo to uważam, że – podobnie jak większość niezrównoważonych osób – potrafił odróżnić dobro od zła. Dziwaczne i obłąkańcze fantazje nie są przestępstwem, ale bez wątpienia jest nim świadome

wcielenie ich w życie z zamiarem wyrządzenia innym ludziom krzywdy.

ROZDZIAŁ 9

W skórze mordercy

Na początku lat osiemdziesiątych zajmowałem się w porywach stu pięćdziesięcioma sprawami rocznie. Tyle samo dni spędzałem w delegacjach. Czuję się jak Lucille Ball próbująca nadążyć z zawijaniem czekoladek przesuujących się na taśmociągu w słynnym skeczu z serialu *I Love Lucy* – im więcej spraw waliło mi się na głowę, tym rozpaczliwiej próbowałem nie narobić sobie zaległości. Wyzerowanie licznika spraw i złapanie oddechu nie wchodziło w ogóle w rachubę.

W miarę jak nasza działalność i rezultaty zdobywały rozgłos, prośby o pomoc spływały coraz liczniej z całych Stanów Zjednoczonych i wielu innych państw. Niczym lekarz odpowiedzialny za segregację pacjentów na pogotowiu zacząłem je dzielić ze względu na stopień ważności. Na szczycie listy umieszczałem sprawy morderstw połączonych z gwałtem, w których istniało podejrzenie zagrożenia życia kolejnych osób.

W przypadku spraw zamrożonych (czyli starszych niż dwa lata) lub tych, w których sprawca najwyraźniej zaprzestał działalności, prosiłem policję o umotywowanie, dlaczego nasza pomoc jest potrzebna. Czasami powodem była presja rodziny ofiary. Doskonale to rozumiałem i szczerze takim ludziom współczułem, ale nie mogłem poświęcać cennego czasu na przygotowywanie analiz, które policja schowa do szuflady.

W przypadku bieżących śledztw istotnym czynnikiem była lokalizacja.

Początkowo każda prośba pochodząca z największych wydziałów policji – Nowego Jorku, Los Angeles itp. – budziła moją podejrzliwość. Dlaczego w ogóle ją wysłano? Czasami powodem był spór o jurysdykcję z FBI, dotyczący tego, kto otrzyma nagrania z podsłuchu, kto poprowadzi przesłuchania lub dochodzenie w sprawie serii napadów na banki. Mogło się również zdarzyć, że sprawa miała wyraźnie polityczny podtekst, a lokalna policja chciała zrzucić odpowiedzialność na kogoś innego. Podejmując decyzję, musiałem uwzględnić wszystkie czynniki, ponieważ tylko w ten sposób mogłem rzetelnie rozstrzygnąć, która sprawa zostanie rozwiązana.

Początkowo przygotowywałem analizy w formie pisemnej, później nie miałem już na to czasu, ponieważ liczba próśb zaczęła przyrastać w tempie wykładniczym. W trakcie zapoznawania się z aktami sprawy robiłem notatki i później korzystałem z nich podczas rozmowy – przez telefon lub twarzą w twarz – z funkcjonariuszem prowadzącym śledztwo. Gliniarze zazwyczaj szczegółowo notowali wszystko, co mówiłem, ale jeśli zdarzyło się, że policjant tylko słuchał i nic nie notował, szybko traciłem cierpliwość i zwracałem mu uwagę, że to on odpowiada za śledztwo, więc jeśli zależy mu na naszej pomocy, powinien zakasać rękawy i zapieprzać z robotą równie ostro jak my.

Kiedy zdobyłem więcej doświadczenia, wiedziałem, jak długo powinna potrwać „wizyta”. Już w trakcie zapoznawania się ze sprawą decydowałem, czy będę w stanie pomóc. Potem przechodziłem do analizy miejsca zbrodni i wiktymologii. Dlaczego sprawca wybrał akurat tę ofiarę? W jaki sposób została zamordowana? Po odpowiedzi na te dwa pytania można było zmierzyć się z tym najważniejszym: kto to zrobił?

Wzorem Sherlocka Holmesa szybko zdałem sobie sprawę, że im bardziej typowy i rutynowy charakter miała zbrodnia, tym skromniejszymi poszlakami behawioralnymi dysponowałem. Nie potrafiłem wiele zdziałać w przypadku zwykłych napadów z bronią w ręku. Były zbyt pospolite, a zachowania sprawcy niecharakterystyczne – w konsekwencji grupa potencjalnych sprawców

pozostawała zbyt szeroka. Analogicznie sprawa, w której ofiara została jednokrotnie postrzelona lub ugodzona nożem, nastęcza poważniejszych trudności niż sprawa z licznymi obrażeniami; sprawca przestępstwa popełnionego na dworze jest trudniejszy do wykrycia od sprawcy przestępstwa popełnionego w pomieszczeniu zamkniętym; pojedyncza ofiara wysokiego ryzyka, jak prostytutka, dostarcza mniejszej liczby informacji od kilku ofiar.

Rozpoczyłem od lektury raportu lekarza sądowego, aby poznać charakter i typ obrażeń, przyczynę śmierci i sposób ewentualnego napastowania seksualnego. Raporty miały bardzo różną jakość. W niektórych okręgach pracowali patologowie z prawdziwego zdarzenia, którzy wykonywali pierwszorzędną robotę. Kiedy lekarzem sądowym w Waszyngtonie był doktor James Luke, mogliśmy zawsze liczyć na wyczerpujące, szczegółowe i precyzyjne protokoły. Po przejściu na emeryturę doktor Luke został wartościowym konsultantem mojej jednostki. Na przeciwległym biegunie należało umieścić przypadki z małych miasteczek z Południa, gdzie obowiązki koronera wypełniał dyrektor zakładu pogrzebowego, dla którego autopsja ograniczała się do przybycia na miejsce, kopnięcia denata i stwierdzenia: „Tak, chłopak bez wątpienia wyzionął ducha”.

Po zapoznaniu się z analizą medyczną czytałem wstępny raport. Co zobaczył policjant, który pierwszy przybył na miejsce zbrodni? To ważne, bo później mogło zostać naruszone przez niego lub inną osobę z jednostki dochodzeniowej. Wyobrażałem sobie możliwie precyzyjnie stan, w jakim sprawca pozostawił miejsce zbrodni. Chciałem wiedzieć o wszystkim, co od tego czasu uległo zmianie. Jeżeli na twarzy ofiary znajdowała się poduszka, chciałem wiedzieć, kto ją tam położył. Czy leżała tam, gdy na miejsce przybył pierwszy policjant? Czy z szacunku dla zmarłej osoby położył ją któryś z członków rodziny? A może istniało inne wyjaśnienie? Na końcu oglądałem fotografie miejsca zbrodni i próbowałem stworzyć w myślach dokładny obraz sytuacji.

Zdjęcia nie zawsze były najlepszej jakości, zwłaszcza w czasach gdy

w większości wydziałów wciąż stosowano czarno-białe filmy. W związku z tym prosiłem dodatkowo o schematyczny rysunek miejsca zbrodni uwzględniający kierunki i ślady stóp. Jeżeli śledczy chcieli, abym zwrócił na jakiś element szczególną uwagę, prosiłem o umieszczenie stosownej informacji na odwrocie zdjęcia, abym podczas pierwszego oglądania nie sugerował się cudzymi spostrzeżeniami. W obiektywnej analizie przeszkadzała także znajomość nazwiska głównego podejrzanego; policjanci mogli mi je ewentualnie przesłać w zaklejonej kopercie.

Należało również ustalić, czy sprawca zabrał ze sobą coś, co należało do ofiary lub znajdowało się na miejscu zbrodni. W wypadku pieniędzy, wartościowych przedmiotów lub rzucającej się w oczy biżuterii sprawa była generalnie prosta, poza tym ich zniknięcie wiele mówiło o motywie. Znacznie trudniejsze było ustalenie braku innych przedmiotów.

Kiedy policjant lub detektyw twierdził, że sprawca nic nie zabrał z miejsca zbrodni, pytałem: „A skąd wiesz? Potrafiłbyś stwierdzić, czy zabrałem biustonosz i parę majtek z komody twojej dziewczyny? Jeżeli tak, nieżył z ciebie zbok”. Jak zatem ustalić, że morderca zabrał jakiś drobiazg w rodzaju spinki lub kosmyka włosów? Nigdy nie zadowalałem się przekonaniem policjantów, że miejsce zbrodni wygląda na nienaruszone. Podczas przeszukiwania domów sprawców, których udało się wykryć, często znajdowano nieoczekiwane pamiątki z miejsc zbrodni.

Od początku miałem świadomość, że wiele osób, nawet z szeregów FBI, nie rozumie naszej działalności. Zdałem sobie z tego sprawę po raz pierwszy podczas dwutygodniowego kursu dla detektywów z wydziałów zabójstw, który zorganizowaliśmy z Bobem Resslerem w 1981 roku. W zajęciach uczestniczyło około stu oficerów śledczych – głównie z Nowego Jorku, ale także z innych wydziałów należących do aglomeracji.

Pewnego ranka przed zajęciami z profilowania ustawiałem na środku sali duży magnetowid Sony na kasety z taśmą o szerokości $\frac{3}{4}$ cala. Podszedł do mnie

wyraźnie przemęczony pracą detektyw o bladych, przekrwionych oczach.

– To ty uczysz tego całego profilowania? – spytał.

– Zgadza się – przytaknąłem. – Przyniosłem nawet ze sobą maszynę do profilowania – dodałem, wskazując na wielki magnetowid.

Obrzucił mnie sceptycznym spojrzeniem doświadczonego detektywa, którego nie da się zbajerować.

– Podaj mi rękę – powiedziałem. – Pokażę ci, jak to działa.

Z wahaniem wyciągnął rękę. Magnetowidy na taśmy $\frac{3}{4}$ cala miały naprawdę duże otwory na kasety. Chwyciłem jego dłoń, wsunąłem ją do otworu i wcisnąłem kilka przycisków. Ressler, który przygotowywał się nieopodal do wykładu, usłyszał kątem ucha tę wymianę zdań. Musiał uznać, że zaraz oberwę, bo wyraźnie szykował się, by przyjść mi z pomocą.

– No to jaki mam profil? – zainteresował się gliniarz.

– Zaczekaj, aż zaczną się zajęcia – powiedziałem. – Wtedy zobaczysz, jak to działa.

Gość musiał domyślić się wszystkiego w trakcie wykładu poświęconego profilowaniu, podczas którego skorzystałem z faktycznej funkcji magnetowidu: odtworzyłem na nim film instruktażowy! Na szczęście nie czekał na mnie po zakończeniu zajęć. Morał z tej historyjki jest taki: żeby tylko przygotowanie użytecznego profilu było takie proste! Nie dość, że nie dysponujemy maszyną, która obliczałaby profil na podstawie odczytu dłoni (albo innej części ciała), to jeszcze współpracujący z nami informatycy od lat bezskutecznie próbują stworzyć program naśladujący rozumowanie pozwalające na opracowanie profilu psychologicznego. Jak dotąd niewiele wskórali.

Tworzenie profili i analiza miejsca zbrodni są zbyt skomplikowane, aby wystarczyło wrzucić do komputera garść danych. Dobry profiler musi umieć ocenić mnóstwo dowodów i faktów, a także postawić się w pozycji zarówno przestępcy, jak i ofiary.

Należy zrekonstruować w wyobraźni miejsce zbrodni. Zdobyć możliwie

najwięcej informacji o ofierze, aby móc sobie wyobrazić, jak zareagowała na widok człowieka grożącego jej nożem, kamieniem, pięściami czy jakąkolwiek inną bronią. Poczuć jej strach na widok zbliżającego się napastnika. Poczuć ból, kiedy ją gwałcił, bił lub okaleczał. Wyobrazić sobie, przez co przechodziła, kiedy ją torturował, zaspokajając swe seksualne fantazje. Trzeba wiedzieć, co to znaczy krzyczeć z przerażenia lub w męczarniach ze świadomością, że napastnik i tak nie przestanie. Trzeba wiedzieć, jakie to uczucie. A to naprawdę niełatwe zadanie, zwłaszcza jeśli ofiara była dzieckiem lub osobą starszą.

Kiedy przed rozpoczęciem zdjęć do Quantico przyjechali reżyser i obsada *Milczenia owiec*, zaprowadziłem do swojego biura Scotta Glenna, który miał zagrać Jacka Crawforda – agenta specjalnego wzorowanego, zdaniem niektórych, na mnie. Glenn miał dość liberalne poglądy i wierzył w resocjalizację, odkupienie win i przyrodzoną człowiekowi dobroć. Pokazałem mu kilka makabrycznych zdjęć z miejsc zbrodni. Puściłem nagrania, na których mordercy uwiecznili znęcanie się nad ofiarami. Wysłuchał między innymi głosów dwóch nastolatków torturowanych w furgonetce w Los Angeles przez dwóch spragnionych mocnych przeżyć morderców, których niewiele wcześniej wypuszczono z więzienia.

Glen zaczął w trakcie szlochać.

– Nie miałem pojęcia, że istnieją ludzie zdolni do takich czynów – stwierdził.

Po obejrzeniu zdjęć i wysłuchaniu nagrań ten inteligentny, wrażliwy ojciec dwóch dziewczynek stwierdził, że nie potrafi być dłużej przeciwnikiem kary śmierci:

– Na skutek wizyty w Quantico zmieniłem trwale zdanie w tej kwestii.

Równie trudnym doznaniem jest dla mnie wejście w skórę napastnika. Muszę wyobrazić sobie, jak planuje zbrodnię, zrozumieć i poczuć satysfakcję towarzyszącą chwili urzeczywistnienia skrywanych dotąd fantazji i poczuciu, że w jego rękach nareszcie spoczywa los innego człowieka, którym może do woli

manipulować i nad którym ma pełną władzę.

Mężczyźni, którzy torturowali i zabili dwie nastolatki w furgonetce, nazywali się Lawrence Bittaker i Roy Norris. Wymyślili nawet nazwę dla swojego pojazdu: Zabójczy Mac. Poznali się w więzieniu stanowym California Men's Colony w San Luis Obispo. Bittaker siedział za napad z bronią, Norris za gwałt. Odkryli, że łączy ich marzenie o podporządkowywaniu sobie młodych kobiet i zadawaniu im bólu. Kiedy obaj zostali warunkowo zwolnieni z więzienia w 1979 roku, zamieszkali w motelu w Los Angeles i ułożyli plan, który przewidywał porwanie, zgwałcenie, torturowanie i zamordowanie nastolatek w wieku od trzynastu do dziewiętnastu lat, po jednej z każdego rocznika. Zdążyli zrealizować zamierzenia w stosunku do pięciu dziewczyn; kolejna ofiara gwałtu zdołała uciec i zgłosiła się na policję.

Norris, odznaczający się mniej dominującą osobowością, załamał się podczas przesłuchania, przyznał się do winy, a w zamian za obietnicę, że nie zostanie skazany na karę śmierci, zakapował na bardziej sadystycznego i agresywnego Bittakera. Zaprowadził policję w miejsca, gdzie ukryli zwłoki. Prażące kalifornijskie słońce sprawiło, że z jednej ofiary został sam szkielet, ale z ucha wciąż wystawał jej szpikulec do lodu.

Interesującym aspektem tej sprawy – pomijając rozdzierającą serce historię przerwania rozkwitającego życia ofiar przez degeneratów czerpiących przyjemność z torturowania młodych dziewczyn („dla ubawu”, jak to ujął Norris) – są różnice w dynamice zachowań sprawców. Jeżeli zbrodnię popełnia para przestępców, zazwyczaj możemy wyróżnić bardziej dominującego i bardziej uległego partnera; często jeden jest bardziej zorganizowany niż drugi. Seryjni mordercy to najczęściej ludzie o niskiej samoocenie, ale ci, którzy potrzebują partnerów w zbrodni, są zdecydowanie najbardziej zakomplekszeni ze wszystkich.

Choć obaj dopuścili się naprawdę potwornych zbrodni (a Lawrence Bittaker należy do najbardziej odrażających indywiduali, z jakimi się zetknąłem), ich

przypadek nie jest, niestety, odosobniony.

James Russell Odom i James Clayton Lawson junior poznali się w więzieniu (jak Bittaker i Norris). Była połowa lat siedemdziesiątych, obaj odsiadywali wyrok za gwałt w stanowym szpitalu psychiatrycznym Atascadero w Kalifornii. Z dzisiejszej perspektywy uznałbym Russella Odoma za psychopatę, a Claya Lawsona raczej za schizofrenika. Russell sugestywnie odmalował przed Clayem wizję tego, co zamierza robić po wyjściu z więzienia. Planował porywanie kobiet, odcinanie im piersi, usuwanie jajników i wbijanie noży w pochwy. Inspirację miał czerpać z działalności Charlesa Mansona i jego zwolenników. Lawson wyraźnie zastrzegł, że nie zamierza odbywać stosunków płciowych z ofiarami. Uważał, że to „nie w jego stylu”.

Z kolei Odom nie miał nic przeciwko stosunkom seksualnym z kobietami. Zaraz po wyjściu na wolność przejechał swoim jasnoniebieskim volkswagenem garbusem rocznik 1974 przez całe Stany Zjednoczone do Columbii w Karolinie Południowej, gdzie Lawson po zwolnieniu warunkowym pracował jako monter rur i mieszkał u rodziców. (Jak już wspomniałem, garbus był wtedy ulubionym autem seryjnych morderców oraz biedujących agentów FBI). Odom uznał, że mają co prawda wspólne zainteresowania, ale są na tyle różni, że mogą dzielić się zadaniami.

Kilka dni po przyjeździe Odoma udają się na poszukiwanie ofiary fordem cometem rocznik 1974, należącym do ojca Lawsona. Zatrzymują się w sklepie całodobowym 7-Eleven na autostradzie numer 1. Ich uwagę zwraca sprzedawczyni, ale dokoła jest zbyt wielu ludzi, więc wychodzą i idą obejrzeć film pornograficzny.

Chciałbym to wyraźnie podkreślić: kiedy zdają sobie sprawę, że inni ludzie stanęliby w obronie dziewczyny, a przynajmniej mogli ich później zidentyfikować, odchodzą, nie popełniwszy zaplanowanego przestępstwa. Obaj byli chorzy psychicznie, a Lawson mógłby spokojnie uzyskać orzeczenie o niepoczytalności. Mimo to w niesprzyjających okolicznościach powstrzymali

się od popełnienia przestępstwa. Nie odczuwali aż tak przemożnego przymusu wewnętrznego, że musieli przystąpić do działania. Powtórzę zatem raz jeszcze: z moich doświadczeń wynika, że zaburzenia umysłowe nie usprawiedliwiają przestępcy. O ile nie utracił całkowicie kontaktu z rzeczywistością, a tym samym przestał rozumieć konsekwencje swoich poczynań w realnym świecie, kryminalista dokonuje wyboru i świadomie krzywdzi ofiarę. Ci mocno szurnięci są łatwi do schwytania. Seryjni mordercy – wprost przeciwnie.

Kolejnego wieczoru Odom i Lawson pojechali do kina samochodowego. Po seansie, czyli gdzieś koło północy, wrócili do 7-Eleven. Weszli do środka i kupili kilka drobiazgów: mleko czekoladowe, paczkę orzeszków, ogórki konserwowe. Tym razem byli jedynymi klientami, więc porwali młodą ekspedientkę – Odom groził jej pistoletem kalibru .22. Lawson miał w kieszeni pistolet kalibru .32. Kiedy policja przybędzie później do sklepu, zaalarmowana przez klienta zdziwionego brakiem obsługi, stwierdzi, że w kasie znajdują się pieniądze, torebka ekspedientki leży za ladą, a z półek nie zniknęło nic cennego.

Tymczasem mężczyźni pojechali w odludne miejsce. Odom kazał rozebrać się dziewczynie do naga, po czym zgwałcił ją na tylnym siedzeniu samochodu. Lawson stał przy drzwiach kierowcy i go ponaglał; nie mógł się doczekać swojej kolejki. Po jakichś pięciu minutach Odom szczytował, zapiął spodnie i wysiadł z samochodu. Sądził, że Lawson zajmie jego miejsce.

Później powie, że odszedł na bok, aby zwymiotować. Z kolei Lawson będzie utrzymywał, że Odom powiedział: „Musimy się jej pozbyć”, choć sam miał wymusić na niej wcześniej obietnicę, że nie piśnie ani słowa, jeśli ją puszcza. Tak czy inaczej, pięć minut później Odom usłyszał krzyk kobiety: „Moje gardło!”. Podbiegł do samochodu i zobaczył, że Lawson poderżnął jej gardło i tnie nagie ciało nożem, który kupił poprzedniego wieczoru w 7-Eleven.

Następnego dnia wsiedli do volkswagena i pojechali pozbyć się dwóch pakunków z ubraniami ofiary. Lawson wyznał Odomowi, że poprzedniego dnia próbował zjeść narządy płciowe kobiety, ale zrobiło mu się niedobrze.

Potwornie okaleczone ciało zostawili w widocznym miejscu. Morderców aresztowano kilka dni później. Russell Odom, obawiając się wyroku śmierci, natychmiast przyznał się do gwałtu, ale zaprzeczył, jakoby brał udział w morderstwie.

W trakcie zeznań Clay Lawson podkreślił, że nie odbył stosunku płciowego z ofiarą.

– Nie zgwałciłem dziewczyny. Chciałem ją tylko zniszczyć.

Oto słowa człowieka, który na sali sądowej spokojnie żuł kredę.

Sądzono ich osobno. Odom dostał dożywocie plus czterdzieści lat więzienia za gwałt, nielegalne posiadanie broni i współudział w czynnościach kryminalnych przed zabójstwem i po nim. Lawsona uznano za winnego morderstwa pierwszego stopnia; został stracony na krześle elektrycznym 18 maja 1976 roku.

Podobnie jak u Bittakera i Norrisa mieliśmy tu do czynienia z mieszanym zestawem śladów behawioralnych – a co za tym idzie, z zestawem dowodów behawioralnych – wynikającym z udziału dwóch sprawców. Okaleczenie ciała to świadectwo zdezorganizowanego typu osobowości, podczas gdy sperma wykryta w pochwie kobiety jest wyraźną oznaką osobowości zorganizowanej. Uczymy przypadku Odoma i Lawsona w Quantico. Doskonale go pamiętałem, gdy skontaktował się ze mną John Reeder, komendant policji z okręgu Logan w stanie Pensylwania. Ja dopiero zaczynałem wtedy karierę profilerów, a Reeder był absolwentem Narodowej Akademii. Korzystając z pośrednictwa agenta specjalnego Dale'a Frye'a z rezydentury FBI w Johnstown, Reeder i prokurator okręgowy hrabstwa Blair Oliver E. Mattas junior prosili o pomoc w rozwiązaniu sprawy gwałtu, morderstwa i okaleczenia młodej kobiety o nazwisku Betty Jane Shade.

Oto informacje, jakie mi przekazali.

29 maja 1979 roku ta dwudziestodwuletnia kobieta wracała jakiś kwadrans po dziesiątej wieczorem z domu, w którym opiekowała się czyimś dzieckiem.

Cztery dni później mężczyzna, rzekomo spacerujący po okolicy, natknął się na jej okaleczone, ale dobrze zachowane ciało. Spoczywało na dzikim wysypisku śmieci na szczycie góry Wopsonock w pobliżu Altoony. Długie blond włosy dziewczyny zostały odcięte i wisały na pobliskim drzewie. Naczelnny koroner hrabstwa Charles R. Burkey powiedział lokalnej gazecie, że był to „najbardziej makabryczny” przypadek śmierci w jego karierze. Betty Jane Shade była napastowana seksualnie, miała pękniętą szczękę, podbite oczy, a jej ciało pokrywały liczne rany zadane nożem. Zmarła na skutek silnego uderzenia w głowę. Po śmierci zadano jej kolejne ciosy nożem, odcięto obie piersi i rozcięto krocze od pochwy do odbytu.

Choć częściowo niestrawiona zawartość żołądka wskazywała, że dziewczyna została zabita niedługo po zaginięciu, zwłoki były zbyt dobrze zachowane jak na cztery dni spędzone na wysypisku. Normalnie w ciele zagnieździłyby się larwy, na skórze stwierdzono by obrażenia spowodowane przez zwierzęta. Poza tym dzień czy dwa wcześniej policja badała doniesienia o nielegalnym wysypywaniu śmieci na zboczu góry, więc musiałyby znaleźć ciało znacznie wcześniej.

Zapoznałem się z pełną dokumentacją sprawy przysłaną przez Reedera. Przygotowany profil sprawcy przedstawiłem mu podczas długiej telekonferencji. Starąłem się przy okazji zapoznać policjantów z zasadami profilowania oraz poszlakami, na które powinni zwracać uwagę. W mojej ocenie sprawcą był biały mężczyzna w wieku siedemnastu–dwudziestu pięciu lat; zastrzegłem tylko, że jeśli mieszkał na prowincji, mógł być starszy ze względu na powolniejsze tempo nauki kompetencji społecznych. Będzie to szczupły lub żylasty samotnik, niezbyt bystry, zamknięty w sobie, prawdopodobnie lubiący pornografię. Dom rodzinny typowy dla takich przypadków – dysfunkcyjna, rozbita rodzina, bez ojca, za to z despotyczną, nadopiekuńczą matką. Mogła mu wmówić, że wszystkie kobiety są złe – poza nią. Sprawca będzie zatem obawiał się płci przeciwnej i miał problemy z nawiązywaniem relacji. Właśnie dlatego tak szybko ogłuszył ofiarę.

Musiał ją bardzo dobrze znać – świadczyły o tym poważne obrażenia twarzy. Targany niezwykle silnym gniewem, starał się ją zdepersonalizować, okaleczając jej twarz, piersi i genitalia. Odcięcie włosów miało moim zdaniem inne znaczenie. Choć mógł to być jeden z przejawów depersonalizacji, wiedziałem, że Shade była schludną, pedantyczną osobą, dumną ze swojej pięknej, zadbanej fryzury. Odcięcie włosów było zatem zniewagą, poniżającym gestem. Była to kolejna poszlaka świadcząca o tym, że sprawca dobrze znał ofiarę. Na jej ciele nie znaleziono śladów sadystycznego znęcania się ani tortur zadanych przed śmiercią (jak w sprawie Bittakera i Norrisa). Sprawcą nie był człowiek, który zaspokajał potrzeby seksualne, zadając cierpienie.

Poradziłem policjantom, aby nie szukali „towarzyskiego mężczyzny o osobowości sprzedawcy samochodów”. Jeżeli sprawca jest w ogóle gdzieś zatrudniony, to wykonuje jakąś prostą robotę – jest dozorcą oraz pracuje fizycznie. Porzucić ciało na dzikim wysypisku mógł tylko człowiek wykonujący podrzędną pracę albo taką związaną z ziemią lub brudem. Godzina porwania, obcięcie piersi, transport ciała i ponowne odwiedzenie wysypiska mówiły mi, że chodzi o człowieka prowadzącego głównie nocny tryb życia. Przypuszczałem, że odwiedził cmentarz, być może uczestniczył w pogrzebie; chciał w ten sposób dokonać reinterpretacji faktów i wytworzyć sobie w umyśle wspomnienie „normalnej” relacji z Betty Jane. Z tego powodu uważałem, że przebadanie ewentualnego podejrzanego wykrywaczem kłamstw w zasadzie miałyby się z celem. Istniało duże prawdopodobieństwo, że mieszkał gdzieś między jej domem a miejscem, w którym pracowała jako opiekunka.

Policjanci poinformowali mnie, że wytypowali dwóch głównych podejrzanych, ale nie dysponują dowodami pozwalającymi na aresztowanie któregośkolwiek z nich. Jednym był chłopak ofiary Charles F. Soult junior, zwany Butchem, który przedstawiał się jako jej narzeczony. Bez wątplenia należało brać go poważnie pod uwagę, niemniej faworytem policjantów pozostawał drugi z podejrzanych: mężczyzna, który znalazł ciało. Jego zeznania

wydawały się niespójne. Pracował na kolei jako operator maszyn, ale akurat wtedy przebywał na zwolnieniu z powodu czasowej niepełnosprawności. Twierdził, że znalazł ciało na wysypisku podczas spaceru. Pewien starszy mężczyzna, który wyprowadzał w okolicy psa, widział, jak podejrzany oddawał w pobliżu mocz. Ubrał się w sposób nieodpowiedni do długiej wędrówki i był zupełnie suchy, mimo że od dłuższego czasu padało. Mieszkał cztery przecznice od domu Betty Jane Shade, a w przeszłości wielokrotnie i bezskutecznie próbował ją poderwać. Podczas rozmów z policją zachowywał się nerwowo. Utrzymywał, że obawiał się złożyć zawiadomienie o znalezieniu ciała, aby samemu nie zostać oskarżonym o zamordowanie dziewczyny. Brzmiało to jak typowa wymówka osoby, która zgłasza się na policję, aby włączyć się w śledztwo i odsunąć od siebie podejrzania. Mężczyzna był miłośnikiem piwa i nałogowym palaczem. Bez wątpienia dysponował krzepą potrzebną do popełnienia morderstwa i przeniesienia ciała na wysypisko. W przeszłości zdarzało mu się zachowywać antyspołecznie. W noc popełnienia morderstwa miał spędzić wieczór w domu przed telewizorem w towarzystwie żony, co nie zapewniało ani jemu, ani jej mocnego alibi. Ostrzegłem policjantów, że taki człowiek znajdzie sobie prawnika i od tego momentu przestanie z nimi współpracować. Jak się okazało, dokładnie tak postąpił – skontaktował się z prawnikiem i odmówił poddania się badaniu wykrywaczem kłamstw.

Brzmiało to w miarę obiecująco, ale zastanawiało mnie, że miał dwójkę dzieci i mieszkał z żoną. To nie pasowało do sprawcy. Gdyby morderstwo popełnił żonaty mężczyzna, powodowałby nim silny, sadystyczny gniew względem kobiet. Przeciągałby akt zabójstwa, dłużej znęcał się nad ofiarą i nie okaleczył później jej ciała. Podejrzany miał ponadto trzydzieści lat, czyli więcej, niż zakładałem.

Bardziej przekonującym kandydatem wydawał mi się Soult. Pasował w zasadzie idealnie do profilu. Jego rodzice rozwiedli się, kiedy był dzieckiem. Matka miała dominującą osobowość i ingerowała w życie syna. Miał

dwadzieścia sześć lat, a zupełnie nie radził sobie w kontaktach z kobietami. Policji powiedział, że tylko dwa razy w życiu uprawiał seks – w obu przypadkach ze starszą kobietą, która kpiała z niego, ponieważ miał problem ze wzwozem. Twierdził, że on i Betty Jane bardzo się kochali i byli zaręczeni, mimo że ona spotykała się i uprawiała seks z innymi mężczyznami. Byłem pewien, że sama zupełnie inaczej opisałaby tę relację. Soult twierdził, że podczas pogrzebu miał ochotę wykopać trumnę i położyć się obok ukochanej. Podczas przesłuchania cały czas płakał z żalu.

Policjanci wspomnieli, że Butch Soult i jego brat Mike pracowali przy transporcie odpadów.

– Mój Boże, to brzmi coraz lepiej – stwierdziłem.

Wiedzieli o istnieniu wysypiska, mieli do niego dostęp i powód, aby tam pojechać. Dysponowali pojazdem nadającym się do transportu zwłok.

Butch znakomicie pasował do profilu podejrzanego, ale dwie sprawy nie dawały mi spokoju. Po pierwsze, był lekkim neptkiem i fizycznie niewiele górował nad Shade. Nie sądziłem, aby mógł przenieść zwłoki albo ułożyć je w żabiej pozycji, z nogami rozłożonymi i zgiętymi w kolanach. Po drugie, w pochwie ofiary znaleziono spermę, co wskazywało na tradycyjny gwałt. Gdyby sperma znajdowała się na ciele, majtkach lub ubraniu ofiary, uznałbym to za coś naturalnego, ale obecny stan rzeczy był naprawdę dziwny. Pozostałe poszlaki wskazywały, że sprawca, podobnie jak David Berkowitz, będzie się masturbował nad ciałem. Powinien osiągnąć zaspokojenie seksualne pośrednio, a nie przez gwałt. Coś tu się nie zgadzało.

Mieliśmy do czynienia z mieszanym miejscem zbrodni, z morderstwem pod wieloma względami podobnym do morderstwa Francine Elverson z Nowego Jorku: z identycznym niespodziewanym atakiem, oszpeceniem twarzy i okaleczeniem narządów płciowych. Elverson odcięto sutki, Shade – całe piersi.

W Nowym Jorku dobrze zbudowany Carmine Calabro wniósł drobną ofiarę kilka pięter po schodach i tam ją pozostawił. Z kolei zaspokojenie seksualne

osiągnął wyłącznie przez masturbację.

Mając w pamięci naukę, jaką wyciągnęliśmy ze sprawy Odoma i Lawsona, doszedłem do wniosku, że wyjaśnienie może być tylko jedno. Butch Soult spotkał Betty Jane na ulicy, kiedy wracała z pracy, pokłócili się i on ją uderzył. Prawdopodobnie ją ogłuszył, następnie przeniósł ciało w ustronne miejsce. Mógłbym od biedy uwierzyć, że zadał jej śmiertelny cios, odciął włosy, okaleczył ciało i zatrzymał odcięte piersi na pamiątkę, ale między atakiem na ulicy a zgonem kobieta została zgwałcona, a w mojej ocenie zdeorganizowany, seksualnie zakompleksiony, zdominowany przez matkę młody mężczyzna pokroju Soult'a po prostu nie był do tego zdolny. Nie wierzyłem ponadto, że sam przeniósł ciało Shade na wysypisko.

Logiczny wniosek był jeden: drugim sprawcą był brat Butcha Mike. Wychowywał się w tych samych warunkach i wykonywał tę samą pracę. Miał za sobą pobyt w zakładzie dla umysłowo chorych, a także szereg przypadków brutalnego, niestosownego zachowania i napadów wściekłości. Mike miał co prawda żonę, ale matka wywierała przemożny wpływ również na jego życie. Tego samego wieczoru, kiedy zaginęła Betty Jane Shade, żona Mike'a rodziła w szpitalu. Cięża mocno stresowała Mike'a, a do tego pozbawiła go możliwości zaspokajania popędu seksualnego. Wydawało się logiczne, że spanikowany Butch zadzwonił do brata, który następnie zgwałcił dziewczynę na jego oczach, a po morderstwie pomógł pozbyć się ciała.

Przestrzegłem policjantów przed próbami bezpośrednich i otwartych kontaktów z braćmi. Niestety, zdążyli już kilka razy przesłuchać Butcha i poddać go badaniu wykrywaczem kłamstw. Zgodnie z moimi przewidywaniami nie wykryto prób oszustwa, a jedynie nieodpowiednie reakcje emocjonalne. Doszedłem do wniosku, że należy przedstawić Mike'owi następującą propozycję: w tej chwili grozi mu jedynie kara za stosunek seksualny z Shade i pomoc w pozbyciu się ciała, ale jeśli nie pójdzie na współpracę, szybko będzie w równie wielkich tarapatkach jak jego brat.

Strategia okazała się skuteczna. Obaj bracia – oraz ich siostra Cathy Wiesinger, która nazywała siebie najlepszą przyjaciółką Betty Jane – zostali aresztowani. Mike zeznał, że Cathy również uczestniczyła w pozbywaniu się ciała.

Co się zatem wydarzyło? Podejrzewam, że Butch od dłuższego czasu próbował bezskutecznie namówić do zbliżenia atrakcyjną i doświadczoną seksualnie kobietę. W końcu narosła w nim tak wielka uraza, że byle drobiazg wystarczył, aby eksplodował. Zaatakował Shade, po czym natychmiast wpadł w panikę i zadzwonił do brata. Jego gniew wzmógł się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył, że w przeciwieństwie do niego Mike zdołał odbyć z Betty stosunek. Gniew go nie opuszczał i cztery dni później okaleczył ciało. Dzięki temu „miał ostatnie słowo”.

Jedną z odciętych piersi ofiary udało się odzyskać. Mike twierdził, że drugą zabrał Butch, co mnie wcale nie zaskoczyło. Nigdy jej nie znaleziono.

Charles „Butch” Soult został uznany za winnego morderstwa pierwszego stopnia, a Mike na mocy ugody trafił do zakładu dla umysłowo chorych. Komisarz Reeder stwierdził w wygłoszonym publicznie oświadczeniu, że nasza jednostka odegrała kluczową rolę w skierowaniu śledztwa na właściwe tory i wydobyciu potrzebnych zeznań od sprawców. My cieszyliśmy się z nawiązania znajomości z kimś, kto zna metody naszej pracy i rozumie mechanizmy współpracy między policją a Quantico.

Dzięki dobrej współpracy wyeliminowaliśmy mordercę i jego współnika, zanim zabili ponownie. Komendant Reeder i jego ludzie mogli powrócić do szarej codzienności i zająć się pilnowaniem porządku publicznego w okręgu Logan w Pensylwanii. Ja zająłem się z powrotem stu pięćdziesięcioma sprawami, bogatszy o kolejne doświadczenie, które – miałem nadzieję – w przyszłości choćby raz ułatwi mi wejście w skórę sprawcy i ofiary.

ROZDZIAŁ 10

Każdy ma swój zakrwawiony kamień

Pewnego wieczoru, zaraz po moim powrocie z nieudanej przygody uniwersyteckiej w Montanie, poszliśmy z rodzicami na obiad do restauracji Coldstream w Uniondale na Long Island. Miałem właśnie odgryźć kolejny kęs kawałka pizzy ze „wszystkimi dodatkami i dodatkowym serem”, kiedy moja matka ni z gruszki, ni z pietruszki zwróciła się do mnie z pytaniem:

– John, uprawiałeś kiedyś seks z kobietą?

Przełknąłem nerwowo. W połowie lat sześćdziesiątych matki nie zadawały takich pytań dziewiętnastoletnim czy dwudziestoletnim synom. Zerknąłem na ojca, szukając pomocy, ale on siedział z nieruchomą twarzą. Wyglądał na równie zaskoczonego.

– No więc? – nie ustępowała. Nie przez przypadek jej panieńskie nazwisko brzmiało Holmes.

– Ehm... tak, mamo.

Przez jej twarz przebiegł grymas odrazy.

– Tak? A co to za jedna?

– E... No... – wyjąkałem. Z jakiegoś powodu straciłem apetyt. – W sumie było ich kilka.

Nie dodałem, że jedna z nich miała szesnaście lat i mieszkała w przytulisku dla niezameężnych matek w Bozeman. Matka miała taką minę, jakbym właśnie

poinformował ją, że ukryłem u niej w piwnicy kilka poćwiartowanych ciał.

– No to która cię teraz zechce za męża? – załamała ręce.

Ponownie zerknąłem w stronę nietypowo milczącego ojca. „Tato, powiedz coś, pomóż mi!”, błagałem w myślach.

– To chyba nie tak, Dolores. W dzisiejszych czasach nie ma to większego znaczenia.

– To zawsze miało znaczenie, Jack – skarciła go, po czym ponownie zwróciła się do mnie. – No a co zrobisz, John, kiedy twoja przyszła narzeczona zapyta cię, czy miałeś w przeszłości intymne relacje z inną kobietą?

Zamarłem z kolejnym kawałkiem pizzy w ustach.

– No cóż, mam, po prostu powiem jej prawdę.

– Kiepski pomysł – wtrącił słabym głosem ojciec.

– Co przez to rozumiesz, Jack? – zainteresowała się natychmiast matka.

„Ciekawe, jak się z tego wykaraskasz, tato”.

Przesłuchanie skończyło się niezręcznym milczeniem. Nie sędzę, abym wyciągnął jakąkolwiek lekcję z tej rozmowy. Być może opowiedziałem Pam o mojej przeszłości albo sama się wszystkiego domyśliła. Mimo obaw matki zgodziła się za mnie wyjść. Prawdziwy sens przesłuchania, któremu tamtego wieczoru poddała mnie matka, zrozumiałem dopiero po latach, kiedy spojrzałem na nie z perspektywy agenta FBI, profilerów i specjalisty od zachowań i psychologii przestępców. Wniosek, do jakiego doszedłem, brzmiał: nawet z obecną wiedzą i doświadczeniem nie wypadłbym podczas tego przesłuchania choćby odrobinę lepiej!

Dlaczego? Ponieważ matka trafiła w mój czuły punkt.

Podam inny przykład. Odkąd zostałem głównym profilerem FBI, osobiście wyselekcjonowałem i wyszkoliłem wszystkich pozostałych profilerów. Pozwoliło mi to utrzymać bliskie, obustronnie stymulujące relacje z mężczyznami i kobietami wchodzącymi w skład mojego zespołu. Większość z nich zrobiła później karierę w innych miejscach, ale jeśli miałbym wskazać na

tego jednego, prawdziwego ucznia, musiały to być Greg Cooper. Tuż po ukończeniu trzydziestu lat Greg rzucił prestiżowe stanowisko komendanta policji w jednym z miast stanu Utah i wstąpił do FBI zainspirowany wykładem Kena Lanninga i Billa Hagmaiera. Był wyróżniającym się funkcjonariuszem w biurze terenowym w Seattle, ale od początku marzył o przyjeździe do Quantico i pracy w Jednostce Nauk Behawioralnych. Poprosił o przesłanie dokumentacji związanej z tworzeniem profilu psychologicznego i analizą sprawy Mordercy znad Green River, a kiedy poleciałem do Seattle, aby wystąpić w programie telewizyjnym *Manhunt... Live!* (Obława... na żywo!), zaoferował, że zostanie moim szoferem i przewodnikiem. Kiedy objąłem kierownictwo zreorganizowanej Jednostki Nauk Behawioralnych, Greg pracował w rezydenturze FBI w kalifornijskim hrabstwie Orange i mieszkał w Laguna Niguel. Ściągnąłem go do Quantico, gdzie zaczął uzyskiwać znakomite wyniki.

Początkowo Greg dzielił podziemne, pozbawione okien biuro z Janą Monroe, była oficer policji i detektyw z wydziału zabójstw z Kalifornii, która została agentką specjalną FBI i – poza licznymi talentami – wyróżniała się urodą (jest niesamowicie atrakcyjną blondynką). Innymi słowy, Jana ma wszystko, co potrzeba, i jeszcze więcej. Niewielu mężczyzn narzekałoby na taki przydział, ale Greg jest pobożnym mormonem, uczciwym i oddanym mężem olśniewająco pięknej kobiety o imieniu Rhonda i ojcem pięciorga dzieci, którzy poświęcili się dla niego i przeprowadzili ze słonecznego kalifornijskiego rajku do sennej, gorącej i parnej Wirginii. Ilekroć Rhonda wypytywała męża o koleżankę z pokoju, Greg zaczynał się jąkać i zmieniał temat.

W końcu, sześć miesięcy po rozpoczęciu pracy w Quantico, Greg przyprowadził Rhondę na przyjęcie bożonarodzeniowe w biurze. Ja wyjechałem akurat na delegację, ale na imprezie pojawiła się tryskająca energią Jana, w tradycyjnie subtelnej, spokojnej, krótkiej, obcisłej jasnoczerwonej sukience z głębokim dekoltem.

Mój zastępca Jim Wright, który przejął po mnie stanowisko kierownika

programu profilowania, powiedział mi później, że po zakończeniu przyjęcia Rhonda i Greg ostro się posprzeczali. Rhondzie nie podobało się, że jej mąż spędza całe dnie w niewielkim pomieszczeniu z piękną, odważną i uroczą panią agent, która z równą gracją radzi sobie na strzelnicy i na parkiecie.

Kazałem sekretarce wyciągnąć Grega z zebrania i powiedzieć mu, że ma się natychmiast stawić w moim gabinecie. Wszedł do środka z nieco zaniepokojoną miną. Należał do jednostki zaledwie od sześciu miesięcy, marzył o tej pracy i naprawdę chciał się sprawdzić.

– Zamknij za sobą drzwi, Greg – powiedziałem, podnosząc wzrok znad biurka. – Siadaj.

Zajął miejsce. Ton mojego głosu jeszcze bardziej go zaniepokoił.

– Właśnie rozmawiałem z Rhondą – podjąłem. – Jak rozumiem, macie kłopoty.

– Właśnie rozmawiałeś z Rhondą... – powtórzył. Nawet na mnie nie patrzył, siedział tylko ze wzrokiem utkwionym w aparacie telefonicznym stojącym między nami na biurku.

– Słuchaj, Greg – kontynuowałem uspokajającym głosem. – Chętnie ci pomogę, ale kiedy jedziecie razem z Janą na delegację, nie mogę was kryć. Z tym będziesz musiał sobie radzić sam. Rhonda oczywiście wie, co cię łączy z Janą i...

– Nic mnie nie łączy z Janą! – wykrztusił.

– Zdaję sobie sprawę, że praca u nas bywa stresująca, pamiętaj jednak, że w domu czeka na ciebie piękna, wspaniała żona i fajne dzieciaki. Nie zaprzepaść tego.

– Jest inaczej, niż myślisz, John. Jest inaczej, niż myślisz. Proszę, uwierz mi.

Nadal wpatrywał się w telefon. Być może uznał, że jeśli odpowiednio mocno się skoncentruje, aparat stanie w płomieniach i przepali biurko na wylot. Zaczął się obficie pocić. Widziałem wyraźnie, jak pulsuje mu tętnica szyjna. Tracił nad sobą panowanie. Postanowiłem mu odpuścić.

– No i popatrz tylko na siebie, łajzo! – zawołałem z triumfalnym uśmiechem. – I ty chcesz uchodzić za eksperta od przesłuchań?

Greg pisał akurat wtedy rozdział poświęcony tej tematyce do *Crime Classification Manual* (Podręcznika klasyfikacji przestępstw).

– A masz się w ogóle czego wstydzić?

– Nie, John. Przysięgam!

– No widzisz! Urobiłem cię, jak chciałem, choć jesteś zupełnie niewinny. W przeszłości byłeś komendantem policji. Masz duże doświadczenie w prowadzeniu przesłuchań. Mimo to dałeś się zrobić. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

Krople potu spływały mu po łysiejącej głowie, a choć na jego twarzy malował się wyraz ulgi, nie potrafił znaleźć słów usprawiedliwienia. Dobrze zapamiętał tę lekcję. Ja z kolei wiedziałem dokładnie, co robię, ponieważ sam przeszedłem przez podobny magiel w przeszłości i mogłem przejść w każdej chwili, gdyby tylko zdarzyła się taka sytuacja.

Każdy ma jakąś słabość. Nieważne, czego się człowiek nauczy, jak duże zdobędzie doświadczenie, ilu podejrzanych samemu przesłucha. Może nawet znać tę technikę. Każdego można trafić w czuły punkt – trzeba tylko wiedzieć, gdzie przesłuchiwany go ma.

Nauczyłem się tej sztuczki przy okazji jednej z pierwszych spraw, jakie prowadziłem na stanowisku profiler. Później wielokrotnie ją wykorzystywałem, nie tylko na lekcjach poglądowych dla podwładnych. Rozmowa z Gregiem była moim pierwszym „zainscenizowanym” przesłuchaniem.

W grudniu 1979 roku agent specjalny Robert Leary z rezydentury w Rome w stanie Georgia skontaktował się z nami telefonicznie, przedstawił szczegóły wyjątkowo makabrycznej sprawy i poprosił, abyśmy zajęli się nią możliwie najszybciej. Tydzień wcześniej Mary Frances Stoner, ładna i towarzyska dwunastolatka z Adairsville, miejscowości leżącej niedaleko Rome, wysiadła z autobusu szkolnego na podjazd przed swoim domem, oddalonym mniej więcej

sto metrów od drogi, po czym zniknęła. Zwłoki dziewczynki znaleziono jakieś piętnaście kilometrów dalej na mało uczęszczanej leśnej drodze. Para młodych ludzi zauważyła jaskrawą żółtą kurtkę, którą narzucano ofierze na głowę. Skontaktowali się z policją i przytomnie nie naruszyli w żaden sposób miejsca zbrodni. Ustalono, że śmierć nastąpiła w wyniku uderzenia tępym narzędziem w głowę, a sekcja zwłok pozwoliła na wykrycie pęknięcia czaszki powstałego wskutek uderzenia dużym kamieniem. (Na zdjęciach z miejsca zbrodni widać zakrwawioną ranę z lewej strony głowy). Ślady na szyi wskazywały, że ktoś chwycił ofiarę od tyłu rękami i podduśił.

Zanim przejrzałem akta sprawy, chciałem dowiedzieć się możliwie najwięcej o ofierze. O Mary Frances wszyscy wyrażali się w samych superlatywach. Opisywano ją jako życzliwą, towarzyską i czarującą. Dziewczynka była mażoretką w szkolnym zespole i często chodziła do szkoły w mundurku. Ta słodka i niewinna dwunastolatka wyglądała na swój wiek, a nie na osiemnaście lat. Nie sypiała z chłopakami, nie brała narkotyków ani nie piła alkoholu. Sekcja zwłok dowiodła ponad wszelką wątpliwość, że w chwili gwałtu była dziewicą. Mieliśmy zatem do czynienia z uprowadzeniem ofiary niewielkiego ryzyka z lokalizacji niewielkiego ryzyka.

Po zapoznaniu się ze szczegółami sprawy, wysłuchaniu Leary'ego, przestudiowaniu akt sprawy i fotografii miejsca zbrodni sporządziłem następującą półstronicową notatkę:

Profil

Płeć – m

Rasa – b

Wiek – 25–29

Stan cywilny – żonaty (problemy w związku) lub rozwiedziony

Służba wojskowa – zwolniony karnie lub z powodów zdrowotnych

Zawód – pracownik fizyczny: elektryk, hydraulik

IQ – przeciętny lub ponadprzeciętny

Wykształcenie – najwyżej szkoła średnia, nieukończona

Karalność – piromania, gwałt

Osobowość – pewny siebie, śmiały, przeszedł pozytywnie badanie wariografem

Kolor samochodu – czarny lub niebieski

Przesłuchanie – bezpośrednio, projekcja.

Sprawca skorzystał z okazji i chciał tylko zgwałcić kobietę; morderstwo nie było zaplanowane ani zamierzone. Byle jak naciągnięte ubranie wskazywało, że Mary Frances została najpierw zmuszona do rozebrania się do naga, a po gwałcie pozwolono jej pośpiesznie się ubrać. Na zdjęciach widać, że jeden but jest rozwiązany, a raport wspominał o plamie krwi na majtkach. Ponieważ na jej plecach, pupie i stopach nie znaleziono śladów ziemi, musiała zostać zgwałcona w samochodzie, a nie na leśnym poszyciu.

Po uważnej analizie zdjęć, na pierwszy rzut oka przedstawiających dość typowe miejsce zbrodni, zacząłem rekonstruować w myślach przebieg zdarzeń.

Ze względu na jej młody wiek, towarzyskie usposobienie i wrodzoną ufność morderca mógł łatwo nawiązać rozmowę z Mary Frances w publicznym miejscu, jakim jest przystanek autobusu szkolnego. Zapewne zwabił ją w okolice samochodu, po czym wciągnął do środka lub zmusił, by wsiadła, grożąc nożem lub pistoletem. Duża odległość, w jakiej znaleziono ciało, sugerowała, że znał okolicę i wiedział, że nikt nie będzie mu w tym miejscu przeszkadzał.

Zdjęcia wskazywały, że zbrodnia nie została zaplanowana, a pomysł zrodził się w umyśle przestępcy zapewne dopiero wtedy, gdy mijał dziewczynkę samochodem. Podobnie jak w przypadku sprawy Odoma i Lawsona, gdyby w odpowiednim momencie pojawił się tam ktoś trzeci, sprawca by się oddalił. Jego opętany fantazjami umysł uznał urok osobisty, pogodne usposobienie dziewczynki i jej niewinną towarzyskość za rozwiązłość i próby flirtu.

W rzeczywistości, kiedy ją gwałcił, była przerażona, cierpiała, wołała o pomoc, błagała o darowanie życia. Rzeczywistość w brutalny sposób zweryfikowała fantazję, którą sprawca pielęgnował w umyśle od lat. Spotkanie z dziewczynką wymknęło się spod kontroli – mężczyzna zdał sobie sprawę, że wpakował się w straszliwe kłopoty.

W pewnym momencie zrozumiał, że musi ją zabić, inaczej nie ujdzie mu to na sucho. Ale zapanowanie nad przerażoną dziewczynką było trudniejsze, niż to sobie wyobrażał. Aby skłonić dziewczynkę do posłuszeństwa, kazał jej się szybko ubrać. Obiecywał wolność – że pozwoli jej uciec albo przywiąże ją do drzewa i sam odjedzie.

Kiedy odwróciła się do niego plecami, podszedł do niej od tyłu i zaczął ją dusić. Zapewne straciła przytomność, ale on okazał się za słaby fizycznie, by dokończyć dzieła samymi rękami. Przeciągnął ciało pod drzewo, wziął do ręki największy kamień w zasięgu wzroku i uderzył ją w głowę trzy lub cztery razy. Dziewczynka umarła.

Przeczuwałem, że sprawca nie znał dobrze Mary Frances, choć musieli widywać się w mieście na tyle często, że ona go rozpoznała, a on fantazjował na jej temat. Zapewne widział ją kiedyś, jak szła do szkoły w swoim uroczym mundurku mażoretki.

Przykrycie głowy ofiary kurtką sugerowało, że sprawcę ogarnęły wyrzuty sumienia. Wiedziałem, że policja ściga się z czasem. Jeśli inteligentny, zorganizowany człowiek dopuszcza się takiego czynu, po jakimś czasie konstruuje sobie w umyśle uzasadnienie zbrodni i trudno go wtedy nakłonić do przyznania się do winy. Gdyby poddać go badaniu wykrywaczem kłamstw, wyniki byłyby w najlepszym razie nierozstrzygające. Kiedy sprawca poczuje, że śledztwo przycichło, przeniesie się w inny region kraju – nie wyprowadzi się od razu, aby nie wzbudzać podejrzeń. W nowym miejscu zamieszkania będzie trudny do wytropienia, tymczasem jakaś inna mała dziewczynka znajdzie się w niebezpieczeństwie.

W mojej ocenie podejrzany bez wątpienia mieszkał w okolicy, a policja niemal na pewno już go przesłuchała. Na pytania odpowiadał chętnie, ale też z dużą pewnością siebie. Gdyby został oskarżony wprost, nie przyznałby się do winy. Zapewniłem policjantów, że zbrodnia tego kalibru, przeprowadzona z takim wyrafinowaniem, nie mogła być pierwszą, choć najprawdopodobniej

nigdy wcześniej nikogo nie zabił. Jeździł kilkuletnim niebieskim lub czarnym samochodem, ponieważ nie miał pieniędzy na zakup nowszego; auto będzie w pełni sprawne, zadbane i idealnie wysprzątane. Doświadczenie podpowiadało mi, że tego rodzaju zdyscyplinowani, kompulsywni ludzie zazwyczaj wybierają ciemne samochody.

– Opisał pan kropka w kropkę gościa, który był naszym podejrzanym, ale go wypuściliśmy – stwierdził jeden ze słuchających mnie przez telefon policjantów. Do profilu pasował idealnie, a dodatkowo ciążyło na nim podejrzenie w innej sprawie. Darrell Gene Devier był białym, dwudziestoczteroletnim mężczyzną, który miał za sobą dwa małżeństwa i dwa rozwody, a w tamtym czasie mieszkał z pierwszą żoną. Zajmował się przycinaniem konarów w Rome, a choć tamtejsza policja była niemal pewna, że zgwałcił inną trzynastolatkę, nie miała podstaw do wysunięcia formalnych oskarżeń. Po pierwszym rozwodzie Devier wstąpił do wojska, ale samowolnie oddalił się ze służby i po siedmiu miesiącach został wydalony. Jeździł trzyletnim fordem pinto – czarnym i zadbanym. Przyznał, że w dzieciństwie został aresztowany za posiadanie koktajlu Mołotowa. Przerwał naukę w ostatniej klasie gimnazjum, ale na testach na inteligencję uzyskiwał wyniki w przedziale od 100 do 110.

Ponieważ mniej więcej dwa tygodnie przed porwaniem Mary Frances na zlecenie zakładu energetycznego przycinał drzewa przy ulicy, na której mieszkali Stonerowie, został już przesłuchany. Policjanci powiedzieli mi, że tego dnia miał przejść badanie wykrywaczem kłamstw.

Próbowałem ich przekonać, że to kiepski pomysł. Badanie i tak nie przyniesie rozstrzygającego rezultatu, a jedynie nauczy go lepiej radzić sobie z odpowiadaniem na pytania policji. W tamtym czasie nie mieliśmy jeszcze wielu praktycznych doświadczeń w przesłuchiowaniu podejrzanych, niemniej opierałem się na wiedzy wyniesionej z wywiadów z więźniami i badań nad seryjnymi mordercami. Jak się okazało, miałem rację. Policjanci zadzwonili następnego dnia i przyznali, że badanie wykrywaczem kłamstw nie przyniosło

rozstrzygających rezultatów.

Skoro Devier nabrał przekonania, że potrafi oszukać maszynę, ostatnią szansą jest nocne przesłuchanie na posterunku, oświadczyłem. O tak późnej porze podejrzany będzie się czuł nieswojo, co zwiększy szansę, że się w którymś momencie wygada. Zobaczysz, że policjanci mają wobec niego poważne podejrzania i nie zamierzają odpuścić. Nie będzie mógł liczyć na chwilę wytchnienia podczas przerwy na lunch lub kolację, a jeśli się przyzna, nie zostanie od razu rzucony na pastwę mediów. Przesłuchanie powinni poprowadzić wspólnie przedstawiciele lokalnej policji i biura FBI z Atlanty – jednolity front uświadomi podejrzanemu, że ma przeciwko sobie cały majestat Stanów Zjednoczonych. Na stole, przy którym będzie siedział, należy rozłożyć stosy akt z jego nazwiskiem, nawet gdyby miały zawierać puste kartki.

I jeszcze najważniejsze: policjanci powinni umieścić zakrwawiony kamień na niskim stoliku ustawionym pod kątem czterdziestu pięciu stopni w stosunku do linii wzroku mężczyzny. Aby spojrzeć na kamień, będzie musiał odwrócić głowę. W trakcie przesłuchania należy uważnie obserwować język ciała podejrzanego – gesty, oddech, pocenie się, pulsowanie tętnicy szyjnej. Jeżeli faktycznie jest zabójcą, będzie zerkał na zakrwawiony kamień, mimo że policja nie wyjaśni, dlaczego kamień tam się znalazł.

Celem było wywołanie u przesłuchiwanego czegoś, co nazywam dupościskiem. Sprawę Stoner wykorzystałem jako pole doświadczalne moich teorii. Wiele technik, które udoskonalaliśmy w kolejnych latach, po raz pierwszy zastosowano właśnie wtedy.

Dobrowolnie nigdy nie przyzna się do winy, tłumaczyłem. W stanie Georgia obowiązuje kara śmierci, ale nawet gdyby trafił do więzienia, a nie na krzesło elektryczne, jako pedofil zostałby zgwałcony podczas pierwszej wizyty pod prysznicem. Współwięźniowie będą się na nim wyżywać.

W pokoju przesłuchań, tonącym w tajemniczym półmroku, nie powinno znajdować się więcej niż dwóch oficerów śledczych lub agentów, najlepiej jeden

z FBI i jeden z policji Adairsville. Niech zasugerują podejrzanemu, że rozumieją jego rozterki i ciążącą na nim presję. Choć będzie to obrzydliwe, w rozmowie powinni zrzucić winę na ofiarę. Dać do zrozumienia, że to ona go uwiodła. Zapytać, czy go sprowokowała, czy rozbudziła w nim pożądanie, czy go szantażowała. Podsunąć wersję wydarzeń pozwalającą mu wyjść z całej sytuacji z twarzą. Dać szansę wytłumaczenia się.

Dzięki doświadczeniu wyniesionemu z innych spraw, w których ofiara została zamordowana uderzeniem tępym narzędziem lub zadźgana nożem, wiedziałem, że napastnik niemal na pewno poplamił się krwią ofiary. Warto to wykorzystać. Kiedy podejrzany zacznie ściemniać, należy mu spojrzeć prosto w oczy i powiedzieć: „Wiesz, co jest najbardziej przerażające? Świadomość, że masz na sobie ślady krwi Mary”.

„Wiemy, że masz na sobie jej krew, Gene. Na dłoniach, na ubraniu. Nie interesuje nas odpowiedź na pytanie: »Czy to zrobiłeś?«, bo to jest oczywiste, ale: »Dlaczego?«. Wydaje nam się, że znamy odpowiedź również na to pytanie i rozumiemy twoje powody. Wystarczy, że potwierdzisz nasze podejrzenia”.

Przesłuchanie przebiegło dokładnie w ten sposób. Wprowadzono Deviera do pokoju przesłuchań. Od razu spojrzął na kamień – zaczął się pocić, miał ciężki oddech. Zachowaniem w niczym nie przypominał nieśmiałego, defensywnego człowieka z poprzednich przesłuchań. Funkcjonariusze zrzucili winę i odpowiedzialność na dziewczynkę, a kiedy doszli do przekonania, że strategia działa, wspomnieli o krwi. Przesłuchiwany zaczął się zachowywać jeszcze bardziej nerwowo. Nagłe zamilknięcie przesłuchiwanego może świadczyć, że faktycznie jest sprawcą. Ktoś niewinny głośno by protestował; kiedy przestępca próbuje oburzeniem przekonać śledczych do swojej niewinności, brzmi to inaczej.

Mężczyzna przyznał się do gwałtu i potwierdził, że dziewczynka mu groziła. „Policja doskonale zdaje sobie sprawę – zapewniał go Bob Leary – że nie zaplanowałeś morderstwa. Gdyby tak było, posłużyłbyś się narzędziem

skuteczniejszym od kamienia”. Mężczyzna w końcu przyznał się do morderstwa oraz do gwałtu, którego dopuścił się rok wcześniej w Rome. Darrell Gene Devier został oskarżony o zgwałcenie i zamordowanie Mary Frances Stoner. Sąd uznał go za winnego i skazał na śmierć. Stracono go na krześle elektrycznym 18 maja 1995 roku, prawie szesnaście lat po morderstwie i aresztowaniu; w więzieniu spędził niemal cztery lata dłużej, niż Mary Frances zdążyła przeżyć na ziemi.

Odkryłem, że kluczem do tego rodzaju przesłuchań jest kreatywność, korzystanie z wyobraźni. Należy zadawać sobie pytanie: „Co by mnie skłoniło do przyznania się do winy, gdybym był odpowiedzialny za tę zbrodnię?”. Każdy ma jakiś czuły punkt. W moim przypadku wystarczyłoby zapewne, aby przełożony wezwał mnie do siebie i pokazał plik rachunków z wydatkami – nie mam zupełnie głowy do spraw księgowych, więc zapewne z miejsca zacząłbym się pocić. Każdy ma jakąś słabość.

Każdy ma swój zakrwawiony kamień.

Doświadczenie zdobyte podczas sprawy Deviera znalazło zastosowanie znacznie wykraczające poza obrzydliwy świat morderców seksualnych. Czy chodzi o defraudację, korupcję urzędników publicznych, śledztwa przeciwko mafii, paserstwo lub skorumpowany związek zawodowy, mechanizm pozostaje ten sam. Z mojej praktyki wynika, że za cel należy obrać „najsłabsze ogniwo” grupy, znaleźć pretekst do rozmowy, uświadomić takiej osobie powagę sytuacji, a następnie namówić ją do współpracy w śledztwie przeciwko pozostałym.

Oto klucz do sukcesu w dochodzeniu przeciwko szajce przestępców. Wystarczy przeciągnąć jedną osobę na stronę prawa, a spisek rozpada się niczym domek z kart. Wybór odpowiedniego kandydata ma istotne znaczenie, jeśli bowiem przesłuchiwany odrzuci ofertę współpracy i ostrzeże współników, śledczy zostaną z pustymi rękami i będą musieli zaczynać wszystko od początku. Załóżmy, że prowadzimy śledztwo w sprawie korupcji w dużym mieście. Podejrzani to ośmio-, dziesięcioosobowa grupa pracująca w pewnej

instytucji państwowej. Załóżmy, że potencjalnie najlepszą „ofiara” byłby mężczyzna zajmujący najwyższe stanowisko, tymczasem po zapoznaniu się z jego aktami stwierdzamy, że – pomijając korupcyjne zachowania – wiedzie całkowicie uporządkowane życie. Nie pije, nie romansuje z kobietami, jest przykładnym mężem i ojcem, nie choruje, nie ma długów ani innych oczywistych słabości. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że w rozmowie z agentami FBI po prostu wyprze się wszystkiego, pošle ich do diabła i ostrzeże kumpli.

W takiej sytuacji, podobnie jak w walce ze zorganizowaną przestępczością, należy nakłonić do współpracy jakąś płotkę. Podczas analizy akt podejrzanych natrafiamy na osobę odpowiednią dla naszych planów. Nie wielką szychę, ale szarego urzędniczynę, przez którego ręce przechodzą wszystkie dokumenty. Pracuje w tej instytucji od dwudziestu lat i z pewnością chciałby pozostać tam do emerytury. Ma problemy finansowe i zdrowotne, które będą dobrą kartą przetargową.

Po wytypowaniu podejrzanego należy „obsadzić” rolę prowadzącego przesłuchanie. Zazwyczaj wybieram kogoś nieco starszego i obdarzonego większą charyzmą od podejrzanego. Kogoś, kto ubiera się elegancko i ma władczą osobowość, kto potrafi rozluźnić przesłuchiwanego towarzyską i otwartą postawą, ale w razie potrzeby zachowa powagę i bez ogródek rozmówi się z podejrzanym.

Jeżeli w najbliższych tygodniach ma wypaść jakieś święto, urodziny lub rocznica ślubu podejrzanego, doradzam przesunięcie rozmowy na termin bliższy tej dacie. Śledczy stawiają się wtedy w jeszcze bardziej korzystnej sytuacji, ponieważ podejrzanym może się wystraszyć, że jeśli nie pójdzie na współpracę, będą to ostatnie święta, jakie spędzi z rodziną.

Odpowiednia sceneria pomieszczenia odgrywa również istotną rolę w przesłuchaniu podejrzanego o przestępstwa finansowe, jaką odegrała w sprawie o morderstwo Stoner. W przypadku każdego dużego śledztwa

zalecam zgromadzenie całej dokumentacji w jednym miejscu, niezależnie od tego, czy ma to jakikolwiek praktyczny sens. Jeśli urządza się centrum dowodzenia „grupy specjalnej” w jakiejś sali konferencyjnej, należy umieścić w niej wszystkich agentów, pracowników pomocniczych i akta sprawy, aby zademonstrować podejrzanemu determinację organów ścigania. Siła perswazji śledczych wzrośnie niepomiaralnie po „udekorowaniu” ścian powiększeniami zdjęć wykonanych podczas obserwacji oraz innymi materiałami świadczącymi o szeroko zakrojonym, oficjalnym dochodzeniu. Kilka monitorów pokazujących nagrania podejrzanym dopełni dzieła.

Do moich ulubionych dodatków należały wielkie tabele z zestawieniem wyroków grożących poszczególnym podejrzanym. Za tymi sztuczkami nie stoi szczególnie wyrafinowane rozumowanie – chodzi o poddanie podejrzanego większej presji i uświadomienie mu powagi sprawy. Innymi słowy, o wywołanie możliwie największego dupościsku.

Jak wielokrotnie miałem okazję się przekonać, późny wieczór i wczesny ranek to najlepsze pory do prowadzenia przesłuchania. Ludzie są wtedy bardziej rozluźnieni, a przez to mniej uważni. Jeżeli ekipa dochodzeniowa pracuje nocami, daje ponadto podejrzanemu do zrozumienia, że traktuje sprawę niezwykle poważnie i za wszelką cenę stara się doprowadzić ją do końca. W śledztwach przeciwko grupie przestępczej przesłuchanie prowadzone po zapadnięciu zmroku ma również tę praktyczną zaletę, że podejrzanemu łatwiej będzie ukryć przed współnikami kontakty z władzami. Gdyby obawiał się, że zostanie przez kolegów nakryty, nie pójdzie na współpracę.

Podejrzanego można namówić do współpracy tylko za pomocą trzech czynników: prawdy, logicznych argumentów i odwołania się do zdrowego rozsądku. Opisane wcześniej sztuczki mają jedynie sprawić, że zwróci na te czynniki uwagę. Gdybym prowadził przesłuchanie pracownika sfery publicznej podejrzanego w aferze korupcyjnej, zadzwoniłbym do niego późnym wieczorem i powiedział: „Proszę pana, to niezwykle ważne, żebyśmy spotkali się jeszcze

dziś. Agenci FBI w tej chwili zmierzają do pańskiego domu”. Podkreśliłbym, że nie jest aresztowany, więc nie ma obowiązku przyjść na posterunek. Dałbym mu jednak wyraźnie do zrozumienia, że może to być ostatnia okazja do rozmowy. Na tym etapie nie ma potrzeby wygłaszania formułki o przysługujących mu prawach, ponieważ nie jest jeszcze o nic oskarżony.

Po przyjeździe do biura zostawiłbym go na jakiś czas samego. Kiedy jakaś drużyna ma wykonać strzał decydujący o zwycięstwie, przeciwnicy biorą czas, aby zmusić strzelca do rozmyślenia o czekającym go zadaniu. Każdy, kto siedział w poczekalni przed ważną wizytą u lekarza, doskonale zna skuteczność tej techniki.

Po wprowadzeniu podejrzanego do gabinetu zamknąłbym za nim drzwi i starał się na nim zrobić wrażenie serdecznego, przyjacielskiego, wyrozumiałego, równego gościa. Zwracałbym się do niego po imieniu. „Pamiętaj, że nie jesteś aresztowany”, powtarzałbym. „W każdej chwili możesz wyjść, a moi ludzie odwiozą cię do domu. Myślę jednak, że powinieneś mnie wysłuchać. To może być najważniejsza rozmowa w twoim życiu”.

Mógłbym wymusić na nim powtórzenie tych słów, aby się upewnić, że nadajemy na tych samych falach.

„Zapewniam, że jesteśmy świadomi twoich problemów zdrowotnych. Na wszelki wypadek w pokoju obok czeka pielęgniarka”. Mówiłbym prawdę. Byłby to jeden z powodów, dla których wytypowaliśmy akurat tego człowieka.

Od tego momentu zacząłbym z nim rozmawiać bez ogródek. Podkreśliłbym, że FBI ma świadomość, że jest tylko płótką i otrzymuje doleć adekwatną do wkładu pracy. Tak naprawdę to nie on jest głównym celem naszego śledztwa. „Jak łatwo się domyślasz, rozmawiamy z wieloma osobami zamieszkanymi w sprawę. Fakty są proste: wasz statek tonie. Możesz pójść na dno albo w ostatniej chwili chwycić się koła ratunkowego. Wiemy, że zostałeś wykorzystany i zmanipulowany przez znacznie bardziej wpływowych ludzi. Prokurator zgodził się pójść na korzystny dla ciebie układ”.

Na koniec dodałbym: „Musisz mieć świadomość, że oferta jest aktualna tylko teraz. Nad sprawą pracuje dwudziestu moich agentów i w każdej chwili możemy aresztować wszystkie osoby w to zamieszane. Chyba nie sądzisz, że nikt inny nie wyskoczy z pokładu? W takiej sytuacji pójdziesz na dno z pozostałymi. Oczywiście, jeśli taka jest twoja wola, możesz pójść na dno z głównymi oskarżonymi. Dziś jest ostatni moment, kiedy możemy ci złożyć korzystną ofertę. Czy zamierzasz ją przyjąć?”.

Jeżeli się zgodzi – a naprawdę jest to najlepsze, co może zrobić – informujemy go o przysługujących mu prawach i pozwalamy się skontaktować z obrońcą. Zapewne poprosiłbym go również, aby wyświadczył nam przysługę i od razu umówił się z którymś ze współników. Tak na wypadek gdyby ogarnęły go wątpliwości i chciał się wycofać. Kiedy jedna osoba pójdzie na współpracę, kolejne rozmowy są łatwiejsze.

Nawet jeśli podejrzany od początku rozumie cały mechanizm, taktyka pozostaje skuteczna, ponieważ jest korzystna zarówno dla niego, jak i dla śledczych. Opiera się na prawdzie, a także uwzględnia sytuację życiową i potrzeby emocjonalne podejrzanego. Nawet gdybym wiedział, że cała oprawa towarzysząca rozmowie ma za zadanie wyrzeć jak największe wrażenie, przyjąłbym zaproponowany mi układ, ponieważ byłoby to dla mnie najkorzystniejsze. Strategia stosowana w tego rodzaju przesłuchaniach jest identyczna jak ta, którą opracowałem na potrzeby sprawy Stoner. Zawsze należy zadać sobie pytanie: „Jaki argument by mnie przekonał?”.

Każdy ma swój zakrwawiony kamień.

Gary Trapnell odsiaduje wyrok w więzieniu stanowym w Marion w stanie Illinois za napady z bronią w ręku i porwanie samolotu. Jest to jeden z najinteligentniejszych i najprzebiegłych przestępców, z jakimi rozmawiałem. To jego miałem na myśli, wspominając wcześniej o człowieku, który przechwalał się, że potrafiłby przekonać każdego psychiatrę więziennego, że cierpi na dowolne zaburzenie psychiczne, jakie tylko potrafię wymienić.

Był również pewien, że po wyjściu z więzienia potrafiłby skutecznie wymykać się władzom.

– Za żadne skarby byście mnie nie złapali – zapewniał.

– No dobrze, Gary, powiedzmy, że wyszedłeś – powiedziałem. – Jesteś na tyle sprytny, że zerwałbyś kontakt z członkami rodziny, aby federalni nie mogli cię wytropić. Tymczasem ja wiem, że twój ojciec był zasłużonym żołnierzem, wysokiej rangi oficerem, a ty naprawdę go kochałeś i szanowałeś. Był dla ciebie wzorem. Na drogę przestępczości wszedłeś po jego śmierci.

Po jego minie widziałem, że jestem na dobrym tropie. Trafiłem w czuły punkt.

– Twój tata leży na cmentarzu w Arlington. Ciekawe, co by się stało, gdybym wysłał kilku agentów, żeby obserwowali grób w okresie Bożego Narodzenia, jego urodzin oraz rocznicy śmierci?

Trapnell wybuchnął sardonycznym śmiechem.

– Złapałby mnie pan!

Trafiłem na właściwy trop, ponieważ postawiłem się na jego miejscu i spróbowałem odgadnąć, w jaki sposób można by mnie podejść. Doświadczenie podpowiada mi, że podejść można każdego, trzeba tylko wiedzieć jak.

U mnie, podobnie jak u Trapnella, reakcję emocjonalną wywołałaby zapewne określona data.

Moja siostra Arlene miała piękną córkę o imieniu Kim. Mieliśmy taką samą datę urodzin, 18 czerwca, i zawsze czułem się z Kim szczególnie mocno związany. Kim zmarła we śnie, kiedy miała szesnaście lat. Przyczyny śmierci nigdy nie ustalono. Piękno i tragizm wspomnień związanych z Kim potęguje fakt, że moja najstarsza córka Erika – również studiująca w college'u – jest do niej z wyglądu niezwykle podobna. Jestem pewien, że kiedy Arlene widzi Erikę, zawsze dostrzega w niej swoją Kim. Moja matka ma takie same odczucia.

Gdybym podczas hipotetycznego śledztwa obrał sobie za cel samego siebie, umówiłbym się na rozmowę tuż przed moimi urodzinami. W tym okresie jestem

podeksytowany perspektywą rodzinnych obchodów, a jednocześnie myślę o siostrzenicy – wspólnej dacie urodzin, jej podobieństwie do Eriki – przez co robię się nieco markotny. Gdyby ktoś zawiesił na ścianie pokoju przesłuchań zdjęcie obu dziewczyn, rozkleiłbym się jeszcze bardziej.

Nie ma znaczenia, że znałbym strategię. Nie ma znaczenia, że sam ją wymyśliłem. Jeżeli trafi się w naprawdę czuły punkt, dotrze do rzeczywistego źródła niepokoju, istnieje spora szansa na sukces. W moim przypadku byłaby to data urodzin i związane z nią okoliczności, o których wspomniałem. W waszym – coś innego. Do nas należałoby znalezienie tego czułego punktu. Na pewno byłoby to możliwe.

Ponieważ każdy ma swój zakrwawiony kamień.

ROZDZIAŁ 11

Atlanta

Zimą 1981 roku Atlanta zamieniła się w oblężone miasto.

Wszystko zaczęło się półtora roku wcześniej od serii pozornie odrębnych zdarzeń. Pod koniec – jeżeli to w ogóle możliwe, aby ta sprawa kiedykolwiek się zakończyła – mieliśmy do czynienia z jedną z największych i zapewne najgłośniejszych obław w historii Stanów Zjednoczonych. Obława wzbudzała emocje polityczne w mieście i dzieliła amerykańskie społeczeństwo. Każde posunięcie śledczych prowokowało zażartą dyskusję.

28 lipca 1979 roku policja otrzymała zawiadomienie o obrzydliwym smrodzie dochodzącym z lasu przy Niskey Lake Road. Na miejscu znaleziono zwłoki trzynastoletniego Alfreda Evansa, który zaginął trzy dni wcześniej. Pięć metrów dalej policja natknęła się na inne ciało – w stanie częściowego rozkładu. Były to szczątki czternastoletniego Edwarda Smitha, który zaginął cztery dni wcześniej niż Alfred. Obaj chłopcy byli czarni. Lekarz sądowy ustalił, że Alfred Evans został prawdopodobnie uduszony, a Edward Smith zginął z całą pewnością od kuli wystrzelonej z broni kalibru .22.

8 listopada w opuszczonym budynku szkoły znaleziono ciało dziewięcioletniego Yusefa Bella. Chłopiec zaginął pod koniec października i również został uduszony. Osiem dni później blisko Redwine Road i Desert Drive w miejscowości East Point pod Atlantą znaleziono zwłoki czternastoletniego Milтона Harveya. Rodzice zgłosili zaginięcie na

początku września. Podobnie jak w przypadku Alfreda Evansa, nie udało się jednoznacznie ustalić przyczyny śmierci. Również ci chłopcy byli czarni, ale inne okoliczności nie sugerowały, aby kolor skóry miał szczególne znaczenie. W mieście wielkości Atlanty co chwilę znika jakieś dziecko. Część z nich niestety zostaje znaleziona martwa.

Rankiem 5 marca 1980 roku dwunastoletnia dziewczynka Angel Lanier wyszła z domu do szkoły. Pięć dni później na poboczu drogi odkryto jej obwiązane kablem zwłoki. Była ubrana, miała na sobie nawet bieliznę, ale w usta wciśnięto jej parę cudzych majtek. Jak ustalono, została uduszona kablem. Lekarz sądowy nie znalazł śladów molestowania.

Jedenastoletni Jeffrey Mathis zaginął 12 marca. W owym czasie policja nie wiązała ze sobą spraw sześciorga czarnych dzieci, które zaginęły albo zostały znalezione martwe. Różnic było tak wiele, że nie rozważała hipotezy o jednym sprawcy.

Związek dostrzegali inni. 15 kwietnia matka Yusefa Bella, Camille, skontaktowała się z rodzicami pozostałych zaginionych lub zamordowanych czarnych dzieci i ogłosiła utworzenie Komitetu przeciwko Mordowaniu Dzieci. Komitet zaapelował do władz o podjęcie działań w sprawie seryjnego mordercy, który zdaniem rodziców działał w okolicy. Coś takiego nie powinno się zdarzyć w Atlancie, kosmopolitycznej stolicy Nowego Południa. Miasto przeżywało rozwój i było „zbyt zabiegane, aby nienawidzić”. Na fali przemian obyczajowych Maynard Jackson został pierwszym czarnym burmistrzem Atlanty, a Afroamerykanin Lee Brown szefem wydziału bezpieczeństwa publicznego.

Zbrodnie nie ustawały. 19 maja w odległości czterystu metrów od domu znaleziono zwłoki czternastoletniego Erica Middlebrooka. Zginął od ciosu tępym narzędziem w głowę. 9 czerwca zniknął dwunastoletni Christopher Richardson. W niedzielę 22 czerwca ośmioletnią LaTonyę Wilson, drugą dziewczynkę wśród dotychczasowych ofiar, porwano wczesnym rankiem z jej

własnej sypialni. Dwa dni później pod mostem w hrabstwie DeKalb natrafiono na zwłoki dziesięcioletniego Aarona Wyche'ego. Został uduszony i dodatkowo skręcono mu kark. Anthony „Tony” Carter, dziewięciolatek, leżał w trawie za magazynem przy Wells Street, kiedy ktoś go zauważył 6 lipca. Zginął od kilku ciosów nożem. Brak krwi na miejscu zbrodni dowodził, że morderstwo popełniono gdzie indziej.

Policja musiała w końcu przyznać, że sprawy są powiązane. Szef wydziału bezpieczeństwa Lee Brown powołał Oddział Specjalny do spraw Zaginięć i Morderstw, który w późniejszym czasie liczył ponad pięćdziesiąt osób. Tymczasem morderstwa nie ustawały. Zaginięcie dziesięcioletniego Earla Terrella zgłoszono 31 lipca; mieszkał na Redwine Road, nieopodal miejsca, gdzie znaleziono Milтона Harveya. Kiedy w zaułku przy Hollywood Road odkryto zwłoki uduszonego dwunastoletniego Clifforda Jonesa, policja oświadczyła w oficjalnym komunikacie, że od tej pory śledztwo będzie się opierało na hipotezie o związku między morderstwami czarnych dzieci.

FBI nie miało podstaw do zaangażowania się w sprawę, gdy zbrodnie uznawano oficjalnie za serię lokalnych przestępstw. Sytuacja uległa zmianie po zaginięciu Earla Terrella. Członkowie jego rodziny odebrali kilka telefonów od niezidentyfikowanego mężczyzny, który żądał okupu w zamian za życie chłopca. Z jego wypowiedzi wynikało, że Earl został przewieziony do Alabamy, a ponieważ oznaczało to przekroczenie granic stanowych, porwanie uzyskało status sprawy federalnej. FBI mogło wkroczyć do akcji. Niemal od razu ustalono, że telefony z żądaniami okupu były fałszerstwem. Spadły szanse na odnalezienie Earla żywego, a FBI musiało się wycofać.

Zaginięcie kolejnego chłopca, jedenastoletniego Darrona Glassa, zgłoszono 16 września. Burmistrz Maynard Jackson poprosił Biały Dom o zgodę na zaangażowanie FBI w szeroko zakrojone śledztwo. Choć sprawa jurysdykcji nadal pozostawała problemem, prokurator generalny Griffin Bell nakazał FBI wszczęcie postępowania sprawdzającego, czy zaginięcia dzieci, których nie

zdołano odnaleźć, można zakwalifikować jako porwania o statusie federalnym. Aby tak się stało, przestępstwa musiały mieć charakter międzystanowy. Biuro w Atlancie otrzymało zadanie znalezienia ewentualnego związku między sprawami. Innymi słowy, FBI otrzymało zwięzły rozkaz: znajdźcie mordercę tak szybko, jak to tylko możliwe.

Atmosferę podgrzewały, rzecz jasna, media. Publikowane w gazetach galerie coraz liczniejszych czarnych twarzy miały wydźwięk oskarżenia pod adresem władz Atlanty. Czyżby ktoś obrał sobie za cel czarną ludność miasta, jego najsłabszych mieszkańców? Czy Ku-Klux-Klan, partia nazistowska albo jakaś inna organizacja wyznająca nienawiść rasową postanowiła przypomnieć o swoim istnieniu półtorej dekady po uchwaleniu rewolucyjnych przepisów antydyskryminacyjnych? A może Atlantę sterroryzował jakiś wariat żądny krwi dzieci? To ostatnie wydawało się najbardziej prawdopodobne. Kolejne morderstwa następowały w niesłychanie krótkich odstępach czasu. W tamtych latach przytłaczająca większość seryjnych morderców miała biały kolor skóry, ale nigdy morderca nie zabijał nikogo należącego do innej rasy. Seryjny morderca działał z pobudek osobistych, nie politycznych.

FBI mogło w inny sposób uzasadnić swój udział w sprawie. Gdyby hipoteza o międzystanowym charakterze porwań okazała się fałszywa, naszym zadaniem byłoby ustalenie, czy morderstwa nie podpadają pod paragraf 44 mówiący o naruszeniu federalnych praw obywatelskich.

Do Atlanty przyjechałem w towarzystwie Roya Hazelwooda, kiedy liczba zaginionych i zamordowanych dzieci wynosiła szesnaście. Policja nadal nie potrafiła rozwikłać sprawy. FBI zdążyło już nadać śledztwu oficjalny kryptonim – ATKID; inaczej: Sprawa Priorytetowa numer 30. Nasz przyjazd do miasta pozostał w zasadzie niezauważony. Policja z Atlanty chciała nadal grać pierwsze skrzypce w dochodzeniu, z kolei biuro terenowe FBI wołało niepotrzebnie nie rozbudzać nadziei.

Wyznaczenie Roya Hazelwooda na mojego partnera było logicznym

wyborem. Ze wszystkich instruktorów Jednostki Nauk Behawioralnych Roy miał największe doświadczenie w profilowaniu, w ramach Narodowej Akademii prowadził kurs poświęcony przemocy interpersonalnej i często przejmował ode mnie sprawy związane z gwałtem. W Atlancie postawiliśmy sobie za cel ustalenie, czy morderstwa faktycznie są powiązane, a jeśli tak, to czy stoi za nimi jakaś grupa.

Zapoznaliśmy się z aktami wszystkich spraw – fotografiami z miejsc zbrodni, raportami, opisami ubrań noszonych przez dzieci w chwili śmierci, zeznaniami świadków, wynikami sekcji zwłok. Przeprowadziliśmy dodatkowe wywiady z rodzinami, aby sprawdzić, czy ofiary coś łączyło. Policjanci obwieźli nas po dzielnicach, w których doszło do zaginięć, i pokazali wszystkie miejsca, w których znaleziono zwłoki.

Nie dzieląc się wcześniej żadnymi spostrzeżeniami, poddaliśmy się z Royem testom psychometrycznym, wcielając się w osobę mordercy. Test zawierał pytania dotyczące motywacji, pochodzenia i życia rodzinnego – informacje zawarte w standardowym profilu psychologicznym. Lekarz sądowy, pod okiem którego wypełnialiśmy testy, nie mógł się nadziwić, że nasze odpowiedzi są niemal identyczne.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że nasze wnioski nie przypadną do gustu opinii publicznej.

Po pierwsze, naszym zdaniem nie mieliśmy do czynienia ze zbrodnią nienawiści dokonaną przez organizację taką jak Ku-Klux-Klan. Po drugie, byliśmy niemal całkowicie pewni, że sprawca był czarny. Po trzecie, zgadzaliśmy się, że wiele morderstw i zaginięć jest ze sobą powiązanych, ale nie wszystkie.

Do biura FBI w stanie Georgia dotarło wiele pogłosek o współdziale Ku-Klux-Klanu w zbrodniach, ale uznaliśmy je wszystkie za nieprawdziwe. Kto przeanalizuje przestępstwa nienawiści, cofając się do początku istnienia Stanów Zjednoczonych, dojdzie do wniosku, że czyny te mają najczęściej wyraźnie

publiczny i symboliczny charakter. Lincz jest w swej istocie proklamacją jakiegoś stanowiska, publicznym pokazem. Zbrodnia na tle rasowym to akt terroru, a jako taki musi zostać popełniony na widoku publicznym. Członkowie Ku-Klux-Klanu noszą charakterystyczne białe szaty, aby się wyróżnić. Jeżeli jakaś grupa wyznająca filozofię nienawiści obrałaby sobie za cel czarne dzieci mieszkające w aglomeracji Atlanty, z całą pewnością przez tych kilka miesięcy zdążyłaby wystąpić z jakąś proklamacją. Zwłoki znajdowano by w najbardziej uczęszczanych rejonach miasta, a komunikat byłby wyjątkowo czytelny. W Atlancie nie natrafiliśmy na żadne oznaki takiej postawy.

Ciała porzucono w dzielnicach zamieszkanych głównie lub wyłącznie przez czarną ludność. Niepodobna, aby biały morderca, a zwłaszcza grupa białych morderców, mógł niepostrzeżenie tam grasować. Policja przesłuchała wielu potencjalnych świadków, ale nikt nie pamiętał, aby przy którymkolwiek dziecku czy w pobliżu miejsc, gdzie znajdowano ciała, kręcił się jakiś biały człowiek. Życie toczyło się tam przez całą dobę, więc obecność białego nie przeszłaby niezauważona. Rozumowanie to było zgodne z naszymi wcześniejszymi doświadczeniami mówiącymi, że mordercy seksualni zazwyczaj atakują osoby tej samej rasy. Chociaż nie stwierdzono wyraźnych śladów molestowania, zbrodnie miały seksualny podtekst.

Wiele ofiar łączyło silne podobieństwo. Były to małe, kontaktowe, wychowane na ulicy dzieci, które niewiele wiedziały o świecie rozciągającym się poza ich dzielnicą lub miały na jego temat naiwne wyobrażenia. Naszym zdaniem odpowiednia osoba potrafiłaby omamić albo oszukać tego rodzaju dziecko i nakłonić je do pójścia ze sobą. Człowiek ów musiał dysponować samochodem, ponieważ przewoził dzieci w inne miejsca. Przeczuwaliśmy, że będzie roztaczał wokół siebie aurę powagi i autorytetu. Wiele ofiar żyło w biedzie. W niektórych domach brakowało elektryczności i bieżącej wody.

Biorąc pod uwagę ubóstwo i względny brak doświadczenia życiowego dzieci, morderca nie miał zapewne większych problemów ze zwabieniem ich

w pułapkę. Aby przetestować tę hipotezę, wysłaliśmy oficerów lokalnej policji, przebranych głównie za robotników, aby oferowali dzieciom pięć dolarów w zamian za pomoc w wykonaniu jakiegoś zadania. Niezależnie od koloru skóry policjanta dzieciaki z biednych dzielnic za pięć dolarów były gotowe zrobić wszystko. Funkcjonariusze nie musieli nawet wykazywać się szczególną przebiegłością. Stwierdzono przy okazji, że uwagę mieszkańców „testowanych” dzielnic zwróciło pojawienie się w okolicy białego mężczyzny.

Niektóre morderstwa miały wiele cech wspólnych, ale inne nie pasowały do schematu. Po starannej analizie cech ofiar i okoliczności zewnętrznych doszedłem do wniosku, że dwie dziewczynki nie zginęły z ręki głównego sprawcy, a może nawet każda padła ofiarą innego mordercy. Uprowadzenie LaTonyi Wilson z jej sypialni wymagało znacznie większego wyrafinowania niż w przypadku pozostałych porwań. Uważałem, że powiązana była większość „delikatnych morderstw” chłopców, których uduszono, ale niekoniecznie te sprawy, w których nie ustalono przyczyny śmierci. Istniały również poszlaki skłaniające nas do przekonania, że nie mamy do czynienia z jednym mordercą. W kilku przypadkach znaleźliśmy silne dowody świadczące o tym, że sprawca należy do rodziny ofiary. Kiedy dyrektor FBI William Webster upublicznił tę informację, znalazł się natychmiast pod ostrzałem prasy. Pomijając oczywisty polityczny wydźwięk takiego stwierdzenia, każda rodzina, której sprawa zostałaby wyłączona z dochodzenia prowadzonego przez Oddział Specjalny ds. Zaginięć i Morderstw, straciłaby prawo do zapomóg wypłacanych z funduszy napływających od organizacji i ludzi z całych Stanów Zjednoczonych.

Mimo to sądziliśmy, że jeden ze sprawców, seryjny morderca, będzie zabijał nadal, dopóki nie zostanie schwytany. Razem z Royem stworzyliśmy profil podejrzanego. Naszym zdaniem był to czarny nieżonaty mężczyzna w wieku dwudziestu pięciu–dwudziestu dziewięciu lat, mający obsesję na punkcie policji i jeżdżący samochodem przypominającym radiowóz. Uznaliśmy, że prędzej czy później podejmie próbę wkręcenia się w śledztwo. Że ma owczarka

niemieckiego lub dobermana, tych ras były bowiem psy policyjne. Że nie ma dziewczyny, odczuwa za to pociąg seksualny do małych chłopców. Doszliśmy do takiego wniosku, mimo że ciało żadnej z ofiar nie nosiło śladów gwałtu lub molestowania, co w mojej ocenie świadczyło o niedojrzałości seksualnej sprawcy. Dzieci musiał zwabiać podstępem – obstawiałem jakiś motyw związany z muzyką lub innym rodzajem sztuki. Potrafił skutecznie nawiązać kontakt z dzieckiem, ale później szło mu gorzej. Dziecko po jakimś czasie go odrzucało (a przynajmniej on w ten sposób odbierał jego reakcję), co popychało go do zabójstwa.

Policja sprawdziła wszystkich znanych pedofilów oraz „byłych” przestępców seksualnych. W ten sposób powstała lista około tysiąca pięciuset potencjalnych sprawców. Policjanci i agenci FBI odwiedzili szkoły, aby zapytać dzieci, czy nie zaczepiał ich jakiś mężczyzna, o którym nie powiedzieli później rodzicom ani policji. Wsiadali do autobusów, rozdawali pasażerom ulotki ze zdjęciami zaginionych dzieci z nadzieją, że ktoś je widział, zwłaszcza w towarzystwie dorosłego mężczyzny. Przebrani w cywilne ubrania, przesiadywali w barach dla gejów, przysłuchując się rozmowom i licząc, że może tam podchwycą jakiś trop.

Nie wszystkim spodobał się nasz profil. Nie wszystkim cieszyła nasza obecność w mieście. W opuszczonej kamienicy, gdzie znaleziono zwłoki jednej z ofiar, podszedł do mnie czarny gliniarz.

– To ty jesteś Douglas? – zapytał.

– Zgadza się.

– Czytałem twój profil. To jakiś pieprzony stek bzdur.

Nie byłem pewien, czy naprawdę chciał ocenić moją pracę, czy też przywołał często powtarzaną w gazetach opinię, że nie ma czarnych seryjnych morderców. Co nie było do końca prawdą. Spotkaliśmy się wcześniej z przypadkami czarnych seryjnych morderców zabijających prostytutki albo członków własnych rodzin, choć rzeczywiście nie znaleźliśmy żadnego, który

zabijałby obcych ludzi, a zwłaszcza takiego, którego *modus operandi* pasowałby do morderstw z Atlanty.

– Słuchaj, naprawdę nie mam obowiązku siedzieć w Atlancie – powiedziałem. – Nikogo nie prosiłem, żeby mnie tu przysłano.

Tak czy inaczej, poziom frustracji był wysoki. Wszystkie osoby zaangażowane w sprawę chciały ją rozwiązać – tyle że bez pomocy obcych. Zdawaliśmy sobie z Royem sprawę, że wysłano nas w teren, abyśmy ściągnęli na siebie część gromów i ewentualnie winę, gdyby sprawy przybrały naprawdę zły obrót.

Pomijając teorię, że za wszystkim stoi organizacja typu Ku-Klux-Klanu, po mieście krążyło wiele innych, często zupełnie niedorzecznych pogłosek. U niektórych ofiar stwierdzono brak jakiejś części ubrania, tyle że w każdym przypadku innej. Czyżby morderca ubierał w domu manekina – na podobnej zasadzie jak Ed Gein kolekcjonował kawałki skóry kobiet? Czy fakt, iż kilka ostatnich ofiar znaleziono w miejscach o bardziej publicznym charakterze, świadczył o zmianach w psychice sprawcy? A może człowiek ten popełnił samobójstwo, a jego miejsce zajął naśladowca?

Z mojego punktu widzenia do pierwszego realnego przełomu doszło wcześniej, kiedy przebywałem jeszcze w Quantico. Chodziło o telefon, jaki odebrano na posterunku policji w Conyers, małej miejscowości położonej mniej więcej trzydzieści dwa kilometry od Atlanty. Tamtejsi policjanci uznali, że wpadli wreszcie na trop sprawcy. Odsłuchałem nagrania w biurze Larry’ego Monroego w obecności doktora Parka Dietza. Monroe był przed objęciem funkcji szefa Jednostki Nauk Behawioralnych jednym z wyróżniających się instruktorów w Quantico, z kolei Dietz, podobnie jak Ann Burgess, został sprowadzony do jednostki przez Roya Hazelwooda. Pracował na Harvardzie, tam zaczął wyrabiać sobie markę w środowisku stróżów prawa. Później przeniósł się do Kalifornii, zyskał opinię prawdopodobnie najlepszego psychiatry sądowego w kraju i był częstym konsultantem naszej jednostki.

Dzwoniący oświadczył, że to on zamordował dzieci; wymienił imię najnowszej ze znanych ofiar. Był bez wątpienia biały i brzmiał jak typowy burak z prowincji. Zapowiedział, że „zabije więcej tych czarnuszków”. Opisał miejsce przy Sigmon Road w hrabstwie Rockdale, gdzie rzekomo znajdowało się ciało kolejnej ofiary.

Pamiętam podniecenie, jakie zapanowało w pokoju. Niestety musiałem popsuć wszystkim humor.

– To nie jest morderca – oświadczyłem – ale trzeba go złapać, ponieważ będzie dalej wydzwaniać i zawracać policji dupę.

Niezależnie od entuzjazmu policjantów byłem pewien, że to ja dobrze oceniłem tego palanta. Niewiele wcześniej zetknąłem się z podobnym przypadkiem. Pojechałem z Bobem Resslerem do Anglii, aby poprowadzić kurs na Bramshill, brytyjskiej akademii policyjnej (tamtejszym odpowiedniku Quantico) położonej godzinę jazdy od Londynu. W owym czasie w Anglii szalał Rzeźnik z Yorkshire – naśladowca Kuby Rozpruwacza zabijający pałką i nożem kobiety, głównie prostytutki. Liczba ofiar wynosiła wtedy osiem; trzy zaatakowane kobiety zdołały uciec, ale nie potrafiły opisać sprawcy. Z ich zeznań wynikało, że może mieć od dwunastu do sześćdziesięciu lat. Cała Anglia była spętana strachem. Nigdy wcześniej nie zarządzono równie szeroko zakrojonych poszukiwań. Policjanci przesłuchali w sumie ćwierć miliona potencjalnych świadków na terenie całego kraju.

Na komisariaty i do gazet zaczęły przychodzić listy podpisane przez „Kubę Rozpruwacza”, który przyznawał się do zbrodni. Po jakimś czasie do głównego inspektora policji Yorkshire George’a Oldfielda przysłano kasetę magnetofonową zawierającą drwiny z policji i zapowiedź kolejnych zbrodni. Podobnie jak w Atlancie, liczono na przełom w śledztwie. Kasetę skopiowano i odtwarzano na terenie całego kraju – w telewizji i radiu, przez bezpłatne linie telefoniczne i systemy nagłaśniające na stadionach piłkarskich – z nadzieją, że ktoś rozpozna głos.

Powiedziano nam, że w Bramshill przebywa John Domaille, ważna postać brytyjskiej policji i śledczy prowadzący sprawę Rzeźnika z Yorkshire. On z kolei dowiedział się, że ze Stanów przyjechało dwóch profilerów FBI. Może warto się z nimi skontaktować? Pewnego dnia po zajęciach siedzieliśmy z Bobem w pubie na terenie akademii. Do lokalu wszedł Domaille i zaczął rozmawiać ze znajomym, którego spotkał w środku. Z jego gestów odczytaliśmy, że nabija się z chłoptasiów z USA.

– To musi być on – wyszeptalem na ucho Resslerowi.

I rzeczywiście, ktoś wskazał w naszą stronę, a Domaille razem z kilkoma innymi mężczyznami podszedł do naszego stolika i się przedstawił.

– Widzę, że nie przyniósł pan akt sprawy – zauważyłem.

Zaczął się usprawiedliwiać, że sprawa jest skomplikowana, że trudno byłoby nam w tak krótkim czasie się z nią zapoznać itp.

– Nie ma problemu – odpowiedziałem. – Mamy na głowie mnóstwo swoich spraw, zresztą wolimy posiedzieć sobie przy piwie.

Brytyjczyków najwyraźniej zaintrygowało tak luzackie podejście do sprawy. Jeden z nich zapytał, jakich informacji potrzebowalibyśmy do stworzenia profilu mordercy. Odpowiedziałem, że na początek chciałbym poznać opisy miejsc zbrodni. Brytyjczyk wyjaśnił, że sprawca prawdopodobnie zmusza kobiety do odwrócenia się tyłem lub bokiem, po czym z zaskoczenia zadaje im cios nożem lub młotkiem. Po śmierci okalecza ciała. Tymczasem ja wiedziałem, że głos na taśmie należy do człowieka zbyt elokwentnego i wyrafinowanego jak na mordercę prostytutek.

– Z twojego opisu oraz z nagrania, które słyszałem jeszcze w Stanach – powiedziałem – wynika, że człowiek na taśmie nie jest mordercą. Traciecie tylko czas.

Wyjaśniłem, że sprawca takich morderstw nie skontaktowałby się z policją. Będzie to najprawdopodobniej żyjący na uboczu samotnik w wieku dwudziestu pięciu–trzydziestu pięciu lat, pałający patologiczną nienawiścią do kobiet. Nie

ukończył szkoły i może pracować jako kierowca ciężarówki, ponieważ najwyraźniej często podróżuje z miejsca na miejsce. Prostytutki mordował, aby ukarać cały rodzaj kobiecy.

– Tego się właśnie obawiałem – stwierdził Domaille.

Mimo ogromnej ilości czasu i środków przeznaczonych na upublicznienie nagrania postanowił zmienić kierunek śledztwa. 2 stycznia 1981 roku przypadkowo aresztowano trzydziestopięcioletniego kierowcę ciężarówki Petera Sutcliffe'a – w tym czasie koszmar Atlanty wciąż trwał – który okazał się Rzeźnikiem z Yorkshire. Mężczyzna w niewielkim stopniu przypominał autora nagrania. Oszustem okazał się emerytowany policjant chowający urazę do inspektora Oldfielda.

Po przesłuchaniu nagrania z Georgii skontaktowałem się z policjantami w Conyers i Atlancie, aby przedstawić plan pozwalający na złapanie oszusta. Podobnie jak osoba podszywająca się pod Rzeźnika z Yorkshire, mężczyzna z Atlanty miał drwiący i wyniosły ton głosu.

– Odnoszę wrażenie, że gość uważa was za bandę skończonych buców – wyjaśniłem. – Wykorzystajmy to.

Poradziłem, aby zgodnie z jego wyobrażeniami udawali głupich. Powinni pojechać na Sigmon Road i przeszukać pobocze naprzeciwko wskazanego miejsca. Oszust prawdopodobnie będzie obserwował ich poczynania. Nawet jeśli nie złapią go od razu, na pewno zadzwoni, aby ich zwymyślać od idiotów. Pomysł ogromnie przypadł do gustu Parkowi Dietzowi, który lubił łączenie improwizowanych działań z wiedzą akademicką.

Policja ostentacyjnie przeszukała teren, oczywiście w niewłaściwym miejscu. Zgodnie z oczekiwaniami gość zadzwonił i zwymyślał ich od baranów, ale oni tylko na to czekali i namierzili starszego faceta, który zatelefonował od siebie z domu. Na wszelki wypadek przeszukano wskazany przez niego odcinek pobocza Sigmon Road, ale oczywiście nie znaleziono tam żadnego ciała.

Telefon oszusta z Conyers nie był jedynym ślepym zaułkiem. W dużych

śledztwach występuje ich zazwyczaj sporo i Atlanta nie była tu wyjątkiem. Nieopodal drogi przebiegającej przez las, w którym znaleziono szkielet pierwszej ofiary, policjanci odkryli pisemko pornograficzne ze śladami spermy na niektórych stronach. Laboratorium FBI zdołało pobrać ledwie widoczne odciski palców. Ich właścicielem okazał się biały mężczyzna, specjalista od dezynsekcji poruszający się furgonetką. Z psychologicznego punktu widzenia symbolika była wprost wymarzona: socjopata przeszedł od tępienia robaków do eliminowania czarnych dzieci. Wiedzieliśmy już wtedy, że wielu seryjnych morderców wraca w miejsca, gdzie popełnili zbrodnię lub porzucili zwłoki ofiary. Policjanci podejrzewali, że mężczyzna zatrzymał się na poboczu drogi, skąd widział miejsce spoczynku ciała, i masturbował się, wspominając ekscytację towarzyszącą polowaniu na ofiarę i morderstwu.

Informacja o przełomie w śledztwie dotarła do dyrektora FBI, prokuratora generalnego, a nawet do Białego Domu. We wszystkich tych miejscach niecierpliwie czekali na moment, kiedy można będzie ogłosić schwywanie mordercy dzieci z Atlanty. Rozpoczęto pracę nad komunikatami prasowymi. Tymczasem kilka spraw nie dawało mi spokoju. Po pierwsze, mężczyzna był biały. Po drugie, żył w szczęśliwym małżeństwie. Doszedłem do wniosku, że musiał istnieć inny powód jego obecności na poboczu tamtej drogi.

Przywieziono go na przesłuchanie. Kiedy wszystkiemu zaprzeczył, pokazano mu poplamione spermą czasopismo, na którym znajdowały się jego odciski palców. Przyznał, że faktycznie przejeżdżał tamtą drogą i wyrzucił gazetę przez okno. Wydawało się to mało prawdopodobne. Jak mógł jednocześnie prowadzić, masturbować się i cisnąć gazetą z taką siłą, że wylądowała w lesie? Musiałby mieć ramię zawodowego kulomioty.

Kiedy mężczyzna zrozumiał w końcu, w jak poważne wpadł tarapaty, wyznał, że jego żona ma lada dzień urodzić, a on z powodu ciąży nie uprawiał seksu od kilku miesięcy. Nie chciał zdradzić kobiety, którą kochał i która miała urodzić jego dziecko, podjechał zatem do sklepu całodobowego, kupił

świerszczyk, następnie w czasie przerwy na lunch pojechał w ustronne miejsce w lesie i sobie ulżył.

Współczułem facetowi z całego serca. Czy nie ma już nic świętego? Gość specjalnie pojechał w ustronne miejsce, a teraz nawet prezydent Stanów Zjednoczonych wie, że walił konia w lesie!

Kiedy schwymano oszusta z Conyers, miałem nadzieję, że dzięki wyeliminowaniu tego rasistowskiego pacana policja będzie mogła skoncentrować się na śledztwie. Nie wziąłem pod uwagę innego czynnika: aktywnej roli prasy. Później zawsze pamiętałem, aby nie popełnić podobnego błędu.

Już wcześniej zdałem sobie sprawę, że szum medialny zaczął w pewnym momencie sprawiać przyjemność mordercy. Nie wziąłem tylko pod uwagę, że w szczególny sposób zareaguje na te relacje.

Prasa z taką niecierpliwością oczekiwała na jakikolwiek przełom w śledztwie, że szczegółowo opisała poszukiwania przy Sigmon Road, które ostatecznie nie przyniosły żadnych rezultatów. Ale po niedługim czasie znaleziono ciało przy Sigmon Road w hrabstwie Rockdale – należało do Terry'ego Pue.

Dla mnie była to niesłychanie ważna informacja. Zacząłem obmyślać strategię schwytania zabójcy. Dowiedzieliśmy się, że morderca pilnie śledzi doniesienia prasowe i na nie reaguje. Wiedział, że policja nie znajdzie zwłok przy Sigmon Road, ponieważ ich tam nie porzucił, postanowił jednak zademonstrować swoją wyższość, umiejętność manipulowania prasą i policją, swoją arogancję i pogardę. Uznał, że jeśli tylko zechce, może podrzucić ciało przy Sigmon Road! Zmienił normalny wzorzec postępowania i przejechał trzydzieści albo czterdzieści kilometrów, aby ze wszystkich zadrwić. A ponieważ dowiedzieliśmy się, że śledzi nasze poczynania, mogliśmy wykorzystać ten fakt i sprowokować go do określonego zachowania.

Gdybym wiedział o tym wcześniej albo założył taką możliwość,

pomyślałbym o obserwowaniu okolicy Sigmon Road. Teraz było już za późno. Musieliśmy czekać na kolejne okazje.

Do głowy przyszło mi kilka pomysłów. W hali Omni Coliseum w Atlancie miał się odbyć koncert charytatywny na rzecz rodzin ofiar z udziałem Franka Sinatry i Sammy'ego Davisa juniora. Wydarzeniu nadano ogromny rozgłos. Byłem pewien, że morderca znajdzie się na widowni. Tylko jak wyłowić go z tłumu dwudziestu kilku tysięcy widzów?

Z przygotowanego przeze mnie i Roya Hazelwooda profilu wynikało, że sprawca ma bzika na punkcie policji. Należało to wykorzystać.

– Dajmy mu darmowy bilet – zaproponowałem.

Na twarzach policjantów i agentów z lokalnego biura FBI pojawiły się znane mi doskonale uśmiechy sugerujące, że postradałem zmysły. Przedstawiłem swój plan. Ogłosimy, że ze względu na ogromną liczbę widzów zatrudniamy dodatkowych ochroniarzy. Zaproponujemy minimalną stawkę, postawimy wymóg, że każdy kandydat musi mieć własny samochód (wiemy, że morderca jest zmotoryzowany), i przyznamy pierwszeństwo osobom z doświadczeniem w tego rodzaju pracy. Rozmowy kwalifikacyjne przeprowadzimy w Omni, nagrywając je za pomocą wewnętrznego systemu kamer. Odrzucimy kandydatów w oczywisty sposób niepasujących do profilu – kobiety, ludzi starszych *et cetera* – a skoncentrujemy się głównie na młodych czarnych mężczyznach. Każdy z kandydatów otrzyma do wypełnienia kwestionariusz, w którym znajdą się pytania o kwalifikacje typu kierowanie ambulansem, wcześniejsze przypadki ubiegania się o pracę w policji lub agencji ochrony czy inne fakty pomocne w wytypowaniu podejrzanego. Zapewne udałoby nam się zawęzić grupę podejrzanych do dziesięciu–dwunastu osób, które zweryfikowalibyśmy pod kątem innych dowodów.

Pomysł popchnięto w górę hierarchii służbowej i dotarł aż do zastępcy prokuratora generalnego. Problem w tym, że kiedy jakiś niestandardowy problem dostaje się w tryby rozbudowanej maszyny biurokratycznej, dochodzi

często do paraliżu decyzyjnego. Pomysł zaaprobowano zaledwie dzień przed koncertem, przez co wszelkie próby zatrudnienia „ochroniarzy” były spóźnione i spotkały się z niewielkim odzewem.

Opracowałem inny plan. Chciałem, aby przygotowano drewniane krzyże o wysokości około jednej trzeciej metra. Niektóre rozdano by rodzinom, inne wbito w ziemię na miejscach zbrodni, a większy krzyż, upamiętniający wszystkie zamordowane dzieci, miał stanąć przy jednym z kościołów. Akcja została nagłośniona w mediach. Byłem pewien, że morderca odwiedzi niektóre z miejsc, zwłaszcza te bardziej odludne. Kto wie, może nawet podejmie próbę zabrania jednego z krzyży. Gdybyśmy poddali krzyże obserwacji, mielibyśmy sporą szansę na przymknięcie sprawy.

Niestety, minęło kilka tygodni, zanim FBI zaakceptowało plan. Wtedy z kolei rozpoczęła się wojna, kto ma wykonać krzyże – sekcja dowodów rzeczowych FBI z Waszyngtonu, zakład stolarski z Quantico, a może ktoś wybrany przez biuro terenowe w Atlancie. Krzyże w końcu wykonano, ale wtedy wydarzenia toczyły się już własnym rytmem.

W lutym sytuacja w Atlancie zaczynała się wymykać spod kontroli. W mieście zaroilo się od parapsychologów, którzy przedstawiali własne „profile”, często całkowicie ze sobą sprzeczne. Głodna newsów prasa cytowała każdego, kto miał choćby minimalny związek ze sprawą i był gotów coś powiedzieć. Kolejną ofiarą był dwunastoletni Patrick Baltazar, którego ciało znaleziono przy autostradzie Buford w hrabstwie DeKalb. Patrick został uduszony, podobnie jak Terry Pue. Właśnie wtedy z biura lekarza sądowego dotarła wiadomość, że na ciele Patricka Baltazara znaleziono włos i włókna identyczne jak te odkryte przy pięciu innych ofiarach – zamordowanych w mojej ocenie przez tego samego człowieka. Komunikat laboratorium analiz sądowych nagłośniły media.

I wtedy w mojej głowie zaświtała nowa myśl: „Morderca zacznie wrzucać zwłoki do rzeki. Wie, że policja znajduje włosy i włókna z jego ubrania”.

Poprzednie ciało, zwłoki Patricka Rogersa, który zginął od ciosu tępym narzędziem w głowę, znaleziono w grudniu w hrabstwie Cobb nieopodal rzeki Chattahoochee. Problem w tym, że Patrick miał piętnaście lat, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ważył sześćdziesiąt pięć kilogramów, nie ukończył szkoły i był na bakier z prawem. Zdaniem policji został zamordowany przez kogoś innego. Tak czy inaczej, miałem poczucie, że morderca zacznie wrzucać ciała do rzeki, licząc na to, że woda zmyje dowody.

Należało rozpocząć obserwację rzek, zwłaszcza Chattahoochee, głównego szlaku wodnego odgraniczającego od północnego zachodu miasto od hrabstwa Cobb. Problem w tym, że obszar ten podlegał różnym wydziałom policji i biurom FBI – w rezultacie nikt nie mógł przejąć dowodzenia nad akcją. Zanim uzgodniono szczegóły operacji, którą mieli przeprowadzić wspólnie agenci FBI oraz funkcjonariusze oddziału specjalnego z policyjnego wydziału zabójstw, kwiecień zaczął się na dobre.

Moje przypuszczenia się potwierdziły, kiedy w międzyczasie z South River wyłowiono zwłoki trzynastoletniego Curtisa Walkera, a w odstępie jednego dnia z Chattahoochee dwa kolejne ciała: trzynastoletniego Timmiego Hilla i dwudziestojednoletniego Eddiego Duncana, najstarszą ofiarę. Tym razem morderca rozebrał ciała do bielizny, co miało pomóc w pozbyciu się włosów i włókien.

Specjalne zespoły rozpoczęły obserwację mostów i innych miejsc nadających się do wrzucenia zwłok do rzeki. Mijały tygodnie i nic się nie działo. Władze miasta wyraźnie traciły wiarę w powodzenie akcji. Ze względu na brak wyników wyznaczono termin jej zakończenia na szóstą rano 22 maja; o tej godzinie następowała zmiana ekip obserwacyjnych.

Mniej więcej o wpół do trzeciej w nocy, kilka godzin przed zakończeniem akcji, Bob Campbell, rekrut akademii policyjnej, który zajmował stanowisko na brzegu Chattahoochee poniżej mostu Jackson Parkway, zauważył, że pośrodku mostu zatrzymuje się samochód.

– Usłyszałem głośny plusk – zameldował z przejściem przez walkie-talkie. Skierował światło latarki na rzekę i dostrzegł rozbiegające się koncentrycznie fale. Samochód zawrócił i zjechał z mostu. Chwilę później zatrzymał go przyczajony w pobliżu policyjny radiowóz. Chevroletem combi rocznik 1970 kierował niski, dwudziestotrzyletni mężczyzna z kędzierzawymi włosami, o lekko ciemnym kolorze skóry. Nazywał się Wayne Bertram Williams. Zachowywał się sympatycznie i chętnie odpowiadał na pytania. Twierdził, że jest impresario muzycznym i mieszka z rodzicami. Policjanci go przesłuchali, zajrzeli do samochodu, pozwolili odjechać, ale od tej pory nie spuszczały z niego oka.

Nagie ciało dwudziestosiedmioletniego Nathaniela Catera wyłowiono dwa dni później w dole rzeki, nieopodal miejsca, gdzie miesiąc wcześniej znaleziono ciało dwudziestojednoletniego Jimmy’ego Raya Payne’a. Policji brakowało wystarczająco mocnych dowodów, aby aresztować Williamsa albo zdobyć nakaz rewizji, ale cały czas ktoś siedział mu na ogonie.

On natychmiast to zauważył i zaczął wodzić za nos funkcjonariuszy, krążąc po całym mieście. Podjechał nawet pod dom szefa wydziału bezpieczeństwa Lee Browna i kilkakrotnie zatrąbił. U siebie miał zbudowaną ciemnię i zanim policja zdobyła nakaz rewizji, widziano, jak pali w ogrodzie fotografie. Umył również dokładnie cały samochód.

Wayne Williams we wszystkich kluczowych punktach pasował do profilu – miał nawet owczarka niemieckiego. Obsesyjnie interesował się funkcjonowaniem policji, a kilka lat wcześniej został aresztowany za podszywanie się pod przedstawiciela prawa. Od tego czasu jeździł radiowozem z demobilu, podsłuchiwał przez radio rozmowy policjantów oraz odwiedzał i fotografował miejsca zbrodni, o których tam usłyszał. Kilkoro świadków przypomniało sobie później, że widziało go przy Sigmon Road, gdzie policja prowadziła poszukiwania w reakcji na fałszywe zgłoszenie telefoniczne. Zrobił zdjęcia i przekazał je policji. Ustaliliśmy także, że uczestniczył w koncercie

charytatywnym w hali Omni.

Policja zaprosiła go na rozmowę na posterunku. Chętnie odpowiadał na pytania i nie poprosił o obrońcę. Na podstawie raportów, które przysłano mi do Quantico, zorientowałem się, że przesłuchanie nie zostało w odpowiedni sposób zaplanowane ani zainscenizowane. Miało zbyt prostoliniowy i bezpośredni charakter, przez co stracono okazję, aby nakłonić podejrzanego do przyznania się do winy. Po przesłuchaniu kręcił się po posterunku i wyraźnie chciał z kimś pogadać o pracy policji i FBI. Wiedziałem, że kiedy tego dnia opuścił posterunek, szansa na dobrowolne przyznanie się do winy bezpowrotnie przepadła. Poddał się badaniu wariografem, które nie dało rozstrzygających wyników. Kiedy policja i FBI przeszukały później jego dom, w którym mieszkał z rodzicami, emerytowanymi nauczycielami, znaleziono książki z instrukcjami, jak oszukać wykrywacz kłamstw.

Nakaz rewizji zdobyto 3 czerwca. Mimo że Williams wyczyścił samochód, pozostały w nim włosy i włókna łączące go z około dwunastoma morderstwami – tymi, które w swoim profilu przypisałem jednemu mordercy.

Dowody były niepodważalne. Ustalono, że niektóre włókna znalezione na ciałach ofiar pochodziły z pokoju, domu oraz samochodu Williamsa, a Larry Peterson z Laboratorium Kryminalistycznego Stanu Georgia wykrył również włókna z ubrań noszonych przez ofiary jeszcze przed zaginięciem. Innymi słowy: dzieci musiały mieć do czynienia z Williamsem jeszcze przed morderstwami.

21 czerwca Wayne B. Williams został aresztowany pod zarzutem zamordowania Nathaniela Catera. Dochodzenie w sprawie pozostałych ofiar nadal trwało. Przebywałem akurat z Bobem Resslerem w Hampton Inn pod Newport News w Wirginii, a informacja o aresztowaniu nadeszła w trakcie mojego wystąpienia przed Stowarzyszeniem Penitencjarnym Stanów Południa; niewiele wcześniej wróciłem z Anglii, więc opowiadałem akurat o sprawie Rzeźnika z Yorkshire. W marcu tygodnik „People” opublikował artykuł

poświęcony mnie i Bobowi Resslerowi oraz podejmowanym przez nas próbom schwytania mordercy z Atlanty. Na rozkaz naszej centrali udzieliłem autorom wywiadu, w którym podałem kilka szczegółów profilu, podkreślając zwłaszcza nasze przekonanie, że sprawca jest czarny. Tekst wywołał oddźwięk w skali całego kraju, kiedy zatem po wykładzie zapytałem, czy któryś ze słuchaczy ma jakieś pytanie, ktoś poprosił mnie o komentarz do aresztowania Williamsa.

Przedstawiłem pokrótce sprawę i naszą rolę w śledztwie oraz opisałem rozumowanie, które doprowadziło do stworzenia profilu. Stwierdziłem, że aresztowany pasuje do profilu, a gdyby okazał się rzeczywiście winny – dodałem ostrożnie – w mojej ocenie prawdopodobnie odpowiada za sporą część morderstw.

Nie wiedziałem, że to pytanie zadał dziennikarz, choć jestem pewien, że gdybym to wiedział, udzieliłbym identycznej odpowiedzi. Następnego dnia moje słowa zostały zacytowane w „Newport News-Hampton Daily Press” w następującej postaci: „prawdopodobnie odpowiada za sporą część morderstw”. Pominięto niezwykle istotne zastrzeżenie, którym poprzedziłem tę wypowiedź.

Cytat poszedł w świat i następnego dnia moją opinię przytoczyły media w całym kraju, wszystkie telewizyjne serwisy informacyjne i najważniejsze gazety. W „Atlanta Constitution” ukazał się nagłówek: „Głos z FBI: Williams mógł zabić wiele ofiar”.

Telefon mi się urywał. W hotelowym holu oraz na korytarzu przed moim pokojem stały kamery telewizyjne. Aby wydostać się z hotelu, musieliśmy z Resslerem zejść po schodach przeciwpożarowych.

W centrali rozpętało się piekło. Wyglądało, jakby zaangażowany w śledztwo agent FBI uznał publicznie Wayne’a Williamsa za winnego jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Podczas drogi powrotnej do Quantico próbowałem wyjaśnić rzeczywisty przebieg zdarzeń przez telefon satelitarny szefowi naszej jednostki, Larry’emu Monroemu. On i jego zastępca Jim McKenzie wstawili się

za mną w Biurze Odpowiedzialności Zawodowej FBI (BOZ).

Pamiętam, jak siedzę na górnym poziomie biblioteki w Quantico. Na co dzień w ciszy i spokoju pracowałem tam nad profilami. Biblioteka miała również dodatkowy atut w postaci okien, których brakowało w moim podziemnym biurze. Monroe i McKenzie przyszli ze mną pogadać. Obaj bardzo mnie zawsze wspierali. Ponieważ jako jedyny w jednostce zajmowałem się wtedy opracowywaniem profili, byłem kompletnie wykończony pracą. Atlanta kosztowała mnie mnóstwo nerwów, a teraz w nagrodę groziła mi nagana za wypowiedź wyrwaną z kontekstu.

W Atlancie odnieśliśmy wielki sukces w profilowaniu przestępców oraz analizie kryminalistycznej. Nasza ocena sprawcy oraz przewidywania dotyczące jego działań sprawdziły się co do joty. Znaleźliśmy się w centrum uwagi Białego Domu i wszystkich niższych szczebli władzy. Gdybym pośpiesznym komentarzem zaszkodził śledztwu lub gdyby Williams okazał się niewinny, program profilowania przestępców zostałby zlikwidowany.

Od początku powtarzano mi, że wykonuję pracę obciążoną wysokim ryzykiem, ale rokującą nadzieję na odnoszenie wspaniałych sukcesów. Ze łzami w oczach powiedziałem Monroemu i McKenziemu, że z mojego punktu widzenia robota jest „obciążona wysokim ryzykiem, ale nie rokuje nadziei na odnoszenie żadnych pieprzonych sukcesów”. Stwierdziłem, że nie warto się szarpać, i zrzuciłem z biurka teczkę z aktami spraw. Jim McKenzie przyznał, że prawdopodobnie mam rację. Zapewnił, że chcą mi pomóc.

Kiedy pojechałem do centrali, aby stanąć przed obliczem BOZ-u, na wstępie kazano mi podpisać oświadczenie o dobrowolnym zrzeczeniu się przysługujących mi praw. Stanie na straży przestrzegania prawa w państwie nie musi wcale iść w parze z przestrzeganiem go we własnych szeregach. Na początek wyciągnięto sprawę artykułu w „People”. Na okładce znajdowała się Jackie Onassis.

– Ostrzegano pana przed udzielaniem tego rodzaju wywiadów.

– Wywiad został zaaprobowany przez moich zwierzchników – zaprotestowałem. – Podczas wystąpienia w Hampton Inn opisywałem ogólnie badania nad seryjnymi mordercami, a sprawę Wayne’a Williamsa poruszył jeden ze słuchaczy. Udzielając odpowiedzi, ważyłem słowa, a nie miałem przecież wpływu na sposób, w jaki zostały przedstawione w prasie.

Komisja maglowała mnie przez cztery godziny. Musiałem sporządzić oświadczenie, w którym punkt po punkcie opisałem przebieg wydarzeń oraz sposób zaprezentowania moich wypowiedzi w prasie. Komisja nie skomentowała w żaden sposób przebiegu przesłuchania ani nie zasugerowała, jaki może być jego rezultat. Przepęłniał mnie żal, ponieważ oddałem FBI swoje najlepsze lata, wiele poświęciłem, choćby czas, który mogłem spędzić z rodziną, a teraz groziła mi nagana, czasowa „odstawka” połączona z utratą pensji lub zwolnienie z pracy. Przez kilka kolejnych tygodni nie miałem ochoty rano wstawać z łóżka.

Otrzymałem wtedy list od mojego ojca. Opisał urlop bezpłatny, na który wysłano go, gdy pracował w „Brooklyn Daily Eagle”. Jego również dopadła depresja. Wcześniej ciężko pracował dla gazety i odwał kawał dobrej roboty, ale na zwolnieniu ogarnęło go poczucie braku kontroli nad własnym życiem. Wyjaśnił, w jaki sposób nauczył się stawiać czoła zmiennym kolejom losu i znajdować wewnętrzną motywację do zmagania się z nimi każdego dnia. Nosilem ten list w teczce przez długi czas, jeszcze długo po zakończeniu całej historii.

Po pięciu miesiącach BOZ postanowił udzielić mi nagany. W uzasadnieniu podkreślono, że po publikacji artykułu w tygodniku „People” otrzymałem zakaz udzielania wywiadów dla prasy na temat bieżących dochodzeń. Pisemną nagane podpisał sam dyrektor Webster.

Choć cała sprawa potwornie mnie wkurzała, nie mogłem sobie pozwolić na jej roztrząsanie, w przeciwnym razie musiałbym po prostu odejść z pracy. Niezależnie od tego, co wtedy myślałem na temat FBI, najważniejsza była dla

mnie praca, jaką tam wykonywałem. Wciąż pomagałem przy śledztwach w całych Stanach Zjednoczonych, zbliżał się proces Wayne'a Williamsa. Musiałem znaleźć motywację do zmagania się każdego dnia z przeciwnościami losu.

Proces Wayne'a Williamsa rozpoczął się w styczniu 1982 roku. Najpierw przez sześć dni wybierano ławę przysięgłych, w skład której wchodziło ostatecznie dziewięć kobiet i trzech mężczyzn, głównie Afroamerykanów. Według nas Williams odpowiadał za co najmniej dwanaście morderstw, ale został oskarżony jedynie o dwa – Nathaniela Catera i Jimmy'ego Raya Payne'a. Jak na ironię, obie ofiary miały ponad dwadzieścia lat.

Williamsa bronił znany duet prawników z Jackson w stanie Missisipi, Jim Kitchens i Al Binder, oraz prawniczka z Atlanty Mary Welcome. Kluczowymi postaciami oskarżenia byli zastępcy prokuratora okręgowego hrabstwa Fulton, Gordon Miller i Jack Mallard. Ze względu na mój wcześniejszy udział w śledztwie biuro prokuratora poprosiło mnie o przybycie do Atlanty i pomoc w trakcie procesu. Przez większą jego część siedziałem na sali sądowej u boku oskarżycieli.

Gdyby proces odbywał się dzisiaj, mógłbym złożyć zeznanie na temat *modus operandi* sprawcy, sygnatur i powiązań między sprawami – jak to czynię w wielu wypadkach. Gdyby zasądzono wyrok więzienia, a osadzony ubiegał się o wcześniejsze zwolnienie, wydawałbym opinię na temat zagrożenia dla społeczeństwa, jakie skazany może stwarzać w przyszłości. W 1982 roku sądy nie uznawały jeszcze tego rodzaju dowodów, dlatego moja rola ograniczała się do udzielania porad.

Głównym elementem aktu oskarżenia było mniej więcej siedemset kawałków włosów i włókien przeanalizowanych starannie przez Larry'ego Petersona i agenta specjalnego Hala Deadmana, eksperta z waszyngtońskiego laboratorium FBI. Mimo że Williamsa oskarżono jedynie o dwa morderstwa, reguły postępowania kryminalnych stanu Georgia dopuszczały dołączenie do aktu

oskarżenia innych, związanych z główną sprawą; obrońcy ze stanu Missisipi, gdzie takie rozwiązanie nie funkcjonowało, sprawiali wrażenie nieprzygotowanych na taką okoliczność. Na niekorzyść oskarżenia przemawiało to, iż Williams był spokojny, opanowany i elokwentny. W okularach w grubej oprawie, z łagodnymi rysami twarzy i delikatnymi dłońmi przypominał raczej sympatycznego kucharzyka z reklam firmy Pillsbury niż seryjnego mordercę dzieci. Przesłał do prasy kilka oświadczeń, w których zapewniał o swojej niewinności oraz czysto rasowym podłożu aresztowania. Tuż przed rozpoczęciem procesu oświadczył w jednym z wywiadów: „FBI przypomina oddział komicznie nieporadnych stróżów prawa, a policja z Atlanty gliniarzy z sitcomu”.

Żadna osoba z obozu oskarżenia poza mną nie wierzyła, że Williams zgodzi się zeznawać. Z jego zachowań podczas popełniania zbrodni oraz z formy komunikatu prasowego wywnioskowałem, że jest na tyle arogancki i pewny siebie, że pokusi się o wywarcie wpływu na przebieg procesu w ten sam sposób, w jaki manipulował opinią publiczną, prasą i policją.

Na zamkniętym spotkaniu w gabinecie sędziego Clarence’a Coopera Al Binder zapowiedział, że obrona zamierza powołać na świadka wybitnego psychologa sądowego z Phoenix Michaela Brada Baylessa. Jego zdaniem Williams nie pasował do profilu psychologicznego i nie byłby zdolny do popełnienia tych morderstw. Doktor Bayless doszedł do tych wniosków po trzech rozmowach z Williamsem.

– W porządku – odparł Gordon Miller. – W takim razie my obalimy jego twierdzenia, powołując na świadka agenta FBI, który przewidział wszystko, co do tej pory wydarzyło się w sprawie.

– Do licha, chętnie bym z nim porozmawiał – stwierdził Binder. Miller wyjaśnił, że siedziałem u boku prokuratorów przez większą część procesu.

Spotkałem się z przedstawicielami obu stron w pokoju, który normalnie wykorzystywała do obrad ława przysięgłych. Opisałem swoje kwalifikacje

obrońcom i zastrzegłem, że jeśli przeszkadza im to, że jestem agentem FBI, a nie lekarzem, mogę poprosić o opinię w sprawie któregoś z naszych psychiatrów, na przykład Parka Dietza. Byłem pewien, że złoży identyczne zeznanie.

Binder i jego współpracownicy wyglądali na zafascynowanych moimi ustaleniami. Odnosili się do mnie z sympatią i szacunkiem. Binder zwierzył mi się nawet, że jego syn marzy o karierze agenta FBI.

Koniec końców, Bayless nie został powołany na świadka. Tydzień po zakończeniu procesu powiedział reporterom „Atlanta Journal” i „Atlanta Constitution”, że jego zdaniem Williams był zdolny do popełnienia morderstwa, miał „osobowość człowieka niedowartościowanego”, a motywem zbrodni była „żądza władzy i obsesyjna potrzeba panowania nad innymi”. Stwierdził, że Williams oczekiwał od niego jednej z dwóch rzeczy: zmiany treści raportu i przemilczenia pewnych okoliczności albo odmowy zeznań przed sądem. Zauważył również, że skłonność Williamsa do kontrolowania wszystkiego była jednym z głównych problemów obrony.

Uwagi Baylessa niezwykle mnie zaciekały, znakomicie pasowały do profilu, który stworzyłem z Royem Hazelwoodem. W trakcie procesu moją uwagę przykuło inne wydarzenie.

Jak większość zamiejscowych uczestników procesu mieszkałem w położonym niedaleko gmachu sądu hotelu Marriott. Kiedy pewnego wieczoru jadłem samotnie kolację w tamtejszej restauracji, do mojego stolika podszedł wytworny czarny mężczyzna po czterdziestce. „Nazywam się Brad Bayless”, powiedział. Odpowiedziałem, że wiem, kim jest i z jakiego powodu znalazł się w mieście. Zapytał, czy może się przysiąść.

Zauważyłem, że jeśli zamierza następnego dnia zeznawać na rzecz obrony, nie powinniśmy się pokazywać publicznie razem. Bayless stwierdził, że ma to gdzieś, i usiadł. Interesowało go, co o nim wiem. Wiedziałem całkiem sporo. Wygłosiłem typowy dla siebie miniwykład na temat psychologii kryminalnej i zauważyłem, że jeśli złoży zeznania zgodne z linią obrony, zostanie

upokorzony przed sądem osobiście i jako psycholog. Żegnając się, uściskał mi dłoń i powiedział, że chętnie wzięłby udział w kursach organizowanych przez FBI w Quantico. Zażartowałem, że wszystko zależy od tego, jak poradzi sobie następnego dnia w sądzie.

Następnego dnia dowiedziałem się, że wrócił do Arizony i nie będzie zeznawał. Przy stole sędziowskim Binder poskarżył się na „imperializm prokuratury”, która zastrasza jego świadka. Sam nie zrobiłbym czegoś takiego celowo, ale szczerze mówiąc, nieobecność doktora Baylessa niespecjalnie mnie martwiła. Podejrzewam, że jako uczciwy człowiek nie miał ochoty składać pokrętnych zeznań ani dać się wykorzystać którejkolwiek ze stron procesu.

Świadkowie oskarżenia, Hal Deadman i Larry Peterson, po mistrzowsku przedstawili dowody związane z włosami i włóknami, nawet jeśli ze względu na złożoność materii ich zeznania nie były specjalnie efektowne. Wyjaśniali, że włókna z dywanu A skracają się w jednym kierunku, a włókna z dywanu B w innym, niemniej mimo tych zawiłości dowiedli, że włókna znalezione na wszystkich dwunastu ofiarach pochodzą z fioletowo-zielonej narzuty na łóżko Williamsa, włókna znalezione na większości ofiar pochodzą z dywanu w jego sypialni, a włókna znalezione na połowie ofiar z dywanu w salonie. Tyle samo ofiar zdołali powiązać z należącym do podejrzanego chevroletem rocznik 1970. U wszystkich ofiar poza jedną znaleziono włosy owczarka niemieckiego Williamsa, Sheby.

Kiedy przyszła kolej na świadków obrony, na sali sądowej pojawił się przystojny i czarujący sobowtór Kennedy’ego z Kansas, który raz za razem posyłał uśmiechy w stronę ławników i miał za zadanie obalić ustalenia Deadmana. Podczas wieczornego spotkania obozu oskarżenia wszyscy naśmiewali się z urody faceta z Kansas i jego nieprzekonujących zeznań.

– A co ty myślisz, John? – zapytali mnie.

W trakcie posiedzenia obserwowałem ławę przysięgłych.

– Musicie bardzo uważać, bo jeszcze chwila i przegracie sprawę –

ostrzegłem.

Byli zszokowani. Nie takiej odpowiedzi się spodziewali.

– Być może w waszych oczach był nieprzekonujący – wyjaśniłem – ale ławnicy mu uwierzyli.

Choć dobrze wiedziałem, o czym mówił Hal Deadman, z trudem nadążałem za jego analizą. Nawet jeśli świadkowie obrony nadmiernie upraszczali sprawę, mówili znacznie bardziej zrozumiałym językiem.

Moi rozmówcy uprzejmie powstrzymali się od komentarza, że pieprzę głupoty, ale jako przenikliwy profiler wiedziałem, że przestałem być mile widziany w ich gronie. W Quantico czekało na mnie mnóstwo zaległych spraw, musiałem się także przygotować do procesu mordercy Mary Frances Stoner. Liczne delegacje zaczynały niekorzystnie wpływać na moje małżeństwo, co wynikało z mojego braku zaangażowania w życie rodzinne. Nie poświęcałem wystarczająco wiele czasu na ćwiczenia fizyczne i byłem nieustannie zestresowany. Zadzwoiłem do Larry'ego Monroego w Quantico i zapowiedziałem, że wracam do domu.

Ledwie wysiadłem z samolotu i ruszyłem samochodem w stronę domu, otrzymałem wiadomość, że oskarżyciele przemyśleli sprawę i uznali, że może częściowo miałem rację. Chcieli, abym wrócił do Atlanty i pomógł w przesłuchiowaniu świadków obrony.

Dwa dni później poleciałem z powrotem do Atlanty. Oskarżyciele byli znacznie bardziej otwarci i zasięgali mojej opinii w różnych sprawach. Ku ich wielkiemu zaskoczeniu, a zgodnie z moimi przewidywaniami, Wayne Williams postanowił złożyć zeznania przed sądem. Najpierw przesłuchał go obrońca Al Binder, mężczyzna obdarzony głębokim, dźwięcznym głosem. Kiedy pochylał się, aby zadać pytanie, przypominał rekina – właśnie dlatego miał ksywkę Szczęki.

W stronę ławy przysięgłych płynął jednoznaczny komunikat: „Spójrzcie tylko na niego! Czy ten człowiek wygląda na seryjnego mordercę? No spójrzcie.

Powstań, Wayne – powiedział Binder i poprosił, aby oskarżony wyciągnął przed siebie ręce. – Widzicie te delikatne dłonie? Naprawdę sądzicie, że dysponowałyby siłą niezbędną do zabicia człowieka, że potrafiłyby kogoś tymi dłońmi udusić?”.

Binder wezwał swojego klienta na świadka w połowie posiedzenia i przesłuchiwał go także przez cały następny dzień. Trzeba przyznać, że Williams wypadł znakomicie, ale przecież na to właśnie liczył. Był absolutnie przekonujący w roli niewinnej ofiary rasistowskiego systemu, który chciał jak najszybciej znaleźć winnego.

Oskarżenie potrzebowało dobrej strategii. Pytania miał zadawać zastępca prokuratora okręgowego Jack Mallard. To on przykuwał uwagę na sali sądowej, przemawiając niskim głosem z melodyjnym południowym akcentem.

Nie miałem za sobą formalnego przeszkolenia z technik przesłuchiwania świadków na sali sądowej, ale instynktownie wyczuwałem, na czym to polega. Po prostu postawiłem się w pozycji oskarżonego i zadałem sobie pytanie: „Co by mnie zirytowało?”. Odpowiedź brzmiała: „Świadomość, że przesłuchuje mnie człowiek niezachwiany w przekonaniu o mojej winie, który nie uwierzy w żadne z moich zapewnień”.

– Pamiętasz ten stary program telewizyjny *This Is Your Life*, w którym prowadzący wypytywał uczestnika o szczegóły z jego życia? – spytałem Mallarda. – Musisz potraktować Williamsa w ten sam sposób. Przesłuchuj go tak długo, jak tylko się da. Prędzej czy później go złamiesz. On cały czas się kontroluje i nie jest elastyczny; ma osobowość obsesyjno-kompulsywną. Aby skruszyć tę sztywność, musisz cały czas wywierać na niego presję, nie dawać ani chwili spokoju, wypytywać o każdy możliwy aspekt jego życia, nawet sprawy z pozoru pozbawione znaczenia, jak to, gdzie chodził do szkoły. Po prostu nie pozwól mu ani na chwilę odsapnąć. Kiedy zacznie słabnąć, pójdź w ślady Ala Bindera i wykorzystaj aspekt fizyczny. Co sprawdziło się w obronie, nada się i dla oskarżenia. Podejdź blisko Williamsa, narusz jego sferę intymności, wytrąć go z równowagi. Zanim obrona zdąży zaprotestować, zapytaj niskim głosem:

„Powiedz, Wayne, wpadałeś w panikę, kiedy zabijałeś te dzieciaki?”.

Mallard poprowadził przesłuchanie dokładnie w ten sposób. Przez kilka pierwszych godzin nie był w stanie zirytować Williamsa. Owszem, przyłapał go na kilku niekonsekwencjach, ale twarz oskarżonego zdawała się wyrażać pytanie: „Chyba nie wierzycie, że jestem winny?”. Posiwiasty, ubrany w szary garnitur Mallard systematycznie analizował życie oskarżonego, a kiedy nadszedł odpowiedni moment, zbliżył się i położył mu dłoń na ramieniu.

– Co wtedy czułeś, Wayne? Co czułeś, zaciskając palce na szyi ofiary? Wpadłeś w panikę? Spanikowałeś? – spytał niskim głosem o akcencie typowym dla mieszkańca południowej Georgii.

– Nie – wyjęczał Williams.

Natychmiast spostrzegł, co się stało. Wpadł w szal, wymierzył we mnie palcem.

– Próbujesz dopasować mnie za wszelką cenę do profilu FBI. Nie zamierzam ci w tym pomóc!

Obrońcy się wściekli. Williams szalał, miotając oskarżenia pod adresem „zbirów z FBI” i nazywając oskarżycieli baranami. Później ławnicy powiedzieli nam, że to był punkt zwrotny procesu. Wpatrywali się w Williamsa z szeroko otwartymi ustami. Metamorfoza dokonała się na ich oczach i zobaczyli innego człowieka. Zrozumieli, że jest zdolny do przemocy. Mallard puścił do mnie oko, po czym wrócił do maglowania Williamsa.

Wiedziałem, że po takim wybuchu Williams spróbuje częściowo odbudować sympatię, którą zaskarbił sobie wcześniej. Poklepałem Mallarda po ramieniu.

– Zobaczysz, Jack – powiedziałem – za tydzień Wayne się rozchoruje.

Nie wiem, dlaczego wybrałem akurat taki termin, ale równo tydzień później trzeba było przerwać proces, bo Williams został odwieziony do szpitala z bólem żołądka. Lekarze nie stwierdzili żadnej dolegliwości i go wypuścili.

Zwracając się do ławy przysięgłych, Mary Welcome uniosła dłoń w geście, jakby pokazywała coś tyciego.

– Czy naprawdę jesteście państwo gotowi skazać człowieka, opierając się na tak nikłych dowodach?

Podniosła kawałek zielonego dywanu, który leżał w jej gabinecie.

– To bardzo popularny typ dywanu – stwierdziła. – Jak można skazać człowieka za to, że posiada zielony dywan?

Tego samego dnia udałem się w towarzystwie kilku agentów do jej kancelarii prawnej. Pod nieobecność pani mecenas weszliśmy do jej gabinetu i pobraliśmy próbkę włókien z dywanu. Zanieśliśmy je do laboratorium i zleciliśmy ekspertom analizę. W ten sposób zdobyliśmy dowód, że włókna z dywanu prawniczki różniły się całkowicie od włókien z dywanu Williama.

27 lutego 1982 roku, po jedenastogodzinnych obradach, ława przysięgłych wróciła na salę sądową z wyrokiem uznającym oskarżonego za winnego morderstw. Wayne B. Williams został skazany na dwa kolejne wyroki dożywotniego więzienia, które odsiaduje w zakładzie karnym Valdosta w południowej Georgii. Nadal utrzymuje, że jest niewinny, a kontrowersje towarzyszące jego procesowi nigdy nie wygasły. Gdyby kiedykolwiek zdołał doprowadzić do ponownego procesu, nie wątpię, że wynik byłby taki sam.

Wbrew opiniom zwolenników tezy o niewinności Williama uważam, że materialne i behawioralne dowody świadczą niezbicie o tym, że to on zamordował jedenastu chłopców. Wbrew temu, co twierdzą zwolennicy tezy o jego winie, uważam, że brakuje mocnych dowodów łączących go ze wszystkimi morderstwami i zaginięciami dzieci, do których doszło w Atlancie w latach 1979–1981, a nawet z większością z nich. Wbrew temu, w co niektórzy są skłonni wierzyć, czarne i białe dzieci nadal giną w tajemniczych okolicznościach w Atlancie i innych miastach. Podejrzewamy, kto mógł zabić niektóre z nich. Morderstw nie popełnił jeden człowiek, ale ludzie woleliby usłyszeć coś innego. Jak dotąd nie pojawiły się dowody ani wola upoważniająca do postawienia komukolwiek zarzutów.

Za rolę, jaką odegrałem w sprawie Wayne’a Williama, otrzymałem szereg

pochwał i listów z wyrazami uznania, w tym pismo z biura prokuratora okręgowego hrabstwa Fulton, podkreślające, że strategia przesłuchiwania oskarżonego była mojego autorstwa, oraz podziękowania za wkład w dochodzenie od Johna Glovera, szefa biura terenowego FBI w Atlancie. Jeden z najbardziej poruszających i wartościowych listów napisał Al Binder, główny obrońca, który przekazał mi wyrazy uznania za wkład w sprawę.

Mniej więcej w tym samym czasie otrzymałem wspomnianą naganę od FBI. Jim McKenzie był z tego powodu bardzo niezadowolony i przedstawił mnie do nagrody finansowej – nie tylko za sprawę Williamsa, ale także za pięć innych śledztw, w których brałem udział.

Nagrodę przyznano mi w maju. W rezultacie za pracę przy tej sprawie otrzymałem pochwałę od dyrektora i naganę od BOZ-u. W pierwszej z nich napisano: „Dzięki talentowi, zaangażowaniu, profesjonalizmowi przyczynił się Pan do podniesienia reputacji FBI w skali ogólnokrajowej. Chcemy zapewnić, że Pański wkład w funkcjonowanie Biura spotyka się ze szczerym uznaniem”. Pochwale towarzyszyła „znacząca” nagroda finansowa w wysokości dwustu pięćdziesięciu dolarów; jak policzyłem, wyszło pięć centów za godzinę. Natychmiast wpłaciłem pieniądze na Fundusz Pomocowy Marynarki Wojennej wspierający rodziny żołnierzy poległych w służbie kraju.

Mam nadzieję, że dziś złapalibyśmy mordercę dzieci z Atlanty znacznie szybciej, ograniczając znacznie liczbę ofiar i zmniejszając sumę potwornych cierpień. Znacznie lepiej radzilibyśmy sobie z koordynacją działań. Stosowane przez nas techniki wyprzedzające są znacznie skuteczniejsze i mocniej zakorzenione w realnych doświadczeniach. Wiedzielibyśmy, jak zaaranżować przesłuchanie podejrzanego, aby przyniosło możliwie największy skutek. Lepiej przygotowalibyśmy się do zdobycia nakazu rewizji i zapobiegli zniszczeniu kluczowych dowodów.

Niezależnie od popełnionych błędów sprawa morderstw i zaginięć dzieci z Atlanty była punktem zwrotnym w funkcjonowaniu naszej jednostki.

Zdobyliśmy rozgłos, dowiedliśmy skuteczności naszych metod, a pomagając w posłaniu do pierdła kolejnego mordercy, uwiarygodniliśmy się w oczach społeczności stróżów prawa na całym świecie.

Kto gra o wysoką stawkę, może zgarnąć całą pulę.

ROZDZIAŁ 12

Jeden z nas

Judson Ray to w Quantico żywa legenda. Mało brakowało, aby tego nie doczekał. W lutym 1982 roku, kiedy pracował przy ATKID jako agent specjalny z biura terenowego w Atlancie, próbowała się go pozbyć jego własna żona.

Po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o swoim istnieniu na początku 1978 roku, podczas sprawy określanej początkowo kryptonimem Siły Zła. Seryjny morderca zwany Pończochowym Dusicielem napadł na sześć starszek w Columbus w stanie Georgia. Włamał się do ich domów i udusił kobiety nylonowymi pończochami. Choć wszystkie ofiary były białe, pewne ślady znalezione przez lekarza sądowego wskazywały, że sprawca jest czarny.

Lokalny komendant policji otrzymał niepokojący list napisany na papierze z logo armii Stanów Zjednoczonych rzekomo przez grupę siedmiu mężczyzn określających się mianem Sił Zła. Nawiązując do znanych publicznie podejrzeń policji dotyczących koloru skóry Pończochowego Dusiciela, zagrozili, że jeśli nie zostanie schwytyany do 1 czerwca – a dokładnie, jak napisał autor lub autorzy listu, do „1 czerw.” – w odwecie zabiją czarną kobietę. W dalszej części listu umieścili informację, że porwali kobietę o nazwisku Gail Jackson, a jeśli „P-Dusiciel” nie zostanie aresztowany do „1 wrz.”, „ofiar będzie dwa razy więcej”. Z treści listu wynikało, że papier z logo armii został skradziony, a grupa wywodzi się z Chicago.

Trudno sobie wyobrazić gorszy rozwój wypadków. Brutalny morderca

prześladujący Columbus wzbudzał przerażenie wśród mieszkańców, natomiast oświadczenia samozwańczej grupy mścicieli mogły doprowadzić do rozpadu społeczności.

W kolejnych listach Siły Zła podbiły stawkę, wysuwając żądanie dziesięciu tysięcy dolarów okupu. Policja gorączkowo próbowała odkryć tożsamość choćby jednego z siedmiu białych mężczyzn, ale bezskutecznie. prostytutkę Gail Jackson dobrze znano w barach odwiedzanych przez żołnierzy pełniących służbę w Forcie Benning. I rzeczywiście słuch o niej zginął.

Jud Ray był dowódcą zmiany w wydziale policji Columbus. Jako weteran z Wietnamu, który miał za sobą służbę na wszystkich szczeblach hierarchii, doskonale zdawał sobie sprawę, że Pończochowy Dusiciel i Siły Zła muszą zostać unieszkodliwieni, aby w mieście zapanował spokój. Tymczasem śledztwo utknęło w martwym punkcie. Policyjny szósty zmysł podpowiadał Rayowi, że szukają niewłaściwych osób w nieodpowiedni sposób. Ponieważ starał się być na bieżąco z nowymi technikami stosowanymi przez stróżów prawa w różnych częściach kraju, wiedział o programie tworzenia profili psychologicznych w Quantico. Wystąpił z propozycją, aby wydział policji Columbus skontaktował się z Jednostką Nauk Behawioralnych i zasięgnął rady na temat sprawy.

Prośba o przeanalizowanie sprawy dotarła do nas 31 marca za pośrednictwem lokalnego biura FBI ze stanu Georgia. Choć Siły Zła zaprzeczały w pierwszym liście związkom z wojskiem i Fortem Benning, byliśmy pewni, że jest dokładnie na odwrót. Sprawę przejął Bob Ressler, który przed wstąpieniem do FBI służył w żandarmerii wojskowej.

Po trzech dniach przesłaliśmy do Columbus gotowy raport. Naszym zdaniem nic nie wskazywało na to, aby samozwańcze Siły Zła rzeczywiście miały się składać z siedmiu białych mężczyzn. Co więcej, nie wierzyliśmy w istnienie choćby jednego. Autorem listu był działający w pojedynkę czarny mężczyzna, który próbował zrzucić na kogoś innego odpowiedzialność za zamordowanie Gail Jackson. Ponieważ stosował charakterystyczne dla wojska skróty w zapisie

dat (na przykład „1 czerw.”) oraz podawał odległości w metrach, a nie stopach czy jardach, bez wątpienia służył w armii. Autorem listów musiał być niemalże analfabeta, co pozwalało wykluczyć z grona podejrzanych lepiej wykształconych oficerów. Na podstawie własnego doświadczenia Bob potrafił określić, że najprawdopodobniej będzie to artylerzysta lub żandarm w wieku dwudziestu pięciu–trzydziestu lat. Wcześniej zamordował już dwie kobiety, przypuszczalnie również prostytutki; takie było prawdziwe znaczenie słów „ofiar będzie dwa razy więcej”. Naszym zdaniem istniało pewne prawdopodobieństwo, że autor listu jest jednocześnie Pończochowym Dusiciem.

Nasz profil rozprowadzono w Forcie Benning, barach i klubach nocnych, w których widywano ofiarę, a wojsko oraz policja szybko wytypowały podejrzanego, Williama H. Hance’a, czarnego, dwudziestosześcioletniego specjalistę czwartego stopnia służącego w artylerii. Mężczyzna przyznał się do zamordowania Gail Jackson, Irene Thirkield oraz szeregowej Karen Hickman, którą miał zabić na terenie fortu jesienią poprzedniego roku. Potwierdził, że wymyślił Siły Zła, aby zmylić policję.

Pończochowy Dusiciel został zidentyfikowany na podstawie zdjęcia przez świadka, który widział go na jednym z miejsc zbrodni. Był nim Carlton Gary, dwudziestosiedmioletni czarny mężczyzna, który urodził się i wychował w Columbus. Aresztowano go za kilka napadów z bronią w ręku na restauracje, ale zbiegł i ponownie trafił za kratki dopiero w maju 1984 roku. Hance i Gary zostali skazani na śmierć.

Kiedy życie w Columbus wróciło do normalnego rytmu, Jud Ray wziął urlop, aby pokierować programem rekrutacyjnym do sił porządkowych dla mniejszości etnicznych i kobiet na University of Georgia. Zamierzał później wrócić do pracy w policji, ale ostatecznie przyjął ofertę pracy od FBI, które doceniło jego doświadczenie wyniesione z wojska i wydziału śledczego. Poza tym Jud był czarny, a Biuro wytrwale pracowało na opinię pracodawcy

przyjaznego dla mniejszości. Poznaliśmy się przelotnie, kiedy przyjechał do Quantico na szkolenie dla nowych agentów. Później przydzielono go do jednostki w Atlancie, aby wykorzystać jego doświadczenie i znajomość lokalnych warunków oraz ludzi.

Następnym razem spotkaliśmy się pod koniec 1981 roku, kiedy przebywałem w Atlancie w związku z ATKID. Jak wszyscy agenci z tamtejszego biura FBI Jud aktywnie uczestniczył w śledztwie. Agentów podzielono na zespoły – każdy zajmował się sprawami pięciu ofiar, zamordowanych lub zaginionych dzieci. Jud poświęcał temu zadaniu każdą wolną chwilę.

Jednocześnie zmagał się z innym problemem. Jego małżeństwo, od jakiegoś czasu pogrążone w kryzysie, zaczęło się rozpadać. Żona się rozpiła, zrobiła się opryskliwa i generalnie zachowywała się w sposób nieprzewidywalny. „Zupełnie jej nie poznawałem”, wspominał. Pewnego niedzielnego wieczoru postawił ultimatum: albo ona zmieni swoje zachowanie i zacznie się leczyć, albo on zabierze ich córki – jedna miała wtedy osiemnaście miesięcy, druga osiem lat – i odejdzie.

Ku swojemu zaskoczeniu wkrótce dostrzegł oznaki poprawy. Żona zaczęła bardziej troszczyć się o niego i dziewczynki. „W jej osobowości zaszła nagła zmiana. Przestała chlać. Zaczęła mi nadskakiwać. Po raz pierwszy w ciągu trzynastu lat małżeństwa wstała rano i zrobiła mi śniadanie. Niespodziewanie zamieniła się w żonę idealną”.

– Powinienem był się domyślić, że coś brzydko pachnie – dodał zaraz. – Później przestrzegałem przed tym chłopaków i dziewczyny z policji: „Jeżeli wasz współmałżonek niespodziewanie przechodzi całkowitą przemianę, na korzyść lub niekorzyść, powinna wam się w głowie zapalić czerwona lampka”.

Żona Juda postanowiła go zamordować i chciała po prostu zyskać na czasie, aby wszystko dokładnie zaplanować. Gdyby sprawy potoczyły się po jej myśli, uniknęłyby traumy i upokorzenia związanych z rozwodem, zachowałyby prawo

do opieki nad dziećmi i dostała ćwierć miliona dolarów z polisy ubezpieczeniowej. Lepiej być pogrążoną w żałobie, ale majątną wdową po oficerze policji niż samotną rozwódką.

Jud nie zdawał sobie sprawy, że przez kilka dni dwóch mężczyzn nie odstępowało go na krok. Czekali na niego rano pod budynkiem, potem jechali za nim autostradą międzystanową numer 20 do centrum Atlanty. Próbowali znaleźć w rozkładzie jego dnia moment, kiedy mogliby go sprzątnąć z zaskoczenia i odjechać z miejsca zdarzenia bez świadków.

Szybko zrozumieli, że nie będzie to łatwe. Jud był na tyle doświadczonym policjantem, że instynktownie przestrzegał podstawowej zasady wpajanej wszystkim funkcjonariuszom: ręka, którą strzelasz z pistoletu, musi być przez cały czas wolna. Jud mógł w każdej chwili natychmiast sięgnąć po broń.

Zabójcy skontaktowali się z panią Ray i wyjaśnili, w czym problem. Zamierzali zastrzelić go na parkingu przed budynkiem, ale Jud zdążyłby przed śmiercią trafić co najmniej jednego z nich. Kazali jej wymyślić sposób na zajęcie czymś prawej ręki męża.

Żona Juda nie zamierzała pozwolić, by taki drobiazg przeszkodził jej w realizacji planów. Kupiła przenośny kubek do kawy i próbowała namówić męża, aby zabierał go ze sobą, wychodząc do pracy. „Przez trzynaście lat nigdy nie przyrządziła śniadania ani mnie, ani dziewczynkom, a tu nagle chce, żebym zabierał kawę na drogę”.

Odmówił. Po tylu latach służby nie potrafił znieść myśli, że miałby prowadzić lewą ręką, a w prawej trzymać kawę. W tamtych czasach w samochodach nie montowano jeszcze standardowo uchwytów na kubki. Gdyby było inaczej, ta historia miałaby zapewne zupełnie inne zakończenie.

Bandyci wrócili do pani Ray. „Nie możemy go sprzątnąć na parkingu – oświadczył jeden z nich. – Musimy to zrobić w domu”.

Do zabójstwa miało dojść na początku lutego. Pani Ray wyszła gdzieś wieczorem z dziewczynkami. Jud został sam. Zabójcy zakradli się do budynku

i zadzwonili do drzwi. Ale pomylili numery. Kiedy otworzył im biały mężczyzna, zapytali, czy zastali czarnego gościa, który tam mieszka. Nieświadomy niczego sąsiad wyjaśnił, że się pomylili, a pana Raya znajdą pod takim a takim numerem.

Problem w tym, że bandyci ujawnili już swoje twarze. Gdyby wykonali robotę tego wieczoru, sąsiad na pewno potrafiłby opisać policji wygląd dwóch czarnych mężczyzn, którzy pytali o Juda Raya. Dlatego też opuścili budynek.

Pani Ray wróciła do domu, sądząc, że sprawa została załatwiona. Ostrożnie rozejrzała się po salonie i weszła na palcach do sypialni. W myślach układała zdania, które wypowie w rozmowie z policją, którą zaalarmuje o nieszczęściu, jakie spotkało jej męża.

Zobaczyła Juda leżącego na łóżku. Podkraśla się bliżej. Odwrócił się.

– Co ty, u diabła, wyprawiasz? – zapytał. Podskoczyła ze strachu i uciekła do łazienki.

Przez kolejne dni nadal zachowywała się wspaniale i Jud coraz bardziej wierzył w autentyczną przemianę żony. Choć później uznał to za przejaw naiwności, rozumiał, że po tylu latach trudnego związku był gotów wbrew wszystkiemu uwierzyć, że sprawy zmierzają ku dobremu.

Dwa tygodnie później nadszedł ów pamiętny dzień 21 lutego 1981 roku. Jud prowadził akurat dochodzenie w sprawie morderstwa Patricka Baltazara. Miał nadzieję, że wyniki pozwolą dokonać przełomu w ATKID, ponieważ włosy i włókna znalezione na ciele dwunastolatka były identyczne z tymi pobranymi z poprzednich ofiar.

Tego wieczoru żona przyrządziła mu na kolację spaghetti i wyszła z dziewczynkami na umówioną wizytę u swojej ciotki. Jud nie wiedział, że makaron został mocno doprawiony luminalem.

Jud siedzi w sypialni. W pewnej chwili słyszy odgłosy dobiegające z drugiej części mieszkania. Światło na korytarzu migoce, przygasa. Ktoś wykręcił żarówkę w sypialni starszej córki. Z korytarza dobiegają stłumione głosy. Jeden

z bandytów nie wytrzymał nerwowo, naradzają się, co robić. Jud nie ma pojęcia, w jaki sposób dostali się do mieszkania, ale chwilowo nie ma to znaczenia. Są w środku.

– Kto tam? – woła.

Rozlega się strzał i kula przelatuje koło niego. Jud pada na podłogę, ale drugi pocisk trafia go w lewe ramię. W pokoju panują ciemności. Próbuje wpełznąć za wielkie łóżko.

– Coście za jedni? – woła. – Czego chcecie?

Trzeci pocisk grzęźnie w łóżku tuż obok niego. Jud intuicyjnie analizuje, z jakiej broni strzela napastnik. Jeżeli to rewolwer Smith & Wesson, zostały mu trzy kule. Jeżeli colt, tylko dwie.

– Hej, wy! – krzyczy. – O co chodzi? Dlaczego próbujecie mnie zabić? Zabierajcie, co chcecie. Nie widziałem waszych twarzy. Zabierzcie, co chcecie, tylko mnie nie zabijajcie.

Odpowiedzią jest cisza, ale Jud po raz pierwszy dostrzega zarys sylwetki napastnika w bladym świetle księżyca.

„Już po tobie – mówi sobie w myślach Jud. – Nie masz szans się z tego wywinąć. A dobrze wiesz, jak to będzie później wyglądało. Nie możesz dopuścić, żeby jakiś glina wszedł jutro do tego pokoju i mógł powiedzieć: »Biedak nawet nie stawiał oporu. Dał się podejść i załatwić«”. Jud postanawia pokazać śledczym, że nie pozwolił się zakatrupić bez walki.

Najpierw musi dostać się do broni, która leży na podłodze po przeciwnej stronie łóżka. Ale pokonanie pod ostrzałem szerokiej pościeli królewskiego łóża nie należy do łatwych zadań.

– Nie ruszaj się, skurwysynu! – słyszy.

Jud wdrapuje się z powrotem na łóżko i zaczyna czołgać się w ciemności na jego drugi kraniec.

Przemieszcza się niemiłosiernie powoli, ale zanim przystąpi do kontrataku, musi zająć lepszą pozycję.

Chwyta czterema palcami krawędź łóżka i stacza się na podłogę. Łąduje, przygniatając sobie prawą rękę, i nie ma siły, aby sięgnąć po pistolet lewą ręką.

Napastnik wskakuje na łóżko i strzela z bezpośredniej odległości.

Jud ma wrażenie, jakby kopnął go muł. Czuje rozdzierający ból wewnątrz ciała. Kula przeszywa plecy, rozwala prawe płuco, przelatuje między trzecim i czwartym zębem, rozrywa przód klatki piersiowej i wbija się w prawą dłoń, na której Jud wciąż leży.

Napastnik zeskakuje z łóżka, pochyla się nad Judem i sprawdza puls.

– Zdychaj, skurwielu! – rzuca i wychodzi.

Jud jest w stanie szoku. Leży na podłodze, z trudem łapiąc powietrze. Nie wie, gdzie się znajduje ani co mu się przydarzyło.

W końcu dochodzi do wniosku, że trafił z powrotem do Wietnamu. Wyczuwa zapach dymu, widzi błyski na końcach luf karabinów. Nie może oddychać. „A może nie wróciłem do Wietnamu – myśli. – Może to tylko sen. Tylko dlaczego nie mogę złapać oddechu?”

Z wysiłkiem wstaje. Zataczając się, podchodzi do telewizora i go włącza. Może ktoś mu powie, że to wszystko tylko sen. Na ekranie pojawia się Johnny Carson prowadzący *Tonight Show*. Jud wyciąga rękę i dotyka ekranu, próbując określić, czy jest prawdziwy. Palce zostawiają krwawy ślad na szkle.

Chce mu się pić. Dociera do łazienki, odkręca kran i próbuje unieść dłonią wodę do ust. Dostrzega ranę po kuli w prawej dłoni i krew buchającą z klatki piersiowej. Wraca do sypialni, kładzie się w nogach łóżka. Myśli, że za chwilę umrze.

Prawdziwy policjant tak nie postępuje. Nie może pozwolić, aby tak się to skończyło. Śledczy, którzy wejdą do pokoju następnego dnia, muszą zobaczyć, że nie dał za wygraną. Ponownie wstaje, podchodzi do telefonu i wykręca 0. Kiedy zgłasza się operatorka, wciąga powietrze do płuc. „Jestem agentem FBI i właśnie zostałem postrzelony”, mówi. Kobieta natychmiast łączy go z wydziałem policji hrabstwa DeKalb.

Słuchawkę podnosi młoda funkcjonariuszka. Jud powtarza, że jest z FBI i został postrzelony. Problem w tym, że ma kłopot z mówieniem. Jest odurzony luminalem, stracił masę krwi, bełkoce.

– Jak to z FBI? – nie dowierza policjantka. Kobieta woła do sierżanta, że dzwoni jakiś pijak i twierdzi, że jest z FBI. Co ma z nim zrobić? Sierżant każe jej się rozłączyć.

W tej samej chwili do rozmowy włącza się operatorka. Zapewnia, że to nie jest żart i powinni natychmiast wysłać karetkę. Nie odpuszcza, dopóki się nie zgodzą.

„Operatorka uratowała mi życie”, powiedział później Jud.

Stracił przytomność podczas jej dyskusji z policjantami i odzyskał ją dopiero, kiedy ratownicy medyczni założyli mu na twarz maskę z tlenem.

– Nie ma potrzeby przygotowywać go do defibrylacji – oświadczył lekarz. – Gość z tego nie wyjdzie.

Mimo to zawożą go do głównego szpitala hrabstwa DeKalb. Dyżur pełni akurat chirurg specjalizujący się w operacjach klatki piersiowej. Jud leży na łóżku w sali przyjęć i słucha, jak lekarze próbują go za wszelką cenę uratować. Wtedy doznaje oświecenia.

Bliskość śmierci pozwala mu dostrzec rzeczy takimi, jakie są. Jego myśli są niezwykle jasne i klarowne. „To nie jest odwet. Posłałem wielu ludzi do więzienia, ale żaden z nich nie potrafiłby mnie tak skutecznie podejść. Mogło się to udać tylko osobie, której bezgranicznie ufam”.

Kiedy po operacji zostaje przewieziony na oddział intensywnej terapii, czeka na niego szef biura w Atlancie, agent specjalny John Glover. Przez kilka miesięcy Glover harował przy śledztwie ATKID, a teraz doszła do tego próba morderstwa kolegi. Glover również jest Afroamerykaninem, jednym z najwyższych rangą w FBI. Ogromnie współczuje Judowi.

– Znajdź moją żonę – szepcze mu do ucha Jud. – Zmusz ją, żeby ci wszystko powiedziała.

Glover sądzi, że Jud majaczy. Lekarz zapewnia, że pacjent jest przytomny i w pełni świadomy.

Jud spędził w szpitalu dwadzieścia jeden dni. Pilnowali go uzbrojeni strażnicy, ponieważ tożsamości sprawców nie ustalono, a nikt nie potrafił przewidzieć, czy będą chcieli dokończyć dzieła. Tymczasem śledztwo utknęło w martwym punkcie. Żona Juda udawała zszokowaną i przerażoną. Dziękowała Bogu, że jej mąż przeżył. „Gdybym tylko była wtedy w domu”, powtarzała.

Zespół agentów analizował poszlaki. Jud był policjantem z dużym stażem. Mógł sobie narobić wielu wrogów. W końcu wszyscy odetchnęli z ulgą na wieść, że wyzdrowieje. Poszukiwania niedoszłych morderców oczywiście nadal trwały.

Dopiero po dwóch miesiącach życie Juda wróciło do stanu normalności. Pewnego dnia postanowił zmierzyć się ze stertą zaległych listów, które nagromadziły się od czasu ataku. Skrzywił się na widok rachunku telefonicznego na kwotę przekraczającą trzysta dolarów, ale kiedy zaczął przeglądać zestawienie rozmów, wszystko stało się jasne.

Następnego dnia przyszedł do biura i oświadczył, że ten właśnie rachunek telefoniczny jest według niego kluczem do wyjaśnienia sprawy. Jako ofiara nie powinien brać udziału w dochodzeniu, ale pozostali agenci go wysłuchali.

Billing zawierał ogromną liczbę połączeń z pewnym numerem w Columbus. Od operatora uzyskano nazwisko i adres właściciela telefonu. Jud nigdy wcześniej nie słyszał o tym człowieku. Razem z kilkoma agentami wsiadł do samochodu i pokonał kilkaset kilometrów dzielące Atlantę od Columbus. Pod wskazanym adresem znaleźli dom jakiegoś kaznodziei, który na Judzie zrobił raczej wrażenie szarlatana.

Mężczyzna wyparł się jakiegokolwiek związku z próbą morderstwa, ale agenci nie pozwolili mu się tak łatwo wywinąć. „Celem był jeden z nas – wyjaśnili kaznodziei. – Nie spoczniemy, póki nie schwytemy osoby lub osób, które za to odpowiadają”.

Kaznodzieja ma w Columbus opinię człowieka, który potrafi niejedno załatwić. Przyznał, że pani Ray odwiedziła go jeszcze w październiku, ale jej odmówił.

Ona oświadczyła, że w takim razie znajdzie kogoś innego, i poprosiła o możliwość skorzystania z jego telefonu. Obiecała zapłacić za rozmowy międzymiastowe. Kaznodzieja powiedział agentom, że zadzwoniła do dawnego sąsiada z Atlanty, który walczył w Wietnamie w tym samym okresie co Jud. Dobrze radził sobie z bronią. Kobieta powiedziała do słuchawki: „Musimy to w końcu załatwić!”.

„Jakby tego było mało – poskarżył się kaznodzieja – pani Ray orznęła mnie na rozmowach telefonicznych”.

Agenci wsiedli do samochodu, wrócili do Atlanty i przesłuchali dawnego sąsiada. Przyciśnięty, przyznał, że pani Ray poprosiła go o zabicie męża. „Nie miałem pojęcia, że chodzi o Juda”, przysięgał.

Powiedział jej, że nie zna ludzi od mokrej roboty. Skierował ją do swojego szwagra, który mógł znać odpowiednią osobę. Ten z kolei przedstawił ją innemu facetowi, który przyjął zlecenie i zatrudnił dwóch gości do wykonania zadania.

Pani Ray, szwagier jej dawnego sąsiada, jego podwykonawca i dwaj bandyci zostali postawieni w stan oskarżenia. Sąsiada uznano za współsprawcę, ale nie postawiono mu zarzutów. Pozostałych skazano za próbę morderstwa, zawiązanie spisku i włamanie. Wszyscy dostali po dziesięć lat więzienia, maksymalną karę, jaką mógł wymierzyć sędzia.

Później widywaliśmy się sporadycznie z Judem przy okazji śledztwa ATKID. Wkrótce zaczął się ze mną coraz częściej kontaktować. Nie byłem co prawda jednym z jego kolegów z biura, ale rozumiałem, jak stresująca potrafi być jego praca, przez co przeszedł i z czym się zмага na co dzień – zapewne dlatego wybrał mnie na partnera do rozmów. Przyznał, że publiczne roztrząsanie kłopotów małżeńskich byłoby dla niego wyjątkowo bolesne i zawstydzające.

Aby zapewnić Judowi jak najlepsze warunki rekonwalescencji, FBI

postanowiło przenieść go do innego miasta, żeby spokojnie doszedł do siebie z dala Atlanty. Po rozmowie z Judem uznałem, że nie było to najlepsze rozwiązanie. Według mnie powinien przynajmniej jeszcze jakiś czas pozostać w Atlancie.

Spotkałem się w tej sprawie z Johnem Gloverem, szefem lokalnego biura FBI.

– Jeżeli go przeniesiecie, pozbawicie go wsparcia, jakie zapewniają mu koledzy z biura – przestrzegłem. – Jud musi tu zostać. Pozwólcie mu przez rok zajmować się dziećmi i spędzać czas w towarzystwie ciotki, która pomagała go wychowywać.

Gdyby musiał się gdzieś przenieść, zasugerowałem rezydenturę w Columbus. W przeszłości był tam policjantem i znał większość funkcjonariuszy.

FBI pozwoliło Judowi zostać w Atlancie. Powoli na nowo układał sobie życie. Później trafił do biura terenowego w Nowym Jorku, gdzie zajmował się głównie kontrwywiadem. Został także jednym z koordynatorów programu profilowania przestępców – pośrednikiem między lokalnymi wydziałami policji a Quantico.

Kiedy w naszej jednostce zwolniły się etaty, z Nowego Jorku ściągnęliśmy Juda i Roseanne Russo, a z Waszyngtonu Jima Wrighta, który przez ponad rok pracował przy śledztwie i procesie Johna Hinckleya. Roseanne po jakimś czasie przeszła do biura terenowego w Waszyngtonie i kontrwywiadu. Jud i Jim zostali wyróżniającymi się, szanowanymi na całym świecie członkami zespołu i moimi bliskimi przyjaciółmi. Kiedy zostałem szefem jednostki, Jim Wright przejął po mnie stanowisko kierownika programu profilowania.

Jud nie potrafił się nadziwić, dlaczego wybraliśmy akurat jego. My wiedzieliśmy, że znakomicie radzi sobie na stanowisku koordynatora, a dzięki ogromnemu doświadczeniu w pracy w terenie natychmiast odnalazł się w jednostce. Szybko się uczył i miał analityczny umysł. Jako policjant poznał

śledztwa „z perspektywy okopów” i potrafił to wykorzystać.

Gdy zachodziła taka potrzeba, Jud bez oporów opowiadał podczas szkoleń o zamachu na swoje życie i jego konsekwencjach. Dysponował nawet taśmą z nagraniem swojego telefonu na numer alarmowy, którą puszczał czasami kursantom. Sam nie potrafił się zmusić do jej odsłuchania – wychodził z sali.

– To fascynujący materiał, Jud – powiedziałem.

Wyjaśniłem, że wiele elementów miejsca zbrodni, jak ślady stóp i krew na telewizorze mogłyby wprowadzić śledczych w błąd lub całkowicie skonfundować. Zaczynaliśmy rozumieć, że z pozoru irracjonalne elementy można wyjaśnić w całkowicie racjonalny sposób.

– Gdybyś przygotował z tego prezentację, byłaby to niezwykle cenna pomoc dydaktyczna – zaproponowałem.

Jud się zgodził i była to jedna z najbardziej interesujących i pouczających spraw, o jakich nauczaliśmy w trakcie kursów. Wykłady były dla niego *katharsis*.

– Wszystko nabrało bardzo osobistego wymiaru – opowiadał. – W trakcie przygotowań musiałem zapuścić się w miejsca, których nigdy wcześniej nie odwiedziłem. Za każdym razem gdy omawiam tę sprawę z ludźmi godnymi zaufania, odkrywam coś nowego. Udane i nieudane morderstwa zlecane przez małżonków zdarzają się w naszym kraju częściej, niż sądzimy. Rodziny często przeżywają tak wielki wstyd, że nie chcą o tym rozmawiać.

Wysłuchanie wykładu Juda poświęconego jego własnej historii należy do najbardziej poruszających doświadczeń, jakie przydarzyły mi się jako instruktorowi Akademii. Wiem, że nie tylko mnie. Po jakimś czasie Jud się przełamał i odtąd odsłuchiwał nagrania z rozmową telefoniczną razem ze studentami.

Kiedy przyszedł do mojej jednostki, zdążyłem już dość porządnie zbadać temat zachowań przestępców po popełnieniu zbrodni. Zrozumiałem, że większość z nich ma charakter całkowicie nieświadomy. Jud zainteresował się

tym tematem ze względu na własne doświadczenia. Od jakiegoś czasu rozumieliśmy już wpływ pojedynczych stresogenów na wybór momentu popełnienia zbrodni, ale Jud rozszerzył znacząco horyzonty naszych zainteresowań. Dzięki niemu zaczęliśmy zwracać uwagę na relacje międzyludzkie poprzedzające zbrodnie. Radykalna czy nawet drobna zmiana zachowania partnera może oznaczać, że rozpoczął przygotowania do zmiany *status quo*. Jeżeli współmałżonek staje się niespodziewanie spokojny lub znacznie bardziej życzliwy i tolerancyjny, niż był wcześniej, mógł uznać zmianę za nieuchronną.

Śledztwa w sprawie morderstw zlecanych przez małżonków są trudne. Sprawca starannie przygotowuje otoczkę emocjonalną wydarzenia. Jedynym sposobem rozwikłania takiej sprawy jest nakłonienie kogoś do zeznań, ale to wymaga zrozumienia dynamiki związku i rzeczywistego sensu wydarzeń. Spreparowanie niektórych śladów pozostawionych na miejscu zbrodni może skierować śledztwo na niewłaściwe tory, a późniejsze zachowanie męża lub żony jest zawsze swego rodzaju teatrem.

Sprawa Juda była dla nas przede wszystkim lekcją pogładową, jak łatwo fałszywie zinterpretować zachowania ofiary i sprawców. Gdyby Jud zmarł, wyciągnęlibyśmy z miejsca zbrodni niewłaściwe wnioski.

Każdy policyjny złotodziób słyszy na początku służby, że nie wolno zmieniać niczego na miejscu zbrodni. Tymczasem Jud, choć był doświadczonym policjantem i agentem specjalnym, przez swoje półświadome zachowania nieumyślnie zanieczyścił scenę zbrodni. Ślady stóp i inne oznaki ruchu uznalibyśmy za dowód, że początkowo jedyną intencją sprawców była kradzież – przemieszczał się po pokoju, ponieważ napastnicy zmusili go do wskazania, gdzie znajdują się wartościowe przedmioty. Krew na monitorze świadczyłaby o tym, że Jud oglądał telewizję, leżąc na łóżku, i właśnie wtedy bandyci go zaskoczyli i natychmiast postrzelili.

„Co najistotniejsze – twierdził Jud – jestem absolutnie pewien, że gdybym

zmarł, uszłoby jej to na sucho. Starannie zaplanowała morderstwo, a jej wcześniejsze zachowanie całkowicie zmyliło sąsiadów. W roli pogrążonej w żałobie wdowy wypadłaby zupełnie przekonująco”.

Jud i ja zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi. Przez całe życie nie poznałem zapewne nikogo, z kim miałbym równie braterskie relacje. Żartowałem, że chętnie puszczałby mi swoje nagranie w czasie okresowej oceny pracowników, aby wzbudzić jak największe współczucie. Na szczęście nigdy nie było takiej potrzeby. Dokonania Juda Raya mówią same za siebie. Obecnie pełni funkcję szefa Międzynarodowej Jednostki Szkoleniowej, gdzie z jego umiejętności i kompetencji korzysta przyszłe pokolenie agentów i policjantów. Niezależnie od tego, gdzie trafi, zawsze pozostanie jednym z nas. Jednym z najlepszych. Należy do wąskiego grona funkcjonariuszy, którzy przeżyli zamach na własne życie dzięki determinacji i woli przetrwania, a potem doprowadzili sprawców przed oblicze sprawiedliwości.

ROZDZIAŁ 13

Najniebezpieczniejsza gra

W 1924 roku Richard Connell napisał krótkie opowiadanie zatytułowane *The Most Dangerous Game* (Najniebezpieczniejsza gra). Bohaterem był myśliwy, generał Zaroff, któremu znudziło się strzelanie do zwierząt i zaczął polować na znacznie bardziej wymagające i inteligentne ofiary: ludzi. Opowiadanie do dziś cieszy się popularnością. Moja córka Lauren czyta je właśnie jako lekturę szkolną.

O ile wiem, do 1980 roku opowiadanie Connella zachowało czysto fikcyjny charakter. Wszystko zmieniło się za sprawą Roberta Hansena, spokojnego piekarza z Anchorage na Alasce.

Nie musieliśmy opracowywać profilu Hansena zgodnie z normalną procedurą ani wymyślać strategii pozwalającej na jego identyfikację i schwytanie. Kiedy moja jednostka zaangażowała się w tę sprawę we wrześniu 1983 roku, policjanci z Alaski od razu wskazali Hansena jako potencjalnego sprawcę. Nie znali jedynie skali popełnionych przez niego zbrodni, nie byli też pewni, czy szanowany ojciec rodziny i podpora lokalnej społeczności rzeczywiście mógł dopuścić się tak straszliwych czynów.

Oto, co się wydarzyło.

13 czerwca w Anchorage do policjanta podbiegła młoda, spanikowana kobieta, siedemnastoletnia prostytutka. Na nadgarstku miała zapiętą parę kajdanek. Opowiedziała niezwykłą historię. Na ulicy zaczepił ją niski, dziobaty

mężczyzna z rudymi włosami. Zaproponował dwieście dolarów za seks oralny w samochodzie. Kiedy zaczęła go zaspokajać, zatrzasnął jej na nadgarstku kajdanki, wyciągnął pistolet, po czym zawiózł ją do swojego domu położonego w eleganckiej dzielnicy Muldoon. W środku nie było nikogo. Obiecał, że jeśli będzie posłuszna i wykona wszystkie polecenia, żadna krzywda jej się nie stanie. Poleciał, żeby rozebrała się do naga, zgwałcił ją i zaczął się nad nią fizycznie znęcać, przygryzając jej sutki i wciskając młotek do pochwy. Przypiął ją kajdankami do słupa w piwnicy i poszedł się zdrzemnąć. Wrócił po kilku godzinach. Oświadczył, że bardzo ją polubił i zamierza ją zawieźć prywatnym samolotem do swojej chaty w lesie. Będą tam uprawiać seks, a potem odwiezie ją z powrotem do Anchorage i puści wolno.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że szansa na to jest raczej niewielka. Mężczyzna już ją zgwałcił i torturował, a ani przez chwilę nie próbował ukrywać swojej tożsamości. Wiedziała, że jeśli trafi do tego samolotu, znajdzie się w prawdziwych opałach. Uciekła, kiedy porywacz ładował zapasy do samolotu. Biegła prosto przed siebie z nadzieją, że ktoś przyjdzie jej z pomocą. Na szczęście natknęła się na policjanta.

Z opisu wynikało, że porywaczem jest Robert Hansen. Mężczyzna miał czterdzieści kilka lat, dorastał w Iowa, a od siedemnastu lat mieszkał w Anchorage. Prowadził dobrze prosperującą piekarnię i uchodził za wyróżniającego się obywatela lokalnej wspólnoty. Miał żonę, córkę i syna. Kiedy policjanci podwieźli dziewczynę pod dom Hansena w Muldoon, potwierdziła, że właśnie tam była torturowana. Pojechali na lotnisko, gdzie zidentyfikowała należący do Hansena samolot Piper Super Cub.

Policjanci wrócili do Hansena i przedstawili mu zarzuty wysunięte przez dziewczynę. Zareagował wściekłością. Twierdził, że nigdy nie widział jej na oczy i jest oczywiste, że dziewczyna próbuje naciągnąć go na odszkodowanie, korzystając z jego wysokiej pozycji społecznej. Jej opowieść nie miała, jego zdaniem, najmniejszego sensu.

– Jak można zgwałcić prostytutkę? – spytał retorycznie policjantów.

Poza tym Hansen miał alibi. Żona i dzieci przebywali co prawda w Europie, ale owego wieczoru jadł kolację z dwoma współnikami. Podał nazwiska, a mężczyźni potwierdzili jego zeznania. Pomijając relację młodej kobiety, policja nie dysponowała żadnymi dowodami i nie mogła aresztować ani oskarżyć Hansena.

Mimo to policjanci z Anchorage i policjanci stanowi wyczuli swąd zbrodni. Wiedzieli, że gdzieś w okolicy wybuchł pożar.

W 1980 roku robotnicy przekopujący Eklutna Lake Road natrafili na szczątki kobiety. Ciało zostało częściowo zjedzone przez niedźwiedzie, ale ze śladów wynikało, że kobieta została zakłuta nożem i pochowana w płytkim grobie. „Annie z Eklutny” nie zdołano zidentyfikować; mordercy nie schwytano.

W tym samym roku w żwirowym wyrobisku pod Seward znaleziono zwłoki Joanne Messiny, z kolei we wrześniu 1982 roku myśliwi polujący nad rzeką Knik natknęli się na płytki grób z ciałem dwudziestotrzyletniej Sherry Morrow, tancerki go-go, która zaginęła w listopadzie poprzedniego roku. Została trzykrotnie postrzelona. Leżące nieopodal łuski wskazywały, że pociski wystrzelono z potężnej broni myśliwskiej, rugera mini-14 kalibru .223. Niestety, na Alasce była to popularna strzelba i niemożliwe byłoby nawet odszukanie i przesłuchanie wszystkich, którzy ją posiadali. Co zastanawiające, w ubraniu dziewczyny nie było dziur po kulach, co oznaczało, że była naga, kiedy do niej strzelano.

Niemal dokładnie rok później w płytkim grobie przy brzegu rzeki Knik odkryto kolejne ciało. Była to Paula Golding, bezrobotna sekretarka, która w akcie desperacji zaczęła zarabiać na utrzymanie jako tancerka erotyczna. Ją również zastrzelono z rugera mini-14. Zaginęła w kwietniu. Kilka miesięcy później doszło do porwania siedemnastoletniej prostytutki, która uciekła i opowiedziała o wszystkim policji. Po uzupełnieniu listy ofiar o Golding wydział śledczy policji stanowej postanowił bliżej przyjrzeć się panu

Hansenowi.

Choć policja dysponowała już nazwiskiem podejrzanego, nie chciałem, aby dotychczasowe ustalenia w jakikolwiek sposób zaciążyły na mojej analizie. Podczas pierwszej rozmowy telefonicznej zastrzegłem, że nie chcę znać żadnych szczegółów na temat Hansena.

– Opowiedzcie mi o samych zbrodniach, a ja scharakteryzuję mordercę – powiedziałem.

Opisali morderstwa oraz relację kobiety. Ja przedstawiłem im prawdopodobny przebieg wydarzeń i sylwetkę sprawcy. Według nich znakomicie pasowała do podejrzanego, który nawet – zgodnie z moimi przewidywaniami – się jąkał. Dopiero wtedy opowiedzieli mi o Hansenie, jego piekarni, rodzinie, pozycji we wspólnocie i reputacji znakomitego myśliwego. Czy ktoś taki byłby moim zdaniem zdolny do popełnienia opisanych zbrodni?

– Oczywiście – odpowiedziałem.

Problem w tym, że dysponowali relacją ustną, a brakowało im materialnych dowodów pozwalających na wniesienie oskarżenia. Jedyнным sposobem, by posłać gościa za kratki, było wyciągnięcie od niego przyznania się do winy. Policjanci zapytali, czy przyleciałbym na Alaskę i pomógł w rozwiązaniu tej sprawy.

W pewnym sensie miałem do czynienia z dokładną odwrotnością tego, czym się normalnie zajmujemy: znając tożsamość podejrzanego, próbowaliśmy rozstrzygnąć, czy jego pochodzenie, osobowość i zachowanie pasowały do sprawcy zbrodni.

Zabrałem ze sobą Jima Horna, który niewiele wcześniej przeszedł do naszej jednostki z rezydentury w Boulder w stanie Kolorado. W przeszłości uczestniczyliśmy razem w szkoleniu dla nowych agentów, a kiedy dostałem pozwolenie na zatrudnienie czterech nowych współpracowników, złożyłem Jimowi propozycję powrotu do Quantico. Obecnie on i Jim Reese są głównymi specjalistami w FBI od zarządzania stresem; wykonują niezwykle

odpowiedzialną i ważną pracę. Morderstwa na Alasce były jedną z pierwszych spraw, którą Horn zajmował się w Jednostce Nauk Behawioralnych.

Podróż do Anchorage należała do najbardziej ekscytujących i najmniej przyjemnych delegacji w moim życiu. Kończyła się przyprawiającym o zawrót głowy i gęsią skórę przelotem tuż nad powierzchnią wody. Policjanci odebrali nas z lotniska i zawieźli do hotelu. Po drodze minęliśmy kilka lokali, w których pracowały ofiary. Przez większą część roku panowały zbyt niskie temperatury, by dziwki mogły pracować na dworze. Klientów szukały w barach czynnych niemal całą dobę; zamykano je na jakąś godzinę, aby wysprzątać salę i pozbyć się pijaków. W tamtym czasie Alaska miała jeden z najwyższych wskaźników samobójstw, alkoholizmu i chorób wenerycznych w kraju, głównie za sprawą dużej liczby pracowników zatrudnionych przy budowie rurociągów. Była taką współczesną wersją pogranicza Dzikiego Zachodu.

Na Alasce panowała dziwna atmosfera. Odniosłem wrażenie, że cały czas trwał konflikt między rdzennymi mieszkańcami a przybyszami z „południowej czterdziestki ósemki”, czyli pozostałych stanów. Po ulicach paradowało wielu umięśnionych, mocno wytatuowanych facetów wyglądających, jakby urwali się z planu reklamy Marlboro. Ze względu na duże odległości między miejscowościami niemal każdy miał własny samolot – Hansen niczym się nie wyróżniał.

Nas intrygował fakt, że po raz pierwszy profil psychologiczny miał posłużyć za podstawę do uzyskania nakazu rewizji. Przystąpiliśmy do analizy dostępnych informacji na temat morderstw i Roberta Hansena.

Rozważając sprawę od strony wiktymologicznej, należało zauważyć, że ofiary były prostytutkami lub tancerkami erotycznymi. Stanowiły ułamek ogromnej masy potencjalnych ofiar przemieszczających się wzdłuż Zachodniego Wybrzeża. Ponieważ prostytutki nieustannie przenosiły się z miejsca na miejsce i nie miały zwyczaju powiadamiania policji o nowym adresie zamieszkania, do momentu znalezienia zwłok zazwyczaj nikt nie podejrzewał, że coś złego im się

przydarzyło. Przed tym samym problemem stanęły policja i FBI próbujące ustalić tożsamość Mordercy znad Green River w stanie Waszyngton. Wiedzieliśmy zatem, że morderca wybierał tylko te kobiety, których zniknięcia nikt by nie zauważył.

Brakowało nam niektórych szczegółów z przeszłości Hansena, ale te informacje, którymi dysponowaliśmy, pasowały do profilu. Był niskim mężczyzną o drobnej budowie ciała i twarzy silnie oszpeconej bliznami. Mocno się jąkał. Podejrzywałem, że jako nastolatek cierpiał na poważną chorobę skóry, co w połączeniu z jękaniem się sprawiło, że rówieśnicy, a zwłaszcza dziewczyny, drwili z niego i nie chcieli się z nim zadawać. Niskie poczucie własnej wartości mogło nawet skłonić go do przeprowadzki na Alaskę – pogranicza dającego szansę na nowy początek. Z psychologicznego punktu widzenia znęcanie się nad prostytutkami jest standardowym sposobem odgrywania się na kobietach w ogóle.

Bardzo poważnie potraktowałem również informację, że Hansen cieszył się w okolicy reputacją wytrawnego myśliwego – sławę zdobył, trafiając z kuszy owcę Dalla podczas polowania w górach Kuskokwim. Nie sugeruję bynajmniej, że większość myśliwych ma problemy emocjonalne, ale z doświadczenia wiem, że jedną z metod radzenia sobie z poczuciem nieprzystosowania do społeczeństwa jest polowanie oraz zabawa bronią palną i białą. Silne jękanie się przywodziło na myśl sprawę Davida Carpentera, Przyszłakowego Mordercy z San Francisco. Podejrzywałem, że i w tym wypadku problem z wymową znika, gdy Hansen ma poczucie dominacji i kontroli nad ofiarą.

Chociaż nigdy wcześniej nie spotkaliśmy się z takim przypadkiem, w mojej głowie zaczynała się tworzyć spójna wizja. Zwłoki prostitutek i tancerek erotycznych znajdowano na odległych, zalesionych terenach. Z ran wynikało, że zostały zastrzelone z broni myśliwskiej. Co najmniej w jednym przypadku kule trafiły w nagie ciało. Siedemnastolatka, która zdołała uciec, twierdziła, że Robert Hansen zamierzał przewieźć ją samolotem do swojej chaty w lesie. Mężczyzna

wysłał żonę i dzieci do Europy na całe lato i mieszkał samotnie.

Nabrałem przekonania, że – podobnie jak generałowi Zaroffowi w *The Most Dangerous Game* – Robertowi Hansenowi znudziło się strzelanie do łośi, niedźwiedzi i owiec Dalla. Postanowił zapolować na ciekawszą zwierzynę. Zaroff wykorzystywał do tego celu schwytanych żeglarzy, którzy rozbijali się na celowo nieoznakowanych skałach w kanale prowadzącym na jego wyspę.

„Poluję na najgorsze męty, żeglarzy z zabłąkanych statków. Rasowy koń lub pies wart jest więcej niż którykolwiek z nich”.

Podjeźrzałem, że Hansen w podobny sposób traktował prostytutki. Należały do kategorii ludzi, których mógł uważać za gorszych i mniej wartościowych od siebie. Brak talentu oratorskiego w niczym mu nie przeszkadzał – wystarczyło wybrać jedną z nich, uwięzić, przewieźć samolotem na pustkowie, rozebrać do naga, puścić wolno, a następnie zapolować sobie na nią za pomocą karabinu i noża.

Jego *modus operandi* podlegał zmianom. Pierwsze ofiary po prostu zamordował, a następnie wywiózł ciała samolotem w jakieś odległe miejsce. Te zbrodnie popełnił w gniewie. Później zaczął zmuszać ofiary do błagania o litość. W pewnym momencie przyszło mu do głowy, że mógłby połączyć morderstwa z pasją myśliwego i polować na żywe ofiary dla rozrywki i seksualnego zaspokojenia. Taki scenariusz zapewniał mu całkowitą kontrolę nad ofiarami. Okazał się również uzależniający – Hansen wciąż potrzebował nowych ofiar.

Mieliśmy zatem podstawę do wystąpienia o nakaz rewizji. Policjanci chcieli, abyśmy z Jimem sporządzili na piśmie oświadczenie skierowane do sądu, w którym wyjaśnilibyśmy, czym jest profilowanie, co spodziewamy się znaleźć w domu podejrzanego oraz jakie rozumowanie doprowadziło nas do sformułowania takich, a nie innych wniosków.

Inaczej niż dla zwykłego przestępcy lub osoby używającej broni palnej jako zwyczajnego narzędzia karabin myśliwski miał dla Hansena duże znaczenie. Na tej podstawie przewidziałem, że będzie go trzymał w domu, choć nie na widoku:

w komórcie, za boazerią lub w skrytce w ścianie, na strychu albo w podobnym miejscu.

Domyślałem się również, że podejrzany jest nietypowym „ciulaczem”. Wielu morderców seksualnych zabiera na pamiątkę jakiś przedmiot z ciała ofiary i daje go później w prezencie swojej dziewczynie lub żonie. Hansen nie mógłby zawiesić na ścianie odciętych głów kobiet, jak to się czyni z łbami upolowanych zwierząt, prawdopodobnie kolekcjonował zatem coś innego. Ponieważ ciała ofiar nie nosiły oznak okaleczenia, przyjąłem, że zabierał biżuterię, którą mógłby sprezentować później żonie lub córce. Wyraźnie nie zatrzymywał bielizny ofiar ani innych przedmiotów, których brak mogliśmy łatwo stwierdzić, choć mógł zabierać z portfeli ofiar małe fotografie albo coś podobnego. Doświadczenie podpowiadało mi, że osoba o tego rodzaju osobowości będzie prowadzić pamiętnik lub listę ataków.

Kolejnym zadaniem było obalenie alibi. Wspólnicy Hansena bez wahania potwierdzili, że spędził wieczór w ich towarzystwie, ponieważ nic im za to nie groziło. Gdybyśmy sprawili, że kłamstwo mogłoby ich drogo kosztować, sytuacja uległaby zmianie. Na wniosek policji z Anchorage i za zgodą sądu prokurator okręgowy wszczął śledztwo w sprawie porwania i napaści na młodą prostytutkę, która zidentyfikowała napastnika jako Hansena. Kiedy do tego doszło, policja skontaktowała się z jego partnerami biznesowymi i poprosiła o ponowne złożenie zeznań. Tym razem zostali ostrzeżeni, że za kłamstwo przed łąwą przysięgłych grożą poważne konsekwencje.

Zgodnie z naszymi przewidywaniami to wystarczyło, aby zmienili zdanie. Przyznali, że nie spędzili tamtego wieczoru w towarzystwie Hansena. Wcześniej skłamali, ponieważ poprosił ich o pomoc w wykaraskaniu się z, jak się wyraził, „niezręcznej sytuacji”.

Hansena aresztowano pod zarzutem porwania i gwałtu. Natychmiast wydano nakaz przeszukania jego domu, gdzie policja znalazła karabin ruger mini-14. Badania balistyczne potwierdziły, że łuski znalezione obok ciał kobiet były

pozostałością pocisków wystrzelonych z tej broni. Tak jak podejrzewaliśmy, w domu znajdował się wspaniale udekorowany pokój z trofeami myśliwskimi, w którym Hansen oglądał telewizję otoczony głowami zwierząt, kłami morsów, porożami, wypchanymi ptakami oraz porozkładanymi na podłodze skórami. Pod deskami podłogowymi na strychu policjanci znaleźli broń, tanią biżuterię należącą do ofiar oraz zegarek marki Timex. Niektóre ze zrabowanych przedmiotów Hansen podarował żonie i córce. W domu znaleziono również prawo jazdy i dowody tożsamości zamordowanych kobiet. Nie natrafiono na dziennik, niemniej policjanci znaleźli jego odpowiednik w postaci mapy lotniczej z zaznaczonymi miejscami porzucenia ciał.

Wszystko to wystarczyło oczywiście do przyskrzynienia Hansena. Warto pamiętać, że nie dysponowalibyśmy niezbędnymi dowodami bez nakazu rewizji, a jedynym sposobem jego zdobycia było przekonanie sędziego, że istniały przekonujące poszlaki behawioralne uprawdopodobniające winę Hansena.

Od tego czasu wielokrotnie pomagaliśmy w przygotowaniu podobnych wniosków, które pozwalały na aresztowanie podejrzanych. Zapewne najśłynniejszym przypadkiem był sprawa Stevena Pennella z Delaware, Mordercy z I-40”, który został stracony w 1992 roku za torturowanie i zabicie kobiet, jakie zwabił do swojej furgonetki.

Kiedy policja z Anchorage i policjanci stanowi w końcu przesłuchali Roberta Hansena w lutym 1984 roku, ja dochodziłem do siebie po ataku w Seattle. Roy Hazelwood, który bohatercko wziął na siebie moje obowiązki, przeskolił policjantów z technik przesłuchań.

Podobnie jak podczas pierwszego przesłuchania, i tym razem Hansen wszystkiemu zaprzeczył. Powołał się na szczęśliwe życie rodzinne i sukcesy w biznesie. Początkowo twierdził, że łuski z jego strzelby znalazły się w różnych miejscach, ponieważ ćwiczył tam strzelanie. Obecność zwłok miała być zwyczajnym zbiegiem okoliczności. W końcu, w obliczu przytłaczających dowodów oraz z obawy przed karą śmierci, której mógłby zażądać

rozzłoszczony prokurator, przyznał się do popełnienia morderstw.

Próbował uzasadnić i usprawiedliwić swoje czyny. Stwierdził, że od prostytutek oczekiwał wyłącznie seksu oralnego, bo miał poczucie, że nie powinien do niego zmuszać swojej żony, porządnej kobiety, a jeśli dziwka potrafiła go zaspokoić, puszczał ją wolno. Karał tylko te, które nie wykonywały poleceń i próbowały przejąć kontrolę nad sytuacją.

W tym sensie zachowanie Hansena stanowiło dokładne potwierdzenie tego, czego nauczyła nas rozmowa w więzieniu z Montem Rissellem. Hansen i Rissell mieli kompleks niższości i traumę trudnego dzieciństwa. Rissell z największą wściekłością atakował te kobiety, które próbowały go ułagodzić obietnicą fałszywej przyjaźni lub rozkoszy. Nie zdawały sobie sprawy, że dla człowieka o tym typie osobowości najważniejsze są władza i całkowita kontrola.

Hansen utrzymywał, że trzydzieści do czterdziestu prostitutek dobrowolnie wsiadło do jego samolotu i bezpiecznie go potem opuściło. Uważałem to twierdzenie za mało wiarygodne. prostytutki, które wybierał, nastawiały się na szybkie załatwienie sprawy i poszukiwanie kolejnego klienta. Większość z nich potrafi znakomicie oceniać ludzi i nie zgodzi się na wycieczkę samolotem na pustkowie z nieznanym frajerem. Błąd popełniały, pozwalając się zawieźć do jego domu. Ledwie przekroczyły próg, było już po nich.

Podobnie jak jego literacki odpowiednik generał Zaroff, Hansen twierdził, że polował i zabijał jedynie ludzi należących do pewnej kategorii. Nie przyszłoby mu do głowy, aby skrzywdzić „porządną” kobietę; prostytutki i tancerki erotyczne nadawały się w jego oczach na ofiary. „To nieprawda, że nienawidzę wszystkich kobiet [...], ale prostytutki chyba rzeczywiście uważam za podrzędniejsze od siebie [...]. Zupełnie jakbyśmy grali w baseball: gdyby one nie rzucały piłki, nie miałbym czego odbijać”.

Kiedy rozpoczął polowania, samo zabijanie przestało sprawiać mu przyjemność.

„Emocje budzi tropienie ofiary”, zeznał przesłuchującym go policjantom.

Potwierdził nasze podejrzenia na temat jego dzieciństwa. Dorastał w Pocahontas w stanie Iowa. Jego ojciec był piekarzem. Jako dziecko Robert podwędzał towary ze sklepów, ale nawet jako dorosły, kiedy miał już pieniądze, kradł dla samej przyjemności. Problemy w relacjach z dziewczynami zaczęły się w szkole średniej. Ludzie unikali go z powodu jąkania się i trądziku. „Ponieważ wyglądałem i brzmiałem jak dziwadło, kiedy tylko spojrzałem na jakąś dziewczynę, ona odwracała wzrok”. Służbę wojskową odbył bez większych wydarzeń, po czym ożenił się w wieku dwudziestu dwóch lat. Wielokrotnie był skazany za podpalenia i włamania. Rozwiódł się i ponownie ożenił. Kiedy jego druga żona skończyła college, przeprowadzili się na Alaskę. Tam zaczął wszystko od nowa, choć problemy z prawem ciągnęły się jeszcze przez kilka lat. Został kilkakrotnie oskarżony o napastowanie kobiet, które nie chciały się zgodzić na zbliżenie. Co ciekawe, podobnie jak wielu innych morderców, jeździł wtedy volkswagenem garbusem.

27 lutego 1984 roku Hansen przyznał się do czterech morderstw, gwałtu, porwania, kradzieży i nielegalnego posiadania broni. Został skazany na czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć lat więzienia.

Zanim policja mogła przystąpić do działania w jego sprawie, musieliśmy ustalić, czy wszystkie morderstwa prostytutek i tancerek erotycznych w Anchorage zostały lub mogły zostać popełnione przez tę samą osobę. Znalezienie związku między przestępstwami to często kluczowy element śledztwa. Mniej więcej w tym czasie, gdy na Alasce znaleziono ciało pierwszej ofiary Roberta Hansena, zostałem poproszony przez policję z Buffalo w stanie Nowy Jork o ocenę wielu brutalnych morderstw o przypuszczalnie rasowym podłożu.

22 września 1980 roku czternastoletni Glenn Dunn został śmiertelnie postrzelony na parkingu przed supermarketem. Świadkowie opisali sprawcę jako młodego białego mężczyznę. Następnego dnia trzydziestodwuletni Harold Green zginął od kuli w barze w Cheektowaga, przedmieściu Buffalo, a trzydziestoletni

Emmanuel Thomas został zabity przed swoim domem w tej samej dzielnicy, w której doszło do morderstwa poprzedniego dnia. Dzień później inny mężczyzna, Joseph McCoy, został zamordowany w Niagara Falls.

Powszechnie sądzono, że wszystkie te bezsensowne morderstwa łączą jedynie dwa czynniki: ofiarami byli czarni mężczyźni, a ginęli od pocisków kalibru .22. Prasa natychmiast nadała sprawcy przydomek Morderca Kaliber .22.

W Buffalo narastało napięcie na tle rasowym. Czarnych mieszkańców ogarnęło poczucie bezsilności, a policję oskarżali o bezczynność. Pod pewnymi względami sytuacja przypominała Atlantę i jak zwykle, zamiast się poprawić, jeszcze bardziej się zaogniła.

8 października w Amherst na przedmieściach Buffalo znaleziono siedemdziesięcioletniego czarnego taksówkarza Parlera Edwardsa (w bagażniku jego własnej taksówki). Ktoś wyciął mu serce. Następnego dnia inny czarny taksówkarz, czterdziestoletni Ernest Jones, został znaleziony na brzegu rzeki Niagara – i jemu wydarto serce z klatki piersiowej. Na terenie Buffalo kilka kilometrów dalej stała zaparkowana pobrudzona krwią taryfa. Nazajutrz biały mężczyzna, odpowiadający z grubsza rysopisowi Mordercy Kaliber .22, wszedł do sali w szpitalu, gdzie leżał trzydziestosiedmioletni Collin Cole, i oznajmił mu: „Nienawidzę czarnuchów”, po czym próbował go udusić. Na szczęście spłoszyła go pielęgniarka, co uratowało Cole’owi życie.

W mieście zawrzało. Władze obawiały się masowych wystąpień grup zrzeszających czarnych obywateli. Na prośbę szefa FBI w Buffalo Richarda Bretzinga przyjechałem natychmiast na miejsce. Bretzing był niezwykle porządnym, solidnym gościem, przykładnym mężem i ojcem oraz jedną z głównych postaci tak zwanej Mafii Mormonów w FBI. Nigdy nie zapomnę hasła, które wisiało w jego biurze: „Jeżeli mężczyzna nie sprawdza się w domu, nie sprawdza się w życiu”.

Tradycyjnie zacząłem od analizy wiktymologicznej. Policja doszła do słusznego wniosku, że sześciu ofiar nie łączył żaden istotny wspólny mianownik

poza rasą oraz, jak podejrzewałem, najzwyczajszym pechem. Wydawało się raczej pewne, że wszystkie zabójstwa dokonane za pomocą broni kalibru .22 popełnił ten sam człowiek, wiedziony poczuciem misji i dokonujący swoistej egzekucji na ofiarach. Jedynym narzucającym się psychologicznym wyjaśnieniem była patologiczna nienawiść rasowa. Żadne inne cechy ofiar go nie interesowały.

Podejrzewałem, że sprawca może należeć do jakiejś grupy głoszącej nienawiść, a nawet organizacji wyznającej pozytywne cele i wartości, na przykład Kościoła. Mógł sądzić, że swoimi poczynaniami działa dla ich dobra. Właśnie dlatego sądziłem, że służył w wojsku, ale został szybko zwolniony ze względu na problemy psychiczne lub nieumiejętność adaptacji do żołnierskiego życia. Sprawca jest człowiekiem racjonalnym i zorganizowanym, wyznawany przez niego system rasistowskich urojeń okaże się wewnątrznie uporządkowany i „logiczny”.

Dwa pozostałe przypadki, makabryczne zabójstwa taksówkarzy, również miały podłoże rasowe, ale w mojej ocenie sprawcą był ktoś inny. Te zbrodnie popełniła osoba niezorganizowana, patologicznie zdezorientowana, być może doznająca halucynacji; byłem w zasadzie pewien, że zdiagnozowano u niej kiedyś schizofrenię paranoidalną. Z miejsc zbrodni emanowały wręcz gniew sprawcy i pragnienie całkowitego podporządkowania ofiar, a zastosowana metoda zabójstwa była przesadna. Gdyby cztery morderstwa dokonane za pomocą broni palnej i dwa połączone z wypatroszeniem ofiar miała popełnić jedna osoba, między zabójstwami Josepha McCoya i Parlera Edwardsa (które dzieliły niecałe dwa tygodnie) musiałoby dojść do rozpadu osobowości sprawcy. Przeczyły temu wydarzenia w szpitalu – jeżeli tamten napastnik był faktycznie Mordercą Kaliber .22. Poza tym mój instynkt i doświadczenie podpowiadały mi, że chorobliwe fantazje człowieka wrywającego ofiarom serca rozwijały się co najmniej przez kilka lat. Rabunek nie był motywem żadnego z sześciu morderstw, ale cztery pierwsze ofiary zlikwidowano szybko, a sprawca

natychmiast zniknął, natomiast w dwóch pozostałych wypadkach spędzał wiele czasu na miejscu zbrodni. Gdybym miał doszukiwać się jakiegokolwiek związku między morderstwami, powiedziałbym raczej, że psychopata wycinający ofiarom serca mógł zostać sprowokowany przez rasistę mordującego czarnych mieszkańców lokalnej społeczności.

22 grudnia w środku Manhattanu czterej Afroamerykanie i jeden Latynos zginęli w ciągu trzynastu godzin z rąk Rzeźnika z Centrum. Dwóch innych Afroamerykanów cudem uniknęło śmierci. 29 i 30 grudnia Rzeźnik zaatakował ponownie (jak sądzono), zabijając trzydziestoletniego Rogera Adamsa w Buffalo i dwudziestosześcioletniego Wendella Barnesa w Rochester. Przez następne dni trzech czarnych mężczyzn otało się o śmierć w podobnych atakach w Buffalo.

Nie mogłem dać głowy, że Morderca Kaliber .22 był Rzeźnikiem z Centrum, mogłem jedynie zapewnić policję, że zbrodnie popełnił ten sam typ osoby: kierującej się pobudkami rasistowskimi i mordującej ofiary z zaskoczenia w taki sposób, jakby wykonywał egzekucję.

W kolejnych miesiącach sprawa Mordercy Kaliber .22 rozdzieliła się na dwa wątki. W styczniu dwudziestopięcioletni szeregowy Joseph Christopher został aresztowany w Forcie Benning w stanie Georgia (gdzie trzy lata wcześniej William Hance, podszywając się pod Siły Zła, próbował wykorzystać motyw rasizmu do zatuszowania kilku morderstw) i oskarżony o zamordowanie czarnego żołnierza. W jego dawnym domu w Buffalo policja natknęła się na duże ilości amunicji kalibru .22 oraz strzelbę z uciętą lufą. Christopher wstąpił do wojska kilka miesięcy wcześniej, w listopadzie, i był na przepustce w czasie, gdy popełniono morderstwa w Buffalo i na Manhattanie.

Jeszcze w areszcie w Forcie Benning przyznał się kapitanowi Aldrichowi Johnsonowi, oficerowi dowodzącemu, że odpowiada za „wydarzenia w Buffalo”. Został oskarżony o zamordowanie jednej osoby z broni palnej oraz kilku za pomocą noża, uznano go za winnego, a po krótkim sporze dotyczącym

poczytalności skazano na sześćdziesiąt lat więzienia. Kapitan Matthew Levine, psychiatra, który badał Christophera w szpitalu wojskowym Martin, był zdumiony, jak bardzo Joseph przypomina postać z profilu Mordercy Kaliber .22. Jego pacjent również nie potrafił przystosować się do żołnierskiego życia.

Christopher nie przyznał się do zamordowania dwóch taksówkarzy, ale też się tego nie wypierał. Nie został o to oskarżony, zresztą zbrodnie nie pasowały do pozostałych, zarówno ze względu na *modus operandi*, jak i sygnatury. Czas, by wyjaśnić te dwa niezwykle istotne pojęcia z zakresu analizy kryminalistycznej. Spędziłem wiele godzin na salach sądowych, tłumacząc sędziom i ławnikom, czym się od siebie różnią.

Modus operandi (MO) to zachowanie wyuczone. Tworzą go czynności, które sprawca wykonuje, aby popełnić przestępstwo. MO ma charakter dynamiczny – może się zmieniać. Sygnatura (termin mojego autorstwa) – w przeciwieństwie do MO – opisuje to, co sprawca musi uczynić, aby mieć poczucie zaspokojenia. Sygnatura ma charakter statyczny – nie podlega zmianom.

Nie możemy na przykład oczekiwać, że przestępca będzie popełniał kolejne zbrodnie w identyczny sposób, chyba że już za pierwszym razem odkryje perfekcyjną metodę. Jeśli jednak kolejne przestępstwa będą uchodziły mu na sucho, z każdego wyciągnie jakąś naukę i w ten sposób będzie się doskonalił. Właśnie dlatego mówimy, że MO jest dynamiczny. Jeśli jednak ów człowiek popełnia przestępstwa, aby uzyskać poczucie dominacji, zadać ból, sprowokować ofiarę do błagania o litość, to taki czynnik nazwiemy sygnaturą sprawcy. Jest to coś, co musi robić.

W wielu stanach prawo pozwala prokuratorom wykazywać związek między przestępstwami jedynie na podstawie MO. Z wcześniejszych przykładów wynika, jak sądzę, że jest to archaiczna metoda. W sprawie Christophera obrońca mógłby przekonywać, że zabójstwa z Buffalo popełnione za pomocą broni palnej kalibru .22 oraz te z centrum Manhattanu popełnione przy użyciu

noża charakteryzowały się wyraźnie różnym *modus operandi*. Miałyby rację, tyle że łączy je sygnatura – podsycana nienawiścią rasową skłonność do mordowania przypadkowo wybranych czarnych mężczyzn.

Z kolei ludzie, którzy zginęli od kul, oraz ci, którym wycięto serca, padli ofiarą morderców o wyraźnie odmiennych sygnaturach. Osobnikiem, który wycinał serca, kierowała co prawda podobna motywacja, ale miał zrytualizowaną, obsesyjno-kompulsywną sygnaturę. Obaj czerpali jakąś satysfakcję z aktu morderstwa, ale każdy inną.

MO i sygnaturę mogą dzielić subtelne różnice. Przeanalizujmy sprawę pewnego rabusia banków z Teksasu. W trakcie napadów nakazywał wszystkim zakładnikom rozbierać się do naga, ustawiał ich w pozycjach sugerujących akt seksualny i fotografował. To była jego sygnatura. Działania te nie były niezbędnym elementem napadu na bank, wręcz sprawiały, że zajmowało mu to więcej czasu, a więc zwiększały ryzyko. Mimo to najwyraźniej było mu to do czegoś potrzebne.

Inny charakter miała sprawa napadów na banki w Grand Rapids w stanie Michigan. Poleciałem na miejsce, aby pomóc w rozwiązaniu sprawy. Sprawca również kazał się rozbierać wszystkim zakładnikom, ale ich nie fotografował. Miał inny cel: chciał, aby ludzie byli zaabsorbowani i zawstydzeni swoją nagością i nie patrzyli na niego, żeby nie potrafili go później zidentyfikować. W tym wypadku rozbieranie zakładników do naga było środkiem pomagającym w skutecznym napadzie na bank. Było to MO sprawcy.

Analiza sygnatury odegrała istotną rolę w prowadzonym w 1989 roku procesie Stevena Pennella w Delaware, a nasza analiza pomogła w uzyskaniu nakazu rewizji. Steve Mardigian z mojej jednostki współpracował ściśle z prowadzącym śledztwo oddziałem policji z hrabstwa New Castle. Dzięki sporządzonemu przez niego profilowi policja mogła zawęzić grupę podejrzanych i opracować skuteczną strategię schwytania mordercy.

Przy autostradach międzystanowych numer 40 i 13 znajdowano zwłoki

prostytutek. Kobiety zostały uduszone, ich czaszki były pęknięte, a ciała nosiły wyraźne ślady gwałtu i tortur. Steve stworzył niezwykle trafny profil sprawcy. Jego zdaniem był to biały mężczyzna w wieku dwudziestu ośmiu–trzydziestu dwóch lat, pracownik branży budowlanej. Miał furgonetkę o dużym przebiegu, którą często krążył po drogach w poszukiwaniu ofiar. Pozował na *macho*, miał żonę lub dziewczynę i lubił sprawować kontrolę nad kobietami. Narzędzia zbrodni przywoził ze sobą, a po dokonaniu morderstwa niszczył dowody. Znał dobrze okolicę i starannie wybierał miejsca porzucenia ciał. Podczas popełniania zbrodni zachowywał się beznamiętnie. Serię morderstw mogło przerwać jedynie aresztowanie sprawcy.

Steven B. Pennell był trzydziestojednoletnim białym mężczyzną, który wykonywał zawód elektryka, miał białą furgonetkę o dużym przebiegu, którą często krążył po ulicach w poszukiwaniu ofiar. Pozował na *macho*, był żonaty, ale lubił dominację nad kobietami, woził w furgonetce starannie przygotowane narzędzia, które wykorzystywał podczas gwałtów, i próbował zniszczyć dowody, kiedy dowiedział się o podejrzaniach policji. Znał dobrze okolicę i na podstawie tej wiedzy wybierał miejsca porzucenia ofiar. Podczas popełniania zbrodni zachowywał się beznamiętnie, a zanim został schwytany, wciąż zabijał.

Mardigian zasugerował, aby policja wystawiła w charakterze przynęty policjantkę przebraną za tirówkę. Przez dwa miesiące oficer Renee C. Lano krążyła wzdłuż autostrad, czekając, aż zatrzyma się przy niej furgonetka, której kierowca pasowałby do profilu sprawcy. Policję interesowała zwłaszcza wykładzina z kabiny kierowcy, na jednej z ofiar znaleziono bowiem niebieskie włókna, które mogły pochodzić z wykładziny spotykanej w samochodach. Lano wyraźnie zakazano wsiadania do furgonetki – choć miała na sobie podsłuch, mogłoby się to równać wyrokowi śmierci – a jej jedyne zadanie polegało na zdobyciu możliwie największej ilości informacji. Kiedy wreszcie zatrzymał się przy niej facet o odpowiednich cechach, wciągnęła go w rozmowę, negocjując uparcie cenę za swoje usługi. Kiedy przez otwarte drzwi od strony pasażera

zauważyła niebieską wykładzinę, zaczęła się głośno zachwycać wnętrzem furgonetki i jakby od niechcienia skrobać paznokciami wykładzinę. Laboratorium FBI potwierdziło później, że zdobyte przez nią włókna odpowiadały tym znalezionym na ciele jednej z ofiar.

Zostałem wezwany na świadka w procesie Pennella. Miałem wyjaśnić rolę, jaką w tej sprawie odegrała sygnatura. Obrona próbowała wykazać, że z powodu znaczących różnic w *modus operandi* istniało nikłe prawdopodobieństwo, aby wszystkie morderstwa zostały popełnione przez tę samą osobę. Ja wyjaśniłem, że niezależnie od MO wspólnym mianownikiem morderstw było poddawanie ofiar fizycznym, seksualnym i emocjonalnym torturom. W niektórych przypadkach morderca ścisnął kobietom szczypcami piersi i odcinał sutki. W innych związywał kobietom nadgarstki i kostki, rozcinał skórę na nogach, chłostał je, bił po pośladkach albo uderzał w nie młotkiem. Niezależnie od różnic w stosowanych torturach – a zatem i w MO – sygnaturą była przyjemność, jaką wzbudzało w nim zadawanie bólu ofiarom i wsłuchiwanie się w ich przeraźliwe wrzaski. Nie musiał kobiet torturować, aby je zabić, ale było mu to potrzebne do uzyskania satysfakcji.

Nawet gdyby Steven Pennell żył i mógł przeczytać te słowa, nie potrafiłby zmienić swojego zachowania w następnych zbrodniach. Nawet gdyby wpadł na bardziej wymyślne metody torturowania, nie powstrzymałby się od samych tortur.

Jak wspomniałem wcześniej, stan Delaware okazał na szczęście rozsądek i przyzwoitość, skazując Pennella na karę śmierci przez zastrzyk, którą wykonano 14 marca 1992 roku.

Jedną z przełomowych spraw dla analizy sygnatury był proces George'a Russella juniora z 1991 roku, którego oskarżono o pobicie i uduszenie trzech białych kobiet w Seattle – Mary Anne Pohlreich, Andrei Levine i Carol Marie Beethe. Profil sprawcy przygotował Steve Etter, a ja pojechałem złożyć zeznania na procesie. W podobnych sprawach prokuratura obawiała się, że nie uzyska

wyroku skazującego na podstawie pojedynczego morderstwa. Policja zgromadziła najbardziej przekonujące dowody w sprawie Pohlreich, więc gdyby udało się powiązać z tym morderstwem pozostałe sprawy, prokuratura mogłaby liczyć na sukces przed sądem.

Na pierwszy rzut oka nie podejrzewalibyśmy Russella o tak ohydne zbrodnie. Był przystojnym, elokwentnym i czarującym czarnym mężczyzną po trzydziestce, miał mnóstwo przyjaciół i znajomych. Nawet policjanci z wyspy Mercer, którzy w przeszłości przyłapali go na wielu drobnych przestępstwach, nie wierzyli, że byłby zdolny do zabicia drugiego człowieka.

W 1990 roku morderstwa o podłożu seksualnym, w których sprawca i ofiara należeliby do różnych ras, nadal zdarzały się rzadko, ale w związku ze wzrostem tolerancji czynnik rasy w tego typu sprawach stopniowo tracił na znaczeniu. Opanowany, wyrafinowany człowiek pokroju Russella był znakomitym kandydatem na mordercę, ponieważ w przeszłości wielokrotnie spotykał się zarówno z czarnymi, jak i białymi kobietami oraz miał przyjaciół o różnych kolorach skóry.

Obrońca z urzędu mecenas Miriam Schwartz złożyła wniosek przedprocesowy do sędzi Patricii Aitken z sądu okręgowego hrabstwa King o rozdzielenie spraw i przeprowadzenie odrębnych postępowań. Argumentowała, że zbrodnie z pewnością zostały popełnione przez różne osoby. Oskarżyciele Rebecca Roe i Jeff Baird poprosili mnie o wyjaśnienie podobieństw łączących wszystkie morderstwa.

Wspomniałem już o wspólnym MO – ataku z zaskoczenia. Ponieważ trzy morderstwa popełniono w ciągu siedmiu tygodni, nie spodziewałem się zmiany MO, chyba że jakiś element zbrodni wymagałby, zdaniem sprawcy, udoskonalenia.

Morderca pozostawił wszystkie trzy kobiety nago w prowokacyjnych lub poniżających pozach. Seksualny podtekst tych pozycji był coraz bardziej czytelny w kolejnych morderstwach. Pierwszej ofierze spleciono dłonie

i skrzyżowano nogi w kostkach. Pozostawiono ją w pobliżu wylotu kanału ściekowego i kontenera na śmieci. Druga leżała na łóżku z poduszką pod głową, podciągniętymi i rozchylonymi nogami i strzelbą włożoną do pochwy, na nogach miała czerwone szpilki. Ostatnia leżała na swoim łóżku z rozłożonymi rękami i nogami, ze sztucznym penisem wepchniętym w usta i drugą częścią poradnika *Radość seksu* pod lewym ramieniem.

Gwałtowne ciosy były konieczne do uśmiercenia kobiet. Upokarzające pozycje.

Wyjaśniłem różnicę między upozowaniem a zainscenizowaniem miejsca zbrodni. Zainscenizowanie występuje wtedy, gdy sprawca próbuje skierować śledztwo na niewłaściwe tory, sugerując policjantom, że zbrodnia miała inny przebieg niż w rzeczywistości. Przykładem może być gwałcieciel, który próbuje upozorować wtargnięcie do domu ofiary na robotę włamywacza. Zainscenizowanie jest zatem elementem MO. Upozowanie to element sygnatury.

– Nie spotykamy się z aż tak wieloma przypadkami, w których upozowanie ofiary służy przekazaniu określonego komunikatu – wyjaśniałem podczas składania zeznań. – U podłoża takich zbrodni leży gniew i potrzeba władzy. Chodzi o przyjemność z polowania, przyjemność z zabicia ofiary i przyjemność z ułożenia jej w określony sposób i zagrania na nosie policji. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa te morderstwa popełniła jedna osoba – oświadczyłem z przekonaniem.

Bob Keppel, główny śledczy wydziału kryminalnego w biurze prokuratora stanowego i weteran oddziału specjalnego ścigającego Mordercę znad Green River, potwierdził w swoich zeznaniach, że spośród ponad tysiąca przebadanych przez niego spraw tylko w około dziesięciu wystąpiło upozowanie, a żadna z nich nie zawierała elementów charakterystycznych dla tych trzech morderstw.

Nie twierdziliśmy bynajmniej, że Russell jest winny, tylko że wszystkie trzy morderstwa popełniła ta sama osoba.

Obrona zamierzała powołać na świadka eksperta, który obaliłby moje

twierdzenia, zarzucając mi przypisywanie błędnego znaczenia sygnaturze. Miał wykazać, że tych trzech morderstw nie popełniła jedna osoba. Jak na ironię, człowiekiem tym był mój stary kumpel z FBI i partner w badaniach nad seryjnymi mordercami, Robert Ressler, który odszedł na emeryturę, ale nadal udzielał konsultacji.

Uważałem, że mamy do czynienia z dość skomplikowaną sprawą, która powinna być zajmująca dla tak doświadczonych profilerów jak Bob i ja, dlatego właśnie zaskoczyła mnie jego decyzja o przyłączeniu się do obozu oskarżonego i zeznawaniu na korzyść rozdzielenia spraw. Mówiąc otwarcie, moim zdaniem Bob całkowicie się mylił, ale jak każdy z nas wielokrotnie się przekonał, profilowanie to nie fizyka, więc Bob miał pełne prawo do odmiennego zdania. Od tego czasu stawaliśmy naprzeciwko siebie w wielu procesach, a największa różnica zdań dotyczyła kwestii poczytalności Jeffreya Dahmera. Bob zgodził się ze stanowiskiem obrony i uznał go za niepoczytalnego, ja przychyliłem się do opinii Parka Dietza, który twierdził coś przeciwnego, zeznając na rzecz oskarżenia.

Ku mojemu zaskoczeniu Bob oświadczył, że ma inne zobowiązania, i nie pojawił się na posiedzeniu sądu poprzedzającym proces Russella. W zastępstwie przysłał innego emerytowanego agenta, Russa Vorpagela. Russ to inteligentny gość. Kiedyś był mistrzem szachowym i potrafił grać jednocześnie z dziesięcioma przeciwnikami, ale profilowanie nie należało do jego specjalności, poza tym według mnie fakty przemawiały przeciwko niemu. Kiedy podważył moje stanowisko, musiał się nieźle nagimnastykować, odpowiadając na pytania Rebecki Roe. Na zakończenie przesłuchania sędzia Aitken orzekła, że bierze pod uwagę analizę sygnatury przedstawioną przez Keppela i przeze mnie, a wszystkie trzy sprawy zostaną osądzone wspólnie.

Powtórzyłem zeznanie podczas samego procesu, obalając przedstawioną przez obronę teorię o kilku mordercach. obrońca Schwartz zasugerowała, że chłopak Carol Beethe miał zarówno sposobność, jak i motyw do popełniania

morderstwa. We wszystkich dochodzeniach w sprawie zabójstwa rozważamy możliwość, że sprawcą jest małżonek lub kochanek, ale akurat tu byłem pewien, że mamy do czynienia z morderstwem o podłożu seksualnym popełnionym przez kogoś „obcego”.

Ława przysięgłych złożona z sześciu mężczyzn i sześciu kobiet zastanawiała się przez cztery dni i ostatecznie uznała George’a Waterfielda Russella juniora za winnego jednego morderstwa pierwszego stopnia i dwóch kwalifikowanych morderstw pierwszego stopnia. Został skazany na dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego; resztę życia miał spędzić w więzieniu stanowym o zaostrowym rygorze w Walla Walla.

Po raz pierwszy od ataku i śpiączki znalazłem się w Seattle. Z chęcią wróciłem do tego miasta, aby pomóc w wyjaśnieniu jakiejś sprawy po niezwykle frustrujących doświadczeniach związanych z polowaniem na Mordercę znad Green River. Zajrzałem przy okazji do Swedish Hospital i z satysfakcją wypatrzyłem pamiątkową tabliczkę, którą podarowałem szpitalowi w dowód wdzięczności. Odwiedziłem również pokój w Hiltonie z nadzieją, że przypomnę sobie przebieg wydarzeń, ale bez rezultatu. Podejrzewam, że atak był zbyt traumatycznym przeżyciem, aby mój umysł potrafił go świadomie przetworzyć. Poza tym po tylu latach spędzonych w delegacjach człowiek przestaje dostrzegać różnice między pokojami hotelowymi.

Analizę sygnatury przestępcy rozwinęliśmy do takiego poziomu, że obecnie regularnie zeznajemy w procesach seryjnych morderców – nie tylko ja, ale również inni profilerzy, którzy korzystają z tej stworzonej przeze mnie kategorii, zwłaszcza Larry Ankrom i Greg Cooper.

W 1993 roku Greg Cooper odegrał główną rolę w doprowadzeniu do skazania Gregory’ego Mosely’ego, który zgwałcił, pobił i zadźgał nożem dwie kobiety. Każde morderstwo podlegało jurysdykcji innego sądu Karoliny Północnej, a podobnie jak w sprawie Russella trudno byłoby udowodnić winę Mosely’emu, gdyby sądzono go w dwóch odrębnych procesach. Prokuratura

potrzebowała zeznań eksperta, który potwierdziłby zależność między morderstwami. Po przestudiowaniu zdjęć z miejsc zbrodni oraz akt sprawy Greg uznał, że ma podstawy do wydania tego rodzaju opinii.

Kluczowym czynnikiem analizy sygnatury w sprawie Mosely'ego był zdaniem Grega przesadny charakter zabójstw. Ofiarami padły samotne, niezamężne kobiety po dwudziestce. Obie były lekko upośledzone fizycznie i chodziły do tego samego nocnego klubu country. Zostały stamtąd porwane w odstępie kilku miesięcy. Zwłoki nosiły ślady poważnego pobicia – normalnie powiedzielibyśmy, że kobiety pobito na śmierć, gdyby nie to, że zostały również uduszone rękami i sznurem. Jedna otrzymała dwanaście ciosów nożem, stwierdzono u niej ślady penetracji pochwy i odbytu. W tej sprawie istniały dowody rzeczowe, w tym materiał genetyczny ze spermy, wskazujące na Mosely'ego. Do obu morderstw, połączonych z gwałtem i torturami, doszło w ustronnych miejscach, a zwłoki porzucono w dużej od nich odległości.

W pierwszym procesie Greg zeznał, że dowody behawioralne w postaci sygnatury wskazywały na seksualnego sadystę o niskim poczuciu własnej wartości. O poczuciu niższości świadczył dobitnie dobór ofiar, a o sadyzmie tortury, jakim je poddał. W odróżnieniu od wielu zakompleksionych, niezorganizowanych osobników ten sprawca nie okaleczał ofiar dopiero po ich uśmierceniu. Zależało mu na całkowitej fizycznej i emocjonalnej kontroli. Chciał zadawać kobietom ból i rozkoszować się sprowokowanymi w ten sposób reakcjami.

Dzięki zeznaniom złożonym w pierwszym procesie Greg pomógł prokuraturze przy drugim morderstwie. Mosely został uznany za winnego i skazany na karę śmierci. Drugi proces odbył się dziewięć miesięcy później. Greg złożył identyczne zeznania i pomógł w ponownym skazaniu Mosely'ego na karę śmierci.

Kiedy Greg po raz pierwszy zeznawał w wypełnionej po brzegi sali sądowej, charakteryzując osobowość Mosely'ego, ich spojrzenia na chwilę się spotkały.

Ponura twarz oskarżonego wyrażała nieme pytanie: „Skąd on to, u licha, wie?”. Greg składał zeznania pod ogromną presją. Gdyby poszło mu źle, oskarżenie zostałyby oddalone, a to przekreśliłoby szanse powodzenia w drugim procesie.

Kiedy Mosely dostrzegł po raz pierwszy Grega w trakcie drugiego procesu, wymruczał do eskortujących go policjantów: „To ten skurwysyn, który próbuje mnie znowu dopaść!”.

W przeszłości do udowodnienia winy i skazania w sprawie o morderstwo potrzebne były jednoznaczne dowody materialne, zeznania świadków, przyznanie się do winy lub wiarygodne, silne poszlaki. Obecnie, dzięki profilom behawioralnym opracowywanym na podstawie wyglądu miejsc zbrodni i analizie sygnatur, policja i prokuratura dysponują dodatkową strzałą w kołczanie. Nie wystarcza to zwykle do skazania oskarżonego, ale w połączeniu z jednym lub dwoma dodatkowymi elementami materiału dowodowego pomaga w wykazaniu związku między różnymi przestępstwami, co często decyduje o ostatecznym rozstrzygnięciu.

Seryjni mordercy uprawiają najbardziej niebezpieczną grę. Im lepiej rozumiemy ich strategię, tym większe mamy szanse w starciu z nimi.

ROZDZIAŁ 14

Kto zabił zwyczajną amerykańską dziewczynę?

Kto zabił zwyczajną amerykańską dziewczynę?

To pytanie przez cztery lata dręczyło mieszkańców małego miasteczka Wood River w stanie Illinois. Głowili się nad nim między innymi inspektor Alva Busch z policji stanowej oraz Don Weber, prokurator stanowy hrabstwa Madison.

Wieczorem 20 czerwca 1978 roku (we wtorek) Karla Brown i jej narzeczony Mark Fair urządzili imprezę z morzem piwa dla przyjaciół, którzy pomogli im w przeprowadzce do nowego domu przy Acton Avenue numer 979 w Wood River. Był to jednopiętrowy biały budynek z elewacją obłożoną sidingiem, stojący przy wysadzonej drzewami ulicy. Po obu stronach drzwi wejściowych stały smukłe, okrągłe kolumny, a nowi mieszkańcy spędzili poprzednie dwa tygodnie na urządzeniu swojego pierwszego gniazdka. W ten ekscytujący sposób dwudziestotrzyletnia Karla i dwudziestosiedmioletni Mark rozpoczynali nowy rozdział życia. Byli ze sobą od pięciu lat, aż w końcu Mark dał jasno do zrozumienia, że uporał się z typowymi dla mężczyzn rozterkami i jest gotów na prawdziwy związek. Karla kończyła studia w lokalnym college'u, Mark praktykował u elektryka. Świat stał przed nimi otworem.

Choć Mark odwlekał moment oświadczeń przez kilka lat, zdawał sobie

sprawę, jak wielkim jest szczęściarzem. Karla Lou Brown była uosobieniem amerykańskiej dziewczyny. Półtora metra wzrostu, falujące blond włosy, zwalająca z nóg figura i uśmiech królowej piękności. Była obiektem marzeń chłopców i zazdrości dziewczyn w szkole średniej, gdzie zapamiętano ją jako zadziorną, pełną wigoru cheerleaderkę. Bliskie przyjaciółki wiedziały, że publicznemu wdziękowi i zalotności towarzyszą wrażliwość i refleksyjność oraz że Karla jest oddana Markowi, silnemu, atletycznie zbudowanemu chłopakowi, wyższemu od niej o ponad trzydzieści centymetrów. Karla i Mark tworzyli wspaniałą parę.

Po imprezie wrócili w nocy do mieszkania w East Alton, aby spakować resztę rzeczy. Mieli nadzieję, że kolejną noc spędzą w nowym domu.

W środę rano Mark poszedł do pracy w elektrociepłowni, a Karla na Acton Avenue, gdzie miała zająć się porządkami i rozpakowywaniem rzeczy. Mark kończył pracę około czwartej trzydzieści. Nie mogli się doczekać pierwszej nocy w nowym domu.

Po zakończeniu zmiany Mark poszedł do domu przyjaciela Toma Fiegenbauma, który mieszkał koło jego rodziców i miał mu pomóc w przewiezieniu ciężkiej, trójkątnej budy dla psa z ich podwórka.

Na Acton Avenue przyjechali około piątej trzydzieści. Tom cofał swój pikap na podjazd przy domu, tymczasem Mark wszedł do środka. Nie mógł nigdzie znaleźć Karli. Uznał, że pobiegła po coś do sklepu, zaraz jednak zauważył, że tylne drzwi nie są zamknięte na klucz. Pomyślał, że będzie musiała nauczyć się zwracać uwagę na takie sprawy.

Zawołał do środka Toma, aby pokazać mu dom. Po zwiedzeniu głównych pomieszczeń zaprowadził przyjaciela do kuchni, po czym zeszli schodami do piwnicy. Kiedy Mark dotarł na najniższy stopień, jego oczom ukazał się niepokojący widok. Na podłodze leżało kilka przewróconych stolików, a w pomieszczeniu panował bałagan, mimo że poprzedniego wieczoru zrobili tam porządek. Sofa i podłoga były zabrudzone jakimś płynem.

„Co tu się wydarzyło?”, zapytał sam siebie w myślach Mark. Kiedy się odwrócił, aby wyjść na górę, jego wzrok padł na otwarte drzwi prowadzące do pralni.

Zobaczył Karłę. Klęczała pochylona do przodu. Miała na sobie sweter, ale od pasa w dół była naga. Ręce związane jej na plecach przewodem elektrycznym, a głowę zanurzono w wypełnionej wodą dziesięciolitrowej beczce w kształcie bębna. Używali ich z Karłą do transportu ubrań. Sweter, który miała na sobie i który spakowali wcześniej do jednej z beczek, nosiła tylko zimą.

– O Boże! Karla! – krzyknął Mark i razem z Tomem podbiegł do beczki. Mark wyciągnął głowę Karli z wody i położył dziewczynę na plecach na podłodze. Twarz była nabrzmiąta i przybrała niebieski odcień. Przez czoło i podbródek przebiegały głębokie rany cięte. Karla miała szeroko otwarte oczy, ale było jasne, że nie żyje.

Mark padł bezsilnie na podłogę. Poprosił Toma, żeby przyniósł coś, co nadałoby się do okrycia Karli. Tom wrócił po chwili z czerwonym kocem. Zadzwonili na policję.

Kiedy funkcjonariusz David George z wydziału policji Wood River przybył na miejsce kilka minut później, Mark i Tom czekali przed drzwiami frontowymi. Zaprowadzili go do piwnicy i pokazali ciało. Mark nadal nie potrafił na sobą zapanować. „Mój Boże, Karla”, powtarzał.

Tego rodzaju koszmar nie powinien się zdarzyć w Wood River, spokojnej miejscowości położonej niedaleko St. Louis. W krótkim czasie wszyscy najwyżsi rangą policjanci, w tym trzydziestodwuletni komendant Ralph Skinner, zjechali na miejsce, aby zobaczyć na własne oczy miejsce zbrodni.

Na głowie Karli znaleziono ślady uderzenia tępym narzędziem, prawdopodobnie leżącym nieopodal stolikiem pod telewizor. Szyję miała obwiązaną dwiema skarpetkami, a sekcja zwłok wykazała, że dziewczyna zmarła od uduszenia i już nie żyła, kiedy jej głowę zanurzono w beczce z wodą.

Choć miejsce zbrodni zostało poddane drobiazgowej analizie, śledczy od

pierwszych chwil zmagali się z najróżniejszymi problemami. Inspektor policji stanowej Alva Busch, doświadczony w dokumentowaniu miejsc zbrodni, nie mógł uruchomić lampy błyskowej w aparacie fotograficznym. Na szczęście aparat przyniósł też Bill Redfern, który na posterunku przyjął telefoniczne zgłoszenie od Toma Fiegenbauma. Obfotografował miejsce zbrodni, jednak tego dnia miał założony akurat czarno-biały film. Problemem było również to, że w przeprowadzce pomagało mnóstwo osób, co oznaczało, że w domu znajduje się wiele świeżych odcisków palców. Wyłowienie spośród nich tych należących do sprawcy mogło być trudne lub wręcz niemożliwe.

Niektóre elementy miejsca zbrodni uznano za potencjalne poszlaki, ale śledczy nie potrafili ich wytłumaczyć. Najważniejszym z nich był szklany dzbanek na kawę wetknięty między krokwie stropu piwnicy. Dosłownie na chwilę przed jego odnalezieniem zauważono jego brak w stojącym w kuchni ekspresie. Nikt, nawet Mark, nie umiał logicznie wyjaśnić, dlaczego dzbanek znalazł się między krokwiemi. (Jego rola w morderstwie, jeżeli w ogóle jakkolwiek odegrał, również pozostawała niejasna). Alva Busch zdołał odnaleźć na szklanej powierzchni kilka słabo widocznych odcisków palców, ale okazały się niepełne i nie pozwoliły na identyfikację.

W ciągu kilku następných dni policja przeczesała okolicę i przesłuchiwała wszystkich, którzy mogli cokolwiek wiedzieć. Sąsiad mieszkający w domu obok, Paul Main, zeznał, że w dniu morderstwa spędził większą część popołudnia na werandzie przed domem ze swoim przyjacielem Johnem Prante'em. Ten potwierdził, że odwiedził tego dnia Maina, ale zajrzał do niego tylko na krótko z samego rana, tuż po rozmowie kwalifikacyjnej w lokalnej rafinerii, a później poszedł dalej szukać pracy. W noc poprzedzającą morderstwo Main Prante i ich znajomy widzieli, jak przyjaciele Karli i Marka pomagają im w przeprowadzce. Jak przyznali, liczyli na zaproszenie na parapetówkę – Main miał być ich sąsiadem, a pozostali dwaj znali Karłę z widzenia ze szkoły średniej. Zaproszenie nie nadeszło, a jedyny kontakt z imprezowiczami nastąpił, kiedy

znajomy Maina i Prante'a zawołał coś w stronę Karli z drugiej strony podjazdu.

Staruszka mieszkająca w domu naprzeciwko, Edna Vancil, przypomniała sobie, że czerwony samochód z białym dachem zatrzymał się przed domem numer 979 w dniu morderstwa. Bob Lewis, jeden z uczestników imprezy, widział Karłę na podjeździe przed domem rozmawiającą z „groźnie wyglądającym” gościem z długimi włosami, który stał przed sąsiednim domem i w pewnym momencie wskazał na Karłę i zawołał do niej po imieniu. Był to znajomy Paula Maina.

„Masz dobrą pamięć. To było dawno temu”, miała mu odpowiedzieć Karla. Lewis powiedział później Markowi Fairowi o tym zdarzeniu. Zasugerował, że jeśli tacy ludzie będą ich sąsiadami, powinien przynajmniej na początku zachować ostrożność. Mark nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego i stwierdził, że Karla zna długowłosego gościa ze szkoły, zresztą facet tylko przyszedł w odwiedziny do Paula Maina i nie będzie obok nich mieszkał.

Tamtego dnia ulicą przejeżdżała pewna kobieta, wioząc wnuka do dentysty. Zarówno ona, jak i chłopiec widzieli mężczyznę i kobietę rozmawiających na podjeździe przed domem. Nie pomogła nawet hipnoza – jej opis nie pasował do innych relacji.

Policja rozmawiała z wieloma koleżankami Karli, próbując ustalić, czy ktokolwiek miał do niej jakiś uraz, na przykład chłopak, któremu dała kosza. Wszystkie twierdziły, że Karla cieszyła się powszechną sympatią i nie miała wrogów.

Dopiero była współlokatorka Karli podsunęła policji pewien trop. Ojciec Karli zmarł, kiedy była mała. Jej matka Jo Ellen wyszła za Joego Sheppadra seniora, z którym później się rozwiódła. Dziewczyna twierdziła, że Karli nie układało się z Sheppardem, bo ojczym ją bił i zawsze przystawiał się do jej koleżanek. Wieczorem w dniu popełnienia morderstwa zgłosił się na policję i wykazywał olbrzymie zainteresowanie sprawą. Jak zauważyłem wcześniej, mordercom zdarza się kontaktować z policją lub w inny sposób włączać się

w śledztwo. W tym wypadku nie istniały żadne dowody łączące Shepparda ze zbrodnią.

Inny podejrzanym był Mark Fair. Razem z Tomem Fiengenbaumem znalazł ciało, miał łatwy dostęp do domu i był najbliższą osobą ofiary. Jak wspomniałem, omawiając sprawę George'a Russella, policja często umieszcza małżonka lub ukochanego na liście podejrzanych. Niemniej w dniu morderstwa Mark wykonywał pracę dla kontrahenta elektrowni, wiele osób go widziało i z nim rozmawiało. Nikt zresztą nie miał najmniejszych wątpliwości – ani policja, ani przyjaciółki Karli, ani jej rodzina – że jego rozpacz była niekłamana i głęboka.

Kiedy śledztwo nabrało przyśpieszenia, policja poddała dodatkowo badaniu wykrywaczem kłamstw wiele osób, które mogły kontaktować się z Karłą na krótko przed jej śmiercią. Mark, Tom i Joe Sheppard uzyskali jednoznacznie pozytywny wynik. Nikogo nie przyłapano na kłamstwie. Najbliższy oblania testu był niezbyt rozgarnięty Paul Main, który tamto popołudnie spędził w sąsiednim domu. Choć twierdził, że John Prante siedział z nim na werandzie przez całe popołudnie, to sam Prante – który pomyślnie przeszedł badanie wariografem – utrzymywał, że zatrzymał się w domu Maina na krótką chwilę z samego rana. Nie potrafił powiedzieć, co Main robił przez resztę dnia. Choć wyniki testu Maina były niejednoznaczne i policja nadal zaliczała go do grona podejrzanych, podobnie jak w przypadku innych osób, nie znaleziono żadnych śladów łączących go ze zbrodnią.

Morderstwo Karli Brown głęboko wstrząsnęło Wood River. Pozostawiło ranę, która nigdy się nie zabiłiła. Lokalna i stanowa policja przesłuchiwała wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego ze sprawą, i przeanalizowała każdy potencjalny trop. Ku frustracji wszystkich żadne z tych działań nie przybliżyło ich nawet na krok do rozwiązania zagadki. Upływały kolejne miesiące. Minął rok. Dwa lata. Tragedię najtrudniej znosiła siostra Karli Donna Judson. Wraz z mężem Terryem uczestniczyli w śledztwie niemal przez cały

czas. Matka Karli oraz jej druga siostra Connie Dykstra nie wytrzymały codziennego zaangażowania i rzadziej kontaktowały się ze śledczymi.

Sprawa nie dawała spokoju również Donowi Weberowi, prokuratorowi stanowemu, któremu podlegało hrabstwo Madison, a co za tym idzie, również Wood River. Gdy doszło do morderstwa, pełnił jeszcze funkcję zastępcy prokuratora. Ten nieustępliwy oskarżyciel i niezwykle wrażliwy człowiek chciał pokazać opinii publicznej, że tego rodzaju zbrodnie nie będą tolerowane w jego okręgu. Doprowadzenie mordercy Karli przed oblicze wymiaru sprawiedliwości stało się jego obsesją. Natychmiast po wyborze na stanowisko prokuratora stanowego w listopadzie 1980 roku kazał wznowić śledztwo.

O sprawie nie potrafił zapomnieć również Alva Busch. W karierze każdego policjanta zdarza się kilka śledztw, których nie potrafi odpuścić. Właśnie dzięki Buschowi w końcu doszło do przełomu.

W czerwcu 1980 roku, pełne dwa lata po morderstwie Karli, Busch pojechał do Albuquerque w Nowym Meksyku, aby złożyć zeznania w sprawie, z którą łączył go samochód skradziony w Illinois. Czekał na złożenie wszystkich wniosków w postępowaniu przedprocesowym, udał się na prezentację zorganizowaną w biurze szeryfa przez doktora Homera Campbella z University of Arizona, specjalisty od komputerowego polepszania jakości zdjęć.

– Panie doktorze, miałbym dla pana robotę – zagadnął Busch prowadzącego po wykładzie. Doktor Campbell zgodził się przeanalizować fotografie wykonane na miejscu zbrodni oraz podczas sekcji zwłok. Miał nadzieję ustalić, jakim dokładnie przedmiotem lub bronią zabito Karłę. Busch wykonał odbitki wszystkich fotografii i wysłał je do Campbella.

Czarno-białe zdjęcia były trudniejsze do analizy od kolorowych, niemniej Campbell dokonał ich starannego opracowania za pomocą swoich wyrafinowanych narzędzi pozwalających na dostrzeżenie każdego detalu. Doszedł do kilku wniosków. Głębokie rozcięcia wykonano młotkiem ciesielskim, a rozcięcia na podbródku i czole pochodziły od kółek

przewróconego stolika telewizyjnego. Ale dopiero kolejne spostrzeżenie, które przekazał Buschowi, wywróciło śledztwo do góry nogami i popchnęło je w nowym kierunku.

– A co ze śladami po ugryzieniach? Macie jakiś pomysł, kto mógł ją pogryźć w szyję?

– Jakie znowu ślady po ugryzieniach? – wyjąkał do słuchawki zdumiony Busch.

Campbell wyjaśnił, że mimo nie najlepszej jakości odbitek widać na nich było ślady po ugryzieniu na szyi Karli – na tyle wyraźne, że gdyby policja miała podejrzanego, zdjęcia dostarczyłyby dobrego materiału porównawczego, zwłaszcza w wypadku jednego ze śladów, który nie zachodził na inne.

W ten sposób policja weszła w posiadanie pierwszego naprawdę solidnego dowodu, niemal równorzędnego z odciskami palców. Porównanie zębów Teda Bundy’ego ze śladami po ugryzieniach znalezionymi na pośladkach ofiary morderstwa popełnionego w siedzibie klubu studenckiego Chi Omega (na Florida State University) przyczyniło się do skazania tego osławionego seryjnego mordercy. Campbell był świadkiem oskarżenia w procesie Bundy’ego. (Rankiem 24 stycznia 1989 roku Bundy został stracony na krześle elektrycznym w więzieniu na Florydzie. Bill Hagmaier z naszej jednostki przeprowadził z nim wcześniej długi wywiad. Nigdy się nie dowiemy, ile młodych osób Bundy naprawdę pozbawił życia).

Policja z Illinois otrzymała przygotowane przez doktora Campbella odbitki ze śladami po ugryzieniach i postanowiła ponownie przyjrzeć się kilku podejrzanym, zwłaszcza Paulowi Mainowi. Kiedy uzyskano od niego próbkę śladów zębów, Campbell nie był w stanie powiązać ich ze śladami uwiecznionymi na fotografiach z miejsca zbrodni i sekcji zwłok. Policja próbowała bezskutecznie odszukać Johna Prante’a. Liczyli, że nowe informacje skłonią go do zadenuncjowania przyjaciela.

Sprawę próbowano rozwiązać również innymi metodami, w tym dzięki

pomocy znanego w stanie Illinois jasnovidza, który – nie znając żadnych szczegółów sprawy – powiedział: „Słyszę kapiącą wodę”. Zdaniem policji było to jednoznaczne nawiązanie do beczki, w której zanurzono głowę Karli, ale poza stwierdzeniem, że morderca mieszka w pobliżu torów kolejowych (jak większość ludzi w hrabstwie Madison), jasnovidz nie podał żadnych użytecznych informacji.

Nawet odkrycie śladów po ugryzieniach nie pomogło w znaczącym posunięciu śledztwa do przodu. W lipcu 1981 roku Don Weber oraz jego czterej pracownicy wzięli udział w zorganizowanym w Nowym Jorku seminarium poświęconym roli medycyny sądowej w dochodzeniu kryminalistycznym. Doktor Campbell wiedział o planowanej podróży prokuratora i poprosił go, aby wziął ze sobą fotografie i pokazał je doktorowi Lowellowi Levine’owi, odontologowi sądowemu z New York University, który miał wygłosić wykład na seminarium. Levine obejrzał zdjęcia i choć – podobnie jak Campbell – zidentyfikował niektóre rany jako ślady po ugryzieniach, nie potrafił stwierdzić, czy pasują do zębów Maina. Zasugerował ekshumację zwłok, zwracając uwagę, że „trumna to zamrażarka dowodów”. Levine’a nie znałem osobiście, ale oczywiście o nim słyszałem. Wykonywał analizy przy sprawie Francine Elveson w Nowym Jorku. (Musiał się wyjątkowo dobrze spisać, ponieważ kiedy Bill Hagmaier i Roseanne Russo pojechali na rozmowę z Carmine’em Calabro w zakładzie karnym Clinton, więzień miał usunięte wszystkie zęby. Chciał w ten sposób zapobiec niekorzystnemu wyrokowi podczas apelacji. Doktor Levine kierował później jednostką medycyny sądowej stanu Nowy Jork).

W marcu 1982 roku Weber oraz dwaj śledczy z policji stanowej pojechali na doroczną sesję szkoleniową dla Głównej Brygady Dochodzeniowej okręgu metropolitalnego St. Louis. Byłem jednym z wykładowców. Zapoznawałem liczne audytorium z podstawami profilowania i analizy miejsc zbrodni. Choć nie pamiętam spotkania, Weber pisze w fascynującym studium sprawy morderstwa Karli zatytułowanym *Silent Witness* (Milczący świadek), napisanym

z Charlesem Bosworthem juniorem, że podszedł do mnie z kolegami po wykładzie i zapytał, czy opisane przeze mnie metody dałoby się wykorzystać w ich sprawie. Odpowiedziałem podobno, że chętnie mu pomogę. Poleciałem, aby zadzwonił do mnie do biura w Quantico.

Po powrocie Weber dowiedział się, że Rick White z policji w Wood River również uczestniczył w sesji i niezależnie doszedł do identycznego wniosku. White skontaktował się ze mną. Umówiliśmy się, że przywiezie do Quantico fotografie z miejsca zbrodni, a ja je przeanalizuję i podzielę się z nim wrażeniami. Weber nie mógł przyjechać ze względu na obowiązki przy innych sprawach, które miały trafić do sądu, ale wyznaczył zastępcę w osobie prokuratora stanowego Keitha Jensena i wysłał go do Quantico wraz z White'em, Alvą Buschem i Randym Rushingiem, policjantem stanowym, który był z nim w St. Louis. We czterech przejechali nieoznakowanym radiowozem prawie tysiąc trzysta kilometrów do Quantico. Ówczesny komendant policji w Wood River, Don Greer, był na urlopie na Florydzie, ale przyleciał specjalnie do Waszyngtonu, aby uczestniczyć w spotkaniu.

Zebrałiśmy się w sali konferencyjnej. Cztery śledczy poświęcili sporą część podróży na uporządkowanie przemyśleń i teorii, które zamierzali mi przedstawić. Nie wiedzieli, że nie lubię sugerować się cudzymi konkluzjami i samodzielnie analizuję fakty. Mimo wszystko spotkanie toczyło się w sympatycznej atmosferze. Nie była to jedna z tych sytuacji, kiedy zostaje wezwany z powodów politycznych lub mój udział ma uratować czyjś tyłek. Ci ludzie przyjechali do mnie, ponieważ nie chcieli dać za wygraną. Byli szczerze zainteresowani uzyskaniem jakiegokolwiek podpowiedzi, która mogła skierować śledztwo na właściwe tory.

Dobry kontakt nawiązałem szczególnie łatwo z Alvą Buschem. Obaj miewaliśmy problemy w relacjach z przełożonymi. On także wkurzał ludzi szczerymi do bólu wypowiedziami. Aby uzyskać od decydentów zgodę na przyjazd Buscha do Quantico, Don Weber musiał zagrozić, że obdzwoni

wszystkich znajomych polityków.

Poprosiłem o fotografie miejsca zbrodni i przez kilka minut uważnie je studiowałem. Poprosiłem o podanie kilku podstawowych faktów.

– Jesteście gotowi? – zapytałem. – Byłoby dobrze, gdybyście to sobie nagrali.

Na początku oświadczyłem, że kiedy morderca zostawia zwłoki w wodzie w środku domu – w wannie, pod prysznicem lub w jakimś pojemniku – celem nie jest zatarcie śladów, ale takie zainscenizowanie zbrodni, by przypominała coś innego. Potem stwierdziłem, że mordercą jest bez wątplenia jedna z mieszkających w okolicy osób, które już przesłuchali. Tego rodzaju zbrodnie popełniają niemal wyłącznie sąsiedzi lub współlokatorzy. Sprawca bez wątplenia pobrudził się krwią ofiary, więc musiał się umyć i przebrać. Czuł się swobodnie i wiedział, że nikt mu nie przeszkodzi. Znał dobrze Karłę lub obserwował ją na tyle długo, że poznał zwyczaje pary. Podczas rozmowy z policją sprawiał wrażenie osoby chętnej do pomocy. Pozwoliło mu to zachować poczucie kontroli nad wydarzeniami.

Fatalnego popołudnia nie przyszedł do domu Karli z zamiarem zabicia dziewczyny. Zbrodnia była konsekwencją rozwoju zdarzeń. Gdyby ją zaplanował, przyniósłby broń lub narzędzia, tymczasem ofiara została uduszona rękami i otrzymała cios jakimś przedmiotem. Wskazywało to na spontaniczność gniewu lub desperacji wynikających z odtrącenia zalotów napastnika. Manipulacja, dominacja i kontrola – to słowa najlepiej charakteryzujące gwałciciela. Prawdopodobnie zaoferował pomoc w przeprowadzce. Karla słynęła z towarzyskiego usposobienia, a ponieważ lepiej lub gorzej znała sprawcę, zapewne wpuściła go do środka. On chciał z nią uprawiać seks, nawiązać bardziej intymną relację. Kiedy zaczęła się bronić albo on zdał sobie sprawę, że się zapędził, uznał – podobnie jak morderca Mary Frances Stoner z Karoliny Południowej – że tylko zabicie dziewczyny pozwoli mu uratować skórę. Po fakcie zapewne wpadł w panikę i ogarnęły go wątpliwości. Podłoga

i sofa były zachłapane wodą, z czego wywnioskowałem, że mógł chlusnąć jej w twarz wodą, próbując ją ocucić. Kiedy to nie pomogło, musiał jakoś rozwiązać problem mokrej twarzy. Przeciągnął ciało po podłodze i wepchnął głowę Karli do beczki, aby upozorować jakiś dziwaczny lub perwersyjny rytuał – chciał odwrócić uwagę od tego, co się faktycznie wydarzyło. Głowa w beczce z wodą miała również drugie znaczenie. Wcześniej dziewczyna odrzuciła jego zaloty, więc teraz ją poniżył. Im więcej sprawca robi na miejscu zbrodni (nawet jeśli chce w ten sposób skierować policję na niewłaściwy trop), tym większą daje nam liczbę wskazówek i poszlak behawioralnych.

Po opisanu przebiegu zbrodni przedstawiłem profil jej sprawcy. Wszystko wskazywało na mężczyznę w wieku dwudziestu pięciu–trzydziestu lat. Morderstwa nie popełnił człowiek mający wprawę w zabijaniu. Kiepsko poradził sobie z upozorowaniem miejsca zbrodni, co dowodzi, że nigdy wcześniej tego nie robił. Jako człowiek wybuchowy i agresywny mógł w przeszłości popełnić jakieś drobniejsze przestępstwa. Jeżeli miał żonę, to niewiele wcześniej się z nią rozstał lub rozwiódł albo jego małżeństwo przeżywało poważny kryzys. Typowy dla takich spraw nieudacznik o niskim poczuciu własnej wartości. Może sprawiać wrażenie pewnego siebie, ale tak naprawdę jest potwornie zakompleksiony.

Odznacza się przeciętną inteligencją, skończył najwyżej szkołę średnią, a wykorzystanie kabla do związania ofiary sugeruje, że w przeszłości miał praktyki w sklepie lub uczył się w szkole zawodowej. Po wszczęciu śledztwa zmieniał miejsce zamieszkania i/lub pracę, a kiedy sytuacja się uspokoiła, wyjechał z miasta, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Zaczął obsesyjnie brać narkotyki, pić lub palić, szukając w używkach ukojenia. Alkohol mógł odegrać pewną rolę w samej zbrodni. Sprawca wykazał się dużą śmiałością jak na ten typ osobowości. Niewielka ilość wypitego wcześniej alkoholu zmniejszyła jego zahamowania, ale nie był pijany, ponieważ nie wykonałby tak wielu czynności po popełnieniu zbrodni.

Podejrzewałem, że będzie miał problemy ze snem i życiem seksualnym i że prowadzi coraz bardziej nocny tryb życia. Jeżeli ma stałą pracę, od czasu rozpoczęcia śledztwa zaczął się w niej opuszczać. Zmienił się również jego wygląd. Jeśli w chwili zabójstwa miał brodę i długie włosy, zgolił je, a jeżeli wtedy się golił, teraz zapuścił brodę. Sprawca nie odznacza się eleganckim wyglądem. Z natury jest niechlujny i zaniedbany, więc jakakolwiek próba zdyscyplinowanego życia będzie oczywistym świadectwem przesadnej potrzeby kontrolowania wszystkiego (wyczerpującej fizycznie i mentalnie).

Jeżeli chodzi o samochód, postawiłem na ulubiony model morderców – volkswagena garbusa. Będzie stary i niespecjalnie zadbany, w kolorze czerwonym lub pomarańczowym.

Sprawca pilnie śledzi doniesienia medialne o postępach śledztwa i czerpie z nich wskazówki. Jeżeli komendant ogłosi publicznie, że policja nie znalazła nowych poszlak, sprawca poczuje się pewniej. Łatwo przeszedłby wtedy badanie wykrywaczem kłamstw. Dlatego celem następnej fazy śledztwa powinno być wywołanie u sprawcy rozstroju nerwowego.

Lista potencjalnych stresogenów jest długa. Co roku w lipcu mężczyznę będzie ogarniać nerwowość; prawdopodobnie również w okolicy urodzin Karli. Zapewne odwiedził jej grób na cmentarzu Calvary Hill. Mógł posłać wiązanek kwiatów lub udać się tam osobiście, aby poprosić ją o wybaczenie.

Radziłem śledczym, że powinni ogłosić odkrycie nowego, obiecującego tropu, który mógłby ponownie nadać śledztwu najwyższy priorytet. Informację tej treści należy powtarzać nieustannie w mediach, aby wywołać u sprawcy możliwie największy „dupościsk”. Zasugerowałem, aby ujawnili, że współpracuje z nimi profiler z FBI, i by dawali do zrozumienia, że jego analiza idealnie zgadza się z nowymi dowodami.

Moi goście poinformowali mnie, że doktor Levine zasugerował ekshumację ciała. Zapytali, co o tym sądzę. Odparłem, że to znakomity pomysł, a im więcej będzie wcześniej szumu w mediach, tym lepiej. Weber powinien pójść do

jakiegoś programu telewizyjnego i ogłosić, że ciało powinno być w dobrym stanie, a jeśli nowe badania pozwolą na uzyskanie dowodów, których znalezienia oczekuje policja, będą blisko rozwiązania zagadki. Do mordercy wyślą w ten sposób komunikat, że wyciągają Karlę z grobu i ją „wskrzeszają”, aby stała się świadkiem we własnej sprawie.

Wykopywanie ciała będzie dla sprawcy potwornie stresującym przeżyciem. Poradziłem Weberowi, aby wydał publiczne oświadczenie, że zamierza wyjaśnić tę sprawę, nawet gdyby miało mu to zająć kolejnych dwadzieścia lat. Zaniepokojony sprawca zrobi się dociekliwy. Zacznie zadawać mnóstwo pytań. Może nawet zadzwoni bezpośrednio na policję! Należy sfotografować lub sfilmować wszystkich, którzy przyjdą na cmentarz w dniu ekshumacji. Sprawca będzie wyczekiwał informacji o stanie szczątków, a kiedy prokuratura ogłosi, że stan zwłok jest wysoce zadowalający, zacznie odchodzić od zmysłów. W tym czasie jeszcze bardziej odizoluje się od znajomych. Warto wtedy pogadać z bywalcami barów i innych tego rodzaju miejsc, wypytywać o stałego klienta, którego zachowanie radykalnie się w ostatnim czasie zmieniło. Sprawca mógł niewiele wcześniej przystąpić do wspólnoty kościelnej lub przyjąć jakąś religię, szukając pocieszenia i ulgi. Należy go zarzucać stresującymi informacjami, ale jednocześnie warto zamieścić w jednej z gazet komentarz jakiegoś policjanta albo agenta FBI o wydźwięku niemalże empatycznym. Powinien powiedzieć, że wiemy, że morderstwo nie było zamierzone, i rozumiemy, przez co obecnie przechodzi sprawca, który przez te wszystkie lata musiał zmagać się z tak wielkim brzemieniem.

Następnie przedstawiłem pokrótce strategię przesłuchania, podobną do wypracowanej w sprawie Stoner. Najważniejsze, aby nie aresztować sprawcy natychmiast po zidentyfikowaniu. Niech się podenerwuje przez dodatkowy tydzień. Najlepiej byłoby wydobyć od niego przyznanie się do winy jeszcze przed aresztowaniem. Im więcej faktów zgromadzą policjanci, im częściej będą mogli wypowiedzieć zdanie typu: „Wiemy, że przeniosłeś ją z tego miejsca na

to” czy: „Wiemy, że chlusnąłeś jej w twarz wodą”, tym większa szansa na sukces. Warto umieścić w pokoju przesłuchań jakiś przedmiot mający materialny związek z morderstwem (odpowiednik kamienia w sprawie Stoner).

Miałem poczucie, że moi goście poważnie potraktowali te zalecenia. Zapytali, w jaki sposób do wszystkiego doszedłem, znając jedynie podstawowe detale sprawy i fotografie. Nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć na to pytanie, choć Ann Burgess zauważyła, że jestem wzrokowcem i lubię zaczynać analizy od materiałów wizualnych. Jej zdaniem podczas konsultacji częściej mówię: „jak widzę” niż „myślę, że”. Zapewne wynika to po części z braku możliwości osobistego odwiedzenia miejsca zbrodni, co zmusza mnie do rekonstruowania jego wyglądu. Często zdarza się, że kiedy policja dzwoni do mnie kilka lat po jakiejś sprawie, pamiętam szczegóły i profil podejrzanego, zupełnie jakbym zajmował się nią przed chwilą.

Śledczy z Illinois stwierdzili, że na podstawie mojego profilu mogliby wytypować dwóch mocnych podejrzanych – Paula Maina i jego przyjaciela Johna Prante’a. Obaj przebywali tamtego dnia w sąsiednim domu i przynajmniej jeden z nich, Prante, pił piwo. Ich zeznania się nie pokrywały, co mogło być wynikiem niskiej inteligencji i wypitego alkoholu albo oznaczało, że któryś z nich kłamie. Prante lepiej od Maina poradził sobie na teście wykrywaczem kłamstw. Obaj dobrze pasowali do profilu, Prante pod pewnymi względami nawet lepiej. Wykazywał większą ochotę do współpracy z policją, a kiedy sprawa ucichła, wyprowadził się z miasta, co przewidywałem w swojej analizie. Po jakimś czasie wrócił.

Wyraziłem przekonanie, że zaproponowana przeze mnie kampania medialna będzie skuteczna niezależnie od tego, który z nich jest mordercą. Przyszło mi do głowy, że skoro sprawcę od czasu do czasu nachodzą wyrzuty sumienia, można przycisnąć go nieco mocniej, zatrudniając kobietę, która wcieliłaby się w postać Karli i wydzwaniała do obu podejrzanych w środku nocy, pytając przez łyżę: „Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?”. Jednocześnie w prasie powinny ukazać się

artykuły poświęcone Karli, zwyczajnej amerykańskiej dziewczynie, pozbawionej szansy na pełne, szczęśliwe życie. Zawsze miałem słabość do teatralnych zagrywek.

Siedem–dziesięć dni po rozpoczęciu kampanii policja może sprawdzić, czy Main i Prante reagują w opisany przeze mnie sposób. Gdyby u któregoś z nich wystąpiły oczekiwane zmiany, policja powinna wykorzystać informatorów – przyjaciół, znajomych, kolegów z pracy – do wyciągnięcia od niego jakichś komentarzy lub zwierzeń.

Do ekshumacji doszło 1 lipca 1982 roku i została przeprowadzona w taki sposób, w jaki chciałem. Na cmentarz przybyli Lowell Levine, liczne ekipy telewizyjne oraz korespondenci prasowi. Wszystkiemu towarzyszyły poważne i optymistyczne wypowiedzi Webera. Jak się przekonałem, w małych miejscowościach można znacznie łatwiej uzyskać niezbędną pomoc od dziennikarzy niż w dużych miastach, gdzie częściej traktują takie prośby jako próbę manipulacji lub narzucania treści. Osobiście widzę w tym raczej wspólny wysiłek prasy i sił ochrony porządku publicznego, który nie powinien naruszać autonomii żadnej ze stron. Nigdy nie poprosiłem dziennikarza prasowego lub telewizyjnego, aby skłamał czy przygotował nieprawdziwą lub niepełną relację, niemniej wielokrotnie przekazywałem im specjalnie wyselekcjonowane informacje, z którymi chciałem dotrzeć do sprawcy, by skłonić go do określonej reakcji. Jeśli dziennikarze wykazują się gotowością do współpracy, ja również chętnie z nimi współpracuję. W niektórych przypadkach w dowód wdzięczności dziennikarze otrzymywali ode mnie po zakończeniu śledztwa prawo do wyłączności, kiedy mogliśmy już ujawnić pewne szczegóły.

Na szczęście zwłoki Karli zachowały się znakomicie. Ponowną autopsję przeprowadziła doktor Mary Case, zastępca naczelnego lekarza sądowego St. Louis. W przeciwieństwie do wcześniejszych ustaleń doktor Case jako przyczynę śmierci wskazała utonięcie. Podobnie jak poprzedni lekarz znalazła pęknięcie czaszki, ale – co najistotniejsze – policja uzyskała dowód rzeczowy

w postaci śladów po ugryzieniach.

Kampania medialna trwała w najlepsze. Tom O'Connor z policji stanowej i Wayne Watson z Jednostki ds. Oszustw Finansowych i Falszerstw przesłuchali Maina w jego domu, rzekomo w sprawie zasiłków, które bezpodstawnie pobierał od pomocy społecznej. Śledczy specjalnie sprowadzili rozmowę na temat zabójstwa Karli Brown. Choć Main otwarcie nie przyznał się do winy (ani też nie wyparł się udziału w zbrodni), z jego wypowiedzi jasno wynikało, że śledził pilnie relacje prasowe i posiadał zakulisowe informacje. Watson zwrócił mu uwagę, że pominął Acton Avenue na liście poprzednich adresów zamieszkania. Main wyjaśnił, że próbuje zapomnieć o tamtym okresie, ponieważ policjanci zamęczali go pytaniami w sprawie dziewczyny z sąsiedztwa, która została zamordowana.

– Tej, która została zastrzelona, uduszona i utopiona w pięćdziesięciolitrowej beczce? – spytał Watson.

– Ależ nie! Nie została zastrzelona, nie została zastrzelona! – zaprzeczył gwałtownie Main.

Niedługo po ekshumacji na policję w Wood River zgłosił się Martin Higdon. Chodził z Karłą Brown do szkoły średniej, artykuły na temat jej morderstwa wywołały ożywione dyskusje u niego w firmie. Jego koleżanka z pracy twierdziła, że na przyjęciu zorganizowanym niedługo po morderstwie jakiś mężczyzna opowiadał, że był w domu Karli w dniu, w którym zginęła.

O'Connor i Rick White przesłuchali kobietę. Nazywała się Vicki White (brak pokrewieństwa) i potwierdziła, że takie zdarzenie miało miejsce. Razem z mężem Markiem poszła na przyjęcie do Spencera i Roxanne Bond, gdzie wdała się w rozmowę z mężczyzną, którego znała z college'u Lewisa i Clarka. Człowiek ów wspominał, że odwiedził dom Karli w dniu morderstwa. Wiedział, gdzie znaleziono jej ciało i że została ugryziona w ramię. Stwierdził, że musi wyjechać z miasta, ponieważ policja na pewno zaliczy go do grona głównych podejrzanych. Kobieta zbagatelizowała wówczas te słowa, uznając, że facet

bredzi.

Ten mężczyzna nazywał się John Prante.

Skąd mógł już wtedy wiedzieć o śladach po ugryzieniach, skoro policja odkryła ich istnienie dopiero dwa lata później? O'Connor i White przesłuchali gospodarza przyjęcia Spencera Bonda, który identycznie zapamiętał tamtą rozmowę. Bond wspomniał również, że Main opisał mu szczegółowo ułożenie zwłok zamordowanej Karli. Otwartą kwestią pozostawało, czy Main uzyskał tę informację od Prante'a czy Prante od Maina. Choć Prante lepiej poradził sobie na teście wykrywaczem kłamstw, Weber i policja oceniali, że Main nie był dostatecznie śmiały, aby dokonać tego rodzaju zbrodni, ani na tyle inteligentny, aby zrobić w nią Prante'a.

Bond widział niewiele wcześniej Prante'a w starym czerwonym volkswagenie minibusie. Trafnie przewidziałem kolor i markę, pomyliłem się tylko w sprawie modelu. Była to istotna informacja, ponieważ w owym czasie obserwowaliśmy zmianę samochodowych preferencji morderców – przesiedli się do furgonetek. Jeździli nimi Bittaker i Norris, a także Steven Pennell. W odróżnieniu od tyłu samochodu osobowego tył furgonetki jest całkowicie chroniony przed wzrokiem osób postronnych, a ponieważ morderca może tam robić, co tylko zechce, furgonetka staje się mobilnym miejscem zbrodni.

Nie byłem zaskoczony informacją, że John Prante zapuścił brodę. Bond zgodził się założyć urządzenie podsłuchowe i porozmawiać z Prante'em na temat sprawy. Choć ten nie przyznał się do morderstwa, policja odkryła u niego kolejne cechy pasujące do mojego profilu. Studiował spawalnictwo w college'u Lewisa i Clarka. Po morderstwie wyjechał z miasta. Był rozwiedziony i miał problemy w kontaktach z kobietami. Wykazywał olbrzymie zainteresowanie przebiegiem śledztwa.

W czwartek 3 czerwca biuro Webera zdobyło sądowy nakaz zobowiązujący Prante'a do złożenia następnego dnia odcisku szczęki. Komendant Don Greer wyjaśnił mu, że policja chce wyjaśnić raz na zawsze wszystkie okoliczności

sprawy, a jeśli odcisk zębów nie będzie pasować do śladów z ciała ofiary, skreślą go z listy podejrzanych.

Po wyjściu z gabinetu dentysty Prante zadzwonił do Webera – dokładnie tak, jak przewidziałem. Wypytywał, na jakim etapie znajduje się śledztwo. Weber przytomnie kazał podnieść drugą słuchawkę swojemu zastępcy Keithowi Jensenowi – gdyby rozmawiał z podejrzanym bez świadków, nie mógłby później zeznawać w procesie. W rozmowie z Weberem Prante podważył swoje wcześniejsze zeznania dotyczące pobytu w domu Paula Maina. Zgodnie z moimi przewidywaniami sprawiał wrażenie chętnego do współpracy.

Policja uzyskała kolejne informacje dzięki nagraniu drugiej rozmowy Bonda z Prante'em, a później jeszcze rozmowy telefonicznej Bonda i Maina. Prante powiedział Bondowi, że w ostatnim czasie wypalał do kilku paczek papierosów dziennie. Main zasugerował, że Karla mogła sprowokować Prante'a, odrzucając jego seksualne propozycje. Policja po raz kolejny przesłuchała Maina. Tym razem twierdził, że Prante popełnił morderstwo. Później wyparł się tego stwierdzenia w prywatnej rozmowie z Prante'em.

W następny wtorek Weber, Rushing i Greer polecili na Long Island na spotkanie z doktorem Levine'em. Pokazali mu fotografie z nowej sekcji zwłok oraz trzy zestawy odcisków zębów: Maina, pewnego człowieka figurującego od dawna na liście podejrzanych oraz Prante'a. Levine z miejsca wyeliminował dwóch pierwszych. Nie potrafił stwierdzić z naukową pewnością, że nikt na ziemi nie ma zębów równie dobrze pasujących do odcisków na skórze ofiary, niemniej zęby Prante'a bez wątplenia pasowały idealnie. Paul Main został aresztowany i oskarżony o utrudnianie śledztwa.

Prante'a oskarżono o morderstwo i włamanie z zamiarem gwałtu. Proces rozpoczął się w czerwcu 1983 roku; w lipcu mężczyzna został uznany za winnego i skazany na siedemdziesiąt pięć lat więzienia.

Sprawa trwała cztery lata, ale dzięki wspólnym wysiłkom i poświęceniu wielu osób morderca trafił w końcu w ręce sprawiedliwości. Było mi

szczególnie miło, kiedy otrzymałem kopię listu wysłanego przez zastępcę prokuratora stanowego Keitha Jensena do dyrektora FBI Williama Webstera. Znalazł się tam następujący fragment: „Mieszkańcy w końcu odetchnęli z ulgą, a rodzina ofiary ma poczucie, że sprawiedliwości stało się zadość. Nie doszłoby do tego bez pomocy Johna Douglasa. Choć jest niezwykle zajęтым człowiekiem, jego wkład nie powinien moim zdaniem przejść niezauważony. Składam najszczerze podziękowania. Szkoda, że nie ma więcej Johnów Douglasów o równie wielkich kompetencjach, zdolnościach i umiejętności współpracy”.

Były to naprawdę miłe słowa. Na szczęście w styczniu poprzedniego roku zdołałem przekonać Jima McKenziego, zastępcę dyrektora Akademii, że potrzebujemy „więcej Johnów Douglasów”, a on sprzedał tę ideę w centrali, mimo że oznaczała wydrenowanie innych jednostek z ludzi. W pierwszym rzucie zdołałem pozyskać Billa Hagmaiera, Jima Horna, Blaine’a McIlwaine’a i Rona Walkera, a w drugim Jima Wrighta i Juda Raya. Jak pokazał czas, wszyscy wnieśli znaczący wkład w funkcjonowanie jednostki.

Niektóre sprawy, jak morderstwo Karli Brown, znajdują rozwiązanie dopiero po latach, i to mimo ogromnego zaangażowania wielu osób. Kiedy wszystko przebiega po myśli śledczych, inne, nie mniej skomplikowane śledztwa znajdują finał po kilku dniach lub tygodniach.

Kiedy Donna Lynn Vetter, stenografka pracująca w jednym z biur terenowych FBI na południowym zachodzie, została pewnej nocy zgwałcona i zamordowana w swoim mieszkaniu na parterze, Roy Hazelwood i Jim Wright otrzymali rozkaz wprost z biura dyrektora FBI. Mieli natychmiast pojechać na miejsce i rozwiązać sprawę. Do tego czasu zdążyliśmy już podzielić kraj na regiony. Tamten podlegał Jimowi.

Komunikat miał być jednoznaczny: morderstwo pracownika FBI nikomu nie ujdzie na sucho. My mieliśmy dopilnować, aby tak się stało. Następnego dnia o drugiej po południu helikopter Brygady ds. Porwań FBI przewiózł dwóch agentów wraz z pośpiesznie spakowanymi bagażami z Quantico do bazy

lotniczej Andrews w Maryland, gdzie przesiedli się na pokład odrzutowca należącego do FBI. Po wylądowaniu zostali natychmiast zawiezieni na miejsce zbrodni, które lokalna policja specjalnie dla nich zachowała w nienaruszonym stanie.

Vetter była białą dwudziestodwuletnią kobietą, która wychowała się na farmie. W FBI pracowała od ponad dwóch lat, ale do miasta przeprowadziła się zaledwie osiem miesięcy wcześniej. Nieświadoma niebezpieczeństw, wynajęła mieszkanie w robotniczej dzielnicy zamieszkaną głównie przez czarnych i Latynosów. Zarządczyni budynku doskonale zdawała sobie sprawę, co grozi jej lokatorom, i nad drzwiami mieszkań wynajmowanych przez samotne kobiety wkręcała białą żarówkę – zamiast standardowej żółtej – aby strażnicy mieli te lokale na oku. System nie został oczywiście upubliczniony, ale był łatwy do rozgryzienia, wystarczyło przez jakiś czas obserwować budynek.

Policja została wezwana na miejsce tuż po godzinie dwudziestej trzeciej, kiedy jeden z mieszkańców zauważył wybitą szybę w oknie mieszkania Vetter i wezwał strażnika pilnującego kompleksu mieszkalnego. Nagie ciało ofiary, z licznymi ranami kłutymi i śladami pobicia na twarzy, leżało w kałuży krwi. Sekcja zwłok wykazała, że kobieta została zgwałcona.

Napastnik włamał się od frontu przez okno, przewracając przy okazji dużą donicę z kwiatami. Kabel telefoniczny został wyrwany z gniazdka. Duże plamy krwi znajdowały się na dywanie w salonie i na podłodze w kuchni, gdzie najwyraźniej nastąpił główny atak. Plama otaczająca ciało przypominała anioła z rozpostartymi skrzydłami. Ślady wskazywały, że ofiara została przeciągnięta z kuchni do salonu, z kolei rany sugerowały, że próbowała się bronić nożem kuchennym, ale morderca go jej odebrał i nim ją zaatakował.

Lekarze z pogotowia znaleźli przesiąknięte krwią ubranie Vetter przy szafkach w kuchni. Szorty i majtki były zwinięte, a zatem napastnik musiał je ściągnąć, kiedy kobieta leżała na podłodze. Kiedy policja przybyła na miejsce zbrodni, w mieszkaniu panowały ciemności. Założono, że sprawca wyłączył

światło, aby opóźnić odkrycie ciała.

Z wypowiedzi kolegów z pracy, krewnych i sąsiadów wynikało, że ofiara była nieśmiałą, uczciwą i pobożną kobietą. Wychowała się w surowym, porządnym, religijnym domu i na serio traktowała przykazania wiary. Nie wyglądała efektownie i utrzymywała w najlepszym razie nieliczne kontakty towarzyskie z mężczyznami lub koleżankami z pracy, które opisały ją jako sumienną, pracowitą, ale „nietypową”. Powodem takiego wrażenia był zapewne głównie jej brak obycia i sporadyczne kontakty ze światem zewnętrznym w dzieciństwie. Nikt się choćby nie zająknął o jakichkolwiek niedozwolonych zachowaniach ani nieodpowiednim towarzystwie. W mieszkaniu nie znaleziono narkotyków, alkoholu, papierosów ani pigułek antykoncepcyjnych. Jej rodzice byli całkowicie przekonani o czystości córki i twierdzili, że zrobiłaby wszystko, aby tylko obronić cnotę.

Po zbadaniu miejsca zbrodni Roy i Jim odtworzyli przebieg wypadków. Choć ślady krwi znajdowały się w całym mieszkaniu, ich uwagę przykuła szczególnie plama przed drzwiami łazienki. W niespłukanej muszli klozetowej znajdował się mocz, ale nie pływał w nim kawałek papieru toaletowego.

To pozwoliło od razu ustalić przebieg pierwszych chwil napaści. Kobieta była w łazience, kiedy usłyszała brzęk tłuczonej szyby. Wstała i nie tracąc czasu na spłukanie muszli, poszła zobaczyć, co się dzieje. Ledwie przekroczyła próg łazienki, napastnik uderzył ją w twarz – wyraźnie zamierzał ją ogłuszyć. Jim i Roy znaleźli narzędzie zbrodni, nóż kuchenny ukryty pod segmentem kanapy w salonie.

Narzędzie zbrodni dało śledczym kolejną informację – sprawca nie włamał się do mieszkania z zamiarem zabicia kobiety. Motywem nie był też rabunek, ponieważ nie zniknął żaden wartościowy przedmiot. Wniosek: zamierzał kobietę zgwałcić. Gdyby chciał ją szybko zabić i nie przewidywał dłuższego pobytu w mieszkaniu, wyłączenie telefonu z gniazdka nie miałoby uzasadnienia. Wdarcie się do mieszkania, pospolitość ofiary i atak z zaskoczenia

uniemożliwiający rozmowę wskazywały na mężczyznę o osobowości *macho*, niezbyt inteligentnego i pozbawionego zdolności komunikacyjnych lub pewności siebie pozwalających na uzyskanie werbalnej kontroli w kontakcie z drugą osobą. Wiedział, że jedynym sposobem osiągnięcia celu będzie przejęcie pełnej kontroli.

Nie przewidział tak zażartego oporu ze strony nieśmiałej, spokojnej kobiety. Każdy z elementów jej przeszłości podpowiadał profilerom, że właśnie w ten sposób broniłaby się przed utratą honoru. Napastnik tego nie wiedział. Im zacieklej walczyła, tym bliższy był utraty kontroli i tym silniejszy narastał w nim gniew. W sprawie Karli Brown, gdzie gwałt również przerodził się w morderstwo, gniew napastnika miał w moim odczuciu drugorzędne znaczenie w stosunku do potrzeby „uporządkowania” miejsca zbrodni. W tym wypadku można było odnieść wrażenie, że gniew i potrzeba zneutralizowania ofiary były równorzędne. Wybuch gniewu trwał znacznie dłużej niż chwilę. Ślady na podłodze wskazywały, że po pierwszym ataku, do którego doszło w kuchni, napastnik przeciągnął kobietę do salonu, gdzie ją zgwałcił. W tym czasie ona wykrwawiła się na śmierć.

Roy i Jim zaczęli pracę nad profilem tego samego wieczoru. Doszli do wniosku, że szukają mężczyzny w wieku dwudziestu–dwudziestu siedmiu lat. Zazwyczaj przy morderstwach o podłożu seksualnym lub motywowanych żądzą należałoby uznać, że biała ofiara wskazuje na białego napastnika, ale ta „reguła” tu nie obowiązywała, ponieważ zbrodnia rozpoczęła się jako gwałt. Do zdarzenia doszło w dzielnicy zamieszkannej głównie przez czarnych i Latynosów. W okolicy zanotowano wiele gwałtów na białych kobietach popełnionych przez czarnych mężczyzn, dlatego istniało spore prawdopodobieństwo, że zabójca był czarny.

Roy i Jim wątpili, aby sprawca był żonaty, niemniej mógł korzystać z pomocy finansowej innej osoby lub na kimś pasożytować. Wiązał się wyłącznie z kobietami młodszymi, mniej doświadczonymi i w jakiś sposób

podatnymi na wpływ. Nie stworzyłby związku z osobą, która by od niego czegoś wymagała lub go onieśmiała. Nie sprawiał wrażenia szczególnie inteligentnego, a w szkole nie radził sobie najlepiej (zapewne miał problemy z zachowaniem), dawał sobie radę na ulicy i umiał się bić. W swoim otoczeniu chciał uchodzić za *macho*, twardziela. Nosił najlepsze ubrania, na jakie było go stać. Był wysportowany i dbał o kondycję fizyczną.

Mieszkał niedaleko miejsca zbrodni w tanim, wynajętym lokalu. Wykonywał jakąś podrzędną pracę, często miał zatargi z kolegami i przełożonymi. Ze względu na wybuchowy temperament nie odbył służby wojskowej, a jeśli ją rozpoczął, został przedwcześnie zwolniony. Agenci przypuszczali, że nigdy wcześniej nikogo nie zabił, ale miał na koncie włamania i rozboje. Roy Hazelwood, jeden z najlepszych specjalistów od gwałtu i przestępstw wobec kobiet, był przekonany, że sprawca miał już na koncie gwałty lub napaści o charakterze seksualnym.

Agenci przewidzieli jego dalsze poczynania, które w dużej mierze pokrywały się z zachowaniami mordercy Karli Brown: między innymi nieobecności w pracy, picie sporych ilości alkoholu, ubytek wagi i zmiana wyglądu. Co najistotniejsze, ich zdaniem ktoś taki wspomni o zbrodni lub zwierzy się komuś z rodziny bądź bliskiemu koledze z pracy. Mógł to być klucz do strategii mającej pomóc w schwytaniu mordercy.

Ponieważ Roy i Jim wiedzieli, że sprawca będzie śledził informacje w prasie, postanowili upublicznić stworzony profil, udzielając wywiadów dziennikarzom lokalnych gazet. Jediną istotną informacją, o której nie wspomnieli, była rasa sprawcy. Mogli ostatecznie być w błędzie, a nie chcieli sprowadzić śledztwa na manowce i zmylić potencjalnych świadków. Podkreślili za to możliwie najdobitniej, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi obecnie osobie, z którą sprawca rozmawiał na temat morderstwa, jako że miała obciążające go informacje. Nalegali, aby osoba ta zgłosiła się na policję, póki nie jest za późno. Dwa i pół tygodnia później z policją skontaktował się współnik mordercy,

z którym zajmował się napadami rabunkowymi. Podejznanego aresztowano i oskarżono na podstawie odcisków dłoni znalezionych na miejscu zbrodni.

Późniejsza analiza profilu pokazała, że Jim i Roy trafili w dziesiątkę. Sprawcą był dwudziestodwuletni czarny mężczyzna. Nie miał żony ani dziewczyny i mieszkał cztery przecznice od miejsca zbrodni z siostrą, od której był finansowo zależny. W chwili popełnienia morderstwa przebywał na zwolnieniu warunkowym z wyroku za gwałt. Został osądzony, uznany za winnego i skazany na śmierć. Egzekucję wykonano.

Często powtarzam moim ludziom, że powinni przypominać bohatera westernu, który przyjeżdża do miasta, pomaga zaprowadzić sprawiedliwość, po czym po cichu znika, zostawiając mieszkańcom na pamiątkę srebrną kulę.

„Kim byli ci zamaskowani ludzie? Została po nich tylko ta srebrna kula”.

„Tamci? Przyjechali z Quantico”.

Jim i Roy opuścili miasto po cichu. Na miejsce zawieziono ich pośpiesznie prywatnym odrzutowcem FBI. Po wykonaniu zadania wrócili do domu rejsowym samolotem klasą turystyczną ściśnięci między szczęśliwymi wycieczkowiczami i wrzeszczącymi dziećmi. Pozostała im świadomość, czego dokonali. Nie zapomnieli o tym również wszyscy mieszkańcy miasta, którzy otrzymali „srebrne kule”.

ROZDZIAŁ 15

Krzywdząc najbliższych

Gregg McCrary przeglądał akurat jakieś dokumenty w swoim biurze w Quantico, kiedy odebrał telefon z wydziału policji położonego nieopodal miejsca, w którym mieszkał. Chodziło o jedną z tych budzących bezsilną wściekłość spraw, które niestety zdarzają się nazbyt często.

Młoda samotna matka wychodzi z dwuletnim synkiem na zakupy. Jeszcze przed dojściem do samochodu czuje niespodziewane skurcze żołądka. Zawraca, przebiega przez parking i wchodzi do wspólnej toalety w środku budynku, tuż przy bocznym wejściu. Mieszka w bezpiecznej, spokojnej okolicy, wszyscy się tam znają. Synkowi surowo nakazuje, aby bawił się na korytarzu i nigdzie nie odchodził, dopóki mama nie wyjdzie z ubikacji.

Jestem pewien, że domyślacie się dalszego ciągu. Wizyta w toalecie zajmuje czterdzieści pięć minut, a w tym czasie dziecko znika z korytarza. Kobieta, jeszcze w miarę spokojna, wychodzi z budynku. Podejrzewa, że chłopiec kręci się w pobliżu, mimo panującego na dworze chłodu.

Zaraz potem dostrzega na jezdni dzianą rękawiczkę z jednym palcem. Chłopca nigdzie nie widać. Kobieta wpada w panikę.

Wraca biegiem do mieszkania i natychmiast wykręca numer alarmowy. Gorączkowo informuje, że jej syn został porwany. Policja szybko zjawia się na miejscu i zaczyna przeszukiwać okolicę. Młoda matka odchodzi od zmysłów.

O sprawie dowiadują się media. Kobieta staje przed kamerami i błagalnym

tonem apeluje do porywacza, aby wypuścił jej synka. Policjanci szczerze jej współczują, niemniej po cichu poddają ją badaniu wykrywaczem kłamstw, które kobieta przechodzi pomyślnie. Zdając sobie sprawę, że przy uprowadzeniach dzieci liczy się każda minuta, dzwonią do Gregga.

Zapoznają go z przebiegiem zdarzeń i odtwarzają mu nagranie zgłoszenia. Greggowi coś się w tym wszystkim nie podoba, ale zanim zdążył zareagować, wypadki na miejscu zdarzenia nabrały tempa. Zrozpaczona kobieta otrzymuje pocztą przesyłkę. Na małym pakunku nie ma adresu zwrotnego, a w środku zamiast listu albo jakiejś wiadomości znajduje się rękawiczka – od pary z tą znaną na parking. Kobieta kompletnie się załamuje.

To wystarcza Greggowi. Informuje policję, że chłopiec nie żyje, a zabiła go matka.

„Skąd pan to wie? – dociekają policjanci. – Co chwilę jakieś dziecko zostaje uprowadzone przez zbrojnego. Skąd pan wie, że nie mamy do czynienia z taką sytuacją?”

Gregg wyjaśnia, że pierwszą wskazówką była relacja kobiety. Nikt bardziej od matki nie obawia się pedofilów. Czy to możliwe, że zostawiła synka bez opieki na tak długi czas? Czemu nie zabrała go ze sobą do łazienki albo nie wymyśliła innego, pośredniego rozwiązania? Ale nawet jeśli rzeczywiście wyglądało to tak, jak zeznała, podejrzane są inne okoliczności sprawy.

W nagraniu zgłoszenia kobieta wyraźnie mówi, że ktoś porwał jej dziecko. Z doświadczenia Gregga wynika, że rodzice w pierwszym odruchu odsuwają od siebie myśl o tak straszliwej ewentualności. Z ust rozhisteryzowanej matki należałoby się spodziewać raczej informacji, że chłopiec się zgubił, oddalił, zniknął jej z oczu albo coś w tym stylu. Użycie na tak wczesnym etapie słowa „porwany” sugeruje, że matka miała przygotowany w myślach scenariusz, który dopiero miał się rozegrać.

Błagalny apel przez łyżę wygłoszony przed kamerami z pewnością nie świadczy o winie, ale wszyscy mamy w pamięci twarz Susan Smith z Karoliny

Południowej błagającej o bezpieczny powrót dwóch synów, których wcześniej zabiła. Zdecydowana większość rodziców, którzy wygłaszają apele przez media, to ludzie całkowicie uczciwi. Problem w tym, że medialne przedstawienie czasami uwiarygodnia tych, którzy mają coś na sumieniu.

Dla Gregga rozstrzygające było odesłanie rękawiczki.

Dzieci są uprowadzane w zasadzie wyłącznie z trzech powodów: przez porywaczy liczących na okup, przez pedofilów pragnących zaspokojenia seksualnego i przez ludzi niezrównoważonych psychicznie, którzy za wszelką cenę pragną mieć własne dziecko. Porywacz liczący na okup kontaktuje się z rodziną – telefonicznie lub listownie – aby przekazać swoje żądania. Porywacze z dwóch pozostałych kategorii w ogóle nie są zainteresowani kontaktem z rodziną. Co najważniejsze, żaden porywacz nie odesłałby rękawiczki tylko po to, by zawiadomić rodzinę o porwaniu. Rodzina doskonale wie, co się stało. Jeżeli porywacze decydują się wysłać jakiś dowód, towarzyszy on żądaniom – w przeciwnym razie nie miałyby to sensu.

Gregg uznał, że matka zaaranżowała porwanie, ale na swoje nieszczęście nie wiedziała nic o faktycznym przebiegu takich przestępstw i zaważyła sprawę.

Bez wątplenia miała swoje powody, aby zamordować synka, co pozwoliło jej wmówić samej sobie, że nie zrobiła nic złego. Dlatego właśnie przeszła badanie wariografem. Gregg na wszelki wypadek sprowadził doświadczonego specjalistę FBI od obsługi wykrywaczy kłamstw i kazał ją ponownie przebadać. Tym razem kobieta miała świadomość, że jest podejrzana. Badanie dało kompletnie inny wynik. W krzyżowym ogniu pytań przyznała się do zamordowania synka i wskazała, gdzie znajduje się ciało.

Kierowała się pospolitym motywem, co Gregg podejrzewał od początku. Jak dwudziestoletnia samotna matka była odcięta od rozrywek typowych dla swojego wieku, ponieważ nieustannie miała na głowie dziecko. Poznała mężczyznę, któremu zależało na poważniejszym związku i stworzeniu nowej rodziny, zaznaczył jednak wyraźnie, że nie będzie tam miejsca dla jej dziecka.

Gdyby policja znalazła zwłoki przed zgłoszeniem zaginięcia, Gregg doszedłby do identycznych wniosków. Chłopiec został zakopany w lesie. Był ubrany w kombinezon, owinięty kocem i całkowicie przykryty grubym plastikowym workiem. Porywacz lub pedofil nie zadałby sobie tyle trudu, aby zapewnić zwłokom ciepło i „wygodę” albo osłonić je od ziemi i wody. Wiele miejsc zbrodni nosi naturalne ślady długotrwałego gniewu sprawcy. Miejsca, w których mordercy porzucają zwłoki, wyrażają często pogardę i wrogość. Grób chłopca nosił ślady miłości i wyrzutów sumienia.

Historia krzywd wyrządzanych tym, których kochamy lub powinniśmy kochać, jest długa. W pierwszym wywiadzie telewizyjnym po objęciu funkcji szefa Jednostki Nauk Behawioralnych Alan Burgess powiedział: „Przemoc towarzyszyła nam od pokoleń, przez całą historię, poczynając od czasów biblijnych, kiedy Kain zastrzelił Abła”. Na szczęście dziennikarze nie zwrócili uwagi na wskazanie broni palnej jako pierwszego narzędzia zbrodni w historii.

Oskarżenie o przemoc domową padło w jednej z najsłynniejszych spraw dziewiętnastowiecznej Anglii. W 1860 roku inspektor Scotland Yardu Jonathan Whicher udał się do Frome w hrabstwie Somerset, aby zbadać morderstwo małego Francisa Kenta, potomka jednej z najbardziej wpływowych rodzin w okolicy. Lokalna policja była przekonana, że dziecko zostało zabite przez Cyganów, ale po zapoznaniu się z faktami Whicher doszedł do wniosku, że sprawcą była szesnastoletnia siostra Francisa Constance. Ze względu na wysoką pozycję rodziny i niedorzeczność zarzutu, jakoby nastoletnia dziewczyna była zdolna do zabicia małego braciszka, sąd odrzucił dowody zebrane przez Whichera i oczyścił Constance z zarzutów.

Gwałtowne protesty opinii publicznej zmusiły Whichera do odejścia ze Scotland Yardu. Przez lata prowadził śledztwo na własną rękę, aby udowodnić, że miał rację. Bankructwo i zły stan zdrowia sprawiły, że ostatecznie dał za wygraną. Rok później Constance Kent przyznała się do popełnienia zbrodni. Ponownie stanęła przed sądem i została skazana na dożywocie. Trzy lata później

Wilkie Collins opublikował nowatorską powieść detektywistyczną *Kamień księżycowy*, której fabułę oparł na sprawie Kent.

Kluczowym elementem wielu morderstw popełnianych na ukochanych lub krewnych jest zainscenizowanie miejsca zbrodni – morderca musi w jakiś sposób odsunąć od siebie podejrzenia. Jedną z pierwszych spraw z tej kategorii, z którymi zetknąłem się bezpośrednio, było morderstwo Lindy Hanley Dover w Cartersville w stanie Georgia, popełnione dzień po Bożym Narodzeniu w 1980 roku.

Ofiara była w separacji z mężem Larrym, ale utrzymywali nadal dość serdeczne stosunki. Regularnie przychodziła, aby wysprzątać mu dom, w którym kiedyś razem mieszkali. Właśnie tym zajmowała się w piątek 26 grudnia, gdy Larry wyszedł z ich małym synkiem na cały dzień do parku.

Z wycieczki wrócili po południu. Nie zastali Lindy, a dom wyglądał na niewysprzątany. Larry wszedł do sypialni. Panował tam straszny bałagan: pościel i poduszki leżały na ziemi, szuflady komody były wysunięte, ubrania rozrzucone dookoła, a dywan pokrywały czerwone plamy przypominające krew. Larry natychmiast zadzwonił na policję, która błyskawicznie przybyła na miejsce i przeszukała dokładnie dom.

W pomieszczeniu gospodarczym przylegającym do domu funkcjonariusze znaleźli ciało Lindy. Było zawinięte w kołdrę z sypialni, tylko głowa wystawała na zewnątrz. Po odwinięciu zwłok zobaczyli, że bluzka i biustonosz zostały podciągnięte powyżej piersi, dżinsy były opuszczone do kolan, a majtki zsunięto poniżej krocza. Kobietę uderzono tępym przedmiotem w głowę i w twarz oraz zadano jej kilka ciosów nożem. Policjanci podejrzewali, że obrażenia powstały już po podciągnięciu biustonosza i bluzki. Doszli do wniosku, że ciosy zadano nożem wyjętym z otwartej szuflady w kuchni, ale nie mogli go nigdzie znaleźć (i nigdy nie znaleźli). Kobieta została zaatakowana w sypialni i stamtąd przeniesiono jej ciało do pomieszczenia na zewnątrz budynku. Krople krwi na udach wskazywały, że morderca ułożył ją w odpowiedniej pozycji.

Żaden fakt nie upoważniał do zaliczenia Lindy Dover do grupy ofiar wysokiego ryzyka. Choć pozostawała w separacji, nie żyła w związku z innym mężczyzną. Ewentualnymi stresogenami mogły być okres świąteczny i powody, które doprowadziły do rozpadu małżeństwa.

Na podstawie fotografii z miejsca zbrodni oraz informacji przysłanych przez policję z Cartersville uznałem, że sprawca należy do jednej z dwóch kategorii. Istniało spore prawdopodobieństwo, że jest nim młody i niedoświadczony samotnik o niskim poczuciu własnej wartości, który mieszka w pobliżu i popełnił zbrodnię w zasadzie przypadkowo, korzystając z nadarzającej się okazji. Policjanci powiedzieli mi później, że wielu okolicznych mieszkańców obawiało się mieszkającego w pobliżu chuligana.

Ponieważ wiele elementów zbrodni zostało zainscenizowanych, doszedłem do wniosku, że sprawca należy raczej do drugiej kategorii: dobrego znajomego ofiary, który próbował odsunąć od siebie ewentualne podejrzenia. Potrzebę ukrycia ciała na terenie domu odczuwały jedynie osoby popełniające, jak mówimy w FBI, „zabójstwo z przyczyn osobistych”. Zadanie ciosu w twarz i szyję wskazywało na podtekst osobisty morderstwa.

Powiedziałem policjantom, że moim zdaniem sprawca to człowiek inteligentny, choć skończył jedynie szkołę średnią i wykonuje pracę wymagającą dużej siły fizycznej. W przeszłości zdarzało mu się atakować innych ludzi, ma wybuchowy temperament. Jest humorzasty, nie potrafi przyznać się do porażki, a w trakcie popełniania morderstwa był pogrążony w depresji, zapewne w związku z problemami finansowymi.

Zainscenizowanie miejsca zbrodni było wewnętrznym logiczne i racjonalne. Morderca nie chciał zostawić ciała Lindy na widoku, gdzie mogłoby zostać znalezione przez kogoś z rodziny – zwłaszcza jej syna. Właśnie dlatego zadał sobie trud, aby zawinąć je w koc i przenieść do komórki. Chciał upozorować zabójstwo na tle seksualnym (dlatego podciągnął stanik i odsłonił okolice narządów płciowych), tymczasem na ciele nie znaleziono śladów napaści

seksualnej. Mimo wszystko mordercę krępowała myśl, że policjanci zobaczą nagie genitalia i piersi kobiety, dlatego przykrył zwłoki kocem.

Uprzedziłem policjantów, że sprawca będzie przesadnie skłonny do współpracy. W pierwszej chwili będzie wyglądał na przejętego, ale zrobi się arogancki i nieprzyjemny, kiedy ktoś poda w wątpliwość jego alibi. Po morderstwie zacznie pić, brać narkotyki albo zrobi się niezwykle religijny. Zmieni wygląd zewnętrzny, być może także pracę i miejsce zamieszkania. Poradziłem policjantom, aby szukali osoby, u której zachowanie i osobowość uległy całkowitemu odwróceniu.

– Dziś w niczym nie przypomina siebie samego sprzed zabójstwa – zakończyłem.

Nie zdawałem sobie sprawy, że zanim policjanci poprosili mnie o przygotowanie profilu sprawcy, zdążyli już oskarżyć Larry'ego Bruce'a Dovera o zamordowanie żony – chcieli się tylko upewnić, że zmierzają we właściwym kierunku. Mocno mnie to wkurzyło. Po pierwsze, i tak nie nadążałem z przerabianiem wszystkich napływających do mnie spraw. Po drugie i najważniejsze, cała sytuacja mogła postawić FBI w niezręcznej pozycji. Na szczęście dla wszystkich zainteresowanych profil idealnie pasował do sprawcy. Jak wyjaśniłem naszemu dyrektorowi oraz agentowi specjalnemu kierującemu oddziałem w Atlancie, gdyby profil zawierał nieścisłości, zręczny obrońca wezwałby mnie na świadka i zmusił do przyznania przed sądem, że oskarżony nie pasuje w niektórych punktach do mojego „eksperckiego” profilu. Od tego czasu zawsze pytałem policję, czy ma już podejrzanego, choć oczywiście nie chciałem znać jego tożsamości przed opracowaniem profilu.

Przynajmniej w tamtej sprawie mordercę dosięgła sprawiedliwość. 3 września 1981 roku Larry Bruce Dover został uznany za winnego zamordowania Lindy Haney Dover. Resztę życia miał spędzić za kratkami.

Odmianą zainscenizowanego morderstwa popełnionego przez bliską osobę jest zabójstwo Elizabeth Jayne Wolsieffer, dla najbliższych Betty, do którego

doszło w 1986 roku.

Tuż po siódmej rano w sobotę 30 sierpnia policja w Wilkes-Barre w Pensylwanii otrzymała wezwanie pod numer 75 przy ulicy Birch, gdzie znajdował się dom wziętego dentysty i jego rodziny. Po przybyciu na miejsce pięć minut później funkcjonariusze Dale Minnick i Anthony George zobaczyli leżącego na podłodze trzydziestotrzyletniego doktora Edwarda Glena Wolsieffera. Ktoś próbował go udusić i zdzielił czymś w głowę. W domu był brat Edwarda Neil, który wyjaśnił, że mieszka po drugiej stronie ulicy i przybył wezwany telefonicznie przez Glena. Dentysta był oszołomiony i dezorientowany. Twierdził, że numer telefonu Neila był jedynym, jaki potrafił sobie przypomnieć. Na policję zadzwonił Neil.

Mężczyźni poinformowali funkcjonariuszy, że na piętrze znajdują się trzydziestodwuletnia żona Glena Betty i ich pięcioletnia córka Danielle. Neil chciał już wcześniej sprawdzić, czy nic im się nie stało, ale za każdym razem Glen zaczynał tracić przytomność i jęczeć. W rezultacie żaden z nich nie zajrzał na piętro. Zdaniem Neila Glen obawiał się, że intruz nadal znajduje się na terenie domu.

Minnick i George przeszukali dom. Nie znaleźli intruza, ale w głównej sypialni natknęli się na zwłoki Betty. Kobieta leżała na podłodze obok łóżka. Z obrażeń na szyi, wysychającej piany na ustach i niebieskawego koloru obitej twarzy wynikało, że morderca udusił ją gołymi rękami. Na pościeli znajdowały się plamy krwi – wyglądało, jakby sprawca otarł kobiecie twarz. Betty odziana była jedynie w koszulę nocną, podciągniętą na wysokość bioder.

Danielle, cała i zdrowa, spała w sąsiednim pokoju. Po przebudzeniu stwierdziła, że nic nie słyszała – ani odgłosów włamania, ani szamotaniny, żadnego zamieszania.

Minnick i George wrócili na dół i – nie mówiąc o tym, co zobaczyli na piętrze – poprosili doktora Wolsieffera o zrelacjonowanie przebiegu wydarzeń. On wyjaśnił, że o świcie obudził go jakiś hałas. Wziął pistolet ze stolika

nocnego i nie budząc Betty, podszedł do drzwi.

Przez szparę zobaczył u szczytu schodów dużego mężczyznę. Intruz najwyraźniej go nie zauważył, więc doktor Wolsieffer zszedł za nim na dół. Intruz zniknął. Wolsieffer zaczął go szukać.

Napastnik niespodziewanie zaatakował od tyłu, próbując zacisnąć na szyi dentysty jakiś kabel lub sznur. Na szczęście Wolsieffer zdążył odrzucić broń i wsunąć dłoń między skórę a pętlę. Zaraz potem kopnął nogą do tyłu, trafiając przeciwnika w krocze i zmuszając do rozluźnienia uścisku. Zanim zdążył się odwrócić, otrzymał cios w głowę i stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, zadzwonił do brata.

Zdaniem policjantów i lekarzy pogotowia ratunkowego doktor Wolsieffer nie odniósł poważnych obrażeń. Miał stłuczenie z tyłu głowy, zaróżowienie na karku, niewielkie zadrapania na lewym boku i klatce piersiowej. Na wszelki wypadek zawieźli go do szpitala. Lekarz z izby przyjęć również nie stwierdził poważniejszych obrażeń, ale przyjął pacjenta na oddział, kiedy usłyszał od niego o utracie przytomności.

Policja od początku nie wierzyła Wolsiefferowi. Wydawało się bezsensowne, aby włamywacz wchodził o świcie do domu przez okno na pierwszym piętrze. Na zewnątrz policja znalazła drabinę przystawioną do otwartego okna tylnej sypialni. Właśnie tamtędy miał rzekomo dostać się do środka intruz, problem w tym, że drabina była rozchwierutana i zapewne nie wytrzymałaby ciężaru człowieka o nawet średniej budowie ciała. Stała oparta o ścianę domu szczęblami zwróconymi w odwrotną stronę. Nogi nie zagłębiły się w miękką ziemię, z czego wynikało, że nie została niczym obciążona. Aluminiowa rynna, o którą się opierała, nie nosiła śladów zarysowań. Na szczęblach ani daszku pod oknem nie znaleziono żadnych resztek trawy czy ziemi, które powinien pozostawić włamywacz, gdyby rzeczywiście wszedł tamtędy do domu.

Również w domu znaleziono ślady sprzeczne z wersją wydarzeń

Wolsieffera. Nie stwierdzono zniknięcia żadnej wartościowej rzeczy, nawet biżuterii leżącej na widoku w sypialni. Dlaczego włamywacz miałby zostawić na parterze pistolet obok nieprzytomnego mężczyzny, wrócić schodami na piętro i zamordować – ale nie zgwałcić – jego żonę?

Szczególnie niepokojące były dwa fragmenty relacji. Skoro Glen został podduszony do utraty przytomności, dlaczego nie znaleziono żadnych obrażeń z przodu szyi? A już najbardziej niepojęte było to, że Glen i Neil nie poszli na piętro, aby sprawdzić, czy coś nie stało się Betty i Danielle.

Z czasem doktor Wolsieffer inaczej opisywał przebieg zdarzeń. Przypominał sobie kolejne szczegóły wyglądu napastnika. Mężczyzna był ubrany w czarną bluzę sportową, maskę z pończochy i miał wąsy. Doktor wielokrotnie sam sobie zaprzeczał. Krewnym powiedział, że w piątek wieczorem przebywał do późna poza domem, ale zdążył jeszcze porozmawiać z żoną przed zaśnięciem. Policjantom zeznał, że jej nie obudził. Początkowo twierdził, że z szuflady w biurku zniknęło tysiąc trzysta dolarów, ale później się z tego wycofał, kiedy policja znalazła dowód wpłaty z banku na tę kwotę. Kiedy funkcjonariusze próbowali z nim porozmawiać po przybyciu na miejsce, sprawiał wrażenie człowieka, który ledwo kontaktuje i bełkoce. W szpitalu wspomniał, że słyszał, jak policja dzwoni do koronera.

W miarę trwania śledztwa Glen Wolsieffer wymyślał coraz to nowe i bardziej skomplikowane scenariusze, które miały wyjaśnić przebieg zdarzeń. Po jakimś czasie z jednego napastnika zrobiło się dwóch. Przyznał się do romansu z byłą asystentką ze swojego gabinetu, ale zapewniał policję, że przestał się z nią spotykać rok wcześniej. Później przyznał, że kilka dni przed morderstwem uprawiał z nią seks. Zapomniał wspomnieć o innym romansie, który miał w tym samym czasie z pewną mężatką.

Przyjaciele Betty Wolsieffer powiedzieli śledczym, że choć kochała męża i starała się ratować małżeństwo, była zmęczona zachowaniem Glena, zwłaszcza jego późnymi powrotami do domu w piątki. Kilka dni przed śmiercią zwierzyła

się przyjaciółce, że „postawi się” Glenowi, jeśli ten w najbliższy piątek ponownie wróci późno do domu.

Poza wstępnymi zeznaniami złożonymi w domu i w szpitalu Glen, za radą adwokata, odmówił dalszych rozmów z policjantami. Ci skoncentrowali uwagę na jego bracie Neilu, którego zeznania były niemal równie dziwaczne. Nie zgodził się na badanie wykrywaczem kłamstw – słyszał, że dawały nieprecyzyjne wyniki, a on obawiał się niekorzystnych skutków dla swojego zdrowia. W obliczu nieustannych nalegań policji i rodziny Betty oraz presji opinii publicznej Neil zgodził się w październiku złożyć zeznania w budynku sądu.

Mniej więcej kwadrans po dziesiątej rano – kwadrans po wyznaczonym początku spotkania – Neil zginął w wypadku samochodowym. Jego mała honda zderzyła się czołowo z ciężarówką. Neil zmierzał w przeciwnym kierunku niż budynek sądu. Koroner orzekł, że było to samobójstwo, ale później ustalono, że Neil mógł nie wyrobić się na zakręcie i próbować nerwowo powrócić na prawy pas. Nigdy nie poznamy prawdy.

W ciągu roku policja z Wilkes-Barre zgromadziła wiele poszlak świadczących o tym, że Glen Wolsieffer zamordował swoją żonę, ale nie dysponowała niepodważalnymi dowodami pozwalającymi na wniesienie oskarżenia. Na miejscu zbrodni znaleziono odciski palców i włosy dentysty, ale była to przecież jego sypialnia. Policja doszła do wniosku, że sznur, którym udusił żonę, i swoje zakrwawione ubranie Glen prawdopodobnie wrzucił do pobliskiej rzeki, zanim jeszcze zadzwonił do brata. Jediną nadzieją na aresztowanie i skazanie Wolsieffera było znalezienie eksperta gotowego orzec, że zbrodnię popełniła osoba blisko związana z ofiarą, która następnie zaaranżowała miejsce zbrodni.

W styczniu 1988 roku policja z Wilkes-Barre zwróciła się do mnie z prośbą o sporządzenia analizy. Po zapoznaniu się z obszernymi aktami sprawy doszedłem szybko do przekonania, że morderstwo faktycznie popełniła osoba

dobrze znająca ofiarę, która następnie próbowała zatrzeć ślady, aranżując miejsce zbrodni. Ponieważ policja miała już podejrzanego, nie chciałem tworzyć standardowego profilu ani oskarżać męża, postanowiłem jednak dostarczyć policji argumentów mogących pomóc w aresztowaniu.

Do włamania doszło o świcie, w weekend, a celem był położony w porządnej dzielnicy dom z dwoma samochodami zaparkowanymi na podjeździe. Tego rodzaju przestępstwo byłoby niezwykle ryzykowne i nie zdarzało się zbyt często. Scenariusz z włamaniem był zatem wyjątkowo mało prawdopodobny.

W trakcie wieloletnich badań i konsultacji w sprawach z całego świata nie spotkaliśmy włamywacza, który zakradałby się do domu przez okno na pierwszym piętrze i natychmiast schodził na parter, nie sprawdzwszy pokoi na górze.

Nie znaleziono żadnych śladów broni, którą napastnik przyniósłby ze sobą, co czyniło wysoce nieprawdopodobnym scenariusz celowego zabójstwa. Pani Wolsieffer nie została zgwałcona, co wykluczało z kolei hipotezę, że sprawca przyszedł z zamiarem gwałtu, a morderstwo popełnił, gdy sprawy wymknęły mu się spod kontroli. Nie znaleziono dowodów, że włamywacz próbował cokolwiek ukraść. Pozwalało to znacznie zawęzić listę potencjalnych motywów.

Uduszenie ofiary rękami świadczy o osobistym charakterze zbrodni. Tej metody nie wybrałby ktoś obcy, zwłaszcza włamywacz.

Policjanci systematycznie i skrupulatnie gromadzili kolejne poszlaki. Choć mieli pewność, kto jest mordercą, oskarżenie oparte na samych poszlakach zostałyby odrzucone przez sąd. Tymczasem Glen Wolsieffer przeprowadził się do Falls Church w Wirginii, miejscowości położonej niedaleko Waszyngtonu, gdzie otworzył gabinet dentystyczny. Pod koniec 1989 roku przygotowano nakaz aresztowania i dokumentację do przedłożenia sądowi, w której powołano się na mój raport. 3 listopada 1989 roku, trzydzieści osiem miesięcy od morderstwa, oddział policji stanowej, okręgowej i lokalnej przybył do Wirginii

i aresztował Wolsieffera w jego gabinecie.

– To stało się tak szybko – powiedział wtedy jednemu z funkcjonariuszy. – Rzuciliśmy się na siebie. Pamiętam wszystko jak przez mgłę.

Później twierdził, że miał na myśli włamywacza/włamywaczy, a nie żonę.

Choć w kilku stanach uznawano mnie już wtedy za eksperta od analizy miejsc zbrodni, obrona określiła mnie mianem „specjalisty od wudu” – rzekomo właśnie w ten sposób dochodziłem do swoich wniosków. Sędzia zabronił mi zeznawać, ale oskarżyciele wykorzystali informacje, jakie im przekazałem. W połączeniu ze starannie przygotowanym przez policję materiałem dowodowym pozwoliło to skazać mężczyznę za morderstwo trzeciego stopnia.

W sprawie Wolsieffera można wskazać na szereg sygnałów ostrzegawczych: chybotliwa i odwrotnie ustawiona drabina, upozorowanie przestępstwa seksualnego mimo braku śladów gwałtu, niespójność blizn po duszeniu, brak zainteresowania losem żony i dziecka, córka śpiąca smacznie mimo hałasów w domu. Najważniejszym był całkowity brak logiki w poczynaniach i zachowaniach rzekomego napastnika. Włamywacz, niezależnie od przyświecających mu intencji, w pierwszej kolejności powinien zneutralizować najpoważniejsze zagrożenie – w tym wypadku był to mierzący sto dziewięćdziesiąt centymetrów, ważący dziewięćdziesiąt kilogramów i uzbrojony pan domu – a dopiero później zająć się osobą, która przedstawia mniejsze zagrożenie, czyli nieuzbrojoną żoną.

Dobry śledczy powinien zawsze być wyczulony na tego rodzaju niekonsekwencje. Doświadczenie wyniesione z ogromnej liczby spraw sprawia zapewne, że staramy się odtwarzać prawdziwy przebieg i sens wydarzeń i ustalać, jakie wnioski można wyciągnąć z zachowań uczestników.

W pewnym sensie przypominamy aktorów przygotowujących się do roli. Aktor widzi słowa w scenariuszu, ale w swojej grze chce wyrazić „podtekst” – prawdziwy sens sceny.

Jedną z najbardziej czytelnych ilustracji takiego postępowania może być

morderstwo Carol Stuart w 1989 roku. Ta niezwykle głośna sprawa o mały włos nie doprowadziła do rozpadu lokalnej bostońskiej społeczności.

Małżonkowie jechali pewnej nocy do domu ze szkoły naturalnego rodzenia, kiedy podczas postoju na światłach zostali rzekomo zaatakowani przez dużego czarnego mężczyznę, który strzelił najpierw do trzydziestoletniej Carol, a następnie do jej o rok młodszego męża. Ciężko ranny w brzuch Charles był operowany przez szesnaście godzin. Choć lekarze z Brigham and Women's Hospital robili wszystko, co w ich mocy, aby ocalić Carol, kobieta zmarła kilka godzin później. Ich dziecko, chłopiec imieniem Christopher, zostało wydobyte z brzucha matki przez cesarskie cięcie, ale przeżyło tylko kilka tygodni. Charles wciąż dochodził do siebie w szpitalu i nie mógł uczestniczyć w dużym, relacjonowanym w mediach pogrzebie żony.

Bostońska policja przystąpiła natychmiast do działania i urządziła obławę na wszystkich czarnych mężczyzn pasujących do rysopisu rzekomego napastnika. Charles wskazał na jednego z nich podczas konfrontacji.

Zaraz potem odkryto prawdziwy przebieg wydarzeń. Brat Charlesa Matthew zwątpił w historyjkę o rabunku, kiedy brat poprosił go o pomoc w pozbyciu się worka z rzekomo skradzionymi przedmiotami. Prokurator okręgowy oskarżył Charlesa Stuarta o morderstwo. Dzień później Charles popełnił samobójstwo, skacząc z mostu.

Wśród czarnych mieszkańców zapanowało zrozumiałe oburzenie. To samo stało się sześć lat później, kiedy Susan Smith fałszywie oskarżyła czarnego mężczyznę o porwanie jej dwojga dzieci. W sprawie Smith lokalny szeryf z Karoliny Południowej podjął specjalne działania, aby rozładować sytuację. Dzięki współpracy mediów i służb federalnych (między innymi agenta naszej jednostki Jima Wrighta) ustalił prawdę w ciągu kilku dni.

Sprawy Stuarta nie zdołano rozwiązać równie szybko, choć miałem poczucie, że policja mogła dokładniej przeanalizować zeznania Stuarta i skonfrontować je z faktycznym przebiegiem wydarzeń. Nie każdy jest gotów

postrzelić się w brzuch, aby upozorować przestępstwo, ale podobnie jak w sprawie Wolsieffera musi istnieć powód, dla którego napastnik atakuje najpierw osobę stanowiącą mniejsze zagrożenie (zazwyczaj kobietę). Dokonujący rabunku bandyta zawsze próbuje najpierw zneutralizować najgroźniejszego przeciwnika. Jeżeli tego nie robi, musi mieć specjalny powód. Syn Sama, czyli David Berkowitz, strzelał najpierw do kobiet, ponieważ to one były celem jego ataków. Towarzyszący im mężczyźni po prostu mieli pecha.

Zainscenizowane przestępstwa stanowią wyzwanie dla stróżów prawa, ponieważ łatwo można zaangażować się emocjonalnie po stronie faktycznych i niedoszłych ofiar. W naturalny sposób chcemy pomóc osobie pogrążonej w rozpacz. Jeśli jednak mamy do czynienia z osobą obdarzoną przyzwoitymi umiejętnościami aktorskimi, a przestępstwo na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie realnego, często wyłączamy krytyczne myślenie. Podobnie jak lekarze możemy współczuć ofiarom, ale popełnilibyśmy błąd, tracąc obiektywizm.

Kto byłby zdolny do tak potwornego czynu?

Prawda może być naprawdę przykra, ale to do nas należy znalezienie odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 16

„Bóg chce, abyś dołączyła do Shari Faye”

Shari Faye Smith, piękna i pełna życia uczennica ostatniej klasy szkoły średniej, została porwana przed swojego domu (nieopodal Columbii w Karolinie Południowej), gdy zatrzymała się, aby wyjąć listy ze skrzynki. Wracała z pobliskiego centrum handlowego, gdzie spotkała się ze swoim chłopakiem, Richardem. Była trzecia trzydzieści osiem, ciepłe, słoneczne popołudnie 31 maja 1985 roku. Dwa dni później Shari miała zaśpiewać hymn państwowy na zakończenie roku szkolnego.

Dosłownie chwilę później jej ojciec Robert natknął się na samochód córki zaparkowany na końcu długiego podjazdu łączącego ulicę z domem. Drzwi były otwarte, silnik włączony, a torebka Shari leżała na siedzeniu. Ogarnięty panicznym strachem, natychmiast zadzwonił do biura szeryfa hrabstwa Lexington.

Takie wypadki po prostu nie zdarzały się w Columbii, dumnej i spokojnej miejscowości będącej wcieleniem pojęcia „wartości rodzinne”. Jak śliczna, towarzyska blondynka mogła zniknąć przed własnego domu? Kto za to odpowiadał? Szeryf Jim Metts nie potrafił odpowiedzieć na te pytania, ale wyczuł, że stanął w obliczu kryzysu. Zorganizował największą obławę w dziejach Karoliny Południowej. Na pomoc przybyli funkcjonariusze z agencji stanowych oraz sąsiednich hrabstw, a wspierało ich ponad tysiąc ochotników. Metts przeprowadził również po cichu szybkie śledztwo, które pozwoliło

wykluczyć spośród podejrzanych Roberta Smitha. Przy zaginięciach osób należących do kategorii niskiego ryzyka lub kiedy istnieje podejrzenie, że padły ofiarą przestępstwa, do grona potencjalnych sprawców włącza się zawsze bliskich członków rodziny.

Pograżona w rozpacz rodziny Smithów czekała na jakąkolwiek informację o losach dziewczyny – choćby żądanie okupu. W końcu zadzwonił telefon. Mężczyzna o dziwnie zniekształconym głosie oświadczył, że porwał Shari.

– Żeby nie było wątpliwości, że mówię prawdę: Shari była ubrana w koszulkę i szorty, a pod spodem miała czarno-żółty kostium kąpielowy.

Matka Shari Hilda błagalnym tonem poinformowała mężczyznę, że dziewczyna ma cukrzycę i musi regularnie się odżywiać, pić wodę i przyjmować lekarstwa.

Porywacz nie wspomniał ani słowem o okupie.

– Jeszcze dziś dostaniecie list – zapowiedział.

Ta rozmowa jeszcze bardziej wystraszyła rodzinę i przedstawicieli prawa.

Kolejna decyzja Mettsa była efektem jego wcześniejszych doświadczeń i odbytych szkoleń. On i jego zastępca Lewis McCarthy ukończyli Narodową Akademię FBI i mieli znakomite relacje z przedstawicielami Biura. Nie zastanawiając się długo, Metts skontaktował się z agentem specjalnym Robertem Iveyem, szefem biura terenowego FBI w Columbii, a za jego pośrednictwem z moją jednostką w Quantico. Ja miałem akurat inne obowiązki, ale w sprawę zaangażowali się szybko Jim Wright i Ron Walker. Po przeanalizowaniu okoliczności porwania, zdjęć, raportu z rozmowy telefonicznej doszli do wniosku, że mają do czynienia z wyrafinowanym, niezwykle niebezpiecznym człowiekiem, a życiu Shari grozi realne niebezpieczeństwo. Obawiali się, że dziewczyna może być już martwa, a sprawca wkrótce odczuje potrzebę popełnienia kolejnej zbrodni. Podejrzewali, że porywacz zobaczył Shari całującą się ze swoim chłopakiem w centrum handlowym i pojechał za nią do domu. Dziewczyna na swoje nieszczęście zatrzymała się przy skrzynce na listy. Gdyby

tego nie zrobiła albo gdyby ulicą przejeżdżał inny samochód, do przestępstwa nigdy by nie doszło. Ludzie z biura szeryfa zamontowali w domu Smithów sprzęt nagrywający – na wypadek gdyby porywacz zadzwonił ponownie.

Zaraz potem Smithowie otrzymali niezwykle niepokojący materialny dowód porwania. Mimo wielu przechodzących czasami jakiegokolwiek wyobrazenie potworności, z którymi spotkałem się podczas wszystkich lat służby, nigdy nie miałem w ręku niczego bardziej wstrząsającego niż dwustronicowy odręczny list autorstwa Shari. Na dole po lewej stronie napisano: „BÓG JEST MIŁOŚCIĄ”.

Choć lektura listu nawet dziś jest bolesna, przytaczam go tutaj w pełnej wersji, ponieważ jest niezwykłym świadectwem siły charakteru i odwagi tej młodej kobiety.

1/6/85 3.10 KOCHAM was

Testament

Kocham cię, mamusiu, tatusiu, Robercie, Dawn i Richardzie, wszystkich innych oraz was, przyjaciele i krewni. Połączę się niedługo z ojcem, więc się nie martwcie! Nie zapomnijcie tylko o moim pogodnym usposobieniu i wspólnych chwilach, jakie spędziliśmy razem. Nie pozwólcie, proszę, aby to zdarzenie zniszczyło wam życie, rozpoczynajcie każdy nowy dzień ku chwale Jezusa. Jakieś dobro na pewno z tego wyniknie. Myślami zawsze będę z wami i w was! (Trumna zamknięta). Ależ ja was cholernie kocham. Tato, przepraszam, musiałam choć raz zakląć! Wybacz mi, Jezu. Richardzie, najdroższy – naprawdę cię kochałam i zawsze będę cię kochała i ceniła nasze wyjątkowe chwile razem. Mam tylko jedną prośbę. Przyjmij do serca Jezusa jako swego osobistego Zbawiciela. Nikt nie wywarł na mnie większego wpływu niż moja rodzina. Przepraszam, że się wykosztowaliście na wycieczkę statkiem. Popłyńcie kiedyś za mnie.

Przepraszam, jeżeli kiedykolwiek was zawiodłam. Chciałabym, abyście byli ze mnie dumni, ponieważ ja zawsze byłam dumna ze swojej rodziny. Mamo, tato, Robercie i Dawn... tylu rzeczy nie zdążyłam wam powiedzieć. Kocham was!

Wiem, że wszyscy mnie kochacie i będziecie za mną bardzo tęsknić. Bądźcie dla siebie nawzajem podporą, a jak zawsze w takich sytuacjach – dacie radę!

Nie żywcie gniewu ani nie martwcie się. Kto kocha Pana, wie, że wszystko to służy wyższemu dobru.

Będę was zawsze kochać

Kocham was
Z całego serca!

PS Babciu – tak bardzo Cię kocham. Zawsze czułam, że jestem Twoją ulubienicą. Ty byłaś moją!

Bardzo Cię Kocham

Szeryf Metts wysłał obie kartki do policyjnego laboratorium Karoliny Południowej z prośbą o analizę papieru i ewentualnych odcisków palców. Po przeczytaniu kopii listu w Quantico byliśmy w zasadzie pewni, że porwanie zakończyło się morderstwem. Trzymający się razem Smithowie, których religijność znalazła tak poruszające odzwierciedlenie w liście Shari, nadal nie tracili nadziei. 3 czerwca Hilda Smith odebrała po południu telefon i usłyszała w słuchawce pytanie, czy otrzymali list.

– Teraz mi wierzycie?

– Nie jestem pewna, ponieważ nie dostaliśmy żadnej wiadomości od Shari. Muszę mieć dowód, że nic jej się nie stało.

– Zaczekaj dwa–trzy dni, to się dowiesz – oświadczył złowrogo mężczyzna.

Zadzwoił ponownie jeszcze tego samego wieczoru. Twierdził, że Shari żyje, i dał do zrozumienia, że niedługo ją wypuści. Kilka sformułowań, których użył w rozmowie, skłoniło nas do przeciwnego wniosku.

– Musisz wiedzieć jedno: Shari jest teraz częścią mnie. Fizycznie, mentalnie, emocjonalnie, duchowo. Nasze dusze stały się jednością.

Pani Smith zażądała dowodu, że jej córka żyje i ma się dobrze.

– Shari jest pod ochroną i... jest teraz częścią mnie, a Bóg opiekuje się nami wszystkimi – usłyszała w odpowiedzi.

Później ustalono, że rozmówca dzwonił z automatów telefonicznych znajdujących się w okolicy, ale w tamtych czasach namierzenie konkretnego aparatu trwało około piętnastu minut, a wszystkie rozmowy kończyły się wcześniej. Mimo to sprzęt rejestrujący pracował, a kopie rozmów przesyłano nam natychmiast za pośrednictwem biura terenowego FBI. Odsłuchując kolejne nagrania, byliśmy z Wrightem i Walkerem zdumieni siłą i opanowaniem, które

pani Smith prezentowała w rozmowach z tym potworem. Zrozumieliśmy, w kogo wdała się Shari.

Metts zapytał, co może doradzić Smithom, na wypadek gdyby porywacz zadzwonił ponownie. Jim Wright odparł, że powinni prowadzić rozmowy w taki sposób, jakby byli policyjnymi negocjatorami: słuchać uważnie, powtarzać wszystkie potencjalnie istotne stwierdzenia, aby mieć pewność, że dobrze zrozumieli intencje mężczyzny, a jednocześnie podejmować próby sprowokowania go do jakichś reakcji, ujawnienia czegoś o sobie i swoich zamiarach. Taka strategia miała dwie zalety. Po pierwsze, mogła przedłużyć rozmowę do kwadransa, co pozwoliłoby policji namierzyć rozmówcę. Po drugie, mogła go „utwierdzić” w przekonaniu, że Smithowie zawsze będą gotowi go wysłuchać, więc warto utrzymywać z nimi kontakt.

Nie trzeba dodawać, że musiało to być wielkim wyzwaniem dla przerażonej i zrozpaczonej rodziny. Smithowie wykazali się zdumiewającą odpornością, wykonując zalecenia szeryfów i zdobywając dla nas cenne informacje.

Porywacz zadzwonił następnego wieczoru. Tym razem połączył się z Dawn, dwudziestojednoletnią siostrą Shari. Od zaginięcia Shari minęły cztery dni. Mężczyzna opisał moment porwania. Powiedział, że zatrzymał samochód, gdy zobaczył dziewczynę przy skrzynce na listy. Zachowywał się przyjaźnie, zrobił kilka zdjęć, po czym ją zmusił, aby wsiadła do samochodu, grożąc jej pistoletem. W rozmowach raz sprawiał wrażenie sympatycznego, kiedy indziej poprzestawał na trudnej do zniesienia rzeczowości, a czasem wydawało się, że wyraża żal, że cała sprawa „wymknęła się spod kontroli”.

– A więc o czwartej pięćdziesiąt osiem... – kontynuował relację. – Chwila, zaraz. O trzeciej dziesiąt w nocy, w niedzielę 1 czerwca, ehm, napisała list, który otrzymaliście. O czwartej pięćdziesiąt osiem w nocy w niedzielę 1 czerwca nasze dusze stały się jednym.

– Wasze dusze stały się jednym... – powtórzyła Dawn.

– Co to znaczy? – spytała stojąca obok Hilda.

– Nie czas na pytania – uciął mężczyzna.

Ale my wiedzieliśmy, co to oznacza. I to mimo zapewnień porywacza, że „szczęście jest blisko” i Shari powróci do domu następnego dnia wieczorem. Nakazał nawet Dawn, aby przy ich domu czekała karetka.

– Otrzymacie instrukcje dotyczące naszej lokalizacji.

Dla nas w Quantico najistotniejsza była uwaga na temat czasu: czwarta pięćdziesiąt osiem, a później cofnięcie się do trzeciej dziesiąt. Potwierdzeniem obaw były złowieszcze instrukcje, które Hilda usłyszała następnego dnia w południe po podniesieniu słuchawki.

– Słuchaj uważnie. Pojedź autostradą 378 na zachód aż do ronda. Zjedź na Prosperity, przejedź dwa i pół kilometra, skręć w prawo przy znaku Moose Lodge numer 103, a po przejechaniu jednej czwartej mili skręć w lewo przy białym budynku. Wjedź na podwórko, czekamy dwa metry dalej. Bóg nas wybrał – oświadczył porywacz i się rozłączył.

Instrukcje doprowadziły szeryfa Mettsa do ciała Shari Smith. Znajdowało się w sąsiednim hrabstwie Saluda, w odległości trzydziestu kilometrów. Dziewczyna miała na sobie żółty top i białe szorty, w których widziano ją po raz ostatni, ale z postępu dekompozycji zwłok szeryf i lekarz sądowy wywnioskowali, że nie żyła od kilku dni. Byliśmy pewni, że zgon nastąpił 1 czerwca o 4.58 rano. Zły stan zwłok uniemożliwił ustalenie przyczyny śmierci i stwierdzenie, czy Shari została zgwałcona.

Jim Wright, Ron Walker i ja byliśmy przekonani, że morderca zwodził rodzinę obietnicami uwolnienia dziewczyny właśnie po to, by kluczowe dowody uległy zniszczeniu. Na twarzy i włosach Shari pozostał lepki ślad po oderwanej taśmie – kolejne świadectwo, że był człowiekiem zorganizowanym i działał według planu. Osoby popełniające pierwszą zbrodnię rzadko bywają tak zorganizowane, co wskazywało, że za porwaniem stoi inteligentny, raczej dojrzały mężczyzna, który wielokrotnie wracał na miejsce porzucenia zwłok w celu uzyskania jakiegoś rodzaju zaspokojenia seksualnego. Zaprzeszał tego

dopiero wtedy, gdy postępujący rozkład ciała uniemożliwił dalszy „związek” z dziewczyną.

Samo porwanie, dokonane po południu w podmiejskiej dzielnicy mieszkalnej, wymagało sporej finezji i wyrafinowania. Sprawca miał naszym zdaniem dwadzieścia siedem–trzydzieści trzy lata, raczej powyżej trzydziestu. Łatwość, z jaką prowadził rozmowy z krewnymi ofiary, w okrutny sposób rozbudzając ich nadzieje, skłoniła nas do wniosku, że prawdopodobnie był kiedyś żonaty, a małżeństwo okazało się krótkie i nieudane. Obecnie mieszkał sam albo z rodzicami. W przeszłości mógł być notowany za napaści na kobiety albo przynajmniej obsceniczne telefony. Jeżeli kogoś zamordował, to dziecko lub małą dziewczynkę. W odróżnieniu od seryjnych morderców nie obierał sobie za cel prostytutki – ich towarzystwo zbytnio by go krępowało.

Precyzyjne wskazówki dojazdu i poprawienie własnej pomyłki dotyczącej godziny napisania listu również stanowiły cenne źródło informacji. Morderca starannie przemyślał instrukcje i spisał je na kartce. Na miejsce porzucenia ciała wracał wielokrotnie, dzięki czemu precyzyjnie zmierzył wszystkie odległości. A zatem podczas każdej rozmowy ze Smithami odczytywał przygotowany tekst! Rozumiał, że musi przekazać wiadomość i jak najszybciej się rozłączyć. Kiedy mu przerywano, zdarzało mu się zgubić wątek i musiał zaczynać od początku. Mieliśmy zatem do czynienia z człowiekiem nieelastycznym i zorganizowanym, skrupulatnym i do przesady starannym. Obsesyjnie sporządzał notatki i listy wszystkich rzeczy, a jeśli zgubił się w zapiskach, zapominał, co ma powiedzieć. Pod dom Shari przyjechał samochodem. Miałem przecucie, że porusza się czystym i dobrze utrzymanym pojazdem, najwyżej trzyletnim. W sumie otrzymaliśmy postać pełną sprzeczności: nieskrywana arogancja i pogarda dla głupiego świata ścierały się nieustannie z głęboko zakorzenionym poczuciem niepewności i niską samooceną.

W tego rodzaju sprawach miejsce popełnienia zbrodni staje się psychologicznym przedłużeniem zabójcy. Również sama lokalizacja

wskazywała, że chodzi o człowieka mieszkającego w okolicy co najmniej przez większą część życia. Do swoich planów związanych z Shari i jej zwłokami potrzebował czasu i ustronnego miejsca, w którym nikt by mu nie przeszkadzał. Tylko osoba dobrze znająca teren wiedziałaby, gdzie znaleźć takie miejsce.

Eksperci z Jednostki Analizy Sygnałów z Wydziału Inżynieryjnego FBI powiedzieli nam, że zniekształcenia głosu dokonano za pomocą urządzenia zwanego regulatorem prędkości sygnału. Do biur terenowych na terenie całego kraju rozesłaliśmy dalekopisem prośby o pomoc w namierzeniu producentów i dystrybutorów. Dowiedzieliśmy się przy okazji, że sprawca posiada wiedzę na temat urządzeń elektronicznych, mógł zatem pracować w branży budowlanej lub architektonicznej.

W dniu, w którym Bob Smith ustalał akurat z zakładem pogrzebowym ostatnie szczegóły ceremonii pożegnania córki, morderca zadzwonił ponownie. Był opanowany i zażądał, aby do telefonu podeszła Dawn. Powiedział, że następnego dnia rano zamierza oddać się w ręce policji i że w skrzynce na listy przed domem Smithów znajdują się zdjęcia Shari, które zrobił jej w tym miejscu. Poprosił Dawn, aby wybaczyła mu w imieniu swojej rodziny i się za niego modliła. Zasugerował, że jeśli nie odda się w ręce policji, to popełni samobójstwo.

– Sprawy wymknęły się spod kontroli – biadał – a pragnąłem tylko kochać się z Dawn. Obserwowałem ją przez kilka...

– Z kim? – przerwała mu Dawn.

– Z... przepraszam, z Shari – poprawił się. – Obserwowałem ją przez kilka tygodni, a potem, no cóż, sprawy wymknęły się spod kontroli.

Później jeszcze kilkakrotnie mylił siostry – obie były uderzająco do siebie podobnymi ładnymi, towarzyskimi blondynkami. Podobizna Dawn pojawiła się w gazetach i telewizji, więc cokolwiek spодobało mu się w Shari, zapewne odnosiło się również do Dawn. Słuchając nagrań rozmów, trudno nie czuć odrazy do tego sadystycznego i potwornie samolubnego mężczyzny. Ale ja

wiedziałem już wtedy, że – choć ktoś może to uznać za szczyt bezdusności i wyrachowania – Dawn może posłużyć za przynętę.

W rozmowie z dziennikarzem lokalnej telewizji Charliem Keyesem morderca powtórzył, że odda się w ręce policji. Chciał, aby popularny Keyes pełnił funkcję „pośrednika”. Obiecał mu wywiad na wyłączność. Keyes wysłuchał mężczyzny, ale rozsądnie zachował obojętność i nie złożył żadnych obietnic.

Powiedziałem przez telefon Lewisowi McCarty’emu, że morderca wcale nie zamierza zgłosić się na policję. Nie popełni również samobójstwa. Zapewniał Dawn, że jest „przyjacielem rodziny”, a skoro próbował zaskarbić sobie zrozumienie i współczucie Smithów, musiał być psychopata. Nie wierzyliśmy, że jest ich znajomym – po prostu w swoich fantazjach chciał być kimś bliskim Shari i przez nią kochanym. Tłumaczyłem McCarty’emu, że sprawcę cechuje skrajny narcyzm, a im dłużej to wszystko potrwa, im bardziej emocjonalne będą reakcje rodziny, tym większej pewności siebie nabierze. Zabije ponownie – najchętniej dziewczynę bardzo podobną do Shari, a jeśli takiej nie znajdzie, taką, która akurat nawinie mu się pod rękę. Motywuje go pragnienie władzy, manipulacji, dominacji i kontroli.

Wieczorem w dniu pogrzebu Shari morderca zadzwonił ponownie. Wykazując się niesłychaną perwersją, kazał operatorowi powiedzieć Dawn, że Shari chce się połączyć na koszt rozmówcy. Ponownie zapowiedział, że odda się w ręce policji, a następnie w odrażająco nonszalancki i banalny sposób opisał śmierć Shari.

– Mniej więcej od drugiej w nocy, kiedy się o tym dowiedziała, do śmierci o czwartej pięćdziesiąt osiem cały czas rozmawialiśmy. Sama wybrała moment, kiedy to się stało. Powiedziała, że jest gotowa odejść z tego świata, a Bóg uczyni z niej swojego anioła.

Opisał, w jaki sposób uprawiał z nią seks. Powiedział, że pozwolił jej wybrać rodzaj śmierci – zastrzelenie, przedawkowanie narkotyków lub

uduszenie. Wybrała to ostatnie, a on zakleił jej taśmą nos i usta.

– Dlaczego ją zabiłeś? – spytała przez łyżę Dawn.

– Sprawy wymknęły się spod kontroli. Przestraszyłem się, ponieważ... no, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, Dawn. Nie wiem dlaczego. Boże, przebacz mi. Mam nadzieję, że uda mi się to jakoś naprawić. W przeciwnym razie Bóg ześle mnie do piekła na wieczność. Ale nie zamierzam pójść do więzienia ani trafić na krzesło elektryczne.

Dawn i jej matka błagały mężczyznę, aby oddał się w ręce Boga i nie popełniał samobójstwa. Ja i moi koledzy z jednostki byliśmy pewni, że nie miał najmniejszego zamiaru zrobić żadnej z tych rzeczy.

Dokładnie dwa tygodnie po porwaniu Shari uprowadzono Debrę May Helmick z placyku przed przyczepą mieszkalną jej rodziców w hrabstwie Richland, czterdzieści kilometrów od domu Smithów. Jej ojciec był w tym czasie w przyczepie, w odległości zaledwie sześciu metrów. Jeden z sąsiadów zauważył, jak ktoś podjeżdża samochodem, wysiada, rozmawia z Debrą, niespodziewanie ją łąpie, wpycha do auta i odjeżdża z piskiem opon. Sąsiad i pan Helmick natychmiast ruszyli w pogoń, ale zgubili porywacza. Podobnie jak Shari Debra była ładną, niebieskooką blondynką. Miała zaledwie dziewięć lat.

Szeryf Metts wszczął kolejne szeroko zakrojone poszukiwania. Dla mnie wszystko to zaczęło nabierać coraz bardziej osobistego wymiaru. W naszej pracy konieczne jest zachowanie pewnego dystansu i obiektywizmu w stosunku do poszczególnych elementów sprawy i jej tematyki – inaczej człowiek zaczyna wariować. Mieliśmy z tym kłopot od początku sprawy Shari Smith, ale kiedy wypadki potoczyły się w nowym, przerażającym kierunku, stało się to po prostu niemożliwe. Debra Helmick miała zaledwie dziewięć lat – tyle samo co moja córka Erika, również niebieskooka blondynka. Lauren nie skończyła wtedy jeszcze pięciu lat. Pomijając zatrważającą, niedającą spokoju myśl: „To mogło być moje dziecko!”, w człowieku rodzi się zrozumiałe przekonanie, że nie może swego dziecka choć na chwilę spuścić z oka. Dla kogoś, kto widział to co ja,

pozostawienie dzieciom swobody potrzebnej do normalnego funkcjonowania wiąże się z nieustannymi rozterkami emocjonalnymi.

Mimo różnicy wieku między córkami Smithów i Helmicków moment porwania, okoliczności oraz *modus operandi* wskazywały, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą. Biuro szeryfa miało na tę sprawę identyczny pogląd. Lewis McCarty, pogodzony z myślą, że ma prawdopodobnie do czynienia z seryjnym mordercą, przyleciał do Quantico, przywożąc ze sobą pełne akta sprawy.

Walker i Wright poddali krytycznej analizie nasz profil sprawcy oraz wszystkie rady, których udzielili wcześniej szeryfowi. Po uwzględnieniu informacji z nowego porwania nie znaleźli przesłanek do zmiany wcześniejszej oceny sytuacji.

Mimo zniekształcenia głosu wiedzieliśmy niemal na pewno, że sprawca jest biały. Oba przestępstwa miały podłoże seksualne, a popełnił je dręczony niepewnością i niską samooceną dorosły mężczyzna. Ofiary były białe, a z naszych doświadczeń wynikało, że w tego rodzaju przestępstwach rzadko dochodzi do przekroczenia granic rasowych. Morderca sprawia wrażenie człowieka nieśmiałego i uprzejmego, ma o sobie niskie mniemanie, prawdopodobnie jest otyły i nie ma powodzenia u kobiet. Powiedzieliśmy McCarty'emu, że spodziewamy się u niego natężenia kompulsywnych zachowań. Znajomi zauważą, że nieco schudł, mógł zacząć nadużywać alkoholu, przestać się codziennie golić i chętnie rozmawiać na temat morderstwa Shari. Po tak skrupulatnym człowieku można oczekiwać, że śledzi relacje telewizyjne i zbiera wycinki prasowe. Dysponuje również kolekcją materiałów pornograficznych, głównie z gatunku *bondage* lub *sadomaso*. Na tym etapie będzie czerpał przyjemność ze statusu gwiazdy medialnej, poczucia władzy nad ofiarami i społecznością, zdolności do manipulowania pogrążoną w żałobie rodziną Smithów. Kiedy nie znalazł ofiary pasującej do głównych fantazji i pragnień, zgodnie z moimi obawami porwał przypadkową, bezbronną

dziewczynkę. Z dojrzałszą Shari mógłby (przynajmniej teoretycznie) nawiązać znajomość. Przypuszczaliśmy, że nie będzie specjalnie dumny z tego, co zrobił Debrze Helmick, więc nie należało oczekiwać telefonów do jej rodziny.

McCarty wyjechał od nas z listą dwudziestu dwóch wniosków i wyróżników sprawy. Po powrocie powiedział podobno Mettsowi: „Znam już tego człowieka. Pozostaje odkryć, jak się nazywa”.

Choć wiara w nasze umiejętności sprawiła nam dużą satysfakcję, sprawy rzadko kiedy są proste. Przedstawiciele agencji stanowych i biura terenowego FBI z Columbii przeczesałi okolicę, szukając jakiegokolwiek śladu Debry. Porywacz się nie odezwał, nie przedstawił żądań, nie dostarczył nowych poszlak. My oczekiwaliśmy w Quantico na jakąkolwiek wiadomość, przygotowując się na najgorsze. Trudno znieść myśl o tragedii rodziców, którym zaginęło dziecko. Na prośbę agenta specjalnego Iveya, szefa biura terenowego FBI, i szeryfa Mettsa spakowałem walizki i poleciałem do Columbii, aby bezpośrednio pomóc w rozwiązaniu sprawy, która wydawała się pod pewnymi względami unikatowa. Zabrałem ze sobą Rona Walkera – była to nasza pierwsza wspólna delegacja, od kiedy z Blaine'em McIlwainem uratował mi życie w Seattle.

Lewis McCarty odebrał nas z lotniska i od razu zawiózł w oba miejsca, gdzie doszło do porwań. Nawet nam, przyzwyczajonym do klimatu Wirginii, było gorąco i parno. Przed żadnym z obu domów nie znaleziono śladów szamotaniny. Smith z całą pewnością nie została zamordowana w tym samym miejscu, w którym znaleziono jej ciało. Wizja lokalna utwierdziła mnie w przekonaniu, że sprawca znakomicie zna okolicę. Mimo że do Smithów dzwonił z aparatów znajdujących się w dużej odległości, mieszkał w pobliżu.

W biurze szeryfa zorganizowano spotkanie osób zaangażowanych w sprawę. Szeryf Metts urzędował w imponującym gabinecie o długości około dziesięciu metrów i wysokości trzech i pół metra. Na ścianach wisały tabliczki, certyfikaty i pamiątki – dokumentacja całego życia zawodowego szeryfa: zarówno wyrazy

uznania za wykrycie sprawców morderstw, jak i podziękowania od skautek. Usiedliśmy w półkolu wokół masywnego biurka – Metts, Ron i ja, Bob Ivey i Lew McCarty.

– Przestał dzwonić do Smithów – stwierdził z rozczarowaniem w głosie Metts.

– Sprowokuję go, żeby zrobił to ponownie – powiedziałem.

Wyraziłem przekonanie, że niezależnie od użyteczności samego profilu powinniśmy spróbować wywabić mordercę z ukrycia. Opisałem kilka technik, które warto byłoby zastosować. Zapytałem rozmówców, czy znają jakiegoś dziennikarza lokalnej gazety, który zgodziłby się napisać serię artykułów o morderstwie. Nie chodziło o znalezienie człowieka, który pisałby pod nasze dyktando, ale który rozumiałby cele, jakie chcemy osiągnąć.

Metts wymienił nazwisko pewnej reporterki. Kobieta zgodziła się przyjść do biura szeryfa, gdzie razem z Ronem scharakteryzowaliśmy osobowość mordercy i podzieliliśmy się przypuszczeniami, jak może zareagować na określone informacje.

– Człowiek ten pilnie śledzi relacje prasowe, zwłaszcza artykuły wspominające o Dawn. Z naszych badań nad ludźmi o takim typie osobowości wiedzieliśmy, że często wracają na miejsce zbrodni lub groby ofiar. Dzięki małej pomocy z pani strony – wyjaśniłem – mamy nadzieję zwabić mordercę w pułapkę. W najgorszym razie powinien wznowić kontakt telefoniczny. – Wspomniałem też o znakomitej współpracy z prasą przy sprawie zatruc tylenolem, która od tego czasu uchodziła za modelową.

McCarty zawiózł mnie do Smithów i wyjaśnił, czego od nich oczekuję. Mój plan polegał w istocie na uczynieniu z Dawn przynęty na mordercę. Robert Smith zareagował niezwykle podejrzliwie, nie chcąc narażać drugiej córki na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Choć podzielałem jego obawy, uważałem, że nie ma lepszego sposobu na schwytanie mordercy. Przekonywałem Smitha, że człowiek, który zamordował Shari, jest tchórzem i nie zacznie polować na Dawn

wystraszony szumem medialnym i środkami bezpieczeństwa. Poza tym wiedziałem na podstawie nagrań rozmów telefonicznych, że Dawn jest dostatecznie inteligentna i odważna, aby wykonać ryzykowne zadanie.

Dawn zaprowadziła mnie do pokoju siostry, który rodzina pozostawiła w nienaruszonym stanie od czasu zaginięcia Shari. Jak łatwo się domyślić, jest to typowa reakcja rodzin, które utraciły dziecko w nagłym i tragicznym zdarzeniu. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłem uwagę, była kolekcja wypchanych misiów koala o najróżniejszych kształtach, rozmiarach i kolorach. Dawn powiedziała, że kolekcja miała duże znaczenie dla Shari i wiedzieli o tym wszyscy jej znajomi.

W pokoju spędziłem sporo czasu, próbując wczuć się w osobowość Shari. Nie ulegało wątpliwości, że mogliśmy złapać jej mordercę – należało tylko w odpowiedni sposób poprowadzić sprawę. Po kilku chwilach wziąłem do ręki małego misia koalę, którego łapki otwierały się i zamykały po naciśnięciu ramion. Chwilę później wyjaśniłem rodzinie, że za kilka dni – potrzebnych na przygotowanie relacji prasowych – urządzimy nabożeństwo żałobne przy grobie Shari na cmentarzu Lexington, podczas którego Dawn przyczepi pluszową zabawkę do wiązanki kwiatów. Moim zdaniem istniało spore prawdopodobieństwo, że morderca przybędzie na uroczystość, a jeszcze większe, że powróci na cmentarz później, aby zabrać misia – fizyczną pamiątkę po Shari.

Gazeta naszej dziennikarki przysłała na uroczystość fotoreportera. Ponieważ grób nie był jeszcze ukończony, postawiliśmy białą mównicę z drewna, na której znajdowało się zdjęcie Shari. Członkowie rodziny odmówili modlitwę za Shari i Debrę. Potem Dawn przyczepiła misia koalę z kolekcji siostry do łądygi róży w jednej z wiązanek przysłanych na cmentarz. Uroczystość była niezwykle poruszającym wydarzeniem. Podczas przemówień Smithów grupa fotografów z lokalnych gazet robiła zdjęcia, a ludzie Mettsa dyskretnie spisywali numery rejestracyjne wszystkich przejeżdżających samochodów. Niepokoiła mnie tylko

niewielka odległość grobu od drogi, co mogło zniechęcić sprawcę do podejścia bliżej, a jednocześnie umożliwiało mu obejrzenie wszystkiego z ulicy. Na to jednak nie mogliśmy nic poradzić.

Następnego dnia gazeta opublikowała zdjęcia. Morderca Shari niestety nie przybył kolejnej nocy po misia (myślę, że wystraszyła go bliskość drogi), za to ponownie nawiązał kontakt telefoniczny ze Smithami. Tuż po północy Dawn podniosła słuchawkę i zgodziła się przyjąć kolejną rozmowę „od Shari Faye Smith”. Po upewnieniu się, że rozmawia z Dawn, która wie, „że to nie jest żart, prawda?”, morderca wygłosił najbardziej mrożące krew w żyłach oświadczenie z dotychczasowych.

– Dobrze. Bóg chce, abyś dołączyła do Shari Faye. To tylko kwestia czasu. W tym miesiącu, w następnym miesiącu, w tym roku, w następnym roku. Nie zawsze będziesz mieć ochronę.

Zapytał, czy słyszała o Debrze May Helmick.

– Ehm, nie.

– O tej dziesięcioletce? H-E-L-M-I-C-K?

– Tej z hrabstwa Richland?

– Zgadza się.

– Hmm, tak.

– To dobrze. Posłuchaj uważnie. Pojedź Jedyneką na północ... zaraz, Jedyneką na zachód, skręć w lewo w Peach Festival Road lub przy Bill's Grill, przejedź pięć i pół kilometra przez Gilbert, skręć w prawo w ostatnią drogę gruntową, aż dojedziesz do znaku stop przy Two Notch Road. Przekrocz łańcuch, na którym wisi tabliczka z napisem „zakaz wstępu”, przejdź czterdzieści pięć metrów, skręć w lewo i przejdź dziewięć metrów. Debra May czeka tam na ciebie. Boże, przebacz nam wszystkim.

Stawał się coraz bardziej bezczelny i pewny siebie – przestał używać urzędnika zniekształcającego głos. Choć usłyszała właśnie niezawołowaną groźbę pod swoim adresem, Dawn zachowała zimną krew i próbowała

przedłużyć rozmowę, domagając się obiecanych zdjęć siostry.

– FBI musiało je przejąć – bronił się morderca, dając jednocześnie świadectwo tego, że wie o naszym udziale w sprawie.

– Nieprawda, proszę pana – odparowała Dawn. – Gdyby coś przejęło, to przecież byśmy o tym wiedzieli. To jak, wyśle pan te zdjęcia?

– Ehm, tak – odparł niezobowiązująco.

– Mam wrażenie, że wciska mi pan ciemnotę, ponieważ w poprzedniej rozmowie obiecał, że je otrzymamy, a nic takiego się nie stało.

Zbliżaliśmy się do rozwiązania zagadki. Coraz dotkliwiej odczuwałem ciężar odpowiedzialności za narażenie Dawn na niebezpieczeństwo. Kiedy razem z Ronem pomagałem lokalnym służbom, specjaliści z laboratoriów SLED (South Carolina Law Enforcement Division – Wydziału Ochrony Porządku Publicznego Karoliny Południowej) w Columbii badali na wszystkie możliwe sposoby jedyny materialny ślad, jakim dysponowaliśmy – list pożegnalny Shari. Jeden z analityków zwrócił uwagę, że został napisany na liniowanym papierze z notatnika.

Za pomocą urządzenia zwanego maszyną Esta, które potrafi wykryć niezwykle delikatne odciski powstałe podczas pisania na uprzednio wyrwanych kartkach, odcyfrował fragment listy zakupowej i kilka cyfr. Dalsza analiza pozwoliła na utworzenie z nich dziesięcioelementowego ciągu z jedną brakującą cyfrą: 205-837-13 8.

Numer kierunkowy Alabamy to 205, a 837 – do Huntsville. SLED skontaktował się z wydziałem bezpieczeństwa lokalnego operatora telekomunikacyjnego, który wyszukał wszystkie dziesięć numerów telefonicznych pasujących do ciągu cyfr, a następnie sprawdził, czy z którymś z nich łączono się z hrabstwa Lexington. Jak się okazało, kilka tygodni przed porwaniem Shari na jeden z tych numerów dzwono wielokrotnie z miejsca położonego zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów od domu Smithów. Był to najpoważniejszy trop, jakim dotychczas dysponowała policja. Z dokumentów

komunalnych wynikało, że posiadłość należała do pary ludzi w średnim wieku, Ellisa i Sharon Sheppardów.

McCarty pojechał tam natychmiast w towarzystwie kilku zastępców. Sheppardowie byli serdeczni i życzliwi, ale choć pięćdziesięciokilkuletni Ellis był elektrykiem, w innych aspektach nie pasował do profilu. Sheppardowie żyli od wielu lat jako szczęśliwe małżeństwo i żaden element ich przeszłości nie pokrywał się z naszymi przewidywaniami. Przyznali, że dzwonił do Huntsville, gdzie ich syn odbywał służbę wojskową, ale w czasie popełnienia obu przerażających morderstw byli poza miastem. Szeryf i jego ludzie przeżyli ogromne rozczarowanie, ponieważ trop zapowiadał się naprawdę obiecująco.

McCarty poświęcił wcześniej wiele godzin na rozmowy z nami i wierzył w trafność profilu. Opisał poszukiwanego Sheppardom i zapytał, czy znają kogoś takiego.

Małżonkowie wymienili spojrzenia, jakby doskonale wiedzieli, o kogo chodzi. „To przecież Larry Gene Bell”, stwierdzili zgodnie.

McCarty zaczął ich ostrożnie wypytywać i w końcu zdradzili wszystko, co wiedzieli o Bellu. Niewiele wcześniej skończył trzydzieści lat, był rozwiedziony i miał syna, który mieszkał z jego byłą żoną. Był nieśmiały, tęgi, skrupulatny i dobrze zorganizowany. Pracował dla Ellisa, montując instalacje elektryczne w domach i wykonując inne drobne prace. Podczas sześciotygodniowej nieobecności Sheppardów pilnował ich domu, później wrócił do swoich rodziców, u których mieszkał. Sharon przypomniała sobie, że zapisała w notatniku Gene'owi (jak go nazywali) numer ich syna, na wypadek gdyby zdarzył się jakiś problem z domem. Z perspektywy czasu rzeczywiście wydawało się im dziwne, że kiedy Gene odebrał ich z lotniska, nie chciał rozmawiać o niczym innym, tylko o porwaniu i morderstwie Shari Smith. Zaskoczył ich również jego wygląd: Bell lekko schudł, był nieogolony i wyraźnie poruszony.

McCarty spytał Shepparda, czy ma broń. Ellis powiedział, że na wypadek

niebezpieczeństwa trzyma naładowany pistolet kalibru .38, i bez słowa zaprowadził McCarty'ego w miejsce, gdzie schował broń. Pistolet zniknął. Obaj przeszukali dom i wreszcie go znaleźli – leżał pod materacem w łóżku, na którym spał Gene. Ktoś z niego wystrzelił, później mechanizm się zaciął. Pod materacem znajdował się także numer „Hustlera” z piękną blondynką stojącą z rozłożonymi rękami i skrępowaną. Kiedy McCarty puścił Ellisowi fragment rozmowy mordercy z Dawn, Sheppard nie miał wątpliwości, że słyszy głos Larry'ego Gene'a Bella. „Bez dwóch zdań to on”.

Około drugiej w nocy Ron Walker zapukał do mojego pokoju i wyciągnął mnie z łóżka. Zadzwonił do niego właśnie McCarty, podzielił się rewelacjami i poprosił, żebyśmy natychmiast przyszli do jego biura. Porównaliśmy sylwetkę Bella z profilem. Trudno uwierzyć, jak dokładnie do siebie pasowały. Trafiliśmy w dziesiątkę. Na fotografiach zrobionych na cmentarzu szeryf znalazł samochód zarejestrowany na Bella. Kierowca nie wysiadł.

Metts zamierzał aresztować Bella następnego dnia rano, kiedy tylko ten wyjdzie z domu do pracy. Zapytał nas, w jaki sposób ma poprowadzić przesłuchanie. Za budynkiem stała przyczepa, którą biuro szeryfa zdobyło podczas nalotu na handlarzy narkotyków i teraz używało jako dodatkowej przestrzeni biurowej. Za moją radą zostało błyskawicznie przekształcone w „centrum dowodzenia grupy specjalnej” rozpracowującej tę sprawę. Na ścianach rozwieszono fotografie i mapy miejsc zbrodni, na biurkach porozkładano stosy teczek z aktami sprawy i inne dokumenty. Zasugerowałem szeryfowi, aby w przyczepie siedziało kilku wyglądających na zapracowanych policjantów. Wszystko to powinno wprawić podejrzanego w przekonanie, że policja zgromadziła ogromną liczbę dowodów świadczących o jego winie.

Ostrzegłem, że namówienie go do zeznań będzie trudne. W Karolinie Południowej obowiązuje kara śmierci, więc gość w najlepszym razie miałby przed sobą perspektywę długiej odsiadki, podczas której towarzyszyłaby mu etykietka pedofila i mordercy – niespecjalnie kusząca perspektywa dla

człowieka, który wysoko ceni sobie życie i nienaruszalność cielesną. Miałem poczucie, że policja może liczyć wyłącznie na to, że morderca będzie chciał ratować twarz – albo spychając część odpowiedzialności na ofiary, co przesłuchującym z pewnością wyda się odrażające, albo tłumacząc się niepoczytalnością. Ludzie postawieni pod ścianą często korzystają z tej furtki, mimo że ławy przysięgłych rzadko uznają takie wyjaśnienie.

Zastępcy szeryfa aresztowali Larry'ego Gene'a Bella wczesnym rankiem, kiedy wyszedł z domu rodziców do pracy. Jim Metts uważnie mu się przyglądał, kiedy wprowadzano go do przyczepy zamienionej w „centrum dowodzenia grupy specjalnej”. „Zupełnie jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy – wspominał. – Ta część planu udała się znakomicie”. Bellowi odczytano formułkę na temat przysługujących mu praw, a on zgodził się na rozmowę ze śledczymi.

Funkcjonariusze maglowali go przez większą część dnia, tymczasem Ron i ja czekaliśmy w biurze Mettsa, zapoznając się z raportami na temat postępów w przesłuchaniu i służąc radą. W tym samym czasie zastępcy szeryfa przeszukiwali dom Bella na podstawie nakazu rewizji. Jak mogliśmy przewidzieć, pod łóżkiem stał równy rząd butów, rzeczy na biurku były starannie poukładane, podobnie jak narzędzia w bagażniku trzyletniego, dobrze utrzymanego samochodu. Na biurku śledczy znaleźli wskazówki, jak dojechać do domu rodziców – spisane w identyczny sposób jak te prowadzące do miejsc ukrycia zwłok Smith i Helmick. Zgodnie z naszymi przewidywaniami natrafili także na sporą ilość pornografii z gatunku *bondage* i *sadomaso*. Ekipa techniczna zabezpieczyła na łóżku włosy należące – jak później ustalono – do Shari, a pamiątkowy znaczek naklejony na kopertę z jej pożegnaniem pasował do arkusza z szuflady biurka Bella. Kiedy telewizja pokazała zdjęcie Bella świadkowi porwania Debry Helmick, ten natychmiast go rozpoznał.

Szybko poznaliśmy przeszłość mężczyzny. Od najmłodszych lat zdarzały mu się różne incydenty o charakterze seksualnym, które w końcu wymknęły się

spod kontroli – jako dwudziestosześcioletek groził nożem dziewiętnastoletniej mężatce, próbując ją zmusić, aby wsiadła do jego samochodu. Aby uniknąć więzienia, zgodził się chodzić na konsultacje psychiatryczne. Zrezygnował po dwóch sesjach. Pięć miesięcy później sterroryzował studentkę pistoletem, żądając, aby wsiadła do jego samochodu. Dostał pięcioletni wyrok więzienia, a został zwolniony po dwudziestu jeden miesiącach. Na zwolnieniu warunkowym wykonał ponad osiemdziesiąt obscenicznych telefonów do dziesięcioletniej dziewczynki. Przyznał się do winy i przedłużono mu warunek.

Podczas przesłuchania w przyczepie nie chciał się przyznać. Zaprzeczał, jakoby miał cokolwiek wspólnego z morderstwami. Potwierdził jedynie, że się nimi interesował. Nie zareagował nawet wtedy, gdy śledczy puścili mu nagrania rozmów telefonicznych. Po około sześciu godzinach oświadczył, że chce porozmawiać z szeryfem Mettsem. Ten przyszedł do przyczepy i przypomniał Bellowi o przysługujących mu prawach. Bell wciąż nie zamierzał się przyznać.

Późnym popołudniem siedzieliśmy nadal z Ronem w gabinecie szeryfa, kiedy ku naszemu zaskoczeniu do środka weszli Metts, prokurator okręgowy Don Meyers oraz Bell. Przypominał tłustego kucharczyka z reklam firmy Philsbury.

– Wiesz, co to za jedni? – zwraca się Meyers do Bella z typowym dla Karoliny akcentem. – To właśnie są chłopaki z F-B-I. Zrobili profil mordercy. Pasuje do ciebie co do joty! Mają z tobą do pomówienia.

Popychają go na białą kanapę pod ścianą i wychodzą. Zostajemy sami z Bellem.

Siedzę na krawędzi stolika na wprost niego. Ron stoi za moimi plecami. Mam na sobie to samo ubranie, w którym wyszedłem z motelu w środku nocy: białą koszulę i białe spodnie o niemal identycznym odcieniu. Nazywam ten zestaw moim prywatnym kostiumem Harry’ego Belafonte, ale w tym otoczeniu – w pomalowanym na biało pokoju z białą kanapą – wygląda dość bezosobowo, zupełnie jakbym pochodził nie z tego świata.

Przedstawiam Bellowi krótki zarys naszych badań nad seryjnymi mordercami i daję mu jasno do zrozumienia, że rozumiem doskonale motywacje osób odpowiedzialnych za takie zbrojstwa. Mówię, że od rana wypierał się odpowiedzialności za te zbrodnie zapewne po to, by odpędzić myśli, które nie dają mu spokoju.

– Po wielu wizytach w zakładach karnych i rozmowach z więźniami – mówię – odkryliśmy, że opinia publiczna niemal nigdy nie miała okazji poznać ich przeszłości. Życie ze świadomością, że popełniło się tak poważne przestępstwo, jest dla wielu osób koszmarem. A przecież wcześniej musieli się zmierzyć z wieloma stresującymi zdarzeniami: problemami finansowymi, małżeńskimi albo uczuciowymi.

Bell potakuje, jakby wszystkie te problemy dotyczyły również jego.

– Rzecz w tym, Larry – ciągnę – że kiedy trafisz na salę sądową, obrońca zapewne nie będzie chciał powołać cię na świadka, więc nie dostaniesz szansy, aby się ze wszystkiego wytłumaczyć. Ludzie poznają cię wyłącznie od złej strony. Będziesz dla nich bezlitosnym mordercą. Tymczasem z naszych badań wynika, że tego rodzaju czyny stają się później obciążeniem nie do zniesienia. Budzisz się następnego ranka i nie możesz uwierzyć, że naprawdę dopuściłeś się takiej zbrodni.

Bell przez cały czas kiwa głową, przyznając mi rację.

Nie pytam wprost, czy popełnił morderstwa, ponieważ wtedy na pewno zaprzeczy. Nachylam się zatem i mówię:

– Kiedy po raz pierwszy zacząłeś czuć się podle z powodu tej zbrodni, Larry?

– Kiedy zobaczyłem fotografię i przeczytałem artykuł w gazecie o rodzinie modlącej się na cmentarzu – odpowiada.

– Larry, powiedz szczerze, zrobiłeś to? Czy bylibyś zdolny to zrobić?

W tego rodzaju rozmowach staramy się unikać oskarżających lub rozdrażniających słów w rodzaju „zabić”, „zbrodnia” czy „morderstwo”.

Bell podnosi wzrok, ma łzy w oczach.

– Mogę tylko powiedzieć, że Larry Gene Bell, który siedzi na tej kanapie, nie byłby do tego zdolny, w odróżnieniu od złego Larry’ego Gene’a Bella.

Wiedziałem, że nie uzyskamy bardziej jednoznacznego przyznania się do winy, ale Don Meyers miał jeszcze jeden pomysł, a ja zgodziłem się z nim, że warto spróbować. Jego zdaniem bezpośrednia konfrontacja z matką i siostrą Shari mogłaby sprowokować Bella do jeszcze szerszej reakcji.

Hilda i Dawn się zgodziły. Przygotowałem je do rozmowy. Powiedziałem, co powinny mówić i jak reagować. Ponownie znaleźliśmy się w gabinecie Mettsa. Szeryf siedział za swoim wielkim biurkiem, Ron Walker i ja staliśmy po drugiej stronie pomieszczenia. W ten sposób stworzyliśmy trójkąt. Wprowadzają Bella i sadzają go na środku pokoju twarzą do drzwi. Wchodzą Hilda i Dawn. Mówią Bellowi, aby się odezwał. On siedzi z pochyloną głową, jakby nie potrafił się zmusić, aby spojrzeć im w oczy.

Zgodnie z moimi instrukcjami Dawn nie odrywa od niego wzroku.

– To ty! Wiem, że to ty. Poznaje cię po głosie – mówi.

On nie zaprzecza, ale też nie przytakuje. Zaczyna zarzucać je wyjaśnieniami, które podałem mu wcześniej. Że Larry Gene Bell, który siedzi w tym pokoju, nie byłby do tego zdolny – i inne takie pierdoły. Wciąż mam nadzieję, że powoła się na niepoczytalność i się przed nimi wywnętrzy.

Wymiana zdań trwa przez jakiś czas. Pani Smith zadaje kolejne pytania, próbując go ośmielić. Przychodzi mi do głowy, że wszyscy muszą mieć już serdecznie dość przysłuchiwania się tej rozmowie.

Nagle przychodzi mi na myśl coś strasznego: „Co, jeśli Dawn lub Hilda mają przy sobie broń? Czy ktoś je przeszukał? Chyba nie”. Od tego momentu siedzę na krawędzi krzesła gotów do poderwania się na nogi i wyciągnięcia broni, gdyby któraś z nich sięgnęła do torebki. Wiem, że sam chętnie skorzystałbym z takiej okazji, gdyby chodziło o moje dzieci; wielu rodziców pomyślałoby podobnie. Trudno o lepszą okazję do zastrzelenia mordercy i trudno sobie

wyobrazić, aby ława przysięgłych je później skazała.

Na szczęście Dawn i Hilda nie przemyciły na spotkanie broni. Wykazały się większą powściągliwością i wiarą w system sądowy niż ja. Ron ustalił później, że nie zostały przeszukane.

Pod koniec stycznia następnego roku Larry Gene Bell stanął przed sądem, oskarżony o morderstwo Shari Faye Smith. Ze względu na ogromne zainteresowanie prasy proces odbył się w hrabstwie Berkeley, nieopodal Charleston. Don Meyers poprosił mnie o złożenie zeznań na temat profilu, sposobu jego opracowania oraz przesłuchania podejrzanego.

Bell nie złożył zeznań i nie przyznał się do winy. Słowa, które wypowiedział przy mnie w gabinecie szeryfa, były najszczerzym wyznaniem, na jakie kiedykolwiek się zdobył. Przez większą część procesu kompulsywnie sporządzał obszerne notatki w identycznym notatniku jak ten, w którym Shari Smith napisała pożegnalny list. Argumenty prokuratury były dostatecznie przekonujące. Po trwającym niemal miesiąc procesie ława przysięgłych potrzebowała zaledwie czterdziestu siedmiu minut na orzeczenie, że Bell jest winny porwania i morderstwa pierwszego stopnia. Cztery dni później, po kolejnej naradzie ławy przysięgłych, został skazany na śmierć na krześle elektrycznym. Za porwanie i morderstwo Debry May Helmick osądzono go w odrębnym procesie. Druga ława przysięgłych potrzebowała niewiele więcej czasu, aby orzec identyczne wyrok i karę.

Sprawa Larry'ego Gene'a Bella pozostaje dla mnie modelowym przykładem perfekcyjnego śledztwa. Znakomita współpraca instytucji okręgowych, stanowych i federalnych, kierujący sprawą z dużym wyczuciem i stanowczością lokalny szeryf, dwie bohaterskie rodziny, doskonała symbioza między profilowaniem, analizą zbrodni i tradycyjnymi technikami śledczymi oraz analizą laboratoryjną – wszystko to pozwoliło powstrzymać seryjnego mordercę, który robił się coraz groźniejszy i mógł zamordować więcej osób. Chciałbym,

aby ta sprawa na zawsze pozostała wzorem dla śledczych.

Dawn Smith zasługuje na ogromny podziw. Rok po procesie zdobyła tytuł miss Karoliny Południowej i zajęła drugie miejsce w konkursie Miss America. Wyszła za mąż, spróbowała sił w muzyce i została piosenkarką country i gospel. Od czasu do czasu widuję ją w telewizji.

Kiedy pisałem te słowa, Larry Gene Bell przebywał w celi śmierci w Centralnym Zakładzie Karnym Karoliny Południowej (został stracony w 1996 roku). W celi utrzymywał niezwykłą czystość i porządek. Policja uważa, że zamordował wiele innych dziewcząt i młodych kobiet na terenie Karoliny Północnej i Południowej. Z moich badań i doświadczeń wynika, że taka osoba nie rokuje żadnych nadziei na resocjalizację. Jeżeli kiedykolwiek wyjdzie na wolność, zabije ponownie. Mogę się natomiast zgodzić z tymi, którzy twierdzą, że tak długi pobyt w celi śmierci jest okrutną karą. Opóźnianie wymierzania kary śmierci jest okrutne – dla Smithów i Helmicków, dla wielu osób, które znały i kochały obie dziewczyny, oraz nas wszystkich, którzy chcą, aby sprawiedliwości stało się zadość.

ROZDZIAŁ 17

Każdy może być ofiarą

1 czerwca 1989 roku pewien rybak dostrzegł ze swojej łodzi trzy „splawiki” w zatoce Tampa na Florydzie. Zawiadomił Straż Przybrzeżną i policję z St. Petersburga. Funkcjonariusze wyciągnęli z wody zwłoki w stanie zaawansowanego rozkładu – ciała trzech kobiet skrepowane żółtym plastikowym sznurem i białą liną. Każde zostało obciążone dwudziestokilowym pustakiem przywiązany do szyi. (Były to pustaki dwuotworowe, rzadsze od trzyotworowych). Ze śladów wynikało, że srebrna taśma, którą zalepiono kobietom usta, zakrywała wcześniej ich oczy. Ofiary miały na sobie T-shirty i góry od kostiumów kąpielowych, brakowało za to dolnych części kostiumów, co sugerowało zbrodnię o podłożu seksualnym. Długi kontakt ciał z wodą uniemożliwił laboratoryjne potwierdzenie gwałtu.

Na wybrzeżu znaleziono opuszczony samochód, co pozwoliło ustalić, że ciała należały do trzydziestoosmioletniej Joan Rogers oraz jej dwóch córek, siedemnastoletniej Michelle i piętnastoletniej Christie. Mieszkały na farmie w Ohio, a pobyt na Florydzie to były ich pierwsze prawdziwe wakacje. Zdążyły już odwiedzić Disney World, a przez resztę pobytu miały mieszkać w hotelu Days Inn w St. Petersburgu. Pan Rogers nie towarzyszył żonie i córkom, ponieważ obowiązki zatrzymały go na farmie.

Analiza zawartości żołądków potwierdziła zeznania pracowników restauracji w Days Inn i pozwoliła na precyzyjne ustalenie, że zgon nastąpił czterdzieści

osiem godzin przed wyłowieniem. Jedynym materialnym dowodem była kartka z napisanymi odręcznie wskazówkami dojazdu z Days Inn do miejsca, gdzie znaleziono samochód. Na drugiej stronie znajdowała się naszkicowana mapa i instrukcje dojazdu do hotelu z Dale Mabry, ruchliwej ulicy handlowej w Tampa.

Sprawa natychmiast trafiła na czołówki gazet i serwisów informacyjnych. W śledztwo zaangażowała się policja z St. Petersburga i Tampy oraz biuro szeryfa hrabstwa Hillsborough. Na okolicznych mieszkańców padł strach. Ludzie rozumowali, że skoro trzy niewinne turystki mogły zginąć w taki sposób, każdy może paść ofiarą mordercy.

Policja sprawdziła trop związany z notatką, badając próbki pisma pobrane od pracowników hotelu oraz sklepów i biur w okolicy Dale Mabry. Bez rezultatu. Ze względu na brutalność i seksualny charakter morderstw zaniepokojone biuro szeryfa hrabstwa Hillsborough skontaktowało się z biurem terenowym FBI w Tampie.

– Możemy mieć na głowie seryjnego mordercę – oświadczyli.

Wspólne wysiłki policji z trzech okręgów oraz FBI nie posunęły dochodzenia naprzód.

Jana Monroe była agentką w biurze terenowym FBI w Tampie. Przed wstąpieniem do FBI służyła jako policjantka, a później oficer śledczy wydziału zabójstw w Kalifornii. We wrześniu 1990 roku Jim Wright i ja przeprowadziliśmy z nią rozmowę kwalifikacyjną na stanowisko w naszej jednostce, następnie zarekomendowaliśmy jej transfer do Quantico. Jana pracowała wcześniej jako koordynator profilowania w biurze terenowym na Florydzie, a te morderstwa były jedną z pierwszych spraw, jakimi się u nas zajmowała.

Przedstawiciele policji z St. Petersburga przylecieli do Quantico i zaprezentowali szczegóły sprawy Janie, Larry'emu Ankromowi, Steve'owi Etterowi, Billowi Hagmaierowi i Steve'owi Mardigianowi. Oni przygotowali

profil psychologiczny, w którym opisali sprawcę jako białego mężczyznę w wieku trzydziestu pięciu–czterdziestu pięciu lat, pracownika fizycznego wykonującego zawód związany z konserwacją domów, słabo wykształconego, mającego na koncie napaści o charakterze seksualnym i fizycznym. Do morderstw popchnął go jakiś czynnik stresogenny. Kiedy sprawa przycichnie, wyprowadzi się z okolicy, ale podobnie jak zabójca Karli Brown, John Prante, po jakimś czasie wróci.

Agenci byli przekonani o trafności profilu, ale nie doprowadził on do aresztowania. Śledztwo nadal tkwiło w martwym punkcie. Rozumiejąc konieczność zastosowania podejścia proaktywnego, Jana wzięła udział w emitowanym na terenie całego kraju programie *Unsolved Mysteries* (Nierozwiązane zagadki), który w przeszłości pomógł w zlokalizowaniu i zidentyfikowaniu wielu poszukiwanych przestępców. Jana przedstawiła okoliczności zbrodni, a policja otrzymała później tysiące nowych tropów. Wszystkie prowadziły donikąd.

Zawsze powtarzam moim ludziom, że skoro jedna strategia nie przynosi rezultatów, trzeba spróbować innej, nawet jeśli nikt wcześniej tego nie robił. Tak właśnie postąpiła Jana. Notatka ze wskazówkami dojazdu była jedynym przedmiotem łączącym ofiary z mordercą, ale wcześniej nie przybliżyła policji do rozwiązania zagadki. Ponieważ mieszkańcy Tamy i St. Pete dobrze znali sprawę morderstw, Jana wpadła na pomysł, aby powiększyć notatkę i wywiesić na billboardach. Miała nadzieję, że ktoś rozpozna pismo. W kręgach przedstawicieli prawa sądzi się powszechnie, że ludzie są w stanie zidentyfikować tylko pismo członków najbliższej rodziny i przyjaciół, ale Jana doszła do wniosku, że jeśli autor notki zachowywał się w domu agresywnie, jego żona lub partnerka może skorzystać z okazji i zgłosić się na policję.

Kilku lokalnych przedsiębiorców ufundowało billboardy i w ten sposób notka zawisła w przestrzeni publicznej. W ciągu następnych dwóch dni trzy osoby – które nigdy wcześniej nie miały ze sobą nic wspólnego – zadzwoniły na

policję, twierdząc, że autorem notki jest Oba Chandler, biały czterdziestopięcioletni mężczyzna, który mimo braku odpowiednich uprawnień zajmował się instalowaniem aluminiowego sidingu. Dzwoniący byli jego klientami, ale pozwali go, kiedy dopiero co zamontowany siding obluźował się po pierwszym obfitym deszczu. Byli pewni, że autorem notatki jest właśnie on, ponieważ dysponowali napisanymi odręcznie odpowiedziami na pozew.

Pomijając wiek i zawód, mężczyzna pasował do profilu w innych kluczowych punktach. Miał na koncie przestępstwa przeciwko mieniu, napady z pobiciem i gwałty. Kiedy minęła pierwsza fala zainteresowania potrójnym morderstwem, wyprowadził się, choć nadal mieszkał w tym samym regionie. Jego żona urodziła niedawno dziecko, którego nie chciał, co mogło podziałać stresogennie i popchnąć go do zbrodni.

Często się zdarza, że po zakończeniu śledztwa na policję zgłaszają się inne ofiary, które usłyszały o sprawie w mediach. Pewna kobieta i jej przyjaciółka poznały mężczyznę odpowiadającego rysopisowi Chandlera, który chciał zabrać je na przejażdżkę swoją łodzią po zatoce Tampa. Przyjaciółka miała złe przeczucia i odmówiła, więc kobieta popłynęła z nim sama.

Kiedy znaleźli się pośrodku zatoki, Chandler próbował ją zgwałcić. Zaczęła się bronić.

– Nie krzycz, bo zakleję ci usta taśmą, przywiążę do szyi pustaka i wrzucę do morza! – ostrzegł.

Oba Chandler został aresztowany i stanął przed sądem, który uznał go za winnego potrójnego morderstwa pierwszego stopnia Joan, Michelle i Christie Rogers. Został skazany na karę śmierci.

Jego ofiarami były zwyczajne kobiety, ufne osoby. Wybierał je niemal na chybił trafił. Niektórzy mordercy pozbawiają życia zupełnie przypadkowych ludzi, co niestety dowodzi, że każdy może zostać ofiarą. W takich sprawach szczególnego znaczenia nabierają techniki proaktywne.

Pod koniec 1982 roku mieszkańcy Chicago zaczęli umierać w tajemniczych okolicznościach. Nie minęło wiele czasu, a tamtejsza policja odkryła przyczynę zgonów: ofiary zażyły zaprawione cyjankiem kapsułki tylenolu (leku przeciwbólowego na bazie paracetamolu). Śmierć następowała szybko, zaraz po rozpuszczeniu się kapsułki w żołądku.

Ed Hagarty, agent specjalny kierujący biurem terenowym w Chicago, poprosił, abym włączył się w śledztwo. Nigdy nie uczestniczyłem w dochodzeniu związanym z fałszowaniem składu produktów, miałem jednak nadzieję, że wiedza zdobyta podczas wywiadów z więźniami i rozwiązywania najróżniejszych spraw przyda się również w takim śledztwie. FBI nadało sprawie kryptonim „Tymurs”.

Głównym problemem, z którym musieli sobie poradzić śledczy, był losowy charakter morderstw. Ponieważ sprawca nie dobierał ich według żadnego klucza oraz nie pojawiał się na miejscu zbrodni, nie mogłem wykonać standardowej analizy.

Wydawało się, że zabójstwa są pozbawione motywu, a dokładnie mówiąc, nie stał za nimi tradycyjny, łatwo rozpoznawalny motyw, jak miłość, zazdrość, chciwość czy zemsta. Truciciel mógł równie dobrze atakować producenta leku, firmę Johnson & Johnson, któryś ze sklepów, którąś z ofiar lub kilka z nich albo społeczeństwo jako takie.

Otrucia umieściłem w tej samej kategorii co podkładanie ładunków wybuchowych w przypadkowych miejscach lub rzucanie kamieniami z kładki dla pieszych w przejeżdżające samochody. W tego rodzaju przestępstwach sprawca nigdy nie widzi twarzy ofiar. Wyobraziłem go sobie jako człowieka, któremu – podobnie jak Davidowi Berkowitzowi strzelającemu do ludzi siedzących w pogrążonych w mroku samochodach – zależy raczej na wyładowaniu gniewu niż zamordowaniu konkretnego człowieka. Gdyby zobaczył twarze ofiar, mogłyby go ogarnąć wątpliwości albo wyrzuty sumienia.

Analogia z innymi losowymi, tchórzliwymi przestępstwami dawała mi

poczucie, że wiem dokładnie, kogo szukamy. Chociaż mieliśmy do czynienia z innym typem zbrodni, profil sprawcy wydawał się znajomy. Z naszych badań wynikało, że gniew jest głównym motywem ludzi mordujących na oślep i nie liczących na rozgłos. Byłem przekonany, że truciciel okresowo wpada w ostrą depresję, a jego życie jest pasmem porażek: zarówno czasy szkolne, jak kariera zawodowa i relacje towarzyskie.

Statystycznie będzie to zapewne typ zabójcy – biały mężczyzna w wieku dwudziestu ośmiu–trzydziestu dwóch lat, samotnik prowadzący nocny tryb życia. Odwiedza domy ofiar lub ich nagrobki i zostawia na nich jakiś specjalny przedmiot. Przypuszczałem, że zajmuje stanowisko związane pośrednio z władzą, jest kierowcą karetki, ochroniarzem, detektywem sklepowym lub policjantem z oddziałów pomocniczych itp. Prawdopodobnie ma za sobą służbę wojskową w wojskach lądowych lub piechocie morskiej.

W przeszłości leczył się psychiatrycznie, a swoje skłonności trzymał pod kontrolą za pomocą lekarstw na receptę. Jeździ co najmniej pięcioletnim samochodem, który nie jest zbyt dobrze utrzymany, ale wyraża siłę i władzę, na przykład modelem forda używanym najczęściej przez policję. Tuż przed pierwszym otruciem – około 28 lub 29 września – wydarzyło się coś, co podsyciło w nim gniew i za co obwiniął całe społeczeństwo. A kiedy o sprawie zaczęły pisać media, chętnie omawiał ją z każdym, kto tylko chciał słuchać – w barach, aptekach i z policją. Poczucie władzy, jakie uzyskał dzięki zbrodniom, dawało mu olbrzymią pewność siebie. Niewykluczone, że prowadził pamiętnik lub zbierał wycinki z relacjami prasowymi.

Powiedziałem policjantom, że prawdopodobnie wysyła listy do ludzi zajmujących wysokie stanowiska – prezydenta, dyrektora FBI, gubernatora, burmistrza – skarżąc się na krzywdy, jakie go rzekomo spotkały. Na początku podpisywał je swoim prawdziwym nazwiskiem, a kiedy nie uzyskał od nikogo zadowalającej (jego zdaniem) odpowiedzi, zaczął w nim narastać gniew. Przypadkowe zabójstwa mogły być formą zemsty na ludziach, którzy nie

potraktowali go poważnie.

Przestrzegłem przed doszukiwaniem się specjalnego znaczenia w wyborze tylenolu. Mieliśmy do czynienia z prymitywną, przygotowaną na chybcika operacją. Tylenol był popularnym lekiem, a kapsułki łatwe do otworzenia. Sprawca nie żywił zapewne urazy do firmy Johnson & Johnson; mogło mu się po prostu spodobać opakowanie.

W mieście wielkości Chicago żyło wiele osób pasujących do ogólnego profilu. Dlatego też, podobnie jak w przypadku seryjnych bomberów, podpalaczy czy innych podobnych przestępców, musieliśmy skoncentrować się na technikach proaktywnych. Policja musiała wywierać na sprawcę nieustanną presję, nie pozwolić mu na uporanie się z gniewem, co można było osiągnąć na przykład przez wydawanie wyłącznie pozytywnych komunikatów. Przestrzegłem jednocześnie przed prowokowaniem truciela określeniami typu „szaleniec”, co niestety już się zdarzyło.

Ale przede wszystkim musieliśmy namówić gazety do publikacji artykułów opisujących zabitych z perspektywy czysto ludzkiej, co miało stanowić kontrpunkt do dehumanizującej ofiary metody popełniania morderstw. Miałem nadzieję, że sprawca zacznie odczuwać coś na kształt wyrzutów sumienia, kiedy zobaczy podobiznę jednej z ofiar, dwunastoletniej dziewczynki.

Zaproponowałem także odmianę taktyki, którą zastosowaliśmy w Atlancie i w sprawie Shari Smith, a mianowicie nocne czuwania na grobach niektórych ofiar. Podejrzywałem, że sprawca zamachów może się na nich pojawić, ponieważ prawdopodobnie nie jest dumny z tego, co zrobił. Doradziłem, aby nagłaśniać w mediach rocznice morderstw.

Liczyłem, że zachęcimy zabójcę do odwiedzenia określonych sklepów dzięki podobnym sztuczkom, które pozwalały nam „nakłonić” rabusiów z Milwaukee i Detroit do napadania na konkretne filie banków, w których czekała już na nich ekipa powitalna. Oto kilka innych pomysłów. Z kręgów policyjnych wycieka informacja o działaniach mających na celu ochronę klientów określonej apteki,

bo może sprawca nie oprze się pokusie i będzie chciał na własne oczy zobaczyć skutki swoich działań. Gazeta publikuje artykuł o aroganckim kierowniku sklepu zapewniającym, że jego placówka jest całkowicie bezpieczna i truciciel nie miałby żadnej możliwości podmiany jakiegokolwiek produktu na półce. Policja i FBI przybywają do określonego sklepu, rzekomo reagując na „cynk”; sprawa okazuje się fałszywym alarmem, ale jeden z funkcjonariuszy stwierdza przed kamerami, że zabezpieczenia wprowadzone przez jego wydział są tak skuteczne, że sprawca zrezygnował z podrzucania do aptek zatrutego tylenolu. Rzucone w ten sposób wyzwanie mogłoby się okazać dla zabójcy pokusą nie do odparcia.

Moglibyśmy wysłać do mediów psychiatrę, aby udzielił wywiadu, opisując sprawcę jako ofiarę społeczeństwa i w ten sposób podsuwając mu pomysł na honorowe wyjście z sytuacji. Istniała szansa, że zadzwoniłby do psychiatry albo przyjechał do jego gabinetu, gdzie oczywiście zatrzymałaby go policja.

Uznałem również, że jeśli władze poproszą zwykłych obywateli o pomoc w obsłudze infolinii, na którą ludzie mogli zgłaszać jakiegokolwiek pomocne informacje związane z otruciami, sprawca prawdopodobnie zgłosi się na ochotnika. Taka taktyka byłaby zapewne również skuteczna w Atlancie. Trzeba pamiętać, że seryjny morderca Ted Bundy pracował jako wolontariusz w centrum kryzysowym dla ofiar gwałtu w Seattle.

Przedstawiciele prawa zawsze z pewną ostrożnością podchodzą do współpracy z mediami. Z takimi zachowaniami miałem do czynienia wielokrotnie w karierze. Na początku lat osiemdziesiątych, kiedy program profilowania przestępców był jeszcze nowinką, wezwano mnie do centrali na spotkanie z przedstawicielami wydziału dochodzeniowego i prawnikiem FBI. Chcieli, abym przybliżył im niektóre z moich proaktywnych technik.

– Chyba nie okłamujesz dziennikarzy, co John?

Podałem najświeższy przykład ilustrujący skuteczność proaktywnej współpracy z mediami. Na wzgórzach w San Diego znaleziono zwłoki młodej kobiety. Została uduszona i zgwałcona, na szyi miała obrożę owiniętą smyczą.

Jej samochód stał zaparkowany u podnóża jednego ze wzgórz. Skończyła jej się benzyna i najwyraźniej zabrał ją stamtąd morderca – udawał dobrego samarytanina albo posłużył się groźbą – i wywiózł w miejsce, w którym została znaleziona.

Poradziłem policji, aby opublikowała serię komunikatów prasowych. Niech najpierw opiszą zbrodnię i przedstawią naszą analizę kryminalistyczną. Później powinni podkreślić, że FBI zaoferowało pełne wsparcie władzom lokalnym i stanowym, a przedstawiciele prawa zapowiedzieli, że „nawet gdyby miało nam to zająć dwadzieścia lat, dorwiemy tego gościa!”. Należało wspomnieć, że znalazł się świadek podejrzanego zdarzenia, do jakiego doszło na drodze, przy której ofierze zdarzył się wspomniany przymusowy postój. Policja prosiła ewentualnych innych świadków o kontakt.

Rozumowałem w następujący sposób: jeśli morderca uzna, że ktoś go zobaczył przy samochodzie ofiary lub chwilę później (co prawdopodobnie było prawdą), dojdzie do wniosku, że musi zneutralizować to zagrożenie i sam zgłosi się na policję, aby podać jakieś wytłumaczenie swojej obecności w tamtym miejscu. Powie na przykład: „Przejeżdżałem akurat tamtędy i zobaczyłem, że dziewczynie zepsuł się samochód. Zatrzymałem się i zapytałem, czy potrzebuje pomocy, ale wyjaśniła, że sobie poradzi, więc pojechałem dalej”.

Weźmy po uwagę, że choć policja bardzo często zwraca się z prośbą o pomoc za pośrednictwem mediów, zazwyczaj nie dostrzega w tym szansy na działanie proaktywne. Zastanawiam się czasami, ile razy na policję zgłaszali się sprawcy przestępstw i nie zostali rozpoznani, ponieważ nikt nie wiedział, na co należy zwracać uwagę. Przy okazji chciałbym podkreślić, że świadkowie wydarzeń nie mają się czego bać. Nie zostaną uznani za podejrzanych, a istnieje spora szansa, że pomogą aresztować prawdziwego sprawcę.

W sprawie z San Diego zdarzyło się dokładnie to, co opisałem. Sprawca zaangażował się w śledztwo i został aresztowany.

– W porządku, Douglas, rozumiemy, o co ci chodzi – stwierdził niechętnie

człowiek z centrali FBI. – Po prostu informuj nas za każdym razem, kiedy będziesz chciał wykorzystać to swoje podejście.

Biurokraci obawiają się wszystkiego, co nietypowe lub nowatorskie.

Miałem nadzieję, że prasa pomoże nam w taki czy inny sposób wywabić z ukrycia truciciela. Policja i FBI zorganizowały spotkanie z Bobem Greene’em, popularnym felietonistą dziennika „Chicago Tribune”. Ten przygotował reportaż o dwunastoletniej Mary Kellerman, najmłodszej ofierze truciciela, jedynej pocieszce pary, która nie mogła mieć więcej dzieci. Policja i agenci FBI obserwowali dom i grób dziewczynki. Jak podejrzewałem, większość osób zaangażowanych w śledztwo uważała tę operację za czyste wariactwo. Dręczeni wyrzutami sumienia lub rozkoszujący się wspomnieniem zbrodni mordercy mieliby odwiedzać groby swoich ofiar? Nalegałem, aby policjanci zachowali czujność przynajmniej przez tydzień.

Przebywałem wtedy nadal w Chicago i miałem świadomość, że jeśli mój plan nie wypali, policjanci będą na mnie wściekli. Obserwacja jest nudnym, niewdzięcznym zadaniem w normalnych okolicznościach – prowadzenie obserwacji na cmentarzu musi być jeszcze gorsze.

Pierwszej nocy nic się nie dzieje. Spokój i cisza. Drugiej nocy policjantom wydaje się, że słyszą jakieś odgłosy. Zbliżają się do grobu, starając się pozostawać w cieniu. Słyszą męski głos. Wiek tajemniczego osobnika pasuje do przewidywań opisanych w profilu.

Mężczyzna płacze, niemal łka.

– Wybacz mi – mówi błagalnym tonem. – Nie chciałem. To był wypadek!

Błaga martwą dziewczynkę o przebaczenie.

„Jasny gwint – myślą – Douglas jednak miał rację”. Rzucają się na gościa.

Ale zaraz, zaraz! Przecież on mówi o kimś innym.

Facet jest śmiertelnie przerażony. Dopiero teraz policjanci zauważają, że facet stoi obok grobu Mary!

Jak się okazało, tuż przy grobie Mary Kellerman leżała ofiara wypadku

samochodowego – sprawca ją potracił, zbiegł i nigdy nie został zidentyfikowany. Po jakimś czasie przyszedł, aby przyznać się do winy.

Cztery lub pięć lat później chicagowska policja użyła tej samej sztuczki, aby złapać innego mordercę. Zachęteni przez Boba Sagowskiego, koordynatora szkoleń FBI, zaczęli przekazywać prasie informacje na temat ofiary w rocznicę jej śmierci. Kiedy policjanci aresztowali sprawcę na jej grobie, zapytał ich tylko: „Dlaczego tyle wam to zajęło?”.

Mordercy zatruwającego kapsułki z tylenolem nie złapaliśmy w ten sposób. W ogóle nie złapaliśmy mordercy. Policja aresztowała jedną osobę, która została następnie skazana za wyłudzenie powiązane z morderstwami. Brakowało dowodów, aby oskarżyć go o same zbrodnie. Mężczyzna pasował do profilu, ale w czasie obserwacji grobu przebywał poza Chicago. Od czasu jego aresztowania nie zanotowano przypadków kolejnych zatruć.

Ponieważ nie doszło do procesu, z prawnego punktu widzenia nie możemy oczywiście stwierdzić, że człowiek ten był trucicielem. Nie ulega jednak wątpliwości, że pewien odsetek sprawców niewyjaśnionych seryjnych morderstw i tak trafia za kratki. Kiedy seria zbrodni niespodziewanie dobiega końca, mogły się zdarzyć trzy rzeczy (jeśli oczywiście odrzucimy najprostszą możliwość, a mianowicie że sprawca dobrowolnie zaprzestał działalności). Po pierwsze, morderca mógł popełnić samobójstwo, co jest prawdopodobne u niektórych typów osobowościowych. Po drugie, mógł się przeprowadzić i teraz kontynuuje swoją działalność gdzie indziej. Stworzona przez FBI baza danych VICAP (Violent Criminal Apprehension Program, Program Ścigania Brutalnych Przesiępców) pomaga zapobiegać takim scenariuszom, umożliwiając policjantom z tysięcy okręgów w całym kraju dzielenie się informacjami. Po trzecie, morderca mógł zostać aresztowany za inne przestępstwo – najczęściej włamanie, rozbój lub napaść – i odsiaduje skromniejszy wyrok, niż powinien, ponieważ nie został oskarżony o najpoważniejsze przestępstwa, których się dopuścił.

Od czasu zatrucia tylenolem prowadziliśmy wiele spraw skażenia produktów żywnościowych, choć zazwyczaj w grę wchodziły tradycyjne motywy. Zdarzają się na przykład morderstwa małżonków upozorowane na zatrucia. W tego typu przypadkach policja powinna wziąć pod uwagę liczbę podobnych incydentów, ich koncentrację przestrzenną lub jej brak, odległość między miejscem spożycia produktu a miejscem rzekomego zatrucia oraz relację między ofiarą a osobą zgłaszającą przestępstwo. Podobnie jak w innych sprawach, w których istnieje podejrzenie popełnienia morderstwa z przyczyn osobistych, należy sprawdzić ewentualne zatargi ofiary z innymi ludźmi oraz dowiedzieć się możliwie najwięcej na temat zachowania współuczestników zdarzenia przed zgonem ofiary oraz po nim.

Czasami zbrodnia wygląda na przypadkową, a faktycznie jest wymierzona w konkretną osobę. Kiedy indziej ktoś mógłby pomyśleć, że została popełniona pod wpływem gniewu i frustracji, a w rzeczywistości stoi za nią jeden z klasycznych motywów, choćby chęć pozbycia się małżonka z pominięciem nieprzyjemnego rozvodu albo apetyt na ubezpieczenie czy spadek. Po nagłośnionej przez media sprawie otrucia pewna kobieta pozbyła się męża za pomocą zatrutego tylenolu, sądząc, że jego śmierć zostanie zapisana na konto działającego w Chicago mordercy. Morderstwo zostało kiepsko upozorowane i na tyle różniło się od innych, że policja się nie nabrała. W tego typu sprawach dowody uzyskane w laboratoriach zazwyczaj pozwalają na wykrycie sprawcy. Można ustalić źródło cyjanku lub innej trucizny.

Z tego samego powodu śledczy mogą dość łatwo ustalić, czy ktoś zanieczyścił produkt, by pozwać producenta i uzyskać odszkodowanie, na przykład umieszczając martwą mysz w słoiku z sosem do spaghetti, szczura w puszcze z napojem chłodzącym lub igłę w paczce z chipsami. Firmy często szybko idą na ugodę, aby uniknąć negatywnej reklamy i publicznego procesu, niemniej dzięki postępom w nauce w wypadku uzasadnionych podejrzeń odmawiają pójścia na ugodę i przekazują sprawę do FBI, a wielu sprawców tego

rodzaju oszustw zostaje wykrytych i ukaranych. Na podobnej zasadzie dobry oficer śledczy rozpozna upozorowane akty bohaterstwa – sytuacje zaaranżowane przez osobę spragnioną uznania ze strony kolegów lub opinii publicznej.

Sprawa zatruć tylenolem, przy całej grozie, jaka ogarnęła miasto, była raczej anomalią. Nie wyglądała na próbę wyłudzenia odszkodowania. Szantażysta w pierwszej kolejności musiałby zademonstrować gotowość do spełnienia groźby w razie odmowy. Ludzie zatruwający produkty spożywcze, aby wymusić okup, zazwyczaj rozpoczynają od zatrucia zawartości jednej butelki lub opakowania, oznaczają je w jakiś sposób, po czym listownie lub telefonicznie przekazują ostrzeżenie. Truciciel posługujący się tylenolem nie rozpoczął od gróźb, tylko od razu zaczął zabijać.

W porównaniu z prawdziwymi szantażystami był mało wyrafinowany. Z prostackiej metody zatruwania leku (koncern Johnson & Johnson wydał później majątek na wynalezienie opakowania skutecznie uniemożliwiającego zanieczyszczenie produktu obcymi substancjami) wywnioskowałem, że nie był specjalnie zorganizowany. W przypadku prawdziwych szantażystów można posłużyć się niektórymi wytycznymi stosowanymi w analizie gróźb kierowanych pod adresem polityków. Pozwalają rozstrzygnąć, czy autor groźby stwarza realne zagrożenie i jest zdolny do jej zrealizowania.

Z identyczną sytuacją mamy do czynienia w przypadku terrorystów podkładających bomby. Każde ostrzeżenie traktuje się poważnie, ale władze muszą szybko ustalić jego prawdziwość, aby nie doszło do całkowitego paraliżu miasta. W swoich komunikatach bomberzy i szantażyści zazwyczaj używają zaimka my, aby zasugerować istnienie jakiejś grupy, która śledzi z ukrycia przebieg zdarzeń. W rzeczywistości większość z nich to nieufni samotnicy.

Bomberzy należą przeważnie do jednej z trzech kategorii przestępców. Pierwsza to ludzie żądni władzy, nastawieni na wywoływanie destrukcji. Druga to osobnicy owładnięci misją, którym przyjemność sprawia projektowanie, konstruowanie i podkładanie ładunków wybuchowych. Trzecia to pasjonaci

inżynierii, którzy czerpią satysfakcję z błyskotliwości i przebiegłości projektu bomby. Wśród motywacji znajdziemy wymuszenie, spór pracowniczy, zemstę, a nawet samobójstwo.

W naszych badaniach nad ludźmi podkładającymi bomby jeden profil powtarza się szczególnie często. Biały mężczyzna, którego wiek potrafimy określić na podstawie wybranej przez niego ofiary lub celu. Ma co najmniej średnią inteligencję, często wyższą od przeciętnej, choć w życiu osiągnął mniej, niż mógł. Schludny, porządny i staranny, dokładnie planuje swoje poczynania, nie jest konfrontacyjny ani wysportowany, ale raczej tchórzliwy i zakompleksiony. Profil tworzy się na podstawie analizy celu lub ofiary oraz typu urządzenia (na przykład, czy bomba jest odłamkowa czy zapalająca), podobnie jak profil seryjnego mordercy powstaje na podstawie analizy miejsca zbrodni. Uwzględniamy czynnik ryzyka związany z ofiarą i sprawcą, przypadkowość lub brak przypadkowości w doborze ofiary, jej dostępność, porę dnia ataku, metodę dostarczenia ładunku (na przykład pocztą), a także wyjątkowe lub charakterystyczne elementy budowy bomby lub sposobu jej wykonania.

Na początku kariery w Jednostce Nauk Behawioralnych opracowałem pierwszy profil słynnego wówczas Unabombera, któremu nadano taki przydomek (za kryptonimem Unabom stosowanym przez FBI), ponieważ jego celem były uniwersytety i profesorowie.

O bomberach najwięcej dowiadujemy się z wysyłanych przez nich listów. Zanim Unabomber zaczął komunikować się z opinią publiczną za pomocą długich tyrad wysyłanych do czasopism oraz liczącego kilka tysięcy wyrazów manifestu, zdążył w ciągu poprzednich siedemnastu lat zabić już trzy osoby i ranić dwadzieścia trzy. Udało mu się również sparaliżować na jakiś czas całą branżę lotniczą – groził podłożeniem bomby w samolocie startującym z międzynarodowego lotniska w Los Angeles.

Jak większość bomberów działał rzekomo w imieniu grupy (KW lub Klubu

Wolnościowego), choć jest niemal pewne, że mamy do czynienia z samotnikiem*.

Mój profil był wielokrotnie publikowany i nie widzę przesłanek upoważniających mnie do zmiany zdania. Niestety, mimo pionierskich dokonań doktora Brussela w sprawie Metesky'ego, Szalonego Bombera, kiedy Unabomber zaatakował po raz pierwszy, siły ochrony porządku publicznego nie przejawiały równej gotowości do skorzystania z analiz FBI jak dzisiaj. Większość bomberów można szybko złapać. Kluczowych informacji dostarcza zachowanie, lokalizacja i cel pierwszego i drugiego zamachu. Później taki człowiek nabiera wprawy i zaczyna przemieszczać się z miejsca na miejsce. W miarę upływu lat prosta uraza do społeczeństwa przekształca się w skomplikowaną ideologię motywującą go do działania. Myślę, że gdyby profilowanie było równie rozwinięte w 1979 roku jak dziś, Unabomber zostałby schwytany wiele lat wcześniej.

W większości przypadków zamachy bombowe są metodą wymuszenia okupu na jednostce lub grupie. W połowie lat siedemdziesiątych XX wieku prezes jednego z teksaskich banków otrzymał telefonicznie informację o podłożeniu bomby.

Dzwoniący w długiej przemowie oświadczył, że kilka dni wcześniej jego ludzie podszyli się pod ekipę operatora telekomunikacyjnego Southwest Bell i podłożyli w budynku banku bombę, którą dzwoniący może uruchomić za pomocą włącznika na mikrofales. Nie zrobi tego, jeśli prezes banku spełni jego żądania.

Zaraz potem wypowiedział słowa, które zmroziły krew w żyłach prezesa. Stwierdził mianowicie, że porwał jego żonę Louise. „Kobieta jeździ cadillakiem, rano chodzi w takie a takie miejsce, później w inne...”, mówił szantażysta. Przerażony prezes kazał sekretarce zadzwonić do domu. Nikt nie odbierał. Prezes zaczął wierzyć rozmówcy.

Ten zażądał okupu – w używanych banknotach, dziesiątkach, najwyżej

setkach. „Nie dzwoń na policję, z łatwością rozpoznamy jej nieoznakowane samochody. Sekretarce powiedz, że wychodzisz na mniej więcej czterdzieści pięć minut. Nie kontaktuj się z nikim. Tuż przed wyjściem zapal i zgaś trzykrotnie światło w gabinecie. Moi ludzie obserwują budynek, czekając na sygnał. Pieniądze włóż do swojego samochodu i zaparkuj go na takiej i takiej ruchliwej ulicy. Nie gaś silnika, włącz światła postojowe”.

W rzeczywistości nie doszło do podłożenia bomby ani porwania. Do prezesa zadzwonił sprytny oszust. Wszystkie elementy planu miały znaczenie. Firma telekomunikacyjna rzeczywiście wykonywała jakąś instalację w banku, więc się na nią powołał, by uwiarygodnić podłożenie bomby. Na ekipy firm telekomunikacyjnych nikt nie zwraca uwagi, ponieważ i tak nie wiadomo, czym się dokładnie zajmują. Nietrudno uwierzyć, że oszuści mogli się podszyć pod jedną z nich.

Szantażysta wiedział, że prezes banku spróbuje skontaktować się z żoną, dlatego sam zadzwonił do niej tamtego ranka, podał się za przedstawiciela operatora telekomunikacyjnego i powiedział, że Southwest Bell otrzymało szereg skarg na obsceniczne telefony. Firma próbuje ustalić, kto je wykonuje, dlatego prosi, aby między dwunastą a dwunastą czterdzieści pięć nie odbierać telefonów, ponieważ właśnie wtedy będą namierzali sprawcę.

Polecenie, aby zostawić pieniądze w samochodzie z zapalonymi światłami i włączonym silnikiem, to zapewne najbardziej pomysłowa część planu. Prezes sądził, że światła to kolejny sygnał, a w istocie były one elementem planu ucieczki szantażysty, który zdawał sobie sprawę, że niepomna ostrzeżenia ofiara prawdopodobnie zawiadomi policję. Najniebezpieczniejszą fazą planu jest zawsze moment przekazania pieniędzy, więc należy założyć, że policja będzie obserwować samochód. Gdyby w takim wypadku miał pecha i został zgarnięty, zawsze mógłby wyjaśnić, że szedł ruchliwą ulicą, zobaczył puste auto z włączonym silnikiem oraz zapalonymi światłami, więc postanowił wyrzucić właścicielowi przysługę i wszystko pogasić. Policja nic jeszcze wtedy na niego

nie ma. Nawet jeśli złapią go z pieniędzmi, może identycznie uzasadnić swoją obecność w samochodzie i wyjaśnić, że znalazł na siedzeniu torbę, którą zamierzał odnieść na policję.

Szantażysta nie liczy, że numer zawsze mu wyjdzie. Ma przygotowany scenariusz, który za każdym razem uzupełnia o szczegóły. Jeżeli jedna ofiara nie da się nabrać, następnego dnia próbuje z kolejną. W końcu ktoś się nabierze, szantażysta zgarnie przyzwoitą sumkę, a co najlepsze – nie musi nikogo porwać ani podkładać bomby. W takich sprawach spisany scenariusz jest zazwyczaj twardym dowodem, ponieważ sprawca przechowuje go z zamiarem wykorzystania w przyszłości. Ma bowiem świadomość, że wystarczy zdobyć kilka prostych informacji, a każdy może stać się ofiarą.

Policja wpadła na trop szantażysty prezesa banku. Został aresztowany, postawiony przed sądem i skazany. Okazał się byłym didżejem, który postanowił wykorzystać umiejętność skupiania na sobie uwagi słuchaczy do szybszego zarobku.

Co różni takiego oszusta od prawdziwego porwacza? Obu zależy na pieniądzu, dlatego nie zamierzają zdradzać ofiarom zbędnych informacji o sobie; zabójstwo nie jest elementem ich planu. Prawdziwy porwacz na ogół potrzebuje współnika, który pomaga mu w realizacji planu, z kolei zwykły szantażysta to w praktyce sprytny oszust. Porwacz jest socjopatą – nie zamierza zamordować ofiary, ale jest gotów to zrobić, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Steve Mardigian brał udział w sprawie wiceprezesa Exxon Corporation, który został uprowadzony dla okupu sprzed swojego domu w New Jersey. Porwacze – były ochroniarz i jego żona – przetrzymywali rannego (i chorego na serce) mężczyznę w pudle, gdzie zmarł. Umieszczenie ofiary w pudle lub czymś podobnym ma na celu depersonalizację i ograniczenie do minimum możliwości kontaktu ze światem zewnętrznym. Porwacze wyrazili żal z powodu tragicznego finału. Tłumaczyli się desperacją, która wcześniej popchnęła ich do porwania. Mimo to bez wahania realizowali plan krok po

kroku. Byli gotowi pozwolić drugiemu człowiekowi umrzeć dla własnej, egoistycznej korzyści, co jest jedną z definicji socjopatycznego zachowania.

Choć ofiary porwania przeżywają straszliwe chwile, sprawcy rzadko kiedy pozostają bezkarni. Osoby prowadzące śledztwo muszą starannie i krytycznie analizować dostępne informacje, zwracając szczególną uwagę na wiktymologię i zachowania ofiary przed uprowadzeniem. Mimo że każdy może paść ofiarą porywaczy, śledczy musi sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego porwano akurat tę konkretną osobę.

Wiele lat temu odebrałem telefon w środku nocy. Oficer śledczy z Oregonu opowiedział mi o sprawie młodej uczennicy z jego okręgu. Ktoś ją prześladował, ale nikomu nie udało się ustalić tożsamości tajemniczego napastnika. Widywała go czasami w lesie, ale zanim jej ojciec (lub chłopak) zdążył dotrzeć we wskazane przez nią miejsce, mężczyzny już tam nie było. Wydzwaniał do niej do domu, ale tylko wtedy, gdy była sama. Dziewczyna zamieniła się kłębek nerwów. Kilka tygodni po pierwszym incydencie poszła do restauracji ze swoim chłopakiem. W pewnej chwili wstała od stolika i wyszła do toalety. Przy drzwiach ktoś ją złapał i błyskawicznie zaciągnął na parking. Napastnik brutalnie wcisnął jej do pochwy lufę pistoletu i zagroził, że ją zabije, jeśli zgłosi się na policję, po czym zniknął. Dziewczyna była w tak wielkim szoku, że nie potrafiła opisać mężczyzny.

W końcu spełnił się czarny scenariusz: pewnego wieczoru została uprowadzona sprzed biblioteki. Jej samochód znaleziono na parking. Porywacz się nie odzywał i sprawa wyglądała dość ponuro.

Poprosiłem detektywa, aby opowiedział mi więcej o ofierze. Była to piękna dziewczyna, która zawsze dobrze radziła sobie w szkole. Rok wcześniej urodziła dziecko i od tego czasu między nią a rodziną, a zwłaszcza ojcem, wybuchały spory o pieniądze. W ostatnim czasie jej średnia ocen poleciała na łeb na szyję, zwłaszcza odkąd ktoś zaczął ją prześladować.

Powiedziałem, żeby nie informować na razie ojca – na wypadek gdybym się

mylił i dziewczyna już nie żyła – ale cała sprawa pachniała mistyfikacją. Kto miałby ją prześladować? Miała stałego chłopaka i z nikim w ostatnim czasie nie zerwała. Osoby niepubliczne prześladowane są zazwyczaj przez ludzi, którzy je znają. Poza tym ów rzekomy prześladowca wykazywał się nadludzką sprawnością. Trudno sobie wyobrazić, że jej ojciec lub chłopak nie potrafili ani razu dogonić człowieka, którego widziała gdzieś w pobliżu. Nikt inny poza nią nie odbierał telefonów z groźbami, a kiedy policja założyła w domu podsłuch, te ustały. Nieprzypadkowo do porwania doszło tuż przed egzaminami końcowymi.

Doradziłem następującą strategię proaktywną: ojciec powinien wystąpić w mediach, podkreślić pozytywne aspekty relacji z córką, powiedzieć, że bardzo ją kocha i chciałby zobaczyć ponownie, a na koniec zaapelować do porywacza o jej uwolnienie. Jeżeli miałem rację, dziewczyna powinna pojawić się następnego dnia lub dwa dni później poobijana i ubrudzona. Opowie, że została porwana, wykorzystana seksualnie i wyrzucona z samochodu na pobocze drogi.

Dokładnie tak się stało. Dziewczyna była cała posiniaczona, ubrudzona i twierdziła, że została porwana. Zasugerowałem policji, aby przesłuchanie – w tym wypadku mające formę luźnej rozmowy – skoncentrować głównie na faktycznym przebiegu wydarzeń. Bynajmniej nie w tonie oskarżycielskim, ale pełnym wyrozumiałości dla problemów rodzinnych dziewczyny: wiemy, że zmagasz się ze stresem, traumą i bólem, bałasz się egzaminów, potrzebowałeś honorowego wyjścia z sytuacji. Należy podkreślić, że celem nie jest wymierzenie jej kary, że może liczyć na radę i zrozumienie. Kiedy policjanci ją o tym wszystkim zapewnili, dziewczyna przyznała się do mistyfikacji.

To jedna ze spraw, przy których profiler dostaje gęsiej skórki. Skutki ewentualnej pomyłki będą tragiczne, ponieważ faktyczny stalking to wyjątkowo nieprzyjemne, a nazbyt często również fatalne w skutkach przestępstwo.

W większości przypadków – czy chodzi o osobę publiczną, czy o zwykłego człowieka – u źródła stalkingu leży uwielbienie i podziw. John Hinckley „kochał” Jodie Foster i chciał, aby odwzajemniła to uczucie. Ponieważ ona była

piękną gwiazdą filmową studiującą na uniwersytecie Yale, a on zakompleksionym zerem, doszedł do wniosku, że musi zrobić coś, co ich ze sobą zrówna i jej zaimponuje. A czy można sobie wyobrazić coś bardziej „imponującego” od zabicia prezydenta Stanów Zjednoczonych? W chwilach przebłysków świadomości Hinckley musiał zdawać sobie sprawę, że wizja wspólnego szczęśliwego życia nigdy się nie spełni, niemniej ostatecznie osiągnął jeden z zamierzonych celów – stał się sławny i w ten przewrotny sposób w oczach opinii publicznej jego nazwisko zawsze będzie związane z Jodie Foster.

Jak większość prześladowców Hinckley wkroczył na tę drogę pod wpływem stresogennego wydarzenia. Tuż przed zamachem na prezydenta Reagana ojciec kazał mu sobie znaleźć pracę i zacząć żyć na własny rachunek.

Agent ochrony prezydenta Ken Baker przeprowadził rozmowę w więzieniu z Markiem Davidem Chapmanem, zabójcą Johna Lennona. Chapman czuł się mocno związany z byłym beatlesem i próbował go, nawet jeśli tylko powierzchownie, naśladować. Zbierał wszystkie nagrania piosenek Lennona, spotykał się nawet z kilkoma Azjatkami, czym chciał odwzorowywać małżeństwo Lennona z Yoko Ono. Jak u wielu podobnych ludzi i w nim w końcu kompleksy wzięły górę: nie potrafił pogodzić się z dysproporcją między sobą a swoim bohaterem. Dlatego musiał go zabić. Co najgorsze, czyn Chapmana był jednym z czynników, które wzbudziły w Hinckleyu pragnienie sławy (czy raczej niesławy) i popchnęły go do zamachu na prezydenta.

Rozmawiałem z Arthurem Bremerem, który prześladował, a później próbował zamordować w Maryland kandydującego na prezydenta gubernatora Alabamy George’a Wallace’a. Sparaliżowany w wyniku zamachu Wallace do końca życia cierpiał na chroniczne bóle. Bremer wcale nie żywił nienawiści do gubernatora. Wcześniej przez kilka tygodni prześladował prezydenta Nixona, ale nie zdołał zbliżyć się do niego na odpowiednią odległość. Wszystko, czego pragnął, to zademonstrować światu swoją wartość. Do Wallace’a miał łatwiejszy

dostęp, więc gubernator stał się w gruncie rzeczy przypadkową ofiarą.

Przypadków stalkingu kończących się zamachami obserwujemy niepokojąco wiele. Kiedy ofiarami padają postaci ze świata polityki, można przynajmniej łatwo wskazać przyczynę zabójstwa, mimo że niemal zawsze będzie to pretekst, a prawdziwym powodem jest pragnienie sławy zakompleksionego człowieka. W przypadku gwiazd filmowych i muzycznych, jak John Lennon, nawet pretekst jest całkowicie pozbawiony znaczenia. Do najbardziej tragicznych przypadków należy morderstwo dwudziestojednoletniej Rebecki Schaeffer, do którego doszło przed jej mieszkaniem w Los Angeles w 1989 roku. Piękna i utalentowana aktorka, powszechnie znana dzięki roli młodszej siostry Pam Dawber w serialu *My Sister Sam*, została zastrzelona przez Roberta Johna Bardo, bezrobotnego dziewiętnastolatka z Tucson, który pracował wcześniej jako dozorca w restauracji sieci Jack in the Box. Podobnie jak Chapman, Bardo był początkowo wielkim fanem aktorki. Uwielbienie przerodziło się w obsesję, a kiedy zrozumiał, że nigdy nie stworzą „normalnego” związku, postanowił „osiąść” ją w inny sposób.

Jak już dziś doskonale wiemy, celem stają się nie tylko ludzie sławni. Często są przypadki prześladowania byłych małżonków lub kochanków. Stalking staje się śmiertelnie niebezpieczny, kiedy sprawca dochodzi do wniosku: „Jeżeli nie mogę jej (jego) mieć, nie pozwolę, aby komukolwiek innemu się to udało”. Niemniej Jim Wright, najbardziej doświadczony specjalista od stalkingu w naszej jednostce i jeden z najwybitniejszych ekspertów w tej dziedzinie, twierdzi, że ofiarą stalkingu może paść każda osoba (zwłaszcza kobieta) mająca na co dzień kontakt z ludźmi. Przedmiot pożądania prześladowcy nie musi wcale występować w telewizji ani w filmach. Może to być kelnerka w pobliskiej restauracji albo kasjerka z lokalnego oddziału banku. Albo nawet koleżanka z pracy.

To właśnie przydarzyło się Kris Welles z Conlin's Furniture Company w Missouli w Montanie. Kris była kompetentną, szanowaną pracownicą.

Awansowała na stanowisko kierownika sprzedaży, a w 1985 roku na głównego kierownika.

W tym samym czasie w magazynie pracował niejaki Wayne Nance. Był dość skryty, ale wyraźnie darzył sympatią Kris, ona z kolei zawsze traktowała go serdecznie i przyjaźnie. Niemniej Wayne doświadczał huśtawek nastrojów, a Kris bała się tego, co dostrzegała pod jego powierzchownością. Mimo to nikt nie skarżył się na Wayne'a – dzień w dzień harował ciężiej niż ktokolwiek inny w magazynie.

Ani Kris, ani jej mąż Doug, sprzedawca broni, nie wiedzieli, że Wayne Nance ma na jej punkcie obsesję. Obserwował ją przez cały czas i miał karton wypełniony pamiątkami – fotografiami, zapiskami sporządzanymi przez nią w biurze, rzeczami będącymi wcześniej jej własnością.

Z kolei policja z Welleses ani z Missouli nie wiedziała, że Wayne Nance był już notowany za morderstwo. W 1974 roku molestował seksualnie i zabił nożem pięcioletnią dziewczynkę. Dopiero później odkryto, że wiązał, knebłował i zabijał z broni palnej dorosłe kobiety, w tym matkę swojego najlepszego przyjaciela. Co zaskakujące, wszystko to działo się w hrabstwach sąsiadujących z tym, w którym mieszkał, ale nawet w słabo zaludnionej Montanie policja z jednego okręgu nie miała pojęcia o przestępstwach popełnionych na terenie innych.

Kris Welles nie zdawała sobie z tego sprawy – do czasu gdy pewnego wieczoru Nance włamał się do domu, w którym mieszkała z Dougiem. Małżonkowie mieli golden retrievera, ale suczka nie stawiała oporu napastnikowi. Wayne postrzelił z pistoletu Douga, zostawił go związanego w piwnicy, po czym zmusił Kris do pójścia na piętro do sypialni, gdzie przywiązał ją do łóżka, przymierzając się do gwałtu. Nie próbował ukryć tożsamości, Kris natychmiast go rozpoznała.

Doug zdołał uwolnić się z więzów. Osłabiony, na granicy utraty przytomności z bólu i upływu krwi, doszedł do stołu, gdzie miał zamontowane

urządzenie do ładowania karabinu. Starczyło mu sił na umieszczenie w lufie jednego pocisku. Potem zaczął powoli, na ile to możliwe bezszelestnie, wspinać się po schodach. Dotarł na pierwsze piętro, przeszedł korytarzem i przez szparę w drzwiach wycelował w Nance'a. Obraz zaczynał mu się powoli rozmazywać przed oczami.

Musiał załatwić Nance'a, zanim tamten go zauważy i sięgnie po pistolet. Napastnik był w pełni sił i dysponował większą liczbą pocisków. Doug nie miałby szans w otwartej walce.

Nacisnął spust. Trafił. Nance przewrócił się na plecy, ale natychmiast się poderwał i ruszył w kierunku Douga. Strzał nie był śmiertelny. Doug nie miał gdzie uciekać, a ponieważ nie mógł opuścić Kris, zrobił ostatnią rzecz, jaka mu pozostała: rzucił się na Nance'a, wywijając strzelbą niczym pałką. Nie przestał nią okładać potężnie zbudowanego Nance'a, dopóki Kris nie wyswobodziła się z więzów i nie ruszyła mu na pomoc.

Do dziś sprawa Wellesów pozostaje jedną z nielicznych, w których ofiary seryjnego mordercy zdołały go zabić w samoobronie. To niewiarygodne, że udało im się przeżyć. Kilkakrotnie zaprosiliśmy ich, aby opowiedzieli swoją historię na zajęciach w Quantico. Spotkania z tymi skromnymi ludźmi stwarzają nam rzadką okazję poznania perspektywy ofiar, które stały się bohaterami. Jak na ludzi, którzy przeszli przez piekło, są niesamowicie ciepli, wrażliwi i „zjednoczeni”.

Pod koniec jednego z takich spotkań w Quantico pewien policjant zapytał ich:

– Czy gdyby Wayne Nance nadal żył i gdyby nie było kary śmierci, to znaczy gdybyście mieli świadomość, że wciąż jest częścią tego świata, byłibyście w równie dobrej formie psychicznej jak teraz?

Małżonkowie wymienili spojrzenia i bez słów uzgodnili odpowiedź.

– Niemal na pewno nie – oświadczył Doug Welles.

* Unabomber rzeczywiście okazał się odludkiem. Theodore Kaczynski został aresztowany w 1996 roku, już po opublikowaniu amerykańskiego wydania książki (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 18

Wojna psychiatrów

Kto byłby zdolny do tak potwornego czynu?

Prowadząc badania nad seryjnymi mordercami, trafiliśmy z Bobem Resslerem do Joliet w stanie Illinois. Wieczorem po rozmowie z Richardem Speckiem siedziałem w swoim pokoju w hotelu, oglądając wiadomości w stacji CBS, kiedy zobaczyłem wywiad Dana RATHERA z mordercą Thomasem VANDĄ, który również odsiadywał wyrok w zakładzie karnym w Joliet. Vanda został skazany za zamordowanie kobiety. Większą część życia spędził w zakładach dla umysłowo chorych. Za każdym razem gdy „wyleczony” wychodził na wolność, popełniał kolejne przestępstwo. Morderstwo, za które odsiadywał teraz wyrok, nie było jego pierwszym.

Zawołałem Resslera i oświadczyłem, że skoro jesteśmy na miejscu, warto z gościem porozmawiać. Z wywiadu wynikało, że jest klasycznym przykładem mordercy o niskim poczuciu własnej wartości. Równie dobrze mógłby zostać podpalaczem, a gdyby posiadał odpowiednie narzędzia i umiejętności, terrorystą podkładającym bomby.

Następnego dnia wróciliśmy do więzienia. Vanda zgodził się na spotkanie. Nasza obecność go zaintrygowała – nieczęsto miewał gości. Przed rozmową przejrzelśmy jego akta.

Vanda był białym dwudziestopięcioletnim mężczyzną średniego wzrostu. Sprawiał wrażenie osobiście łagodnego i często się uśmiechał, choć miał

charakterystyczny wygląd: rozbiegane spojrzenie, nerwowe tiki, pocieranie dłonią o dłoń. Zwykły człowiek nie odważyłby odwrócić się tyłem do tego gościa. Na wstępie zapytał, co sądzę o jego występie w telewizji. Kiedy powiedziałem, że wypadł dobrze, zaśmiał się i rozluźnił. Opowiedział nam, że zapisał się w więzieniu do kółka biblijnego, co bardzo korzystnie na niego wpływa. Zapewne mówił prawdę, choć spotkałem wielu więźniów, którzy wstępowali do grup religijnych tuż przed posiedzeniem komisji decydującej o zwolnieniu warunkowym, by pokazać, że się zmienili.

Ktoś mógłby powiedzieć, że Vanda nie powinien siedzieć w więzieniu o zaostrzonym rygorze, ale raczej w szpitalu psychiatrycznym. Po spotkaniu poszedłem porozmawiać z więziennym psychiatrą, który go leczył. Zapytałem o stan Vandy.

Psychiatra, mężczyzna około pięćdziesiątki, stwierdził, że Vanda „wyjątkowo pozytywnie reaguje na leczenie farmakologiczne i terapię”. Wymienił kółko biblijne jako przykład poprawy stanu zdrowia pacjenta. Jego zdaniem przy dalszych postępach w leczeniu Vanda kwalifikowałaby się do zwolnienia warunkowego.

Zapytałem, czy wie, co dokładnie Vanda ma na sumieniu.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Prowadzę tylu więźniów, że nie mam na to czasu.

Poza tym nie chciał, aby cokolwiek wypaczało jego relacje z pacjentem.

– W takim razie, doktorze, proszę pozwolić, że panu powiem, co Vanda ma na sumieniu – oświadczyłem i zanim zdążył zaprotestować, opisałem, jak nasz antyspołeczny samotnik zapisał się do grupy religijnej, a kiedy uczestnicy jednego ze spotkań opuszczali salę, zaczął nagabywać młodą kobietę, która prowadziła spotkanie. Ona go spławiła, ale Vanda kiepsko zniósł odmowę. Tacy ludzie zazwyczaj nie potrafią pogodzić się z odrzuceniem. Powalił ją na ziemię, poszedł do kuchni, przyniósł nóż i zadał serię ciosów. Dziewczyna leżała na podłodze, wykrwawiając się na śmierć, tymczasem on wsadził penisa w otwartą

ranę w jej brzuchu i się zaspokoił.

Muszę przyznać, że nie potrafię wytłumaczyć tego zachowania. Kobieta przypominała już wtedy szmacianą lalkę, jej ciało wciąż było ciepłe, wykrwawiała się, więc i on musiał pobrudzić się jej krwią. Choć nie mógł zdepersonalizować ofiary, miał erekcję i doprowadził się do orgazmu. Nietrudno zrozumieć, dlaczego moim zdaniem było to przestępstwo motywowane gniewem, a nie pożądaniem. Jego myśli nie zaprzętał seks, ale gniew i wściekłość. Nawiasem mówiąc, właśnie z tego powodu kastrowanie gwałcicieli nie daje rezultatów. Kastracja nie powstrzyma takiego człowieka, ani pod względem fizycznym, ani emocjonalnym. Gwałt jest w sposób oczywisty zbrodnią motywowaną gniewem, więc jeśli odetniemy komuś jaja, stworzymy człowieka bardziej rozjuszonego niż kiedykolwiek wcześniej.

– Jesteś obrzydliwy, Douglas – oświadczył psychiatra, kiedy skończyłem opowieść o Vandzie. – Wynoś się z mojego gabinetu!

– Ja jestem obrzydliwy? – zaprotestowałem. – To ty sporządzisz kiedyś opinię, czy Thomas Vanda pozytywnie reaguje na terapię i może wyjść na wolność, a przecież nie masz zielonego pojęcia, kim naprawdę są więźniowie, którymi się zajmujesz. Jak chcesz ich zrozumieć, skoro nie masz czasu, aby przejrzeć zdjęcia i raporty z miejsc zbrodni, zapoznać się z protokołami sekcji zwłok? Przeanalizowałeś metody ich działania? Wiesz, czy były zaplanowane? Zrozumiałeś, jakie zachowania je poprzedzały? Sprawdziłeś, co pozostawili na miejscu zbrodni? Wiesz, czy próbowali się wymigać od odpowiedzialności albo zapewnić sobie alibi? Skąd, do diabła, wiesz, czy Vanda jest groźnym człowiekiem?

Nie potrafił znaleźć odpowiedzi na te pytania. Nie przypuszczam, abym zdołał go przekonać, ale mówiłem o sprawach, które leżą mi na sercu i są fundamentem działalności mojej jednostki. Jak wielokrotnie wspominałem, paradoks polega na tym, że terapia psychiatryczna opiera się na samoocenie. W normalnych okolicznościach pacjent przychodzi do terapeuty, ponieważ

odczuwa autentyczną potrzebę podzielenia się prawdziwymi myślami i odczuciami. Skazaniec marzący o wcześniejszym wyjściu z więzienia będzie mówił terapeutce wyłącznie to, co ten chce usłyszeć. A kiedy psychiatra bierze taką samoocenę za dobrą monetę, nie konfrontując jej z obiektywnymi informacjami na temat pacjenta, procedura kwalifikowania więźniów do zwolnienia warunkowego może po prostu zawieść. Ed Kemper i Monte Rissell, by wymienić tylko te dwa nazwiska, chodzili na terapię, a jednocześnie popełniali zbrodnie. U obu nie dostrzeżono żadnych niepokojących objawów, zdaniem terapeutów obaj wykazywali wręcz „postępy”.

Problem w tym, jak sądzę, że takie decyzje podejmują młodzi psychiatry, psychologowie i pracownicy opieki społecznej, którzy mają idealistyczne podejście do zawodu, ponieważ na studiach wpojono im przekonanie o niezwykłych mocach terapeuty. Później w więzieniu spotykają ludzi pokroju Vandy i chcą mieć poczucie, że ich zmienili. Często nie rozumieją, że mają do czynienia z ludźmi, którzy sami są specjalistami w ocenianiu innych! Skazaniec potrafi szybko rozpoznać, czy lekarz się przygotował, a jeśli widzi, że nie, zaczyna pomniejszać znaczenie popełnionej przez siebie zbrodni i krzywdy wyrządzone ofiarom. Niewielu zbrodniarzy dobrowolnie opowie o kluczowych momentach swojej przeszłości komuś, kto nie zadał sobie trudu, aby o nich samemu przeczytać. Z tego powodu przywiązywaliśmy ogromną wagę do starannego przygotowania się do rozmów.

Lekarz Thomasa Vandy, podobnie jak wielu jego kolegów, nie chciał uprzedzać się do przestępców, zapoznając się z makabrycznymi wydarzeniami z ich przeszłości. Ale – jak zawsze powtarzam podczas wykładów – jeżeli ktoś chce zrozumieć Picassa, musi poznać jego obrazy. Kto chce poznać osobowość zbrodniarza, musi zapoznać się z popełnionymi przez niego przestępstwami.

Normalnie psychoterapeuci wychodzą od osobowości i na jej podstawie wnioskuje o zachowaniach. Ja i moi ludzie zaczynamy od zachowań i na ich podstawie wnioskuje o osobowości.

Istnieje oczywiście wiele perspektyw w różny sposób ujmujących kwestię odpowiedzialności przestępców. Psycholog doktor Stanton Samenow (wraz z nieżyjącym psychiatrą doktorem Samuelem Yochelsonem) przeprowadził pionierskie badania nad zachowaniami przestępców w Szpitalu św. Elżbiety w Waszyngtonie. Wiele lat bezpośrednich analiz różnorodnych przypadków skłoniło go do zanegowania większości przekonań, które żywił, przystępując do tego projektu. We wnikliwej książce *Inside the Criminal Mind* (W umyśle przestępcy) Samenow napisał: „Przestępcy myślą inaczej niż ludzie żyjący praworządnie”. Zachowania przestępcze, twierdzi Samenow, nie wynikają z zaburzeń psychicznych, ale raczej z defektów charakterologicznych.

Nasz częsty współpracownik doktor Park Dietz twierdzi: „Żaden z seryjnych morderców, których miałem okazję poznać lub zbadać, nie został formalnie uznany za niepoczytalnego, ale też żadnego z nich nie uznałbym za normalnego. Wszyscy cierpieli na różnego rodzaju zaburzenia psychiczne związane z preferencjami seksualnymi i charakterem. Ludzie ci mieli świadomość swoich czynów, mieli świadomość czynionego przez siebie zła, a mimo to decydowali się te czyny popełniać”.

Należy pamiętać, że niepoczytalność jest kategorią prawną, a nie medyczną lub psychiatryczną. Nie oznacza wcale, że dana osoba jest „chora”, tylko że nie jest odpowiedzialna za swoje czyny.

Jeżeli zatem jesteście gotowi uwierzyć w niepoczytalność kogoś takiego jak Thomas Vanda, proszę bardzo. Można zapewne przedstawić zasadne argumenty na poparcie tej tezy. Kiedy jednak uważnie zbadamy wszystkie okoliczności, musimy dojść do wniosku, że cokolwiek dolega Thomasom Vandom tego świata, nie sposób ich z tego wyleczyć. Gdybyśmy zaakceptowali ten wniosek, nie wypuszczalibyśmy ich tak szybko na wolność, a oni nie mogliby wracać do zbrodniczej działalności. Przypominam – morderstwo, za które Vanda odsiadywał wyrok, nie było jego pierwszym.

Ostatnio wiele się mówi w kryminalistyce o kategorii niepoczytalności, ale

to nic nowego. Debata ta ma w angloamerykańskim prawodawstwie kilkusetletnią tradycję, której początki sięgają szesnastowiecznego dzieła *Eirenarcha: or Of the Office of the Justices of Peace* (Eirenarcha albo O urzędzie sędziów pokoju) autorstwa Williama Lambarde'a.

Pierwszym przypadkiem systematycznego opisanie kategorii niepoczytalności jako środka obrony przed zarzutami karnymi jest Reguła M'Naghtena z 1843 roku, nazwana od Daniela M'Naghtena (nazwisko to bywa zapisywane niekiedy jako McNaughten lub McNaghten), który próbował zabić brytyjskiego premiera sir Roberta Peela, ale ostatecznie zastrzelił tylko jego prywatnego sekretarza. Tak na marginesie, Peel był twórcą londyńskiej policji i na jego cześć jej funkcjonariusze do dziś nazywani są *bobbies**.

Na wieść o uniewinnieniu McNaghtena wśród opinii publicznej zapanowało tak wielkie wzburzenie, że przewodniczący Sądu Najwyższego został wezwany przed Izbę Lordów, aby wyjaśnić sens reguły. W istocie stwierdza ona, że oskarżony jest niewinny, jeśli stan psychiczny uniemożliwia mu dostrzeżenie nielegalności swoich poczynań lub zrozumienie ich natury i właściwości. Chodzi o to, czy oskarżony potrafi odróżnić dobro od zła.

W miarę upływu lat doktryna o niepoczytalności przekształciła się w „test przemożnego impulsu”, który stwierdzał, że oskarżony jest niewinny, jeśli z powodu choroby umysłowej nie panował nad sobą lub nie potrafił postępować zgodnie z prawem.

Kategoria została gruntownie przemodelowana w 1954 roku na mocy orzeczenia sądu apelacyjnego pod przewodnictwem Davida Bazelona w sprawie Durham kontra Stany Zjednoczone, w którym stwierdzono, że oskarżony nie ponosi odpowiedzialności karnej, jeśli popełnione przez niego przestępstwo jest „wynikiem psychicznej choroby lub upośledzenia” i jeśli nie popełniłby tego przestępstwa, gdyby nie cierpiał na tę chorobę lub upośledzenie.

Kazus Durham, który definiował poczytalność niezwykle szeroko i w praktyce pomijał rozróżnienie na dobro i zło, nie był specjalnie popularny

w kręgach stróżów prawa oraz wśród wielu sędziów i prokuratorów. W 1972 roku, w innej sprawie przed sądem apelacyjnym, Stany Zjednoczone kontra Brawner, została zastąpiona Wzornikiem Kodeksu Karnego (Model Penal Code Test) przygotowanym przez Amerykański Instytut Prawa, który oznaczał powrót do Reguły M’Naghtena i przemożnego impulsu. Stwierdzono, że upośledzenie umysłowe musi pozbawiać oskarżonego zasadniczej zdolności do rozumienia bezprawności czynów albo dostosowania postępowania do wymogów prawa. Różne wersje tego testu zdobywają coraz większą popularność w sądach.

Niezależnie od wyników debaty na temat niepoczytalności, która często sprowadza się do rozważań, ile aniołów zmieści się na główce od szpilki, musimy się według mnie uporać z jeszcze bardziej fundamentalnym zagadnieniem – stopniem zagrożenia.

Jedną z klasycznych potyczek w trwającej wojnie psychiatrów był proces seryjnego mordercy Arthura J. Shawcrossa, który odbył się w 1990 roku w Rochester w stanie Nowy Jork. Shawcross został oskarżony o zamordowanie wielu miejscowych prostytutek i bezdomnych, których zwłoki znajdowano na zalesionych terenach oraz w okolicy przełomu rzeki Genesee. Później ciała nosiły ślady okaleczenia po śmierci.

Po sporządzeniu szczegółowego i – jak się później okazało – niezwykle trafnego profilu Gregg McCrary przeanalizował ewolucję zachowań niezidentyfikowanego sprawcy. Kiedy znalaziono okaleczone zwłoki, Gregg zrozumiał, że morderca wraca na miejsca, w których porzucał ciała, by spędzić trochę więcej czasu ze swoimi ofiarami. Namówił policję, aby przeczesała okoliczne lasy w poszukiwaniu zwłok jednej z zaginionych kobiet, której jeszcze nie odnaleziono. Gdyby im się to udało, mogliby poddać to miejsce dyskretnej obserwacji. Gregg był pewien, że morderca prędzej czy później się tam zjawi.

Po kilku dniach poszukiwań prowadzonych z powietrza policja stanowa natrafiła na zwłoki w strumieniu Salmon przy autostradzie stanowej numer 31.

Akurat wtedy inspektor John McCaffrey zauważył mężczyznę w samochodzie zaparkowanym na moście spinającym brzegi strumienia. Wezwane patrole policji stanowej i miejskiej podążyły za nim i w ten sposób zatrzymano Arthura Shawcrossa.

Podczas przesłuchania przeprowadzonego przez zespół, któremu przewodzili Dennis Blythe z policji stanowej i Leonard Boriello z policji w Rochester, Shawcross przyznał się do kilku zbrodni. Kluczową kwestią roztrąsaną podczas relacjonowanego szczegółowo w mediach procesu o dziesięciokrotne morderstwo była ewentualna niepoczytalność oskarżonego w trakcie popełniania zbrodni.

Obrona wezwała na świadka doktor Dorothy Lewis, znaną psychiatrę ze szpitala Bellevue w Nowym Jorku, autorkę ważnych badań na temat wpływu przemocy na dzieci. Lewis doszła do wniosku, że zachowania przestępcze są w większości, jeśli nie wyłącznie, skutkiem dzieciństwa pełnego przemocy lub innej traumy z najmłodszych lat oraz schorzenia fizycznego lub organicznego, na przykład epilepsji, urazu lub rany, cysty albo guza. Najbardziej znanym przypadkiem potwierdzającym tę hipotezę był Charles Whitman, dwudziestopięcioletni student politechniki, który wspiął się na wieżę zegarową University of Texas w Austin w 1966 roku i zaczął strzelać do przechodniów. Zanim policja zdążyła otoczyć wieżę i go zabić, minęło dziewięćdziesiąt minut. W tym czasie Whitman zastrzelił szesnaścioro mężczyzn i kobiet oraz ranił trzydzieści osób. Przed tym wydarzeniem skarżył się na napady morderczych myśli. Kiedy lekarze przeprowadzili sekcję włok, znaleźli guz w płacie skroniowym mózgu.

Czy guz spowodował tragiczne w skutkach zachowanie Whitmana? Nigdy się tego nie dowiemy, niemniej Lewis chciała zademonstrować ławie przysięgłych, że za sprawą małej, niegroźnej cysty (wykrytej w płacie skroniowym Shawcrossa podczas badania rezonansem magnetycznym), a także odmiany epilepsji, którą określiła mianem „stanu napadu częściowego

złożonego”, nerwicy pourazowej z Wietnamu oraz – jak twierdziła – poważnego fizycznego i seksualnego wykorzystywania w dzieciństwie przez matkę Arthur Shawcross nie ponosił odpowiedzialności za akty brutalnej przemocy. Zeznała, że gdy mordował kolejne kobiety, znajdował się w stanie swoistej amnezji – wszystkie epizody pamiętał jak przez mgłę albo w ogóle nie potrafił ich odtworzyć w pamięci.

Jedną ze słabości tego rozumowania było to, że choć od morderstw minęło kilka tygodni i miesięcy, Shawcross opisał je w najdrobniejszych szczegółach Boriello i Blythe’owi, a nawet zaprowadził ich w miejsca porzucenia ciał kilku ofiar, których policja nie zdołała znaleźć. Zapamiętał wszystko tak dokładnie zapewne dlatego, że nieustannie wyobrażał sobie przebieg każdego morderstwa.

Zatroszczył się ponadto o zniszczenie niektórych dowodów, aby policja nie mogła go zidentyfikować. Po aresztowaniu napisał list do swojej dziewczyny (miał też żonę), w którym wyrażał nadzieję na skuteczność obrony przez powołanie się na niepoczytalność, ponieważ odsiedzenie wyroku w szpitalu psychiatrycznym byłoby znacznie łatwiejsze od więzienia.

Shawcross bez wątpienia wiedział, o czym mówi. Problemy z prawem zaczął mieć w 1969 roku, kiedy skazano go za włamanie i podpalenie w Watertown, mieście położonym na północ od Syracuse. Niecały rok później został ponownie aresztowany i przyznał się do uduszenia chłopca i dziewczynki, którą dodatkowo molestował seksualnie. Został skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia, ale wyszedł warunkowo po piętnastu. Właśnie dlatego, jak wspomniałem wcześniej, wiek był jedynym nietrafionym elementem profilu przygotowanego przez Gregga McCrary’ego. Piętnaście lat spędzonych w pudle było dla Shawcrossa okresem hibernacji.

Przeanalizujmy sprawę punkt po punkcie. Gdybyście zapytali mnie albo któregoś z wielu tysięcy gliniarzy, prokuratorów i agentów federalnych, z którymi współpracowałem w trakcie mojej kariery, odpowiedzialibyśmy identycznie: już dwadzieścia pięć lat więzienia za pozbawienie życia dwójki

dzieci to nieprzyzwoicie niska kara, a jeśli ktoś wypuścił gościa wcześniej, musiał przyjąć jedno z dwóch wykluczających się założeń.

Założenie pierwsze: mimo paskudnego dzieciństwa, mimo dorastania w dysfunkcyjnej rodzinie, mimo rzekomego molestowania przez matkę, braku porządnego wykształcenia, stosowania przemocy w przeszłości i wszystkiego innego pobyt w więzieniu był tak wspaniałym, uświadamiającym i resocjalizującym doświadczeniem, że Shawcross doznał olśnienia, zrozumiał błędy przeszłości, a dzięki pozytywnym przykładom, jakich się tam naoglądał, postanowił rozpocząć nowy rozdział w życiu i od tej pory być przestrzegającym prawa obywatelem.

Jeśli to wyjaśnienie was nie przekonuje, może bardziej przypadnie wam do gustu założenie numer dwa: życie w więzieniu było takim koszmarem, dostarczało mu regularnie tylu nieprzyjemności i traumatycznych przeżyć, było tak potwornie wyczerpujące, że mimo negatywnych wzorców wyniesionych z domu i nieustającego pragnienia, aby gwałcić i mordować dzieci, postanowił, że nigdy nie wróci do więzienia i jest gotów wszystko poświęcić w imię tego celu.

Zgoda, to wyjaśnienie jest równie niewiarygodne. Problem w tym, że jeśli odrzucimy oba założenia, to na jakiej, do diabła, podstawie chcemy wypuścić kogoś takiego, skoro podejrzewamy, że zamorduje ponownie?

Nie ulega wątpliwości, że mordercy należący do niektórych kategorii statystycznie częściej dopuszczają się recydywy niż inni. Jeśli chodzi o brutalnych seryjnych morderców powodowanych motywem seksualnym, zgadzam się z doktorem Parkiem Dietzem, że „trudno sobie wyobrazić okoliczności uprawniające do wypuszczenia ich na wolność”. Ed Kemper, który jest znacznie inteligentniejszy i rozumie siebie znacznie lepiej niż większość morderców, z jakimi rozmawiałem, szczerze przyznaje, że nie powinien opuścić murów więzienia.

Lekceważenie tej reguły doprowadziło do zbyt wielu przerażających

zdarzeń. Richard Marquette, który w dwudziestym trzecim roku życia miał już na koncie szereg zakłóceń porządku publicznego, próbę gwałtu i napaść z pobiciem, zaczął gwałcić, mordować i okaleczać ofiary sprowokowany nieudany kontakt seksualny z kobietą, którą poderwał w barze w Portland. Zbiegł, trafił na listę najbardziej poszukiwanych przestępców FBI i w końcu został aresztowany w Kalifornii. Został uznany za winnego morderstwa pierwszego stopnia i skazany na dożywocie. Kiedy wypuszczono go warunkowo po dwudziestu latach, zabił i pokroił na kawałki dwie kobiety. Ponownie trafił za kratki. Na litość boską, na podstawie jakich przesłanek członkowie komisji decydującej o zwolnieniach warunkowych uznali, że ten człowiek nie stanowi już zagrożenia?

Nie mogę wypowiadać się w imieniu całego FBI, Departamentu Sprawiedliwości ani żadnej innej osoby, ale sam wolałbym mieć na sumieniu przetrzymywanie w więzieniu mordercy, który po wyjściu na wolność może ponownie kogoś zabić, niż śmierć niewinnej kobiety, niewinnego mężczyzny czy niewinnego dziecka – jego ofiary.

To bardzo amerykańska cecha – myśleć, że sprawy idą ku lepszemu, że zawsze może być lepiej, że człowiek jest w stanie osiągnąć każdy cel. Im więcej zdobywam doświadczeń, tym bardziej wątpię w resocjalizację niektórych typów przestępców. Wielu ma za sobą koszarne dzieciństwo, a powstałe w tamtym okresie skazy bywają niemożliwe do naprawienia. W przeciwieństwie do tego, co twierdzą niektórzy sędziowie, adwokaci i pracownicy zakładów dla umysłowo chorych, dobre zachowanie w więzieniu niekoniecznie jest wskaźnikiem przyzwoitego zachowania poza jego murami.

Shawcross był ze wszech miar modelowym więźniem – spokojnym, skrytym, posłusznym, niekonfliktowym – jak wszakże próbowaliśmy desperacko uświadomić pracownikom systemu więziennictwa i psychologom sądowym, stopień zagrożenia, jaki stwarza przestępca, zależy od kontekstu. Jeżeli przetrzymujemy kogoś w uporządkowanym otoczeniu i podejmujemy za

niego wszystkie decyzje, zapewne będzie się zachowywał normalnie. Kiedy wypuścimy go z powrotem do środowiska, w którym wcześniej stwarzał problemy, jego zachowanie może się szybko zmienić.

Za ilustrację niech posłuży przypadek Jacka Henry'ego Abbota, mordercy i autora książki *In the Belly of the Beast* (W trzewiach bestii), poruszającego i wnikliwego opisu więziennego życia. Doceniając jego niezwykły talent literacki i wychodząc z założenia, że osoba tak wrażliwa i spostrzegawcza musiała pomyślnie przejść proces resocjalizacji, tuż świata literackiego pokroju Normana Mailera rozpoczęły kampanię na rzecz warunkowego zwolnienia Abbota z więzienia. Mężczyzna stał się bożyszczem Nowego Jorku. Kilka miesięcy później zabił kelnera, z którym wdał się w sprzeczkę w Greenwich Village.

Al Brantley, były wykładowca nauk behawioralnych, a obecnie członek Jednostki Wsparcia Dochodzeń, powiedział podczas jednego z wykładów Narodowej Akademii: „Najlepszym wskaźnikiem przyszłych zachowań, w szczególności przyszłych zachowań agresywnych, jest historia wcześniejszych zachowań agresywnych”.

Nikt nie ważyłby się twierdzić, że Arthur Shawcross choćby w niewielkim stopniu dorównywał błyskotliwością i talentem Jackowi Henry'emu Abbotowi, niemniej – podobnie jak tamten – zdołał przekonać więzienną komisję, że zasługuje na skrócenie kary. Po wyjściu na wolność osiadł początkowo w Binghamton, ale rozjuszeni mieszkańcy wszczęli protesty, więc wyprowadził się po dwóch miesiącach. Został przeniesiony do zapewniającej większą anonimowość aglomeracji Rochester, gdzie dostał pracę przy produkcji sałatek w firmie cateringowej. Rok później zabił ponownie – ofiara różniła się od poprzednich, ale równie łatwo sobie z nią poradził. Badając Shawcrossa, Dorothy Lewis wprowadziła go kilkakrotnie w stan hipnozy i kazała mu się „cofnąć” do wcześniejszych etapów życia. Opisał między innymi przypadki molestowania przez matkę, która wpychała mu głęboko w odbytnicę od

miotły. Na nagraniach tych sesji widać, jak Shawcross wciela się w inne osoby, w tym swoją matkę – scena ta przywodzi na myśl *Psychozę*. (Matka Shawcrossa zaprzeczyła, że kiedykolwiek molestowała syna, i nazwała go kłamcą).

Podczas pracy w szpitalu Bellevue Lewis udokumentowała fascynujące przypadki rozszczepienia osobowości u dzieci, ofiar molestowania. Ze względu na młody wiek trudno podejrzewać, aby udawały. Lewis wykazała wszakże w ten sposób, że rzadkie przypadki rozszczepienia osobowości rozpoczynają się we wczesnym dzieciństwie, często jeszcze w okresie prewerbalnym. Przypadki rozszczepienia osobowości u dorosłych występują chyba wyłącznie u osób oskarżonych o morderstwo, które – tak się jakoś dziwnie składa – nigdy wcześniej nie cierpiały na to schorzenie. Kenneth Bianchi, jeden z pary kuzynów, którzy w latach siedemdziesiątych XX wieku popełnili w San Francisco morderstwa nazwane sprawą Dusiciela ze Wzgórza, twierdził po aresztowaniu, że cierpi na rozszczepienie osobowości. John Wayne Gacy przyjął podobną linię obrony.

(Lubię żartować, że zgodziłbym się na wypuszczenie na wolność niewinnych osobowości człowieka cierpiącego na tę chorobę, pod warunkiem że mógłbym zapuszkować tę jedną odpowiedzialną za przestępstwo).

W procesie Shawcrossa główny prokurator Charles Siragusa, który odwalił kawał dobrej roboty, wezwał na świadka Parka Dietza. Ten przebadał wcześniej Shawcrossa równie dokładnie jak Dorothy Lewis, uzyskując od oskarżonego wiele szczegółowych informacji na temat morderstw. Choć postawił znak zapytania przy historii o molestowaniu, uważał ją za prawdopodobną, choć jego zdaniem Shawcross nie cierpiał na urojenia. Dietz nie dopatrywał się symptomów świadczących o zanikach pamięci lub jej utracie, nie znalazł zależności między zachowaniem i dolegliwościami neurologicznymi, a w podsumowaniu stwierdził, że niezależnie od wszelkich psychicznych czy emocjonalnych problemów Shawcross rozumiał różnicę między dobrem i złem, a decyzje o zabiciu innego człowieka podejmował całkowicie świadomie. Uczynił to co

najmniej dziesięciokrotnie.

Kiedy Len Boriello zapytał Shawcrossa, dlaczego mordował kobiety, ten odpowiedział krótko: „Robiłem, co trzeba”.

Prawdziwi psychotycy – ludzie całkowicie oderwani od rzeczywistości – rzadko popełniają poważne zbrodnie, a kiedy już to zrobią, zazwyczaj są tak niezorganizowani i przywiązują tak niewielką wagę do ukrycia własnej tożsamości, że szybko wpadają w ręce policji. Psychotykiem był Richard Trenton Chase, który mordował kobiety, ponieważ uważał, że potrzebuje ich krwi. Kiedy nie miał gdzie zdobyć ludzkiej krwi, zadowalał się zwierzęcą. W zakładzie dla obłąkanych łowił króliki, upuszczał im krew i wstrzykiwał ją sobie w ramię. Łapał też małe ptaki, odgryzał im głowy i wysysał z korpusów krew. Ten człowiek naprawdę był chory psychicznie, ale jeśli ktoś potrafi wodzić za nos policję, musi być naprawdę dobry w swoim fachu. Nie należy mylić psychopaty z psychotykiem.

Podczas procesu Shawcross zachowywał stoicki spokój i siedział nieruchomo niczym katatonik, zupełnie jakby znajdował się w transie i nie rozumiał, co się wokół niego dzieje. Policjanci i szeryfowie federalni, którzy go pilnowali i doprowadzali z aresztu na salę rozpraw, opowiadali, że gdy tylko zniknął z pola widzenia ławy przysięgłych, rozluźniał się, zaczynał gadać, a czasami nawet dowcipkował. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak wiele zależy od przekonania ławników do tezy o niepoczytalności.

Jednym z najinteligentniejszych, najbardziej zaradnych i – muszę przyznać – najbardziej czarujących kryminalistów, z którymi miałem okazję przeprowadzić wywiad w ramach naszych badań, był Gary Trapnell. Większą część dorosłego życia spędził, odsiadując wyroki za różne przestępstwa. Kiedyś przekonał młodą kobietę, aby wysłała helikopter, który miał wylądować na więziennym dziedzińcu i go stamtąd zabrać. Na początku lat siedemdziesiątych Trapnell porwał samolot. Maszyna stała na lotnisku, a on negocjował warunki uwolnienia zakładników. W pewnej chwili podniósł w górę pięść i krzyknął w stronę kamer:

– Uwolnić Angelę Davis!

– „Uwolnić Angelę Davis”? O co chodzi z tym „uwolnić Angelę Davis”? – pytali zdumieni stróże prawa, którzy prowadzili wtedy jego sprawę.

Żaden element przeszłości Trapnella nie wskazywał, aby miał sympatyzować z radykalnie lewicowymi poglądami młodej afroamerykańskiej profesorki z Kalifornii. Jego przestępstwa nigdy wcześniej nie miały podtekstu politycznego, a teraz ni stąd, ni zowąd zażądał uwolnienia Angeli Davis? Gość najwyraźniej postradał zmysły. Inaczej nie dało się tego wyjaśnić.

Kiedy zapytałem o sens tego żądania podczas naszej rozmowy w federalnym zakładzie karnym w Marion w stanie Illinois, powiedział mniej więcej coś takiego:

– Zrozumiałem, że już się z tego nie wywinę. Wiedziałem, że czeka mnie długie więzienie. Pomyślałem, że jeśli wyrobię sobie u czarnych braci opinię więźnia politycznego, istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, że zostanę zgwałcony pod prysznicem.

Trapnell zachował się nie tylko całkowicie racjonalnie, ale przewidywał przyszłe skutki swoich działań, co można wręcz uznać za przeciwieństwo obłądu. Napisał nawet wspomnienia zatytułowane *The Fox Is Crazy Too* (A poza tym lis jest szalony). Wyjaśnienie sensu żądania uwolnienia Angeli Davis stanowiło dla nas niezwykle cenną informację z punktu widzenia sztuki prowadzenia negocjacji. Kiedy porywacz niespodziewanie przedstawia jakieś zupełnie odjechane żądanie, może to oznaczać, że myśli już o kolejnym etapie, a negocjator powinien stosownie do tego zmienić taktykę.

Trapnell powiedział mi jeszcze coś niezwykle interesującego. Twierdził, że gdybym wręczył mu najnowsze wydanie *DSM, Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders* (*Diagnostycznego i statystycznego podręcznika zaburzeń umysłowych*) i wybrał jedną z opisanych tam chorób, po upływie jednego dnia potrafiłby wmówić każdemu psychiatrze, że na nią cierpi. Owszem, Trapnell był znacznie bardziej łebski od Shawcrossa, ale nie trzeba

specjalnej wyobraźni, aby przewidzieć, że przekonanie więziennego psychiatry o znaczącej poprawie i braku zainteresowania molestowaniem małych chłopców zwiększa szanse na zwolnienie warunkowe. Jest też oczywiste, że ława przysięgłych prędzej uwierzy w zapewnienia o zanikach pamięci, jeśli oskarżony będzie sprawiał wrażenie człowieka pogrążonego w transie.

Przez wiele lat społeczność stróżów prawa próbowała szukać w *DSM* wskazówek, jak odróżnić poważne zaburzenia umysłowe, niemniej większość z nas doszła do wniosku, że użyteczność tego podręcznika w naszym zawodzie jest mocno ograniczona. Był to jeden z powodów, dla których napisałem opublikowany w 1992 roku *Crime Classification Manual* (Podręcznik klasyfikacji przestępstw). Zasadniczą strukturę książki zaczerpnąłem z mojej rozprawy doktorskiej, a współautorami byli Bob Ressler, Ann Burgess i jej mąż Allen, profesor zarządzania w Bostonie. Współpracowali z nami inni członkowie Jednostki Wsparcia Dochodzeń i Jednostki Nauk Behawioralnych, między innymi Greg Cooper, Roy Hazelwood, Ken Lanning, Gregg McCrary, Jud Ray, Pete Smerick i Jim Wright.

W *CCM* postanowiliśmy sklasyfikować poważne przestępstwa według ich cech behawioralnych i opisać je z perspektywy całkowicie odmiennej niż ta przyjmowana w podejściu czysto psychologicznym, jak w *DSM*. Nie znajdziecie w *DSM* typu morderstwa, o które został oskarżony O.J. Simpson, ale znajdziecie go w *CCM*. Naszym celem było uporządkowanie dowodów behawioralnych w taki sposób, by organy ścigania i prawnicy mogli łatwo odróżnić istotne okoliczności przestępstwa od tych mniej ważnych.

Oskarżony zrobi oczywiście wszystko, byle tylko uniknąć odpowiedzialności za swoje czyny. Jednym z wielu czynników, które zdaniem obrońców Shawcrossa spowodowały u niego niepoczytalność, był zespół stresu pourazowego z Wietnamu. Po sprawdzeniu okazało się, że Showcrass nie uczestniczył w żadnej bitwie. Nie był to jednak pierwszy taki przypadek. Na ten argument powoływano się wcześniej wielokrotnie. Duane Samples, który

w nocy 9 grudnia 1975 roku wypruł wnętrzości dwóm kobietom w Silverton w Oregonie, powołał się w czasie procesu na zespół stresu pourazowego. Jedna z ofiar przeżyła, ale widziałem ich zdjęcia – kobiety wyglądały, jakby przeprowadzono na nich sekcję zwłok. Robert Ressler ustalił, że Samples nie brał udziału w walkach. Dzień przed morderstwem Samples opisał w liście żywioną od dawna fantazję rozpruwania nagich ciał pięknych kobiet.

W 1981 roku Ressler pojechał do Oregonu, aby pomóc prokuratorom w przekonaniu gubernatora, by nie pozwolił na zwolnienie warunkowe Samplesa. Misja zakończyła się sukcesem, choć do zwolnienia ostatecznie doszło dziesięć lat później.

Czy Samples jest poczytalny? A może był czasowo niepoczytalny, kiedy rozcinał obie kobiety? W naturalnym odruchu chciałoby się powiedzieć, że człowiek dopuszczający się tak straszliwego, perwersyjnego czynu musi być poważnie „chory”. Byłbym nawet gotów się z tym zgodzić. Ale czy Samples wiedział, że robi coś niewłaściwego? A jeśli tak, to czy dokonał dobrowolnego wyboru? Według mnie są to ważne pytania.

Proces Arthura Shawcrossa przed sądem w Rochester trwał ponad pięć tygodni. Prokurator Siragusa demonstrował głębsze i pełniejsze zrozumienie psychiatrii kryminalistycznej niż w zasadzie wszyscy znani mi lekarze, a transmitowany od początku do końca proces uczynił go bohaterem lokalnej społeczności. Po wygłoszeniu mów końcowych ława przysięgłych udała się na obrady. Po niecałym dniu powróciła z wyrokiem uznającym Shawcrossa za winnego morderstwa drugiego stopnia we wszystkich przypadkach. Sędzia dopilnował, aby skazany nie miał okazji do powtórnego popełnienia zbrodni, skazując go na dożywocie z możliwością warunkowego zwolnienia po dwustu pięćdziesięciu latach.

Dochodzimy w ten sposób do kolejnego zagadnienia związanego z obroną przez powołanie się na niepoczytalność. Wiele osób nie zdaje sobie sprawy, że ławy przysięgłych nie przepadają za tym argumentem i nieczęsto dają się

przekonać.

Jak sądzę, z dwóch powodów. Po pierwsze, trudno uwierzyć, że ktoś mający na koncie kilka zabójstw za każdym razem odczuwał tak przemożną potrzebę mordy, aby nie potrafił się przed nim powstrzymać. Chciałbym nadmienić, że nie słyszałem o żadnym seryjnym mordercy, który odczułby choć raz nieodparty przymus zabijania w towarzystwie umundurowanego policjanta.

Po drugie, kiedy ława przysięgłych w końcu przetrawi wszystkie akademickie rozważania na temat psychiki oskarżonego i zaczyna się zastanawiać, co zrobić z oskarżonym, ławnicy instynktownie wyczuwają, że gość jest niebezpieczny. I nie ma wtedy znaczenia, co prawi obywatele Milwaukee sądzą o poczytalności lub niepoczytalności Jeffreya Dahmera. Wątpię, aby byli gotowi powierzyć przyszłość oskarżonego (a co za tym idzie, przyszłość lokalnej wspólnoty) zakładowi dla umysłowo chorych o wątpliwych procedurach bezpieczeństwa i kryteriach oceny pacjentów. Jeśli poślą go do więzienia, prawdopodobnie skutecznie zabezpieczą się przed ewentualnym zagrożeniem.

Nie sugeruję, że większość psychiatrów i pracowników zakładów dla umysłowo chorych marzy o wypuszczaniu niebezpiecznych przestępców na wolność i umożliwianiu im wyrządzania krzywdy kolejnym ofiarom. Z mojego doświadczenia wynika po prostu, że ludzie ci najczęściej nie dysponują wystarczającą wiedzą praktyczną pozwalającą im na podejmowanie odpowiedzialnych decyzji w tej sprawie. Nawet jeśli mieli w przeszłości kontakt z medycyną sądową, ich wiedza ma często charakter wycinkowy, a to przecież na jej podstawie podejmują później decyzje.

Jedna z moich pierwszych spraw w roli profilerki dotyczyła morderstwa popełnionego na starszej kobiecie Annie Berliner w jej domu w Oregonie. Policja poprosiła psychologa klinicznego o stworzenie profilu niezidentyfikowanego sprawcy. Na ciele kobiety znaleziono między innymi cztery głębokie rany kłute zadane ołówkiem w klatkę piersiową. Psycholog

przeprowadził wcześniej kilkadziesiąt rozmów z mężczyznami oskarżonymi o zabójstwo lub skazanymi z tego zarzutu. Korzystając z tych doświadczeń, uznał, że sprawca przebywał przez dłuższy czas w więzieniu, prawdopodobnie za handel narkotykami, ponieważ jedynie tam zaostrożony ołówek uchodzi za broń służącą do zabijania. Jego zdaniem zwykłemu człowiekowi nie przyszłoby do głowy, aby zaatakować kogoś ołówkiem.

Kiedy policja skontaktowała się ze mną, przedstawiłem całkowicie odmienny profil sprawcy. Wiek i bezbronność ofiary, zadanie przesadnej liczby ciosów, popełnienie przestępstwa w biały dzień oraz brak śladów kradzieży wskazywały moim zdaniem na niedoświadczonego, młodocianego napastnika. Nie sądziłem, aby zastanawiał się nad doborem takiej, a nie innej broni. Zobaczył ołówek i go użył. Ostatecznie mordercą okazał się szesnastolatek, który przyszedł do domu ofiary z prośbą o wsparcie finansowe jakiegoś pochodku, w którym nie miał nawet zamiaru uczestniczyć.

Gdzie tkwił klucz do rozwikłania zagadki? Wszystkie dowody behawioralne z miejsca zbrodni wskazywały na sprawcę o niskim poczuciu własnej wartości i niepewnego siebie. Gdyby były więzień zaatakował staruszkę w jej domu, zachowywałby się dokładnie na odwrót. Trzeba pamiętać, że pojedynczy dowód z miejsca zbrodni (jak negroidalny włos w sprawie Francine Elveson) nie upoważnia do zrekonstruowania wszystkich okoliczności. W przypadku morderstwa Anny Berliner mógł nawet skierować poszukiwania w przeciwnym kierunku.

Najtrudniejsze pytanie, na jakie musimy odpowiadać, dotyczy tego, czy dana jednostka jest lub będzie niebezpieczna. Psychiatrzy słyszą je często w takiej postaci: „Czy będzie stanowiła zagrożenie dla siebie albo innych?”.

Około 1986 roku do FBI dotarła rolka filmu przysłana z Kolorado do wywołania w laboratorium fotograficznym. Zdjęcia przedstawiały mniej więcej trzydziestoletniego mężczyznę w ubraniu maskującym, siedzącego na pokrywie bagażnika samochodu terenowego z karabinem w ręku i z lalką Barbie, którą

poddawał najróżniejszym torturom. Żaden przepis nie zabrania takich zachowań, a ja przewidziałem, że mężczyzna nie był wcześniej notowany. Przestrzegłem, że odgrywanie fantazji na lalce przestanie mu w końcu wystarczać i rozwine się w coś poważniejszego. Na podstawie fotografii nie potrafiłem określić, jak wielką rolę ta fantazja odegra w jego życiu, niemniej biorąc pod uwagę, ile trudu kosztowało go wykonanie fotografii, musiało to być do pewnego stopnia ważne. Na miejscu agentów poddałbym gościa obserwacji i przeprowadził z nim rozmowę. Potencjalnie był groźnym człowiekiem. Wątpię, czy większość psychiatrów orzekłaby w tej sprawie to samo.

Choć ten przypadek może się wydawać dziwaczny, gdy pracowałem w FBI, dotarło do mnie kilka podobnych sygnałów, informacji o ludziach znęcających się nad lalkami Barbie – zawsze dotyczyły dorosłych mężczyzn. Jeden z nich, mieszkaniec Środkowego Zachodu, wbił szpilki w każdy centymetr lalki i zostawił ją na terenie lokalnego szpitala psychiatrycznego. Podobne przypadki wypływają sporadycznie przy okazji spraw satanistów, wudu czy ludzi parających się czarami, ale ten wydał mi się inny. Mężczyzna nie przyczepił do lalki karteczki z imieniem wskazującym, o kogo tak naprawdę chodzi, przejawiał po prostu ogólne skłonności sadystyczne, typowe dla mężczyzn mających poważne problemy w kontaktach z kobietami.

Co jeszcze możemy powiedzieć o takim człowieku? Prawdopodobnie eksperymentował z torturowaniem małych zwierząt, może nawet nadal regularnie to robi. Ma problemy w kontaktach ze swoimi rówieśnikami, mężczyznami i kobietami. W dzieciństwie znęcał się nad młodszymi, mniejszymi dziećmi. Osiągnął albo osiągnie wkrótce etap, kiedy odgrywanie fantazji na lalce przestanie mu wystarczać. Można dyskutować, czy taki mężczyzna jest „chory”, ale w mojej ocenie prawdziwym powodem do niepokoju jest zagrożenie, jakie stwarza dla innych.

Kiedy owo niebezpieczne zachowanie może się objawić? Mamy do czynienia z zakompleksionym nieudacznikiem przekonanym, że wszyscy chcą

wyrządzić mu krzywdę, a nikt nie dostrzega jego prawdziwych zalet. Jeżeli nie wytrzyma natężenia stresu towarzyszącego jego życiu, posunie się dalej w realizacji fantazji. Człowiek, który do tej pory wyżywał się na lalce, nie obierze sobie za cel kogoś z własnej grupy wiekowej, ale osobę młodszą, słabszą lub upośledzoną fizycznie. To tchórz. Nie zaatakuję równego sobie.

Co wcale nie oznacza, że będzie atakował dzieci. Barbie przedstawia dojrzałą kobietę, a nie dwunastolatkę. Nasz gość może być nieźle pokręcony, ale pragnie kontaktów z dojrzałymi kobietami. Gdyby wyżywał się na lalce przedstawiającej dziecko, mielibyśmy do czynienia z zupełnie innym zestawem problemów.

Człowiek, który wbija szpilki w lalkę i zostawia ją w szpitalu, musi mieć olbrzymie problemy w kontaktach z innymi, nie ma prawa jazdy i na pierwszy rzut oka wygląda na dziwaka. Znacznie groźniejszy od niego jest facet w ubraniu maskującym. Ten musi pracować, ponieważ stać go na karabin, samochód terenowy i aparat fotograficzny. Jest mobilny i jest „normalnym” członkiem jakiejś społeczności. Kiedy coś w nim pęknie, jakiś człowiek znajdzie się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Czy uważam, że większość psychiatrów i pracowników służby zdrowia potrafiłaby dokonać tego rozróżnienia? Nie. Brak im odpowiedniej wiedzy lub wyszkolenia. Nie mieli okazji weryfikować stawianych przez siebie diagnoz.

Jednym z kluczowych elementów naszych badań nad seryjnymi mordercami było porównywanie ich wypowiedzi z obiektywnymi faktami. Dzięki temu nie musieliśmy polegać wyłącznie na samoocenie, która w najlepszym razie jest niepełna, a w najgorszym – pozbawiona wartości naukowej. Ocena stopnia zagrożenia ma wiele zastosowań. W piątek 26 kwietnia 1982 roku spotkałem się z agentami służb odpowiedzialnych za ochronę prezydenta Stanów Zjednoczonych w sprawie serii listów wysyłanych od lutego 1979 roku, zawierających groźby śmierci pod adresem prezydenta (w pierwszym liście Jimmy’ego Cartera, w kolejnych Ronalda Reagana) oraz innych polityków.

Pierwszy list przysłano do biura w Nowym Jorku. Autor podpisał się: „Samotny i przygnębiony”. Na dwóch zapisanych odręcznym pismem kartkach wyrwanych z notatnika autor groził, że „zastrzeli prezydenta Cartera lub kogoś innego przy władzy”.

Między lipcem 1981 a lutym 1982 agenci otrzymali osiem kolejnych listów. Trzy wysłano do biura ochrony prezydenta w Nowym Jorku, jeden do nowojorskiego biura FBI, jeden do biura FBI w Waszyngtonie, jeden do „Philadelphia Daily News”, a dwa bezpośrednio do Białego Domu. Odręczne pismo było identyczne jak w liście od Samotnego i przygnębianego, choć teraz ich autor podpisywał się „C.A.T.”. Listy zostały wysłane z Nowego Jorku, Filadelfii i Waszyngtonu. C.A.T. informował o zamiarze zabicia prezydenta Reagana, którego określał mianem „bożego zła” lub „Diabła”. Groźby padły również pod adresem polityków wspierających prezydenta. Autor twierdził, że zamierza wykonać misję, której John Hinckley nie doprowadził do końca.

Pojawiły się kolejne listy – tym razem zaadresowano je do kongresmana Jacka Kempa i senatora Alfonse’a D’Amata. Źródłem szczególnego niepokoju służb specjalnych były dołączone do listów zdjęcia senatora D’Amata i kongresmana Raymonda McGratha z Nowego Jorku. Wykonano je z niewielkiej odległości, co dowodziło, że C.A.T. potrafi podejść na tyle blisko, aby zrealizować swoje groźby. Wreszcie 14 czerwca 1982 roku redaktor naczelny tabloidu „New York Post” otrzymał czternasty list. Autor zapowiedział, że wszyscy poznają jego tożsamość, kiedy już zlikwiduje prezydenta (którego ponownie nazwał Diabłem). Twierdził też, że nikt go nie słucha i wszyscy się z niego śmieją. Dwa ostatnie stwierdzenia specjalnie mnie nie zaskoczyły.

W liście udzielił również gazecie „pozwolenia” na przeprowadzenie z nim wywiadu po wykonaniu historycznej misji. Właśnie na taki sygnał czekaliśmy. C.A.T. był gotów komunikować się z redaktorem naczelnym gazety, być może nawet tego pragnął. Postanowiliśmy spełnić jego życzenie.

Biorąc pod uwagę dobór słownictwa i sformułowań, a także miejsce nadania listów oraz ich adresatów, byłem niemal pewien, że człowiek ten pochodzi z Nowego Jorku. Stworzony przeze mnie profil przedstawiał samotnego białego mężczyznę w wieku dwudziestu pięciu–trzydziestu trzech lat, mieszkającego na peryferiach miasta. Podejrzywałem, że ma przeciętny iloraz inteligencji, ukończył szkołę średnią i może jeszcze jakieś kursy politologii lub literaturoznawstwa. Prawdopodobnie był najmłodszym synem lub jedynakiem. W przeszłości był najpewniej silnie uzależniony od narkotyków i/lub alkoholu, choć teraz korzystał z nich jedynie sporadycznie. Uważa się za nieudacznika, ponieważ zawiódł nadzieje rodziców i innych bliskich osób, a całe jego życie jest naznaczone niewykonanymi zadaniami i niezrealizowanymi celami. W wieku dwudziestu–dwudziestu pięciu lat poddany był ciągłemu stresowi w związku ze służbą wojskową, rozwodem, chorobą lub utratą członka rodziny.

Spekulowano, co może oznaczać akronim C.A.T. Radziłem agentom ochrony prezydenta, aby nie zaprzęтали sobie tym specjalnie głowy, ponieważ te trzy litery mogły zostać dobrane przypadkowo. Często próbujemy doszukiwać się specjalnego znaczenia w każdym szczególe, tymczasem podejrzanemu mogło się po prostu spodobać brzmienie skrótów lub jego graficzny zapis.

Ochrona prezydenta chciała oczywiście wiedzieć, czy autor listów może być naprawdę groźny. Wielu autorów listów z pogroźkami nie zamierza wcale swych gróźb realizować. Wyjaśniłem, że ludzie o takiej osobowości zawsze czegoś poszukują. Zapisują się do organizacji politycznych lub sekt, ale nie znajdują tam rozwiązania swoich problemów. Ludzie uważają ich za dziwaków i nie traktują poważnie, co również nie pomaga w rozwiązaniu problemów. Takie osoby za wszelką cenę chcą nadać swojemu życiu jakiś sens. Wysyłając listy, po raz pierwszy mają poczucie kontroli, a ponieważ zaczyna im się to podobać, podejmują coraz większe (i częściej) ryzyko. A ludzie gotowi na podjęcie ryzyka są niebezpieczni.

Uznałem, że podejrzanemu ma wprawę w posługiwaniu się bronią i wybierze

formę ataku z bliskiej odległości, nawet jeśli pozbawi się w ten sposób możliwości ucieczki. Ze względu na potencjalnie samobójczy charakter misji będzie prowadził pamiętnik, aby potomność poznała jego historię. W odróżnieniu od truciela terroryzującego Chicago tylenolem C.A.T. nie chce pozostać anonimowy. Kiedy strach przed życiem przeważa u niego nad strachem przed śmiercią, spełni swoją groźbę. Tuż przed atakiem będzie sprawiał wrażenie niezwykle spokojnego. Wtopi się w otoczenie. Policjanci i agenci ochrony prezydenta nie zwrócą na niego uwagi, bo będzie wyglądał na zwyczajnego, niestwarzającego zagrożenia człowieka.

Pod pewnymi względami podejrzany przypominał Johna Hinckleya, o którym głośno było wtedy w mediach. Ponieważ wydawało się wręcz, że ma na punkcie Hinckleya obsesję, przypuszczałem, że może przybyć na ogłoszenie wyroku. Zasugerowałem agentom, aby poddali na ten czas obserwacji Ford's Theatre w Waszyngtonie, gdzie zastrzelono Abrahama Lincolna i gdzie Hinckley pojechał tuż przed próbą zamachu na prezydenta Reagana. Poradziłem im również, aby zwrócili uwagę na pobliski hotel, w którym zatrzymał się wtedy Hinckley. Jeżeli ktoś wyrazi specjalne życzenie, aby umieszczono go w tym samym pokoju, będzie to prawdopodobnie C.A.T.

Obsługa hotelu przyznała, że faktycznie ktoś wynajął pokój Hinckleya. Agenci wpadli do środka i pojмали parę starszuchów, którzy przed laty spędzili w tym pokoju noc poślubną i od tego czasu wielokrotnie go wynajmowali.

W sierpniu ochrona prezydenta otrzymała dwa kolejne listy podpisane „C.A.T.” i zaadresowane do „Biura Prezydenta, Waszyngton”. Oba nadano z Bakersfield w Kalifornii, co wzbudziło zaniepokojenie, jako że wielu zabójców przemierza się w ślad za ofiarą. Autor listów napisał: „Będąc zdrowym na ciele i umyśle, podejmuję się zmobilizować tyłu Obywateli Stanów Zjednoczonych, ilu tylko zdołam, do chwycenia za broń i wygnania z mego kraju wrogów wewnętrznych”.

W długiej, paranoicznej tyradzie wspominał o „torturach i Piekło”, przez

które przeszedł. Dopuszczał ewentualność, że zostanie zabity „podczas próby wymierzenia Sprawiedliwości tej kanalii na szczytach władzy”.

Po starannym zapoznaniu się z treścią dwóch nowych listów doszedłem do wniosku, że mamy do czynienia z naśladowcą. Zostały napisane normalnym pismem, a nie drukowanymi literami jak poprzednie, z kolei prezydenta Ronalda Reagana nazywano Ronem, a nie Diabłem czy Starowiną. Uznałem, że autorem jest prawdopodobnie kobieta i mimo że zawarte w listach wyrzuty i groźby są nieprzyjemne, nie ma realnego zagrożenia.

Inaczej miały się sprawy z prawdziwym C.A.T. Za najlepsze rozwiązanie uznałem „taktyczną grę na zwłokę”, czyli podtrzymywanie dialogu z autorem do czasu, aż uda się go zlokalizować. Agent z ochrony prezydenta miał udawać redaktora „New York Post”. Poinstruowaliśmy go, jak ma rozmawiać z autorem listów. Zależało mi przede wszystkim na tym, aby agent go ośmielił i obiecał, że gazeta opíše całą historię. Po wzbudzeniu zaufania w rozmówcy „redaktor” miał zaproponować spotkanie, najlepiej późno w nocy w jakimś odległym miejscu, co miało zasugerować, że dziennikarzowi jeszcze bardziej zależy na utrzymaniu całej sprawy w tajemnicy.

W „New York Post” zamieściliśmy precyzyjnie sformułowane ogłoszenie. C.A.T. odpowiedział i zaczął utrzymywać regularny kontakt telefoniczny z naszym człowiekiem. Podejrzewałem, że dzwoni z jakiegoś dużego budynku użyteczności publicznej, na przykład dworca Grand Central lub Pennsylvania albo biblioteki lub muzeum.

Mniej więcej w tym samym czasie FBI otrzymało kolejną analizę od doktora Murraya Mirona, znakomitego psycholingwisty z Syracuse University, z którym w przeszłości współpracowałem przy badaniach i artykułach poświęconych ocenie zagrożeń. Uważałem go za jednego z najlepszych specjalistów w swojej dziedzinie. Po nawiązaniu przez agenta telefonicznego kontaktu z autorem listów Miron sporządził nową analizę – zmienił zdanie i napisał, że nie uważa już osoby kryjącej się pod pseudonimem C.A.T. za niebezpieczną. Jego zdaniem

mieliśmy do czynienia z głodnym rozgłosu oszustem, którego rajcuje manipulowanie ważnymi figurami ze sfer rządowych. Oczywiście Murray opowiadał się za tym, aby złapać autora listów, ale uważał go za mniej groźnego niż ja.

Naszemu agentowi udało się w końcu przedłużyć rozmowę i umożliwić namierzenie rozmówcy. 21 października 1982 roku drużyna złożona z agentów ochrony prezydenta i FBI zgarnęła go z budki telefonicznej na dworcu Pennsylvania w trakcie rozmowy z „redaktorem”. Dwudziestosiemioletni Alphonse Amodio junior był białym mężczyzną, pochodził z Nowego Jorku i miał wykształcenie średnie.

Agenci FBI i ochrony prezydenta przeszukali jego ciasne, zakaraluzowane mieszkanie we Floral Park pod Nowym Jorkiem. Mieszkająca tam rodzina Amodio sprawiała wrażenie dysfunkcyjnej, a podana przez matkę charakterystyka syna pasowała do profilu. „Nienawidzi świata i ma poczucie, że świat go również nienawidzi”, powiedziała agentom. Wspomniała o huśtawkach nastrojów, które wyzwały w nim agresję. Od lat wycinał z gazet artykuły i miał dwie szafki teczek opatrzone nazwiskami różnych polityków. W dzieciństwie tak bardzo się jąkał, że poszedł do szkoły później, niż powinien. Wstąpił do wojska, ale zdezerterował zaraz po zakończeniu podstawowego szkolenia. Pomijając kilka fragmentów pamiętnika, gdzie określał samego siebie mianem „dachowca”, agenci nie znaleźli logicznego wyjaśnienia podpisu C.A.T.**

Amodio trafił na oddział psychiatryczny szpitala Bellevue. Przed rozpoczęciem procesu sędzia sądu okręgowego David Edelstein poprosił o zdiagnozowanie oskarżonego. Psychiatra z opieki społecznej orzekł, że mężczyzna cierpi na silne zaburzenia emocjonalne, przez co stanowi poważne zagrożenie dla prezydenta i innych przedstawicieli władz.

Amodio potwierdził, że to on był C.A.T. Przesłuchujący go agenci nie dopatrzyli się politycznych motywów w jego działaniach. Zależało mu

wyłącznie na poczuciu władzy i zwróceniu na siebie uwagi.

Dziś z powrotem cieszy się wolnością. Czy nadal jest niebezpieczny? Nie sądzę, aby stanowił bezpośrednie zagrożenie dla kogokolwiek. Niepokojące byłoby dopiero, gdyby odczuwany przez niego stres osiągnął taki poziom, że Amodio nie potrafiłby sobie z nim poradzić.

Na co zwracam uwagę w takich sytuacjach? Przede wszystkim na ton wypowiedzi. Jeśli w kolejnych listach skierowanych do polityka, gwiazdy filmowej, sportowca lub innej osoby publicznej dostrzegam coraz więcej ostrych sformułowań i ponagleń („Nie odpisuje Pan na moje listy!”), zaczynam traktować je poważnie. Dla człowieka o osobowości obsesyjno-kompulsywnej utrzymanie stanu równowagi psychicznej jest niezwykle wyczerpujące emocjonalnie i fizycznie. W końcu dochodzi do załamania nerwowego. Ktoś mógłby oczywiście powiedzieć, że mamy do czynienia z formą choroby psychicznej, mnie jednak bardziej interesuje odpowiedź na pytanie, czy taka osoba jest groźna dla innych.

Choć w ramach naszych badań przeprowadziliśmy wywiady z kilkoma kobietami – między innymi niedoszłymi zabójczyniami z „Rodziny” Mansona, Lynette „Piskliwą” Fromme i Sarah Jane Moore – w raporcie uwzględniliśmy wyłącznie mężczyzn. Choć od czasu do czasu spotykamy się z przypadkami zabójczyń, łatwo zauważyć, że wszyscy seryjni mordercy lub gwałciciele, o których wspominałem w tej książce, to mężczyźni. Nasze badania pokazały, że w zasadzie każdy seryjny morderca pochodzi z dysfunkcyjnego środowiska naznaczonego molestowaniem i przemocą fizyczną, narkotykami i alkoholem oraz pokrewnymi problemami. W takich rodzinach wychowują się również dziewczynki, które zresztą padają ofiarą molestowania i przemocy częściej niż chłopcy. Dlaczego tylko nieliczne w dorosłym życiu dopuszczają się równie potwornych zbrodni jak mężczyźni? Każda sprawa, w której pada podejrzenie, że kobieta jest seryjnym mordercą, jak Aileen Wuornos, oskarżona

o mordowanie mężczyzn przy autostradzie międzystanowej na Florydzie, natychmiast przykuwa uwagę.

Pytając o różnice między płciami, wkraczamy na grząski grunt, ponieważ dostępne badania nie pozwalają na jednoznaczne rozstrzygnięcie tej kwestii. Niektórzy przypuszczają, że ma to bezpośredni związek z poziomem testosteronu oraz innymi czynnikami hormonalnymi i chemicznymi. Z naszych doświadczeń wynika jedynie, że kobiety mają skłonność do internalizacji czynników stresogennych. Nie wyżywają się na innych, a często wymierzają karę samym sobie – nadużywając alkoholu, zażywając narkotyki, prostytuując się lub popełniając samobójstwo. Niektóre przenoszą skłonność do molestowania psychicznego i fizycznego na własne rodziny, jak wydawała się czynić matka Eda Kempera. Wszystko to odbija się negatywnie na zdrowiu psychicznym kobiet, pozostaje jednak faktem, że nie mordują w ten sam sposób co mężczyźni i czynią to znacznie, znacznie rzadziej.

Jak zatem rozstrzygnąć kwestię stopnia zagrożenia? Co robić, by na czas interweniować w przypadkach niezrównoważenia psychicznego lub defektów charakterologicznych? Niestety, nie istnieje prosta odpowiedź na te pytania. W wielu wypadkach porządek i dyscyplinę wymusza nie rodzina, lecz siły ochrony porządku publicznego, ale taka sytuacja jest groźna dla społeczeństwa, ponieważ interwencja jest wtedy zawsze spóźniona. Najlepsze, co możemy zrobić, to zapobiegać jak największej ilości zła.

Jeżeli widzielibyście w tej roli szkołę, to macie wysokie wymagania. Przemęczonym nauczycielom tylko czasami udaje się wyprowadzić na prostą dziecko ze złego środowiska. Mają z nim przecież styczność tylko przez siedem godzin na dobę. Co z pozostałymi siedemnastoma godzinami?

Ludzie pytają często, czy dzięki naszym badaniom i doświadczeniu potrafimy przewidzieć, które dzieci wyrosną na niebezpiecznych ludzi. Roy Hazelwood odpowiada w ten sposób: „Jasne, że tak. Ale potrafi to zrobić również każdy dobry nauczyciel z podstawówki”. Jeżeli zdołamy odpowiednio

wcześnie zastosować odpowiednio mocną terapię, możemy coś zmienić. Nie do przecenienia jest rola dorosłego jako wzoru do naśladowania dla dziecka w okresie formowania się osobowości.

Bill Tafoya, agent specjalny, który w Quantico pełnił funkcję „futrysty”, był zdania, że należałoby reaktywować „Łatwy Początek” (Project Head Start) – jeden z najbardziej efektywnych długofalowych programów zmniejszania przestępczości w historii – i przez co najmniej dziesięć lat angażować w jego funkcjonowanie pieniądze i środki porównywalne z tymi, które wydaliśmy na wojnę w Zatoce Perskiej w 1990 roku. Jego zdaniem rozwiązaniem nie jest zwiększenie liczebności policji, ale stworzenie „armii pracowników opieki społecznej”, którzy pomagaliby znaleźć nowe miejsce do życia żonom maltretowanym przez mężów i bezdomnym rodzinom z dziećmi. Uzupełnieniem programu byłby system ulg podatkowych.

Nie jestem pewien, czy poradzilibyśmy sobie w ten sposób ze wszystkimi problemami, ale bez wątpienia uczynilibyśmy pierwszy, znaczący krok w tym kierunku. Najsmutniejsze jest jednak to, że psychologowie mogą do upadłego obstawać przy swoich teoriach, a moi ludzie wykorzystywać psychologię i nauki behawioralne do łapania przestępców, a i tak wkraczamy do akcji dopiero wtedy, gdy doszło już do tragedii.

* Bob to zdrobnienie od imienia Robert (przyp. tłum.).

** Ang. *cat* – kot (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 19

Czasami to smok wygrywa

Kiedy w lipcu 1982 roku w Green River nieopodal Seattle znaleziono zwłoki szesnastoletniej dziewczynki, nikt nie poświęcił temu zdarzeniu szczególnej uwagi. Do rzeki płynącej od wulkanu Mount Rainier do zatoki Puget trafiało wiele odpadków. Ofiara była młodą prostytutką. Zdarzenie to nabrało wagi dopiero później, gdy 12 sierpnia z rzeki wyłowiono zwłoki kolejnej kobiety, a trzy dni później dalszych trzech. Ofiary były w różnym wieku i należały do różnych ras, ale wszystkie zostały uduszone. Niektóre ciała obciążono, aby nie wypłynęły na powierzchnię. Wszystkie były nagie, a w pochwach dwóch kobiet znaleziono małe kamyki.

Seryjny charakter morderstw był oczywisty i przywołał dręczące wspomnienie ostatniego seryjnego mordercy z terenu Seattle, który w 1974 roku porwał i zabił co najmniej osiem kobiet. Dopiero cztery lata później przystojny i elokwentny młody mężczyzna Theodore Robert Bundy („występujący” pod zdrobnieniem Ted) został aresztowany za serię brutalnych morderstw w siedzibie żeńskiej organizacji studenckiej na Florydzie. Miał za sobą podróż po całym kraju, w czasie której zabił co najmniej dwadzieścia trzy młode kobiety i zapewnił sobie wieczne miejsce w gabinecie potworności naszej zbiorowej psyche.

Śledztwem kierował major Richard Kraske z wydziału śledczego hrabstwa King. Był gotów wykorzystać zdobytą wcześniej przez nas wiedzę i zwrócił się

do FBI z prośbą o pomoc w opracowaniu profilu psychologicznego Mordercy znad Green River. Mimo że śledczy wchodzący w skład nowo utworzonej, międzywydziałowej grupy nie byli zgodni, czy wszystkie sprawy rzeczywiście były ze sobą powiązane, jedno łączyło je bezsprzecznie: ofiary były prostytutkami pracującymi przy Sea-Tac Strip, autostradzie przebiegającej obok międzynarodowego lotniska Seattle-Tacoma. Na policję zaczęły napływać doniesienia o zaginięciach kolejnych młodych kobiet.

We wrześniu Allen Whitaker, szef biura terenowego FBI w Seattle, przyjechał do Quantico na szkolenie i przywiózł ze sobą szczegółową dokumentację pierwszych pięciu spraw. Jak zwykle, gdy potrzebowałem chwili skupienia z dala od pracowników i telefonów, zaszyłem się na najwyższym piętrze biblioteki, gdzie w samotności mogłem wyglądać przez okno (co zawsze jest miłą odmianą dla osób mających biura pod ziemią) i starałem się wniknąć w umysły sprawców oraz ofiar. Poświęciłem mniej więcej cały dzień na zapoznanie się z materiałami – raportami i fotografiami miejsc zbrodni, protokołami sekcji zwłok, charakterystykami ofiar. Były pewne różnice: wiek i rasa ofiar, *modus operandi*, ale podobieństwa wyraźnie wskazywały na jednego sprawcę.

Stworzyłem szczegółowy profil dobrze zbudowanego, zakompleksionego białego mężczyzny, który wykonywał podrzędną robotę nie na miarę własnych ambicji, czuł się pewnie nad rzeką i był całkowicie pozbawiony wyrzutów sumienia. W przeszłości przydarzyły mu się upokarzające doświadczenia z kobietami i postanowił ukarać możliwie największą liczbę przedstawicielek zawodu, który uważał za najbardziej podrzędny. Ostrzegłem policję, że ze względu na naturę zbrodni oraz typ ofiar do profilu będzie pasowało wiele osób. W odróżnieniu od Eda Kempera nie był jednostką wysoce inteligentną. Człowiek ten popełniał mało wyrafinowane zbrodnie wysokiego ryzyka. Policja powinna się skoncentrować na technikach proaktywnych, które sprowokowałyby sprawcę do nawiązania jakiegoś kontaktu z policją. Whitaker zabrał profil

i wyjechał z Quantico.

Jeszcze tego samego miesiąca w położonych przy lotnisku budynkach przeznaczonych do rozbiórki znaleziono ciało młodej kobiety w stanie zaawansowanego rozkładu. Była naga, a wokół szyi miała zawiązaną parę męskich skarpet. Lekarz sądowy orzekł, że została zabita mniej więcej w tym samym czasie co ofiary wyłowione z rzeki. Być może morderca usłyszał, że policja poddała rzekę obserwacji, i zmienił *modus operandi*.

Jak można przeczytać w *The Search for the Green River Killer* (Poszukiwania Mordercy znad Green River), bogato udokumentowanej relacji napisanej przez Carltona Smitha i Thomasa Guillena, głównym podejrzanym był czterdziestoczteroletni taksówkarz, który niemal pod każdym względem pasował do profilu. Włączył się w śledztwo już na wczesnym etapie, wydzwanając na policję z pomysłami, jak złapać mordercę, i radami, aby zwracali uwagę na innych taksówkarzy. Spędzał wiele czasu w towarzystwie prostytutek i nie stronił od szemranego towarzystwa, prowadził nocny tryb życia, kompulsywnie krążył po ulicach taksówką, zgodnie z przewidywaniami profilu pił i palił oraz wyrażał zaniepokojenie bezpieczeństwem prostytutek. Miał za sobą pięć nieudanych małżeństw, dorastał nad rzeką, mieszkał ze swoim ojcem wdowcem, jeździł starym, zaniedbanym samochodem (jednym z klasycznych modeli) i pilnie śledził relacje prasowe poświęcone morderstwom.

Policja chciała go przesłuchać we wrześniu i poprosiła mnie o pomoc w opracowaniu strategii. Byłem akurat wtedy w strasznych rozjazdach. Niemal co tydzień wyjeżdżałem w delegację do innej części kraju i próbowałem nadążyć z wypełnianiem obowiązków. Policjanci zadzwonili akurat wtedy, gdy przebywałem poza miastem. Połączyli się z Rogerem Depue, szefem jednostki, który poinformował ich, że wrócę za kilka dni. Przekonywał, aby wstrzymali się z przesłuchaniem. Podejrzanym był wtedy chętny do współpracy i nie zamierzał opuszczać okolicy.

Mimo to policjanci go przesłuchali. Rozmowa trwała cały dzień i zamieniła

się w scysję. Z dzisiejszej perspektywy, kiedy znamy już wszystkie fakty, można powiedzieć, że przesłuchanie powinno mieć inny przebieg. Wyniki badania wykrywaczem kłamstw były niejednoznaczne, a choć policja siedziała podejrzanemu na karku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i gromadziła kolejne poszlaki, nie mogła stworzyć aktu oskarżenia.

Ponieważ nie uczestniczyłem w tej części dochodzenia, nie potrafię rozstrzygnąć, czy człowiek ów rzeczywiście był obiecującym podejrzanym. Bez wątplenia brak koordynacji i jasno sprecyzowanych celów torpedował wczesne etapy śledztwa, kiedy szanse na schwytanie sprawcy są zazwyczaj największe. Morderca żyje wtedy w niepokoju, niepewności jutra i przeżywa najsilniejszy dupościsk. Później zdaje sobie sprawę, że kolejne morderstwa uchodzą mu na sucho. Nabiera pewności siebie. Uspokaja się i doskonali *modus operandi*.

Lokalny wydział policji nie miał na początku nawet komputera. Kiedy później śledztwo zataczało coraz szersze kręgi, policjanci analizowali tropy w tak zółwim tempie, że staranna ocena wszystkich zajęłaby im pięćdziesiąt lat. Wierzę, że gdyby tego rodzaju śledztwo wszczęto dziś, zostałyby sprawniej zorganizowane i toczyło się zgodnie z obraną strategią postępowania. Mimo to nastęczałoby ogromnych trudności. Zamordowane prostytutki wiodły nomadyczny żywot. Kiedy chłopak lub alfons zgłaszał zaginięcie którejś z nich, często okazywało się, że dziewczyna sama się ulotniła albo przeniosła w inny region wybrzeża. Wiele posługiwało się pseudonimami, co niezwykle utrudniało identyfikację ciał i ustalanie powiązań między sprawami. Z tego samego powodu śledczy tylko w ograniczonym zakresie mogli korzystać z kartotek gabinetów lekarskich i dentystycznych. Poza tym współpraca między policją a środowiskiem prostytutek była taka sobie (w najlepszym razie).

W maju 1983 roku znaleziono ubrane i starannie upozowane zwłoki młodej prostytutki: na jej gardle ułożono w poprzek jedną rybę, druga leżała na lewej piersi, a między nogami umieszczono butelkę po winie. Kobieta została uduszona cienkim przewodem lub sznurem. Policja podciągnęła to zabójstwo po

sprawę Mordercy znad Green River. Według mnie ten przypadek wyglądał raczej na morderstwo z przyczyn osobistych. Ofiara nie została wybrana przypadkowo, zabójca doskonale ją znał. Na miejscu zbrodni dostrzegłem wiele oznak gniewu.

Pod koniec 1983 roku liczba ofiar wzrosła do dwunastu, a policja dostała zgłoszenia o zaginięciu siedmiu innych dziewczyn. Jedna z zamordowanych kobiet była w ósmym miesiącu ciąży. Oddział prowadzący śledztwo poprosił mnie, abym przyjechał i coś im doradził. Jak wspomniałem wcześniej, uczestniczyłem w tamtym czasie w wielu śledztwach o różnym stopniu zaawansowania, sprawie Wayne'a Williama z Atlanty, Mordercy Kaliber .22 z Buffalo, Przyszłakowego Mordercy z San Francisco, Roberta Hansena z Anchorage, seryjnego podpalacza antysemitę z Hartford i ponad setki innych. Jedynym sposobem radzenia sobie z tym wszystkim było zmuszenie się do analizowania spraw we śnie. Wiedziałem, że niedługo zostanie ze mnie wrak człowieka, kwestią otwartą pozostawało, jak bardzo mogę wyniszczyć organizm i jak szybko to nastąpi. Kiedy śledczy ścigający Mordercę znad Green River poprosili mnie o pomoc, wiedziałem, że muszę jakoś wcisnąć i tę sprawę do swojego kalendarza.

Byłem pewien, że mój profil dobrze opisuje sprawcę, miałem jednak świadomość, że pasować do tego profilu będzie wiele osób. Poza tym w miarę upływu czasu wzrastało prawdopodobieństwo, że morderców będzie kilku. Pojawią się naśladowcy albo – ze względu na rozległe terytorium i typ ofiar – zbrodniczą działalność rozpocznie ktoś inny. Autostrada Sea-Tac Strip to raj dla morderców – trudno o lepsze miejsce na znalezienie ofiary. prostytutki stały co kilka metrów, a ponieważ wiele z nich przemieszczało się po Zachodnim Wybrzeżu między Vancouver a San Diego, mało kto przejmował się zaginięciami dziewczyn.

Uznałem, że przypadek ten wymaga zastosowania technik proaktywnych. Moglibyśmy urządzić w niektórych wiejskich szkołach spotkania poświęcone

morderstwom, rozdać formularze zgłoszeniowe, spisać tablice rejestracyjne uczestników, wypromować w mediach jednego policjanta na „superglinę”, zachęcając w ten sposób mordercę, aby się z nim skontaktował, opublikować artykuły poświęcone ofierze, która była w ciąży, aby wzbudzić w sprawcy choć odrobinę wyrzutów sumienia i sprowokować go do odwiedzenia jej grobu, obserwować miejsca porzucenia zwłok, o których nie poinformowano opinii publicznej, wykorzystać policjantki jako przynętę. Pomysłów mieliśmy co niemiara.

Podczas grudniowej wyprawy do Seattle zabrałem ze sobą świeżo upieczonych profilerów: Blaine’a McIlwaina i Rona Walkera. Uznałem, że będą mieli okazję zdobyć trochę doświadczenia w terenie. Całe szczęście, że to zrobiłem. Zupełnie jakby wszystko zostało zaplanowane przez Boga albo jakiś kosmiczny porządek. Blaine i Ron ocalili mi życie.

Kiedy sforsowali zamknięte na klucz, zasuwkę i łańcuch drzwi do mojego pokoju w hotelu i znaleźli mnie na podłodze, nieprzytomnego i wstrząsanego drgawkami, byłem bliski śmierci od gorączki, która wypalała mi mózg.

Doszedłem do siebie i wróciłem do pracy w maju 1984 roku. Morderca znad Green River wciąż był na wolności – i nadal pozostaje, ponad dekadę później, kiedy piszę te słowa*. Po powrocie do pracy dalej pomagałem śledczym. Sprawa przerodziła się w jedno z największych poszukiwań w historii Stanów Zjednoczonych. W miarę upływu czasu i przyrastania liczby ofiar nabierałem coraz silniejszego przekonania, że mamy do czynienia z kilkoma mordercami, których co prawda łączy niejedno, ale którzy działają oddzielnie. Policja ze Spokane i Portland dostarczyła mi dane zamordowanych i zaginionych prostytutek, ale nie znalazłem wyraźnych śladów, które łączyłyby te sprawy z morderstwami popełnianymi w okolicy Seattle. Policja z San Diego podejrzewała, że kilka morderstw popełnionych na jej terenie może być powiązanych z tymi spod Seattle. Zespół śledczych tropiących Mordercę znad Green River zajmował się w sumie ponad pięćdziesięcioma zgonami. Grupę

ponad tysiąca dwustu podejrzanych zawężono do około osiemdziesięciu. Była to zbieranina najróżniejszych typów: od chłopaków i alfonsów zabitych dziewczyn, przez faceta, który wystraszył prostytutkę, grożąc jej torturami, do trapera z Seattle. Podejrzenia padały niekiedy nawet na członków oddziału specjalnego. W żadnym przypadku nie zebrano wystarczającej liczby dowodów. Myślę, że pod Seattle działało wtedy co najmniej trzech morderców.

Ostatnią poważną próbę wywabienia mordercy z ukrycia podjęto w grudniu 1988 roku. Wyemitowano wtedy dwugodzinny program w ogólnokrajowej telewizji zatytułowany *Manhunt... Live!* (Obława... na żywo!), który poprowadził Patrick Duffy, gwiazda serialu *Dallas*. W programie opisano historię poszukiwań mordercy lub morderców i podano kilka bezpłatnych numerów telefonu, na które widzowie mogli dzwonić z uwagami i informacjami o śladach. Przyleciałem do Seattle, aby wystąpić w programie i nauczyć policjantów, jak błyskawicznie oceniać dzwoniących i zadawać trafne pytania.

Operator telekomunikacyjny oszacował, że w następnym tygodniu ponad sto tysięcy ludzi próbowało dodzwonić się na podane numery, a niecałe dziesięć tysięcy faktycznie uzyskało połączenie. Po trzech tygodniach zabrakło środków finansowych i wolontariuszy do dalszej obsługi linii telefonicznych. Cała operacja była emblematiczna także dla innych aspektów śledztwa w sprawie Mordercy znad Green River – wiele zaangażowanych osób włożyło w poszukiwania zabójcy ogromny wysiłek, ale ostatecznie niewystarczający i spóźniony.

Przez wiele lat na tablicy informacyjnej w biurze Gregga McCrary'ego wisiał rysunek przedstawiający ziejącego ogniem smoka pochylającego się nad powalonym na ziemię rycerzem. Pod spodem znajdował się napis: „Czasami to smok wygrywa”.

Każdy z nas prędzej czy później tego doświadcza. Nie łapiemy wszystkich, a ponieważ ci, których łapiemy, zdążyli już kogoś zabić, zgwałcić, torturować lub okaleczyć, podłożyć gdzieś bombę lub coś podpalić, żadnego nie łapiemy na

czas. Tak wyglądają sprawy dziś i tak samo wyglądały ponad sto lat temu, gdy Kuba Rozpruwacz, pierwszy seryjny morderca, poruszał wyobraźnię opinii publicznej.

Choć program *Obława...* nie doprowadził do rozwiązania zagadki morderstw znad Green River, w tym samym roku wystąpiłem w innym programie telewizyjnym, w którym stosując profilowanie psychologiczne, zdołałem ustalić tożsamość najślawniejszego seryjnego mordercy w historii. Wypadała akurat setna rocznica dokonania morderstw przez Kubę Rozpruwacza, co oznaczało, że mój profil powstał zaledwie o jeden wiek za późno.

Do makabrycznych morderstw prostytutek doszło na oświetlonych gazowymi latarniami, niebezpiecznych i tłocznych ulicach i w zaułkach wiktoriańskiego Londynu, w dzielnicy East End między 31 sierpnia a 9 listopada 1888 roku. Brutalność morderstw i stopień okaleczenia zwłok ulegały stopniowemu nasileniu. Wczesnym rankiem 30 września Kuba Rozpruwacz zamordował dwie kobiety w odstępie jednej lub dwóch godzin, co w owych czasach było ewenementem. Policja otrzymała szereg szyderczych listów, które zostały opublikowane w gazetach, a każda informacja o tych brutalnych morderstwach odbijała się szerokim echem w mediach. Mimo olbrzymich wysiłków Scotland Yardu Kuby Rozpruwacza nie złapano, a jego tożsamość pozostawała od tego czasu przedmiotem żąrzonych sporów. Podobnie jak w wypadku rozważań na temat „prawdziwej” tożsamości Williama Szekspira dobór podejrzanych często więcej mówi o ludziach prowadzących dochodzenie niż o samym mordercy.

Największą popularnością cieszyła się ekscytująca hipoteza, jakoby Kubą Rozpruwaczem był książę Albert Wiktor, książę Clarence i Avondale, najstarszy wnuk królowej Wiktorii i spadkobierca tronu po swoim ojcu Edwardzie, księciu Walii (który po śmierci Wiktorii został królem Edwardem VII). Książę Clarence miał umrzeć podczas wielkiej epidemii grypy w 1892 roku, ale wielu specjalistów od sprawy Kuby Rozpruwacza podejrzewa, że faktycznie zmarł na

syfilis lub został otruty przez królewskiego lekarza, co miało uchronić monarchię przed skandalem. Jest to bez wątpienia intrygująca hipoteza.

Do innych „kandydatów na Kubę Rozpruwacza” należą: Montague John Drutt, nauczyciel szkoły dla chłopców, który pasował do opisów podanych przez świadków, doktor William Gull, główny lekarz królewski, Aaron Kościński, biedny imigrant z Polski, który pomieszkiwał w okolicznych przytułkach dla obłąkanych, i doktor Roslyn D’Onstan, dziennikarz znany z zamiłowania do czarnej magii.

Zwracano uwagę, że morderstwa ustały niespodziewanie, co zrodziło przypuszczenia, że Kuba Rozpruwacz odebrał sobie życie albo – jeśli był nim książę Clarence – został wysłany na daleką wyprawę, lub też – gdyby był nim któryś z pozostałych „kandydatów” – zmarł. Dzisiaj uznałbym za równie prawdopodobne, że Rozpruwacz został aresztowany za jakieś drobniejsze przewinienie i jak wielu seryjnych morderców przestał zabijać, ponieważ trafił do więzienia. Inną kwestią było samo „rozpruwanie”. Jednym z powodów włączenia do grona podejrzanych ludzi posiadających wiedzę medyczną był stopień okaleczenia kolejnych ofiar.

Celem emitowanego w październiku 1988 roku programu *Sekretna tożsamość Kuby Rozpruwacza* było przedstawienie wszystkich dostępnych dowodów, a następnie poproszenie specjalistów z różnych dziedzin o wskazanie sprawcy. W ten sposób mieliśmy „raz na zawsze” rozwiązać zagadkę liczącą równo sto lat. Zostałem zaproszony do udziału wraz z Royem Hazelwoodem, a FBI uznało, że będzie to dobra okazja do zaprezentowania opinii publicznej naszych metod analitycznych, bez konieczności zdradzania szczegółów bieżących śledztw i procesów. Dwugodzinny, emitowany na żywo program prowadził brytyjski aktor, pisarz i reżyser Peter Ustinov, który w nieudawanym napięciu czekał na rozwiązanie zagadki.

Należy pamiętać, że nawet taka zabawa podlega tym samym regułom i ograniczeniom co każde współczesne śledztwo – dostarczany przez nas produkt

jest równie dobry jak dowody i fakty, z których możemy korzystać, a przecież techniki śledcze przed stu laty były, jak na dzisiejsze standardy, prymitywne. Opierając się na zdobytej wcześniej wiedzy na temat morderstw Kuby Rozpruwacza, uznałem, że sprawa nadaje się do rozwiązania, więc warto zaryzykować. To doprawdy odprężające i relaksujące doświadczenie pracować nad profilem ze świadomością, że w razie pomyłki grozi mi najwyżej wyjście na głupka w telewizji i nie będę miał na sumieniu kolejnej niewinnej ofiary.

Przed emisją programu opracowałem profil – dokładnie tak samo, jak robiłbym to w każdej współczesnej sprawie – opatrując go normalnym nagłówkiem:

NIEZNANY SPRAWCA ALIAS KUBA ROZPRUWACZ
SERIA ZABÓJSTW
LONDYN, ANGLIA
1888
NCAVC – ZABÓJSTWO
(ANALIZA KRYMINALISTYCZNA)

NCAVC to skrót od National Center for the Analysis of Violent Crime (Narodowe Centrum Analizy Brutalnych Przestępstw) – nazwy programu uruchomionego w Quantico w 1985 roku, pod który podlegały Jednostka Nauk Behawioralnych, Jednostka Wsparcia Dochodzeń, VICAP (baza komputerowa wykorzystywana w Programie Ścigania Brutalnych Przestępców) i inne zespoły i jednostki szybkiego reagowania.

Dopiero kiedy stworzyłem profil, zupełnie jak podczas prawdziwych konsultacji, zapoznałem się z listą podejrzanych. Choć kandydatura księcia Clarence była z pewnością niezwykle spektakularna, po przeanalizowaniu wszystkich dostępnych informacji Roy i ja niezależnie od siebie wskazaliśmy na Aarona Kościńskiego jako najbardziej prawdopodobnego sprawcę.

Naszym zdaniem, podobnie jak w opisaney wcześniej sprawie Rzeźnika z Yorkshire, przychodzące na policję szydercze listy zostały napisane przez

oszusta, a nie prawdziwego Kubę Rozpruwacza. Osoba, która dopuściłaby się tego rodzaju zbrodni, nie odczuwałaby potrzeby rzucenia publicznego wyzwania organom ścigania. Okaleczanie ciał wskazywało na kogoś z zaburzeniami umysłowymi, kompleksami seksualnymi i ogromnymi pokładami gniewu skierowanego ku kobietom. Ponieważ wszystkie ofiary zginęły od ataku z zaskoczenia, człowiek ten był nieśmiały i miał kłopoty w relacjach towarzyskich. Nie należał do mistrzów słowa mówionego. Okoliczności morderstw wskazywały na kogoś, kto potrafi wtopić się w otoczenie – prostytutki do ostatniej chwili niczego nie podejrzewały ani nie odczuwały strachu. Był to spokojny samotnik, a nie rzeźnik o osobowości *macho*, krążył po ulicach i wracał na miejsca zbrodni. Policja bez wątpienia przesłuchała go w trakcie śledztwa. Ze wszystkich podejrzanych, jakich nam przedstawiono, do profilu najlepiej pasował Kościński. A co do rzekomej wiedzy medycznej potrzebnej do pośmiertnego okaleczania i rozpruwania ciał – wymagało to zaledwie najprostszych technik rzeźniczych. Wtedy zrozumieliśmy, że do wykonywania najbardziej makabrycznych zabiegów na ciałach ofiar seryjnym mordercom potrzebna jest wyłącznie wola. Eda Geina, Eda Kempera, Jeffreya Dahmera czy Richarda Marquette'a, by przywołać zaledwie kilka nazwisk, nie powstrzymał brak wyszkolenia medycznego.

Chciałbym w tym miejscu zastrzec, że z perspektywy stu lat nie mogę być pewien, czy Aaron Kościński na pewno był Kubą Rozpruwaczem. Był po prostu jedną z kandydatur, jakie nam przedstawiono. Mogę jednak stwierdzić ze sporą pewnością, że Kuba Rozpruwacz był kimś podobnym do Kościńskiego. Gdyby śledztwo w sprawie tych morderstw toczyło się współcześnie, nasze ustalenia pomogłyby policji i Scotland Yardowi skierować je na odpowiednie tory i poznać tożsamość sprawcy. Dlatego właśnie uważam, że dzisiaj ta sprawa zostałaby z dużym prawdopodobieństwem rozwiązana.

W niektórych śledztwach nasze analizy pozwalają na ustalenie, jakiego typu

osoba popełniła przestępstwo, ale nie potrafimy zdobyć dostatecznie mocnych dowodów, aby kogokolwiek aresztować lub oskarżyć. Do tej kategorii należała sprawa Dusiciela WTZ z Wichita w Kansas.

Wszystko zaczęło się 15 stycznia 1974 roku od zamordowania rodziny Otero. Trzydziestoosmioletni Joseph Otero i jego żona Julie zostali związani i uduszeni sznurem od kotar. Ich dziesięcioletniego syna Josepha II znaleziono w jego sypialni – był związany i miał na głowie plastikowy worek. Jedenastoletnia Josephine została powieszona na rurze biegnącej pod sufitem w piwnicy, miała na sobie jedynie bluzę sportową i skarpetki. Wszystko świadczyło o tym, że morderstwa nie popełniono pod wpływem impulsu. Linie telefoniczne zostały odcięte, sprawca przyniósł ze sobą sznur, którym udusił ofiary.

Dziesięć miesięcy później redaktor lokalnej gazety odebrał anonimowy telefon. Rozmówca kazał mu sprawdzić pewną książkę w bibliotece publicznej. W środku znajdował się list, którego autor przypisywał sobie zabicie rodziny Otero, zapowiedział kolejne zbrodnie i wyjaśniał, że „słowa, które będą się kojarzyły z moją osobą, to: Wiąże, Torturuje, Zabija”.

W ciągu kolejnych trzech lat zamordowano kilka młodych kobiet, po czym do redakcji lokalnej telewizji przyszedł list, który powiedział nam wiele o psychice sprawcy. Człowiek ten napisał: „Jak wielu muszę jeszcze zabić, żeby moje nazwisko ukazało się w prasie albo stało się znane w całym kraju?”.

W jednym z opublikowanych listów porównał swoje dokonania do czynów Kuby Rozpruwacza, Syna Sama i Dusiciela ze Wzgórza – anonimowych nieudaczników, którzy dzięki zbrodniom zdobyli status gwiazd medialnych. Odpowiedzialność za swoje czyny przypisywał „demonowi” i „czynnikowi X”, co zaowocowało serią obszernych analiz jego osobowości w prasie.

Do listów dołączył odrażające rysunki nagich kobiet – skrępowanych, gwałconych i torturowanych. Nigdy ich nie opublikowano, ale dzięki nim lepiej rozumiałem, jakiego typu osoby poszukujemy. Od tego momentu wszystko

sprowadzało się do stopniowego zawężania listy podejrzanych.

Jak w przypadku jego idola Kuby Rozpruwacza, morderstwa Dusiciela WTZ niespodziewanie ustały. Podejrzewam, że został przesłuchany i musiał się zorientować, że policja depce mu po piętach. Był na tyle inteligentny i wyrafinowany, że przestał mordować, aby nie dostarczać policji kolejnych dowodów. Mam nadzieję, że go przynajmniej zneutralizowaliśmy, ale czasami smok wygrywa.

Czasami smok wygrywa również w naszym życiu osobistym. Kiedy morderca kogoś zabija, wciąga w tę sprawę wiele osób. Nie jestem jedyną osobą w jednostce, która straciła pracę z powodu problemów z kontrolowaniem stresu. A problemy rodzinne i konflikty małżeńskie zdarzają się agentom zbyt często, aby je lekceważyć.

W 1993 roku moje małżeństwo z Pam rozpadło się po dwudziestu dwóch latach. Każde z nas prawdopodobnie inaczej wyjaśniłoby przyczyny rozstania, ale niektóre sprawy są bezdyskusyjne. Zbyt często przebywałem poza domem i przegapiłem znaczną część dzieciństwa naszych córek, Eriki i Lauren. Po powrocie z delegacji byłem tak pochłonięty pracą, że Pam często miała poczucie, że jest samotną matką. Musiała prowadzić dom, płacić rachunki, zawozić dzieci do szkoły, chodzić na wywiady, pilnować, żeby dziewczynki odrabiały zadania domowe, i jednocześnie dbać o swoją karierę nauczycielską. Kiedy w 1987 roku urodził się nasz syn Jed, kilka innych osób w naszej jednostce zajmowało się profilowaniem i nie musiałem tak często jeździć w delegacje. Jestem świadom, że choć mam troje mądrych, kochanych, uroczych, wspaniałych dzieci, do czasu przejścia na emeryturę (co nastąpiło niedawno) nie zdołałem tak naprawdę dobrze ich poznać. Poświęciłem lata na naukę wiktymologii martwych dzieci, a zawałem sprawę i nie nauczyłem się dostatecznie wiele o moich olśniewająco żywych pociechach.

Pam wielokrotnie przychodziła do mnie z jakimś typowym, drobnym problemem związanym z dziećmi, na przykład rozcięciem lub zadrapaniem

spowodowanym upadkiem z roweru. Doskonale oboje pamiętamy, że z powodu stresu i ciężącej na mniejszej presji często wpadałem w takich sytuacjach w szal. Opisywałem okaleczone ciała zamordowanych rówieśników naszych dzieci, nie zdając sobie sprawy, że upadek z roweru to coś normalnego i nie uzasadnia fiksowania.

Ludzie mojej profesji nie chcą całkowicie znieczulić się na potworności, z którymi stykają się w pracy, ale w nieunikniony sposób człowiek obojętnieje na wszystko, co jest mniej od nich przerażające. Pewnego razu podczas obiadu Pam otwierała w kuchni jakieś opakowanie, nóż się ześlizgnął i mocno się zacięła. Krzyknęła, a my natychmiast do niej podbiegliśmy. Kiedy zobaczyłem, że rana nie zagraża Pam ani jej ręce, zafascynował mnie wzór utworzony przez tryskającą z rany krew. Skojarzył mi się z plamami z miejsc zbrodni. Próbowałem rozładować napięcie kilkoma żartami. Zwróciłem Pam i dzieciom uwagę, że kiedy poruszała dłonią, wzór się zmieniał, a właśnie dzięki temu zjawisku możemy określić przebieg starcia między napastnikiem i ofiarą. Przypuszczam, że oni nie traktowali tego wszystkiego z równą beztroską.

Człowiek stara się stworzyć mechanizmy obronne pozwalające mu radzić sobie z tym, co widzi w pracy, ale łatwo przy okazji zmienić się w nieczułego, zdystansowanego skurwysyna. Jeśli agent czy policjant ma szczęśliwą rodzinę i jego małżeństwo opiera się na solidnych fundamentach, znacznie lepiej poradzi sobie z trudnościami w pracy. Jeśli jednak w życiu domowym pojawią się jakieś problemy, czynniki stresogenne powodują wyolbrzymienie wszystkiego – zupełnie jak u ludzi, na których polujemy.

Pam miała swoich przyjaciół, ja swoich. Nie potrafiłem rozmawiać o pracy z jej znajomymi, więc otoczyłem się ludźmi podobnymi do siebie. Na spotkaniach z osobami spoza FBI i policji często nużyła mnie przyziemność tematów rozmowy. Choć zabrzmiało to bezdusznie, kiedy człowiek przez cały dzień próbuje się „wtapiać” w umysły morderców, lokalizacja kubłów na śmieci sąsiada lub nowy kolor ogrodzenia jego domu nie jest zbyt stymulującym

zagadnieniem.

Po trudnym dla nas obojga okresie emocjonalnego magła na powrót zostaliśmy z Pam dobrymi przyjaciółmi. Dzieci mieszkają ze mną (Erika wyjechała na studia), ale Pam spędza z nami większość czasu i w końcu po równo dzielimy się rodzicielskimi obowiązkami. Cieszę się, że Lauren i Jed są wciąż na tyle młodzi, bym jeszcze przez kilka lat mógł uczestniczyć w ich dorastaniu.

Z pojedynczego stanowiska na początku lat osiemdziesiątych, kiedy to byłem jedynym profilerem w FBI – wspomaganym, w miarę możliwości, przez Roya Hazelwooda, Billa Hagmaiera i kilka innych osób – powstała jednostka licząca ponad dziesięciu agentów. To wciąż za mało, aby ogarnąć wszystkie sprawy, które do nas trafiają, ale równocześnie na tyle mało, by wszyscy utrzymywali bliskie i osobiste kontakty ze sobą nawzajem oraz z przedstawicielami w biurach terenowych. A z tego przecież słyniemy. Wielu komendantów policji i oficerów śledczych kontaktujących się z naszą jednostką poznało nas podczas zajęć Narodowej Akademii. Szeryf Jim Metts poprosił mnie o pomoc w schwytaniu mordercy Shari Smith i Debry Helmick, a kapitan Lynde Johnston zwrócił się do Gregga McCrary'ego z prośbą o pomoc w ustaleniu, kto mordował prostytutki w Rochester. Obaj byli absolwentami Narodowej Akademii.

W połowie lat osiemdziesiątych Wydział Nauk Behawioralnych został podzielony na Jednostkę Szkolenia i Rozwoju i grupę, w której pracowałem jako kierownik programu tworzenia profili psychologicznych przestępców, czyli Jednostkę Wsparcia Dochodzeń. Kluczowymi „sekcjami” we Wsparciu Dochodzeń były Program Ścigania Brutalnych Przestępców VICAP, który Jim Wright przejął po Bobie Resslerze, oraz Obsługa Inżynieryjna (Engineering Services). Roger Depue był szefem Szkolenia i Rozwoju (Instruction and Research), a Alan „Smokey” Burgess Wsparcia Dochodzeń. (Nie jest spokrewniony z Ann Burgess, ale jej mąż, Allen Burgess, był współautorem

naszego *Crime Classification Manual*. I już wszystko jasne, prawda?)

Choć wykonywałem pod wieloma względami trudną i wymagającą pracę, odniosłem w swoim zawodzie duży sukces i miałem satysfakcjonującą karierę. Na szczęście przez długi czas udawało mi się unikać etapu, przez który przechodzą prawie wszyscy pracownicy zainteresowani awansem – pracy w administracji. Sytuacja uległa zmianie w 1990 roku, kiedy Smokey Burgess ogłosił, że zamierza ustąpić ze stanowiska szefa jednostki. Niedługo potem nowy zastępca dyrektora Dave Kohl (był przełożonym mojego oddziału w Milwaukee, służyliśmy też razem w brygadzie SWAT) wezwał mnie do biura i zapytał o dalsze plany zawodowe.

Powiedziałem, że jestem wypalony, mam wszystkiego dość i zastanawiam się, czy nie spędzić ostatnich lat służby za biurkiem w lokalnym wydziale brutalnych przestępstw.

– Kiepski pomysł – ostrzegł Kohl. – Tam też zatracisz się w robocie. Znacznie lepszy pożytek będziemy z ciebie mieli na stanowisku szefa jednostki.

– Nie jestem pewien, czy chcę zostać szefem jednostki – odparłem. I tak wykonywałem już wiele obowiązków przynależnych temu stanowisku, a z racji stażu służyłem za żywą bazę danych naszej instytucji. Na tym etapie kariery nie chciałem się pogrążyć w pracy administracyjnej. Burgess był znakomitym zarządcą i potrafił tak nas nadzorować, że każdy z pracowników efektywnie wykonywał pracę.

– Chcę, żebyś został szefem jednostki – oświadczył Kohl, człowiek dynamiczny, bezpośredni i zdecydowany.

Zaprotestowałem. Chciałem nadal służyć konsultacjami przy dochodzeniach, strategiach procesowych, zeznaniach przed sądem i wygłaszać wykłady. Na tym znałem się najlepiej. Kohl zapewnił, że nadal będę mógł to robić, po czym wręczył mi nominację.

Pierwszą decyzją, jaką podjąłem jako szef, było usunięcie z nazwy jednostki „Nauk Behawioralnych” i przemianowanie jej na prostą Jednostkę Wsparcia

Dochodzeń. Chciałem, aby nasi partnerzy z lokalnych wydziałów policji i innych jednostek FBI wiedzieli dokładnie, czego mogą, a czego nie powinni od nas oczekiwać.

Dzięki pomocy i niewyczerpanemu wsparciu Roberty Beadle, szefowej działu kadr, zwiększyłem liczbę pracowników VICAP z czterech do szesnastu. Pozostałe działy jednostki również się rozrastały i nie minęło wiele czasu, a zespół liczył czterdzieści osób. Aby przynajmniej częściowo zmniejszyć liczbę obciążeń administracyjnych wynikających z rozrastania się jednostki, wprowadziłem program zarządzania regionalnego, podporządkowujący określone regiony kraju poszczególnym agentom.

Uważałem, że zasługują na czternasty szczebel taryfikatora płac, ale centrala była gotowa przydzielić nam jedynie cztery do pięciu czternastek. Wymusiłem zatem przyrzeczenie, że kiedy agenci ukończą dwuletni program szkoleniowy, zostaną „namaszczeni” na ekspertów i uzyskają status agentów specjalnych o uprawnieniach nadzorczych wraz z przysługującą im pensją. Szkolenia obejmowały udział we wszystkich zajęciach organizowanych przez Jednostkę Nauk Behawioralnych w ramach Narodowej Akademii, zaliczenie dwóch kursów w Instytucie Patologii Sił Zbrojnych, zdobycie wiedzy z zakresu psychiatrii i prawa na Uniwersytecie Wirginii (w owym czasie wykładał tam Park Dietz), ukończenie szkoły prowadzenia przesłuchań Johna Reeda, zapoznanie się z procedurami określania przyczyny śmierci w Biurze Lekarza Sądowego Baltimore, udział w akcjach wydziału zabójstw nowojorskiej policji i opracowanie profili psychologicznych pod kierunkiem jednego z kierowników regionalnych.

Rozwinęliśmy również znacząco współpracę międzynarodową. Na rok przed odejściem na emeryturę Gregg McCrary uczestniczył na przykład w ważnych śledztwach w Kanadzie i Austrii.

Jednostka funkcjonowała dobrze, natomiast jeśli chodzi o stronę administracyjną, to ja, jak to ja, chadzałem czasami własnymi drogami. Kiedy

widziałem, że ktoś wypala się w pracy, omijałem przepisy i podpisywałem za niego karty pracy albo wysyłałem go na urlop. Ludzie byli wtedy znacznie bardziej produktywni, niż gdyby musieli pracować zgodnie z wymogami regulaminu. Szef zespołu złożonego z wybitnych specjalistów, który nie ma możliwości wynagradzania ich premiami finansowymi, musi znajdować inne sposoby wspierania załogi.

Zawsze utrzymywałem dobre stosunki z pracownikami pomocniczymi, a kiedy przechodziłem na emeryturę, to chyba im było najbardziej przykro. Zawdzięczam to prawdopodobnie służbie w lotnictwie. Wielu ludzi zajmujących stanowiska kierownicze w FBI było wcześniej oficerami wojskowymi (i wielu, jak mój ostatni szef w biurze terenowym Robin Montgomery, otrzymało odznaczenia za bohaterstwo w czasie wojny) i w typowy dla oficerów sposób sprawowało swoje obowiązki. Nie ma w tym nic złego, a duże instytucje działałyby mniej sprawnie, gdyby kadra kierownicza składała się głównie z ludzi podobnych do mnie. Ponieważ jednak do wojska dostałem się z poboru, zawsze identyfikowałem się emocjonalnie z pracownikami pomocniczymi. Dzięki temu znacznie łatwiej przychodziło mi zdobycie ich pomocy niż niektórym kierownikom.

Wiele osób ma podobne wyobrażenie o FBI jak kiedyś o IBM – że jest to wielka biurokracja zrzeszająca inteligentnych i znakomicie wykształconych, niemniej anonimowych i pozbawionych poczucia humoru mężczyzn i kobiety w białych koszulach i ciemnych garniturach. Miałem to szczęście, że wchodziłem w skład niewielkiej grupy naprawdę wyjątkowych ludzi, z których każdy mógł się pochwalić nieprzeciętnymi osiągnięciami. Kiedy z czasem zaczęła rosnąć rola nauk behawioralnych w pracach instytucji ochrony porządku publicznego, każdy z nas zaczął rozwijać własne zainteresowania i specjalizować się w określonej dziedzinie.

Poczynając od naszego pierwszego projektu, Bob Ressler skoncentrował się na prowadzeniu badań, a ja poświęciłem się rozwiązywaniu bieżących spraw.

Roy Hazelwood jest specjalistą od gwałtu i morderstwa motywowanego żądzą. Ken Lanning to jeden z najlepszych specjalistów od przestępstw przeciwko dzieciom. Jim Reese zaczynał od profilowania, ale znalazł prawdziwe powołanie w dziedzinie łagodzenia stresu u funkcjonariuszy policji i agentów FBI. Zrobił doktorat w tej dziedzinie, ma bogatą bibliografię naukową, a w środowisku stróżów prawa cieszy się opinią cenionego terapeuty. Po przyjęciu do naszej jednostki Jim Wright nie tylko zaczął szkolić nowych profilerów, ale stał się wybitnym ekspertem od stalkingu, jednej z kategorii poważnych przestępstw przeciwko ludziom, których to przestępstw jest coraz więcej. Każdy z nas nawiązał wiele osobistych kontaktów z biurami terenowymi, wydziałami policji, biurami szeryfów oraz instytucjami stanowymi w całym kraju. Kiedy ktoś potrzebuje pomocy, wie, do kogo się zwrócić i komu może zaufać.

Nowych pracowników rozpoczynających służbę w jednostce może niekiedy onieśmielać towarzystwo „gwiazd”, zwłaszcza od czasu *Milczenia owiec*, dzięki któremu nasza działalność stała się znana na forum ogólnokrajowym. Staramy się zawsze podkreślać, że zaprosiliśmy ich do siebie, ponieważ mają kwalifikacje, aby zostać pełnoprawnymi członkami zespołu. Każdy z nich ma bogate doświadczenie w pracy dochodzeniowej, a po przyjściu do jednostki przechodzi dwuletnie szkolenie praktyczne. Do pracy zespołu wnoszą inteligencję, intuicję, sumienność, uczciwość i pewność siebie oraz umiejętność wysłuchiwanie i poddawania krytycznej analizie stanowisk innych ludzi. Z mojego punktu widzenia Akademia FBI jest najlepszą tego rodzaju instytucją na świecie właśnie dzięki temu, że składa się z jednostek dążących do osiągnięcia własnych celów i wykorzystujących swoje zdolności dla wspólnego dobra. Wszyscy mobilizują się nawzajem do lepszej pracy. Wierzę, że wypracowany przez nas w jednostce system oparty na kolegalności i udzielaniu sobie nawzajem wsparcia przetrwa, kiedy pierwsze pokolenie pracowników odejdzie na emeryturę.

Podczas pożegnalnej kolacji, którą wydano na moją cześć w czerwcu

1995 roku w Quantico, usłyszałem wiele miłych słów pod swoim adresem, co było jednocześnie zawstydzające i niesamowicie poruszające. Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że koledzy skorzystają z ostatniej okazji, by się ze mnie sympatycznie ponaśmiewać. Nawiasem mówiąc, Jud Ray, na którego natknąłem się zaraz po uroczystości w toalecie, miał do siebie pretensje, że się na to nie odważył. Ja nie zamierzałem popełnić tego błędu i kiedy przyszła kolej na moje wystąpienie, obsypałem kolegów złośliwościami przygotowanymi specjalnie na tę okazję. Tamtego wieczoru nie powiedziałem niczego specjalnie odkrywczego ani poważnego. Mam za to nadzieję, że przez wszystkie lata pracy po prostu dawałem innym dobry przykład.

Od przejścia na emeryturę utrzymuję kontakt z Quantico jako nauczyciel i konsultant, a moi koledzy wiedzą, że zawsze mogą na mnie liczyć. Nadal wykładam i dzielę się moim dwudziestopięcioletnim doświadczeniem „wtapiania się” w umysły morderców. Przeszedłem na emeryturę, ale podejrzewam, że nigdy nie zdołam całkowicie zrezygnować z tej pracy. Niestety, zapotrzebowanie na nasze usługi nieustannie rośnie i nie grozi nam bezrobocie.

Ludzie często pytają mnie, czy można jakoś zmniejszyć przerażające statystyki brutalnych przestępstw. Choć istnieje oczywiście szereg praktycznych działań, które można i należy podjąć, w mojej opinii problem ogromnej liczby morderstw popełnianych w Stanach Zjednoczonych zostanie rozwiązany dopiero dzięki dostatecznie silnej woli zwykłych ludzi. Zwiększenie liczby policjantów, sądów i więzień oraz udoskonalenie technik śledczych nie zaszkodzi, ale ograniczymy przestępczość dopiero wtedy, gdy przestaniemy ją akceptować i tolerować w naszych rodzinach, u przyjaciół i kolegów z pracy. Tego właśnie uczą nas doświadczenia innych państw o znacznie niższych wskaźnikach przestępczości. Obywatelska postawa to moim zdaniem jedyna droga. Przestępczość to problem natury moralnej i można go rozwiązać wyłącznie na poziomie moralnym.

W całej swojej karierze badacza i konsultanta nie spotkałem się z brutalnym przestępcą, który pochodziłby z funkcjonalnej, zapewniającej oparcie rodziny. Uważam, że znaczna większość brutalnych przestępców jest odpowiedzialna za swoje czyny, samodzielnie podejmuje decyzje i powinna ponosić ich konsekwencje. Absurdalne jest twierdzenie, że ktoś nie potrafi zrozumieć powagi swoich czynów, ponieważ ma tylko czternaście lub piętnaście lat. Mój ośmioletni syn Jed od dawna potrafi odróżnić dobro od zła.

Niemniej dwudziestopięcioletnie doświadczenie podpowiada mi też, że większość przestępców nie jest nimi od urodzenia, ale „produktem” jakichś okoliczności, a to oznacza, że na jakimś etapie ich życia osoba, która powinna była wywrzeć na nich pozytywny wpływ, wywarła wpływ zdecydowanie negatywny. Właśnie dlatego uważam, że poza dofinansowaniem policji i systemu więziennictwa potrzebujemy przede wszystkim miłości. Bynajmniej nie upraszczam sprawy – dotykam tu samej istoty problemu.

Zostałem niedawno poproszony o wygłoszenie wykładu przed nowojorską filią stowarzyszenia Amerykańskich Pisarzy Kryminalnych. Liczne grono słuchaczy zgotowało mi serdeczne powitanie. Przybyli na spotkanie mężczyźni i kobiety, zarabiający na życie tworzeniem fabuł o mordercach i sadystach, byli żywotnie zainteresowani poznaniem osoby, która osobiście uczestniczyła w tysiącach śledztw. Od czasu *Milczenia owiec* Thomasa Harrisa pisarze, dziennikarze i filmowcy nieustannie proszą nas o „prawdziwe historie”.

Zacząłem opowiadać o szczegółach co bardziej interesujących i makabrycznych spraw, ale szybko zauważyłem, że wiele osób przestało mnie słuchać albo odwróciło głowę. Sprawy, z którymi moi ludzie mają kontakt na co dzień, budziły w pisarzach autentyczne obrzydzenie. Zrozumiałem, że nie interesują ich szczegóły. Oni zapewne uświadomili sobie, że wcale nie mają ochoty opisywać spraw takimi, jakie są naprawdę. Doskonale to rozumiem. Każdy z nas celuje w inną grupę klientów.

Smok nie zawsze wygrywa, a my robimy wszystko, co w naszej mocy, aby wygrywał coraz rzadziej. Zło, które uosabia i z którym musiałem się mierzyć przez całą karierę, nie zniknie, ale ktoś musi opowiedzieć prawdziwą historię. To właśnie próbowałem uczynić w tej opartej na moich doświadczeniach książce.

* Mordercą znad Green River okazał się Gary Leon Ridgway. Został aresztowany w 2001 roku i przyznał się do winy (przyp. tłum.).

Spis treści:

Karta tytułowa

Przedmowa

Prolog. Musiałem trafić do piekła

Rozdział 1. W umyśle mordercy

Rozdział 2. Moja matka nazywała się Holmes

Rozdział 3. Hazard a krople deszczu na szybie

Rozdział 4. Między dwoma światami

Rozdział 5. Nauki behawioralne czy naukowe pierdoły?

Rozdział 6. W trasie

Rozdział 7. Jądro ciemności

Rozdział 8. Zabójca z wadą wymowy

Rozdział 9. W skórze mordercy

Rozdział 10. Każdy ma swój zakrwawiony kamień

Rozdział 11. Atlanta

Rozdział 12. Jeden z nas

Rozdział 13. Najniebezpieczniejsza gra

Rozdział 14. Kto zabił zwyczajną amerykańską dziewczynę?

Rozdział 15. Krzywdząc najbliższych

Rozdział 16. „Bóg chce, abyś dołączyła do Shari Faye”

Rozdział 17. Każdy może być ofiarą

Rozdział 18. Wojna psychiatrów

Rozdział 19. Czasami to smok wygrywa

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału

Mindhunter: Inside The FBI's Elite Serial Crime Unit

Copyright © 1995 by Mindhunters, Inc.

Originally published by Scribner, a Division of Simon & Schuster, Inc.

Copyright © for the translation by Jacek Konieczny

Projekt okładki

Magda Kuc

Fotografia na okładce

Copyright © Julie McInnes / Moment / Getty Images

Opieka redakcyjna

Artur Wiśniewski

Przemysław Pełka

Korekta

Patrycjusz Pilawski

ISBN 978-83-240-4718-5



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com